



GRZEGORZ KUREK

SPIRIT
CARVING

— TOM I —
POCZĄTEK

NOVAE RES

GRZEGORZ KUREK

SPIRIT CARING

TOM 1: POCZĄTEK



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1: WIELKA RADA

ROZDZIAŁ 2: WYBRANIEC

ROZDZIAŁ 3: ZAŁĄŻEK KOMPANII

ROZDZIAŁ 4: HISTORIA CAŁKIEM NIESPODZIEWANA

ROZDZIAŁ 5: NA DWORZE KRÓLA SAHAELA

ROZDZIAŁ 6: PIERWSZE STARCIE

ROZDZIAŁ 7: KARTEL

ROZDZIAŁ 8: WIZJA

ROZDZIAŁ 9: ZAMACH

ROZDZIAŁ 10: POŚCIG

ROZDZIAŁ 11: SEKS GRANICZNY

ROZDZIAŁ 12: PUŁAPKA

ROZDZIAŁ 13: ZAGINIONE POLE ŻŁOTYCH KONOPI

ROZDZIAŁ 14: ZDRADY I KNOWANIA

ROZDZIAŁ 15: UPADKI I WZLOTY

ROZDZIAŁ 16: DOLINA EDGEL

ROZDZIAŁ 17: SZALONY MĘDRZEC

ROZDZIAŁ 18: ODREBNA DROGA DLA KAŻDEGO

DODATEK

ROZDZIAŁ 1:

WIELKA RADA

Posłaniec, ledwo przybywszy na dwór króla Sahaela, spieszonym krokiem podążył przed oblicze władcy.

- Zapowiedz mnie z łaski swojej - rzucił na wstępie do strażnika.

- A kimże jesteś, *nuthmien*^[1]?

- Sir Rodryg von Werel, posłaniec króla Joachima z Koel Nahal.

- Jakież wieści przynosisz, *nuthmien*? Nasz monarcha ma ważnego gościa.

- A kogóż to?

- Czcigodnego mistrza Mariusa z Rew Terim.

- Czarodzieja, powiadasz. Świetnie się składa. Zapewniam cię, że mam wieści najwyższego sortu.

- Zaczekaj chwilę, dostojny *poeshel*.

Strażnik poszedł do pałacu. Była to piękna rezydencja z kutego marmuru, zwieńczona dachem z nitylu^[2], której fasadę wyłożono płytami z czystego złota. Zapewne elfi monarcha nabył te towary od krasnoludów z Gór Wschodnich w zamian za drzewo hebanowe. Kolumny na fasadzie budynku zdobiła srebrna winorośl. Wrota natomiast okute były kruszcem z gór, ciemnobrązową koretyną^[3]. Von Werel nie

dziwił się, że nazywają go Balha Deal – Białym Dworem. Od bramy głównej do dziedzińca biegła aleja wysadzana krzewami bukszpanu, akacji, tui i bzu. Po chwili strażnik wrócił.

- Możesz wejść, *nuthmien*, lecz nie marnuj czasu naszego władcy.

- Oczywiście, moja wizyta nie będzie dłuższa niż trzy *O bracia wspaniali*. Tymczasem każ parobkowi napoić mego perszerona, zmęczył się nieborak długą drogą.

Rodryg wszedł za służącym do pałacu. Wewnątrz wyglądał on jeszcze bardziej okazale. Oczom gościa ukazało się bogactwo monarchy tych ziem. Wnętrze utrzymane było w jasnej tonacji kolorystycznej, na ścianach wisiały wspaniałe gobeliny przedstawiające przodków Sahaela. Na jednym z nich pradziad króla, jasnowłosy elf, zwyciężał w boju swego wroga, plugawego orka. Wysoko nad głową trzymał miecz wysadzany szmaragdami, zbroję na jego piersi zdobił herb rodu. Spoglądał na przeciwnika z niesmakiem. Kreatura zasłaniała się rękoma, jednak na próżno. Rodryg spojrział dalej. Na kolejnym obrazie urodziwa niewiasta uśmiechała się szeroko, trzymając na ręku swe dzieciątko. Von Werel przyglądałby się dłużej, lecz czas go naglił. Odwrócił głowę. Długi korytarz prowadzący do głównej komnaty otaczały wypolerowane, błyszczące, srebrne zbroje. Na każdej z nich widniał herb rodu. Stały dumnie niczym gwardia, przyłbice w wysokich hełmach były opuszczone. Na marmurowej posadzce pałacu leżał bogato zdobiony dywan w kolorze dojrzałego wina. Po obu stronach korytarza znajdowały się

liczne drzwi prowadzące do innych komnat pałacu. Rodryg nie miał czasu, aby zwiedzić każdą z nich. Von Werel wszedł za służącym do sali, w której czekał już władca Vea Utheel, dostojny król Sahael oraz przedstawiciel klasztoru Rew Terim, mistrz Marius. Ta komnata była najwspanialsza w całym Balha Deal. Bielone, wapienne ściany pokryte były imponującymi malowidłami przedstawiającymi faunę i florę. Zamiłowanie elfów do przyrody było wysoce zdumiewające dla prostego umysłu posłańca. W rogach sali stały donice z różami, hortensjami, tulipanami oraz dendrobium. Przez nityłowe sklepienie prześwitywało błękitne niebo. Łatwo sobie wyobrazić, jak cudowny widok musiał być tutaj w nocy.

- Panie mój, oto posłaniec z Koel Nahal, sir Rodryg von Werel - zapowiedział gościa służący.

- Niech wejdzie.

Von Werel wszedł, uklęknął na prawe kolano i nisko schylił głowę.

- Serdeczne pozdrowienia i wyrazy szacunku dla miłościwego Sahaela, pana na Balha Deal i króla wspaniałego Vea Utheel przesyła Joachim Prawy, władca Koel Nahal, rezydujący w Rodo.

- Tak, tak, ja również pozdrawiam, ale do rzeczy. Przewielebny wysłannik Nidasa mówił mi właśnie o niepokojących znakach.

- Otóż to, miłościwy panie. Mój władca dostał wieści z Kodoru i Lafaryngii. Krasnoludzcy strażnicy dostrzegli wyłom w Wielkim Murze, co może oznaczać ucieczkę goblinów z Mrocznych Gór.

- Interesujące rzeczy waść prawisz. Moi współpracownicy zauważyli uszkodzenie w barierze - rzekł mistrz Marius.

- Czyżby jakiś pomiot piekielny wydostał się z Rezerwatu?

- Tego nie wiemy. Bariere naprawiono, jednak tydzień później wszystko się powtórzyło.

- Miłościwy panie, władczyni Wirbergu poinformowała nas o niepokojących łodziach dostrzeżonych przez latarników. Podejrzewamy, że orkowie przeżyli i budują flotę. Mój monarcha proponuje zwołać trzecią Radę Władców.

- Nie wiem, czy to konieczne. To tylko znaki. Poprzednie rady dotyczyły walki z tworami trzeciego boga i podziału granic. Poza tym ostatnia odbyła się ponad trzy wieki temu.

- Wasza miłość, radziłbym jednak posłuchać rady monarchy Koel Nahal - rzucił mistrz Marius.

W tym momencie do komnaty wpadł goniec.

- Mój panie, na południowym wybrzeżu wylądowali orkowie! - wykrzyknął.

- Co ty pleciesz? - Król najwyraźniej nie dowierzał.

- Panie, to nie brednie. Dziesięć okrętów, wyrznęli wszystkich naszych!

- Zaraz, przecież tam był Zidael, mój najlepszy dowódca!

- Porwali go! Zawlekli na statek, ale, panie mój, *orchs* pozostali na lądzie, tylko okręty odpłynęły.

- Jasny gwint! A więc dobrze, przekaż Joachimowi, że będę u niego za tydzień. Niech roześle wici. Rada odbędzie się w Rodo. Idź już! A ty zawołaj mi generała Vorina!

*

Tymczasem do wykutego w litej skale na wyżynie Gór Wschodnich zamku Torun dotarł inny goniec.

- Powtórz jeszcze raz, bo nie przyswajam tej wieści. - Król krasnoludów z Kodoru, Fergus Mocny, był srodze skonfundowany.

- Miłościwy panie, mój monarcha prosi o pomoc w walce z armią nieprzyjaciela. Gobliny nie pozwalają nam opuścić Lafaryngii.

- To jakim cudem się tu znalazłeś?

- Czcigodny mistrz William teleportował mnie poza granice oblężenia. Proponował to samo mojemu panu, lecz król się nie zgodził.

- Wiadomo, krasnoludzka krew nie ucieka z pola walki. Słyszałeś, mości Robarze, teleportował go. Co o tym sądzisz?

- Zaiste wielkim czarodziejem William jest - rzekł czarodziej Robar. - Sztuką jest teleportować siebie tak, by nie pomylić miejsca docelowego, a cóż dopiero kogoś. Tak, wielki to *morun*.

- Ale co sądzisz o tych doniesieniach? - spytał Fergus.

- Niepokojąca to wieść. Trzeba będzie wysłać kilka pułków do Lafaryngii, mości królu. Sam udam się tam wraz z Oktawią.

- Lecz wracaj szybko. Będę potrzebował znów twej rady. A ty możesz już odejść. - Król zwrócił się do gońca. - Służba da ci jeść i pić. Walczyć umiesz?

- Tak, mój panie.

- W takim razie zaciągniesz się do mego wojska. Teraz idź do kuchni.

- Dziękuję, mój panie - odparł goniec i odszedł.
- Wysłałeś, wasza wysokość, tego posłańca do króla Joachima? To najpewniejszy sprzymierzeniec. Reszta posłucha jego głosu - rzekł Robar.
- Oczywiście, że wysłałem. Dostałem już odpowiedź.
- Jaką, miłościwy panie?
- Joachim otrzymał wiadomość od Eliess. Jej latarnicy dostrzegli okręty pod burą banderą.
- *Orchs!*
- Właśnie. Joachim proponuje zebrać możnowładców i ogłosić stan kryzysowy.
- To by oznaczało... Trzecią Radę. - Czarodziej zadumał się.
- Tak. I wygląda na to, że go poprę. To, co się wyrabia w pobliżu Wielkiego Muru, to po prostu Armagedon.
- Jestem z tobą, mój władco.
- Dlatego będziesz mi potrzebny. Spod Lafaryngii przybędziesz prosto do Rodo jako mój doradca.
- Tak jest, dla Wszechziemia wszystko.
- Dobra, sprowadzić mi tu generała. Wojna się szykuje.

*

Pałac w Rodo od świtu tętnił życiem. Po pierwszym śniadaniu do zamku przybył monarcha Enwerpii, dostojny Godryk zwany Potężnym. Przez cały dzień zjeżdżali się kolejni możnowładcy. O zmierzchu na dworze króla Joachima było ich już siedmiu.

Rada odbywała się w sali jadalnej, obszernej i długiej. Jako pierwszy głos zabrał szambelan króla Joachima, Rodryg

von Werel.

- Serdecznie witam wszystkich zgromadzonych, dostojnych monarchów Wszechziemia na trzeciej Radzie Władców. Oto Jego dostojność król Enwerpii, Godryk Potężny.
- Dobrze zbudowany, brodaty blondyn, siedzący najbliżej, powstał i uklonił się.

- Jaśnie pani Eliess Łaskawa, władczyni Wirbergu - kontynuował prezentację szambelan.

Na te słowa podniosła się kobieta siedząca po prawicy Joachima. Była piękna jak wiosna, na jej głowie błyszczał szczerozłoty diadem. Jej ciemne włosy opadały falami na ramiona, muskając jędrne piersi wystające z pełnego dekoltu.

- Dostojny Zalenthe Waleczny, monarcha Viri Inis.

Był to wysoki elf o kasztanowych włosach, na skroniach miał złotą koronę i emanował od niego królewski blask.

- Królowa Fetheal Rozważna, pani Meo Gao. - Blond piękność skłoniła głowę, słysząc te słowa.

Tak jak królowa Eliess była najpiękniejszą wśród ludzkich kobiet, tak pani Fetheal szczyliła się mianem najurodziwszej wśród wszelakich niewiast. Jej włosy koloru dojrzałego zboża falowały, złota suknia opinała piękne kształty. Miała zgrabną talię, szerokie biodra, a klatka piersiowa, niezwykle hojnie przez naturę obdarzona, dumnie prezentowała swe wdzięki.

- Oto możny monarcha Vea Utheel, Sahael Spokojny, wraz z małżonką Nephole. - Pan Balha Deal powstał, wywołany przez szambelana.

Był dojrzałym, wysokim elfem o blond włosach. Jego małżonka, równie urodziwa jak pozostałe panie, miała

opanowane, delikatne ruchy. Przydomek „Spokojny” mąż zawdzięczał właśnie jej – to ona była oazą stoickiego spokoju.

- Przed państwem Fergus Mocny, król Kodoru.

Z miejsca podniósł się rudowłosy krasnolud. Miał brodę sięgającą pasa, na krótkich, grubych palcach nosił wiele pierścieni z różnych kruszców wydobytych w jaskiniach Gór Wschodnich.

- Gospodarz dzisiejszego spotkania, pan Koel Nahal, król Joachim Prawy i jego małżonka, królowa Helena.

Królowa Rodo ubrana była w zdobną, szkarłatną suknię, kruczoczarne włosy spięła w kok. Jej twarz rozjaśniał uśmiech godny pramatki. Doskonale prezentowała się u boku władcy Koel Nahal.

- Niestety nie mógł przybyć Dariusz Twardy, władca Lafaryngii. – W głosie szambelana dało się wyczuć smutek. – Gościmy dzisiaj również dostojnych wysłanników Nidasa i Apponosa. Oto mistrz Xavius z Balha Deal.

Na te słowa powstał elf o miłej aparycji, ale przenikliwym i hardym spojrzeniu.

- Przedstawiam mistrza Mariusa z klasztoru Rew Terim.

Uwaga zgromadzonych skierowała się na sędziwego maga w szkarłatnej szacie.

- Oto czarodziejka Iris z klasztoru Rew Unum – kontynuował szambelan.

Czarodziejka była smukłą kobietą o stalowej twarzy i takowym wzroku.

- Przywitajmy dostojnego Robara z Kodoru – powiedział Rodryg, wskazując na krasnoludzkiego czarodzieja

o szatynowych włosach i brodzie sięgającej mostka – oraz Zachariasza z Opuszczonego Wzgórza w Wirbergu. Zaproszenia otrzymali również czarodzieje z wież w pobliżu Rezerwatu, odmówili jednak, gdyż są zajęci poszukiwaniami sprawców zniszczenia bariery. Na prośbę gospodarza przypominam, że wszystkie omawiane dzisiaj sprawy nie mogą wyjść poza mury tej komnaty.

- Dariusza nie ma – rzekł Fergus – bo wyście z Lafaryngii oblegane jest przez hordy goblinów. Dlatego przybyłem tutaj. Wysłałem tam moich nadwornych czarodziejów i dziewięć pułków wojska. Mistrz Robar wrócił już, lecz nie przyniósł dobrych wieści. Robarze, mów!

- Spełniam twe żądanie, mój panie. Ponad tydzień temu całe wojsko wysłane na odsiecz, z generałem Birusem na czele i kilkoma pułkownikami, dotarło do wrót królestwa dostojnego Dariusza. Gobliny próbowały sforsować główne wrota, gdy na nie natarliśmy. Oczywiście rozbiliśmy w puch całą armię nieprzyjaciela, jednak po trzech dniach niedobitki oddziałów wroga sprowadziły swoich żołdaków. Pierwsze trzy pułki króla Fergusa zostały rozbite w trakcie pierwszej fali. W końcu i Dariusz domyślił się, że nadciągnęła odsiecz, otworzył wrota i wspomógł nas, jednak bez skutku. Krwawy bój trwał nadal. – Mistrz Robar snuł swoją opowieść, od czasu do czasu spoglądając na zebranych. – Moje zaklęcia nic nie dawały. Piątego dnia ja i Oktawia, czarodziejka z Torunu, spotkaliśmy się z Williamem, magiem podziemnego królestwa. Połączyliśmy siły, dzięki czemu udało nam się stworzyć Śmiertelną Pożogę i przełamać szyk goblinów. Wróg uciekł

w stronę Mrocznych Gór. Wtedy można było rozpocząć odbudowę i wzmocnianie wrót Lafaryngii. Powierzyliśmy Williamowi Krwawe Kryształy, co pozwoli umocnić magicznie wejście do podziemnego królestwa. - Robar zawiesił głos i jeszcze raz potoczył wzrokiem po sali. - Mój pan, król Fergus, zostawił mimo pozornego spokoju swe wojsko w Lafaryngii. Dziś rano, gdy opuszczałem kraj Dariusza, strażnicy usłyszeli surmy goblinów, co oznaczać może ponowny atak. Lafaryngia jest teraz bardzo dobrze strzeżona, więc powinna wytrzymać nawet dwumiesięczne oblężenie. Jednak stacjonują tam ogromne ilości wojska, a żywności jest niewiele.

- Dziękuję ci, Robarze. A więc widzicie, panowie i panie, że sytuacja na tamtym froncie jest gorąca - zwrócił się do zebranych Fergus. - Poza tym tych skurczybyków jest multum, przy Wielkim Murze także. A nie zarządzimy odbudowy Wielkiego Muru, gdy pilnują go legiony tych przeklętych bestii! Trzeba coś z tym zrobić!

- Toż to jest straszna nowina! - rzekł Godryk. - Kiedy pojawiła się wyrwa w Wielkim Murze?

- Mur został zniszczony trzy *werum*^[4] temu. Ale to nie wszystko, bynajmniej. Moi zwiadowcy donieśli, że te podstępne kreatury próbują pertraktować z trollami! Jeśli dobrze pamiętam, trolle siedzą w Rezerwacie, ale prócz nich jest tam wiele innych paskudnych gadów!

- Musimy rozesać wici. Jeśli wyrwa istnieje od trzech tygodni, to te kreatury mogły dotrzeć do każdego zakątka Wszechziemia - zauważył Joachim.

- Nie mogą dostać się na wybrzeże, zwłaszcza w Vea Utheel - rzekł Sahael.

- Dlaczego? - spytała Eliess. - Przecież stacjonuje tam twoja armia.

- Stacjonowała. Na południowym cyplu wylądowali *orchs*.

- Orków nam tylko brakowało.

- A wojsko? - spytał Fergus.

- Rozpędzone na cztery wiatry, a najlepszy *genthess* porwany.

- Niedobrze. Mówisz o Zidaelu? Dobry wojak.

- Trzeba ruszyć rzyce, zebrać ludzi i wybić ich do nogi! - zakrzyknął Godryk.

- Tak jest! Zatluc tych kurwich synów! - poparł go krasnolud.

- Spokojnie, panowie - odezwała się Fetheal. - Zagrożenie rzeczywiście jest realne i ogromne, ale musimy działać rozważnie. Nie możemy poddać się emocjom. Każdy ruch należy przemyśleć.

- Ależ panowie i panie! - wypowiedział się Zalenthe. - Nie działajmy pochopnie. Idźmy z nimi na układ. W końcu to też rozumne istoty.

- W wielu sprawach zgadzałem się z tobą, Zal, ale tym razem nie masz racji. Oni wyróżnili moich *dothouts*^[5]. Z nimi nie da się pertraktować - powiedział Sahael.

- Czyli, jak rozumiem, mamy stan kryzysowy - stwierdził Marius.

- Niestety. Jednak rozważa i rozsądek bardziej nam pomogą, aniżeli „szlachetne” wyrywanie się do boju - rzuciła

sucho Iris.

- Poruszmy temat Rezerwatu - zaproponowała Fetheal. - Mistrzu Mariusie, co z barierą?

- A więc nasi bracia dostrzegli uszkodzenia i naprawili je, jednak sprawców nie schwytano - rzekł Marius. - Jeśli to gobliny, to prawdopodobnie poruszały się pod ziemią, nie zostawiając śladów. Sprawdzimy to. Niepokojący jest jednak fakt, że udało im się sforsować barierę. Oznacza to, że albo jest wśród nich potężny szaman, albo zdobyli jakiś potężny artefakt.

- Ostatnio spotkałem czarodzieja z klasztoru Rew Neem - powiedział Xavius - opuszczonego lata temu. Twierdził, że spełniają się słowa przepowiedni Galimesza.

- Której?

- Być może nie znacie tego proroctwa. Mam tu pismo od przeora klasztoru. Wedle słów przepowiedni: „Minie pełnia czasów, księżyc wykona tysiące obrotów, równowaga się zachwieje, wtedy kajdany opadną i uwięziony uwolni się z okowów. Mrok i chłód spowiją świat, a sprawiedliwych spotka cierpienie i hańba”.

- Nonsens, to tylko legenda, przekaz ustny, mit - rzucił Godryk.

- „Uwięziony”? Chodzi o... Upadłego?

- Prawdopodobnie. Nadchodzi wojna.

- Niemożliwe, walki z orkami skończyły się prawie czterysta lat temu. Wówczas orkowie odpłynęli, gobliny zostały ogrodzone Wielkim Murem i mają swą siedzibę na północy, a inne paskudy czarodzieje zamknęli na drugim końcu

świata, w Rezerwacie. – wyraził swoje niedowierzanie Fergus.

– Tyle lat spokoju, to się nie sprawdzi.

– Jednak posłuchajcie – wrócił do swej perory Xavius. – Te kreatury zostały odizolowane i od nas, i od siebie, ale nie zabite. To był błąd. Są to jednakowoż istoty, tak jak my, inteligentne. Przez tyle lat mogły się namnożyć i zaplanować zemstę. Prawdopodobnie Raal uwolnił się z podziemi i porozumiał ze swoimi tworam.

– To niemożliwe, żeby Raal uciekł. Strzegą go werynie, im nie zdoła się wymknąć – rzuciła Eliess.

– Macie rację, jednak nie zapominajmy, że to bóg, w dodatku bardzo silny, groźny i nieobliczalny – rzekła Iris.

– Ponadto przepowiednie zawsze sprawdzały się w rzeczywistości. Pamiętacie historię Korneta?

– Jest w tym chyba jakieś ziarno prawdy. Gobliny siedziały tyle lat spokojnie i nagle im odbiło? Te półgłówki potrzebują dowódcy, same nie ruszą, a skoro się ruszyły, to musi tu być druga strona medalu – dorzucił Fergus.

– Podobnie jest z orkami. Coś lub ktoś im musiał kazać – dodał Joachim – Proponuję wysłać flotę i sprawdzić wyspy. Te gady tam siedzą, możliwe że zadekował się tam ich stwórca.

– Skoro te łachudry wspomaga ich „ojciec”, to my módlmy się do naszych – rzekł Zalenthe.

– Jeśli prawdą jest, że Raal się uwolnił, może to oznaczać koniec Wszechziemia – rzekł Sahael. – Mamy, owszem, swoich bogów, ale oni są na nieboskłonie, a ich upadły brat stąpa po ziemi. Nieprawdopodobne jest, aby Nidas zszedł na ziemię, by nas wspomóc.

- Proponowałbym, aby każdy obwarował swe miasta i obsadził wojskiem, a was, dostojni mistrzowie, proszę o modlitwę - powiedział rozważnie Joachim.

- A moja propozycja to aby najlepszych kowali wysłać do Kuźni Narodów. Owszem, nie była użytkowana od wieków, jednak to tam powstały ostrza królów zdolne uśmiercić każdą istotę - dorzucił Robar.

- Owszem, broni nigdy dość. To jednak zobowiązywałyby krasnoludy do dostarczenia odpowiednich kruszców - dodał Marius, po czym zwilżył wargi winem.

- Spokojna głowa, mamy w podziemiach dosyć nitylu, koretyny, rudonu^[6] i wszelkich innych kruszców. Starczy dla całego Wszechziemia. Ale co z Lafaryngią i Dariuszem? - pytał Fergus.

- Zostawcie to mnie - rzekł Marius. - Zbiorę magów i uderzymy na oblegających, a jeśli się uda, sprowadzimy Dariusza do Rodo.

Niespodziewanie Mariusa straszliwie rozboleła głowa. Migreny dostała również Iris, a Robarowi zrobiło się słabo.

- Dostojni goście, musimy przedsięwziąć odpowiednie kroki. Mój notariusz napisze pismo o stanie kryzysowym - rzekł na zakończenie Joachim. - Wyślemy je do wszystkich zakątków Wszechziemia, aby dotarło do każdego chłopca, każdej wsi czy warowni. Muszą się dowiedzieć. Wypiszemy w nim rozporządzenia o ochronie miast, mobilizowaniu do walki, zaciągach do Kuźni Narodów i floty. Podpiszemy się wszyscy tu zgromadzeni.

- Popieram. I roześlemy po Wszechziemi ostrzeżenia

dotyczące wzmożenia czujności, zwłaszcza na traktach i we wsiach. Jak gobliny i orkowie nie dostaną się do miast, będą plądrować sołectwa – dodał Fergus.

- Tak, bardzo mądrze. Teraz proponuję napić się czegoś, bo zaschło mi w gardle, wam zapewne też – rzekł władca Rodo. – Posilimy się również najlepszymi w Koel Nahal pieczonymi indykami z rozmarynem. Służba!

I monarchowie Wszechziemia poczęli dyskutować o sprawach błahych. Po godzinie Fergus rozprawiał o przygodzie z przygłupimi karłami, a Godryk i Joachim śmiali się w głos, popijając najlepsze wino z piwnic Rodo. Sahael rozmawiał w języku elfów z Zalentem.

- Moje drogie – rzekła Fetheal do Eliess, Nephole i Heleny. – Ostatnio moi ogrodnicy odkryli ciekawego owada, nazwali go jedwabnikiem. Z jego kokonu można sporządzić bardzo delikatną i przewiewną tkaninę. Nazwałam ją jedwabiem. Posłuchajcie...

Tymczasem ból w głowach zebranych czarodziejów sięgał zenitu. Całą piątką wstrząsały konwulsje. Wyszli z komnaty, w której możnowładcy z każdym następnym kieliszkiem stawali się coraz bardziej pijani. Na dodatek król Joachim kazał przynieść nowy trunek o niezwykłej mocy, nazwany bimbrem królewskim.

- Wy też to czujecie? – spytał Xavius, trzymając się za głowę.

- Zakłócenia mocy – żalił się Robar.

- Jakbym wypił pięć setek pod rząd – rzucił Marius.

- Sądzicie, że ktoś doznał objawienia? – spytał Zachariasz.

- Na bogów! Panowie, poradzcie coś, bo moje maniery odchodzą wraz z bólem - prosiła Iris.

- Teoria o objawieniu to najbardziej prawdopodobna możliwość - rzekł Marius.

- Wizja musi być niezwykle czytelna, skoro moc pozostawia ślady w naszych umysłach - powiedział Robar.

- Czekać, przechodzi. Na Nidasa z Aponnosem! Nareszcie ukojenie.

- Nie byłbym tego do końca pewny. Mam złe przeczucia - rzekł Xavius.

Niespodziewanie przed Mariusem zmaterializowała się chmura białego dymu, z którego ukształtował się przeor klasztoru.

- Mariusie! - odezwał się obłok.

- Tak, arcymistrzu?

- Wieszcz miał okrutną wizję. Źródła mocy wskazują na prawdopodobieństwo spełnienia się owej wizji. Jesteś w Rodo?

- Tak, mistrzu.

- Bardzo dobrze, zanotuj to i przekaż monarchom, niech radzą. Wizja dotyczy przepowiedni Galimesza.

ROZDZIAŁ 2:

WYBRANIEC

Zbliżała się jesień, więc Geron rąbał drewno. A rąbał porządnie, aż wióry dookoła leciały.

Tymczasem w pobliskiej wiosce Maro pojawił się pewien młody czarodziej.

- Ożeż cholera, musieli mi to zrobić! Zapisalem się, bo miało być ciekawie, laski miały na mnie lecieć. A przez pięć lat nauczyłem się tylko zasady: „Bądź cierpliwy, a osiągniesz moc”. A tu gównno. I gdy w końcu miałem zacząć porządne życie, wysłali mnie na poszukiwania tego kijem trącanego Wybrańca na koniec świata! - użalał się nad sobą Zulzedeus. - Nie mógł się rozplynać w powietrzu, stał przecież tam. Hej, ty! - zwrócił się do kramarza, przechodząc właśnie przez targowisko w tej zapchlonej wsi.

- Gdzie mieszka ten koleś, taki umięśniony, co kupował mięso?

- Chodzi panu o Gerona?

- Tak, tak, Gerona.

- A to musisz waćpan iść po tamtej ścieżynce ku lasowi, bo on mieszka tuż pod borem.

- Dzięki wielkie. Do stu diabłów! - powiedział do siebie. - Teraz trzeba zasuwać pod las.

Rad nierad, Zulzedeus udał się śladem Wybrańca. Gdy w końcu znalazł jego chatę, Geron akurat zrobił zamach siekierą i rozwalił potężny kawał drewna na połówki. No, przynajmniej Nidas nie wybrał jakiejś ofermi, ten da radę, pomyślał młody czarodziej.

- Witaj, mości dobrodzieju.

- A witojcie, wędrowcze. Czego waści potrzeba? - Geron rozszczepił kolejny kawał drewna.

- Bo widzisz, mospanie, przysłali mnie z klasztoru Rew Terim po ciebie.

- Po mnie? Chyba kogosik powaliło. Jo nigdzie nie idę. Jak waćpan mnie tkniesz, to przerobię go na karmę dla wyrwołów^[7]. Dość tego dziadostwa w lesie.

- Spokojnie, gospodarzu, nie zrozumieliśmy się. Waćpan masz na ramieniu bliznę, tak?

- A no mam, bo jakżem był mały i bawiłem się koło lasa, to z niego wyleciało takie coś, pierwszy raz w życiu widziałem takie bydlę. Z dwa metry wielkości, miało takie żarzące się ślepia i pulsujące, ogniste żyły. Poturbowało mnie trochę, a potem poleciało dalej i tyłem je widział. No i na łapie mi blizna została.

- Tak, hmm... ciekawe. Mogę rzucić okiem?

- A co, waćpan znachor?

- Można tak powiedzieć.

- A to se patrzaj waćpan do woli, ale z daleka. Robotę mam, nie widać?

- Tylko momencik. Tak, to nie wątpliwie Kula Ognia. Tyś jest Wybraniec.

- Ki diabeł? Nikt mnie nie wybrał, ostatnia dziewczka puściła się z pastuchem. Psia jucha, pies ją chędożył.

- Słuchaj, mospanie. Jestem czarodziejem, początkującym co prawda, z Rew Terim. Pięć lat temu podczas Rady Władców upadły bóg Raal uwolnił się i zesłał na świat wizję okrutnych wydarzeń. Był w niej wysoki na trzy metry władca

orków, spowity w czerń i granat, typ ze srebrnymi długimi włosami, czarnymi ślepiami i wielkim berłem, z którego buchały niebieskie płomienie. Najgorsze jest to, że jest on elfem porwanym pięć lat temu.

- Ładna historyjka, ale ni mom czasu na pierdoły.

- To nie pierdoły, to prawda. Bo ten wódz orków istnieje. Raal ukończył go pół roku temu. Od tego czasu niebo na północy nieustannie grzmi, bo Nidas i Apponos walczą z Raalem. Wierzysz, mam nadzieję, w bogów?

- Co mom nie wierzyć. Jest trzech, dwa dobre i jeden zły. A dziecka tego złego wszędzie włożą. Nasiekło się ścierw pięć lat tymu, jak tu które zabłądziło, i orki przylazły, i gobliny.

- No pięknie. Ale do rzeczy. Na początku świata prorok przepowiedział, że po stu latach wojny nastanie pokój, trzeci bóg zostanie nazwany Upadłym i zostanie uwięziony, jednak wyrwie się z okowów i ześle na świat pożogę zemsty, lecz pojawi się Wybraniec, którego bogowie obdarzą swą mocą, a ten będzie w stanie zniszczyć Upadłego i powstrzymać jego knowania. Zdaję się, że pierwsza część przepowiedni się sprawdziła oraz wychodzi na to, że to ty jesteś tym Wybrańcem z drugiej jej części.

- Nie pitol, magiku. Pole trza zaorać i zasiać, ja nigdzie

nie pójdę. Tatusiowi się zmarło, jak miałem siedymnoście lat, od tego czasu sam se radzę, a waćpan spitalaj, bo nakopię do rzyci.

- Spokojnie, Geron, tak?

- Tak.

- Posłuchaj - jestem Zulzedeus, dla przyjaciół Zul. Pójdiesz tylko ze mną do klasztoru Rew Terim. Tam pogadasz z przeorem, on ci zwróci za drogę i za straty na roli, mnie tylko kazali cię sprowadzić.

- Tylko do klasztoru? A tyli on daleko?

- Niedaleko, parę mil.

- W sumie to się przejść mogę. Od lat to samo w kółko, a tak to trochu świata zwiedzim. Ale teraz nie pódziemy, panie czarowniku, za późno jest. Pódziemy jutro rano. Teraz zapraszam na strawę.

- A dziękuję, skorzystam z zaproszenia.

Następnego dnia Geron wyciągnął swój topór bojowy. Zulzedeus przeraził się jego wielkością. Był to potężny, obosieczny topór z opalami i fragmentami rudonu i nitylu wtopionymi w trzon, w szczególności w jego górnej części. Na ostrzu wygrawerowane były jakieś słowa w dawnym języku.

- Skąd to masz? - spytał Zulzedeus.

- A, po tatusiu, a on po dziadku. To stara rodzinna pamiątka. Najlepsze jest to, że nie trza jej czyścić, zawsze jest tak samo pikna.

- Człowieku, to jest jeden z trzech Mocarnych Toporów wykutych około czterysta lat temu dla królów w Kuźni Narodów, w trakcie pierwszej wojny. To broń magiczna.

- No, dlatego się tak świeci, jak czuje goblina. Chodź, waćpan, nie będziemy tu rozprawiać nad toporem, nie?

Geron spakował do tobołka parę bochnów chleba, kilka pęt kiełbasy i pięć butli wina. Potem osiodłał konia. Był to potężny kary ogier - silna bestia i trudna do opanowania, lecz chłopak miał dobrą rękę do zwierząt i okiełznał go bez problemu. Zamknął drzwi na klucz i wyruszyli duktem w kierunku wioski. Jako że Zulzedeus wierzchowca nie posiadał, Geron posadził go za sobą. Ogier był tak ogromny, że zmieściło się na nim drugie siodło. W wiosce silny drwal poszedł do gospody. Dał karczmarzowi klucz do chałupy na przechowanie. Ten obiecał go strzec w zamian za drobną opłatę. Zulzedeus pospieszał Gerona, który zegnał się ze znajomymi z wioski. Kiedy w końcu udało im się ruszyć dalej, młody czarodziej wyjął z pazuchy stary pergamin i wręczył go Geronowi.

- A co to? Na kiego czorta mi stary papier? - zdziwił się drwal.

- To nie papier, tylko zaczarowana mapa. Prezent z klasztoru dla ciebie.

- Jak na to patrzę, to jakoś magii w tym nie widzę.

- Musisz ją ochrzcić, wtedy zacznie działać dla ciebie.

- Jak ochrzcić?

- Własną krwią.

- Takie buty. Mam se krwi spuścić na kawałek starego pergaminu, chyba se waćpan jaja robisz.

- Wystarczy tylko kropla.

- Dobra, spróbuję, ale jak nie zadziała, to dostaniesz

w mordę - rzekł Geron, po czym rozwinął mapę, przekłuł palec sztyletem i upuścił na pergamin kroplę krwi. Reakcja była natychmiastowa. U dołu mapy, w pobliżu Wielkiej Puszczy na południu pojawiła się czerwona kropka.

- Widzisz? To ty. Jak będziesz się poruszał, to ta kropka również.

- Takie coś się mi podoba. To co, jadymy tym traktem w stronę Balha Deal?

- Tak, możemy tym.

- A to nie jest kraj długouchych?

- Czyj?

- No tych elfów?

- Tak, ale elfowie stoją po stronie Wszechziemia.

- A nie zabiją mnie?

- Jak? Przecież mieszkałeś w ludzkiej wiosce, mimo że ona cały czas należała do państwa elfów.

- To ja nie mieszkam w ludzkim kraju?

- Czy ty kiedykolwiek wyściubiłeś nos poza to sołectwo?

- Nie było takiej potrzeby, zawsze żeśmy mieli wszystko na miejscu.

- Tego się nie spodziewałem. Naprawdę nie wiedziałeś?

- No nie. Dobra, wiele rzeczy nie wiem, ale, kurna, jadymy już, bo się wrócę nazad do chałupy.

- Już, już. Mapę schowaj, na razie ci potrzebna nie będzie. Gościńiec biegnie cały czas prosto.

- Wio, Marian!

- Marian?

- No co, mój kuń, moja nazwa, nie?

- W sumie to masz rację.

- No, to wio, Marian! Z kopyta!

I pojechali galopem po trakcie. Po drodze minęli drwali w lesie i jedną wioskę. Zulzedeus miał czas przyjrzeć się wybrańcowi Nidasa. Geron może nie był najwyższym człowiekiem, jakiego widział, ale imponujące mięśnie nadawały mu bardzo okazały wygląd. Widocznie lata samotnej pracy tak go wyrzeźbiły. Na oko miał z sześć stóp wzrostu, włosy odmiennego koloru niż grzywa magika - on posiadał ciemnoblonde loki, a Geron smoliście czarne. Czarnowłosy nosił szkarłatne hajdawery i szarą koszulę bez rękawów. Na nogach miał buty brązowe, wysokie, wiązane na rzemyk, z cholewą na pięć centymetrów grubości. Topór przywiązał sobie skórzanym paskiem do pleców tak, by jednym zwinnym ruchem mógł go wyciągnąć. Kary ogier pędził jak wiatr. Przez całą drogę Zulzedeus uczył Gerona poprawnej wymowy.

- Ale po jakie licho mi to umić? - żalił się Geron.

- Wiesz, jak będziesz przemawiał do ludu, mogą cię nie zrozumieć.

- Jo nigdzie przemowioł nie bede.

- A jak staniesz przed przeorem i najwyższą radą, to jak się wysłowisz?

- Zali co, oni mojego godania nie rozumieją?

- Mogą nie pojąć, o co ci chodzi.

- Kurna, o tym nie pomyślał. Przy nich trza godać, przepraszam, gadać po urzędowemu?

- Można tak powiedzieć.

- To mów, jak się wysławiać należy, bo mnie, kurna, krew

zaleje.

*

Wieczorem dotarli do większej osady. Można tu było spotkać nie tylko człowieka, lecz elfa i krasnoluda również. Młody czarodziej i jego towarzysz zajechali do miejscowej tawerny. Gospoda posiadała stajnię, gdyż leżała na szlaku, więc Geron zostawił tam Mariana i wraz z Zulzedeusem wstąpili do szynkwasu.

- Ile za noc? - spytał drwal.

- Za sam pokój pięć dukatów, z wyżywieniem dziesięć.

- A za konia?

- Dodatkowe pięć.

- To razem będzie szyling i pięć dukatów^[8] - rzekł Geron do czarodzieja. - W tobołku mam skórzaną sakwę. Daj mi ją.

- O, mówisz coraz płynniej. Masz, to ta?

- Tak. Proszę, szyling i pięć, koń już w stajni. Tylko go dobrze napójdzie, bo byk wielki jest. Daj nam jeszcze butelkę dobrego wina i dwie szklanice.

- Jakiego, panie, może enwerpskiego? Prosto z winnic, dojrzałe i wyborne.

- Może być.

- To będzie, panie, pół szylinga, zać dziesięć dukatów, jeśli wolisz. Jednakże rzadko tu miewamy takich gości, to zapłaci tylko dziewięć.

Geron zapłacił za wszystko i usiedli z Zulzedeusem przy stoliku obok kominka. Odkorkował enwerpskie i nalał szczerze do szklanic. Wypili za zdrowie.

- Powiedz mi, skąd ty masz tyle mamony?

- Coś myślał, że u mnie bieda? Oprócz roboty na polu chodziłem do lasu, polowałem, stawiałem wnyki, a co się nawinęło, to sprzedawałem we wsi. Brali wszystko - mięso, skórę, pazury, rogi, siekacze - wszystko, co się nadało. I przez parę lat się uskładało.

- Zaprawdę, zacny z ciebie towarzysz. Szczodry, hojny, odważny i waleczny. Nie dziwię się Nidasowi.

- Nie piernicz. Dotrę do tego klasztoru, pogadam z przeorem i wrócę do mojej wioski. Trochę świata poznam, to będę miał co opowiadać we wsi. A ty w zasadzie nie wyglądasz na czarodzieja.

- Bo dopiero nim zostałem. Jak się zapisujesz, zostajesz nowicjuszem. Dopiero po pięciu latach przyjmują cię w szeregi i możesz rozpocząć studia magiczne. Po piątym roku nauk wyświęcają cię. A mnie ledwo wyświęcili.

- To gównu ci się opłaciło. Ale żeśmy, kurna, szczęście mieli, że z lasu nic nie wypadło.

- A ile tam tego paskudztwa jest?

- W rok byś nie zliczył. W samej Wielkiej Puszczy jest połowa tego przeklętego ścierwa, mnóstwo stworów nie z tej ziemi. A ostatnio zaczęło przybywać, od strony Rezerwatu.

- Bo pierońskie gobliny barierę sforsowały, tępe fallusy.

- A to się da?

- No właśnie nie. I nie wiemy, jak te łachudry to robią. Prawdopodobnie pomaga im ich bóg.

- Cii, nie gadaj mi o tym teraz. Patrzaj, jakie dziewczki do karczmy weszły.

Istotnie, do tawerny przybyły trzy urodziwe dziewoje, dwie brunetki i blondynka. Kształtne, z pełnymi biustami i szerokimi biodrami. Większość męskiej części gości natychmiast odwróciła głowy w stronę nowo przybyłych.

- Uhuu, zaiste, urodziwe - potwierdził Zul.

- Mam nadzieję, że nie jesteś ascetą jako mag?

- No coś ty, one lubią „zaczarowane” akcje z czarodziejami - rzucił młody magik.

- Czekaj, patrzaj, co się dzieje - powiedział Geron.

Do przybyszek podeszło czterech obwiesiów, mocno napitych. Zaczęli je napastować, obmacywać, podnosić spódnice i klepać po kształtnych tyłkach. Jedna z brunetek rozzłościła się, kiedy jeden z oprychów złapał ją za pierś i tarmosił. Strzeliła go otwartą dłonią w twarz, aż go obróciło. Oprych stracił równowagę i runął na stół. Jego kompani wpadli w furję i wyciągnęli broń. Jeden, pyzaty i rudy, drasnął sztyletem ramię dziewczyny, która trzasnęła w łeb jego kolegę. Ta zapiszczała tylko, złapała się za ramię i zaczęła płakać. Wtedy z miejsca wstał Geron. Podeszedł do oprychów.

- Macie jakiś problem? - spytał.

- Spadaj, to nie twój interes! - odszczeknął brodaty.

- Właśnie, przychłaście, sprawa ciebie nie dotyczy! - dorzucił rudy.

- Nie wiesz, na kogo się porywasz! - palnął niski.

- Ee, kółko dramatyczne? „Co rzecze ojciec, gdy jego gacie wdziewasz?” - zacytował stare powiedzenie mieszkaniac Maro, rozkładając szeroko ramiona.

- Zjeżdżaj, bo oberwiesz! - huknął rudy.

- To zostawcie dziewczki, zasrane obezjajce - odparł spokojnie Geron.

- Odezwał się cieniodupas - powiedział rudy.

- Spadaj, bęcwale. Możeś większy, ale głupiś jak szczurokret - rzucił niski.

- Ktoś tu wpadł do beczki bimbru, bo go rozdeło - dodał brodaty.

- Słyszałem, że samce goryla rzną każdą napotkaną kozę, więc wypierdalaj do obory - zaśmiał się ten rudy.

- No co? Głuchy? A może zastosować terapię szokową? - krzyknął niski.

- Kompleksy czy problemy, he? A może wada słuchu? - dodał rudy.

- Kurwa, dość tego, kiep nie słyszy - rzekł brodaty.

I wszyscy trzech rzucili się na Gerona. On tylko się odsunął, a niski wpadł łbem do kominka. Brodaty zamachnął się sztyletem, lecz Geron złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę, aż chrupnęło. Rudy chciał ciąć na odlew, ale Geron wyrwał belkę ze stołu i zablokował ruch. Niski wydostał się z popiołu i rzucił na chłopaka. Ten odwrócił się i z całej siły walnął go deską prosto w szczękę. Od uderzenia oprychowi oderwała się żuchwa, a zęby i krew trysnęły za głowę napastnika, który wykonał obrót, niesiony siłą uderzenia. Brodaty z wykręconą ręką, widząc, co się święci, zwiął. W końcu powstał ten, który oberwał od dziewczyny, i stanął ramię w ramię z rudym. Uderzyli obaj na Gerona. Ten zaś zrobił zamach i drugim końcem belki uderzył w głowę najpierw jednego, potem drugiego. Pierwszy padł na miejscu,

drugi zaś, ten rudy, trzymając się za nos, stał w kącie. Geron odrzucił belkę i podniósł pogrzebacz. Z impetem wbił go w tyłek zawadiaki, aż go wyprostowało.

- Pytałeś mię, waćpan, czy nie mam problemu, ale jak widzę, to ty masz prawdziwy, RZYCIOWY kłopot - rzucił na koniec Geron, wyciągnął jednak kociubę z czterech liter zbira. Rudy zemdłał, a ludzie w karczmie ryknęli śmiechem.

- Niech się pan nie martwi, pokryję straty - zwrócił się do karczmarza Geron, po czym wrócił na swoje miejsce przy stole.

- Aleś ich urządził - podjął rozmowę Zul.

- Pijani byli, co to za przeciwnicy.

- A co z dziewczkami?

- Same przyjdą, z wdzięczności. O, patrz pan, nie mówiłem?

Przy ich stoliku pojawiły się owe trzy panny.

- Możemy się dosiąść, czcigodny panie? - spytała blondynka.

- Zapraszamy, takie zacne i urodziwe towarzyszki rzadko się trafiają - odparł Geron.

- Jestem Linda, a to Eve i Yenis. Chciałyśmy podziękować naszemu obrońcy - rzekła dziewczyna.

- Oj, waćpanny same by sobie poradziły - rzucił czarodziej. - Sam widziałem.

- Ja jestem Geron, a to mój towarzysz, czarodziej Zulzedeus.

- Czarodziej? - zainteresowała się Yenis. - Poczarusz pan?

- Dla tak miłej kompani zawsze.

- Mości gospodarzu, jeszcze trzy butelki i trzy szklanki! - zawołał Geron do karczmarza.

- A co zrobić z tymi, waćpanie? - Gospodarz wskazał na trzech leżących obwiesiów.

- Złóż ich pod ścianą, rano z nimi jeszcze pogadam - roześmiał się Geron.

Przez cały wieczór pili z dziewczynami. Zul przekonał do siebie blond Yenis i poszedł z nią do sypialni. Geron zabawiał jeszcze brunetki, aż w końcu te same zaciągnęły go na górę. Folgował chuci z obiema do późnej nocy, aż panny padły zmęczone, lecz całkowicie zaspokojone z uśmiechami na twarzach.

Nad ranem do tawerny wpadła straż wiejska z zarządcą na czele i brodaczem, któremu bohater wieczoru złamał rękę. Zarządca był krasnoludem o czarnej brodzie i takowych włosach, aczkolwiek było na nich widać pasma siwizny. Geron schodził właśnie po schodach w towarzystwie panien, z którymi baraszkował całą noc. Obie ziewały. Zulzedeus siedział już przy stoliku i zajadał jajecznicę z kiełbasą, obok siedziała Yenis i wpatrywała się w blondyna dużymi, świecącymi oczyma. Brodacz wskazał na Gerona.

- To ten, panie burmistrzu, on nas pobił, niech pan patrzy, tu leżą. - Brodaty wskazał na ścianę, pod którą leżeli jego kompani, którzy rozbudzali się powoli.

- Czy to ty pobiłeś tych oto obywateli mej osady? - spytał krasnolud.

- Wiesz, mości dobrodzieju, dziewczki napastowali, to

chciałem żeby blichtru nabrali również w fechtunku.

- W fechtunku? Ten tu ma rozwalona szczękę, nie będzie już mówił.

- Pijani byli, pod nogi nie patrzyli - odciął się Geron.

- Twierdzisz pan, że sam sobie ryj obił?

- Jako żywo. Pod karczmą nierówny grunt, a dali ostrokół.

W takim stanie dziury nie przyuważył i wyrznął jak długi.

- Panie, bujać to my, nie nas. Jak śmiesz się tak odzywać do zarządcy Lamfo, pana Lukoda? - wrzasnął jeden ze strażników.

W tym czasie czarodziej wstał od stołu, podszedł do szynkwasu, położył na ladzie szylinga i puścił oko do karczmarza. Gospodarz się tylko uśmiechnął.

- Mości panowie, widzicie to? - Młody czarodziej wyciągnął w stronę przybyszów dłoń, na której znajdował się pierścień z pieczęcią.

- Wybacz, mistrzu, nie wiedzieliśmy, że to twój druh - rzekł przerażony Lukod.

- Nawet właściciel karczmy potwierdzi niewinność mego kompana - odparł Zul.

- Kłamią, to spisek! - krzyknął rudy, który zdążył się ocknąć.

- Panie zarządco, te chuligany zniszczyły mi lokal. - Gospodarz wskazał na zniszczone stoły. - A ten dobrodziej wyprowadził ich na zewnątrz, tam zapewne doszło między nimi do zwady.

- Wierzysz pan nam czy bandzie pijaków? - spytał groźnie Geron. Był dużo wyższy niż krasnolud.

- Wybaczcie, waszmościowie, ale ten tu strasznie anonsował na panów - odparł Lukod. - Zabierzcie stąd tych parchów - zwrócił się do straży.

- Jeszcze się z tobą policzymy, kpie! Auu! - zawołał brodaty, którego pochwycono za uszkodzoną kończynę.

Pół godziny później tawernę opuścili również wędrowcy. Zulzedeus zakupił wierzchowca od jednego z farmerów. Geron prowadził Mariana za uzdę, gdy doskoczyli do niego owi czterej obwiesie, których sprzał zeszłej nocy.

- Mamy cię, zasrańcu! Zapłacisz za wczorajsze! - krzyknął rudy.

- Myślisz wieśniaku, że dasz mu radę? - spytał młody magik.

- No w takim stanie na pewno - rzucił Geron, patrząc na niskiego ze spuchniętą szczęką.

- Satysfakcję musisz mi dać! - wykrzyknął rudy.

- Rzucasz mu rękawicę? - zdziwił się Zul.

- A juści! Zemsty zasmakować muszę! - Rudy był coraz bardziej wściekły.

- No dobra, kto będzie twoim sekundantem? - zaciekawiał się Geron.

Rudy spojrział na brodacza. Ten przestraszył się i cofnął. Podobnie było z niskim.

- Ten. - Wskazał na ostatniego, jedyne go sprawnego fizycznie. Miał tylko ślad od paznokci Eve na policzku.

- Dobra, to ja będę twoim - zwrócił się Zul do Gerona.

- Wiesz, że nie potrzebuję sekundanta - szepnął Wybraniec do czarodzieja.

- Wiem, ale zasady to zasady - odparł uśmiechnięty czarodziej.

- To gdzie to będzie, waćpanie, i jaka broń obowiązuje? - zwrócił się do rudego Geron.

- O dwunastej na rynku, broń dowolna. - Rudy uśmiechnął się paskudnie.

Równo w południe Geron stawiał się w umówionym miejscu. Wyznaczono już pole walki belkami, w jednym rogu stał przeciwnik Wybrańca. Wieść o pojedynku musiała roznieść się po osadzie, bo wokół ostrokołu zebrało się wielu kibiców. Obaj rywale stanęli w ringu naprzeciwko siebie. Rudy odebrał od sekundanta sporą maczugę gęsto nabitą kolcami. Spojrzał z pogardą na olbrzymiego przeciwnika i uśmiechnął się cwaniacko, lecz szczeka mu opadła, gdy Geron dobył swego topora. Nie był już taki pewny zwycięstwa, aczkolwiek natarł na przeciwnika. Oczywiście Wybraniec tylko odsunął się, a rudy nie trafił i stracił równowagę. Szybko jednak ją odzyskał i uderzył górnym cięciem w Geron. Ten sparował cios, odbił i napał ostrzem topora na rudego. Przeciwnik zablokował atak szerokością maczugi, lecz siła uderzenia cofnęła go o kilka stóp, jednocześnie natarcie było na tyle mocne, iż zbior orzał butami ziemię. Spojrzał na maczugę i zobaczył, że oderwało się kilka kolców. Rudy sparował również i drugie uderzenie, ale za trzecim razem topór wbił się do połowy szerokości broni draba. Rudemu oczy otworzyły się szeroko ze zgrozy. Maczuga była jego ulubioną bronią, dużą i poręczną, na którą nie było mocnych. Aż do dzisiaj. Nie myślał już o atakowaniu, chciał ratować swój skarb. Geron

chciał już zakończyć walkę, gdy nagle do uszu wszystkich zgromadzonych dotarło przeraźliwe wycie.

- Co to takiego? - pytali gapie.

- Pierwszy raz słyszę coś takiego - powiedział jeden z mieszkańców.

Ludzie, elfy i krasnoludy rozchodzili się pospiesznie do domów. Korzystając z zamieszania, rudy chciał uderzyć, lecz przeciwnik zauważył jego ruch i kopnął go prosto w brzuch. Drab wstał z ziemi i uciekł za kompanami.

- Zул, co to, do cholery, było? - spytał Geron czarodzieja.

- Skąd mam to wiedzieć? Pierwszy raz to słyszę - odparł przerażony mag.

Wycie i skowyt były coraz głośniejsze. Mieszkańcy w panice biegali we wszystkie strony.

- To chyba zza tamtego wzgórza - rzekł Zulzedeus.

- Czyli od strony Wielkiej Puszczy - zgodził się Geron.

- Jasny gwint! Wielka Puszcza graniczy z barierą!

- To oznaczać może, że jest to coś z Rezerwatu?

- Bardzo prawdopodobne. Spadajmy stąd!

- Zwariowałeś? Nie możemy tak tego zostawić! Jesteś, kurna, czarodziejem czy nie?

- No jestem, ale nie mam mocy.

- CO!?

- No bo zaraz po nowicjacie wysłali mnie na poszukiwania, moc mają mi przekazać, jak cię przyprowadzę.

- Czyli jesteś dupa, nie czarodziej. Chodźmy tam, zobaczmy, czy da się to zabić.

- Chcesz to ukatrupić?

- No wiesz, czysty zysk, nie? Dobra, idziemy.

Przeszli przez palisadę otaczającą gminę i wdrapali się na wzgórze. W dole widać było Wielką Puszcę. Sięgała po horyzont, jej końca nie było widać. Leśne ostępy były nieprzeniknione.

- Zaiste, ogromna to puszcza. Ciągnie się przez trzy kraje
- rzekł Zul.

- Aż trzy?

- No, przez Vea Utheel, Viri Inis i Enwerpię.

- Cicho, słyszysz?

- Patrz, jest tam! O bogowie, ale to wielkie! - Czarodziej wskazał na polanę u podnóża wzgórza.

- Wygląda jak wyrwół, ale jakby większe.

- Przecież wyrwoły są szare, a to ma kolor krwi.

- To cóż to jest?

- Czekał, czekał, to ma drugą głowę! Wiejmy stąd!

- O bogowie, patrz na ogon!

- Racja, jak ogromny świder. Wiem, co to jest!

- Co?

- Świdrogrzmot, ot co. Szkarłatny kolor, dwie głowy, paskudny ogon, na dodatek jest najeżony kolcami, a jego pazury mają stopę długości. Mówię ci, Geronie, spieprzajmy stąd. Tego sam nie ukatrupisz, choćbyś chciał.

- Może masz rację, ale można spróbować. A co, jak się to dostanie do Lamfo?

- To nie twój problem.

- O szlag!

- Co jest?

- Pomyślałem sobie, co się dzieje w mojej wiosce, w Maro. Ona jest najbliżej Wielkiej Puszczy i Rezerwatu.

- Miejmy nadzieję, że nic tam nie dotrze. Co tak sapie?

- Zul, chodź lepiej, no rusz się, kurwa! Zauważył nas!

- Co? O bogowie! - Stwór dostrzegł dwa apetyczne kąski na wzgórzu i pruł już w ich kierunku. Oni zaś biegli co sił w nogach w stronę pobliskich skał.

- Geron, cholera, gdzie mnie ciągniesz? Biegnijmy do koni!

- Szaleju żeś się nażarł? Nie możemy go zaciągnąć do wioski. O matulu! - Noga wpadła mu do króliczej nory. Próbował ją wyjąć, lecz utknęła na dobre.

- Daj rękę! Iii raz! Nic z tego, jesteś za ciężki!

- Spierdzielaj stąd, tak to będzie tylko jeden trup, nie dwa.

- Nie zostawię cię, jesteś mi potrzebny.

- Gówno zrobisz. Mówię ci, wiej stąd, świdrogrzmot już tu wyłazi. No WON! - Geron odepchnął czarodzieja w ostatniej chwili.

Zulzedeus stoczył się ze zbocza i zniknął wśród drzew. Potwór doskoczył do Gerona, widząc w nim potencjalną ofiarę. Nie spodziewał się jednak, że obiad będzie się bronił. Geron zamachnął się toporem i odrąbał stworowi prawą przednią łapę, którą ten miał właśnie zdzielić go w głowę. Świdrogrzmot zawył przeraźliwie z obu paszcz. W tej chwili Geron wyszarpnął nogę z pułapki i wyskoczył na pobliską skałę. Potwór zwrócił ku niemu oba łby, ale chłopak bynajmniej się nie przestraszył, lecz uderzył stwora ostrzem topora w najbliższą głowę. Broń rozbłysła białym światłem, rozłupana głowa świdrogrzmota zwiśla bezwładnie, a druga

zaryczała okropnie. Geron odskoczył dalej, lecz tu dopadł go ogon potwora. Siła uderzenia odrzuciła chłopaka na odległość kilku stóp. Świdrogrzmot uruchomił ogon i skierował go w kierunku obiadu. Chłopak nie miał siły wstać, a broń leżała poza zasięgiem jego ręki. Topór stracił swój blask i znów wyglądał niepozornie. Rozkręcony ogon potwora zbliżał się do brzucha Gerona. W tej chwili świdrogrzmot oberwał kamieniem. Zул zdołał wdrapać się na wzgórze. Potwór skierował pysk w stronę czarodzieja. Geron, korzystając z nieuwagi stwora, odbił się od skały i wskoczył na grzbiet świdrogrzmota. Adept magii nieustannie obrzucał stwora kamieniami, a Geron trzymał go za łeb. Świdrogrzmot próbował ogonem strącić insekta z grzbietu. Jednak on tylko na to czekał. W ostatniej chwili zeskoczył z potwora w pobliżu leżącego topora, a rozkręcony ogon uderzył w łeb stwora. Ten zawył przeraźliwie i znieruchomiał. Wybraniec biegł już z toporem i jednym płynnym ruchem odrąbał głowę świdrogrzmota, tak jak zwykł to robić z drewnem, a topór znów zalśnił mlecznym blaskiem. Łeb stwora odpadł, a cielsko padło na glebę.

- Ty... ty... ty go zabiłeś! Stary, szacuneczek!

- A daj mi spokój. Jak mnie pierdzielnął tym ogonem to myślałem, że to koniec.

- Ale topór to masz naprawdę zacny. Tylko dlaczego on się uaktywnił dopiero przy uderzeniu?

- Ty mi powiedz. Ja się na tym nie znam. Możesz go zapytać.

- Ha ha, ale chyba wiem. Jak się wściekniesz i jesteś

pewny, że chcesz kogoś albo coś zabić, to topór uaktywnia swą moc.

- Nie gadaj mi o tym. Zabierzmy to truchło, może jest coś warte.

W Lamfo okazało się, że skóra świdrogrzmota jest niebywale wytrzymała, zniszczyć ją może tylko broń magiczna, więc Geron zlecił płatnerzowi zrobić z niej zbroję dla siebie, a dla Zula kolczugę pod szatę. Również krew potwora miała niezwykle właściwości, toteż osiągała wysokie ceny, jednakże klientów było niewiele. Ogólnie w Lamfo zarobili na świdrogrzmocie sto złotych guldenów, najwięcej dostali za ogon, krew i mięso. Zyskali też w Lamfo tytuły honorowe jako wybawcy i obrońcy regionu. Odtąd zaczęły o Geronie krążyć opowieści.

ROZDZIAŁ 3:

ZALĄŻEK KOMPANII

Minęły dwa tygodnie, odkąd opuścili Lamfo. Po akcji ze świdrogrzmotem po całym Vea Utheel rozniosła się wieść, że pewien krzepki gość potrafi zabijać potwory z Rezerwatu. Trzeciego dnia po zwycięstwie nad potworem Geron odebrał od płatnerza swoją zbroję oraz kolczugę Zula i ruszyli traktem na północny zachód. W każdej wsi i osadzie znajdowali się bogacze, którzy najmowali Wybrańca do czarnej roboty. Stał się pogromcą potworów na trakcie pomiędzy Lamfo a stolicą. Każdą dziwną sytuację, niewyjaśnione zajście, o które posądzano wszelkiego rodzaju stwory, Geron badał i zażegnywał problem. Początkowo chętnie na to przystawał, lecz gdy sakwy były przepełnione, wykonywał tylko iście diabelską robotę, której nikt inny wykonać nie mógł, pozostawiając błahe sprawy, jak ataki wyrwołów, krzepkim chłopom. W końcu dotarli do Trialton. Druhowie wyjeżdżali właśnie z leśnego szlaku. Spokojnie dotarli do wrót, przy których stało dwóch halabardzistów.

- Stać! Kto zasz?

- Czarodziej Zulzedeus z Rew Terim i jego kompan Geron z Maro.

- Słyszałeś? Geron - zwrócił się odźwierny do kolegi.

- Ten Geron, posiadacz topora, którym rozplątał łąby potworów z Rezerwatu? - dopytywał z niedowierzaniem strażnik.

- No to popatrz pan, z której strony jedziemy. Pewnie, że ten - odkrzyknął Zula. - Patrz, już w Trialton wiedzą o tobie - powiedział do swojego towarzysza.

- Plotki szybko się rozchodzą. Mogłem się nie afiszować, cholera. Jak tak dalej pójdzie, to wyślą za mną listy gończe - zaniepokoił się Geron.

- Możecie wjechać, dostojni mężowie. Jeśli ktoś ma prawo wędrować po tych szlakach, to właśnie wy - rzekł halabardzista.

- Dziękujemy, mości rycerzu - odparł czarodziej, przejeżdżając przez bramę.

Jadąc główną, wybrukowaną ulicą, zauważyli kompletny brak łyżek oraz jakichkolwiek innych form życia.

- Co tu się wyprawia? Epidemia czy co? - spytał Geron Zula.

- Nie wiem, rzeczywiście jest za cicho. Słyszysz?

- Tak, jakiś gwar i krzyki. To chyba stamtąd. - Właściciel karego ogiera skinął głową w kierunku szarych kamieniczek. - Patrz, tu się możemy zatrzymać. - Wskazał na tawernę po prawej stronie. Na szyldzie widniała nazwa karczmy: Nad Szubienicą.

- Na razie jedźmy, zobaczymy, co się tam dzieje.

Jadąc po nierównym bruku, dotarli do budynku sądu, przed którym znajdował się podest, a na nim klęczący krasnolud zakuty w dyby. Za nim stał kat z biczem. Oprawca

raz za razem smagał zakutego nieszczęśnika basatykiem po plecach. Całość nadzorował stojący z tyłu sędzia w czarnej todze, osobnik o szczurzej twarzy i nieprzyjemnym spojrzeniu.

- Angal Krętobrody, pochodzący z Kodoru, zamieszkały obecnie w Trialton, za swe przewinienia otrzymał sto batów. Jutro o zachodzie słońca zostanie spalony na stosie - rzekł sucho sędzia. Miał gburowaty, władczy ton głosu. Wędrowcy zsiadli z koni i przywiązali je do najbliższego płotu. Geron wszedł między skandujący tłum. Nie miał problemów z przedostaniem się na sam przód, tuż pod podest.

- O co oskarżony jest ten obywatel? - spytał najbliższego mieszkańca.

- O zamordowanie syna kasztelana i kradzież klejnotów, szanowny panie. Aleś pan wielki.

- Mam tak od małego.

- A ja myślałem, że od pasa - zachichotał tamten.

- Ten kasztelan jest gdzieś tutaj?

- Nie, oplakuje syna w swojej rezydencji. Pan chyba nie jesteś stąd?

- Nie, ja przejazdem. Podróżuję z moim towarzyszem.

Kat zwłókł z podestu umęczonego krasnoluda i poprowadził do więzienia przy sądzie. W ślad za nimi podążył smukły sędzia.

- Zул, dowiedziałeś się czegoś? - Geron znalazł czarodzieja wśród tłumu.

- Podejrzewają go o morderstwo. Ale mnie się wydaje za słaby, żeby mógł to zrobić.

- Mnie też. Jeśli siedziba kasztelana jest dobrze

strzeżona, to nie mógł tam wejść.

- Mam pomysł, jedźmy tam i zbadajmy miejsce zbrodni. Powinni nas wpuścić, jesteś już popularny.

- Daj se siana. Ale pojechać tam możemy, potem pogadamy z krasnoludem.

Dosiedli wierzchowców i pokłusowali do miejsca wskazanego przez mieszczan. Tak jak się spodziewali, dwór był dobrze strzeżony. Przy bramie głównej stało dwóch halabardzistów, przy drzwiach do budynków również dwóch, po krążgankach i murach spacerowali kusznicy.

- No, może ten krasnolud stał się niewidzialny, bo mnie by trupem położyli, gdybym tylko przelazł przez mur - stwierdził Geron.

- Szans nie miał, to fakt, i oni go oskarżają. - Czarodziej pokręcił głową. - Zapowiedzcie kasztelanowi, że Geron z Maro i Zulzedeus z Rew Terim proszą o łaskę widzenia się z zarządcą Trialton - zwrócił się do strażników. Ci, słysząc imię Wybrańca, zaczęli żywo dyskutować, po czym jeden z nich udał się wzdłuż alei do dworu. Aleja wysypana była kolorowym żwirem. Między dziedzińcem a frontową bramą rozciągał się imponujący trawnik, który zdobiły klomby róż, tulipanów, bławatków i akacji. Znajdowały się tutaj również figury z żywopłotu i dwie fontanny. Pod murem rozciągała się pogródka. Po chwili na alei ukazał się strażnik i zapowiedział:

- Pan kasztelan zaprasza panów, gdyż słyszał o ich chwalebnych czynach.

Podróżnicy udali się za nim. Drzwi prowadzące do dworu były potężne - dębowe, okute mosiądzem, pośrodku

znajdowała się kołatka w kształcie głowy wilka. Dwór był kamienny, toteż ściany miały szary odcień. Strażnik przekazał gości lokajowi, który zaprowadził ich do salonu, gdzie czekał na nich kasztelan Trialton, wysoki, czarnowłosy elf.

- Witam szanownych gości. Wiele o was słyszałem. Jestem Dafoe, kasztelan i zarządca Trialton, największego miasta na południowym szlaku. - Powitał ich z szeroko rozłożonymi rękoma i z uśmiechem na twarzy, na której widoczne były ślady płaczu, bólu i żałoby.

- Witam cię, dostojny kasztelanie. Jestem Geron z Maro, wioski położonej najdalej na południu. Do niedawna byłem nieznanym wieśniakiem, dopóki mój towarzysz nie wyrwał mnie z rutyny i wiejskiej gwary.

- Pozdrawiam cię, panie Dafoe. Nazywam się Zulzedeus i jestem młodym czarodziejem z klasztoru Rew Terim. Podróżuję z moim kompanem do tej właśnie świątyni.

- Cóż sprowadza sławnego pogromcę potworów do mego miasta? - zapytał Dafoe.

- Naszym celem jest klasztor, ale po drodze gdzieś musimy spać, dlatego wstąpiliśmy do Trialton. Mój druh wprowadził mnie w błąd, mówiąc o odległości klasztoru od mego domu, jednakże wędrówka spodobała mi się, dlatego nie zawróciłem - powiedział Geron. - Mości kasztelanie, widzieliśmy przed sądem chłostę jakiegoś nieszczęśnika.

- Ponoć to on zamordował twego pierworodnego i skradł twe drogocenne klejnoty - dorzucił Zul.

- Tak, jutro spłonie na stosie. Za to, co mi zrobił, zasługuje na śmierć. - Oblicze Dafoe spochmurniało.

- My jednak mamy wątpliwości. Czy oskarżony był twym znajomym i mógł przebywać we dworze? - zapytał czarodziej.

- Nie, ależ skądże. To zwykły złodziej, a kiedy mój syn nakrył go, ten pozbył się świadka.

- Wybacz mi, ale jakim cudem on mógłby się tu wedrzeć, skoro wokół dworu kręci się tyle straży, jest mur, a na nim wielu kuszników. Podejrzewam, że w środku nocy, w czasie nowiu zastrzeliliby żabę z odległości pięćdziesięciu metrów. Elfy mają niebывały wzrok - dodał Zul.

- Cóż, o tym nie pomyślałem. Po stracie syna wpadłem w rozpacz, a sędzia wskazał mi winnego. Ma świadków.

- Proponuję powołać komisję śledczą, kasztelanie - dorzucił Geron - i zbadać tę sprawę jeszcze raz.

- Intrygujecie mnie. Nie dość, że zabijacie szkarady, to jeszcze bawicie się w detektywów. Mógłbym zaproponować wam stałą służbę na moim dworze. Aczkolwiek komisję powołam niezwłocznie.

- Wiedz, panie, że jesteśmy siewcami sprawiedliwości. Posady niestety przyjąć nie możemy, mamy inne zadanie - odparł czarodziej.

- Wielka szkoda, ale za trafne spostrzeżenia zaproszę panów na kolację - rzekł kasztelan.

- Wielce dziękujemy. Mam prośbę. Czy moglibyśmy odwiedzić skazanego wieczorem w jego celi? Musimy mieć chyba twoje, panie, zezwolenie - poprosił nieśmiało Geron.

- Oczywiście, dostaniecie je. Ale jeśli nawet macie rację, to i tak wam nie pomogę. Sędzia ma wolną rękę w sprawach wyroków, a swego zdania nie zmienia. Jest nieugięty. Teraz

jednak zapraszam do jadalni, napijemy się wina, a potem podadzą dzika.

Ściemniło się już i w mieście zapalono pochodnie. Wędrowcy zapukali do bramy więzienia.

- Czego?! - warknął stróż.

- Mamy pozwolenie na widzenie z Angalem. - Geron pomachał mu kwitem przed nosem.

- Podpis kasztelana jest, dobra, możecie wejść, ale tylko na pół godziny.

- Całkowicie nam wystarczy.

Poprowadził ich ciemnym, omszałym korytarzem o niskim sklepieniu. Cela krasnoluda tonęła w głębokiej ciemności, jednak na ścianie płonęła pochodnia. W mglistej poświacie dostrzegli go - leżał na pryczy, plecami do góry. Jego rany były paskudne i rozległe, ale teraz zaczęły się goić. Klucznik otworzył drzwi i wpuścił ich do środka, następnie ponownie zaryglował drzwi, oznajmiając, że wróci za pół godziny. Czarodziej usiadł na zydlu, a Geron podszedł do nieprzytomnego więźnia.

- Hej, kolego. Słyszysz mnie? - Potrząsnął nim. Bez skutku. - Chyba nie wykitował? Sprawdź mu puls, ja się na tym nie znam.

Zulzedeus podszedł do krasnoluda i podniósł zwisającą dłoń.

- Żyje, ale długo nie pociągnie. Spróbujmy go obudzić, może coś pamięta.

Krasnolud ocknął się dopiero po dłuższej chwili. Był blady i wycieńczony, jego broda, zapewne koloru dojrzałego zboża,

teraz zlepiona była potem i krwią.

- Nareszcie kontaktujesz. Jestem Geron, a to czarodziej Zulzedeus. Chcemy ci pomóc, wiemy, że jesteś niewinny.

- Feron? Bharco ładne imię. Ja gho nie zabiłem, nie ja, nie ja. - Był bliski omdlenia. Geron musiał nim znowu potrząsnąć.

- Ale kto to zrobił? Widziałeś go?

- Wicałem, jag wychodził przez okno, z zaklwawionym nożem. Duzo zioła... opaly ...Chudy... kocisty ...sędzia - i zemdłał. Teraz za nic nie mogli go obudzić.

- Nic więcej nie powie, mamy za to trop. Słyszałeś ostatnie słowo? - spytał Zul.

- Sędzia. Prawdopodobnie Angal widział go, jak uciekał z miejsca zbrodni, więc sędzia zrobił świadka.

- Tylko że nikt w to nie uwierzy. Trzeba mieć dowód jego winy.

- Na razie chodźmy stąd, pogadamy o tym później.

Wrócił klucznik i wypuścił ich. Pojechali oświetlonymi ulicami do tawerny Nad Szubienicą. Wynajęli pokoje i zamówili piwo. Właśnie się rozsiedli, rozkoszując się złocistym trunkiem, gdy do ich stolika podszedł rudobrody krasnolud odziany w kupieckie szaty.

- Witajcie, mili panowie. Sporo o was słyszałem. Podobno rozmawialiście z kasztelanem w sprawie mojego współnika.

- To Angal jest kumem waćpana? - zapytał Geron.

- No tak, z kimś biznes kręcić trzeba.

- Nas zapewne już znasz, a ciebie, panie, jak zwą?

- Jestem Kirk, przyjechałem do Trialton razem z Angalem. Handlujemy bronią. Po Wielkiej Radzie stwierdziliśmy, że

możemy zarobić kokosy, sprzedając tutaj, bo w Kodorze konkurencja jest wielka. Biznes się kręcił, ale ostatnio nie ma kogo bić, to i nikt ostrzy nie kupuje. Przerzuciliśmy się więc na bagienne ziele.

- Bagienne ziele? A cóż to takiego? Pierwszy raz słyszę - rzekł czarodziej.

- Jakies pół roku temu znachorzy z Samotnych Bagien na północnym półwyspie odkryli, że rosnące na bagnach ziele po oporządzeniu można palić. Niezły odpał, daje większego kopa niż słynny bimber królewski z Koel Nahal, a to najmocniejszy trunek. Nie powiem, biorą, a zwłaszcza ci najbardziej wpływowi.

- Czyli kto? Kasztelan na ten przykład?

- No, i on, i jego syn brał, i sędzia też, naczelnik straży, kilku bogatszych farmerów i kupców, i paru innych też.

- Jakie to ma działanie? - spytał Geron.

- Chłopie, naprałeś się kiedyś tak, żeś nic nie pamiętał?

- No.

- To po tym jest tak samo, z tym że ci wesoło, nic nie czujesz i spać ci się nie chce. Ale do rzeczy, co powiedział wam kasztelan?

- Niewiele, ale wierzy w niewinność Angala. Z nim samym też się widzieliśmy.

- Tak? Kiedy?

- Dopiero co. Nie zgadniesz, panie, co nam powiedział. - rzekł Zul.

- No?

- Ale nikomu nie powiesz?

- Słowo honoru, możecie mi cykusia uciąć, jak wygadam.
- Dobra, słuchaj. Angal widział sprawcę, przechodził wtedy obok dworu kasztelana. Mówił, że było tam dużo zioła i dymu. I zgadnij, kogo widział?
- Nie wiem, jakiegoś halabardzistę?
- Gdzie tam, panie, sędziego, całego we krwi. Było za późno, by kogoś zaalarmować, a rano już go sprzątnęli.
- Takie buty. Wiedziałem, że ten stary cap jest łasy na władzę, ale nie sądziłem, że posunie się do tego.
- Widzisz, panie Kirk, powiedziałaś nam o tym zielu, co oznaczać może jedno - rzekł Geron.
- Chyba wiem, co takiego. Sędzia otumaniał cały dwór naszym ziołem, a potem zabił młodego.
- Otóż to. A my chcemy wyciągnąć z pudła Angala i uchronić go przed stosem. Mamy tylko dobę, i to niecałą - dodał Zul.
- Jasny gwint, na tym się nie skończy!
- Co mówisz, panie Kirk?
- Jutro kasztelan organizuje wielką stypę. Zaprosił wszystkich ważnych w Trialton. Prawdopodobnie zamordowanie młodego to dopiero początek. Jutro sędzia chce wszystkich załatwić, bo złożył u mnie duże zamówienie na najmocniejsze zioło.
- No to pięknie! - rzekł Zulzedeus. - Geronie, musimy powiedzieć o tym kasztelanowi. Panie Kirk, możesz nam pomóc?
- Mogę iść z wami i powiedzieć wszystko, ale nic więcej. Muszę otworzyć stragan i handlować. Ale wiem, kto może

wam pomóc uwolnić Angala i udaremnić zamach sędziego.

*

Kirk umówił ich z nią na ósmą rano. Spotkali się w tej samej karczmie, w której nocowali. Gdy zeszli, czekała już na nich przy stole pod oknem. Była elfką o kasztanowych włosach, na sobie miała obcisłe, skórzane spodnie, wysokie, wiązane buty i szmaragdową koszulę, przez którą widać było co nieco. Figurę miała niczego sobie, twarz również była piękna. Jednym słowem, zrobiło im się gorąco na jej widok. Podeszli do stolika i usiedli naprzeciwko. Elfka zapięła guziki koszuli, aby nie kusić przybyłych.

- Tulipany kwitną w ogrodzie - zagadała.
- A słońce oświetla je blaskiem - odpowiedział Geron.
- Dobra, to wy. Jestem Rosette, ale mówicie mi Rose.
- Geron, a to Zulzedeus.
- Ten Geron?
- Następna. Na szlaku jestem dopiero dwa tygodnie.
- Widzisz, a już jesteś sławny. Co ja bym dała za taki rozgłos.
- Możesz go sobie wziąć. Jak tak dalej pójdzie, to stanę się poszukiwanym we wszystkich królestwach.
- Nie narzekaj. Co to za sprawa, kogo chcecie uwolnić?
- Czekaj, sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje. Musimy uwolnić pewnego krasnoluda z pierdła przed zachodem słońca, a potem dotrzeć do dworu.
- Po kiego czorta do dworu?
- Żeby złapać sędziego na gorącym uczynku. Planuje

zamach na możnych w Trialton, w tym kasztelana i jego żonę.

- Chcieliśmy pogadać z kasztelanem, nawet mieliśmy świadka, lecz dowiedzieliśmy się, że nikt dzisiaj tam nie wejdzie, gdyż trwają przygotowania do pogrzebu i stypy - dodał Zul.

- No panowie, powinnam odmówić, ale przegapić taką okazję... Wiecie, że to będzie kosztowało ekstra.

- Ile chcesz?

- Jeśli to wypali i przeżyjemy, chcę do was dołączyć.

- CO?! Kobieto, my tylko ciągniemy do klasztoru - zdziwił się Geron.

- Ale zanim tam dojedziecie, wiele się może wydarzyć. Tutaj niczego nie osiągnę. Pewien wprawny włamywacz nauczył mnie paru sztuczek, poznałam też pirotechnika. Gość wynalazł proch. Nieźle grzmoci. Jednak na szlaku sama sobie nie poradzę, po za tym od pięciu lat tylko kupcy, wojsko i magowie mogą spokojnie wędrować po traktach, takie rozporządzenie. A z wami mogę się wreszcie wydostać z tej dziury.

- Czekaj, co mówiłaś o prochu? - zaciekawiał się Zul.

- Na bazie siarki, karbidu i paru innych substancji. Wsypujesz to do beczki, podpalasz i bum, muru nie ma.

- Masz tego trochę na składzie? - spytał Geron.

- Niewiele, ale na jedną beczułkę starczy. Myślicie, że...

- Oczywiście.

- A żeby was popieściło. Rozedrze pół turmy. I ludzie nas zauważą.

- Kiedy ruch jest najmniejszy?

- Około pierwszej, wtedy jest przerwa obiadowa. Wiecie, gdzie jest więzienie?

- Wiemy, między sądem a targiem. Spotkajmy się tu w południe, przynieś ten proch. My sprawdzimy teren.

- Dobra panowie, wchodzę w to, ale pamiętajcie o cenie. - Puściła do nich oko i opuściła tawernę.

- Odbiło ci?! Po co nam baba na szlaku? Zauważyłem, że bardzo zależy ci na Angalu, ale, stary, nie przesadzaj. Co ty kombinujesz? - zbulwersował się Geron.

- Wiesz, teraz wejdziemy na większe, niebezpieczniejsze szlaki. Nie obraż się, ale nawet ty nie dałbyś rady hordzie orków, gdyby nagle wypadli z lasu. Kompania nam się przyda.

- Może coś w tym jest.

- A wiesz, od Lamfo to w zasadzie załatwiłeś tylko jednego naprawdę niebezpiecznego potwora - świdrogrzmota. Potem to już były trzy wyrwoły, a że wieśniacy nigdy ich nie widzieli, to się przestraszyli, i jeden topielec, którego wziąłeś jednym machem. Następny był debil straszący wieśniaków, trochę chłopaka szkoda, zafajdany ghul, który najpierw wyrzwał łbem w skałę, a potem spadł w przepaść i znowu banda wyrwołów, którą ja załatwiłem.

- Wiem, nie przypominaj mi. Najgłupszy był ten dzieciak. Skąd miałem wiedzieć, że to człowiek, jak widać było tylko łeb, no to go odrąbałem. Ale jak widzisz, ludzie zrobili raban i już wszędzie o mnie trąbią.

- No, a jak wyjdziemy na prawdziwy szlak, to tam będzie o wiele gorzej i sami temu nie zaradzimy.

- Masz rację. Ta Rose może nam się przydać. Ale jak

Angala wyciągniemy z pudła, on nogą sam nie ruszy, widziałeś go wczoraj.

- Pomyśl. Gość jest dobrze zbudowany, jak wyzdrowieje, będziemy mieli z niego niezły pożytek.

- Noo, o tym nie pomyślałem.

- A widzisz. Teraz chodźmy obwąchać teren. Ciekawe, gdzie jest jego cela.

Równo o dwunastej cała trójka spotkała się przed karczmą. Rose miała ze sobą wytrychy, nóż na biodrze, miecz przy pasie i beczkę z prochem pod pachą. Ruszyli w stronę więzienia. Pokręcili się trochę po okolicy. Gdy wszyscy kramarze opuścili już stanowiska pracy, podeszli do ściany turmy, za którą znajdował się krasnolud. Geron z Zulzedeusem zasłaniali Rose, która podkładała ładunek między cegłami. Cała trójka miała zasłonięte twarze. Elfka odpaliła lont. Oddalili się na odległość kilku stóp. Wybuch wyrzucił cegły w stronę targu. Nim do dziury dobiegli strażnicy, Angala już tam nie było. Tuż po rozerwaniu ściany do środka wskoczył Geron, zarzucił sobie krasnoluda na plecy i uciekł z towarzyszami między budynki. Zanieśli ранego krasnoluda do mieszkania Rose. Okazało się, że dziewczyna ma w domu ukryte pomieszczenie. Złożyli tam na materacu bezwładnego Krętobrodego. Geron wraz z czarodziejem wrócili do tawerny, a Rose udała się po znachora, oczywiście na polecenie Gerona i za jego pieniądze. Zielarz na szczęście nie zadawał pytań i donosicielem nie był. Założył opatrunek na zakrwawione plecy krasnoluda, dał Rose odpowiednie maści i zalecił smarować go trzy razy dziennie i tyle razy zmieniać

opatrunek. Elfka oczywiście poszła z tym do Wybrańca. Chcąc nie chcąc, musiał zapłacić. Godzinę później ulicami Trialton przechodzili strażnicy, szukając zbiega. Gospodarz tawerny Pod Szubienicą właśnie tłumaczył im, że żadnego gnijącego krasnoluda tu nie było, a Geron z Zulem posilali się, gdy do gospody wpadł Kirk.

- To wy? - spytał ich szeptem.
- Ale co?
- Nie róbcie ze mnie durnia.
- Panie, a widzisz go tu? - odparł czarodziej.
- Nie, ale powiedzcie szczerze, gdzie on jest?
- Spokojnie, nie martw się, panie. Jest bezpiecznie ukryty
- rzekł Wybraniec.
- Bardzo dobrze. Jak wam się udało rozsadzić pół pierdła?
- To zasługa twojej znajomej - uśmiechnął się Geron.
- A, wiedziałem, niezła z niej sztuka. Takie nogi i taki umysł.
- Owszem, nogi to ona ma. A to wyżej jeszcze lepsze - potwierdził mag.
- Co teraz zamierzacie? Chcecie ratować Dafoe'a?
- Tylko nie wiemy, czy się uda. Pamiętasz, jakie zioła zamówił sędzia?
- Najmocniejsze, jakie mam - „Zew Nocy”. Ma je odebrać za godzinę.
- Sędzia musi mieć coś, dzięki czemu zioło na niego nie zadziała - zastanawiał się Zul.
- Prawda, tylko co?
- Wiecie, on często kupuje mikstury od Gryzeldy - rzekł po

namyśle krasnolud.

- Gdzie ona mieszka?

- Naprzeciwko koszar, w takim niewielkim domu, za to z okazałym ogródkiem.

- Możesz nas tam zaprowadzić? - spytał Geron.

- W sumie - zaczął Kirk, spoglądając na ułożenie słońca względem ziemi, szacując czas - mam jeszcze chwilę. Dobra, zaprowadzę was, ale mam do was jedną prośbę.

- Jaką?

- Weźcie mnie na tę akcję.

- Sami mieliśmy ci to zaproponować - odparł czarodziej.

- No, to w takim razie za mną!

Po wyjściu z karczmy poprowadził ich brukiem w lewą stronę, w kierunku południowych wrót, jednak po przejściu trzydziestu stóp skręcił w prawo między kamienicą a rzeźnią. Po chwili byli przed koszarami. Po drugiej stronie, tuż przy murze, stała chatka znachorki.

- To tu. Ja spadam, muszę pilnować biznesu. O której i gdzie?

- Biba zaczyna się po zachodzie, więc w tej samej karczmie o piątej.

Krasnolud wrócił tą samą drogą, Geron zaś z Zulem zapukali do drzwi Gryzeldy. Nie było odpowiedzi. Po trzeciej próbie Geron nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte, więc weszli do środka, do małego salonu obwieszanego ze wszystkich stron wszelakimi ziołami. W słoikach na kredensie znajdowały się zamarynowane części zwierząt bądź one całe - nietoperze, węże, rogi mrokostwora, pazury harpii i wilków,

krowie kopyta, gałki oczne niewiadomego pochodzenia i wiele innych. W powietrzu unosił się zapach lawendy i pokrzywy, przynajmniej tak wydawało się Wybrańcowi. W tylnej części salonu, tuż za sofą obitą kocim futrem, były drzwi, spod których wydobywały się bladozielone dymy. Geron bez zastanowienia przeszedł przez salon, o mało nie rozbijając przy tym wysokiej staroelfickiej wazy. Czarodziej podążył za nim. Otworzyli drzwi i natychmiast owionęła ich srebrzystoniebieska mgła. Po chwili zmieniła kolor na purpurowy. Usłyszeli też kobiecy głos:

- Szczypta rozmarynu, trzy pazury niedźwiedzia, język wyrwoła, tak, tak, tak, a teraz krwiste ziele, haha.

Z pomieszczenia biło światło. Zauważyli, że mgła zmienia kolor, gdy i owo światło je zmienia. Geron ruszył naprzód, omijając źródło blasku, i znalazł się w niezadymionej części pokoju, twarzą w twarz ze znachorką. Była wysoka jak na kobietę, chuda, w powłóczystych szatach, ze zmierzwionymi, kręconymi, rudymi włosami i wielkimi oczami. Na widok nieznajomego olbrzyma krzyknęła ze strachu i upuściła słoik, który, roztrzaskując się o posadzkę, uwolnił swą gęstą, burą zawartość.

- Kim jesteś i co robisz w moim domu?! Dzisiaj nie sprzedaję! - wrzasnęła znachorka.

- Nie denerwuj się, pani, my prywatnie - odparł spokojnie Geron.

- Wynocha! Won! Nie ma nic prywatnie!

- Posłuchaj kobieto, tylko opanowanie cię uratuje, bo wywalę ten kocioł! - uniósł się Wybraniec.

- Nie, czekaj! Dobra, czego chcecie?

- Pani Gryzelda, tak? - zapytał czarodziej.

- Tak, to ja. Warzę sobie miksturki, nie wolno? Matka i babka mnie nauczyły, to raczej niekaralne. W jakiej sprawie przychodzicie?

- Widzisz, pani, nasz przyjaciel został fałszywie oskarżony przez sędziego, który planuje dokonać dzisiaj zamachu na kasztelana i inne osobistości w Trialton - wyjaśnił Geron.

- Nonsens, sędzia i zamach? Chyba wam się w głowach popierdzieliło.

- Posłuchaj, on kupuje bardzo mocne bagienne ziele, mogące urznąć w mgnieniu oka całą knajpę. W taki sposób pozbył się syna pana Dafoe.

- Całą knajpę? Hoho, ale odjazd. Zaraz, nie mógłby uśpić całej komnaty, nie pomijając siebie. Gdyby włożył ziele do kominka, nie zdążyłby dotrzeć do drzwi, nie budząc podejrzeń. Musiało was nieźle pogrzać - odcięła się znachorka.

- To wiemy. Dotarliśmy do osobnika rozprowadzającego zioła, twierdzi to samo. Jednak sądzimy, że mógł u ciebie kupić eliksir, który pozwoliłby mu zachować jasność umysłu - powiedział Zulzedeus.

- U mnie? Pomyliliście adres.

- Nie kryj go, babsztylu. Ja jestem Geron i nie pozwolę na niesprawiedliwość.

- Jasny szlag! Geron! Ten spod puszczy?

- A zna pani innego? - dorzucił mag. - Ten, a ja jestem jego kompanem. I mogę zaświadczyć, że nam chodzi tylko o sprawiedliwość. Gdybyśmy wyjechali, nikt nie zająłby się tą

sprawą, jutro mielibyście wielką żalobę i nowego dyktatora. Prawdopodobnie podpisałyby pakt z orkami w następnym tygodniu.

- Nie zalatuje padliną i łgarstwem. Ale teraz to ja nie pamiętam, co sędzia u mnie kupił. Poczekajcie chwilę... hmm... wiem! Trzykrotnie kupił miksturę „stalowego umysłu”, pozwalającą wypić cztery wiadra wódki bez zawrotów głowy. Myślałam, że chce dużo wypić i wygrać jakiś konkurs czy coś.

- Za pierwszym razem pewnie testował, czy mikstura działa na Zew Nocy. - rzekł po namyśle Zul.

- Widocznie zadziałało - stwierdził Geron.

- Masz, niewiasto, może antidotum na tę miksturę?

- Czekać, na stalowy łeb antidotum. Skoro to działa przeciw upiciu, to w drugą stronę działa Elixir Natychmiastowego Uchlania.

- Ciekawa nazwa.

- Nie ja ją wymyśliłam. To na podłożenie. Jeśli jakiś facet chce mieć szybko panienkę, nalewa jej tego i zaraz jest gotowa.

- Dobra, weźmiemy obie te miksturki - powiedział Geron.

- Obie? Myślałem, że jedna wystarczy - zdziwił się Zul.

- Mam plan. Musimy wkręcić się na imprezę do dworu.

- A niech cię.

- To co, dwie bierzecie?

- A jak.

- Dobrze, macie tu dwie działki ekstra. Gulden.

- Ile?!

- No co? Takie mikstury piechotą nie chodzą, nie?

- Dobra, niech stracę. Kasztelan mi zwróci. Życzę powodzenia w interesach.

O piątej siedzieli już w karczmie i konsumowali panierowanego dorsza. Po chwili dołączyła do nich Rose.

- I jak tam z krasnoludem? - spytał młody czarodziej.

- Żyje, nakarmiony. Czuje się lepiej, teraz śpi. Jaki macie plan?

- Całkiem prosty i genialny zarazem - odparł Zul.

- Czyli?

- Byliśmy u tej znachorki, u której sędzia Nerg kupuje eliksiry. Mamy od niej taką samą miksturę, jak on, i antidotum na nią.

- Nie rozumiem.

- Witajcie. O czym mowa? - Kirk wszedł do tawerny i dosiadł się do stołu.

- Jesteśmy wszyscy. Dobra, słuchajcie, bo powtarzał nie będę. Plan jest taki.

*

Po zachodzie słońca kasztelan Trialton pożegnał swego syna po raz ostatni, po czym zabrał wszystkich gości na uroczystości do dworu. W tłum wieszali się Geron z Zulzedeusem, odziani w srebrno-zielone kaftany nabyte przez Kirka. On sam ubrany był w szkarłatny żupan i bursztynowy kontusz. Rose włożyła oszałamiającą purpurową suknię z głębokim dekoltem i wycięciem wzdłuż lewej nogi od kostki aż po biodro. Wybraniec przepchnął się przez tłum do Dafoe'a.

- Można się wtrącić, panie kasztelanie? - zagadał Geron.

- Ach, to ty. Nie zapraszałem was, ale chętnie was ugoszczę, skoro jesteście. Jak tam sprawa Angala? Podobno uciekł z więzienia.

- Też nie wiemy, jak tego dokonał. Mamy pewien trop, panie Dafoe.

- Trop? Jakież to?

- Podczas wizyty zdołaliśmy wyciągnąć z podejrzanego tylko jedną informację. Widział prawdziwego sprawcę, zanim go wsadzili.

- Tak? Kogo takiego?

- Pana sędziego Nerga.

- Nerga? Jakim cudem?

- W dzień śmierci waszego syna sędzia był we dworze, prawda?

- No tak, omawialiśmy sprawę nowych szubienic. Aczkolwiek niewiele pamiętam z tamtego wieczora, strasznie rozboleła mnie głowa i chyba wcześniej się położyłem.

- Panie kasztelanie, to wszystko robota Nerga. Wrzucił panu do kominka bardzo silne zioła z północy wprowadzające w silny amok. Dowiedzieliśmy się, że dzisiaj planuje kolejną zbrodnię.

- Tak? Jaką?

- Chce zabić pana.

- Co takiego? Macie dowody?

- Mamy coś lepszego. Proszę to wypić. - Geron podał elfowi fiolkę.

- Co to jest?

- To antidotum na działanie ziela. Dzięki temu zachowa pan jasność umysłu i złapie go na gorącym uczynku.

- A pan?

- Ja i moi kompani już to spożyliśmy.

- Kompani?

- Niech się pan nie gniewa, ale jest nas czworo i wszyscy mamy zamiar wejść na chama na to przyjęcie. To część planu schwytania sędziego.

- No dobra, ale jeśli nic z tego nie wyjdzie, zapłacicie za nieproszone wtargnięcie na teren dworu.

- Dziękuję, panie kasztelanie.

Geron wrócił do towarzyszy.

- Wchodzimy. Pamiętajcie, żadnych gwałtownych ruchów, pełny luz.

Uroczystość odbywała się w długiej sali. Z jednej strony znajdowały się drzwi, z drugiej kominek. U szczytu stołu, w pobliżu kominka zasiadał kasztelan, po jego prawej stronie małżonka, po lewej – sędzia. Dalej usadowili się goście. Geron i jego kompani bacznie obserwowali zamachowca. Ściany sali z jednej strony pokrywały czarne gobeliny, z drugiej, przy oknach, wisiały ciemne zasłony. Na początku uczyty podano zupę z homarów, kopru i rozmarynu, potem zaś dziczyznę i baraninę. Na stołach znajdowały się najznamienitsze przystawki z sera i krewetek, ziemniaczane puddingi, ogrom najróżniejszych sałatek, pieczone ziemniaki, dzbany pełne wina i piwa. W końcu większość gości napełniła brzuchy i rozpoczęła dysputy na wszelakie możliwe tematy, rozchodząc się po sali. Geron baczył na sędziego. W pewnym momencie

Nerg sięgnął za pazuchę i podszedł niewinnie do kominka. Wówczas Geron podszedł do Dafoe'a.

- Proszę spojrzeć, panie kasztelanie. - Wskazał sędziego.

- Niebywałe, miałeś rację. To bydlę wrzuciło do ognia jakieś zielsko.

- Za chwilę cała sala będzie w szachu Nerga. Wypiłeś, waszmość, miksturę?

- Wypiłem, co teraz?

- Musisz, panie, udawać, że boli cię głowa. Proszę spojrzeć, moja towarzyszka wlała sędziemu antidotum. Teraz na bezczelnego zagadam Nerga i nakłonię go do wypicia zawartości jego pucharu. Będzie nasz.

- Powodzenia, panie Geronie.

Wybraniec bez krępacji wziął puchar sędziego i swój, podszedł do Nerga i zaczął rozmowę.

- Witam szanownego pana sędziego. Geron jestem.

- Och, witam, witam. Słyszałem o waszmości i z wielką chęcią bym podysputował, lecz zajęty teraz jestem.

- Co też waćpan mówisz, nikt z panem nie rozmawia. Wiesz pan, wędruję tak sobie i uczę się nowych sztuk. Niezbędny jest mi mistrz w dziedzinie sprawiedliwości, a któż może być lepszy niż sędzia, prawda? Pójdźmy na stronę. - Objął dezorientowanego sędziego. - Niech mi pan powie, jak sprawiedliwie osądzić, czyje jest jajko, które kura zniosła na między?

- Też pytanie. Tego, czyja kura była. Ale naprawdę muszę coś załatwić. - Sędzia chciał wyrwać się z objęć Gerona, ten jednak nie puszczał.

- Mam jeszcze kilka pytań, proszę odpowiedzieć. Chociaż na jedno.

- No dobrze, mów pan.

- Co zrobić z człowiekiem, który zdradzi, powiedzmy, zarządcę miasta, kasztelana?

- No, takiego to bym na stosie spalił, ewentualnie pod topór.

- Dziękuję panu bardzo. Napijmy się, niewiele jest na świecie osób, z którymi można kulturalnie się napić. Do dna! - Podał mu kielich, a sędzia opróżnił całą czarę. - Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mogli pogawędzić o sprawiedliwości.

Geron ponownie podszedł do kasztelana. Przyglądali się Nergowi. Sędzia, widząc odurzenie na sali, wyjął sztylet ukryty pod szatą i podszedł do żony Dafoe'a, jednak dostał nagłych zawrotów głowy. Tuż obok, jakby znikąd, pojawili się Zul i Kirk.

*

Nie wiem, jak ci dziękować, panie Kirk - rzekł Geron na pożegnanie.

- Toć to ja muszę wam podziękować. Taka posada, toż to tylko wasza w tym zasługa.

- Kasztelan nie znalazłby lepszego kandydata, jesteś najsprawiedliwszy w całym Trialton - dodał czarodziej.

- Taa, jasne, ja sprawiedliwy. Wiedźcie jednak, że gdyby nie ta posada, ruszyłbym z wami. Ziola zostawię komu innemu. Myślałem że to dobry biznes, ale do czorta z nim, teraz mam

lepsze zarobki – odpowiedział krasnolud.

- Miejmy nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy – dorzucił Zul.

- No, byle nie w sądzie, hehe – odparł Kirk. – Może na jakiejś wojence?

- To najprędzej – powiedział Wybraniec. – Tego, cholera, nie unikniemy. Tylko pamiętaj, nie daj skopać sobie rzyci. Dobra, Angal, dasz radę jechać sam?

- Jeszcze plecy mnie bolą, ale utrzymam się w siodle – odparł brodacz.

- No i bardzo dobrze. To na koń i klusem! Tylko baczcie, żeby Angal z kulbaki nie spadł.

- Ej, mówiłem że sobie dam radę!

- Dobra, dobra. Marian, z kopyta!

Wyjechali z miasta północną bramą i skierowali się na północny zachód, w stronę Balha Deal, stolicy Vea Utheel. Przez cały dzień jechali, mijając na przemian torfowiska, łąki i pola uprawne. Nie było tu lasów, jedynie samotne drzewa. Grunt na szlaku był twardy, toteż konie pędziły niczym wiatr. Pewnie dotarliby już do stolicy, gdyby nie pewien incydent, który zmienił ich plany. Otóż ze wschodu nadbiegł w ich kierunku jakiś obdartus. Wycieńczony, upadł nieopodal nich zemdlony. Za nim zza wzgórza wyłoniło się coś, co zmroziło czwórce wędrowców krew w żyłach.

- O ja cię chędoże fallusem krzywym aż po czubek! – krzyknął Angal.

- Geronie...wiesz, nic nie sugeruję, ale może tak mały odwrocik? – zaproponował nieśmiało Zul.

- Wyznaję zasady ruchu wyzwolenia kobiet, niezależności i odwagi. W tej jednak sytuacji zgadzam się z przedmówcami. W nogi! - dorzuciła elfka.

- Też tak myślę, jednak nie możemy tak tego tu zostawić. - Geron wskazał podbródkiem wycieńczonego obdartusa. - Dorwą go i zeżrą.

- Jeśli się nie ruszymy, to i nas przy okazji też - dodał krasnolud.

- Geronie, nie strugaj bohatera. Gdyby był tylko jeden, to jeszcze może cudem mielibyśmy jakieś szanse, lecz nie z trzema! - wrzasnął Zul i szarpnął wodze.

Koń ruszył z kopyta. Za czarodziejem podążyli krasnolud i elfka.

- Do czorta z wami! - Geron zeskoczył z siodła i zabrał leżącego.

Był z powrotem na koniu i gonił kompanów, gdy trzy potwory ruszyły pędem za nimi. Odbili w lewo, na zachód. Na horyzoncie pojawił się las. Dopadli go z wielką ulgą i zaszyli się w zaroślach. Po chwili stwory zaniechały pościgu, lecz nie odeszły na dobre. Po drugiej stronie drogi, między wzgórzami, urządziły sobie postój. Kompani zsiadli z koni i cichaczem udali się w głąb lasu, dostatecznie daleko, by więcej nie natknąć się na ów pościg. Zbliżała się noc, rozpalili więc ognisko, Rose upolowała jelenia, a Geron go oporządził. Nieprzytomnego oparli o pień buku, a reszta obsiadła ognisko dookoła.

- Trr...rolle! Że też to musiały być trolle! - żalił się Zul. - Gdyby nie one, już dawno bylibyśmy w Balha Deal. W gorącej

wannie i ciepłym łóżku.

- Skąd te sukinkoty tutaj? - spytał Angal.

- Musiały wyleźć z Wielkiej Puszczy, która graniczy z Rezerwatem - odparł Geron. - Nie dalibyśmy rady ich ukatrupić.

- Prędeż na odwrót. W tej chwili żarłyby pieczyste z nas - rzekł krasnolud.

- Co zrobimy z tym? - Rose wskazała na nieprzytomnego pod drzewem.

- Na razie nic, może rano mu się polepszy - odparł Geron.

- Mogę zobaczyć twój topór? - zapytał Angal.

- Proszę cię bardzo. - Geron podał broń krasnoludowi.

- Taak, hmm, to jeden z trzech Mocarnych Toporów, wykutych na początku istnienia Wszechziemia.

- To wiem, Zul mi powiedział.

- Czekał, to chyba... tak! To Topór Alandila, króla Arcanii. Z tego, co wiem, to najpotężniejszy ze wszystkich trzech. Pozostałe należały do Mefrosta, władcy Hengornu, krasnoluda, i do Treohena, pana Revenmehru, elfa.

- Czekał, o czym ty mówisz? Arcania, Hengorn i Revenmehr? Takie państwa nie istnieją - zauważyła Rose.

- Na początku istnienia we Wszechziemiu istniały tylko trzy ogromne królestwa, należące kolejno do trzech ras stworzonych przez bogów: ludzi, elfów i krasnoludów - wyjaśnił Angal. - Zmiany granic i nazw państw zostały dokonane dopiero po wielkiej wojnie, na drugiej Radzie Władców. Ten topór ma ogromną moc. Do niektórych rodzajów broni istnieją słowa pozwalające uwolnić drzemiące

w nich siły. Do tej też istnieją.

- Są słowa pozwalające uwolnić jego moc? Zул, czego nie gadałeś?

- A skąd miałem wiedzieć? Nie znam się na broniach.

- Angal, czy jest ktoś, kto zna te słowa?

- Żartujesz? Ta broń ma setki lat. Mogą być, owszem, zapisane, ale tylko w księgach z tamtych epok. Chociaż... hmm... tak, te runy...

- Co runy?

- To mowa pierwotna. Na ostrzu wyryte jest imię broni i słowa zaklęcia. Ale tu znowu potrzebne są księgi.

- Może są w klasztorze?

- Możliwe. Swoją drogą nasz krasnolud strasznie dużo wie na temat broni. Kim ty właściwie jesteś? Tylko nie ściemniaj, że kupcem - zaciekał się czarodziej.

- Dobrze, powiem wam.

ROZDZIAŁ 4:

HISTORIA CAŁKIEM NIESPODZIEWANA

Na Bruyhelu Krahal, Krwawej Wyspie, tuż pod największą górą tego świata, znajdowało się miejsce kultu, świątynia Raala pod gołym niebem, zwana uroczyskiem. Zebrali się tu wszyscy mieszkańcy wyspy. Przed ołtarzem stał wielki szaman, twarzą do zebranych, lecz gdy strażnik dał znak, odwrócił się plecami do nich i podniósł wzrok na ogromną, wyciosaną z czarnego kamienia figurę ich stwórcy, Raala. Przemówił:

- O wielki Raalu, nasz ojciec i stwórco! Zebraliśmy się, jak przykazałeś, w ostatnią pełnię dni marności, w przededniu wolności i dostatku, nim wyruszymy na podbój ziemi, którą zabrali nasi wrogowie i słudzy twych niegodnych braci. O wielki Raalu, przemów do swoich dzieci, twych oddanych sług!

Ciemność nocy rozświetlił krwistoczerwony blask wydobywający się z oczu figury. Ziemia się zatrzęsała, a ciszę rozdarł ogłuszający, głęboki, mroczny głos.

- Moi poddani! Koniec życia w ucisku i ukryciu! Nadchodzi wasza era! Mój sługa i wasz nowy król jest gotowy! On poprowadzi was do zwycięstwa, zdobędziecie Wszechziemie.

- O wszechpotężny, a nasi bracia uwięzieni na stałym

ładzie? – zapytał szaman.

– Wiedzą. Mają inne zadanie. Dzięki waszemu nowemu królowi zyskacie moc, która obróci waszych wrogów w proch.

Mrok rozświetliła ogromna błyskawica. Pośród orków pojawił się ich nowy władca. Klęczał, lecz zaraz podniósł się z ziemi. Był ogromny, miał ponad sześć łokci wzrostu. Ubrany był w srebrno-niebieską zbroję, czarny pas i ciemne buty. Do ramion przypięty miał czarny płaszcz, spięty srebrną klamrą. Miał długie młeczne włosy, od lewego oka przez cały policzek długą srebrną szramę. Nie posiadał zwykłych oczu. Były rozlanymi źrenicami, całe ciemne. U boku miał potężny miecz, a w prawej dłoni dzierżył wielkie, magiczne berło. Spojrzał po zebranych i uśmiechnął się paskudnie.

*

– Pochodzę z Torunu – rozpoczął swą opowieść Angal. – Mój ojciec był setnikiem w armii króla Gregora, później jego syna, Fergusa. Opowiadał mi nocami o początkach Wszechziemia, o wielkiej wojnie z Raalem i jego sługami, o wspaniałych ostrzach z tamtego okresu. Broń zawsze mnie fascynowała, dlatego zostałem kowalem. Po wielu latach stałem się jednym z najlepszych. Pięć lat temu zaczęło się robić gorąco. Orkowie na wybrzeżu, gobliny na północy. W końcu król Fergus wrócił z Wielkiej Rady i nakazał kowalom stawić się w Kuźni Narodów. Nic, myślę sobie, czy kuję tu, czy tam, co za różnica. Zebrałem manatki i ruszyłem z taborem. Po trzech dniach od wymarszu byliśmy w Sietlle. Do konwoju dołączyło paru ludzkich cieśli i kowali. Na postoju

wlazłem do takiej jednej karczmy. Szliśmy, kurna, trzy dni bez niczego i tak mi się chciało chlać i chędożyć, żem się zapomniał. Zabalowałem z miejscowymi, poużywałem na takiej jednej pannie, a jakżem się nazajutrz obudził, taboru nie było. Wyjechali o świcie. W dupie to miałem, nająłem konia i pojechałem samotnie w stronę granicy z Enwerpią. Ale plany pokrzyżował mi znany wam niejaki Kirk. Słyszał, że nieźle kuję żelazo i zaproponował mi taki biznes, żem zapomniał o tej całej Kuźni i pojechałem z nim. Twierdził, że na zachodzie będzie większe zapotrzebowanie na broń, no bo zgnilce wylądowali, a zanim z Ognistej Góry ostrza dotrą, orkowie pozarzynają miejscowych. Tak żeśmy dojechali do Trialton. Dalej jechać strach było, że nas dopadną, a to miasto i tak leżało na zadupiu, tośmy tam osiedli. Ale po dwóch latach interes szlag trafił, bo możnowładcy Wszechziemia załatwili orków i rozgromili ich flotę, a gobliny tu nie dotarły, bo ich zagnali nazad za mur. Zaczęliśmy kumać się z druidami, co to z driadami się spoufalają. Dawaliśmy im w łapę, a ci brali od leśnych dziewczek ziołowe maści. Biznes się kręcił dalej, aczkolwiek ci w końcu pojechali na jakiś zjazd i tyleśmy ich widzieli. Z driadami nie było jak się dogadać bez druidów, uciekły w las. Pół roku temu do Kirka zajechał jego kum z dawnych lat ze skrzynką bagiennego ziela. Podpisaliśmy cyrograf, bo czym tu było handlować? Dobrała się do nas ta Gryzelda, namówiła na współpracę. Potrzebowała kilku ziół do mikstur. A potem ta historia z Nergiem. Teraz życie toczy się dalej.

- Zapomniałeś dodać, kto was skumał z druidami - rzuciła

Rose.

- No tak, ty byłaś pośredniczką. A w łapę brałaś więcej od nich.

- Bez szczegółów współpracy, dobra? Patrzcie na tego gościa. On jest jakiś dziwny. Mogę się założyć, że pół godziny temu miał na nodze głębokie rozcięcie.

- No, ja też je zauważyłem, ale nie krwawiło. A teraz go nie ma - dodał Zul. - Wydaje mi się, że on nie jest do końca zwykłym człowiekiem. Własność natychmiastowej regeneracji mogą mieć nadrodzaje po mutacji.

- Kto? - zdziwiła się Rose.

- Elitarna grupa nadczarodziejów. Z tego, co wiem, we Wszechziemi jest ich sześciu, ale wątpię, żeby to był jeden z nich.

- Czekaj, wytłumacz mi to - prosiła Rose.

- Normalnie czarodziejem może zostać każdy, jeśli oczywiście wytrzyma nowicjat. Potem rada magów przekazuje uczniowi część swej mocy. Potem alumn ma dostęp do ksiąg z zaklęciami. Poznaje nowe uroki, czasem niektóre klątwy. Jedne wymagają niewiele mocy, inne wręcz przeciwnie. Niektóre zaklęcia są niezwykle niebezpieczne. Kulę Ognia wyczaruje nowicjusz po pierwszym tygodniu, ale na przykład Ognistą Pożogę w ciągu całej historii wyczarował tylko jeden mag.

- Takie to trudne?

- Okropnie, nikt nie zna prawidłowego układu. Wystarczy jeden błędny ruch, by pożoga strawiła tego, kto ją tworzy. Podobno gdzieś jest zapisany poprawny układ, ale ten

manuskrypt zaginął. Chodzi o słynny manuskrypt Flettego.

- Zaraz, a co to ma wspólnego z tymi nadrodziejami?

- Słuchaj uważnie. Jeden z czarodziejów odkrył kiedyś księgę tego Flettego. To był czarodziej, który odkrył siedem układów mających moc zniszczenia całej armii.

- No proszę!

- Właśnie. Wszystkie siedem, w tym Ognista Pożoga, zapisane są w manuskrypcie, jednak księga mówi, jak można uniknąć odwróconego skutku układów. Trzeba przejść mutację polegającą na nafaszerowaniu się odpowiednimi ziołami i eliksirami w odpowiednim czasie i miejscu. Flette był pierwszym nadrodziejem. W księdze zapisany jest cały proces mutacji.

- Czyli co, oni mają tę księgę i się faszerują? Popierdzeniecy - rzekł Angal.

- Jest ich sześciu, czyli coś nie wypaliło? - zapytała elfka.

- Ci najbardziej ambitni sądzą, że jak się zmutują, mogą bez przeszkód testować układy. Tylko idioci nie pomyśleli, jakie to niebezpieczne. Te zioła i mikstury są tak mocne, że kładą trupem na miejscu. Organizm nie wytrzymuje takiej dawki. Jednak i tu zdarzają się wyjątki.

- Czyli co, organizmy tych sześciu wytrzymały i ćwiczą te układy?

- W sumie to ich nie rozumiem. Wiedzą, do kroćset, że mają złe instrukcje, a i tak, debile, próbują. Pamiętam, że jak jeden testował układ wielkiego tornada, to przez miesiąc składaliśmy go w klasztorze.

- Przecież ma zdolność regeneracji.

- Tak, ale trąba zaniosiła gościa w góry, a nieborak spadł i się podziurawił na szczytach, tak go przecięło, że jego dwie połowy tylko na flakach się trzymały. Cudem przeżył.

- Przestań, bo zwymiotuję! - Rose złapała się za usta.

- Według mnie oni się i tak w końcu załatwią, jak ich wyrzuci w morze albo na wyspę orków - kontynuował czarodziej. - Geronie, co o tym myślisz? Nic nie gadasz.

- Zamyśliłem się. Spodobał mi się przydomek, który nadali mi w Trialton.

- Wykrywacz. Wiem, niezły. Będziesz się nim posługiwał?

- W sumie to bardzo możliwe.

- Czeka, jak to brzmi? Geron Wykrywacz? - powiedziała Rose.

- Do kitu. Lepiej brzmiałoby Geron Wypruwacz - zaproponował krasnolud.

- Jak tak słucham, to Angal ma rację. Wypruwacz brzmi lepiej.

- Przydomek musi się skądś brać. A Wypruwacz?

- To się da załatwić. - Krasnolud uśmiechnął się paskudnie. - Wystarczy kilka akcji. A na tego tu to musimy baczyć, bo jest podejrzany.

- Dobra, nie pieprzcie tyle, kładźmy się spać. Wstajemy jutro o świcie i jedziemy do Balha Deal.

Dogasili ognisko i ułożyli się wokół niego. Zul objął pierwszą wartę, przypasał miecz i oddalił się na piętnaście jardów w zarośla. Zza chmur wyłonił się księżyc. Była pełnia. Geron długo nie mógł zasnąć, mimo że słyszał obok głębokie oddechy swoich towarzyszy, Angal chrapał. Wstał i na palcach

dotarł do juków. Wyciągnął mapę, usiadł na kamieniu i upuścił kroplę krwi. Byli w lesie na pograniczu Vea Utheel i Wirbergu. Jakież dwadzieścia mil na północny zachód i będziemy w innym kraju, pomyślał. Złożył mapę i spojrzał w niebo. Nie znał się na konstelacjach, ale wyraźnie widział Białą Gwiazdę, wyznacznik północy. Wrócił na swoje miejsce w legowisku, między krasnoludem a Rose. Założył ręce za głowę i spoglądał w gwiazdy. Potem odwrócił głowę w prawo i zmarł. Po chwili uświadomił sobie, że te wielkie, błyszczące oczy należą do elfki.

- Nie śpisz? - zapytał szeptem.

- Angal tak chrapie, że nie sposób - odparła. - O czym tak myślisz?

- Zastanawiam się nad tym wszystkim. Zул cały czas powtarza, że jestem jakimś wybrańcem bogów. Dziwnym trafem w mojej rodzinie znajduje się potężna, magiczna broń. Ludzie, elfy i krasnoludy zaczynają widzieć we mnie zbawiciela.

- A tak nie jest?

- No właśnie nie. Jestem prostym chłopem. Manier i wymowy nauczył mnie Zул w trzy dni. Jedyne, co mam, to siła, którą nabyłem z konieczności. Jestem nikim. I, według Zula, mam stanąć na czele armii całego Wszechziemia. Przecież są królowie, niech oni się biją z orkami. Oddam im ten topór i wrócę do siebie.

- Nie pomyślałeś, że może Zул ma rację? Może bogowie celowo dali ci tę broń i pozwolili, byś dokonał takich czynów, o jakich innym się nie śniło?

- Teraz nie wiem. Czasami, jak śpię, śni mi się dziwny człowiek wskazujący jakąś wyspę poza granicami mapy. W Trialton byłem u kartografa, jednak ostatnia wyspa, która widnieje na mapie, to wyspa orków. Udało się ją dokładnie zlokalizować i określić jej kształt po królewskich eskapadach. A dalej - nic, próżnia.

- A czy ktoś żeglował dalej, poza Krwawą Wyspę?

- Chyba nie.

- To skąd wiesz, że ta wyspa z twojej głowy nie istnieje?

- Gadasz tak, jakby Zul przekabacił cię na swoją stronę.

Wierzysz w to, co mówi?

- Zawsze ufałam bogom. Zul miał cię tylko odnaleźć, rozkaz dostał od przełożonych klasztoru, a oni od samych bogów. A skoro ufam bogom, to wierzę również w słowa Zula, który jest tylko pośrednikiem. Lepiej sam w to uwierz.

- Tylko że ja nie mam w sobie tyle siły. Już padam, a jeszcze nie dotarłem do klasztoru. Cholera, za bardzo się użalam na sobą. Lepiej śpijmy. Dobrej nocy.

- I wzajemnie.

Zasnął. Wpierw śniło mu się, że walczy z orkiem, później ten zmienił się w trolla, więc siłował się z trollem. Zleciał ze skarpy, a gdy otworzył oczy, koronowali go na władcę Wszechziemia. I znów pojawił się on. Trzymał tę mapę i wskazywał wyspę. Nim Geron przyjrzał się jej lokalizacji, obudziły go wstrząsy. Ktoś wykrzykiwał jego imię.

- Geron, cholera, wstawaj!

- Co, do chuja?!

- Nie ma go!

- Kogo, Zul, do kurwy nędzy?
- Tego obdartusa!
- Co?!
- To patrz!

Wstał. Spojrzał pod drzewo. Chłopa rzeczywiście nie było. Geron przeciągnął się.

- Coście z nim zrobili? Które to?
- No żadne z nas, przecież spaliśmy.
- Na mojej warcie jeszcze był. Angal, ty miałeś wartę po mnie, nie zaszlachtowałeś go?
- Ja? Z takimi plecami? Przysnąłem tylko na chwilę, zaraz przed świtem. Wtedy musiał dać dyla.
- Miałeś, kuźwa, czuwać. Trudno. No jazda, szukamy go.
- Jak go coś zeżarło, to sobie możemy szukać, chyba w dupie - mamrotał krasnolud.

Szukali wśród zarośli, lecz nie mogli go znaleźć. Po godzinie dali za wygraną.

- Myślę, że albo coś porwało go w nocy, albo wstał i polazł w las. Jak poszedł na wschód, to możemy szukać kości po uczcie trolli - rzekł Angal.
- Trudno. Stary, musimy jechać. Nic nie poradzimy - dodał czarodziej.
- Macie rację. Nie marnujmy czasu. Na konie! - odparł Geron.

Zebrali manatki, usunęli ślady obozowiska, sprawdzili juki i kulbaki. Wyprowadzili wierzchowce na dukt. Trolli nie było widać. Ruszyli truchtem, później puścili się galopem. Do stolicy zostało im dziesięć mil i tylko jedno miasteczko po

drodze. Dotarli do niego bardzo szybko. Było to typowe miasteczko, może bardziej zadbane ze względu na bliskość stolicy. Wokół rozciągała się palisada, przy drewnianej bramie stało dwóch strażników. Przez bramę wjazdową dostrzec można było brukowaną ulicę i kilka kamiennych domów. Pozdrowili strażników, aczkolwiek ci nie bardzo przejęli się przybyszami, bardziej ciekawiła ich zawartość czwartej butelki, którą otwierali. Wędrowcy rozejrzeli się. Ulica prowadziła wprost do niskiego ratusza. W kamienicach po bokach znajdowały się mieszkania i zakłady rzemieślnicze. Pięćdziesiąt metrów od nich, po lewej stronie, zauważyli znak kierujący do oberży. Znajdowała się na końcu obskurnej uliczki, a naprzeciwko, w drugiej alei, stała rzeźnia. Niebo było dzisiaj zachmurzone, na ulicach nie było ruchu, za to więcej szwendających się psów. Weszli do oberży, uprzednio oddawszy konie stajennemu. Za szynkwasmem dostrzegli barmankę. Była to kobieta po czterdziestce, przy kości, z długimi, kręconymi blond włosami i w ubraniu nieodpowiednim do jej wieku - między spódnicą a bluzką zawiązaną tuż pod biustem wystawał spory brzuch. W tawernie nie było ruchu, tylko pod ścianą siedziało dwóch dobrze już znieczulonych towarzyszy pijących zawodowo. Kobieta na widok czterech gości uśmiechnęła się, ukazując kilka brązowych zębów między ubytkami.

- Co podać? - zapytała, gdy już usadowili się przy stole.

- Cztery piwa, jeśli łaska. Można tu przenocować? - spytał Geron.

- Tak, na górze mam trzy pokoje.

- Tylko trzy? Trudno, a co z zaopatrzeniem?

- Tylko to, co w tej karcie - podała mu pergamin przymocowany do kawałka sklejki.

Odeszła, by po chwili powrócić z czterema kuflami piwa. Trudno to było nazwać kuflami i piwem. W jednym nie było ucha, drugi najwyraźniej ktoś pogryzł, trzeci był strasznie brudny. Tylko jeden był w miarę przyzwoity. Ten oddali Rose. Browar smakował tak, jak gdyby ktoś załatwił się do beczki z piwem. Geron jednak miał na tyle przyzwoitości, że tylko uśmiechnął się do barmanki i poprosił o cztery golonki. Angalem trzęsło.

- Ja chędoże, co za lura. W pierdłu miałem lepsze piwo. O rzut beretem od stolicy, a tu takie siki. Cholera!

- Uspokój się, Angal, nic ci nie poradzę. Geron, po jakie licho pytałeś o kwaterę? Przecież będziemy w Balha Deal góra za godzinę - zaciekał się czarodziej.

- Mam dziwne wrażenie, że zabawimy tu dłużej. Odkąd jesteśmy na szlaku, doznawałem takiego uczucia, gdy mieliśmy jakąś akcję.

- Czekał, mówisz o jakiejś robótce czy rozróbie? - dopytywał Zul.

- Nie wiem co, ale teraz ten objaw jest bardzo silny. Czuję po prostu, że coś się wydarzy. Takie nasilenie było tylko przy akcji ze świdrogrzmotem. Chociaż nie, teraz jest silniejsze.

- O czym ty mówisz?

- Coś się, cholera, wydarzy. Musimy popytać ludzi, czy ostatnio nie działo się tu coś dziwnego.

- Chłopie, nie mamy czasu na miejscowe problemy. I tak

przeciągamy podróż.

- Sam mi, kuźwa, mówiłeś, że mam pomagać współziomkom i nie tylko, nie? A zwróć uwagę, że w środku dnia ulice są puste. Czy to nie podejrzane?

- Trochę, ale stary, jeszcze nie doszliśmy do klasztoru!

- Nie wierzę, to on! - krzyknęła nagle Rose.

- Kto?

- Ten ciul obdarty. Nic go nie zezarło. - Wskazała na wejście. Rzeczywiście, w drzwiach stał typ, któremu uratowali tyłek. Rozejrzał się nieprzytomnie po oberży, podszedł do lady i zamówił setkę, po czym siadł na najbliższym krześle.

- Naprany jak maskonur. Patrzcie na niego, nie wierzę, nie ma żadnej rany, najmniejszej - paplała Rose.

- Racja. Czekaście, pogadam z nim. - Geron dopił piwo, wstał i dosiadł się do przybysza.

- Witam pana.

- My się znamy?

- Zeszłej nocy uratowałem ci dupę przed dwoma trollami. Rozjaśnia ci się umysł?

- A tak, możliwe. Ale pamiętam tylko, że uciekałem przed trollami, a potem to już ocknąłem się w jakimś lesie pod drzewem. Wstałem i poszedłem na północ, ale trafiłem na bagna, więc skierowałem się na wschód. I doszedłem tutaj. Jeśli rzeczywiście zawdzięczam ci życie, to wielkie dzięki.

- Mogę cię o coś spytać?

- Wał, jestem ci to winien.

- Wczoraj miałeś na ciele wiele ran, a dziś ani jednej. Jakim cudem?

- Yyy... tego nie mogę ci powiedzieć niestety, prawie się nie znamy.

- Geron z Maro.

- Festus la Vardo z Kolveilen. Czekał, to ty jesteś ten Geron, co udupił sędziego z Trialton, tak?

- Dokładnie. Gdzie leży Kolveilen?

- To jedno z miasteczek latarnianych w Wirbergu. A Maro?

- Na południu Veä Utheel. To najbardziej wysunięta na południe wioska we Wszechziemiu, wielu nazywa ją Krańcem Świata.

- No tak. A tamci to twoja kompania? Ciągniecie do stolicy?

- Właśnie. Chwileczkę, skoro jesteś z Wirbergu, to co robisz w tej dziurze?

- Szwendam się. Jestem rodzinnym wyrzutkiem, włóczę się trochę po świecie. Powiem ci tylko, że łatwo nie jest.

Geron przez cały czas przyglądał się rozmówcy. Oprócz zjawiska, które zaobserwował wcześniej, Festus miał jeszcze kocie, pionowe źrenice i nad wyraz grube palce, zaciśnięte na kieliszku.

- Przepraszam cię na chwilę. - Wrócił do towarzyszy.

- Zł, objawami czego są pionowe źrenice?

- Pionowe? Stary, to nie kieruje nas na żaden trop. Wystarczy łyknąć odpowiednie zioło, by źrenice się zmieniły. Ba, możesz całe oczy zmienić. Swoją drogą, co to za typ?

- Festus la Vardo. Z Kolveilen na Wybrzeżu Wirbergu - dodał, widząc pytające spojrzenie Rose.

- Wybrzeże Wirbergu? Co tu robi gość z wybrzeża?
- Mówi, że się szwenda, znaczy podróżuje po Wszechziemiu, ale kasy nie ma.
- Zaproś go tu, ciekawie byłoby zbadać człowieka o zdolności samoregeneracji - rzucił czarodziej.
- Odbiło ci?! A jak to jaki wampir albo jeszcze gorsze bydlę? - protestował krasnolud.
- E tam, to się go zaciuka- odparł Zul.
- Panie la Vardo, pozwól pan tutaj. - Geron dostawił puste krzesło.

Tamten podniósł się, zatoczył na lewo, wywracając taboret, szybko jednak przywrócił się do pionu i usiadł na wskazanym miejscu. Angal patrzył na niego nieufnie. La Vardo widocznie wypił już więcej niż jedną setkę. Spojrzał nieprzytomnie na zebranych.

- Panie Festusie, to moi przyjaciele - Krasnolud Angal, elfka Rosette - przedstawił kompanów Geron, a la Vardo powtarzał imiona - oraz czarodziej Zulzedeus. - To była gratka dla Festusa. Sześć razy próbował powtórzyć to imię, lecz w takim stanie okazało się to niemożliwe. - Mówimy na niego Zul, takie zdrobnienie. - To już udało mu się powtórzyć.

- Bardczo mi myło. - odparł w końcu. Kompania spożyła golonki, później próbowali porozmawiać z Festusem, lecz ten wlał w siebie cały dzban wódki naraz i zasnął. Zanieśli go do jednego z trzech pokoi. Po dwunastej Geron wyszedł do wioski. Ruch był identyczny jak rankiem. To go trochę zdziwiło. Zwykle od rana w wioskach i miastach ruch jest ogromny - handel i tak dalej. Tu było zupełnie cicho. Ruszył

wzdłuż głównej ulicy w kierunku ratusza. W ciszy zauważył nosy przyklejone do szyb i wystraszone oczy. Intuicja go nie zwodziła, coś tu się wydarzyło. Ludzie bali się wychodzić z domów. Najwyraźniej ktoś chodzący śmiało po ulicy był dla nich niezwykłym zjawiskiem. Mimo swojej postury sam odczuwał lęk, topór został z bagażem, zbroja też. Przy sobie miał tylko kordzik. Dotarł do ratusza. Na dachu widniał kurek i flaga prowincji. Postanowił zejść do zarządcy. Jego dom był tuż obok ratusza. Zapukał. Cisza. Zapukał ponownie. W oknie przy drzwiach ukazała się wystraszona kobieca twarz. W chwili, gdy miał załomotać w drzwi, te otwarły się delikatnie. Przez szparę ujrzał tę samą kobietę.

- Tak? - zapytała niepewnie.
- Czy to dom zarządcy miasta?
- Oczywiście, ale mąż jest ... ee... zajęty.
- Niech się pani nie obawia, ja przejazdem. Jestem Geron z Maro. - Kobieta zlustrowała jego umięśnione ciało.
- Czekał pan, ten od świdrogrzmota?
- Tak, to ja. Mogę wejść?
- Chwileczkę. Gienek! - wydarła się w głąb domu.
- Co? - odpowiedział jej chrapliwy głos.
- Ktoś do ciebie. Pan mówi, że nazywa się Geron.
- Co? Taki duży z czarnymi włosami?
- Noo.
- To dawaj go tu!
- Proszę, niech pan wejdzie. Mój mąż ostatnio przechodzi kryzys. - Wpuściła Gerona do środka i zaprowadziła do niewielkiego salonu. Z prawej strony na kanapie pod oknem

leżał zarządca. Był to sędziwy człowiek, trochę okrągły w okolicach brzucha, lecz o poczciwej twarzy. Poderwał się na widok gościa i wskazał na czerwony fotel po drugiej stronie stołu, naprzeciwko jego kanapy. Wyciągnął pulchną dłoń w geście powitania.

- Cóż za znamienity gość mi się trafił. Nigdy nie sądziłem, że będę miał tę przyjemność. Eugeniusz Trok, zarządca Rokil, tego oto małego miasteczka.

- Geron z Maro, wędrowiec.

- Wiem, nie musisz się przedstawiać, panie. Jednakże dotarłeś do naszej wioski w nieodpowiednim momencie.

- Co się stało? Orkowie? Gobliny? Przecież nie mamy wojny jeszcze.

- Widzisz, panie, gdyby to byli orkowie, to pralibyśmy ich, a nie chowali się. To coś gorszego.

- No właśnie, nikogo nie ma na ulicach. Zazwyczaj o tej porze jest wielki ruch. Co was tak wystraszyło?

- Żebyśmy to wiedzieli. Z tego co wiem, to dwie siły nieczyste.

- Dwie?

- Panie, trzy dni temu rano znaleziono zwłoki młodej pary z naszej wioski. Potworność, nigdy nie widziałem czegoś równie okropnego. Ciała były zmasakrowane, niektórych kończyn nie było, twarze poszarpane.

- A ta druga?

- Dwa dni temu, z wieczora, trzech mieszkańcy Rokil zobaczyli jakąś zjawę, demona. Jeden z nich stracił wzrok, drugi zmienił się w kamień, a trzeci stał się trędowaty. Ci

dwaj, którzy przeżyli, mówią to samo – że widzieli białą zjawę. Teraz każdy boi się wyjść. O, wczoraj rano znaleźliśmy kolejne poszarpane zwłoki.

- Nieprzyjemna sprawa. Siły nieczyste, powiadasz pan? Gorzej. Być może to dzieło Upadłego.

- Rany boskie! Więc co mamy robić?

- Co do tych zwłok, to pomogę panu. Jeśli są poszarpane, to znaczy, że to coś materialnego je zabiło, czyli można to zabić. Jednak w tej drugiej sprawie nie pomogę. Stolica blisko, pošlij pan po kapłana albo lepiej po maga. W sumie to obaj się przydadzą.

- Nie pomyślałem o tym ze strachu. Ale kto pojedzie? Wszyscy się boją.

- Niech się pan nie martwi, zajmę się tym. Ale kilku odważnych z wioski się przyda. Znajdź mi, mości burmistrzu, takich i wieczorem podeślij do oberży, dobrze?

- Dziękuję, czcigodny Geronie. To co, może koniaczku?

- A chętnie.

*

- Czyli co, czekamy tu na potwora? Akurat w beczkach?

- Zamknij się, Zul. Wolałbyś stać tam z naszą przynętą?

- Nie było pytania. Ale dlaczego Angal tak długo nie wraca? Już dawno powinien przybyć.

- Nie wiem, podejrzewam że mag się nie stawiał, ale kapłan chciał pewnie po wieczornych obrzędach. Powinieneś wiedzieć jako czarodziej.

- Dobra, zapomniałem. Ale...

- Zamknij się. Patrz.

Na środku ulicy stały ich przynęty, dwóch mieszkańców Rokil. Oni sami siedzieli w beczkach w bocznych uliczkach. Miejsce oświetlały tylko cztery pochodnie umieszczone na palach wzdłuż drogi. W migotliwym świetle widzieli przynęty niezbyt wyraźnie. Geron miał topór ukryty za winklem, sam siedział w zbroi, Zul miał kolczugę. Rose znajdowała się naprzeciwko, na piętrze kamienicy, z łukiem w ręku. Oprócz nich i przynęt w akcji brało udział trzech ludzi zarządcy, ukrytych w pobliżu i w zasięgu strzału z łuku. Tkwili tu już trzecią godzinę. Dawno już się ściemniło, ale nic się nie działo. Przynęty zdążyły zmarznąć.

- Stary, myślę że nic się nie wydarzy. Potwór dał sobie spokój.

- Chyba nie, patrz na palisadę.

Spojrzał i krew mu zamarzła w żyłach. Na belkach siedział człowiek. Nie, to był wilk. Zul zmrużył oczy. Wilkołak. Spojrzał w bok, był i drugi. Przeskoczyły palisadę. W sumie było ich sześć. Sześć wilkołaków. Ja pierdołę, jesteśmy trupami, pomyślał Zul. Wataha zbliżała się do przynęt. Gdy potencjalne ofiary zauważyły, co się święci, narobiły paniki. Wilkołaki ukazały się w świetle pochodni. Wówczas Rose strzeliła. Jednak potwór usłyszał świst i odskoczył. Grot wbił się w ścianę. Pierwsza z trzech srebrnych strzał poszła w dupę. Rose zaklęła. Geron wyskoczył z beczki, chwycił topór i przelał swój gniew do broni. Ta rozbłysła. Jedna z przynęt zemdląca. Druga wzięła ją pod ramiona i wycofywała się z pola walki. Geron jednym płynnym ruchem zabił

pierwszego wilkołaka z brzegu. Ciął od dołu, tak że wnętrzności bestii wylały się na zewnątrz. Wypruwacz, pomyślał Geron. Druhowie martwego, widząc to, rzucili się do ataku. Do akcji wkroczył też Zul ze srebrnym mieczem. Ciął na odlew i odrąbał wilkołakowi rękę. Stwór zawył i drugą ręką uderzył czarodzieja. Zula odrzuciło, uderzył plecami o ścianę, wypuścił miecz. Rose strzeliła po raz drugi. Przeszyła strzałą łeb wilkołaka, któremu mag odrąbał rękę. Wtedy do akcji wkroczyli miejscowi. Zostały cztery potwory. Geron sparował uderzenia dwóch wilkołaków, ugiął nogę w kolanie, wyprostował nagle i kopnął z całej siły w brzuch najbliższego potwora. Ten szczerknął i odpuścił, jednak drugi nadal próbował wyrwać mu broń. Kopnął i tego, a gdy stwór puścił, uderzył ostrzem w jego łeb. Mózg i posoka wytrysnęły. Elfka strzeliła po raz trzeci, lecz spudłowała, gdyż bestia odskoczyła w ostatniej chwili na jednego z miejscowych i rozerwała go, a w następnym momencie drugi wilkołak zabił kolejnego mieszkańca Rokil. Ostatni z miejscowych rzucił się do ucieczki. Geron osłaniał nieprzytomnego Zula, gdy rzuciły się na niego trzy wilkołaki. Trzymał topór za rękojeść, próbując trzymać bestie na dystans. Rose strzeliła w plecy jednego z potworów, ale była to zwykła strzała. To tylko rozjuszyło bestię. Elfka wiedziała, że Geron nie da rady, ale bała się schodzić po srebrne strzały. W głowie Wybrańca kłębiły się różne myśli, między innymi o śmierci. Wiedział, że jest silny, ale bestie również. Już nie mógł dłużej napierać. To koniec. Nagle w ciemności rozległo się potworne wycie. W blasku pochodni ukazał się nowy wilkołak. Ten był inny, dużo większy

od pozostałych. No pięknie, jeszcze jeden, pewnie wódz, pomyślał Geron. Ku jego zdziwieniu nowa bestia pochwyciła za łeb jednego z napastników, a później oderwała mu zuchwę. Przybysz odrzucił truchło na ziemię. Dwaj pozostali z watahy rzucili się na niego. Geron bez zastanowienia zrobił zamach i odrąbał głowę jednego z nich. Wilkołaki starły się w śmiertelnym boju, który wygrał nowy. Odrzucił ciało pokonanego na ziemię, wyprostował się i spojrzał na Gerona. Był ogromny. Rose zaparło dech w piersiach, Zul odzyskiwał przytomność. Człowiek z Maro uniósł topór. Stwór nadal patrzył, ciężko oddychając. Zaczął się zmieniać. Geron patrzył, wciąż unosząc oręż. Zul wstał, otrzepał się i otworzył oczy ze zdumienia. Rose myślała, że zemdleje, a Gerona zalała fala gniewu. Wilkołak zmienił się w człowieka. To był Festus.

- Ty?! Ja cię zabiję! - Geron rzucił się z toporem. Zul go powstrzymywał.

- Czekaj, niech to wytłumaczy.

- Co będzie tłumaczył?! Puść mnie, utłukę gada jak psa! To jeden z nich! Nienawidzę wilkołaków! To właśnie taka bestia zabiła mi ojca!

- Geronie, posłuchaj, nie jestem wilkołakiem. Jestem lykaninem.

- Nie pitol, widziałem, wszyscy widzieli, jesteś potworem! Mówiłem ci Zul, puść mnie, zatłukę go na miejscu!

- Miałem wobec ciebie dług. Ty uratowałeś mnie, ja ciebie. Jesteśmy kwita. Panie Zul, możesz wytłumaczyć mi, kim jest lykanin?

- Szczerze, to nie, bo zapomniałem. Nie przykładałem się

do bestiologii, wolałem klątwy. Czy to działa na podobnej zasadzie jak w przypadku wampirów i wernhor?

- Z tego co wiem, tak. Geronie, posłuchaj, potem stwierdzisz, czy mnie zabić, czy nie, dobra?

- Geron, uspokój się, pogięło cię? Daj chłopakowi powiedzieć - poparł go Zul.

- Dobra, mów. Ciesz się, że nie ma tu Angala, z miejsca by cię zaciukał.

- Słuchaj uważnie. Zwykły wilkołak to człowiek ugryziony przez inną taką bestię, przemienia się tylko w trzydniowej fazie pełni księżyca, czyli na trzy noce na miesiąc. Przemiana następuje niezależnie od woli człowieka. Wówczas traci rozum, kierują nim tylko instynkty i żądze. Staje się maszyną do zabijania i nie ma nad tym kontroli. Tak jak ci tutaj. Rano nie wiedzieliby, że kogoś zabili, jednak mieli świadomość, że przemiana nastąpiła i prawdopodobnie popełnili morderstwo. Za to lykanin ma pełną kontrolę nad ciałem. Może przemienić się w potwora w każdej chwili, niezależnie od pory dnia czy nocy, i wie, co robi, po czyjej stronie stoi. Jak ja przed chwilą, przemieniłem się, by ci pomóc. Nic więcej. Podobnie jest z wernhorami, to wampiry mające pełnię kontroli nad ciałem. Wernhora w przeciwieństwie do wampira nie spala się na słońcu, nie działa na nią srebro, podobnie jak na lykanina.

- Zaraz, a w jaki sposób z wilkołaka robi się lykanin, chyba nie z chęci?

- To strasznie trudny proces. Niewielu wilkołakom, których poddano przemianie w lykanina, udało się przeżyć.

- Co ty pierdzielisz? Zul, co wiesz na ten temat?

- Coś słyszałem, że wilkołaka trzeba czymś związać i coś mu wlać w gardziel, ale nie wiem co.

- Podczas pełni księżyca, aby dokonać przemiany, należy wilkołaka skrępować srebrnymi linami na kamiennym łożu. Musi padać na niego blask księżyca. Na głowę wkłada mu się wieniec z osiki. Jeśli wilkołak wytrzyma te tortury przez godzinę, wlewa mu się w gardziel Ekstrakt Mutacji.

- Aa, teraz nie dziwię się, dlaczego populacja lykanów jest taka niewielka - rzekł Zul.

- Czymże jest ów Ekstrakt Mutacji? - spytała Rose, która pojawiła się obok. Widocznie zeszła z piętra.

- To najgorsza mikstura świata. Pamiętacie, jak opowiadałem wam o przemianie w nadmaga?

- Niestety.

- Ostatnia mikstura, którą musi wypić przyszły nadmag, to właśnie Ekstrakt Mutacji. Właśnie na nim padło najwięcej czarodziejów.

- Jaki to ma skład? - padło drugie pytanie z ust elfki.

- Jakby co, to popraw mnie, Festusie. Z tego co wiem to czarny bez, głóg, jad żmii i kobry, krew harpii oraz ... kurde, co pominąłem?

- Zemdlica, najbardziej trujące ziele we Wszechziemiu - dodał Festus.

- Właśnie, i musi się to marynować miesiąc. Jakim cudem przeżyłeś? - zwrócił się do lykanina Zul.

- Może opowiem wam od początku. Miałem siedem lat, gdy ugryzł mnie wilkołak, kiedy spacerowałem przez las. Byłem synem namiestnika Kolveilen. Ojciec strasznie zniósł

fakt, że stałem się potworem. W każdą pełnię zamykał mnie w lochach, skąd nie mogłem uciec. W końcu jednak, po dziesięciu latach, taki jeden bufon wygryzł ojca ze stanowiska. Musieliśmy opuścić rezydencję. Rodzice wielce się zasmucili, bowiem nie mieli gdzie mnie schować podczas pełni, bym nie wyrządził szkód. W ciągu tygodnia ulokowałem ich w pewnej wiosce i załatwiłem ojcu posadę. Sam odszedłem, by przypadkiem w trakcie pełni nie zaatakować własnych życiodawców. Przez dwa lata błąkałem się po Wirbergu, potem wyszedłem poza granice kraju. Normalnie najmowałem się do prac tymczasowych, by zarobić na chleb, a w czasie pełni wychodziłem na odludzie, by nikomu nie zrobić krzywdy.

- Bardzo chwalebnie jak na wilkołaka, większość ma to w dupie - wtrącił Zul.

- Wiem. Po trzech latach, można powiedzieć, dobrowolnej banicji, wróciłem do ojczyzny. W Miris, stolicy Wirbergu, znalazłem stałą posadę. Stawałem się coraz lepszy w swoim fachu, byłem rzeźnikiem. W końcu poznałem kobietę. Dopiero później dowiedziałem się, że jest czarodziejką. Miała wielkie ambicje, chciała zostać, jak to Zul powiedział, nadmagiem. Został jej ostatni etap mutacji, wypicie ekstraktu. Dowiedziawszy się o mojej przypadłości, zaproponowała, żebym i ja przemienił się w lykanina. Razem bylibyśmy niezwyciężeni - ona wielka nadrodziejka i ja, lykanin, jak dobry ochroniarz zdolny obronić ją przed każdym niebezpieczeństwem. Zgodziłem się. To było piętnaście lat temu, ale pamiętam to do dzisiaj. Znaleźliśmy stare uroczysko. Nim nastąpiła pełnia, związała mnie. Początkowo nic mi nie

było, ale po przemianie odczuwałem straszny ból ze względu na srebro i osikę. Jakoś to wytrzymałem. Potem wlała mi w gardziel to świństwo. Cholernie gorzkie. Pamiętam, że tłukłem się niemiłosiernie. Potem serce przestało mi pracować. Przestraszyła się. Rozwiązała mnie szybko, mimo że byłem wilkiem. Jednak to było przejściowe, organizm konfrontował się z miksturą. Nad ranem ciało zmieniło się w człowieka. Ona już chciała mnie zakopać, gdy zerwałem się jak poparzony. Oniemiała ze zdumienia i radości. Zaczęliśmy obserwować zmiany, ale niewiele ich zaszło. Kazała mi się przemienić. Skupiłem się, lecz przez godzinę nic nie wychodziło. Potem jednak udało mi się kontrolować ciało. Wiedziałem już, że aby się przemienić, trzeba się skupić na kończynach, odczuwać ogromny gniew i złość. To właśnie złość napędzała przemianę. Zachęcona moim sukcesem, wieczorem sama zaaplikowała sobie dawkę eliksiru. Podobnie jak mnie stanęło jej serce. Czekałem trzy doby, lecz nie zabiło już więcej. Trzymałem jej ciało przez tydzień, aż zaczęło cuchnąć. Wtedy wiedziałem, że jej organizm był słabszy od mojego i nie wytrzymał. Pochowałem ją, potem na zawsze opuściłem Miris, bo przypominało mi ją.

- Smutna, ale piękna historia. - Rose otarła łzę z oka.

- Wybacz, nie wiedziałem, że los był dla ciebie okrutny.

Dzisiaj cię nie zabiję - dodał Geron.

- A jak znalazłeś się tutaj? - spytał Zul.

- Po pogrzebie przeniosłem się do Viri Inis i znalazłem pracę w rzeźni w Jodburgu. Żyłem tam skromnie, nie przemieniałem się w lykanina bez potrzeby. Kiedy czasem

słyszałem, że jakieś wampiry albo wilkołaki łążą po wsiach, to dyskretnie je likwidowałem. Jednego dnia były, drugiego już nie. W końcu jeden głupek zagryzł piętnastu ludzi w Jodburgu. Powstała wataha szesnastu, słynna na całą okolicę. W nocy, za miastem, załatwiłem ośmiu, lecz brakowało mi tchu. Wtedy wpadła straż miejska i, o dziwo, załatwiła resztki watahy. Ale mnie się bali, byłem największy wskutek mutacji. Zmieniłem się z powrotem w człowieka, ale kasztelan w Jodburgu nie chciał mnie słuchać. Lubił mnie, ale powiedział, że nie chce narażać mieszkańców, więc albo mnie spali na stosie, albo mam udać się na dobrowolne wygnanie, natychmiast. Więc poszedłem bez grosza przy duszy. Po dwóch tygodniach byłem wykończony, bez jedzenia i picia. Wpadłem na dwóch zbójów. Rozszarpałem ich, ale miałem niewiele sił, trochę mnie poharatali. Wziąłem ich pieniądze. Wędrowałem polami, więc nie trafiałem na osady. Ominąłem stolicę Vea Utheel, bojąc się, że rozesłano za mną listy gończe. I w końcu wpadłem na te trolle. Resztę znacie.

- Czekał, mówiłeś coś o skutkach mutacji.

- Ano tak, jako człowiek mam kocie źrenice, jako lykanin jestem olbrzymi. Po drodze spotkałem paru innych lykanów, jednakowoż żaden nie jest tak potężny jak ja. Kilku się mnie bało, inni proponowali, bym dołączył do klanu i zostałem wodzem. Niektórzy po mutacji stracili pigment i są biali lub zyskali dodatkowy kolor i stali się, na ten przykład, pomarańczowi, inni mają dłuższe pazury lub kły. Jeden stał się jasnowidzem. Ogólnie każdy lykanin ma zdolność przyspieszonej regeneracji, rany goją się w ciągu paru godzin.

- Zaraz, jaki klan? To lykanie mają klan? - zaciekał się czarodziej.

- Ciszka, to tajemnica, istnieje stowarzyszenie i ma nawet siedzibę, dość sporą. Zajrzałem tam, ale nie chciałem spierać się z wodzem, bo inni żądali jego detronizacji i obsadzenia na stołku mnie. Lecz ja nie chciałem. Ale nie proście mnie, nie mogę wyjawiać śmiertelnym lokalizacji siedziby klanu.

- Czyli teraz nie masz nic do roboty? - pytał Zul.

- Myślisz o tym co ja? - Geron uśmiechnął się znacząco.

- Noo, ale poczekajmy na Angala. Jeszcze musimy wyjaśnić sprawę tej... Jasna cholera!

- Co jest?

- Zagadaliśmy się na środku drogi, a ona zdążyła przybyć.

- W oczach czarodzieja pojawił się strach. Dostrzegł coś za plecami pozostałych. - Tak jak chłopcy opowiadali.

- Co jest? - powtórzył Geron.

- Za tobą. - Głos czarodzieja stał się piskliwy, potem szybko się odwrócił, zasłaniając twarz rękami. Geron, Rose i Festus również odwrócili się i ujrzeli ją. Metr nad ziemią szybowała kobieta w rozwianej, białej sukni, którą trzymała za poły i rozchylała na boki, co sprawiało, że suknia falowała na wietrze. Rozwiane były również jej kasztanowe włosy. Całą jej postać spowijał niezmierny, mleczny blask, który raził oczy. Zasłonili rękawami twarze. La Vardo przyjrzał się przybyłej, a po chwili opuścił łokieć i otworzył usta ze zdumienia.

- To... to ona! - rzekł w końcu.

- Kto?

- Selin, moja czarodziejka!

- Przecież ona nie żyje od piętnastu lat!

- To jej duch. Chyba przyszła do mnie.

Zjawa zatrzymała się przed zebranymi. Spojrzała zalotnie na Festusa i wyciągnęła do niego rękę. Chciał ją pochwycić, lecz Zul krzyknął:

- Nie! Nie dotykaj jej, bo wciągnie cię do krainy umarłych!

- Co?

- Jeśli zjawa wraca do człowieka, to tylko po to, aby go zabrać. Jeśli jej dotkniesz, umrzesz!

- Co ty pierdzielisz?

- Było wiele takich przypadków.

La Vardo cofnął rękę. Zjawie się to nie spodobało. Jej oczy rozjarzyły się czerwienią, otworzyła usta i zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się.

- W nogi! - krzyknął Geron.

Nie musiał powtarzać. Rzucili się biegiem w stronę oberży. Festus się trochę opierał, więc Geron porwał go i siłą zaciągnął do karczmy. Wpadli i natychmiast zaryglowali drzwi.

- Co się dzieje? - spytała prawie bezzębna barmanka.

- Zjawa nas ściga, nic poważnego - rzucił pośpiesznie Geron, zapierając ciałem drzwi. Selin wyła przeraźliwie, wycie było coraz wyraźniejsze. - Miałeś rację, idzie po ciebie.

- Cholera, kochałem ją, ale jeszcze nie spieszy mi się w zaświaty.

- Stary, co robimy? - Zul szczękał zębami.

- Skąd mam wiedzieć? Nie jestem egzorcystą! To ty powinieneś wiedzieć. Musimy czekać na odsiecz. Czy zjawy przełazą przez zamknięte drzwi?

- Skąd mam wiedzieć? To mój pierwszy raz.

Jazgot był taki donośny, jakby zjawa stała tuż za nimi. Zul rzucił okiem za okno. Zjawa unosiła się nadal metr nad ziemią i kierowała się do drzwi tawerny. Rose siedziała cały czas na krześle, nic nie mówiąc i szybko oddychając, lecz teraz zemdląła. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień. Duch Selin trząsał drzwiami oberży. Festus był blady jak ściana, Zul jeszcze bardziej.

- Pomóżcie mi, na bogów! - ochrzanił towarzyszy Geron.

Lykanin i czarodziej wsparli go. Zjawa tłukła w drzwi tak, jakby miała ekipę z taranem. Rygle w drzwiach trzeszczały, by po chwili zacząć pękać. Nie utrzymamy tego, myślał Geron. Był wyczerpany po walce z wilkołakami, a teraz jeszcze to. Towarzysze też najwyraźniej nie mieli siły. Geron szepnął coś do ucha Festusowi.

- Może pani iść na zaplecze? Gości i tak nie ma - zwrócił się do karczmarki.

- Po jakie licho?

- Proszę iść na zaplecze!

- Dobra, dobra, już idę, dzikusy. - Najwyraźniej perspektywa spotkania z nieumarłym nie robiła na niej żadnego wrażenia.

Gdy tylko zamknęła drzwi od zaplecza, la Vardo zmienił się w bestię. Jego siła okazała się kluczowa. Odpierali ataki przez jakiś czas, potem zjawa wpadła we wściekłość. Z prędkością światła przeleciała przez okno, rozbijając szybę w drobny mak. Przerazenie odebrało im mowę. Festus stał się znów człowiekiem. Siła mięśni nie miała żadnych szans z mocą

nieczystą. Odwrócili się do niej plecami. Duch Selin był wkurzony. Nidasie, jeśli naprawdę mnie wybrałeś, wspomóż nas, modlił się w duchu Geron. Zjawa uniosła rękę, gdy do karczmy wskoczył Angal, a za nim kapłan i czarodziej.

- *A lishma, sete, arkhanum irtere parlisimo won!* - krzyknął kapłan, unosząc krufuks, symbol Nidasasa.

- Duchu przebrzydły, wracaj skąd przybyłeś, zostaw nas śmiertelnych! - dodał przybyły mag, rzucając w zjawę błyszczący proszek. Najwyraźniej działał, bo duch Selin zaczął się miotać. - Przez krew bogów naszych i moc ziemi nakazuję ci, upiorze, wracaj do ojca swego, Raala zwanego Upadłym!

Zjawa nie była tym zachwycona, jednak siła bogów zmusiła ją do odwrotu. Już chciała wylecieć przez okno, gdy na drodze stanął jej kapłan z krufuksem. Natomiast czarodziej wyciągnął menzurkę ze złotym płynem, drugą pustą i srebrną linkę. Otworzył menzurkę i całą jej zawartość wylał na upiora. Zjawa miotała się i wyła przeraźliwie, że aż wiodły uszy, lecz egzorcyci nic sobie z tego nie robili. Mag przywiązał - jak to było możliwe? - żyłkę do ducha, drugi koniec przeciągnął przez pusty od początku flakonik, przez małą, niewidoczną dziurkę, i szarpnął z całej siły. Gdy zjawa wylądowała w menzurce, zakorkował ją, nie wyciągając srebrnego sznurka. Szybko wyszli wraz z kapłanem na zewnątrz i położyli flakonik na siedmioramiennym pentagramie Apponosa. Skąd się tam wziął, kompani Geron nie wiedzieli. Następnie czarodziej wykonał układ, co pozwoliło mu przyzwać Wieczny Ogień. Rzucił strumień ognia na menzurkę znajdującą się w pentagramie. Gdy ogień przygasł, na ziemi

nie został nawet popiół. Nie było śladu po flakoniku, zjawie czy pentagramie. Angal obserwował to z otwartymi ustami, Festus drapał się w głowę, a Geron nie mógł pojąć, jak oni to zrobili. Zulzedeus patrzył na to wszystko z podziwem. Rose nadal była nieprzytomna.

- Jak mistrz to zrobił? To naprawdę ty, mistrzu Mariusie?!

- Zul zachowywał się jak nastolatka.

- Tak, to ja.

- Poznajcie się, to mój nauczyciel, mistrz Marius, a to mój serdeczny przyjaciel i ten, po którego mnie posłaliście, Geron z Maro.

- Miło poznać. Słyszałem o tobie.

- Nie, to mnie jest miło. Dlaczego nie wygnaliście po prostu demona, tylko taki cyrk?

- Zjawa wróciłaby jutro albo jeszcze szybciej. Nie chcieliśmy jej wyganiać, tylko odesłać w zaświaty. To trudniejszy proceder, ale na szczęście szanowny kolega jest kapłanem Apponosa i zna formułę oraz umie rysować pentagram. Nie mogliśmy przyjechać wcześniej, bo kolega miał obrzędy, a ja spotkanie z królem.

- Zna mistrz osobiście Sahaela?

- Od lat. Ale cóż, sprawa załatwiona, możemy wracać do stolicy.

- Jak najbardziej – poparł go kapłan.

- Nie zabawicie dłużej? – zmartwił się Zulzedeus.

- Po cóż, skoro godzinę drogi stąd jest stolica. Radziłbym i wam ruszyć z nami.

- Jeszcze muszę porozmawiać z zarządcą Rokil, lecz teraz

nie będę go budził. Zawitamy z całą kompanią do Balha Deal jutro przed południem.

- Dobrze więc. Do zobaczenia, Geronie. Postaram się załatwić ci rozmowę z królem.

- Och, naprawdę nie trzeba.

- A, właśnie. Zulzedeusie, mam dla ciebie niespodziankę w stolicy.

- Dla mnie? Dziękuję, mistrzu.

- Drobiazg.

- Mariusie, jedziesz czy zostajesz? - spytał kapłan, który zdążył już przyprowadzić konia i go dosiąść.

- Do jutra. - Mistrz Marius odjechał na kasztanku za swym kumem. Kompania usadowiła się przy stoliku i poprosiła karczmarkę. Rose się ocknęła.

- Gdzie ona?

- Spokojnie, już po wszystkim - odparł czarodziej.

- Ale wieczór, niezła jazda - westchnął Festus.

- Co mnie ominęło? - spytał Angal.

- Nic takiego, bawiliśmy się z wilkołakami - rzekł Geron.

- Kurtyzana w rzyć kopana, dlaczego zawsze najlepsza zabawa mnie omija? Ilu ich było? - wkurzył się krasnolud.

- Pół tuzina, a gdyby trafili cię w plecy, byłby koniec. Dobrze, że cię nie było, patrz na wielkiego magika!

- Daj spokój, dobra?

- Pochwal się, ilu zabiłeś? - śmiał się Geron.

- No... tego... daj spokój, mówię.

- To ilu rozwalił? - ciągnął Krętobrody.

- No cóż, jedna ręka do łokcia, zanim nie znokautowali go

na resztę rozgrywki.

- Hi, serio, tylko ręka? Chwila, bo nie wytrzymam. -
Krasnolud próbował powstrzymać napad śmiechu.

- Odezwał się ten, który potrzebował pół dnia, żeby
świątynię znaleźć. Wielki odkrywca - odgryzł się czarodziej.

- Ty sobie nie pozwalaj, powalony worku.

- Chłopaki, spokojnie, i tak byłaby mogiła, gdyby nie la
Vardo - wtrącił Geron.

- To on umie walczyć?

- Nawet nie wiesz, jak.

ROZDZIAŁ 5:

NA DWORZE KRÓLA SAHAELA

- Cholera jasna! Po jakie licho laźles na ten cmentarz?!

Zmierzali do gospody Koński Uśmiech, gdzie wcześniej wynajęli kwatere. Rose została w tawernie - nie znosiła upiornych miejsc. Angal był z nią. Plecy miał już niemal całkiem zdrowe, lecz dokuczały mu jeszcze bóle. Wpadli przez bramę we trzech, pozdrowili halabardzistów i ruszyli brukowaną ulicą.

- Pytam po raz ostatni, po kiego grzyba tam szedles nocą? Byliśmy w dzień, mogles sobie tę księge poogladać.

- Krypta była zamknięta w ciągu dnia, widziałes. A ja musiałem przejrzeć tę księge, pamiętasz, co mówił ten starzec?

- Geron ma rację. Do sakwy złota, ciesz się, żeśmy cię znaleźli, byłbyś pięknym dodatkiem do tej hołoty.

Skręcili za kuźnię i ruszyli do Melvok, zachodniej dzielnicy Balha Deal. Minęli szewca, kilka kamienic wykonanych w neoelfickim stylu, później gildię kupców i dwór Nidasa po przeciwnej stronie. Był to dom magów na prowincji. W końcu dotarli do wrót karczmy. Mimo późnej pory krasnolud i elfka czekali na nich przy stole obok kominka. Wieczory robiły się coraz chłodniejsze, zbliżał się środek jesieni.

- I jak, znaleźliście go? - zapytał Angal na powitanie.
- W ostatniej chwili. Otworzył kryptę, my wbiliśmy do środka, a jedno mrugnięcie oka później z grotty wylazło mrowie nieumarłych - rzekł Festus.
- Żartujesz? Jak byliśmy tam w dzień, wyglądało to na normalny cmentarz. A krypty nie dało się otworzyć, nawet lyk...
- Zamknij jadaczkę, Angal. Widocznie rzucono na nią zaklęcie i otwiera się tylko w nocy. Powiedziałem tej babie, że jej syna tam nie ma, no ale jak polazł tam w nocy, to może sobie go szukać do usranej śmierci.
- Zul, powiedz, masz tę książkę?
- Nie dobijaj chłopaka. Tak się podekscytował opowieścią żebraka, że naprawdę sądził, iż znajdzie manuskrypt w tej krypcie. Dziadyga go podpuścił. Jakżeśmy załatwili nieumarłych, Zul poszedł do tego postumentu. To była zwykła księga ze spisem umarłych, po dotknięciu rozsypała się w proch - powiedział Geron.
- Niesłychane.
- Najwyraźniej jeszcze ktoś ją przeklął i ci umarli powstali - dorzucił la Vardo.
- To teraz można tam wleźć spokojnie w nocy? - zaciekała się Rose.
- Pogieło cię? Myśmy nie zdjęli klątwy, tylko pozasiekali truposzy. Jutro w nocy znowu wstaną.
- Tu trzeba by było wybadać, jaka to klątwa, lecz teraz przepadło. Skoro ta księga była zaklęta, prawda Zul?
- Co? A, tak. Ale się rozsypała. Nieumarli będą rządili

tym cmentarzem na wieki. Ludzie powinni go zamurować lub zasypać.

- Geronie, masz jeszcze tę pamiątkę? - zaczął Festus.

- Mam, pokażemy ją jakiemuś urzędnikowi. Trzech świadków i dowód w każdym sądzie wystarczy.

- Jaką pamiątkę?

- Wolałabyś nie wiedzieć. Dobra, na razie, kompania, zmęczony jestem. Dobranoc.

- Na razie.

- Kolorowych snów, Geron.

- Karaluchy pod poduchy.

- Wolałbym bez karaluchów.

Poszedł do pokoju. Zul był markotny, wciąż żałował. Festus pokrótce opowiedział dwojgu pozostałym o tym, co wydarzyło się na cmentarzu. Mimo zapowiedzi mistrz Marius nie zdołał załatwić wizyty wędrowcom, gdyż świątły władca Vea Utheel wyruszył rano na polowanie, zabierając eksnauczyciela Zula ze sobą. Geron rozłożył się na pryczy i planował wpaść do krainy marzeń i snów, gdy za oknem zrobił się okropny harmider. Zamknął je na haczyk i powrócił na łożo. Wypawszy się porządnie, rano zszedł do salonu. Z towarzyszy zastał tylko płec przeciwną. Dosiadł się do Rose. Miała na sobie coś nowego, widocznie zdołała wczoraj wymknąć się na zakupy.

- Ładny żakiecik. Od kochanka?

- Bardzo śmieszne. Miałam swoje honorarium, a będąc wczoraj w mieście, nie mogłam oprzeć się strojom Weldego.

- Kogo?

- Och, faceci. Jednego z najlepszych w cechu krawieckim. Gość ma obłędne hajdawery, bluzki i żakiety.

- Jaka rasa?

- Krasnolud.

- Oż, to ciekawe. To one mają takie zręczne paluchy?

- Śmieć się. Geniusz w swoim fachu i tyle. Poza tym przespałeś niezłą akcję.

- Właśnie, co się działo?

- Jeden rzemieślnik z cechu bednarzy nażłopał się gorzałki własnej roboty. W trakcie destylacji nie zauważył, że synowie dorzucili mu do mikstury parę ziółek, które znaleźli w lesie.

- I co w związku z tym?

- To były prypawki.

- Aa, te na halucynacje?

- Dokładnie. Gość dostał takiej delirki, że w każdym widział demona, a świątynię wziął za miejsce kultu Upadłego.

- Posmarowała sobie kromeczkę masełkiem. - W szale zarznął żonę i dwójkę dzieci. Najstarszy syn uciekł i wezwał na pomoc straż miejską. Jak wpadli do chaty, jego już nie było. Bednarz nago, z pochodnią w ręku, wykiwał straż świątynną, wpadł do środka i podpalił ołtarz.

- To jeszcze nie powód, by wyć na całe miasto.

- To nie wszystko. Z bocznej krypty wpadli do środka kapłani. Zamachowiec rzucił się na nich i podpalił trzech. Cwaniak wziął jeszcze kaganek z oliwą, którą rozlał im pod stopami. Jeden spłonął żywcem, drugi później zmarł w męczarniach. Trzeciego udało się uratować, ale nie wiadomo, co z niego będzie. Bednarza w końcu capnęła straż

świątynna, ale spalił się ołtarz, zajął dach i ściany. Słyszałeś harmider, gdy pół miasta leciało gasić pożar.

- O w mordę szczurokreta. Niezły odpał miał ten bednarz. Nie wyczuł prypawki?

- Widocznie smak roślinki się zatarł, ale właściwości zostały. Jutro mają chować tych dwóch poległych, odbudowa rozpocznie się po południu.

- A zbrodniarz?

- Czeka na wyrok. Pewnie stos, szubienica albo gilotyna.

- Ciekawi mnie, czy zlikwidowali główne źródło zamieszania.

- Znaczy?

- Gorzałkę. Powinni wylać ją za murami, żeby nikt więcej jej nie pił.

- Nie wiem, nie słyszałam. Miejscowy sędzia powołał komisję śledczą, więc pewnie wykryją destylarnię i bimber. Podobno król już wrócił.

- Powiadasz? To czekamy na wieści od mistrza Mariusa.

*

Zgodnie z oczekiwaniami Wybrańca mistrz Marius skontaktował się z nimi i nakazał przybycie do pałacu na wieczerzę. Noce były coraz zimniejsze, dni krótsze, dodatkowo niebo niemal ciągle przysłaśniały chmury. Zulzedeus wyciągnął Gerona na szlak w połowie *nefrut*^[9], po wykopkach. Teraz zbliżał się środek *garadei*^[10], niektórzy spodziewali się śniegu lada dzień. Wieczór był mroźny, dlatego wędrowcy na kaftany i żaboty nałożyli grube futra. Przy wyjściu z gospody

czekała na nich dorożka zaprzęzona w dwa smukłe kasztanki. Ławki w dorożce usłane były puszystymi poduszkami. A na koźle siedział...

- Vinimestr! Kopeć lat! - ucieszył się Krętobrody.

- Angal? To ty, stary? Gdzie cię nosiło?

- To tu, to tam. Po opuszczeniu Torunu osiadłem w Trialton, ostatnio musiałem stamtąd spadać. A ty co tu robisz?

- Zaciągnąłem się do wojska, brałem udział w trzeciej bitwie o Wrota Lafaryngii, później o Perkalowy Most na Driestrii, potem przerwali mnie do Fathal Dar, a jak wojna się skończyła, przyjechałem tutaj, znajomy mnie namówił.

- O kuźwa, to cię trochę poniewierało po świecie.

Wsiedli, Vinimestr smagnął biczem i wałachy ruszyły.

- Na tym się nie skończy. Powiadają, że szykuje się następna wojna, jeszcze większa niż poprzednia. Zaciągniesz się?

- Możliwe, ale tylko z tą oto kompanią.

- Kimże są twoi kumowie?

- Toś nie poznał? Jego zawsze jęzory obgadują, zanim gdzieś dojedzie. Geron z Maro zwany Wypruwaczem!

- Angal, oberwiesz po ryju, ewentualnie po mordzie.

- Ten waszmość?! A nuże, słyszałem. A ta ślicznotka?

- Może ślicznotka, ale jak się odwinie, to z tego kozła spadniesz, lepiej na dukt patrz.

- Spokojnie, Angal. Zaraz, a wy panie jesteście czarodziejem? - zwrócił się do Zulzedeusa.

- A i owszem. - odparł Zul - Ma waćpan jakiś szkopuł?

- Ależ skądże! Ja tak z ciekawości, lubię wiedzieć, kogo przewozić mi się nadarzyło.

- Kurwa, Vini, mówiłem ci, patrz na drogę, każdą dziurę zaliczasz i jeszcze wóz wywalisz. Tfu! - Angal splunął. Spojrzał raz jeszcze na swego kuma z młodości. Krasnolud jak krasnolud, niewiele się zmienił, może tylko kruczoczarna broda trochę urosła. Jednak na twarzy dostrzec można było wiele zmarszczek i kilka blizn, co świadczyło o przejściach na wojnie. Również oczy, podkrążone i zmęczone, czyniły go dojrzałym, ale wesoły charakter i uśmiechnięte usta sprawiały, że wydawał się bardzo przyjacielskim towarzyszem.

- A ten druh?

- To człowiek szlchetnego pochodzenia, Festus la Vardo.

- Szlachcic? Z tego, co wiem, to w Vea Utheel nie ma szlachty.

- Ależ on nie stąd, tylko z Wirbergu.

- A, to zwracam honor.

W końcu dotarli przed lśniącobiałą bramę.

- Stać! Kto jedzie? *Aehrish'ma!*

- *Fre nuthmien, arishna eap krutul, smaher'lethe* - rzuciła w odpowiedzi Rose.

- Zostaliśmy zaproszeni dzięki wstawiennictwu mistrza Mariusa z Rew Terim - dodał Zul.

- Czekać tu, pójdę to sprawdzić! *Hyta'use seo lathae?* - spytał jeszcze drugiego strażnika.

- *Lathae. Yehp la!* - odparł tamten.

Kompani zerkali na Biały Dwór przez bramę. Był piękny,

lśniący i monumentalny. Po chwili wrota się otwały, powóz ruszył, a oni czekali z bijącymi sercami pełnymi nadziei.

*

Wiele by mówić, ale cóż - to był jeden z najpiękniejszych dni mojego życia. Definitywnie pozytywny. W zasadzie wieczór, ale bez ogródek - wieczór marzeń. Dzień rozpoczynający wspaniały tydzień przed okresem cierpień i udręk. Przekroczyliśmy wrota Balha Deal z pewną obawą, no, ja na pewno. Widząc ten długi korytarz z mrowiem drzwi, te freski i zbroje, ten winny dywan - wiedziałem, że jeszcze mało w życiu widziałem. Wkrótce to miało się zmienić. Służba zaprowadziła nas do jadalni, największej, jaką ujrzały me gały. Wspomniałem sobie wówczas jadalnię w klasztorze, z ciosanego kamienia, zimną i mroczną, ocieploną jedynie mdłym ogniem w kominku. Rozmowy nie były wprawdzie zabronione, aczkolwiek w pośpiechu nikt nie zwracał szczególnej uwagi na plotki. Ciemna, zimna, kamienna sala - tu zaś ogromna, oświetlona aula, wiszące świeczniki u powały, spięte firany przy ogromnych oknach z widokiem na wspaniały ogród, stół długi na dobre 65 stóp. Jak sobie wspomniałem tę mizerną jadalnię w Trialton. Ech, żyć nie umierać. Myślałem, że na kolacji z włodarzem kraju i jego małżonką będziemy sami. Jakże się myliłem. Oprócz naszej piątki spotkałem mistrza Mariusa, tego kapłana, który odprawił wraz z nim rytuał (okazało się, że ma na imię Angelo, zupełnie

jak wujek) i był z nimi mistrz Xavius, jeden z doradców Sahaela, ponadto przyszedł szambelan, marszałek, który był głównym doradcą i strategiem króla, najwyższy generał, długouchy Jurythan, kilku pomniejszych generałów, paru poruczników i mnóstwo dworzan, w tym dam łąszących się do naszego Geron jak kot do spyrki. Przy tej okazji dostrzegłem pewną ciekawostkę. W trakcie „flirtów” pana Wypruwacza z dwórkami Rose patrzyła na Wybrańca z pewnego rodzaju wyrzutem. Podejrzewam, że łuczniczka zakochała się w nim. Nie powiem, gorąca z niej dupeczka, ale niewielu odważyłoby się do niej startować, chyba że po pijaku. Być może coś z tego wyniknie, ale Geron nie może jej poślubić. Z jednego powodu - przepowiedni. Jeśli okaże się, że w istocie on naprawdę jest Wybrańcem, ślub nie wchodzi w rachubę. Nie wierzę, aby życzył jej śmierci. W przepowiedni jest bowiem napisane „Naznaczony nie może stawać na kobiercu, gdyż w momencie przysięgi wybrankę jego trafi grom, piorun kulisty z samych niebios zesłany”. Mniejsza o to, nie mogę się tak rozdrabniać, potomnych nie interesuje zapewne opis natury, lecz historia ocalenia naszego świata. Po części oficjalnej, kolacji, dworzanie poszli w pizd... znaczy się do swych domostw, zaś naszą piątkę, mistrza Mariusa i Xaviusa oraz generała Jurythana król zaprosił do salonu. Królowa Nephole opuściła nas, udając się z dwórkami i służbą do swych komnat. Po powitaniach, ukłonach i takich tam Sahael podziękował Geronowi i nam za

wprowadzanie ładu w jego królestwie, odkrycie intrygi sędziego Nerga i tak dalej. Ba, król chciał w nagrodę dać mu stanowisko oficera, ale wtedy Marius wtrącił, że to Wybraniec i ma inne zadanie, a znamię tylko to potwierdza. Władca dalej oponował, jednakże Mariusa poparł Xavius i po zażartej dyskusji król dał się przekonać, że bogów lepiej nie denerwować. Zaczęła się dysputa o tym, co miało nadejść, o wizji sprzed pięciu lat i przygotowaniach Wszechziemia do wojny. Jurythan przedstawiał plan ofensywy, defensywy, ataków podjazdowych, okopów, umieszczenia katapult, opowiadał o wielkości pułków, setek i dziesiątek, ilości pułkowników, oficerów, setników, dziesiątników, których należy obsadzić i wszelakich formach walki z najeźdźcą. Około północy mistrz Marius zabrał mnie wraz z Xaviusem na obiecaną „niespodziankę”. Chwilę przed północą dotarł do dworu tajemniczy jeździec, który okazał się kolejnym magiem. I wówczas nastąpiła najcudowniejsza rzecz w moim życiu – w środku ogrodu, na kamiennym podeście, przekazano mi boską moc! Równo o północy, jak nakazuje prawo boskie, trzech obdarzonych dało mi część swej mocy, a tych kilka części zespoliło się w jedną, moją, łącząc się z wewnętrznym powołaniem. Po odpowiednich inkantacjach i układach moc zawirowała wokół mnie i mistrz Marius dał mi sygnet. Uprzednio dostałem sygnet jednego starego maga, który i tak go nie potrzebował, abym w trakcie podróży nie miał problemów. Magowie posiadają boski immunitet. Teraz oddałem Mariusowi

sygnet starego, a sam dostałem nowy, pusty jeszcze. Może wy, potomni, zapytacie, po co magowi sygnet? Pierścień wykonany jest z rudy kwarmarynu, która jest cząstkowo-cielesna, co znaczy, że zawierając jakąś substancję, wzmacnia cechy nosiciela. Młody czarodziej, otrzymując moc, zakłada sygnet i wykonuje swój pierwszy układ. Od tego zależy, jaki czar i żywioł w późniejszym życiu będzie najpotężniejszy w jego wykonaniu. Jeśli ktoś wybierze Siłę Woli, opanuje cudzy umysł ściślej niż mag z sygnetem wody, a czarodziej posiadający związany z nim sygnet powietrza wykona trzykrotnie silniejszy huragan niż ten z sygnetem mocy ziemi. Choć zdarzają się i tacy, co mają w rzydzi otrzymany dar i pierwszy układ, jaki wykonują, to Przyzwanie Pieczonej Cielęciny. Nie ma śmiechu, tak uczynił Boruth, krasnolud. Zabili go pół roku później, bo tak się spał, że nie zdołał ruszyć się z miejsca. Myślałem nad tym długo, jaki powinien to być czar, i w końcu w pewnej zakurzonej księdze znalazłem Moc Żywiołów. Wykonałem układ, moc przeszła mnie na wskroś, oczy mi się zaiskrzyły. To było cudowne uczucie. Wreszcie moc skupiła się w palcu, na którym był pierścień, przeszła nań i w rudzie wypaliło znak Siły Żywiołów. Po wszystkim ujrzałem miny przekazujących moc. Byli zszokowani wybraną przeze mnie siłą. Przemogli się jednak, Xavius gratulował mi mądrze wybranej mocy, Marius przeklinał, że sam w młodości o niej nie pomyślał, a ten trzeci pierwszy raz w życiu widział to zaklęcie. Oni sami wybrali dobrze, lecz

bez głębszej analizy – Marius ogień, Xavius telekinezę, a ten trzeci telepatię. Podyskutowaliśmy o tym chwilę. Pokazałem im księgę z układem. Ba, dzięki temu dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Otóż zapisane tak było, w starej mowie rzecz jasna, iż mag władający sygnetem z mocą żywiołów będzie władał nie tylko trzykrotnie wzmocnioną siłą tego zaklęcia, ale również trzykrotnie silniejszymi zaklęciami każdego poszczególnego żywiołu. Jeśli opanowałbym wszystkie układy, stałbym się prawdopodobnie najsilniejszym czarodziejem we Wszechziemiu, nie licząc oczywiście nadmagów. Xavius po chwili namysłu dodał, że na świecie istnieje jeszcze tylko jeden czarodziej, który wybrał tak mądrze, jednak jest on już bardzo wiekowy i do wojaczki raczej się nie nada. Patrzcie państwo, a ja znalazłem tę książkę, gdy w ramach szlabanu czyściłem latrynę. Doszorowawszy się do dna, odkryłem maleńki guzik, ledwo widoczny. Po naciśnięciu kamienna płyta ustąpiła, pod nią znajdowała się drewniana klapa, więc ją podniosłem i tam, owiniętą w szmaty, znalazłem księgę. Zaprawdę, ktoś był niezwykle przebiegły i chciał zabrać tajemnicę niemal do grobu, ukrywając skarb w kłocie. Takie życie. Nie dość, że nareszcie dostałem moc, to okazało się, że mogę stać się najpotężniejszym czarodziejem we Wszechziemiu. Ile razy w późniejszym życiu przydała mi się ta władza nad żywiołami, wówczas nawet tego sobie nie konfabulowałem w najśmielszych wizjach, ba, moja historia też była wcześniej zapisana, ale

o tym później. Po powrocie z ceremonii zostałem poinformowany, że cała moja kompania została oficjalnymi gośćmi króla i przydzielono nam komnaty. Pomyśleć – po tylu tygodniach spania w brudzie, smrodzie, z wszami i karaluchami na twardych pościeliach, a tu proszę – do dyspozycji wygodna komnata, puchowa miękka pościel w wygodnym łóżku, w kącie przestronna szafa na moje klamoty, ponadto hebanowy, heblowany stolik i dwa krzesła, a w bocznej komnacie, wyłożonej lazurowymi kafelkami, w podłodze obszerna na około 80 galonów wody wanna. Rzeczy miano przywieźć nam nad ranem. Nie bacząc na nic, rzuciłem się na łożo i zasnąłem.

Obudziłem się około dziesiątej i zamówiłem kąpiel. Proszę, aby nieletni opuścili ten rozdział mego dziennika, ale zapisać to musiałem, aby mieć co wspominać w trakcie dalszej wędrówki. Wodę do mojej wanny przyniosły dwie piękne, młode dziewczyny o wręcz nieziemskiej urodzie. Skąd oni je wzięli? Chciały wyjść, gdy nakazałem im zostać, gdyż być może będę ich potrzebował. Zrzuciłem więc łachy i cisnąłem pod ścianę, służące wrzasnęły. Postanowiłem nie mieć skrupułów. Wlazłem do wanny i zacząłem się szorować, aczkolwiek dziewczęta się odwróciły. Obie miały zgrabne, szerokie biodra, duże, jędrne piersi i piękne twarze. Przypomniał mi się czar na uwodzenie, więc na wypróbowanie otrzymanej mocy dyskretnie wykonałem krótki układ. Poskutkowało natychmiast. Obie odwróciły się i ujrzałem

nieziemski widok. Zrzuciły tuniki w okamgnieniu. Piersi jak dojrzałe jabłka, u obu sterczące, kuszące sutki, u jednej różowe, u tej drugiej nieco ciemniejsze. A cóż dopiero poniżej. Miednice jak należy, umięśnione pośladki i podniecające wzgórki łonowe, wydepilowane, waginy wyraźnie rzadko używane, bo były jędrne a wargi sromowe były różowe i nie zwisały jak u starych dziwek. Wskoczyły do wanny. Najpierw pieściliśmy się - ja je całowałem po piersiach, ssałem sutki, a one zajęły się moją lufą. Potem siadły obok mnie, jedna z prawej, druga z lewej, a ja masowałem rękoma ich wzgórki. Potem jechałem coraz szybciej, w końcu włożyłem palce i posuwałem sprężyscie. Jęczały tak, jak należało. Wyjąłem palce, gdy dostały orgazmu, położyłem na płytkach tę z różowymi sstkami, wsadziłem swego batoga i używałem chuci. Magiczna energia mnie wspierała, posuwałem ją całkiem długo, piersi odbijały jej się bajecznie, szczytowała kilka razy, potem uczyniłem podobnie z drugą. Sprawdziliśmy kilka technik. Dopiero później powiedziały mi, że czar przestał działać w trakcie masażu ich wzgórków łonowych, ale było im tak dobrze, że nie chciały przerywać. Była to najdłuższa kąpiel mojego życia i najlepszy seks, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem.

W następnych dniach cała nasza kompania przygotowywała się do drogi. Trzeciej nocy pobytu na zamku stałem na balkonie, skąd miałem doskonały widok na komnatę Rose. Dostrzegłem tam Gerona. Rozprawiali

o czymś żywo, a czy im błyszcząły. Coś ich skłoniło ku sobie. Widocznie podczas wędrówki doszło między nimi do czegoś poważnego. Po półgodzinnej rozmowie zasunęli kotary. Cóż robili dalej, mogłem tylko się domyślać, lecz jęki dręczące mnie do późnej nocy potwierdziły moje domysły. Co do służących, z każdą z nich chędożyłem się jeszcze po pięć razy, ale ten pierwszy był najlepszy. Trzy dni przed naszym wyjazdem zdarzyła się rzecz straszliwa, lecz jej tutaj nie opiszę. Dziennik ze wspomnieniami to dobra rzecz, może zachowa się dla was, potomni. Pamiętajcie - słuszna sprawa wymaga poświęceń.

*

Szedł pod osłoną nocy, zasłaniając twarz kapturem. Chwalić mrok, nikogo na ulicy nie było. Minął rzeźnię i skręcił w prawo. Jego dom był w zasięgu wzroku. Po drodze tylko dwa ogarki na kijach czy, jak oni to nazywali, latarnie. Uchylił furtkę, skrzypnęła jak diabli w czeluściach, lekko pchnął drzwi. Skobel puścił, wszedł do środka. Cisza, martwy hol. Ani żywej duszy.

- Halo? Jesst tu khto? - ciągle cisza. Wszedł po cichu do sypialni - pusta. Nie było go. Kątem oka dostrzegł ruch za drzwiami i w następnej chwili poczuł nóż na gardle i ucisk tułowia. Zdjęto mu kaptur.

- Proszę, proszę. Co tu robisz, podła kreaturo? - Usłyszał złowieszczy szept i oddech na karku.- Powiesz mi, co tu robisz czy mam cię zadźgać na miejscu?

- Sspokojnie, ja w inhteressie - rzekł Zogl.
- Tak? Co taka menda może mi zaoferować?
- Thy jessteś tym asasynem?
- Być może. I co?
- Mham dla ciebjie zlothy intheress. Na papijerze, z za pazuchą.
- Pokaż. Powoli. Swoją drogą ciekawe, skąd taka kreatura tak dobrze włada wspólnym, w podziemiu gadacie tylko po swojemu.
- Skhąd umim to umim, moja sprawa. I jak, zrobisz to?
- Zaraz, spojrzę. Chyba da się zrobić... zaraz, przecież to...
- Thak, to jak, bierziesz te robotie?
- Masz szczęście, że nie wezwałem straży. To będzie kosztowało trzy razy tyle, co zwykła stawka.
- Ilje?
- Pięcset guldenów.
- Co?
- Nikt inny tego nie robi.
- Dobhra, dobhra. Alje główny warhtunek to jeko głowa.
- Chcę sto zaliczki. Muszę mieć na podróż i ekwipunek.
- Jutjo przyjdzie łącznik z sakwom. Podpisz.
- Po kiego?
- Musimy wiedzzieć.
- Podejrzane, ale zgoda. Wygląda na to, że umowa jest w porządku. Żadnych haczyków?
- Moszesz mi rekhe odrobać.
- Pierwszy raz w życiu robię interes z goblinem.

- Nie pożałujhjesz.
- Gdzie znajdę przedmiot zlecenia? Południe?
- Rahczej tak, on ssie przemieszczja, więc konkrjehtna lokalizacja nieznana, mussisz słuchać.
- Dobra, masz co chciaeś, teraz won, podlecu.

Uścisk zelzał, Zogl schował podpisany dokument, zabójca niemal cały czas trzymał mu czubek ostrza na plecach. Goblin zarzucił kaptur i wyszedł z posesji. Skierował się w stronę, z której przyszedł. Asasyn rozpoczął przygotowania do największego zlecenia, jakie kiedykolwiek złożono w jego fachu.

*

Włożył najlepszy kaftan, jaki znalazł w szafie, po czym odprawił służącego do garbarza. Musiał nieco podreperować zbroję ze świdrogrzmota. Znalazł odpowiednie drzwi i wszedł po krętych schodach na sam szczyt wieży, gdzie znajdował się gabinet. Zapukał i wszedł.

- Przybyłem wedle życzenia, panie marszałku. Cóż to za pilna sprawa?
- Nareszcie jesteś, drogi Geronie. Siadaj. Nalewki?
- Nie, dziękuję. Przejdźmy do sedna.
- A więc dobrze. Istota niewiadomego pochodzenia zaatakowała w naszym mieście.
- Niewiadomego, mówisz pan? Skąd takie przypuszczenia?
- Wczoraj w nocy znaleziono rozszarpane zwłoki na obrzeżach miasta, przy rurach kanalizacji w południowej

części. Dziś rano w kwarcie zachodniej znaleziono... no cóż, jakby to nazwać...

- Resztki?

- Och, nie, nie, nie, to była całość. Znaleziono dwóch naszych strażników w kamiennej postaci.

- Co to znaczy? Ktoś im zrobił pomniki?

- Nie... Zamienionych w kamień!

- Co? Jak to zamienionych?

- Dowódca straży zachodniej kwarty wysłał ich tam, by sprawdzili niepokojące odgłosy dochodzące z kanalizacji. Nie wrócili do rana, więc posłano po nich. I już takich zastano.

- No dobrze, ale co ja mam z tym wspólnego? Mnie podejrzewacie?

- Ależ skąd! Zarówno monarcha, jak i ja sądzimy, że jako biegły w tych sprawach pomożesz w rozwiązaniu tej sprawy.

- Co?! Panie marszałku, zabijałem różne gady, aczkolwiek zdarzało się to tylko i wyłącznie na otwartym polu, w ciągu dnia, kiedy jest dobre oświetlenie, dodatkowo poczwary nie zamieniały potencjalnych posiłków w kamień.

- Znowu mnie nie rozumiesz. Nie chodzi o to, abyś tam włąził, tylko abyś zajął się tą sprawą. Król wie, że jako Naznaczony nie możesz narażać życia z byle powodu. Władca byłby wielce zobowiązany, a i pan mógłby liczyć w przyszłości na jego pomoc.

- Zająć? Znaczy znaleźć kogoś, kto to zrobi?

- Z tego, co wiem, ma pan w kompanii czarodzieja i byłego handlarza? Któryś z nich na pewno ma jakieś kontakty.

- Straż się tym nie zajmie?

- To bardzo delikatna sprawa. Na razie są trzy ofiary. Gdyby zajęła się tym straż czy armia, natychmiast by się to rozniosło i wybuchłaby panika. Ty, Geronie, masz doświadczenie i umiesz zachować dyskrecję, dlatego król ci zaufał i dał pełną swobodę w zakresie tej operacji. Właśnie, zapomniałbym... gdzie ja to mam... o, jest. Proszę.

- Co to?

- Zaświadczenie z własnoręcznym podpisem Sahaela Spokojnego dające ci wszelką swobodę i zezwolenia jako prowadzącemu śledztwo. Dzięki niemu masz swobodny dostęp do koszar, zbrojowni, gildii magów i kupców, możesz wejść na mury i do kanalizacji, która od rana jest strzeżona, i paru innych miejsc niedostępnych dla plebsu.

- Prawie bym zapomniał. Też mam dla dobrodzieja nowinę.

- Jaką?

- Jakieś 50 stajañ za południową bramą, w kierunku Wielkiej Puszczy, znajduje się stary cmentarz. Jest przeklęty i w każdą noc chodzą po nim nieumarli.

- Skąd ta pewność?

- Byłem tam i widziałem, ba, nawet walczyłem z tymi kreaturami. To niebezpieczne miejsce, dlatego radziłbym zalać je cementem za dnia. Mam nawet pamiątkę.

- Pamiątkę?

- Proszę rzucić okiem. - Położył na stole rękę truposza. - Na razie niewinnie leży, za to w nocy się rzuca.

- Weź to stąd! Klątwy nie da się zdjąć?

- Niestety, próbowaliśmy. Dobra, dawaj pan ten glejt.

Mam dostęp do każdej zapyziałej i zatęchłej dziury w tym mieście?

- Zapewniam, że niewiele tu takich dziur, ale owszem. Bierzesz tę robotę czy nie?

- No dobra, niech stracę. Zrobię to najszybciej jak się da, niebawem ja i moi druhowie ruszamy ponownie na szlak.

- Opuszczacie nas?

- Panie, muszę dotrzeć do Rew Terim, zanim orkowie wylądują na wybrzeżu. Jak pan sądzisz, ile czasu pozostało?

- No dobrze. Idź i znajdź radę na poczwarę. Do zobaczenia.

- Do widzenia, panie marszałku.

*

Generał Folg zatrzymał się obok sternika. Stary spojrzał na niego swym jedynym, kaprawym okiem.

- Panie, Vertum mówił, że zakłęcie maskujące niedługo przestanie działać. Te parchate elfy ściągną nas z balisty albo i gorzej. Co robimy?

- *Nur tir, Hedru, nur tir.* Sądzisz, że o tym nie myślałem. Król królów ostrzegł mnie i przekazał najnowszy cud naszej technologii. Niebawem wyrzucimy za burtę zawartość oznakowanych beczek.

- Można spytać, co w nich jest?

- Mikstura wywołująca sztuczną mgłę.

- Rozumiem, mój panie. - Stary uśmiechnął się plugawo. - Podpłynąć na mieliznę czy rzucimy kotwicę wcześniej?

- Bez zbędnej paniki i kłopotów. Zależy mi na dyskrecji.

Dam znak, spuścimy kotwicę, gdy całą zatokę spowije mgła.
Vorgir!

- Tak, generale? - ukazał się kulawy garbus z gburowatym głosem.

- Przynieść beczki i przygotować szalupy! Jutro rozpoczniemy rzeź.

*

- Zaraz, zaraz. Do czego nas werbujesz? - Zul zakrztusił się kompotem.

- Do specjalnej komisji zajmującej się sprawą potwora z kanałów.

- Pogięło cię? Mielśmy wyruszyć z samego rana - rzuciła oburzona Rose.

- Wiesz chociaż, co to za gad? - pytał Festus.

- To właśnie mamy ustalić i znaleźć specja, który go załatwi.

- Rzucasz się na głęboką wodę - dodał Zul. - Podpisałeś coś?

- Co? Nie, ale za to mam glejty do wszystkich stref w mieście.

- Czekaj, wszędzie? Ej, w takim układzie można coś podwędzić - ucieszył się krasnolud.

- Jakież cechy specjalne tej gadziny?

- Wiadomo tylko, że lubi ciemne, wilgotne groty i zamienia ofiary w kamień.

- Oho, ja dziękuję. Chcę jeszcze pożyć, zatłuc paru orków, sam sobie ścigaj potworka - rzekł Angal. - Panienko! - zwrócił

się do bezzębnej, zawszonej i brudnej kelnerki. – Jeszcze jedno piwko.

– Już podaję, łaskawy panie.

– Ciebie, mój drogi Wybrańcze, naprawdę popierdoliło. W kamień zamienić może mag, a jedynym stworem posiadającym takie właściwości jest bazyliszek – mówił czarodziej. – Wątpię, aby udało ci się wejść do kanałów, podejść bazyliszka i upitolić mu głowę. Siłę i precyzję, owszem, masz, ale zręczności zero. Po ciemku też zresztą nie widzisz.

– Ma rację, wystarczy, że ten kutafon wychyli łeb zza węgła i pach! Jesteś piękną rzeźbą – dodał la Vardo. – Słyszałem o tym gadzie. Nie jest głupi, to jedna z najbardziej podstępnych istot we Wszechziemiu.

– Dlatego, że pierwotnie stał po stronie dobra – rzekł zakapturzony osobnik, który pojawił się znikąd obok ich stolika.

– A pan to...? Ach, mistrz Marius – powiedział Geron, gdy przybysz zdjął kaptur. – Jak mistrz nas znalazł? To najgorsza speluna w stolicy.

– Doszedłem do wniosku, że gdybym miał zorganizować tajne spotkanie, to wybrałbym najbardziej plugawą i zawszoną tawernę w Balha Deal.

– To mistrz wie?

– Sam radziłem królowi, aby powierzył to zadanie komuś, kto sobie ceni dyskrecję. Te tłumoki ze straży zaraz rozniosłyby informację i w mieście zrobiłby się jeden wielki chaos.

- Zaraz, co mistrz mówił o tym gadzie? - walnął Zul.

- Ach, tak. Stworzenia te to, wbrew pozorom, dzieło Nidasa. W pierwszej Wielkiej Wojnie bazyliszek służył za wierzchowca ludziom i elfom. Na oczach miał klapki, które jeździec zdejmował tylko w bezpośrednim starciu z wrogiem. Dodatkowo bazyliszek jest odporny na wszelką magię, aby wróg nie mógł przejąć nad nim kontroli. Później jednak banda orków wdarła się do stajni i wypuściła stwory. Te rozpierzchły się i stały się dzikie. Niektóre zginęły w boju, a pozostałe ubito, dla bezpieczeństwa.

- Bogowie nie mogli stworzyć nowych?

- Angal, ty ignorancie - oburzył się Zul. - Nic nie wiesz? Gdy wybuchła wojna, bracia odebrali moc tworzenia Raalowi i sobie samym. Następnie całą moc ukryli w naczyniu, wrzucili do otchłani piekielnych i moc przepadła na zawsze. Zrobili to, by chronić świat. Pragnęli, by przymierze samo tworzyło sobie cywilizację, z drugiej strony nie chcieli, aby Raal dobrał się do tak wielkiej potęgi.

- To jakim cudem Upadły zrobił tego swego pionka? - zapytał Geron.

- Widzisz, mój drogi, podejrzewam że on go nie stworzył - odparł Marius. - Porwał elfa, udoskonalił go i prawdopodobnie wlał weń część swej mocy.

- Dał swoją moc elfowi? Nie mógł jakiemuś orkowi?

- A kto go tam wie? Może chciał nas upokorzyć?

- Zaraz, wróćmy do tematu. Macie jakieś pomysły, jak ubić bestyjkę? - zapytał Geron.

- Coś mi świta... zaraz... wiem! Słyszałem o takim gościu,

mówią na niego Błady Wilk, ponoć on zajmuje się takimi sprawami i podobno ostatnio był widziany w tej okolicy - powiedział Angal.

- Błady Wilk! Przecież! Raz załatwiał sprawę dla klasztoru i brał udział w bitwie o Perkalowy Most - dorzucił Marius.

- Angal, Festus, spróbujcie go namierzyć. Dam wam potrzebne glejty, macie czas do jutra. Ja się przejdę do kanałów. Rose, Zul, pójdziecie ze mną?

- Się wie, czas rozprostować kości.

- Właśnie. I na mnie już pora, idę do Gildii. Do zobaczenia.

- Czołem, mistrzu Mariusie.

- No, kompania, to jeszcze po piwku i wracamy na zamek.

*

Stali i czekali. Oswald wszedł tam już jakiś czas temu. Wejście do kanału wściekle odpychało.

- To jak, panie Geron, wysłać ludzi po ciało?

- Nie szkoda ich panu?

- Trochę tak, ale wie pan, dla pewności.

- Nie, dajmy mu jeszcze trochę czasu.

- O kurde, stary, tam się coś rusza.

- To... to on! Skubany, udało mu się.

Z ciemności wyłonił się ich najemnik. W prawej ręce dzierżył swój miecz ze srebra, drugą trzymał przerzucone zwłoki bazyliuszka. Zbliżył się do nich, rzucił truchło u ich stóp.

- Łatwo nie było, skubaniec był niezwykle przebiegły. No, panie Wybrańcu, miło było poznać i w ogóle, ale biznes jest

biznes.

- Tak jest, Oswaldzie Trev, ile to miało być?

- Dwieście guldenów.

- Proszę bardzo - Geron podał mu sakiewkę. Najemnik sprawdził.

- Zgadza się. Ciekawi mnie, skądżeś pan tyle wziął?

- Państwowe pieniądze. - Geron uśmiechnął się krzywo. -

Na pewno nie chcesz ruszyć z nami?

- Na pewno, jestem przecież samotnym wilkiem. Ale nie bój się pan, jeszcze się spotkamy.

- Wiem, też to czuję. Powodzenia, Błady Wilku.

Sprawa potwora z kanałów była załatwiona. Dzień później kompania opuściła stolicę Vea Utheel i skierowała się w stronę Viri Inis. Ich tropem jednak ktoś podążał, ktoś ukryty w mroku.

*

Pierwsza szalupa dobiła do brzegu. Generał wyszedł na ciepły piasek. Otaczała ich głęboka, gęsta mgła. Po chwili dotarły wszystkie łodzie. Jego ludzie skradali się po cichu, dotarli do pierwszych wart. Poderżnęli strażnikom gardła bez najmniejszego szmeru. Po chwili zajęli najbliższy obóz. Wartownicy nie zdołali nawet zadać w róg.

- Generale, mamy pierwszy przyczółek. Co teraz?

- Niech jeden płynie do statku. Mają wracać na wyspę, okręt ma zniknąć z horyzontu. Ściągnąć zbroję z tych elfich ścierw, musimy się zamaskować. Szalupy ukryć.

- Ruszamy?

- *Nur! Shlesji workish traag!* Czekamy na pośrednika.
- Gobliny?
- Nie, mamy nowego sojusznika.
- Aa, kolaborant w obozie wroga?
- Mniej więcej. Dość, Vorgir, żadnych pytań. Czekamy.

Pięć lat wcześniej dobili tu ich poprzednicy, ale parszywe elfie i ludzkie ścierwa wybiły ich pobratymców. Teraz będzie inaczej, Folg czuł to. Zbliżała się czarna era dla wrogów. Teraz oni będą rządzić. Nadchodzi wielkie panowanie orków!

ROZDZIAŁ 6:

PIERWSZE STARCIE

Wszedł do zapchlonej speluny. Najgorsze piwo, najlichsza strawa, najtańsze pokoje i największa liczba pijaków w tej części świata. Z drugiej strony, pomijając hałas i gwar zajazdu, było to najspokojniejsze miejsce, zero zainteresowania ze strony lokalnej społeczności. Nikt nie będzie zadawał zbędnych pytań. Ofiara sama wpadnie w jego łapy. Słyszał, że kieruje się w stronę klasztoru, nie ma więc opcji, że ominie Enwerpię. Informator doniósł, że jest jeszcze w Viri Inis. Masa czasu. Pułapkę zastawi u stóp góry, we wsi. Zapłacił za pokój, wszedł na piętro po lichych schodach, zżartych przez korniki, w których brakowało co drugiego stopnia. Pokój nie był w lepszym stanie. Zabrudzone okno, szafa z roztrzaskanymi drzwiami, krzesło bez jednej nogi, pośłanie, z którego wyszła prawie cała słoma, i skaczące po kocu pchły. W suficie brakowało kilku desek, w ścianie ciosanych bali, dodatkowo przeciekało. Cudnie, jak w czasie wojny. Wyjął zbędne drzwi szafy, wrzucił doń torbę ze sprzętem i zakrył kocem. Postanowił przejść się do zamtuza, ponoć w okolicy jest niezły. Zamknął drzwi na klucz i opuścił przybytek żalości, aby powrócić tu w nocy.

*

Zaprawdę dziwny to człek, ten cały Oswald Trev. Krętobrody i la Vardo znaleźli go w jakiejś karczmie, mieli jakiegoś informatora. Dobrze zbudowany, a zwinny jak jaszczurka. Mówił, że jego matką była czarownica, a ojcem żołnierz. W dzieciństwie wpadł matce do kotła, dzięki czemu nabrał niesamowitych zdolności, jak widzenie w ciemnościach. W gruncie rzeczy rozmowny nie był, z trudem to z niego wycisnęliśmy, głównie Rose, ale zdaje się być odporny na kobiece wdzięki. Skąd się wziął? Wiem jeszcze o nim tyle, że należy do Klanu Łowców, oferowali mu stołek lidera czy coś. Nic więcej na temat Klanu nie powie, twierdzi, że kodeks mu zabrania. Ciekawa to rzecz. W klasztorze muszę poszukać czegoś na ten temat. Może ktoś zapyta, skąd jego ksywa? Błady stąd, że jest łysy i ma niesamowicie jasną, niemal białą skórę, drugi człon przezwiska nawiązuje do jego przyzwyczajień i samotności, jednakowoż stoi po stronie Wszechziemia i orków tłucze w każdej wojnie i bitwie, jaka się nawinie. Ja bym go nazwał Czarnym Wilkiem, bo cały jego strój jest kruczoczarny, buty, pas, napierśnik, ćwiekowana kurtka i takowe rękawice, spodnie, peleryna, słowem - wszystko, nawet rękojeść miecza z czystego srebra (powszechnie wiadomo, że srebro źle działa na wszelakie stwory), poza bladą, łysą głową. Cóż, sądziłem, że spotkam go dopiero za kilka tygodni, gdzieś w środku Wszechziemia, w boju, jednak los płata figle i spotkaliśmy się z nim ponownie kilka dni po opuszczeniu Balha Deal.

*

Mgła opadła, jednak nikt z latarni nie dostrzegł nic podejrzanego na wybrzeżu i morzu. Z pobliskiej strażnicy również żadnych raportów. Początkowo sądzili, że w obozie jest jakieś zamieszanie, jednak nadal kręcili się tam wojacy. Głupie elfy, pomyślał Vorgir, durne jak wyrwoły na rykowisku. Generał Folg miał genialny plan, a podobno to orkowie są głupi. Cały oddział przyodział się w zbroje elfów, dobrze zakrywając twarze. Ich truchła spalili za pobliskim wzgórzem. Niebawem i ci ze strażnicy, i ci z latarni nie będą sprawiać kłopotów. Grupy uderzeniowe zostały wysłane, gdy tymczasem przybył posłaniec od króla elfów. Wieczorem dotrze tu reszta floty i w nocy ruszają w stronę białego dworu. Vorgir ostrzył swą krzywą szablę, wkrótce znów poczuje smak krwi.

*

Drżał z zimna. Mróz był okropny i niesamowicie uszczypliwy. Przez trzy dni gnali co koń wyskoczy. Nie sądził, że chłopina tak przejmie się całą sprawą. W gruncie rzeczy okłamał go. Zapewniał, że dotarcie do klasztoru zajmie parę dni, nie tygodni. Podejrzywał, że Geron wszystkiego się domyślił, bo godzinami analizował swoją mapę. Siedział cicho i nie narzekał, ale Zul i tak spodziewał się wielkiej bury któregoś dnia. Nie miał szans z tym mięśniakiem. Nim zdołałby wykonać układ, dostałby w zęby. Och, pamiętał pierwszą bójkę ze zbirami w Lamfo, gdy Marończyk wyrwał belkę ze stołu i wybił szczękę temu nieszczęśnikowi. Lepiej nie narzekać,

niebawem wioska, konie potrzebują wypoczynku. Marian mimo zamieci parł ostro do przodu, lecz jego Grudce toczyła się piana z pyska. Zamieć, śnieg bijący po twarzy, zaspy na dziewięć stóp wysokości, słaba widoczność. Zbliżał się zmierzch. Z prawej strony widać było w oddali Wielką Puszcę, z lewej pola pokryte śnieżnym pokrowcem, a przed nimi powstawała ścieżka wyznaczona kopytami Mariana. Noc ogarnęła nieboskłon i ziemię, gdy dotarli do wioski. Była to pierwsza osada, którą spotkali po przekroczeniu granicy. O jej istnieniu wiedzieli od wędrownych kupców. Jako że wieś była biedna, nie znalazł tu gospody. Pukali więc do drzwi chat, prosząc o miejsce na spoczynek. Miejscowy rzeźnik ulokował w swej stodole Gerona i jego ogiera. Chłop z chłopem, był przyzwyczajony do wiejskich warunków bytowania. Elfka ubłagała gospodarza, by i jej pozwolił tu nocować. Mężczyzna uległ, gdy w trakcie wzywania wszystkich litościwych duchów Rose rozpięła kurtkę mimo ogromnego mrozu. Rzeźnik, bojąc się reakcji żony, nakazał jej ubrać się, iść do czorta, a potem do stodoły. Młody czarodziej zatrzymał się między bydłem w stajni wiejskiego kapłana wraz z wierzchowcem swoim i Angala, podczas gdy krasnolud nocował w piwnicy z kartoflami. La Vardo z kolei dogadał się z pewną gospodynią, a ta zezwoliła mu na nocowanie w swojej stodole. Z ul czuł, że najcieplej noc spędzą Rose z Geronem, chędożąc się regularnie.

Nazajutrz, podziękowawszy swoim gospodarzom i uzupełniwszy zapasy, ruszyli w dalszą drogę. Nie sypało już i nie cięło ostrym wiatrem. Gdy przebyli blisko dwadzieścia

pięć mil, brnąc na wałachach w ogromnym śniegu, Rose zauważyła w oddali jeźdźca kierującego się zaśnieżonym duktem w ich stronę. Oddzielało ich jakieś trzy i pół mili. Festus mrużył oczy, zmienił się nawet w bestię, by lepiej widzieć, lecz nie mógł dostrzec jegomościa. Jednak pół godziny później wszyscy dostrzegli tajemniczą postać, a po dłuższej chwili spotkali się z nim w szczerym, zaśnieżonym polu. Jeździec był wyraźnie wycieńczony.

- Nie jedźcie do stolicy! W żadnym wypadku! - zakrzyknął, gdy podniósłszy głowę, ujrzał ich.

- Spokojnie, przyjacielu, nie mamy zamiaru - odrzekł Geron.

- Kim jesteście, mości dobrodzieju?- zapytał Festus.

- Nie chcę wam ubliżyć, ale muszę dotrzeć do Balha Deal w miarę szybko.

- Ale panie, zaraz z kulbaki spadniesz - zauważył Angal.

- Zaraz, zaraz. Wiem, kim jesteś. Tyś jest szambelan monarchy Koel Nahal, Rodryg von Werel - rzekł Zul.

- Byłem, póki on panował.

- Jakże to? Cóż pan prawisz? - zdziwił się Geron.

- Joachim nie żyje od prawie dwóch tygodni. Teraz jego nieletni syn jest królem. A wy to kto? Jakże się zwiecie?

- Ogólnie? Kompania wyzwolenia, hehe. Jam jest Geron z Maro. To moi druhowie: czarodziej Zulzedeus, który wyrwał mnie z codziennego życia, mistrzyni łuku i pirotechniki Rosette, szlachetnego pochodzenia pan Festus la Vardo i niezrównany w boju krasnolud Angal Krętobrody.

- Wasze miana są mi znane. Z tego, co słyszałem, to jedno

z was jest Wybrańcem z przepowiedni.

- Być może. Można spytać, na jaką cholere gna waszmość przez taki mróz na zamek Sahaela?

- Nie mogę, ech, powiedzieć. Muszę ich ostrzec.

- Kogo? Króla? Przed czym?

- Nie mogę.

- Trzymajcie go, bo leci! - Festus z Angalem podjechali z dwóch stron i wzięli Werela pod pachy.

- Gadaj pan, co jest grane? My stamtąd jedziemy, ale możemy zawrócić. Stąd w prostej linii jest ponad sto mil do Białego Dworu. W ciągu lata czy wiosny może byś się pan tam dowlókl w ciągu doby. My jesteśmy czwarty dzień na szlaku, a wy ledwo dychacie.

- Dobra, powiem, chyba nie mam wyboru. Po śmierci ojca nowy król...ech... Koel Nahal zwolnił mnie, następnie wysłał z ludźmi do Fathal Dar na konsultacje z Zalenthe....yych... Pierwszego dnia po przybyciu wszystko poszło płynnie. Kolejnego dnia niechcący usłyszałem rozmowę możnowładcy z jego...och... posłem. Z rozmowy ewidentnie wynikało, że orkowie są na wybrzeżu Veä Utheel, dodatkowo ich ekspansja ma się niebawem nasilić, że chcą zająć Wirberg. Niejaki generał Folg prowadzi orków w stronę Balha Deal, a Zalenthe poprowadzi swoją armię od...ech...ech... od północy. Chcą zająć Veä Utheel, uderzając jednocześnie. Natychmiast popędziłem wałacha i gnam, by ostrzec Sahaela. Uch... Podejrzewam, że moi ludzie już nie żyją. Słyszałem też, że magowie z dworu Fathal Dar leżą w rynsztoku z poderżniętymi gardłami.

- Co pan gadasz?! Zalenthe zdradził?

- Panie, to ...ech... to nie wszystko. Pędzę już tydzień, kobyłę zmieniałem dwukrotnie. Dwa dni temu zrobiłem dłuższy postój na wzgórzu Leur, a gdy rano spojrzałem za siebie, ujrzałem całą armię Viri Inis, dlatego teraz gnam.

- Cholera jasna! Sahael pewnie już słyszał o orkach i wzmacni obronę od zachodu, a ujrzawszy wojsko Zalenthego, pomyśli o wsparciu z jego strony - rzekł Geron.

- Właśnie, nie będzie się spodziewał ataku z północy. Choćbyśmy ostrzegli go na czas, jego armia nie jest tak liczna, by bronić się na dwóch frontach - dodał Zul.

- Czyli upadek Ve'a Utheel jest pewny? - zapytał Angal.

- Prawdopodobnie, zwłaszcza że elfy zimą walczą słabo - odparła Rose - Jesteśmy ciepłolubni.

- Słuchajcie, mam plan wsparcia. Pierwsza jego część dotyczy wysłania dwóch posłów do Wirbergu i Koel Nahal - rzekł Geron. - Trzeba nająć jakichś chłopów, pan Werel podbije listy pieczęcią, Zul też. Na pewno odpowiedzą na wezwanie.

- Zanim posłowie dotrą do celu, oblężenie się skończy, Ve'a Utheel upadnie - wysapał Rodryg.

- Nie, jeśli wykonamy drugą część mojego planu.

*

Przebiegłszy dziedziniec bardzo szybko, skinął głową do strażnika, skrzyknął w lewo i pokonał schody w okamgnieniu. Zapukał, a gdy usłyszał „Proszę wejść”, wpadł do komnaty strategicznej, w której obradowali główny generał Jurythan,

marszałek Adullam i sam złotowłosy król w pięknej zbroi.

- Najjaśniejszy panie! Nowe wieści!

- Cóż takiego, poruczniku? Mówże!

- Miasto obwarowane, nowe strażnice pełne łuczników gotowe, pułki wojsk rozbiły obozy, każdy w odległości trzech mil od stolicy i od siebie tyle samo.

- Ile tych pułków?

- Dziesięć piechoty, dziesięć łuczników i konnych również dekada, w każdym obozie po jednym z wszystkich trzech. W każdym pułku tysiąc żołnierzy. Dodatkowo balisty i katapulty w każdym obozie i na murach miasta.

- Dobrze, chociaż czuję, że to za mało. Wzmocnić mury, zrobić okopy wokół miasta i obozów, na strażnicę dać koksowniki. Niech się gady smażą.

- A jakie posunięcia wroga? - zapytał generał.

- Patrole donoszą, że najbliższy obóz wroga znajduje się dwa dni drogi stąd, najdalszy pięć. Napotkali przeszkody pogodowe wśród wzgórz.

- Zima jest wyjątkowo mroźna tego roku, najjaśniejszy panie. Jeśli będziemy rozważni, szala zwycięstwa może przechylić się na naszą stronę.

- Pamiętaj, generale, że orkowie są przyzwyczajeni do zimnego klimatu i chłodu. Specjalnie przypuszczają atak o tej porze roku, sądząc, że to wzmocni ich szanse na wygraną, a nas osłabi - rzekł marszałek.

- Adullam ma rację. Zimno zdecydowanie ostudzi zapał naszych żołnierzy w boju. Z wielkim żalem i krwawym sercem to mówię, ale niestety muszę. Macie wyrąbać tyle drzew, aby

ogrzać każdego elfa w każdym obozie i w mieście. Zrozumiano?

- Tak, wasza miłość.

- Coś jeszcze, poruczniku?

- Panie, doniesiono mi, że na wschodzie i północy dostrzeżono w kilku miejscach natężony ruch. Kilkanaście grup wojowników nieznanego pochodzenia kieruje się w naszą stronę.

- Jakże to? Skąd oni, z Viri Inis, Enwerpii?

- Nie wiemy, panie. Nie mają żadnych chorągwi, wyglądają na motłoch. Jeśli dojdzie do zamieszek, królestwo upadnie.

- Nie sądźmy pochopnie. Pożyjemy, zobaczymy. Kiedy dotrą?

- Prawdopodobnie pierwsza z grup dotrze tutaj jutro rano.

- Dziękuję za wieści. Możesz wracać do garnizonu, poruczniku.

*

Wielkie zdumienie ogarnęło zarówno marszałka, jak i monarchę. Generał wyruszył do jednego z obozów, aby objąć dowodzenie nad głównym trzonem armii. Sam władca miał to uczynić, jednak został, aby upewnić się, że Balha Deal nie czeka atak ze wschodu. Od samego rana grupy docierały w okolice miasta i w odległości czterech mil od stolicy rozbijały obozy. Bynajmniej, jak się początkowo zdawało, nie były to obozy oblężnicze, lecz obronne. Następnego dnia utworzyły się trzy garnizony, otoczone ostrokołami, wilczymi

dołami i okopami, wzmocnione zbudowanymi naprędce wieżami, na których stali łucznicy, palisady każdego z nich oddalone były o dwa kilometry od siebie i trzy od grodu miasta, około trzydzieści grup przybyłych ludzi przekształcono w legiony liczące dwadzieścia tysięcy chłopów w każdym. Orkowie powoli docierali z zachodu i formowali swe garnizony. Największe zdumienie, i radość zarazem, ogarnęło króla Sahaela, gdy poznał delegację nieznanego sojusznika.

- Niesamowite. Nie sądziłem, że los tak szybko nas znów połączy, mości Geronie!

- I ja się cieszę na ponowne spotkanie z tak szlachetnym, wspaniałomyślnym, hojnym i mądrym królem, jak wasza wysokość.

- Nie podlizuj się tak. Powiedz, jak poruszyłeś tłum i dlaczego utworzyłeś drugą, nielegalną armię?

- Wie wasza wysokość, warunki pogodowe są takie, że najchętniej położyłbym się w ciepłym łóżu i zapomniał o całym świecie, ale w trakcie wędrówki przez śnieżne wzniesienia, drogi i zawieje spotkaliśmy tego oto człowieka, którego najjaśniejszy pan zna, lecz wieści, które niesie, króla nie ucieszą. - Geron wskazał na von Werela.

Były szambelan władcy Koel Nahal ukłonił się przed władcą Veä Utheel. Spokojny przyjrzał się przybyszowi.

- Zapewne, skądś znam tę twarz.

- Jestem Rodryg von Werel, byłem szambelanem króla Joachima.

- Oczywiście! To ty! A co u drogiego Joachima?

- Nie żyje, wasza miłość.

- Jakże to? Nie żyje? Co się stało?
- Sami tego nie wiemy, lecz niech wasza królewska mość posłucha innej, zdecydowanie gorszej informacji.
- Mów, słucham.
- Król Zalenthe prowadzi armię w tym kierunku.
- Tak? Niebawem, nie liczyłem na tak szybką reakcję z jego strony. Przyda się wsparcie.
- Tylko że on nie z, ale przeciw, jaśnie panie.
- Cóż to znaczy „przeciw”? Czyżby poszedł na układ z orkami?
- Otóż to, wasza miłość.
- Co za nonsens, Zalenthe to mój stary przyjaciel, nie zniżyłby się do tego. Nienawidzi padalców.
- Jednakże niechcący usłyszałem jego rozmowę z delegatem konsultującym się z orkami podczas dwudniowego pobytu w stolicy Viri Inis. Pan na Fathal Dar znajduje się ze swoją armią o dzień drogi stąd, za wzgórzem na północy, gotów wyciągnąć rękę po ziemię waszej królewskiej mości.
- To prawda. Wielokrotnie widzieliśmy obozy i słyszeliśmy virińskie surmy – dodał Geron. – Puściłem nawet szpiegów, którzy podsłuchiwali rozmowy króla i delegatów. Zresztą orków w łasce też niemało kręci się w obozie zdrajcy.
- Czyli to pewna informacja, a nie plotka?
- Niestety, panie. Na szczęście spotkaliśmy Rodryga po drodze, zawróciliśmy i zebraliśmy ludzi. Teraz może wasza miłość spokojnie bić się z orkami na zachodzie, my tutaj spróbujemy trzymać wojsko zdrajcy w szachu.
- No dobrze, więc jak zamierzacie działać?

- Sprowadzić ich do pionu. Łaskawy panie, przez ile dni przetrzymasz orków poza linią frontu, za miastem?

- Dwa tygodnie, jeśli się uda, tylko czy wy utrzymacie swoją pozycję?

- Bez obaw, będzie z nami Zulzedeus i Marius. Z waszą miłością będzie Xavius, damy radę.

- Zalenthe też ma swoich magów.

- Nie ma, wasza łaskawość - odparł Werel. - Leżą martwi w rynsztoku w Fathal Dar.

- Ach, tak. Lecz cóż przyjdzie nam z utrzymania się?

- Wysłałeś, panie, apel do innych monarchów?

- Tak, lecz gońcy pewnie jeszcze nie dotarli.

- My wysłaliśmy swoich pięć dni temu.

- Rozumiem. Zmieniam zdanie. Musicie utrzymać się przez dwa tygodnie, póki odsiecz nie nadejdzie. Panie Geronie, mianuję pana głównodowodzącym flanki wschodniej.

- Dziękuję, ale sądzę, że na to stanowisko bardziej zasłużył i nadaje się Rodryg. Jako doradca króla Joachima więcej wie o strategii niż ja. Przez te wszystkie lata na pewno nasłuchał się o sposobach działania podczas oblężenia. I to dzięki niemu wiemy o zdradzie. A ja niestety niewiele znam się na strategii.

- A zatem od tej chwili Rodryg von Werel obejmuje to stanowisko. Niebawem otrzymasz glejty.

- Dziękujemy waszej wspaniałości za audiencję. Prosiłbym tylko o jeszcze jedno zezwolenie - rzekł Geron. - Czy moglibyśmy wyciąć parę drzew? W takich warunkach ludzie, elfy i inne rasy zamarzną na kość, nim dojdzie do bitwy.

- Macie moją zgodę, tylko z umiarem.

- Dziękując jeszcze raz, pożegnamy waszą miłość i powrócimy do swoich ludzi - powiedział Rodryg, kłaniając się. Następnie on, Geron i dwóch ludzi z obstawy opuścili Biały Dwór.

*

Machiny już dostarczono na wybrzeże. Generał polecił transportować je wprost do kraju elfiego sojusznika. Mury miasta zostały wzmocnione, ale zwycięstwo było w zasięgu ręki. U wybrzeży Wirbergu rozpętało się piekło, flota właśnie tam dotarła. To tylko kwestia czasu, wybrzeże będzie ich. Wargowie są gotowi, przyplyną po opadnięciu pyłu nad linią brzegową. Jeszcze niecały miesiąc, a przybędzie ich wódz. Folg zatarł ręce, obozy i garnizony były gotowe, w dolinie znajdowało się miasto. Rozkazał budować trebusze i gromadzić głazy. Posłaniec Zalentego przyniósł wieści, desant rozpoczną o świcie. Wtem generał zauważył kolejnego gońca.

- Bądź pozdrowiony, generale.

- Co znowu, *kruhsag*?

- Złe wieści. Po drugiej stronie miasta mają garnizon obronny.

- *Grissinuu!* Jakim cudem? To ten elfi kloc ma większą armię niż zapewnialiście?!

- *Eap se'la!* Nie o to chodzi. Dwa dni temu wiedział tylko o waszym desancie, większość armii przerzucił na zachód.

- Więc?

- Jakiś samozwaniec zgromadził chłopów i rzemieślników wszelakiej maści. Ktoś puścił farbę. Żadnego z waszych nie dopadli?

- Raczej nie. To ktoś z was!

- *Ethera!*

- Co?

- Niemożliwe, wszyscy na stanowisku.

- A jak z atakiem? Parę godzin temu dostałem opieczętowany list, żeby atakować o brzasku.

- Niedawno ominęliśmy wzgórze i wówczas dostrześliśmy okopy i obozy obronne, ale mój pan nie wycofał rozkazu.

- Dobra, spadaj. Przygotować trebusze! Rano rozpoczynamy ostrzał. Vorgir, Zebter, Oguuns do mnie!

- Tak, wodzu?

- Ja zostanę tutaj, poprowadzę atak z dystansu. Wy zaś ze swoimi wszystkimi żołnierzami macie iść w pobliże murów, zakopać się w śniegu. Po rozbiciu ścian wkraczacie do miasta. Pójdziecie za godzinę, gdy będzie ciemno jak w smolnej jamie. Elfy mają dobry wzrok, ale jak będziecie cicho, przeżyjecie, nie dostrzegą was. Na szczęście jest nów.

- Ale generale...

- Wykonać, *uruk hush votrish saag!*

*

Wdział zbroję ze skóry świdrogrzmota, topór przypiął na pasku na plecach, sprawdził, czy gładko wychodzi. Przypasał miecz w ćwiekowanej pochwie. Topór jest dobry, ale nieporęczny w walce krótkodystansowej. Wyszedł na palisadę.

Spojrzał w prawo. Obóz Werela wrzał. Za plecami miał mury miasta. Dalej na południu, za obozem Rodryga, majaczył garnizon dowodzony przez magów. Bardzo dobrze, jego ludzie, elfy i krasnoludy byli gotowi. Dzięki zaangażowaniu la Vardo w ich szeregach znalazło się dziesięciu lykanów. Festus nie zdradził sekretu, jak tego dokonał, jednakowoż Zul snuł teorię, że przyjął w końcu stołek wodza klanu. Tymczasem on z czarodziejem również dokonali sztuki - przekonali pobliskie trolle do współpracy. Zul trzął się i miał kisiel w portkach, zdołał jednak omotać umysły bestii. Ogólnie, oprócz trzech ras sojuszu, w ich spontanicznej armii znajdowało się jedenastu lykanów, pięć trolli, dwadzieścia gnomów i trzy bagienne jaszczury służące za wierzchowce. Sahael podesłał im kilku łuczników i balisty. Geron to wiedział, czuł i był przekonany, że atak nastąpi wczesnym rankiem. Nie mylił się. Spojrzał przed siebie, w kierunku majaczącego obozu wroga na wschodzie. Nie padało, trzymał tylko mróz. Wtem dostrzegł ruch. Bramy drewnianego, splecionego na szybko garnizonu otwarły się i wypadło zeń wojsko nieprzyjaciela. Prawdopodobnie konni. Usłyszał surmy, dał więc znak swojemu trębaczowi, by dał w róg.

Po chwili dało się słyszeć dźwięki rogów ze wszystkich stron. Zaczęło się. Był dowódcą swego garnizonu, miał pod swą komendą około dwudziestu pięciu tysięcy zbrojnych, w tym ponad pięć tysięcy łuczników, dziesięć tysięcy jazdy i niemal tyleż samo piechoty oraz dwa trolle i trzech lykanów. Głównie byli to rolnicy, rzemieślnicy i drwale, aczkolwiek uzbrojeni w pikowane i drewniane tarcze, siekiery, pałki

i miecze. Większość z nich posiadała również osobisty sprzęt bojowy, zakupiony dla samoobrony w razie nieuchronnej wojny. Niewielu życzyło sobie paść ofiarą orków w pierwszym starciu. Geron zauważył morgensterny, piki, pałasze, szpady, a mieszkańcy jednej z wiosek posiadali również halabardy i buzdygany, co niektórych bardzo dziwiło. Dowódca garnizonu zakrzyknął na łuczników, aby zajęli pozycje. Zauważył, iż nieprzyjaciel kieruje się na północ w celu ominięcia garnizonu. Krzyknął na łuczników, by baczyli na poczynania i ruchy konnych przeciwnika. Jazda konna wroga znajdowała się jakieś pięćsetpięćdziesiąt jardów od palisady, gdy kazał strzelać. Grad rozpalonych w koksownikach ognistych strzał spadł na wroga. Zakrzyknął na swoją jazdę, aby wyjechała tylną bramą zaopatrzeniową. Na jej czele stał la Vardo, który okazał się świetnym jeźdźcem. Marończyk powierzył komendę nad łucznikami sierżantowi Lefthe przysłanemu ze stolicy. Mimo licznych strat wrogie siły parły dalej naprzód. Zginęła połowa jazdy konnej nieprzyjaciela, gdy zderzyli się z nimi konni Geron. Wybraniec zauważył piechotę przeciwnika siedemset jardów od ich ostrokołu. Zbiegł z palisady, założył hełm i stanął na czele wojsk. Otwarto bramę. Formacja poczęła przesuwac się do przodu. Na wieżyczki wprowadzono balisty. Z tyłu było słychać gwar bitwy i kwik zarzynanych koni. Armie stanęły naprzeciwko siebie w odległości stu stóp. Geron spojrzał w górę i zamarł.

- Odwrót! - krzyknął, gdy chmura strzał uderzyła w jego ludzi.

Kilku zginęło, ale dowódcy dzięki uniwersalnej zbroi nie

spadł włos z głowy. Ostatni żołnierz już wbiegał do obozu, gdy wtem strzała przebiła mu potylicę, mózg i wyszła przez oko, rozbryzgując krew. Geron nakazał zamknąć bramę i strzelać ze wszystkiego. Łucznicy przyklękli, osłaniając się belkami palisady, mimo to kilku spadło ze strzałami w oczach, czołach lub barkach. Balisty ostrzeliwały nieprzyjaciela na okrągło, ogromne bełty podpalano. W pewnym momencie w pułku wroga zrobił się popłoch. Wycofywali się, osłaniając swych łuczników. Geron nakazał ostrzelać palisady wroga z wszystkich balist. Belki stanęły w płomieniach. Wojsko nieprzyjaciela mimo to utrzymywało pozycje, jednak zdawało się, że wróg nie posiada ciężkiego sprzętu. Widocznie Zalenthe postanowił nie obciążać wojska machinami oblężniczymi. Pułk nieprzyjaciela zmniejszał liczebność z każdą posłaną strzałą. Geron ponownie stanął na czele wojsk, otwarto wrota. Wyszedł samotnie naprzeciwko armii nieprzyjaciela, po czym zawołał „Yutum! Heyrk!”. Ziemia lekko zawibrowała, za plecami obrońców ukazały się dwa trolle z maczugami. Wśród wojsk Gerona utworzyło się przejście, bestie zaczęły biec, wkrótce trolle pruły naprzód szturmem.

- Atak! - krzyknął Wybraniec i puścił się biegiem tuż za kamiennoskórymi obrońcami, wyszarpując miecz z pochwy.

Do ataku podążyło ponad dziesięć tysięcy ludzi naprzeciwko piętnastu. Łucznicy opuścili stanowiska i ustawili się za piechotą. Konną walkę jednak ludzie Gerona przegrali, ranny Festus nakazał niedobitkom odwrót do obozu przez tylną bramę, którą niemal natychmiast zamknięto. Konnica nieprzyjaciela, w liczbie dwóch tysięcy ludzi, chciała

staranować bramę, ale zostali ostrzelani przez łuczników. Dowódca garnizonu obronnego dotarł do pierwszego żołnierza-zdrajcy, jakiegoś żółtodzioba, sparował uderzenie, nadepnął mu na odcisk, a gdy ten wrzasnął, wbił mu miecz w brzuch i ciął do góry, aż wszystkie narządy wewnętrzne wylały się na zewnątrz i zabarwiły biały, udeptany śnieg.

Zaczęło wiać, z czasem coraz silniej. Strzały nie docierały do wybranych celów. Geron odwrócił się i zauważył napięty łuk, po chwili strzelec posłał strzałę w jego kierunku, lecz wiatr zmienił trajektorię lotu, skręciła o stopę na północ i ugodziła w odsłonięty w walce kark piechura z Viri Inis. Strzała przeszła na wylot, rozrywając gardło na części. Dowódca garnizonu obronnego numer dwa wymienił trzy uderzenia z kolejnym przeciwnikiem, uchylił się przed ostrzem, kopnął przeciwnika w krocze i odciął głowę jednym zamachem. Kątem oka dostrzegł dwóch kolejnych pretendentów do walki. Uchylił się przed ciosem jednego, równocześnie kopiąc go w nadgarstek i mieczem blokując sztych drugiego zakapiora. Pierwszy pochylił się po upuszczony miecz, drugi chciał ciąć na odlew, lecz Geron odsunął się w piruecie i odciął mu dłoń dzierżącą miecz. Posoka zabarwiła biel śniegu. Wiatr wiał ostro w twarz. Pierwszy konkurent podniósł miecz, Marończyk uderzył go w twarz z łokcia, a gdy ten zachwiał się od siły uderzenia i dmącego wiatru, Geron wypruł mu flaki. Wyszarpnął miecz z truchła i błyskawicznie się odwracając, przejechał jego końcem po gardle żołnierza z krwawiącym kikutem ręki. Zerknął w prawo. Ogromne płonące bełty tańczyły

w powietrzu, wybijając Viriinińczyków. Za lasami, na południu, widać było ogromne łuny ognia, iskier i pożogi. Czarodzieje najwyraźniej świetnie się bawili, uwalniając tony magicznej energii. Spojrzał na wprost, na pole bitwy. Ewidentnie zdziesiątkowali wroga. Wiatr dął coraz bardziej, przenosząc śnieg, tworząc zawieję i zaspę. Setki zwłok żołdaków obydwu armii znikwały powoli pod zwałami śniegu. Jakiś żołnierz nieprzyjaciela przebiegł obok niego, Geron wystawił tylko nogę, a wojak wyłożył się jak długi. Wbił mu miecz w kark i ten już nie wstał. Geron zamachnął się, rzucił miecz i po chwili głowa kolejnego biegnącego najemnika leżała na czerwonym już śniegu. Sięgnął po topór. Uskoczył przed dwiema strzałami, zrobił zwrot i obrót na pięcie, kopnął wrogiego miecznika w korpus, a gdy ten upadł, ciął go toporem jak drewno siekierą. Rozpędził się, odbił się od wystającej skały i wbił ostrze topora niczego niespodziewającemu się łucznikowi z Viri Inis między kark a ramię, rozcinając bark, uszkodzając płuco i serce, nie mówiąc już o zniszczonym kołczanie. Przystąpiło do niego kilku następnych nieprzyjaciół. Załatwił ich trzema blokami, łamaniem dwóch kończyn i pięcioma cięciami. Podniósł miecz i ruszył w bój.

Tymczasem Festus, przejechawszy przez obóz, wypadł przednią bramą na konnicę nieprzyjaciela, srodze wówczas uszczuploną, dokonując okrutnej rzezi. Przeżył tylko on i jeszcze jeden jeździec z jego jednostki. Uwolnił wierzchowca i puścił go w kierunku obozu, a sam wziął rozbieg, odbił się od dwóch leżących na sobie ciał i dokonawszy przemiany,

wskoczył na plecy nieprzyjacielskiego żołnierza i rozgryzł mu kark. Zeskoczył z trupa, jedną łapą wyrwał miecz z rąk kolejnego wojaka, drugą natomiast zrobił zamach, rozłożył piętnastocentymetrowe szpony i rozszarpał mu krtań. Rzucił się w wir walki jak głodny zwierz. Wielu nieprzyjaciół uciekało na sam jego widok. Próbował znaleźć Gerona w tłumie, lecz najwyraźniej walczył on w innym miejscu i przemieszczał się. Zastanawiał się, jak radzi sobie krasnolud u boku von Werela.

Geron miał głowę zaprzątniętą myślami o Rose. Ona również walczyła pod komendą Rodryga. Odwrócił się. Żołdacy wroga zaczęli wycofywać się z pola bitwy. Ludzie Gerona kończyli rzeź. Mieli przewagę, mimo iż armia wroga składała się z wyszkolonych elfów. Minęło dużo czasu od rozpoczęcia zmagania zbrojnych. Niedobitki wojska przeciwnika zbiegły do lasów. Obrońcy wrócili do obozu, zabierając poległych, wygrzebując ich z zasp i zaśnieżonych dołów. Nie udało im się odnaleźć wszystkich, ciała niektórych ukażą się dopiero na wiosnę, przy roztopach. Nacięli drewno i rozpalili wielkie ognisko. Zawieja ustała, ściemniało się. Usunęli śnieg, wykopali dół i utworzyli wielki kurhan dla poległych, jeden z wielu mających powstać. Następnie Geron posłał wici do pozostałych obozów. W każdym byli polegli, uszkodzone palisady, ranni żołnierze, zmęczone twarze, puste spojrzenia, przemarzłe ręce, bolące kości, puste brzuchy. A to był początek. Tylko część armii wroga. Wygrali, lecz ledwo się trzymali. Zdziesiątkowani żołdacy nieprzyjaciela przegrupowali się, utworzyli nowe garnizony, do których dotarli wojacy zza wzgórza.

*

Wojna to najgorsza plaga tego świata, ginie tylu wspaniałych ludzi. Z tego, co wiem, mój garnizon poniósł najmniejsze straty. Walka był zażarta, ale jak walnąłem Siłą Żywiołów, zmiotłem jedną trzecią jazdy wroga, mistrz zaś Marius wywołał Burzę Ognia i wybił ich łuczników. Wszystkie obozy muszą teraz utworzyć jedną linię obrony. Podejrzewam, że Zalenthe chciał zająć Balha Deal mniejszymi oddziałami, lecz teraz ustawi wojsko w jeden szyk. Za dwa dni, nie więcej, uderzą wielką siłą. Ludzie ze wszystkich garnizonów kopią już okopy i tworzymy jedną palisadę i jeden wielki obóz. Gdyby nie ta pogoda, byłoby lepiej, z drugiej jednak strony elfy Zalenthego również mają ciężko. Masa drzew jest wycinana każdego dnia, aby ogrzać tylu chłopa.

Minęły trzy doby od ataku na Balha Deal ze strony wschodniej. Nikt się nie pokazał. Sahael trzyma w szachu orków po zachodniej stronie stolicy. Sądzę, że armia nieprzyjaciela uderzy niebawem. Wszyscy chłopi, którzy przyłączyli się do obrony miasta, zabrali zapasy i zaopatrzenie ze sobą, pozostawiając wyjałowione farmy i puste spiżarnie oraz piwnice. Wróg, przymierając głodem, uderzy w celu zdobycia pożywienia. Elfy są bardziej wyrafinowane i odporne, ale nawet one potrzebują posiłku po kilku dniach postu. Zastając puste farmy i gospodarstwa, dodatkowo przemierzając w tym zimowym klimacie - mamy jeszcze góra cztery dni spokoju. Osobiście najczęściej przebywam w pobliżu

któregoś z trzech wielkich ognisk bądź chodzę na odprawę do namiotu dowództwa. Rodryg jest doskonałym generałem i odnajduje się w tej profesji. Doznałem szoku, gdy mianował mnie pułkownikiem w garnizonie numer trzy. Mistrz Marius wspierał mnie w pierwszych godzinach po awansie...

Druga fala odparta, wróg zdziesiątkowany doszczętnie. Zabiłem dwustu jednym zaklęciem, niesamowite uczucie. Użyłem Wielkiej Pustki - ziemia rozstąpiła się pod nogami piechoty i pochłonęła ich. Geron i Festus wraz z trzytysięcznym wojskiem udali się w pogoń za uciekającymi niedobitkami wroga. Stała się również rzecz straszliwa - poległ nasz główny dowódca. Marius wykonywał układ i nie zauważył długouchego przeciwnika. Miał wbić mu miecz w plecy, gdy Rodryg zasłonił go własnym ciałem. Mimo kolczugi ostrze uszkodziło mu żołądek i wątrobę. Zabójcę w następnej chwili ściągnęła Rose, strzała przebiła mu krtań. Pochowaliśmy poległych, ciało von Werela odesłaliśmy do stolicy.

Nie mieliśmy dowódcy, ale wiedzieliśmy, co robić. Pozostało nas przy życiu osiem tysięcy. Minął tydzień od rozpoczęcia walk. Sądziłem, że Zalenthe wyśle posiłki, lecz najwyraźniej na tyły wroga dostali się sojusznicy z północy. Mam nadzieję, że odsiecz jest w połowie drogi. Nie mam pojęcia, co stało się z niedobitkami armii zdrajcy. Geron z Festusem odnaleźli główny garnizon z garstką obrońców. Po długiej i krwawej rzezi dowódcy

wzięli nogi za pas i uciekli z żołdakami w liczbie tysiąca. Prawdopodobnie dołączyli do orków. Okopy również przyczyniły się do zwycięstwa. Znajdowało się w nich około czterech tysięcy wojowników wroga, których Marius zalał wrzącą magmą. Geron postanowił, że przierzucimy wojsko na zachód, by bić orków. Większość go poparła, jednak nie mogliśmy pozostawić wschodnich murów bez obrony. Wraz z moim mentorem zajęliśmy się tą sprawą. Utworzyliśmy głębokie doły wokół miasta, w odległości dwudziestu stóp od bramy i murów, które wypełniliśmy niestygnącą lawą.

*

Folga trafiał szlag. Wpadł w obłąd, gdy usłyszał ostatnie wieści. Zadźgał ambasadora Zalentego na miejscu. Jego Pan nie będzie zadowolony. Znowu te przekłete elfy i jakiś siepacz, który ma się za wybawiciela. Cholera! A zajęcie Vea Utheel poszło tak pięknie, i nagle upadek pod stolicą. Jak to powiedział poseł? Zalentego ktoś wsypał, zmaga się z armią Wszechziemia, jego wojsko wysłane pod Balha Deal rozgromił motłoch samozwańcych chłopów, nie zdobyli wschodnich murów. Jakby tego było mało, ten pieprzony król ma na usługach magów. Kolejny raz pytał siebie, dlaczego nie zabrał większej liczby szamanów, tylko tego jednego nieszczęsnego, starego Vertuma, który ledwo widzi. Cholera jasna! Jeszcze tydzień, a będzie musiał zarządzić odwrót na wybrzeże. Zdrajca dał dupy na całej linii. Nie dość, że zawiódł go, to jeszcze musi zmagać się z byłymi przyjaciółmi. Tu musiał być

jakiś szwindel, ktoś „lojalny” podsłuchał i doniósł. Mur zburzyli pierwszego dnia oblężenia, ale ten dureń Oguuns wpadł w wilcze doły, jego wojaków ściągnęły elfy. Pięknie płonęli jako żywe pochodnie. Zebtera z drugiej strony nie zauważyli, ale trzy dni później pochwycili go. Teraz pewnie poddali go torturom i wszystko wypapla. Oczywiście najlepiej sprawił się Vorgir. Mimo że garbaty i kulawy, to okazał się największą inteligencją i nie spaprał akcji.

*

Rose przeskoczyła ze wzniesienia na głowy dwóch orków, stając jednemu na czole, a drugiemu na płaskim hełmie. Sięgnęła do kołczanu, napięła łuk i posłała strzałę, która pomknęła ze świstem w parchatą krtań. W okamgnieniu na jej cięciwie znalazła się kolejna śniercionośna strzała. Skoczyła i obracając się, strzeliła w czoło orka, na którego łbie stała, prawą ręką wyszarpnęła miecz tuż po wypuszczeniu strzały, w lewej mając łuk. Spojrzała w oczy orka w płaskim hełmie, przed którym nagle się pojawiła, i odcięła mu głowę szybkim sztychem. Zul zrobił lewą nogą krok do tyłu, zrobił łuk lewą ręką od prawa do lewa, prawą zaś wyciągnął przed siebie, cofnął szybko łokieć, skoczył i zrobił szpagat, rozprostował obie ręce wzdłuż korpusu, tak iż stworzyły z klatką jedną linię, przeciągnął prawą rękę do przodu, lewą zgiął w łokciu, przyłożył do wyprostowanej prawej i wypowiedział formułę. Rozłożył palce prawej dłoni, uwalniając energię i posłał niszczącą Kulę Żywiołów w stronę wroga, zadając śmierć dwudziestu orkom. Festus przyjął postać lykanina,

rozszerpywał szponami gardła, przegryzał krtanie. Kilka kroków dalej Angal zrobił wślizg pod nogami dziecka Upadłego, rozbijając mu swym młotem klejnoty, po czym wstał i uderzył z całej siły w głowę orka, przerabiając wewnątrz jego łba w krwawą papkę. Wróg padł, krasnolud doskoczył do następnego nieprzyjaciela, najpierw uchylając się przed jego krush-urkiem i miażdżąc mu młotem stopę, a następnie wybijając kolano i staw łokciowy. Wykończył orka ciosem w kark, łamiąc rdzeń kręgowy. Ork chrząknął, oczy nabiegły mu krwią, pysk wypełnił się krwawą pianą. Padł martwy. Krętobrody ubijał już następną ofiarę. Geron robił uniki, ciał i zaskakiwał nieprzyjaciół. Wrogowie padali jak muchy. Marończyk opanował swój nowy cios – dwoma ruchami wytrącał orkom broń z łap, łapał ich prawą ręką za gardło, unosił do góry, wbijał miecz dzierzony w lewej dłoni i wypruwał wnętrzności. Inni orkowie potykali się na śliskich jelitach, zakrwawionych wątrobach, żołądkach, trzustkach. Przy dobrym pchnięciu na ziemi lądowały i nerki. Teraz Wybraniec walczył ramię w ramię z Bładym Wilkiem, który został w mieście na czas bitwy. Jeden z prawej, drugi z lewej, często zamieniali się miejscami, krzyczeli „Padnij”, by w następnej chwili rozplatać orka nad pochylonym sojusznikiem. Rozdzielili się. Trev podbiegł, uchylił się przed ciosem tępego topora, uderzył orka w twarz pięścią w ćwiekowanej rękawicy, następnie wyprowadził cios z łokcia i robiąc obrót, odciął mu głowę. Nie miał hełmu. Twierdził, że jeśli śmierć będzie chciała go dopaść, nic go nie ochroni. Ponury kosiarz nie był dla niego straszny. Walki trwały,

orkowie powoli się wycofywali.

*

Folg był skonfundowany. Cały plan wziął w łeb. Odwrót nastąpi szybciej, niż przypuszczał. Po rozgromieniu armii Zalenthego obrońcy wschodnich murów dołączyli do walk na froncie zachodnim. Osobiście widział w akcji trzech czarodziejów, co nie wróżyło dobrze, lecz jego dowódcy i żołnierze twierdzili, że po stronie nieprzyjaciela walczyły trolle – co było nie bardzo możliwe – i wilkołaki, mimo iż był środek dnia. Hmm... kiedyś słyszał o takich jednych wilkocząłkach, co mogli się kontrolować, tylko jak oni się nazywali? Mniejsza o to. Muszą spieprzać, to definitywna i konieczna opcja. Za trzy dni. Wrócą na wybrzeże i poczekają na wsparcie. Wtedy nikt ich nie powstrzyma, żadne pieprzone elfy, ludzie, wilkołaki czy najemni siepacze. Ten czarnowłosy samozwaniec z wielkim toporem był największą drzazgą w dupie. Ponoć to przez niego elfi kolaborant przegrał. To prawdopodobnie ten, którego sprzątnąć mają gobliny, największe zagrożenie dla Pana. Zniszczą i jego, wszystko w swoim czasie.

*

Zakończyła się wieczorna odprawa w namiocie dowództwa, na którą przybył sam Sahael. Angal leżał w namiocie szpitalnym, odrąbali mu lewą rękę od łokcia w dół. Festus poszedł go odwiedzić. Geron był z Rose i Zulzedeusem, grali w kości. Do ich namiotu wszedł Marius. Stracił w bitwie prawe ucho – o jego głowę otarł się głąz wystrzelony z trebusza orków, gdy

stał na wzniesieniu, wykonując układ Piorunującej Furii.

- Panowie, jest taka sprawa - zaczął Marius. - Szeroka dupa, wąska ława.

- Słucham? - zdziwił się Geron.

- Nic takiego, stary żart klasztorny. Sytuacja robi się trudna.

- Słusznie. Mamy wielki problem - rzekł Marończyk. - Chodzi o...

- ...czas! - wszedł mu w słowo Marius. - Otóż to. Powinniście już być w klasztorze.

- Wiemy, mistrzu. Ekspansja orków już się zaczęła, niedługo przybędzie ich więcej - dodał Zul. - I prawdopodobnie gobliny się ruszą.

- Wybacz, mistrzu, ale choćbyśmy wyruszyli jutro z rana, nie dotrzemy do klasztoru szybciej niż za miesiąc - powiedział Geron.

- Nie martwcie się, mam rozwiązanie. Lecz dotyczy to tylko Zulzedeusa i Gerona. Pozostali muszą pozostać tutaj. Wyruszę z nimi, będę im towarzyszył do samego klasztoru, choćbym miał tułać się pół roku i oddać życie. Ale jeśli chcecie spotkać się z przeorem już jutro, mogę zagwarantować wam coś, dzięki czemu was dwóch tego dokona.

- Tylko nas dwóch? - zdziwił się Marończyk. - A pozostali...

- Pozostali pojedą ze mną, nie martw się.

- Mistrz chce nas teleportować? - zapytał Zul.

- Niestety, choćbym chciał, nie posiadam takiej mocy, by wysłać was tak daleko. Przyjdę po was jutro rano. Mam

nadzieję, że nie będzie zawiei, chociaż nie padało od trzech dni.

*

Nakazał im spakować tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Ubrani byli w ciepłe kożuchy, pod którymi mieli tuniki i kaftany. Do torby przypiętej do kulbaki zapakowali zbroję Gerona, której używał tak niedawno, kolczugę Zula, sakwę ze złotem, trochę prowiantu i wody na drogę oraz jakieś łachy na zmianę. Mapę Geron schował za pazuchę, topór zawiesił na pasku na plecach. Zul przypiął pochwę z mieczem do pasa. Swoją sekretny dziennik dobrze ukrył. Jechali konno za Mariusem po udeptanym śniegu. Lekko padał śnieg, wiatru nie było. Stary czarodziej prowadził ich w głąb jakiegoś lasu. Biel śniegu raziła oczy. Po dwóch godzinach jazdy dotarli do zalesionej kotlinki. Między pniami drzew, pod śnieżną kopułą, dostrzegli niewielką kapliczkę. Marius zsiadł z konia, to samo uczynili dwaj jego towarzysze. Podszedł do drzwiczek, wyjął z kieszeni futra klucz i przekręcił. Nie pchnął jednak drzwi. Z dłonią na klamce odwrócił się do dwóch młodzieńców.

- To, co teraz ujrzycie, to największa tajemnica naszej profesji. Jeden z najgłębiej strzeżonych sekretów gildii magów Wszechziemia.

- Naprawdę?

- Tak, nawet królowie nie mają o tym pojęcia. W sumie na świecie wie o tym ze dwadzieścia osób. Najbardziej zaufani, doświadczeni magowie. Młodzi czarodzieje wędrujący po świecie oddaliby duszę, by móc z tego korzystać.

- A mistrz?

- Ja? Przeor darzy mnie zaufaniem, powierzył mi tę tajemnicę sześć lat temu. W sumie nigdy nie powinniście się o tym dowiedzieć, ale sytuacja jest trudna, ba, tragiczna wręcz. Przeor zrozumie. Pamiętajcie jednak o konsekwencjach. Jeśli którykolwiek z was to wypapla, zrobi się piekło.

- Jak to?

- Jak, pytasz? A tak, że królowie zaczną dochodzić, co, jak i dlaczego, zrobi się szum, monarchowie stracą do nas zaufanie, morale czarodziejów spadnie, stracimy poparcie, kult upadnie, zaczną się tworzyć sekty. Mało tego, znajdą się tacy, którzy będą szukać TEGO we Wszechziemiu, mordować magów, by zdobyć klucze. Wybuchnie wojna domowa. I wtedy Raal nas wykończy.

- Dobrze, zrozumiałem. Możemy się dowiedzieć w końcu, co to jest? - zniecierpliwiał się Geron.

- To, moi mili, jest jeden z dziesięciu rozlokowanych we Wszechziemiu magicznych teleportów, zwanych matelami.

- Co?! - zdziwił się Zul. - To jest coś takiego? A mistrz mówił, że to nie ma nic wspólnego z teleportacją!

- Cicho bądź! Nie słuchałeś mnie? To największa tajemnica, musiałem zachować pozory przy postronnych.

- No tak. Nie piśniemy ani słówka. A jak to działa?

- Chodźcie, wytłumaczę wam. - Weszli do małej kapliczki, zabierając ekwipunek z juków. Na podłodze znajdował się kwadratowy kamienny postument z wyrytymi wewnątrz inskrypcjami w nieznanym języku. Postument otoczony był ze

wszystkich stron kamiennymi filarami, na których również znajdowały się inskrypcje w nieznanym języku, otoczone delikatnymi wstęgami, cienkimi niczym nić. Jeden z filarów był wyższy, była w nim niewielka szczelina. Wszystkie inskrypcje znajdujące się na filarach były połączone jakby nićmi, bezbarwnymi niczym z nitylu, z inskrypcjami wyrytymi na postumencie. Również szczelina była otoczona takowymi nićmi, które wiły się po kamieniu, łącząc z postumentem i pozostałymi filarami. Wokół inskrypcji na cokole dostrzec można było delikatnie wyrzeźbioną obramówkę, niczym ramkę, która również wykonana była z owej nici i z nią się łączyła. Całość sprawiała wrażenie, iż urządzenie to nasycono wielką magią.

- Spójrzcie - rzekł Marius. - Teleport uruchomić może tylko czarodziej za pomocą swego pierścienia. Przykłada sygnet do tamtej szczeliny i uwalnia moc, wówczas teleport się uaktywnia. Udźwig - albo trzech ludzi, albo dwóch z ekwipunkiem. Czekaście, nie włączajcie go! Może was przenieść na przykład do Wirbergu.

- Co mamy zrobić?

- Wy nic. Patrzcie tutaj, na ścianę.

Na ścianie, w prostokątnej wnęce, widniały cyfry od 1 do 10, poprzykrywane kamiennymi klockami. Pozasłaniane były wszystkie oprócz 3, która była przekreślona, i 5.

- Ta przekreślona trójka to tutejszy teleport. Czekaście. - Mistrz wyjął stary pergamin, który okazał się mapą. - Piątka to Koel Nahal. Wy musicie przenieść się do Enwerpii. Dobrze się składa, ten teleport jest blisko klasztoru. Hmm, siódemka.

- Poprzesuwał kamienne klocki, tak że zamiast 5 pozostała 7.
- Dobrze, możecie stanąć na teleporcie.
 - Do zobaczenia, mistrzu - rzekł Zul.
 - Widzimy się za miesiąc, Mariusie. Niech nasi towarzysze też będą - powiedział Geron.
 - Do zobaczenia. Zul, pierścień.

Młody mag pochwycił jedną ręką Wybrańca, dla pewności. Włożył sygnet do szczeliny i uwolnił magię. Szczelina rozbłysła niebieskim blaskiem, który po chwili rozszedł się po całym teleporcie dzięki niciom. Inskrypcje zabłysły. Te z postumentu utworzyły wokół nich barierę, następnie energia uwolniła się z inskrypcji wyrytych na filarach i strzeliła w nich z czterech stron strumieniami światła. Ostatnie, co widzieli, to machający na pożegnanie Marius, po czym energia pochłonęła ich. Wszystko ustało. Marius stał przed pustym, wygasłym teleportem. Wyszedłszy, zamknął kapliczkę. Dosiadł swego wierzchowca, Mariana i Grudkę zaś prowadził za uzdy. Śnieg nadal padał, zaczęło wiać i drzewa się poruszyły.

ROZDZIAŁ 7: KARTEL

Monarcha wdział kaftan i pelerynę, po czym udał się wraz z Jurythanem do lochu. Po konsultacji z Mariusem pozwolił Angalowi i Festusowi uczestniczyć w przesłuchaniu. Kat przygotował już sprzęt i rozciągnął pochwyconego porucznika na stole tortur. Sahael, wyszedłszy z pałacu, skierował się do wejścia do podziemi. Pierwszy szedł król, generał tuż za nim, po drodze dołączyli do nich la Vardo i krasnolud. Król pchnął drzwi, za którymi czekał ich znajomy widok – cztery zimne, kamienne ściany oświetlone wątłym blaskiem świec ustawionych w różnych zakątkach pomieszczenia. Pod jedną ze ścian znajdował się stół z zabawkami kata, który stał pomiędzy nim a przywiązany do stołu orkiem. Kat uśmiechnął się na widok wchodzących. Nie był elfem, lecz dobrze zbudowanym mężczyzną z okazałym zarostem i szramą na lewym policzku.

- Zaczynamy, wasza wysokość? – spytał.

- Zaczekaj, wszystko zależy od jego chęci. Gadaj, padalcu!

- Sahael zwrócił się do pojmanego. Oparł się rękami o stół katowski – Co kombinuje twój dowódca?

- Grhhh. Nic wam nie powiem, kurwie syny! Pfu! – odcharknął ork. – Walcie się!

- Gdzie generał, jak mu tam?

- Folg, wasza miłość - podpowiedział Jurythan.

- Właśnie. Gdzie Folg? Zwiął? Zaczynj gadać, co wy łachudry planujecie względem nas, bo pozwolę mu odciąć ci palec po palcu! - Mówiąc to, król wskazał głową na kata.

- Najjaśniejszy panie, to durny ork - rzekł Angal. - Ja bym się z gadem nie cackał. Jak się go trochę przypiecze, zacznie śpiewać.

- Racja. My, elfy, słyniemy z wielkiej cierpliwości, ogłady i obrzydzenia do wojny, lecz ja nie mam czasu, a krew orków na rękach to trofeum, nie obelga. Han, świeca.

Kat zabrał ze stołu ogarek, podszedł do obnażonego, zgniłozielonego ciała orka i przyłożył płonący knot do ręki pojmanego. Ork zacisnął zęby, lecz po chwili kłął na swego oprawcę i jego przełożonych. Ogień przepalił mięsień, nerwy i żyły. Cuchnąca, czarna posoka poląła się na beton. Mimo to nie chciał mówić. Ogień trawił już kość.

- Dość! - zdecydował władca. - No, orku, mówże. Przybędzie was więcej, tak? Ilu? Jaką macie flotę? Odpowiadaj! - Król trzasnął spoconego orka w twarz. - Nie? Han, palec po palcu.

- Ciąć czy łamać, wasza wysokość?

- Na początek łamać.

Han zaczął łamać orkowi palec po palcu. Gad był niemiłosiernie. Kat złamał mu wszystkie palce u rąk, po czym wziął sekator i uciął mały palec lewej dłoni orka.

- Graau! *Kurhushnaaa! Walshut vorkid daa!* Walcie się! Możecie mnie zabić! Ślubowałem naszemu Panu

posłuszeństwo do końca!

- Zaraz, jakiemu panu? - zaciekawiał się poirytowany monarcha.

- *Nur!* Głównie wam powiem!

- Wasza miłość, pamiętasz wydarzenia sprzed pięciu lat? - zapytał generał.

- Czekaj. Właśnie, porwali Zidaela, a później ten starzec miał wizję. Gadaj, czy to dotyczy tej przepowiedni?! I mojego porwanego generała?!

- Nic wam nie powiem!

- Han, tnij dalej, potem połam mu nogi i ręce.

Ork nic nie powiedział. Katowali go jeszcze przez godzinę, po czym zawlekli do więzienia. Król poszedł poradzić się Xaviusa.

*

Pojawili się w takiej pozycji, w jakiej się teleportowali. Teleport wirował, świecił blaskiem, po chwili wygasł. Zul wyjął sygnet ze szczeliny.

- Gdzie my, do kurwy nędzy, jesteśmy? - spytał Geron.

- Bo ja wiem? Wyjdźmy, to się przekonamy. - Zeszli z podestu i pchnęli drzwi. Pomieszczenie wyglądało jak piwnica. Było tu pełno beczek z winem. Ledwo przekroczyli próg, drzwi za nimi zniknęły i została pusta ściana.

- Jak to, do licha, się stało? - pytał dalej Geron.

- Najwyraźniej to są zakłute drzwi, otworzyć je może tylko odpowiednie zakłęcie. Spójrz, wygląda na to, że wylądowaliśmy w jakiejś piwnicy.

- Karczma?

- Nie, wydaje mi się, że to raczej jest jakaś świątynia. Patrz na te relikwie i przedmioty.

- Masz rację. Musimy znaleźć schody. Masz swój cały ekwipunek?

- Mam, a ty? Dobra, chodźmy. Musi tu być jakieś wyjście.

Przeszli między regałami z beczkami, ominęli półki pełne religijnych insygniów. W końcu za workami ze zbożem znaleźli schody. Weszli po kamiennych stopniach. Okazało się, że drzwi są zaryglowane.

- Cholera! Co teraz? Będziemy się drzeć? - zirytował się Geron.

- Odbiło ci? Mam lepszy pomysł. - Przyłożył pierścień do drzwi i coś pomruczał. Drzwi zaczęły się trząść. Po chwili usłyszeli stukot, rygiel opadł. Wydostali się do hali pustego kościoła, tuż obok ołtarza. Białe światło przedostawało się do środka przez małe, okrągłe okienka usytuowane wysoko na ścianie. Przeszli wzdłuż naw do głównego wejścia. Na szczęście drzwi były otwarte. Prawo boskie nakazywało udostępniać miejsce kultu wszystkim wierzącym o każdej porze dnia i nocy, dlatego też kościołów i świątyń nigdy nie zamykano. Znaleźli się w małej wiosce. Na horyzoncie groźnie majaczyły potężne góry. Młody czarodziej rozejrzał się wokół, westchnął.

- Ach, wiem, gdzie jesteśmy. Nawet mi się nie śniło, że w tej zapadłej dziurze może znajdować się takie ustrojstwo.

- Masz na myśli TO, co nas tu przeniosło?

Zul przytaknął.

- Dobra, to gdzie jesteście?

- W Ferchester, osadzie podgórskiej. Stąd klasztor pobiera zapasy.

- Skoro znasz tę wiochę, to gadaj zaraz, gdzie jest gospoda, bo piżdzi coraz bardziej.

W istocie, chmury zgromadziły się na nieboskłonie, wiatr dął coraz silniej. Geron zarzucił włochaty kaptur na głowę, wziął torbę do lewej ręki. Zul przymrużył oczy.

- Z tego, co pamiętam, karczma jest za rzeźnią, czyli za tamtym skrzyżowaniem.

- Dobra, bierz toból i idziemy. Z tego pośpiechu nie zjadłem śniadania, a jest prawie południe.

Ruszył za magiem. Kroczyli szybko. Ulica pustoszała, ludzie kryli się do domostw, nie zwracając uwagi na dwóch przybyszów. Kompani minęli skrzyżowanie, przeszli obok masarni i weszli do ciepłej, aczkolwiek zatechłej i zawszonej karczmy. W tawernie panował półmrok, w kominku po prawej stronie tlił się ogień. Strop podtrzymywały drewniane bale. Stoły i ławy były poszczerbione. Naprzeciw wejścia widać było liche schodki prowadzące na poddasze. Po lewej znajdował się kontuar. Słowem, zwykła karczma, jakich pełno we Wszechziemiu. Nosila dumną nazwę Pawie Pióro. W karczmie nie było ruchu, nie o tej porze dnia. W kącie spało trzech miejscowych pijaczków. Zul się uśmiechnął.

- Ech, wracają wspomnienia. Powiem ci w sekrecie, że za barem jest przejście do nawet znośnego zamtuza.

- Oho, wrócił stały klient. Pewnie dobrze cię tu znają.

- Bardzo śmieszne. Nie mówię, że nie, i mnie się zdarzyło

skorzystać z usług miejscowych kurw, są całkiem młode i względnie zdrowe. Mój kumpel z roku przychodził tu co drugi dzień, zrywał się z lekcji, przeskakiwał mur, leserował, byleby tu przyleźć i poużywać. Nawet ladacznicie nie mają takiej chcicy. Bidulek marnie skończył.

- Co się z nim stało?

- Wyrażę się tak, pracownice poskarżyły się wykładowcom z klasztoru. Rychu pieprzył dziwki na zmianę, ale upodobał sobie jedną, Leilę. Pewnego dnia, już trochę podpity, tak ją grzmocił i wykorzystywał, że spowodował u niej złamanie obojczyka, trzech żeber oraz wiele rozległych sińców na piersiach, biodrach i brzuchu.

- O bogowie! To co on jej robił? Bił czy ruchał, bo się pogubiłem.

- No wiadomo, że ruchał, ale ręce miał na jej korpusie, a w czasie aktu zamiast trzymać ją za biodra, to pchał łapami w żebra i tak dalej. Dziewczyna rzuciła robotę tego samego dnia. A ładna franca była, najlepsza ze wszystkich. Teraz podobnież jest zamężna i ma dwójkę dzieci. Dobra, chodźmy, coś zamówmy, bo i mnie kiszki marsza grają.

Podeszli do szynkwasu i poprosili obsługę. Gospodarz poznał młodego czarodzieja i przywitał jak starego przyjaciela. Zamienili kilka słów, po czym wędrowcy zamówili dziczyznę z kartoflami i piwo. Usiedli przy stoliku pod ścianą.

- Nie skończyłeś opowieści. Co z nim zrobili?

- A, właśnie. No więc nasi nauczyciele po relacji cudzołożnic wzięli młodego za fraki, zakuli jego małego w dyby, a klejnoty, hi, odcięli.

- Powaga?

- Naprawdę. Ryczał przez trzy tygodnie. Przełożeni powiedzieli, że czarodziej też człowiek, ale ma służyć prawu i być wstrzemięźliwy. No, ale skoro on nie docenia daru, jakim jest męska chuć i możliwość rozmnażania, pozbawili go jej.

- Został czarodziejem?

- Co ty! Miesiąc później opuścił klasztor z wielkimi dąsami i poszedł szukać szczęścia w innym kraju i odmiennym fachu.

- Prawidłowo. Wielkie dzięki - zwrócił się Geron do młodej, acz szczerbatej kelnerki, która dostarczyła im strawę.

- Stary, po żarciu musimy kupić konie i jechać do klasztoru. W którą to stronę konkretnie?

- Na wschód. Stąd nie widać, ale klasztor znajduje się na tym wielkim wzgórzu, dwie mile stąd, tylko z drugiej strony. Droga nie jest długa, łącznie jakieś sześć mil stąd.

*

Wiatr dął niemiłosiernie. Zawieja ograniczała widoczność, śnieg bił po oczach, mroził policzki i usta. Okręcili twarze chustami, mrużyli oczy, ale parli dzielnie naprzód. W Ferchester nikt nie posiadał konia na sprzedaż, kupili więc od jakiegoś farmera dwa kuce. Objuczyli je i prowadzili wśród zamieci. Droga pod górę była męcząca, zasy sięgały bioder. Mimo grubych futer odczuwali przejmujące zimno. Po dwóch godzinach zmagania dotarli do bram klasztoru. Pilnował ich odźwierny, czarodziej w średnim wieku ubrany w gruby kożuch. Siedział w strażnicy i studiował jakąś księgę. Spojrzał odruchowo w stronę drogi i ujrzał cztery majaczące sylwetki

za grubą kurtyną zawiei. Towarzysze znajdowali się trzy kroki od bram, gdy uchylił okno i krzyknął:

- Stać! Kto zacz? To teren klasztoru Rew Terim, ziemia święcona. Cywile nie mają wstępu!

Zul podniósł wzrok, ścisnął powieki jeszcze bardziej. Poznał po głosie, kto pełnił wartę i wrzasnął:

- Witaj mistrzu Francesco! To ja, Zulzedeus, przecież mistrz mnie zna!

- Zulzedeus? Ten chudy blondyn? To ty?

- Ja! Może mistrz nas wpuścić?

- A ten drugi to kto?

- Przyjaciel, ten, po którego mnie posłaliście. Znalazłem go, przeor nas oczekuje.

- O, udało ci się? Dobra, włączcie. - Francesco zamknął okno i zniknął im z pola widzenia.

Po chwili wrota otwarły się z chrzęstem. Wędrowcy wprowadzili zmęczone kucyki. Na dziedzińcu było cicho. Większość alumnów znajdowała się na zajęciach. Oprócz odźwiernego, który zszedł ich powitać, nie było nikogo. Geron rozejrzał się. Po drugiej stronie dziedzińca znajdowała się główna świątynia. Z prawej usytuowany był akademik, obora i komórki na narzędzia. Po lewej stały budynki z salami wykładowymi i praktycznymi. Z niektórych okien dobiegały błyski i odgłosy wybuchów. Między świątynią a budynkami użytecznymi znajdowały się ogródki, teraz pokryte kożuchami śniegu. Nad odrzwiami świątyni widniał napis: *Dure sperro Nidassum un Apponosis. Sweegho Rew Terim.* Obok kompanów pojawił się Francesco.

- To naprawdę ty, młody. Dawno cię tu nie było. Mogę poznać miano twego towarzysza?

- To Geron z Maro. Znalazłem go, jak napisano, „na krańcu znanego świata”. Ma symbol na ramieniu i posiada, jak w dalszych strofach widnieje, „dar starożytnych”. Mam pewność, że to on.

- Skoro tak twierdzisz. Jeśli to naprawdę on, udajcie się od razu do przeora. Jest w swej komnacie. Tylko żadnej profanacji! Wiesz dobrze, że bogowie szczególnie strzegą tej ziemi.

- Oczywiście, mistrzu. Pójdziemy przez zachodnią basztę. Dziękujemy.

- Dobra, dobra. Idźcie już, bo wieje okropnie. Dajcie uzdy, zaprowadzę wasze kuce do stajni i wrócę na posterunek.

Odebrał lejce i pociągnął zwierzęta w prawo. Zul z Geronem ruszyli przed siebie. Młody czarodziej poprowadził Wybrańca przez wrota świątyni, później skręcił w lewo i pchnął okute żelazem drzwi. Przed nimi pięły się w górę spiralne, kamienne stopnie. Panował tu mrok, nie było okiennic. Początkowo nic nie widzieli, gdyż ich oczy poraził biały śnieg. Kiedy wzrok przywykł, ruszyli po stromych stopniach. Po chwili dotarli na szczyt i znaleźli się w kamiennym holu. Na parterze świątynia była miejscem kultu, na piętrze znajdowała się komnata przeora, kancelaria i salon zgromadzeń Rady Klasztornej. Zul skierował swe kroki wzdłuż holu.

*

La Vardo właśnie kierował się do jadalni, gdy przybył poseł. Przyproceedził go jeden ze służących. Posłaniec oddychał szybko, był zarumieniony od zimna. Rozsunął poły futra i wyjął zapieczętowany list, po czym podał go do rąk zdziwionemu Festusowi. Służący zaprowadził posłańca do komnaty, by wypoczął, a lykanin rozerwał kopertę zaadresowaną do niego. W miarę czytania wiadomości źrenice rozszerzały mu się coraz bardziej. Kazał służbie sprowadzić do komnaty jego pobratymców w trybie natychmiastowym. Siedział na krześle, gdy weszli.

- Miren, ilu nas tu jest?
- Pięciu poległo, to sześciu pozostało.
- Dobra, za godzinę macie być gotowi.
- Do czego?
- Do drogi. Czytaj. - Podał mu list.

Pozostali otoczyli Mirena i zerkali na pergamin zza jego ramienia. Po chwili każdy z nich westchnął, dwóch zakląło.

- Cholera, chyba masz rację. Zgodzisz się?
- Nie wiem, kuźwa, nie wiem. To ogromna odpowiedzialność.
- Ale rozumiesz, że bez względu na to, kogo wybiorą, wojna z goblinami jest nieunikniona.
- Nic nie mów! Muszę to przemyśleć.

Godzinę później Festus poszedł pożegnać Angala i Rose oraz przeprosić monarchę, że opuści Balha Deal tak nagle.

- Wybacz, wasza wysokość, i wy, moi kochani towarzysze, lecz muszę wspomóc swoich pobratymców i opuścić dwór niemalże natychmiast.

- Moi drodzy, nie możecie zostać do zakończenia potyczek? To zajmie góra trzy dni, a wasza pomoc byłaby nieoceniona jak czyny, których dokonaliście do tej pory. Dwóch dobrych ludzi już nas opuściło - rzekł zmartwiony Sahael.

- Niestety, wasza miłość. Chodzi o to, że w związku z przygotowaniami do wojny większość lykanów opuściła siedzibę klanu i wyruszyła do swoich ojczyzn. W siedzibie pozostało zaledwie siedmiu, w tym starszy już przywódca. Niedawno gobliny wykorzystały okazję, wdarły się do siedziby i zamordowały wszystkich wewnątrz. Teraz klan obrał inne miejsce spotkania, ponieważ główną kwaterę przejęły gobliny. Rada Pięciu ogłosiła nowe wybory na przywódcę klanu, który poprowadzi lykanów do starcia z goblinami.

- Wnioskuje z tego, że gobliny wznowiły działalność. Dobrze, jedźcie na zjazd, lecz proszę was o jedną przysługę. Napiszę list i opieczętuje go, a wy dostarczcie go do Koel Nahal lub Meo Gao. Niech zajmą się blokadą goblinów.

- Dobrze, wasza wysokość. Dziękuję za zezwolenie na opuszczenie stolicy Vea Utheel.

- Kazać przygotować wam wierzchowce?

- Nie ma takiej potrzeby. Nie w taką pogodę. Popędzimy na dziko.

*

Odchylił się w swoim bogato zdobionym fotelu i spojrzał na niego. Geron odwzajemnił spojrzenie. Przeor był wiekowym człowiekiem, ponoć najstarszym we Wszechziemiu, pomarszczonym, siwym i skurczonym przez wiek. Mimo to

miał bystre oczy i nie należało go lekceważyć. Posiadał szeroką wiedzę, duże umiejętności magiczne i ukształtowaną, silną moc, która, odpowiednio użyta, potrafiła sprawić, że jego starcze ciało poruszało się jak dwudziestoletni gimnastyk. Zacisnął wargi.

- Hmm, więc mój młody padawanie, twierdzisz, że ten oto mężczyzna Wybrańcem jest?

- Tak, arcymistrzu. Na lewym ramieniu posiada bliznę naznaczenia, od początku posiada również dar starożytnych.

- Hmm, dar, powiadasz?

- Tak, jest to topór Alandila, władcy Arcanii. Wiemy to od sztukmistrza broni, którego dane nam było poznać w trakcie wędrówki.

- Pewności nie mam, ale pewien sposób jest, żeby sprawdzić to.

- O czym on gada, stary? - szepnął Geron do Zula.

- Skąd mi to wiedzieć? Przeor ma swoje lata i zna wiele tajemnic ukrytych dla świata.

- Do mnie chodźcie, młodzieńcy! - krzyknął do nich arcymag. Zsunął się ze swego tronu i podreptał do bocznej komnaty znajdującej się po prawej stronie. Przeszli przez kurtynę. Przeor zdjął z bocznej półki niewielkie pudełko. Wyjął z niego mały sześcian, trochę większy od kości do gry. Później z dolnej szafki wydobył szklaną kulę, którą wypełniała dziwna mgła. Postawił kulę na stoliku, a na niej sześcian i rzekł:

- Dobrze, chłopcze. Dotknąć tej kości musisz jedynie. Jeśli na zielono zabłyśnie, tyś jest Wybraniec, jeśli na czerwono, trupem padniesz.

- Bogowie! - zląkł się Geron. - Naprawdę muszę, arcyministrzu? Lubię swoje życie, nie spieszy mi się na tamten świat.

- Dotykaj, rzekłem! Niesubordynacji na terenie moim nie znoszę!

- Zrób to, stary - szepnął Zul. - Przeora lepiej nie gniewać.

Geron podszedł i dotknął kości. Początkowo nic się nie działo. Po chwili mgła w kuli zgęstniała, zabarwiła się na żółto i błysnęła. Geron poczuł przepływającą energię. Po chwili sześcian zmienił kolor. Na zielony.

- W istocie prawdę rzekłeś, mój alumnie. Naznaczonego pomimo wieku młodego odnalazłeś, dobrze się sprawiłeś. Teraz, panie Geron, pan do Komnaty Medytacji udać się musisz. Zmartwić was jednak muszę.

- Cóż takiego, arcyministrzu?

- Złe wieści. Komnata Medytacji miejscem bezpośredniego kontaktu z bogami jest. Dostęp do niej tylko słyszący umarłych ma, którego prorokiem zwiemy. We Wszechziemi może tylko jeden prorok żyć. Jeśli takowy umrze, bogowie następnego w ciągu lat pięciu wskazują. Tak od wieków było. Jednakowoż wieść jest takowa, że ostatni słyszący dwa lata temu zmarł. Komnatę więc kluczem zamknięto, by nikt profanacji nie uczynił. Lecz owy klucz skradziony został przez nikczemnych dwóch w trakcie pogrzebowych uroczystości.

- Nikczemnych?

- Tak, mój słuchaczu. Do komnaty dostać się musisz, lecz

klucz skradziony.

- Arcymagu najmilszy, nie próbowaliście go odzyskać? - zapytał Zul.

- Rzecz ta jest tajemnicą ogromną, że klucz skradziono. Wiedzą o niej dwie osoby tylko. Odzyskanie jest dla nas rzeczą odległą, gdyż świętokradztwa dokonał kartel.

- O czym arcymistrz mówi? Jaki kartel? - dociekał Zul.

- Wszystko to musicie w tajemnicy zachować. Nikt dowiedzieć się nie może. Kartel ma siedzibę swą sześćdziesiąt mil na południe stąd, a kieruje nim Bractwo Mroku. Niebezpieczne to zgrupowanie. Nikt pokonać ich nie może oprócz Wybrańca.

- Oprócz mnie?

- Tak, moi mili. W przepowiedni nieoficjalnej napisane jest, iż zło rozprowadzane przez mrocznych wyznawców, nekromantami się zwących, Wybraniec tylko powstrzymać może. Jedźcie tam, gdy pogoda poprawiać się zacznie, i klucz odzyskajcie. Tylko wtedy Naznaczony dostąpi łaski spotkania z bogami i wiedział będzie, jak zło przez Upadłego rozsiewane usidlić i zmiążdżyć. I ten przedmiot ze sobą weź. - Wskazał na kamienny sześcian. - Oto Kamień Zniszczenia jest.

- Zniszczenia? I jak on działa, arcymistrzu?

- Istoty materialne w kilometra promieniu w proch obraca. Moc jego tylko Naznaczony uwolnić potrafi.

- Ja? Arcymagu, pierwszy raz widzę ten przedmiot na oczy.

- Tylko ty, rzekłem, gdyż jedynie Wybrańca kość słuca. Lecz pamiętaj, szansy nie zmarnuj, kamienia w środku fortecy

użyj, bo kość potężną magią włada, lecz siłę odzyskuje długo, lat pięć.

- To oznacza, że po użyciu dopiero po pięciu latach odzyska moc?

- Tak właśnie.

- Ale skąd mistrz to wszystko wie? - ciekawił się Zula.

- Pierwszy naznaczony od bogów go dostał, w księdze opisał i klasztorowi na przechowanie powierzył. Teraz odpocząć i posilić się pójdźcie. Ja pokontemplować w samotności teraz muszę.

Zabrawszy kamień i zwitek pergaminu, skłonili się i udali do jadalni. Bagaże pozostawili w kancelarii. Jadalnia nadal była taka, jak we wspomnieniach Zula - zimna, z kilkoma dopalającymi się polanami w kominku. W kuchni dostali po misce kaszy gryczanej, gulaszu i kiszonym ogórku. Zasiedli do stołu z drewnianą łyżką w jednej dłoni i miską ze strawą w drugiej, gdy do pomieszczenia wlał się tłum uczniów zmierzających na obiad.

*

Cierpliwość Sahaela Spokojnego wyczerpywała się. Ork był jednak nieugięty. Łamali go kołem, zdierali skórę pasami, podtapiali, piekli w ogniu, odcięli kończyny, a mimo to on nadal nic nie powiedział. W końcu skonał. Przedtem jednak krzyknął:

- Mój Pan nadchodzi! Śmierć was nie ominie! Potężny Raalu, przyjmij swego wiernego sługę w poczet twych cieni!!!

- Po tych słowach już się nie poruszył.

Monarcha nakazał zabrać to, co z truchła pozostało, i spalić za murami miasta. Szedł spokojnym krokiem do komnaty Xaviusa. Czarodziej czekał na niego.

- Mój drogi przyjacielu, uzgodniłeś coś?

- Wasza wspaniałomyślność, mogę tylko przypuszczać, że spełniają się słowa przepowiedni.

- A ta dygresja o Panu?

- To prawdopodobnie stworzony przez Upadłego przywódca orków, goblinów i innych ścierw. Podejrzewam, że ten ktoś jest obdarzony szczególną mocą, która może zagrozić Wszechziemi.

- Co możemy zrobić?

- Uzbroić się, obwarować i walczyć. Wybrzeże ledwo się trzyma, flota orków jest niespodziewanie ogromna i potężna. Kilka tygodni i orkowie będą pośrodku Wszechziemia.

- Ten porucznik, którego przechwyciliśmy, powiedział, że ich Pan dopiero przybędzie.

- Najlogiczniejszy scenariusz, jaki przychodzi mi do głowy, jest następujący. Orkowie zajmą całe wybrzeże, sprowadzą maszyny oraz wargów i powoli ruszą, wtedy przyplynie ich dowódca i zaatakują szturmem wszystkie krainy Wszechziemia. Ponadto od północy nadciągną gobliny, biorąc nas w krzyżowy ogień.

- Kiepsko to brzmi. Odparliśmy wprawdzie najazd orków, ale po przegrupowaniu oni wznowią działania wojenne. Obawiam się, że tym razem nie utrzymamy pozycji.

- Dostojny panie, radziłbym w najbliższym tygodniu przenieść się do Rodo lub na zamek Godryka.

- O nie, mój drogi, to odpada. Tę opcję rozważę tylko wtedy, gdy inne nadzieje zawiodą. Mamy jedną, w którą wierzą wszelkie ludy.

- Mówi wasza miłość o...

- Tak. Jest już w Rew Terim. Ufam bogom, że powstrzymają brata, nim ostatni obrońca naszej wolności padnie trupem.

*

Geron czytał tytuły woluminów, przeglądał półkę po półce, regał po regale. Nic. Zero zupełne. Zul też nie znalazł niczego.

- Masz coś?

- A jak ci się wydaje? Ta wasza biblioteka jest do niczego. *Jak zamarynować kreta, Sposób na kurzajki i inne ohydzstwa, Kule ognia i sople lodu, Wywar z pędzistolca?* O słodki Nidasie, kto chciałby to wypić. Są tu książki historyczne?

- Dział obok ciebie. Kurczę, biblioteka nigdy mnie nie zawiodła. Teraz potrzebuję jednej notki, jednej małej informacji, i nic!

- Nic, zupełna pustka. *Historia rzek, Legenda o Odyfie, wielkim kowalu, Epos o Trzech Królestwach.* To może być ciekawe. Zul, tutaj nie znajdziemy niczego o pierwszym Wybrańcu. Ten wasz przeor jest stuknięty.

- Zważaj na słowa. Arcymistrz, owszem, zawsze mówi tajemniczo, ale jest potężnym magiem. Ty też uparłeś się, żeby znaleźć coś o pierwszym Naznaczonym.

- Wal się z tym Naznaczonym. Mam dość tych dennych

ksywek. Muszę coś znaleźć. Tam mogą być wskazówki i opisy zdolności, które mogę osiąść. Kto wie, może gdzieś są ukryte jakieś ciekawe przedmioty.

- Stary, kończmy z tym, noc już ciemna, a jutro jedziemy po klucz, tak?

- Chyba masz rację.

*

Mariusz zaprosił po wieczerzy elfkę i krasnoluda do swej komnaty. Przybyli punktualnie. Tuż przed kołatką na drzwiach do pokoju czarodzieja Rose spojrzała na brodatego przyjaciela.

- Ładny hak, twarzowy.

- Dzięki, kowal się postarał i szybko go wykonał.

- Solidny?

- I to jak. Trzyma się za pomocą skórzanego futerału. - Przeciągnął palcem wzdłuż rękawa po bark. - Trochę uwiera, lecz kowal powiedział, że po pewnym czasie oswoję się z tym. Może okazać się przydatną bronią na polu bitwy.

- Nie wątpię, przy dobrym przyłożeniu możesz komuś krtań rozerwać, jak Festus. - Zarechotali. - Zakończ tym ustrojstwem.

Angal złapał kołatkę hakiem i stuknął parę razy. Słyszac głośne „proszę”, weszli do środka. Mag siedział za swoim biurkiem, za plecami miał okno, z prawej strony znajdowało się łóżko, z lewej szafa na ubrania i regały z książkami. Ściany wyłożone były drewnianymi listwami, z dębowej powały zwisał świecznik. Pokój wykonano na specjalne zamówienie

czarodzieja.

- Jesteście. Chcę z wami uzgodnić kilka kwestii. Jak wiecie, orkowie uciekli, armia Zalenthego rozbita jest przez wojska państw sojusznicznych, a dowódców pojmano. Wczoraj rano Geron z Zulzedeusem, że tak rzeknę, dotarli do klasztoru, po południu opuścili nas lykanie pod komendą waszego przyjaciela, pana La Vardo. Balha Deal i Vea Utheel są na razie bezpieczne, więc zapytuję was - chcecie pozostać jeszcze w tym pięknym mieście, choć pokrytym kopułą śniegu, czy wolicie wyruszyć w kierunku Enwerpii, by spotkać przyjaciół?

- Znamy się raptem pół roku, lecz myślę, że Angal myśli tak samo. Pragniemy jak najszybciej wyruszyć do klasztoru - odparła Rose.

- Tak, moja towarzyszka ma rację. Być może Geron i Zul wiedzą już, co trzeba zrobić, lecz nie możemy beczynnie siedzieć i czekać. Okazać się też może, że będą potrzebować naszej pomocy.

-Teraz znam wasze zdanie, aczkolwiek tego się spodziewałem. Jestem gotowy do drogi w każdej chwili. Jednakowoż jest już późno, proponuję wyruszyć jutro z samego rana. Ponoć ma nie padać. Aha, czekajcie, jeszcze jedno. Rosette, pojedziesz na Marianie.

- Na tym byku?! Czy ja wyglądam na czterdzieści pięć galonów i dwieście w pasie?! To obraza dla osiemdziesięcioletniej elfki.

- Iloletniej? - zdziwił się Krętobrody. - Toś starsza ode mnie, ja mam pięćdziesiąt trzy.

- Widzisz? trochę szacunku. Nie okiełznam tego ogiera, tylko Geron potrafi go ujarzmić.

- Nie frasuj się, moja droga. Geron pozostawił wskazówki.
- Marius podał jej kawałek pergaminu. - Powiedział, że opiekę nad Marianem może powierzyć tylko tobie. Poza tym jest to naprawdę spokojne zwierzę, wbrew pozorom.

- No dobrze, mogę spróbować, ale bez nadziei. Jeszcze chwila i doprowadzicie mnie do pasji.

- Angalu, ty pojedziesz na Grudce Zulzedeusa.

- Preferuję kuce, lecz skoro Rose pojedzie na tym byku, ja mogę pojechać na klaczy.

- To wszystko, możecie iść na spoczynek. Zjemy wczesne śniadanie i ruszamy.

Krasnolud rechotał przez całą drogę powrotną, elfka był zagniewana.

- Ale ci dowalił ten twój kochaś, hehe.

- Zamknij dziób, bo wsadzę ci tę brodę tam, gdzie słońce nie dochodzi.

- Spoko, wyluzuj. Ty lubisz DUŻE, przecież Geron też niemały.

- Powiedziałam, zamknij się!

- Dobra, dobra. Nie denerwuj się tak, bo ci żyłka pęknie. Idę się wykąpać, potem pójdę na dziewczki. Na razie.

- Spadaj.

*

Jechali po odśnieżonej drodze na świeżych koniach. Sześćdziesiąt mil to kawał drogi, lecz do wieczora powinni

powrócić już do klasztoru. Zależy, jak szybko pójdzie im z kartelem i Bractwem Mroku. Dotarli już niemal do połowy drogi, jadąc cwałem. W podróży byli od półtorej godziny. Otaczał ich śnieg. Był wszędzie, jednakowoż nie padało. Biel trochę raziała w oczy. Po prawej mieli ośnieżone pola i lasy, gdzieś tam stała chata. Z lewej strony nieustannie towarzyszyły im góry. Byli niedaleko od skalnych olbrzymów, ich szczyty znajdowały się wysoko w górze, nie mieli jednak siły i chęci, aby wykręcać karki i spojrzeć w stronę kamiennych masywów. W oddali majaczyła jakaś wioska, mijali coraz więcej pojedynczych chat. Jechali tak w ciszy, otoczeni jaskrawą bielą, po wydeptanej drodze, gdy nagle zauważyli biegnącego ku nim od strony gór chłopca. Miał na sobie ciepłe futro i śmieszny, czarny kapelusz z okrągłym rondem. W prawej dłoni, uniesionej wysoko, dzierżył zakrzywioną laskę. Biegł i darł się wniebogłosy.

- Legnij!!!

- Co on tam gada?

- Panocki, łoba, legnijcie! W krzoki, w krzoki, ino roz, szybko, panocki!

- Co tam bredzisz?!

- Bo was gargulec sprzątnie! W krzoki!

- Geron, on ma rację, tam coś leci.

Chłop ich wyminął, przebiegł drogę i zaśnieżone pole i wpadł między drzewa. Podążyli jego śladem. Ukryli konie i siebie. Stwór był niedaleko, miał szarą skórę, błoniaste skrzydła i cztery łapy zakończone długimi szponami. Usłyszeli jego krzyk, chrapliwy i piskliwy zarazem, przeszywający

i mrozący krew w żyłach. Widzieli, jak się zbliża. Potwór zniżył lot ku ziemi, zrobił pętlę i wzbił się ponownie. Krążył chwilę po niebie, po czym runął gdzieś między drzewa. Usłyszeli kwik. Stwór upatrzył biegnącą łanię, po czym porwał ją i odleciał na południe. Siedzieli jeszcze chwilę przerażeni, po czym pierwszy odezwał się chłop:

- Widzicie, panocki, godołem że gargulec leci. Byli ta, panocki, na tym śniegu białym widocni jak tłusto mucha w mlyku.

- Dzięki ci, dobry człeku, za ostrzeżenie - rzekł Geron. - Zul, co to była za cholera?

- Chłop ci powiedział. Gargulec. Chociaż fachowo nazywa się go chimera.

- To co z tą nazwą w końcu?

- Wiesz, w języku elfów ten stwór nazywa się chimera, lecz gdy chłopci niegdyś po raz pierwszy ujrzeli poczware, nazwali go gargulcem, bo skojarzył im się z krogulcem, ptakiem o chwytnych i długich szponach. Nazwy oficjalnej nie znali, to został gargulec.

- Dobry człowieku - zwrócił się Geron do chłopca. - Jesteś z tej wioski przed nami?

- Tak, panocku, lecz dali to lepi nie idźcie.

- Czemuż to?

- Bo dali rozciągo się zła kraina. Carno forteca ma mrocznym wzgórzu, wokoło góry styry wioski, tylko przyjaźni tam nie som. Każdygo wędrowca na miejscu zaciukajom albo do fortecy posyłajom.

- A jeśli powiemy, że my właśnie tam zmierzamy?

- Popiździło panocków? Tam jest przeklynto ziymia, nikt tam się nie zapuszczzo. Niebezpieczeństwo tam czycho, stwory piekielne krążą. - Wskazał na niebo.

- Zaraz, to ten cały gargulec z fortecy?

- A niby skąd, panocku? Nigdzie takie diabły nie miszkają.

- Cholera, przeor nie gadał o takich dziwach. - Geron rzucił piorunujące spojrzenie na czarodzieja.

Zul tylko wzruszył ramionami.

- Pewno sam nie wiedział. Wiesz, może uda nam się dostać po cichu do środka, gwizdnąć klucz, a potem rozwalisz ich tym kamulcem?

- Ale żeś, kurna, wymyślił. Może jeszcze zaprosimy dziwki, a członkowie Bractwa zrobią ci dobrze?

- Masz lepszy pomysł?

- Cosik panockom odpiernicza, może panowie długo wędrują? - spytał zdziwiony całą sceną chłop.

- Nie, mości dobrodzieju, takie tam sprzeczeki - powiedział Geron. - Zaprowadź nas pan lepiej do wioski, piwa się napijemy.

- O, panocek w końcu dobrze godo. A może nie piwa, ino gorzałki?

- Chętnie, ale z umiarem.

Wyszli z zarośli, idąc tuż za chłopem i prowadząc wierzchowce za uzdy. Geron poprawił futro i ukryty pod nim topór. W jukach miał zbroję ze skóry świdrogrzmota. Nie zamierzał ryzykować. Nie chciał, żeby rozerwała go chimera albo inna cholera. Zaczął dąć lekki wiatr, lecz słońce wyszło zza chmur i ogrzało ich twarze. Świat nadal pokryty był

śnieżną pokrywą, góry majaczyły groźnie na wschodzie.

*

Poszliśmy z chłopem do jego chaty. Żona okazała się bardzo miłą kobietą. Florian, gdyż takie było imię chłopca, miał trójkę dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę. Chłop przedstawił nas rodzinie. Geron nie mieścił się pod powałą, toteż Florian przebrał się i udaliśmy się do pobliskiej tawerny. Nasza wyprawa przeciągnęła się o dwa dni z jednego powodu - lekkie skosztowanie gorzałki przerodziło się w dłuższą libację, szklanica po szklanicy, kufel po kuflu. W takim stanie nie mogliśmy ruszyć w stronę siedziby kartelu. Następnym, czyli dzisiejszym dniem, również odpada. Głowa mnie napierdziela jak nigdy, mocny bimber tu mają. Kac gigant nie jest sojusznikiem podróżników.

Wieczorem opuścił mnie dręczyciel, mój kompan również czuł się lepiej. Florian odradzał wędrówkę w nocy, bo wtedy w powietrzu krąży więcej stworów. Poszukaliśmy więc z Geronem chętnych dziewczek na rozluźnienie, parę się znalazło. Folgowałem chuci z taką jedną brunetką z dużymi, kształtnymi i jędrnymi piersiami. Potrzebowałem tego, ostatnio kochałem dwa tygodnie temu, gdy w obozie wojennym znalazła mnie jedna z tych pałacowych służących. Tego ranka czuję się już dobrze, wyruszamy po śniadaniu.

Mamy pecha. Wprawdzie do czarnej fortecy nie było daleko i widać ją było z odpowiedniego wzgórza, jakieś

dwadzieścia mil, to podróż się ciut przeciągnęła. Rozszalała się śnieżycyca, która zakrywała nam wyznaczoną drogę, podmuchy mroźnego wiatru biły po twarzy, ograniczając widoczność. Jak na złość lasy się przeredziły, najbliższy był pół mili na wschód. Konie prychały i zapierały się, zatrzymaliśmy się więc i w najbliższej zaspie wykopaliśmy schron. Nie było to łatwe w takich warunkach pogodowych. Śnieg raził w oczy. Przeczekaliśmy wichurę, zjadając się kiełbasą od Floriana. Było zimno, lecz ciepło emitowane przez ciała nasze i końskie ogrzewało nas. Zasypało nam wejście do połowy. Śnieżycyca ustała po pewnym czasie, wtedy wstaliśmy i wygrzebaliśmy się ze śnieżnego schronu. Dałem swemu wałachowi parę kostek cukru, by zwierzę chętniej mnie niosło. Ruszyliśmy galopem na południe. Trasa z rodzinnej wioski Floriana do mrocznego wzgórza powinna zająć około godziny, nam wyszło trzy razy tyle.

Dotarliśmy w pobliżu jednej z czterech wiosek kartelu. Naszym oczom ukazał się przerażający widok. Mimo pory roku okoliczne tereny nie były spowite śniegiem. Cała ziemia w okolicy była goła, wyjąłowiona i czarna. Dosłownie czarna, podobnie jak budynki w osadzie. Mroczne, ciemne, niemalże głuche. Był to jakby wycinek z innego świata. Dziwnie wyglądała też granica między resztą świata a terenami kartelu. Wokoło śnieg i zawieja, tutaj nagle przerwa, czarna ziemia i ciepłe, niemal gorące powietrze. Straszna różnica temperatur. Przekroczyliśmy ową granicę i zrobiło nam się gorąco.

Zdjęliśmy więc futra i skryliśmy się przed oczami ciekawskich za kilkoma wyschniętymi, pokrytymi czarną korą drzewami. W linii prostej, tuż za wsią, wyrastało isticie czarne wzgórze, mroczne i odpychające, z twierdzą z czarnego kamienia na szczycie. Droga wiodąca ze wsi do fortecy otoczona była gdzieś wyschniętymi drzewami. Niebo nad twierdzą nie było niebieskie, nawet białe, tylko wściekle pomarańczowe, zasnuwane ciemnymi chmurami, które tworzyły wir i kręciły się powoli nad warownią. Obraz jak ze złej książki, z horroru. Strach mnie ogarnął i ścisnął za gardło. Taki krajobraz mógł stworzyć jedynie potężny mag lub kilku średnich. Bractwo Mroku, przemknęło mi przez myśl. Przeor chciał, byśmy tam weszli, lecz nie wspomniał, jak można wyjść.

*

Przywiązali wierzchowce do drzew jak najbliższej granicy, zamaskowali je kilkoma gałęziami i pozostawili trochę owsa. Konie były niespokojne, uciszeli je. Czarodziej odebrał im głos zaklęciem i uspokoił, aby nie dawały oznak życia w razie patrolu chimery. Zostawili futra przy jukach, Geron przywdział zbroję bez hełmu, Zul kolczugę, zakryli jeszcze kryjówkę kobył suchymi gałęziami i ruszyli. Geron przypasał topór i miecz, czarodziej szpadę i sztylet. Weszli do wioski. Było tu mroczno, ciepło, głucho. Ominęli młyn i rzeźnię. Nikt się nie pokazał. Znaleźli karcznię, weszli do środka. Siedziało w niej kilku posepnych mężczyzn z tępych wzrokiem, jakby w transie.

Spojrzeni na nowo przybyłych. Po chwili zorientowali się, że to nietutejsi i powstali ze swoich miejsc. Odezwał się najbliższy – najwyższy i krępy:

– Czego?

– Dzień dobry. Piękny mamy dzisiaj dzionek, nieprawdaż?
– zagadnął Geron.

– Czego? – powtórzył tamten.

– Szukamy czegoś na przepłukanie gardła – rzekł Zul. –
Wie pan, co mam na myśli.

– Nie obsługujemy obcych.

– Wydaje mi się, że to gospodarz rządzi przybytkiem –
dodał Geron.

– Nie obsługujemy przejezdnych – odparł ponury barman,
wycierając szczerbaty kufel brudną szmatą, co nie czyniło
naczynia ani krzty czystszy.

– Wiecie panowie, tak traktujecie gości? – powiedział
Marończyk.

– Czwarty raz nie będę powtarzał. Czego? – Tamten szedł
w zaparte.

– Przechodziłem obok i pomyślałem, że wstąpię i podrapię
się po jajach – odrzekł Geron.

– Zabawne, a naprawdę?

– Naprawdę to chciałem wytrzepać fiuta o parapet.

– Stary, nie przeciągaj struny – szepnął czarodziej.

– Spoko, panuję nad sytuacją.

– Tutaj nikt nie lubi takich durnych żartów. Wynocha!

– Dobra, nie frasuj się pan i nie unosz ponad stan – rzekł
Zul. – Mój kompan pożartował, był ambaras. Jak nie

dostaniemy piwa ani gorzałki, to już pójdziemy. – Pociągnął Gerona za rękaw i wyprowadził na zewnątrz.

Uderzył ich kolejny podmuch ciepłego powietrza. Skierowali się ku wzgórz. Przechodząc, zauważyli w jednej chacie dziewczkę siedzącą tuż przy oknie. Była wyraźnie przerażona. Zauważywszy obcych we wsi, krzyknęła do nich. Nie usłyszeli wprawdzie głosu, ale z ruchu warg odczytali jedno słowo: „Pomocy!”. Po tym geście rozpaczły dziewczyna zniknęła w głębi chaty.

– Nie podoba mi się to – powiedział czarodziej. – Ci w karczmie byli jacyś dziwni.

– Wiem, jak pionki. I ta dziewczyna. Dzieją się tutaj gorsze rzeczy, niż przypuszczaliśmy. Afera z kluczem to chyba wierzchołek piramidy.

– A skąd ty wiesz o piramidach?

– Ojciec mi opowiadał.

– Stój! Słyszysz to?

– Taki sam dźwięk, jak na tym polu.

– A niech to szlag! Chimera! Wiej!

– Szybko, do tej jamy!

W ostatniej chwili wpadli do skalnej wnęki i zakryli wejście głazem. Szpony bestii drasnęły kamień, pozostawiając głębokie rysy. Spojrzeli po sobie przerażeni. Potwór nie rezygnował, zakołował w powietrzu i zanurkował ponownie. Powietrze świsnęło, rozległ się przerażający chrapliwo-piszczący wrzask. Jama była niewielka, ledwo się w niej mieścili. Zul nie miał miejsca na wykonanie jakiegokolwiek układu. Geron zdecydował się na desperacki ruch. Powoli

i z wielkim trudem wyciągnął topór i przelał weń część swego gniewu. Broń zabłysła, oślepiając ich. Wybraniec wsłuchiwał się w otoczenie. Usłyszał łomot błoniastych skrzydeł, lawirujących w pobliżu ich kryjówek, krzyk stwora i świst powietrza. Chimera właśnie wzbiła się, zakołowała i zanurkowała. Geron wciąż słuchał. Już wiedział, gdzie jest stwór. Chimera właśnie zbliżała się do głazu, gdy chłopak odepchnął go z całej siły i skoczył, odbijając się od kamienia. Równocześnie zamachnął się z całej siły i wygiął korpus do tyłu, aby szpony go nie dotknęły. Ostrze topora rozcięło pysk bestii, przepołowiło tułów, niszcząc organy wewnętrzne, mostek i żebra, lecz nie uszkadzając kręgosłupa. Po skoku Geron, będąc wygiętym do tyłu, przejechał na kolanach, nie rozluźniając uchwytu na drzewcu topora. Zatrzymał się, wyprostował i wstał, a następnie, opuściwszy topór, odwrócił się. Chimera uderzyła o występek skalny jamy, z której wyłaził Zul. Czarodziej spojrział na potwora, który poruszył się parę razy, po czym zdechł. Zul trącił stopą truchło.

- Ładnie żeś ją załatwił. Zdziwiasz mnie.

- Daj spokój. Odruch.

- Też chciałbym mieć taki odruch. Rzeczywiście duża ta gadzina. Szpony mają blisko stopę długości. Jeden cios i... - Mówiąc to, przejechał palcem po gardle.

- Nie ciesz się tak. Nie podoba mi się ten mur. W kilku miejscach jest szary i rusza się.

- Co ty chrzanisz? - Czarodziej odwrócił się. - Niech mnie drą pasami! Nie mamy szczęścia. Padnij!

- Co jest? - spytał Geron już z parteru.

- W życiu nie spodziewałem się spotkać tej maskary. Przynajmniej to upewnia mnie, że Bractwo Mroku składa się z kilku magów.

- Powiesz mi w końcu?

- To nie był mur. To były golemy.

- Co? Zaraz, coś mi świta. Kamienne olbrzymy?

- Olbrzymy to mocno przesłodzone określenie. Golem to stworzony przez czarodzieja kamienny ochroniarz. Każdy mag może stworzyć tylko jednego golema.

- Bo?

- Bo żeby golem mógł żyć, czarodziej musi przelać w niego połowę swego życia.

- Pięknie. Znaczy co? Jak rozwalisz golema, to czarodziej osłabnie?

- Znacznie. Tylko że golem to strasznie odporna chole...
raaaaaa!

Urwał, gdy porwała go kamienna łapa. Druga pochwyciła Gerona. Golemy zauważyły jego potyczkę z chimerą i postanowiły usunąć szkodniki. Przypuszczenia kompanów okazały się jednak błędne. Stwory zaniósły ich do wnętrza twierdzy, po drodze ogłuszając, by nie zapamiętali drogi. Topór wyślizgnął się z rąk Gerona.

*

Zakończyli szaleńczy bieg przez śnieżne stopy. Bagna były skute lodem, więc nie unosił się charakterystyczny odór. Drzewa, pozbawione koron i poszyc, pokryte były kupkami śniegu. Po niemal martwych moczarach hulał przerażający

wiatr. La Vardo westchnął.

- Myślałem, że zimą w pobliżu morza jest cieplej - rzekł Miren.

- Nie z tej strony. Tu ciągną wiatry ze wschodu, od Mrocznych Gór - odparł dowódca.

- Szeffie, czy pustelnicy nas nie widzieli? - spytał Jess.

- Nie sądzę. Trzymają swoje uprawy i własne dupy bardziej na południowym zachodzie, ominęliśmy ich od wschodu. Leo, gdzie ta jaskinia?

- Z drugiej strony tego wzgórza. Chyba nawet ktoś do nas idzie, widzicie?

- Dobra, chodźmy na ten wiec, bo mi się zimno robi.

Ruszyli w kierunku wskazanym przez nawigatora. W istocie w ich stronę kierował się odźwierny. Po wymianie grzeczności i honorów sześciu wojaków spod Balha Deal weszło w głąb jaskini. Za ukrytymi w skale drzwiami znajdowały się schody prowadzące do holu oświetlonego sześcioma świecami. Powiesili płaszcze i futra na uprzednio przygotowanych wieszakach. Pchnęli kolejne kamienne drzwi. Ich oczom ukazał się niezwykle widok. Stali u szczytu schodów prowadzących do obszernej, okrągłej sali. Spodziewali się hali, w której znajdowałby się podest. Taki był układ w poprzedniej siedzibie, sądzili więc, iż tak zostanie urządzona i nowa kryjówka. Czekало ich zaskoczenie. Ukryta w tej jaskini sala niewątpliwie była dziełem krasnoludów. Festus spojrział jeszcze raz z niedowierzaniem. W okrągłej sali znajdował się okrągły stół. Równość, nikt nie jest gorszy od drugiego. Większość miejsc była zajęta. Pomieszczenie

oświetlały pochodnie wtopione w ścianę i wielki świecznik zwisający z sufitu. Przybycie ostatnich zaproszonych na zgromadzenie gości zauważył przewodniczący Rady Pięciu, spojrzał na nich, podniósł ręce i zakrzyknął:

- Nareszcie nasi ostatni towarzysze przybyli!

Wszystkie rozmowy ucichły, zebrani spojrzeli na schody. Festus przełknął ślinę i rzekł:

- Wybaczcie, zacni bracia i drogie siostry, spóźnienie, lecz zmierzaliśmy tu bez wytchnienia wprost ze stolicy Vea Utheel, gdzie stoczyliśmy niedawno bitwę z orkami. Możemy prosić o trochę jadła i kielich wina dla każdego z nas?

Po sali przeszedł pomruk. Niektórzy powtarzali wieść o ich długiej podróży, inni nie dowierzali, że zdołali pokonać taki dystans w ciągu czterech dni, kolejni zaś przejęci byli słowami o bitwie z orkami. Sytuację opanował przewodniczący rady, uciszając wszystkich swym donośnym basem:

- Ależ naturalnie! Kto jak kto, ale wy na pewno zasługujecie na strawę. Przynieście im jadła! - huknął na dwóch sąsiadów. - Opowiecie nam również, jak wyglądał przebieg bitwy i jakie są skutki. To również jeden z punktów obrad. Dobrze, żeby więcej nie przedłużać, zaczynamy dziesiąte już zebranie kryzysowe Klanu Lykanów!

*

Ocknął się i rozejrzał wokoło. Otaczała go ciemność. Chciał wstać, lecz okazało się, że jest przykuty do ściany za nadgarstki tuż nad głową. Szarpnął się parę razy, ale okowy

były zbyt solidne. Zula raczej nie było w pobliżu. Po prawej stronie znajdowały się prawdopodobnie szerokie drzwi, gdyż nikły poblask padał na podłogę. Najwyraźniej nie było tu okien, znajdowali się chyba w lochu, w osobnych celach. Poukładał sobie w głowie przebieg ostatnich zdarzeń. Gospoda, droga, jama w ziemi, rozplatanie chimery, a potem... dziura w pamięci. Czuł pulsujący ból w potylicy. Musiał nieźle dostać w łeb. Chyba go nie przeszukali, czuł kłujący w pierś wierzchołek Kamienia Zniszczenia znajdujący się w prawej, wewnętrznej kieszeni, pod zbroją. Siedział tak blisko pół godziny, gdy drzwi się otwarły i do sali weszło pięciu odzianych w dziwne szaty ludzi. Natychmiast zapłonęły wszystkie pochodnie znajdujące się w pomieszczeniu. Geron mylił się, to nie był loch. Pomieszczenie było szerokie i obszerne. Pośrodku znajdowało się kilka wykutych w kamieniu pentagramów, z tego miejsca trudno było stwierdzić, ale było ich chyba pięć i jeden na podwyższeniu, wokół ciosanego z kamienia ołtarza. Ludzie stanęli w pentagramach, w każdym z nich znajdował się stojak z księgą. Pod przeciwległą ścianą Geron dostrzegł towarzysza. Młody czarodziej odzyskiwał świadomość. Pokręcił głową, obejrzał salę i spojrzawszy na Naznaczonego, kiwnął do niego głową. Geron odwzajemnił gest, postanowił działać. Sala oświetlona była nikłym blaskiem świec. Jeden z członków Bractwa Mroku machnął ręką i zapłonęły świece wokół ołtarza. Bractwo rozpoczęło odczytywanie inkantacji, ewidentnie chcieli coś lub kogoś przywołać. Obrzęd brutalnie przerwał głośny kaszel Geron. Zebrani spojrzeli na niego ze zgorzaniem. Bractwo składało

się z czterech mężczyzn i kobiety. Zul dawał znaki, by przyjaciel nic nie robił, Geron jednak go zignorował i zaczął dysputę.

- Ekhem! Przepraszam, że przeszkadzam w odprawianiu mrocznych rytuałów, ale napiłbym się czegoś.

Na to odezwał się najbliższy mężczyzna, barczysty i brodaty:

- Cisza!

- Wybacz, koleś, daj ino trochę piwa i będzie git!

- Rzekłem: cisza!

- A tak w ogóle, to po jakie licho nas tu trzymacie?

- Zamknij się! - Tym razem słowa wypłynęły z ust kobiety.

- Dobra, niepotrzebnie żeśmy tu przyłazili, ale lać po łbie też nieładnie.

- Uciszyć cię po mojemu? - zirytował się brodacze.

- Zrobimy tak: ty mi powiesz, co robicie, a ja się zamknę, zgoda?

- Siedź cicho, przeszkadzasz nam w przywołaniu naszego Pana, Xulisza!

Chłopak spojrzał na kolegę. Zulowi oczy niemal wyszły z orbit. Był przerażony. Geron wykonał pytający gest. Zul odpowiedział bezgłośnie, lecz on zrozumiał to słowo z ruchu warg: „Demon!”. Pięknie. Nie może pozwolić, aby to walnięte Bractwo nakarmiło nimi demona. Przypomniał sobie słowa ojca: „Nie może władza w pełni rządów pełnić, gdy trawią ją wewnętrzne waśnie i konflikty”, mądra maksyma. Trzeba ich napuścić na siebie, tylko jak?

- Wydaje mi się, że wasze starania gównem dadzą.

- Zamknij się wreszcie!

- Spójrzcie na to tak: Co on wam obiecał? Pewnie jakąś wielką fuchę, nie? Tylko po jaką cholere potrzebna mu zgraja gości, jak lepszy będzie jeden konkretny człowiek po jego prawicy.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Służymy mu od lat.

Geron się zmartwił. Co on tam wyczytał o demonach? Pierwsi służy Upadłego, więc ten na pewno też mu służy. Parł dalej:

- Racja, od lat. Tylko że zaszły nowe okoliczności. Raal już działa na ziemi, jego sługus lada dzień zacznie szaleć po Wszechziemiu, więc wasz pan niebawem opuści was i dołączy do swego szefa, by walczyć z bogami. Skoro więc wasz demon wróci do swego dowódcy, który ma pod komendą hordy orków, goblinów, trolli, swego zimnego sługusa i rzeszę innych ścierw, to nadal macie nadzieję, że będziecie mu potrzebni?

- Zamknij się!

- Tylko że ten kiep ma trochę racji - rzekł facet z długimi blond włosami i kościstymi policzkami.

- Co ty bredzisz? - odparł brodac.

- Ostatnio nasz Pan nie ma dla nas zbyt wiele czasu, nie tak jak kiedyś.

Geron spojrział na przyjaciela. Zул coś szeptał, po chwili pękły mu kajdany, siedział jednak nadal w takiej samej pozycji, uśmiechnął się do towarzysza i rzekł bezgłośnie: „Kontynuuj”.

- Szanowni członkowie bractwa, sądzę, że wasz demon nie będzie taki surowy. Opuści was zapewne, może zabije, by nie było świadków, jak to demon, nie zdoła pewnie przekonać

swego boga, by was oszczędził. Ale, ale, ale... możecie udowodnić mu, że nadajecie się do walki z resztą Wszechziemia, na przykład, no nie wiem, dostarczając mu Wybrańca. On przekazałby Wybrańca Raalowi, który nagrodziłby go sówicie, zaś Xulisz uhonorowałby tego, który przysłużył się do jego awansu.

- Masz rację, dostarczymy mu ciebie, Wybrańcu. Tak, wiemy, kim jesteś. Nikt inny nie jest tak głupi, by tu przychodzić. Damy mu ciebie, a on nas wywyższy pod niebiosa - rzekła kobieta.

- Sądzę, że wszystkich to raczej nie nagrodzi. To demon, jest mściwy wbrew pozorom. Jeśli zastałby was z takim darem, jakim jestem ja, prawdopodobnie zabiłby was wszystkich, aby zgarnąć wszelkie honory i chwałę dla siebie, bez tłumaczenia przed Upadłym, kto i jak tego naprawdę dokonał. Jeśli jednak zastałby tutaj jednego wiernego, oddanego mu człowieka z TAKIM darem, no, myślę, że uczyniłby go co najmniej generałem.

- Twierdzisz, że Xulisz wszystkich nas zabije, zabierze ciebie i sam będzie chlubił się przed Raalem?

- Tak twierdzą? Tak, jak najbardziej. - Geron poczuł, jak kajdany pękły, był wolny. Teraz wystarczy tylko dobiec do Zula i odpalić moc kamienia.

- Mylisz się. Twe słowa to absurd.

- Srali muchy, idzie wiosna, będzie lepiej trawka rosła. Skłonny jestem sądzić, że taki jeden konkretny człowiek przy boku, jeszcze z prezentem, ma szansę zyskać zarówno w oczach Xulisza, jak i Raala. Możliwe, że sam Upadły

doceniłby wartość człeka, który zdolny jest do takich czynów, jak upokorzenie kumpli, wykorzystanie ich i zgarnięcie całej chwały dla siebie. Chwilunia, czym to żywią się demony? A tak, krwią. Właśnie. Pomyślcie, jak taki demon byłby dumny z wiernego człowieka, który nie dość, że daje mu wspaniałą prezent w postaci Wybrańca, to również przyrządza mu ucztę z pięciu ciał pełnych krwi – dodał soczyście, obserwując reakcję. Są dwie opcje: teraz albo zaczną się tłuc między sobą, albo zwrócą się przeciw niemu i ukarzą go mściwie. Tak czy inaczej przy pierwszej ich reakcji należy biec do Zula i uaktywnić Kamień Zniszczenia. Wybrali pierwszą opcję, pierwszy zaczął kościsty blondyn.

- Tak słucham słów Wybrańca i dochodzę do wniosku, że on ma rację. Xuliusz doceni tylko jednego z nas! – I strzelił Promieniem Lodu w kierunku faceta z wielką szramą na policzku. Ten odparł atak i odpowiedział Falą Gniewu.

- To tak? Wiedziałam od początku, że chcesz być dupowłazem demona! – wrzasnęła kobieta i cisnęła Kulę Ognia w kierunku chudzielca. Po chwili każdy bił ostro byłych kamratów. Zul z Geronem rzucili się ku sobie, spotkali się przy drzwiach. Naznaczony wyjął sześcian i już miał odczytać zaklęcie z pergaminu, gdy ziemia zaczęła się trząść. Nad ołtarzem pojawiła się kula czerwonego światła. Blask wypełnił pomieszczenie i oczom zebranych ukazał się demon. Wyglądał w sumie jak człowiek, był tylko sporo wyższy i posiadał wspaniałe, czarne skrzydła wyrastające przy łopatkach. Odziany był w długą, czarną szatę, skórę miał białą jak Oswald Trev, był łysy, a jego palce przypominały blade szpony. Spojrzał

pustymi oczodołami na tłukących się magią członków Bractwa Mroku.

- Co tu się dzieje?! - ryknął.

- P-panie, jesteś! - wydukał brodac.

Zaprzestali walki.

- Poczulem mrowienie przywołania, ale do niego nie doszło. Wywnioskowałem, że coś was rozproszyło. Czego chcieliście?

- Mamy Wybrańca!

- No dobra, ale dlaczego żeście próbowali się nawzajem zabić?!

- Wybraniec rzekł, że tylko jednego z nas przyjmiesz w szeregi przy boku pana twego, Raala, co uznaliśmy za bardzo wiarygodne.

- Nonsens! Gdzie ten... Co ty robisz?! Zostaw to! NIEEE!

- Demon rzucił się ku Geronowi, lecz ten już kończył formułę: *Kerishfar du'l sme yep'oi adee! Kutsuum!*, a Zul trzymał z całej siły jego ramię. Demon niemal ich dotknął, lecz gdy Geron dokończył słowo *Kutsuum*, Xulisz dosłownie eksplodował. Efekt uwolnienia mocy był piorunujący - z wnętrza Kamienia Zniszczenia uwolniła się energia, która rozeszła się kręgami podobnymi do fal, jakie tworzą się po wrzuceniu kamienia do stawu. Siła poruszyła ściany twierdzy, z powały opadł gruz. Z zewnątrz dobiegł ich ryk rozpadających się golemów. Członkowie bractwa wrzeszczeli, próbowali chronić się magią, lecz ich głosy nagle się urwały. Zapadła cisza. Zul zamrugał. Po przejściu fali mocy wszędzie unosiła się gęsta, szara mgła. Wszystkie świece zgasły,

otaczała ich tylko mgła i pył. Zul wypowiedział formułę i machnął ręką, świece zapłonęły. Kurz opadł, na posadzce nie było nawet trupów, pozostał czarny proch, fragmenty mięśni i organów wewnętrznych.

- O bogowie, to było mocne! - ucieszył się Geron.

- Racja, ma kopa. Moja imaginacja to przy tym chrząszcz.

- Ja również nie spodziewałem się takiego efektu.

W najśmielszych wyobrażeniach.

- Moc kamienia przydałaby się na polu bitwy, szkoda, że sprawny będzie dopiero za pięć lat.

- Trochę szkoda, lecz w bitwie będziesz walczył z orkami, nie gołymi łapami z demonem.

- I tu zgadzam się z tobą. A to co? - Zul pochylił się i podniósł coś mięsistego i bordowego. - Ale numer! Serce demona, nawet go nie drasnęło.

- Zabierasz to? Na co ci?

- Serce demona to bardzo rzadkie trofeum posiadające wiele magicznych właściwości. W historii odnotowano zdobycie tylko trzech serc, to będzie czwarte.

- Rozejrzyjmy się trochę, może znajdziemy tu jakieś wskazówki i oczywiście klucz do Komnaty Medytacji.

- Stary, nie mogłeś poczekać z tym rozwalaniem do końca dyskusji?

- Pogięło cię? Robiło się gorąco, zresztą z doświadczenia wiem, że z takiego czekania nie wynika nic dobrego. Prawie przekabacił ich na swoją stronę.

- W sumie to masz rację. No dobra, rozejrzyjmy się trochę.

ROZDZIAŁ 8:

WIZJA

Opuścili Komnatę Przyzwań. Przylegające do niej pomieszczenie okazało się po części salonem, po części biblioteką i po części rupieciarnią. Przy regałach i komodach znajdowały się kufry, skrzynie, stojaki z czarnymi księgami i podejrzanymi przedmiotami. Pomieszczenie miało wysokie okna, przyciemnione na szaro i zakończone strzeliście tuż pod stropem. Rozejrzeli się wokół. Naprzeciwko spostrzegli drzwi, przez które będą mogli opuścić ów przybytek żalości i rozpaczy. Pośrodku znajdował się szklany, czarny stół, a wokół niego sofa i trzy fotele. Wszystkie te meble obite były czarnym perkalem. Bogato się urządzili. Zul ominął jeden z foteli i rozpoczął szperanie w jednej z biblioteczek. Geron natomiast rozglądał się za kluczem. Nigdzie nie widać było jednak niczego, co choć w małej części przypominałoby klucz. Chciał sprawdzić w skrzyniach, ale były zamknięte. Wpadła mu do głowy pewna myśl. Wrócił do Komnaty Przyzwań i obejrzał dokładnie kamienną podłogę. Zgodnie ze słowami przeora Kamień Zniszczenia rozszczepiał na atomy ciała organiczne żywe, więc metalowe przedmioty powinny pozostać nietknięte. Między fragmentami ciał i strzępkami odzieży znalazł pięć kluczy. Wrócił do salonu i rozpoczął

dopasowywanie kluczy do zamków.

Tymczasem czarodziej znalazł interesującą lekturę.

- Geronie, słuchaj. To dziennik tego bractwa. Robili notatki od początku działalności. Najstarszy wpis pochodzi sprzed dziesięciu lat.

- Kupa czasu. Tak długo istnieli?

- Hmm, nie, wtedy jeszcze nie byli bractwem. Wówczas, siedząc w karczmie i żłowiąc piwo, posłyszeli wieść o dwóch czarodziejach mających zatrzymać się w ich wsi na noc. O rany, oni nie są stąd.

- To skąd? - Geron otworzył jedną ze skrzyń. Wewnątrz znajdowała się damska bielizna, jakieś błyskotki i kilka książek. Przejrzał wszystko, lecz nie znalazł nic wartościowego. Zул wrócił do swej perory.

- Z jakiejś mało znaczącej wioski na pograniczu Meo Gao i Koel Nahal. Mniejsza z tym. - Wodził palcem po tekście. - Hmm, zakradli się w nocy i poderżnęli gardła czarodziejom, zabierając im sygnety. Wtedy jeszcze byłem podrostkiem, nie myślałem nawet o edukacji magicznej.

- Ja też byłem młodzieniaszkiem, miałem jakieś... czternaście albo piętnaście lat. - Geronowi udało się dopasować drugi klucz do kolejnego kufra.

- Dalej piszą, hmm, to mało ważne. O, tu! Sprzed ośmiu lat. Trochę gryzło ich sumienie z powodu tych czarodziejów, ale postanowili iść za ciosem. Zamordowali jeszcze trzech magów, elfa i dwie kobiety, by każde z nich miało sygnet, ale nie mogli z nich korzystać. Pół roku później ktoś odkrył ich zbrodnię, więc uciekli.

- Ciekawe. I co, trafili tutaj? - Naznaczony sprawdził zawartość kufra, lecz nic szczególnego nie znalazł: tabakiera, trzy flaszki koniaku i ryciny pornograficzne oraz jakiś tajemniczy przedmiot w kształcie zęba. - To może być to?

- Raczej nie, klucz będzie raczej kanciasty. Słuchaj dalej. Zbiegli na południe Wszechziemia, w okolice podgórskie. Byli prawdopodobnie we wsi Floriana. Zapis sprzed siedmiu lat. W tawernie posłyszeli o starej fortecy. Hmm, tu jakieś zapiski o nocy z gorącą kocicą, mało ważne. - Przerzucił trzy strony. - Skubany, rozpisał się bardziej niż ja. Mniejsza o to. Odnaleźli w fortecy ciało martwego nekromanty i jego księgi.

- Co? Zaraz, jakim cudem sami zostali nekromantami, skoro nie mieli mocy? - Geron sprawdził trzecią skrzynię. Znalazł w niej mały, miedziany kluczyk pod parą skarpet.

- Spokojnie, dojdę do tego. Przeczytali te księgi, wydedukowali zamiary martwego nekromanty i zrozumieli jego błędy. Piszą, że nieboszczyk próbował przywołać demona, nie składając mu ofiary. Sądził, iż posiada wystarczającą moc, by ujarzmić demona. Jednak samo przywołanie okazało się za silnym, zbyt wyczerpującym psychicznie i fizycznie wyzwaniem i zabiło nekromantę. - Zul spojrział na Geron, który sprawdził w międzyczasie jeszcze dwie skrzynie, lecz nie znalazł klucza. - Doszli do wniosku, że ich pięcioro zdoła wezwać demona, hmm, wyczytali imię, srata tata, na ofiarę potrzebowali dziewicy, gdyż tylko taka posiada czystą krew. Porwali jedną z najbliższej wsi i odprawili krwawy rytuał.

Zul czytał, tymczasem Geron znalazł w ścianie za jednym ze stojaków niewielki guzik. Po jego naciśnięciu wysunął się

kamień, za którym znajdował się mały, miedziany zamek wkuty w skałę. Chłopak wsunął w otwór znaleziony miedziany kluczyk i przekręcił. Strzeliło i wzdłuż kamieni na ścianie zarysowały się drzwiczki od wnęki. Geron pociągnął za kluczyk, otwierając wykutą w skale szafkę. Ukryty schowek miał dwie stopy wysokości i stopę szerokości, sięgając w głąb na półtorej stopy. Szafka posiadała dwie komory przedzielone pośrodku kamienną płytą. Na dolnej półce znajdowały się eliksiry, tajemniczy amulet i jakieś proszki, na górnej zaś ogromny rubin z wyrytymi inskrypcjami. Jedna z jego ścian była ucięta, a powierzchnia gładka wzdłuż całej długości.

- Mam! - rzekł triumfalnie Geron. - To chyba to! - Pokazał czarodziejowi ciosany rubin.

- Bardzo możliwe, nic innego tu nie znajdziemy. Zabiorę również ten dziennik. Tu są napisane takie rzeczy, od których można dostać apopleksji, krwotoku, hysterii, sraczki, padaczki i skłonności samobójczych jednocześnie.

*

Przeor chciał widzieć się z nimi, gdy tylko wrócili. Podróż powrotna zajęła im trzecią część dnia, nie było zamieci, nawet nie padało. Zima osiągnęła punkt krytyczny i najwyraźniej zmierzała ku końcowi, był zmierzch *okhen*, za trzy dni miał zacząć się *marmai*. Większość bitew z orkami odbywała się na przełomie *mru'il* i *sevrat*^[111]. Przemierzając dziedziniec, minęli grupkę alumnów z drugiego roku, weszli na górę tak jak ostatnio - przez zachodnią wieżę. Ujrzawszy ich, przeor odprawił jednego z profesorów i w oczekiwaniu na relację

usadowił się na bogato zdobionym stolcu.

- Długo was nie było. Martwić się zacząłem. Komplikacje napotkaliście?

- Arcymistrzu, przyszło nam zmierzyć się z wielką okropnością - zaczął Zul. - Bractwo składało się z pięciorga nekromantów pod komendą demona.

- Cóż mówisz? Demon nimi władał? - pytał z przerażeniem przeor. - Przepowiednia nie myliła się.

- Prawda jest taka, że pochwyciły nas golemy i ogłuszywszy, zawlokły do twierdzy. Ocknęliśmy się w momencie, gdy bractwo rozpoczęło rytuał przyzwania, by ofiarować Naznaczonego jako prezent, a mnie jako posiłek.

- Całych was widzę, jak uciec zdołaliście?

- Początkowo nie wiedzieliśmy, co się dzieje, ale najwyraźniej bogowie czuwają nad Wybrańcem i zesłali mu mądrość, gdyż rozpoczął dyskurs z nekromantami i wyciągnął z nich imię dowódcy bractwa. Od razu domyśliłem się, iż chodzi o demona i przekazałem informację Geronowi.

- Jakiż to demon był?

- Jeden z tych, które walczyły bezpośrednio z przodkami, Xuliusz.

- Demon w ukryciu działający, lecz wielkie szkody czyniący - rzekł przeor.

- Tak właśnie, arcymistrzu. Geron rozpoczął z nimi grę słowną, przeszkadzając w wypowiedzeniu inkantacji i wprowadzając chaos wśród członków bractwa. Podpuścił ich i skłócił, wtedy zaczęli skakać sobie do gardeł. Zdołałem uwolnić nas z kajdan, lecz wówczas przybył demon. Zdziwiła

go sytuacja, lecz my nie czekaliśmy na rozwój wydarzeń. Trzymałem Gerona za rękaw, a on użył mocy Kamienia Zniszczenia, dzięki czemu pozbyliśmy się i bractwa, i demona.

- Chwalebny czyn to. Na nagrodę zasługujecie. Klucz znaleźliście?

- Tak, arcymistrzu - rzekł Geron i wyjął zza pazuchy rubin. - Czy to ten przedmiot?

- Tak, w istocie klucz do Komnaty Medytacji jest to. *Ark'h'gahan*, serce gór.

- Arcymistrzu, to nie wszystko. Znaleźliśmy również dziennik opisujący całą działalność Bractwa Mroku, powstanie kartelu i jego rolę. Wynika z niego, iż mimochodem zniszczyliśmy twórców zamieszania we Wszechziemiu.

- Jakże to?

- Proszę spojrzeć. - Zul podszedł do przeora i stanął za jego ramieniem, przewracając kartki dziennika - Przed dziesięcioma laty zamordowali kilku magów. Później, po odkryciu zbrodni, zbiegli na południe i znaleźli opuszczoną twierdzę nekromanty. Przeczytali mroczne księgi i odprawili krwawy rytuał, po czterech próbach przyzwali demona. Dzięki ich modłom i ofierze wydostał się z piekielnych czeluści i odzyskał siły. W akcie wdzięczności dał im moc i przekształcił sygnety w pierścienie nasycone mroczną magią Upadłego, które zdobyli podczas mordów. Zapisy sprzed sześciu lat. - Zul wskazał palcem. - Posiedli moc, nazwali się Bractwem Mroku. Podporządkowali sobie okoliczne wioski, zmieniając ludzi w pionki. Tak powstał kartel sprowadzający nekromantom narkotyki, proszki, magiczne przedmioty

i dziewice, które składano w ofierze demonowi, aby nie stracił sił. Demon odzyskał moc i ruszył na północ, im zaś polecił zrobić wyłom w barierze Rezerwatu. Rozumie arcymistrz?

- Tak, mój padawanie. Sprawców złych wydarzeń mamy. Bractwo barierę uszkodziło, a demon na Lafaryngię gobliny napuścił, do orków przemówił i atakować im nakazał. A Wszechziemie całe się dziwiło i sprawców szukało, radę królowie zwołali.

- Pamięta arcymistrz datę ostatniej przepowiedni, która wstrząsnęła Wszechziemiem?

- To trzydziestego *gyf'baz*^[12] było, w dniu Wielkiej Rady zebrania.

- Dzień wcześniej nekromanci ofiarowali Xuliuszowi trzynaście dziewczic. Demon zyskał wówczas ogromną moc i wrócił do podziemi. Wizja, którą miał prorok, pochodziła nie od samego Raala, lecz od demona. Wedle zapisów jednego z nekromantów Xuliusz wrócił do nich po trzech dniach ze słowami „Dokonało się! Nasz Pan powrócił”.

- Więcej nie mów nic, Zulzedeusie. Ten dziennik daj mi. - Przeor odebrał oprawioną w skórę książkę - To dowód wielki jest. Wszechziemie o działaniu innych sił nieczystych nie pomyślało. Demon panu swemu uwolnić się pomógł i słowa przepowiedni ziścić się mają. Przez nekromantów i głupców grupę świat mroczne czasy ogarnęły. Kto wie, ile złego bractwo zrobić jeszcze mogło. Spisaliście się dobrze, nóż z pleców wyjmując, którym demon podstępny był. Rzec można, iż część proroctwa o Naznaczonym wypełniliście, pośrednika się pozbywając. Konspiracyjna sieć utkana misterniej niż

w moich najbardziej paranoicznych przypuszczeniach była. A ludzie ze wsi pod wzgórzem cóż teraz poczną? Co z nimi?

- Niszcząc bractwo, uwolniliśmy ich spod władzy ciemiężców, odzyskali świadomość własnego losu i wolność. Upadł również i kartel, handel zakazanymi towarami ustał. Teraz mieszkańcy osad muszą odbudować więzi społeczne i własne domostwa.

- Wybacz, arcymistrzu, me pytanie, ale nurtuje mnie ono ogromnie - wtrącił Geron. - Kto był pierwszym Wybrańcem?

- Topór przy sobie masz i Zniszczenia Kamień?

- Mam, proszę. - Geron ze zdziwioną miną podał przedmioty przeorowi. Ten oparł ciężki trzon topora na posadzce, posapując, przyjrzał się złączeniu ostrzy na głowicy. Wymamrotał jakąś formułę i pchnął palcem szmaragd znajdujący się na głowicy, wtopiony między ostrza. Ku zaskoczeniu młodzieńców kamień wypadł i spadł na podłogę. Następnie przeor włożył palec w powstałą dziurę, coś nacisnął i otwór lekko się powiększył, tworząc miejsce na sześcian, po czym arcymag włożył w ten otwór Kamień Zniszczenia i spojrzał na młodzieńców.

- Teraz, chłopcze, rozumiesz?

- Zaraz, przecież ten topór należał do... no, tego króla... Zul, jak to Angal gadał?

- Alandila!

- Właśnie, to topór Alandila, króla Arcanii. To oznaczałoby, że... o kurczę!

- Tak, Wybrańcu. Twoim poprzednikiem Aladnil był. Wpierw generałem wojska był, w chwili zagrożenia ze strony

Raala na poszukiwanie rozwiązania ruszył, Nidasa i Apponosa o pomoc prosił. Na wzgórzu Ferl twarzą w twarz z bogami stanął, trzy topory dostał, dla siebie i dwóch przedstawicieli ras sojuszu. Po powrocie wieść o śmierci ludzkiego króla i jego rodziny usłyszał. Zamek królewski gobliny zajęły i bestialsko rodzinę królewską i dwór cały wymordowały. Na nowego króla jego wybrano, elfiemu władcy i krasnoludzkiemu monarsze topory jako dar przyjaźni ofiarował.

- Może mi arcyministr wytłumaczyć, jakim cudem w mojej rodzinie topór się zachował, skoro należał do króla?

- Odpowiedź jedna jest: dziedzicem jego jesteś.

- Ale jaja - jęknął Zul.

- Przepraszam, ale jakim cudem? Moja rodzina od lat mieszkała w Maro.

- Nie rzecz w tym. Alandil potomka nie posiadał, ze służącą chuci folgował. Król na polu bitwy życie oddał, gdy w boju śmiertelnym z demonem Kalionem starł się. Obaj śmierć ponieśli. Topór na zamek dostarczono, służąca jako zapomogę go wzięła i uciekła. W mieście jakiejś osiadła i syna powiła. Najlepiej, jak mogła, wychowała i broń jako największy skarb na przechowanie synowi powierzyła. Prawnuk jego, a twój prapradziadek, na południe ruszył, by z dala od wścibskich osiadców i dar lepiej chronić. Najwyraźniej do Maro trafił i tam domostwo wybudował.

- Tego się nie spodziewałem. Pochodzisz w prostej linii od wspaniałego króla, pierwszego Wybrańca. W twoich żyłach płynie błękitna krew.

- Daruj sobie, Zul.

- Jeśli wszystko rzekliście, czego pragnęliście, pozostawcie mnie w kontemplacji pogrążonego. Komnata Medytacji w grocie znajduje się, grotą zaś na południowy wschód od klasztoru. Droga się udajcie i po stu jardach w lewo skręćcie. Za zaroślami jaskinię znajdziecie. Odjedźcie, mili moi.

*

Chciałem wejść tam z nim, lecz on przeszedł przez wrota bez szwanku, a mnie poraziła energia magicznej bariery. Czekałem więc. Po pierwszej godzinie zacząłem się dziwić, po drugiej denerwować, lecz gdy po trzeciej nie wyszedł, wróciłem do klasztoru. Wstąpiłem na zebranie klubu studenckiego, odbywające się w salonie akademika. Studenci mieli właśnie wieczorek twórczy. Kilka tekstów było całkiem dobrych, aczkolwiek zabawnych, na przykład:

*Rzecz niezbędna, choć tak mała,
po niej długo stoi pała.*

*Ze śmietany go zrobiono,
o jogurcie jest tu mowa.
wyciśnięte już wymiono,
choć rzucała doń się krowa.*

*Jogurt syci, jogurt koi,
po jogurcie dobrze stoi.*

*Pijcie jogurt owocowy,
będzie wytrysk dwumetrowy.*

*Pijcie jogurt, to nie żarty.
Wówczas, zamiast grywać w karty,
pójdiesz z panną pofiglować,
swojej chuci pofolgować.*

Wiersz zyskał aprobatę słuchaczy. Kilku młodzieńców przedstawiało jeszcze swe wiersze, jednak nie miały takiej wymowy. Jedni mówili o miłości do panienki, inni cienkie teksty o gorzałce, jeszcze inni zanudzali, recytując wiersze o ciężkim życiu w klasztorze. Pod koniec poprosili mnie, bym i ja coś powiedział, opowiedział jakąś anegdotę. Przypomniałem sobie wówczas balladę o szlachcie z czasów mego studiowania, gdy poznałem pewnego barda i wraz z nim ja i moi koledzy skomponowaliśmy ten utwór. Zyskał rozgłos w niektórych partiach Wszechziemia. Wyczerpałem temat i zagiąłem młodzików. A oto i owa ballada:

*Moja miła, moja luba,
niech przyniesie mi cię sługa.
Tyś jak powiew, jak natchnienie,
tyś jak hyzop, jak marzenie.*

*Smak twój czysty, krystaliczny,
choć czasami ciut pszeniczny.*

*To zależy od człowieka,
co wyciągnie ze sąsiedka.*

*I co wrzuci, co naleje,
co dosypie, jak podgrzeje,
jakim sprzętem użytkuje
i jak długo destyluje.*

*Moja wódka, ma kochana.
Ciebie chłopci piją z rana
i królowie, krasnoludy,
nawet i elfickie ludy.*

*I chochliki, i jaszczury,
trolle, które patrzą w chmury,
czarodzieje i siłacze.
Co ja widzę, co ja patrzę.*

*Gospodyni daje, karczmarz leje,
klient pije i się śmieje.
Zatem sługo, idź w te pędy,
aby zyskać moje względy.*

*Dzban gorzały
na dzień cały
to za mało, beczkę dawaj
i kieliszki już rozstawiaj.*

*Wnet przybędą goście moi
więc gorzała niech już stoi.
Panny znowu upić trzeba,
na zagrychę podać chleba.*

*Z panienkami się zabawić,
poużywać i zostawić.
One lubią takie figle,
są w tym dobre, niedościgłe.*

*Znów dopadnie mnie kac wielki,
wiec przygotuj też butelki
z chmielnym trunkiem, co zabija
kaca, bo klin klinem się wybija.*

*Życie piękne kawalera
co posiada, rzecz to szczerą,
duże środki, posąg wielki
i zagląda do butelki.*

*Śmiało mogę ruszać w tany
Kokietować, poznać damy
Romansować i balować
Dziewki pieścić i całować.*

*Teren kupić, dwór zbudować,
na krawędzi balansować.
Pić gorzałę, dziewczki ruchać,*

świat mieć w dupie i nie słuchać.

*Zmartwień nie mieć, tylko złoto,
które rzucać można w błoto
i wydawać. To zabawne,
to mieć mogę, co zapragnę.*

*Takaż to historia tego,
tu uważaj, mój kolego,
zamożnego człeka rodem
ze szlacheckim rodowodem.*

Ballada bardzo spodobała się młodym alumnom, błagali, bym spisał dla nich tekst. Napisałem go raz, kopię mogli sobie zrobić sami. Tymczasem powrócił Geron. Był blady jak ściana Białego Dworu, spocony jak wyrwół i okropnie zmęczony. Jego oczy były dziwne, stanowiły jakby same puste źrenice wypełnione ognistymi żyłkami. Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Zachowywał się tak, jakby wyszedł z piekielnych czeluści. Oczywiście dowiedziałem się wszystkiego nazajutrz, gdy odzyskał siły, ale od tego momentu zmienił się. Na zawsze. Od tego dnia stał się poważny, nie żartował, zależało mu tylko na zadaniu. Niebawem i ja przekonałem się, że sprawy przybrały taki obrót, jakiego się nie spodziewałem.

*

Otworzył kałamarz, zamoczył w atramencie koniuszek pióra i ustawił je na pergaminie.

- Jeszcze raz, co masz znaleźć?

- Trzy elementy, dzięki którym stworzę Źrenicę Nidasasa.

- Co?

- Śmieję się, jak chcesz. Myślisz, że rozmowa z bogami to kaszka z mleczkiem? To cholernie ciężkie przeżycie, wyczerpuje psychikę. Nidas nakazał mi stworzyć amulet, nazwać go jego źrenicą, przekuć Miecz Gniewu, zebrać załogę i płynąć na Wyspę Irdor.

- Gdzie? Taka wyspa nie istnieje.

- Chłopie, skoro bóg mi mówi, że mam tam płynąć, to raczej istnieje. Wiedziałem, że moje sny to nie bujda.

- Dobra, mniejsza o o, kłócił się nie będę. Według ciebie gdzie ta wyspa leży?

- Mam mapę określającą jej położenie, lecz odległość od wybrzeża do wyspy wynosi tyle, ile stąd do mojej chaty.

- Chwila, moment, co ty mówisz? Ona leży na zachodzie?

- Dokładnie.

- Szaleju żeś się nażarł? Całe wybrzeże jest zajęte przez orków, wody przybrzeżne i nie tylko. No i po drodze jest Bruyhelu Krahał z siedzibą samego Upadłego. Nie zdołasz przepłynąć obok.

- Co się martwisz? To zmartwienie bogów, jak to zrobią, my jesteśmy tylko narzędziami w ich ręku.

- Do krzywego fallusa, mniejsza o to, mów wszystko, zanim zapomnisz. Trzy elementy, jakie?

- Po pierwsze Szmaragdowy Lazuryt Potępienia.

- Pocięło cię?! W tym życiu nigdy go nie zdobędziesz.
- Założymy się? Podejrzewam, że krasnoludy posiadają jakieś przejście w tamte rejony, a Kodor blisko.
- Jesteś naprawdę walnięty. Drugi przedmiot?
- Kamień Nicości.
- Nigdy o nim nie słyszałem. Gdzie można go zdobyć?
- Apponos rzekł: „Podstawą dla lazurytu płaski kamień będzie, który posiada elastyczne właściwości. Szukaj nieumarłego maga, ten kamień ukrywa”.
- Nieumarły mag? Chłopie, gdzie ty teraz znajdziesz licza? Dawno zostali wytępieni.
- Nie wiem, może przeor albo ktoś z klasztoru słyszał o jakimś.
- Ostatni element Żrenicy?
- Niezniszczalny łańcuch, wykuty z odłamków kości chimery.
- To akurat będzie najprostsze wyzwanie, mamy już martwą chimere w pobliżu. A co z tym mieczem?
- Jeśli do tej pory się wkurzyłeś, dostałeś drgawek czy coś w tym rodzaju, to teraz zesrasz się z wrażenia jak powiem ci, co jeszcze musimy zdobyć.

*

Biegli ile sił w nogach. Krzyk strażniczek podziemia brzmiał złowrogo tuż za ich plecami. W końcu ujrzeni światło pochodni, krasnolud dostrzegł ich i odpalił lont. Wszystko wyszło idealnie, na styk – w momencie, kiedy Zul wyszedł z tunelu, eksplozja zamknęła przejście. Krzyk się urwał. Oddychali

ciężko, lecz zdobyli go, mieli kamień. Czarodziej wyprostował się.

- Chłopie, powiem ci jedno. Masz u mnie dług, stawiasz flaszkę.

- Wybacz, nie sądziłem, że nas usłyszają.

- To są strażniczki podziemi, cudem uciekliśmy. Zapomniałeś, że przez kilkaset lat nawet Upadły im nie uciekł?

- Tylko że myśmy nie chcieli się wydostać, bo nie byliśmy więźniami.

- To nas uratowało. Ale flaszkę i tak stawiasz.

- Dobra, masz słuszność. To ty nas uratowałeś, na tym zakręcie rozdarła mi franca koszulę.

- Jeśli panowie zrobili, co uczynić mieli, wróćmy lepiej do władcy - rzekł towarzyszący im krasnolud z pochodnią.

- Tak, masz rację.

Sprawdzili jeszcze zawałony tunel, lecz najwyraźniej strażniczki powróciły na posterunek. Opuścili zakazaną kopalnię i po drabinie wrócili do jednego z niżej położonych szybów. Znajdowali się głęboko pod ziemią. Pokonali kamienne schody i wyjechali wyciągiem do szybu głównego. Krasnoludy pracowały jak mrówki - robotnicy rozchodzili się w każdą stronę, zajmując pozycje kierownicze, udając się do cechów lub kopalni, by przez następne kilka godzin kuć kilofem koretynę lub srebro. Powrócili do części oficjalnej, przypominającej podziemny pałac, omijając po drodze krasnoludzkie domy z kamienia. Fergus czekał na nich rozparty na swym tronie, na końcu długiej sali, której strop podtrzymywały liczne kolumny.

- Jesteście wreszcie. Długo wam zeszło.

- Wybacz, panie, lecz droga okazała się dłuższa, niż zakładaliśmy - odparł Zul.

- Macie to, czego szukaliście?

- Zaiste, wasza wysokość - rzekł Geron. - Jeszcze raz dziękujemy za oddaną nam przysługę.

- Tylko pamiętajcie, że nikt nie może się dowiedzieć o tym, iż dostaliście się do podziemi jednym z moich tuneli. Inni możnowładcy spaliliby mnie na stosie, nie mówiąc o czarodziejach i kapłanach.

- Wybacz, wasza miłość, ale jakim sposobem w twoim królestwie powstało przejście do piekieł?

- Chwila, bez świadków. - Zaprowadził ich do bocznej komnaty, swego gabinetu. Rozsiadł się wygodnie za biurkiem, kompani zaś zajęli miejsca naprzeciwko. - To było jakieś sześć lat temu, zanim rozpoczęła się ekspansja orków i atak goblinów na Lafaryngię. Osobiście byłem na inspekcji w najgłębszej kopalni, a ze mną dwóch członków obstawy. Nagle ziemia się zatrzęsała i kopalnia zaczęła się sypać. W skale utworzyła się dziura, przez którą coś wyleciało. Nie wiem, co to było. Coś jak pół dupy zza krzaka, ni ptak, ni ssak. Ledwo wypadło, zabiło promieniami wszystkich górników i zniszczyło sprzęt. Ja ukryłem się za skalnym występem. To coś dokonało rzezi i zniknęło, rozplynęło się w powietrzu. Kazałem zamknąć kopalnię i jej tereny i zakazałem inżynierom prowadzić wykopy na tak dużej głębokości. A wy skończcie z tymi uprzejmościami, Fergus jestem. Niebawem na wojnie nieważne będzie, czy kto człowiek, krasnolud, król czy chłop.

Wartość jego w machaniu mieczem lub toporem będzie się mierzyć.

- Skoro tak mówisz. Napiłbym się czegoś - rzekł Geron. - A my powiemy ci, co to za cholera wtedy wyfrunęła z podziemi, gdyż musieliśmy się z nią zmierzyć.

*

Zul usiadł przy stole i oparł głowę na rękach, spojrzął na nikły płomień świecy. Po chwili dołączył do niego przyjaciel.

- Zul, co jest?

- Cały czas nie potrafię tego ogarnąć. Ten licz jest pokrecony.

- Mnie też to dziwi. Spodziewałem się hordy nieumarłych, blokad magicznych, barier, a ten nas na herbatę zaprosił.

- Przez całe studia uczono mnie, że każdy licz to podupadły czarodziej, ogarnięty mściwością, żądzą zemsty, broniący swych terenów, a przede wszystkim posłuszny Raalowi. A ten Erasmus to zupełne przeciwieństwo.

- Przypomnij sobie, co ci powiedział. Zna przyszłość, jest bądź był prorokiem, istnieje, gdyż nie spełnił swego obowiązku. Wiedział, że przyjdziemy i żywi nadzieję, że powstrzymamy orków, których nie cierpi.

- Najlepsze jest to, że obiecał nam pomoc w walce ze Złym, lecz musi zebrać siły.

- Pamiętaj, że ma ku temu swój powód. Mówił, że oddaliśmy mu wielką przysługę.

- Sam skojarzył fakty dopiero, jak wspomniałeś o kartelu.

- I co z tego? Najważniejsze, że nas nie ukatrupił. Mamy

klejnot, mamy kamień, zyskaliśmy potężnego sojusznika. Kości też posiadamy. Przydałby się Angal, wykułby łańcuch.

- Czekaj, ile czasu minęło od naszego wyjazdu z Balha Deal?

- Jakieś trzy tygodnie, w podróży do Kodoru skorzystaliśmy z teleportów. Myślisz to samo, co ja?

- Czas opuścić klasztor.

*

Pieprzony parch, szpieg za dychę. Miał zastawić pułapkę w Ferchester, lecz spóźnił się. W niewyjaśniony sposób ofiara znalazła się nagle na przeciwległym krańcu Enwerpii. Nim szpieg o tym doniósł, minął tydzień. Wyruszył więc w tamtym kierunku, lecz spóźnił się o dzień. Ofiara przemknęła obok, innym szlakiem. Obiło mu się o uszy, że zmierzają teraz na zachód. Jedyna opcja to wyprzedzić ich i zastawić pułapkę gdzie indziej. Tego kpa, szpiega za dychę, spotkał już zasłużony los.

Niektórzy powiadają, iż jest sadystą i egoistą, on sam zaś twierdzi, że wykonuje tylko dobrze swój fach, swą profesję, którą jest zabijanie. Co ma wisieć, nie utonie, co ma być, to będzie. Dopadnie go i zaszlachtuje, odetnie głowę i zanieśie na tacy goblinom. Był tylko jeden problem – kończyły się środki, a co za tym idzie również i możliwości. Trzeba znaleźć jakąś małą robótkę, lekką pracę, szybki zysk. Potem należy działać zgodnie z planem.

*

Wstrzymał deresza zakupionego w Polod na środku leśnego duktu. Śnieg jeszcze leżał w fosach, lecz nie padało. Nadchodziła wiosna. Rzucił okiem na leśne ostępy. Wciąż tam był, zdradzały go żółte ślepia. Czarodziej zszedł z konia i spojrzał na poszycie drzew, na iglaste jodły i korony buków. Spojrzał na towarzysza.

- Co się dzieje? Dlaczego się zatrzymałeś?

- Muszę odcedzić kartofelki i coś przegryźć. Złaż z wałacha.

Zul spełnił prośbę przyjaciela, a Geron udał się w krzaki. Wytrzepał cykutę, wytarł ręce i stanął przy magu, tyłem do zagrożenia. Pochwycił zdziwionego Zula i przytulił.

- Co ty robisz? Brałeś coś czy ci rozum odjęło?

- Spójrz uważnie za moimi plecami, między drzewa. Co widzisz? - szepnął mu do ucha.

- A co mam wid... o szlag! - szepnął z przerażeniem. - Co to u licha?

- Skąd mam wiedzieć? Śledzi nas od Polod, a może nawet od Ferchester.

- To ma cztery czy dwie nogi?

- Nie widzę, ty mi powiedz.

- Siedzi cały czas w cieniu, tylko te ślepia.

- Ile zostało do Sietlle?

- Dzień drogi. Jak pomyślę, że spaliśmy, a TO mogło nas zabić... brr.

- Nie zgubimy go, jest strasznie szybki. Gnaliśmy cwałem, a on dotrzymywał kroku wierzchowcom.

- Kiedy go zauważyłeś?

- Na samym początku, ale nie chciałem cię niepokoić.
- Co zrobimy, Geronie?
- Moglibyśmy go złapać i spróbować wydusić, czemu nas szpieguje, tyle że nie podejźmy do niego, bo się spłoszy.
- Więc?
- Zastawimy pułapkę, ale jeszcze nie teraz.

*

Oparł łapę o głaz i spojrzał w dolinę. Księżyc był w zenicie. W dole płonęły ogniska, unosiły się odgłosy gardłowych śmiechów i dźwięki podobne do tych, które wydaje piła po przejechaniu po metalu brzeszczotem. Goblinia muzyka drażniła uszy. Parszywce piły wino, gorzałę i piwo zrabowane w jakiejś wiosce. Zmrużył oczy - widział dobrze. Uprawdzili elfią dziewczynę i gwałcili ją. Obraza na honorze dla takiego stworzenia, jakim był elf. Za nim, między drzewami, klan przygotowywał się do boju. Księżyc oświetlał go. Odwrócił się, podrapał po owłosionym ramieniu i rzekł donośnym, chrapliwym basem do zgromadzonych pomiędzy drzewami:

- Bracia! Wybraliście mnie, bym uczynił to, co należy. I zrobię to. Przygotujcie się na zemstę! Za poprzedniego wodza i za siedzibę. Za poległych braci! Za krew niewinnych przelaną przez te szkarady! Za lepszą przyszłość, abyśmy i my przyczynili się do uwolnienia Wszechziemia spod jarzma Raala. To pierwszy nasz bój, naszego całego klanu w tej wojnie! Pierwszy, lecz nie ostatni, więc macie przeżyć, aby odesłać do Upadłego jak najwięcej jego kreatur. Ku chwale

naszego klanu! Za wolność! - Uniósł ramię w górę.

- Za wolność! - odkrzyknęli lykanie spośród drzew.

- Prowadź nas, generale la Vardo! - dorzucili inni.

- Za mną! - wrzasnął Festus, po czym odwrócił się i pognął na czterech łapach w kierunku doliny. Wataha podążyła za nim. Pięćdziesięciu lykanów napadło na około dwa tysiące goblinów. Szkarady nie spodziewały się ataku o tej porze. Nim zdążyli dobyć broni, zginęło ich dwustu. Dowódca obozu zbeształ wartowników, lecz po chwili padł od rzuconej przez Festusa włóczni. Masakra nie trwała długo. Dolina Edgel spłynęła krwią goblinów.

*

Polana trzaskały w ognisku. Zulzedeus zdejmował z rusztu bażanta. Geron siedział na kłodzie i wpatrywał się w płomienie. Jutro w południe dotrą do Sietlle, spotka ukochaną.

- O czym myślisz? - zagadnął czarodziej, dobierając się do pieczonej nogi.

- Wiem, że wiesz, więc czemu pytasz?

- Ekhm, muszę ci coś powiedzieć.

- Na razie jej nie poślubię, lecz jak to wszystko się skończy...

- Chodzi o to, że... że ty nigdy nie będziesz mógł się ożenić.

- Co?

- Bo widzisz... przepowiednia głosi, że Wybraniec, aby powstrzymać Upadłego i jego sługusa, posiadzie ogromną

moc.

- I co z tego?

- Alandil spłodził potomka, nim zyskał moc, przed pójściem na górę Ferl. Później, nawet gdy bardzo pragnął, każda kochanka konała, gdyż owa moc nie pozwala Wybrańcowi na dotyk najbliższych. Sam twój dotyk będzie w stanie zabić twych wrogów.

- Jak to: mój dotyk? Moja skóra będzie trująca?

- Skąd mam wiedzieć? To słowa przepowiedni. Wiem tylko, że moc wypełni cię, czyniąc odpornym na ból, bardzo silnym, lecz Wybraniec utraci możliwość dotyku i prokreacji.

- Teraz mi mówisz?! Ty! Wiedziałeś od początku! Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Sądziłem, że czytałeś przepowiednię w Rew Terim.

- Nie będę mógł się bzykać? Ja pierdolę!

- Nie denerwuj się. Ja sam dowiedziałem się dopiero niedawno, w klasztorze.

- Więc nie wiedziałeś?

- Nie, naprawdę. Nigdy nie życzyłbym ci takiego losu. Masz jeszcze czas. Nim zdobędziesz moc, która zdoła pokonać sługusa Raala i zmusić Upadłego do odwrotu, możesz spłodzić potomka.

- A dajże mi spokój. - Geron wstał, złapał się za głowę i spojrzał w las. Dojrzał ślepią. Odwrócił się na pięcie.

- Rzuć zakłęcie blokady czy coś, a ja pójde na niby spacer - szepnął.

- Jest tam?

- Jakieś dwa jarde za mną.

- Dobrze. To idź, tylko ostrożnie.

- To ja idę po drewno - rzekł Geron głośno i ruszył w lewo, wkraczając między drzewa.

Stwór odwrócił głowę, obszedł obozowisko i cichaczem, jak cień, ruszył za Naznaczonym. Zrobił raptem kilka kroków. Zul wykorzystał to, wykonał dyskretnie układ i pochwycił stwora w kleszcze. Poczwara znieruchomiała, zaczęła rzucać przerażone spojrzenia, lecz nie mogła się ruszyć. Kiedy wrócił Geron, odpalił polano od ognia i obaj z Zulem ruszyli między drzewa, aby przyjrzeć się stworowi.

*

Około południa do pałacu Fetheal wpadł goniec. Była to piękna rezydencja, bogato zdobiona, wewnątrz pełna haftowanych gobelinów na ścianach. Królowa właśnie skończyła śniadać. Siedziała w sali tronowej i słuchała raportu skryby. Spojrzała łagodnym wzrokiem na przybyłego gońca. Chłopakowi tchu zabrakło na widok jej piękności. Królowa ubrana była w zdobioną suknię, jednak jej kształty nie były skryte. Posłaniec przemógł się.

- Cóż to, dlaczego mnie niepokoisz? - rzekła pogodnie królowa.

- Pani, ważne wieści. Pamiętasz raporty o Dolinie Edgel?

- Pamiętam, zajęły ją gobliny. Dostać się tam można tylko od północnego wschodu, lecz nie będę ryzykować życia moich ludzi. Tamte tereny są niebezpieczne, to siedlisko trolli.

- Nie o to chodzi, miłościwa pani. Dolina jest uwolniona!

- Jakże to: uwolniona? Czyżby gobliny ją opuściły?

- Nie. W całej dolinie znajdowały się obozy goblinów. Rano dostaliśmy wieści od ciemżonych mieszkańców wsi, że wszystkie szkarady zostały zaszlachtowane. Porozrywane gardła, porozcinane trzewia. Niektórzy twierdzą, że widzieli watahę wilkołaków przemierzającą dolinę.

- To nie mogą być wilkołaki, one pozabijałyby wszystkich.

- W takim razie kto, moja pani?

- Sądzę, że to lykanie. Niedawno gobliny zaatakowały ich siedzibę, więc wzięli odwet. Na naszą korzyść. Tylko dolina jest wolna czy dostęp do niej również?

- Prawdopodobnie trolle również poniosły śmierć.

- Idealnie. Wydaj dekret w moim imieniu, że jeżeli w którejkolwiek wsi czy mieście pojawi się klan lykanów, mają ich ugościć jak mnie samą - zwróciła się do skryby.

- Wedle rozkazu.

*

Ludzie wytrzeszczali oczy, krzyczeli, chowali się po domach. Trzech przyjezdnych wzbudziło mieszane uczucia wśród mieszkańców. Nikt nie spodziewał się takiego widoku. Geron szarpnął za sznur, stwór przyspieszył kroku. Przejechali już trzy wykładane kostką ulice. Od miejscowych dowiedzieli się, że w mieście, w karczmie Pod Dojrzałym Winem zatrzymała się elfka w towarzystwie krasnoluda bez ręki. Oddali konie przestraszonemu stajennemu i weszli do tawerny. Gości gospody ogarnął strach - jedni chowali się po kątach, inni uciekli. Gospodarz zza szynkwasu spojrzął na drzwi i krzyknął:

- O nieba litościwe! Co to ma być? Wynocha z tą karykaturą, bo gości mi straszy!

- Spokojnie, gospodarzu, jest niegroźny - odparł Geron.

- Patrz, są! - Zul wskazał stolik pod ścianą. Siedzieli tam Angal i Rose. Oni też dostrzegli czarodzieja i Wybrańca. Uśmiechnęli się do nich. Geron odwzajemnił uśmiech, lecz coś mu tutaj nie pasowało. Ruszyli do stolika, jeszcze raz przepraszając gospodarza i zamawiając piwo i dwa steki z kaszą. Geron szarpnął za sznur i jego nowy pupil ruszył za nim.

- Chwała duchom, żeście żywi. A to co, nowe zwierzątko?
- powitał ich Angal.

- Nie, to tylko dybuk, który nas śledził - odparł Geron. - Twierdzi, że podobnież wysłał go za nami Erasmus.

- Kto?

- Długo by opowiadać. - Geron spojrzał na drugi koniec sznura, który dzierzył w dłoni. Stwór miał powróż wokół szyi i spętane nadgarstki, dodatkowo był zakneblowany. Posiadał gęste, czarne futro, żółte ślepia, orli dziób, kościste dłonie i wielkie stopy oraz sterczące, czerwone uszy. - Opowiadajcie, co u was?

- A gdzie Marius z Festusem? - zapytał Zul.

Rose wymieniła spojrzenie z Angalem, odwróciła głowę, ze łzami w oczach i zbolalym głosem rzekła:

- Marius... nie żyje.

- Jak to? Gdzie zginął? - dociekał czarodziej.

- To może ja powiem - rzekł Angal. - Dwa tygodnie temu jechaliśmy cwałem przez Viri Inis w pobliżu krańca Wielkiej

Puszczy. Napadli nas ludzie Zalenthego. Dostał strzałę w plecy. Nie zdążyłem... zareagować. Ledwo uciekliśmy. W trakcie pościgu z boru wybiegło stado świdrogrzmotów, które zaatakowały wojsko zdrajcy. Dzięki temu uszliśmy cało. Tak mi przykro.

- Skoro nic nie mogliście zrobić. Szkoda, był mi jak ojciec - rzekł smutno Zul. - A gdzie la Vardo?

- Nie wiemy dokładnie. Opuścił Balha Deal wraz z pobratymcami tego samego dnia, co wy. Krążą plotki, że wataha lykanów uwolniła Dolinę Edgel spod jarzma goblinów. Prawdopodobnie jest wśród nich. A co się z wami działo? Wyglądacie tak, jakbyście piekło oglądali - rzekł krasnolud.

- Tam też byliśmy - odparł Geron.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. W trakcie tych trzech tygodni odkryliśmy prawdę o genezie powrotu Upadłego, walczyliśmy z chimera, zeszliśmy do podziemia i spotkaliśmy ciekawego licza.

- Opowiadaj.

- Dowiecie się wszystkiego, lecz po kolei. Najpierw zjedzmy - rzekł Geron, oblizując się, gdyż właśnie dostarczono posiłek. - Później opowiemy wam wszystko ze szczegółami.

*

Folg przygotował wszystko na powitanie. Orkowie stali wzdłuż wybrzeża. Statek już przyplłynął. Ich pan płynął w szalupie, stojąc na jej dziobie ze swym berłem w ręku. Wiatr rozwiewał jego srebrne włosy. Był wysoki i dostojny. Szalupa dobiła do brzegu, Folg machnął ręką i podbiegło kilku służących,

dostawiając deskę do szalupy, by Pan mógł wygodnie zejść. Zły zszedł na piasek. Folg podszedł do niego i ukląkł, pochylając nisko głowę. Wszyscy orkowie uczynili to samo.

- Witaj, mój mistrzu. Nareszcie jesteś - rzekł Folg.

- Generale, powiem szczerze, zawiodłem się na tobie. Vea Utheel miało już być moje.

- Panie, wszystko szło zgodnie z planem, lecz pojawił się samozwaniec podający się za Wybrańca i wspomógł Sahaela.

- Kilku chłopów cię powstrzymało?

- Już wiesz? - Generał struchlał.

- Mój wzrok sięga daleko, słuch również. Więc?

- Nie miałem armii, tylko garstkę żołnierzy.

- Dobrze, lecz cóż ja mam z tobą począć?

- Panie, daj mi drugą szansę, nie zawiodę cię.

- Drugą szansę, powiadasz? Zgoda, lecz jeśli jeszcze raz podpadniesz, jeden raz mnie zawiedziesz lub okażesz nieposłuszeństwo, wówczas czeka cię ten los. - Zły dotknął berłem jednego ze służących. Ten natychmiast zmienił się w lodową rzeźbę. Pan uderzył laską z całej siły i służący rozpadł się na setki lodowych okruchów. Folg spojrzał przerażony.

- Naprawdę, panie, nie zawiodę cię.

- Na to liczę. - Spojrzał czarnymi oczodołami po zebranych orkach i wrzasnął: - Do roboty! Zima za szybko się skończyła. Przygotować się. Rozpoczynamy epokę lodu i wiecznej zimy, czarnej ery dla Wszechziemia!

ROZDZIAŁ 9: ZAMACH

Dopił piwo i wytarł dłonią pianę ze swych żółtych wąsów. Jeszcze raz przyjrzał się stworzeniu spętanemu liną Geron. Było obrzydliwe i przerażające zarazem. Włochaty korpus i głowa, a jednocześnie stwór miał dziób.

- To umie gadać? - Angal kiwnął głową w stronę dybuka.

- Jasne, ale głos ma niezbyt przyjemny, strasznie skrzeczy - odparł Geron.

- Czegoś tu nie rozumiem. Skoro licz wysłał go za wami, aby was ochraniać, to czemu go związaliście? - zagadnęła Rose.

- Nie ufam czemuś, co wygląda jak upiór z koszmarów - odrzekł Marończyk.

- Zdejmij mu knebel, proszę. - Elfka spojrzała słodkimi oczami na kochanka.

Geron wyjął szmatę z dzioba poczwary.

- Powiedz mi, jak powstałeś? - zapytała Rose.

- Jestem przeklęty - zaskrzeczał stwór. - Kiedyś byłem elfem jak ty.

- Co? Jak do tego doszło?

- Polowałem w lasach, we wschodniej części Viri Inis. Znalazłem stary grobowiec, więc z ciekawości wszedłem do

niego. Nie powiem więcej.

- Odpowiedz grzecznie, jak dama prosi - rzekł twardo Geron.

- Nie mogę, to zbyt straszne wspomnienia.

- Mówże, bo zastosuję katowskie metody - dodał krasnolud.

- Ekhm, nakryłem czarownicę z kochankiem. Jak się zorientowali, co widziałem, zaczęli mnie gonić. Związali mnie i torturowali, w końcu wiedźma zmieniła mnie w to, by nikt nigdy się do mnie nie zbliżył. Szwendałem się po lasach, aż pewnego dnia spotkał mnie Erasmus i zatrudnił do wielu zadań, jako że jestem niewidoczny w ciemności, szybki i zwinny. Lecz ostatnie zadanie schrzaniłem - zaskrzeczał dybuk.

- Jak masz na imię? - zapytała Rose.

- Kenton, to już z niego wyciągnęliśmy - odpowiedział za stwora Zul.

- Nie ogarniam jednej rzeczy - zastanawiał się Angal. - Czemu licz was chroni?

- Opowiadaliśmy wam o Bractwie Mroku. Otóż Erasmus był jednym z tych, którym członkowie bractwa poderżnęli gardło. Jego przeznaczeniem było zastąpić proroka, jednak nie dożył tego, dlatego jego duch nie zaznał spokoju i powrócił. Nie mógł jednak żyć w zgodzie ze społecznością, więc ukrył się i samotnie spogląda w przyszłość. Wiedział, że go odnajdziemy i wyczuł dobrą aurę. Sądzi, że tylko Geron może powstrzymać Raala i załatwić jego sługusa, dlatego posłał TO za nim, by go chroniło. Kenton mówił, że załatwił za naszymi

plecami kilka potworów, które zbyt się do nas zbliżyły.

- Wiecie, co ja wam powiem? - rzekł Angal. - Idę na dziwki. Skoro trafiłem tu znowu, pójdę do znanego mi zamtuza. Wrócę, nachlam się i znów pochędożę.

- Pójdę z tobą. Dawno nie folgowałem chuci, aż mnie swędzi - dodał czarodziej.

Zabrali manatki, zapłacili karczmarzowi i wyszli na słoneczną ulicę. Krasnolud poprowadził towarzysza między bryczkami i furmankami. Minęli jarmark, na którym przekupki przekrzykiwały się, reklamując swój towar: „Tanie galoty, tanie galoty! Trzy pary w cenie dwóch!”, „Kapusta, świeża i chrupiąca, prosto z zagrody!”, „Marchew, brukiew i ziemniaki! Tanie pyry!”, „Staniki i pończochy! Trzy pary w cenie czterech!”. W jednym miejscu stacjonowały obok siebie kram z zielarstwem i lada z pieczywem. Zielarz darł się: „Maść na porost włosów!”. „Koło-cyki! Koło-cyki!” - krzyczał ten od obwarzanków. Ostatecznie dotarli do zadbanego zamtuza. Zakołatali, otwarła im piękna dozorczyńni. Poprawili sakiewki i uśmiechnęli się do siebie.

Tymczasem Geron pozostał z Rose.

- Kenton, skoro masz mnie chronić, idź i siedź tam w kącie. Nikt cię zauważy - powiedział władczo. Uwolił dybuka, a stwór posłusznie poczłapał we wskazane miejsce.

- Stęskniłam się. Miesiąc bez ciebie to nawet dla mnie za długo.

- Tak? To może pójdziemy na górę?

- Mhmm, tylko o tym marzę.

Geron wyjął z sakwy złotego guldena, położył na stole

i ujął ukochaną pod ramię. To popołudnie było dla wszystkich członków kompanii bardzo namiętne.

*

Nigdy nie podejrzewałem, że Angal ma tak dobry gust. Dotąd nie spotkałem tak dobrze urządzonego przybytku rozkoszy. Sądziłem, że odźwierna również oddaje swe ciało na usługi, lecz niebawem zrozumiałem, dlaczego była tylko tym, kim była. Zaprowadziła nas do Victorii, współwłaścicielki przybytku uciech. Owa dama miała lekko ponad czterdzieści lat, w młodości zapewne posiadała wielu adoratorów, jeśli jednak ktoś lubił kobiety dojrzałe, zdecydowanie wybrałby ją do figli w łożu. Victoria była blondynką o delikatnych rysach, odzianą w bogatą, zdobioną suknię z falbanami. Wnętrze zamtuza, w szczególności salon, niezwykle przypominało przepych dworów królewskich. Zamieniliśmy z nią kilka słów, a po okazaniu sakw napełnionych guldenami (część mojej sakwy to złoto otrzymane w Balha Deal za zasługi wojenne, większa zaś jej część to łup z twierdzy Bractwa Mroku - szkoda było zostawiać tyle złota z resztkami trupów, a skarbiec był wypełniony po brzegi) burdelmama zaprezentowała nam kilka dam różnej rasy. Angal wybrał dwie dorodne krasnoludzkie kobiety, ja natomiast dobrałem sobie do towarzystwa również parę, jednak były to panie z ras ludzkiej i elfiej. Ująłem je pod ramiona, one z kolei zaprowadziły mnie do łaźni. Po kąpieli i masażu (okazał się niezwykle przyjemnym

doświadczeniem po trudach podróży) udałem się z nimi do komnaty z rozległym łóżem z baldachimem, największym, jakie dotąd widziałem (widocznie zamtuz miał przychody większe, niż mogłem sobie wyobrazić) i zastawionym obok stołem, na którym znajdowały się przeróżne owoce, przekąski, soki i alkohole.

Po cudownie spędzonej nocy (nie wiem, która panna dała mi większą rozkosz) obudziłem się z prawą ręką na piersi elfki Grelpi i lewą ręką między pośladkami ludzkiej niewiasty Betty. Wygramoliłem się z łóża, ubrałem i zszedłem do salonu, w którym czekał już na mnie uradowany krasnolud. Cena za tak spędzoną noc wyniosła dziesiątą część mojej sakiewki, ale warto było. Mego kompana uciechy kosztowały jeszcze więcej niż mnie, lecz nie narzekał. Wróciliśmy do gospody na śniadanie, jednak Gerona i Rose nie zastaliśmy jeszcze w salonie tawerny. Za to znaleźliśmy się pod czujnym okiem nowego zwierzątka Wybrańca.

*

General Jurythan ukląkł przed obliczem Sahaela. Xavius stał za prawym ramieniem króla. Monarcha był wyraźnie zamyślony. Przerwał kontemplację i spojrzał na żołnierza.

- Jurythanie, mój przyjacielu. Dotarły do ciebie ostatnie wieści?

- Niedokładnie, mój panie.

- Widzisz, sprawdza się najgorszy scenariusz, jaki zakładaliśmy. Moje wojska liżą rany, nie są w stanie prowadzić

działań zbrojnych, a Wirberg jest zagrożony. Ponoć przybył mściciel władający olbrzymią potęgą lodu. Z tego, co mi donoszą, wynika, że w ciągu trzech dni połowa Wirbergu została zamieniona w krainę lodu. Ludzie, elfy i krasnoludy giną, nie dając rady odeprzeć ataku. Królowa Eliess lada dzień opuści Miris. Jak sądzisz, kto będzie ich następnym celem, skoro Zalenthe z nimi współpracuje?

- Mój panie, będziemy bronić naszej ojczyzny do upadłego.

- Jak? Czym? Nie mamy silnej armii. Zły wprowadzi zimę i tutaj. Nic nam nie pomoże. Mamy jedną nadzieję, lecz Wybraniec jest daleko, nie dotrze tu, nawet gdybyśmy wysłali gołębia w tej chwili. Ponadto przepowiednia mówi, iż Naznaczony musi osiąść moc od bogów, a ten akt jeszcze nie nastąpił. Możemy albo czekać na Złego i śmierć, jak wolę, lub, jak radzi Xavius, opuścić Viri Inis.

- Najjaśniejszy panie, z godnością przyjmę każdą twą decyzję, lecz może reprezentant bogów ma słuszność.

- Tak też myślałem. Czy mój dekret sprzed dwóch tygodni obiegł cały kraj?

- W istocie, wasza wysokość. Wszyscy obywatele Veal Utheel znajdują się w stolicy.

- Gdzie moja żona?

- Jaśnie pani przebywa w swoich komnatach z dwórkami.

- Każ słudze poinformować ją, że winna zacząć się pakować, lecz niech weźmie tylko to, co jest jej niezbędne.

- Tak jest, wasza miłość.

- Korespondowałem z możnowładcami - zwrócił się do

czarodzieja. - Część ludzi wyśle do Enwerpii, w szczególności ludzi i elfy, pozostałych, głównie krasnoludy, do Kodoru. Ja sam wraz z małżonką moją Nephole, ze świtą i z tobą ukryję się w Rew Terim. Na uchodźstwie odbudujemy armię, aby odbić naszą ojczyznę. To decyzja niegodna elfa, lecz muszę chronić życie poddanych. Jutro w południe wszystkie wozy, furmanki i dorożki sformować w tabory i konwoje. Jak po nas przyjdą, nie zastaną nikogo, żadnej istoty do tortur i mordowania. Wykonać!

*

Zakasał rękawy kraciastej koszuli. Ubrał się naprawdę roboczo - koszula w grubą, zielono-czarną kratę, gumowe buty z grubą podeszwą, czarne spodnie na szelkach. Miejscowy kowal dodał mu również dwa szkła grubości kciuka, połączone gumoleum, które zakładało się na głowę dzięki opasce. Ustrojstwo to chroniło oczy. Włosy związał w kucyk, na prawą dłoń wsunął skórzaną rękawicę. Zabrał od Zula fragmenty kości chimery i ułożył je na kowadle. Kilkoma mocnymi uderzeniami ciężkiego młota zmielił piszczele stwora. Zmiótł uzyskany proszek na łopatkę i wsypał do wrzącego w kotle metalu. Substancja zasyczała. Angal odwrócił się do kamratów.

- To wszystko czy jeszcze coś? Z takiej stali uzyskasz słaby łańcuch. Wytwarzając broń w Kodorze, dodawałem wszelakich pierwiastków i substancji.

- Nidas rzekł, żeby wsypać sproszkowaną kość chimery i nic po za tym.

- Powiem ci tak. - Krasnolud położył pięści na bokach. - Słyszałem, że sproszkowana kość chimery powoduje przepuszczalność magii, to znaczy, że dzięki niej przez wykonany przedmiot łatwiej przepływa magia, choćby twój topór wykonano tylko z domieszką kości chimery. Lecz dodatkowo powoduje osłabienie stali, która staje się bardziej krucha.

- Przecież broń by się rozleciała przy uderzeniu, a mój topór jest twardy jak golem.

- Mój drogi przyjacielu, są różne sposoby, żeby broń nabrała twardości. Mogę wzmocnić łańcuch, lecz nie wiem, który pierwiastek nie zaszkodzi kości chimery. Zul, co myślisz?

- Nityl? Ma neutralne właściwości w stosunku do magii.

- Może i masz rację, lecz skąd ja ci wezmę teraz płynny kryształ?

- Nic się nie bój. - Czarodziej sięgnął do torby.

Znajdowali się w kuźni, otoczeni wielkimi piecami, miechami, wiadrami z zimną wodą, kowadłami, obcęgi, młotami, surową stalą i szkrzyniami wypełnionymi różnymi rodzajami metali, kruszców i dodatków. Nie było tu okien i panowała duszna atmosfera. Właściciel kuźni udostępnił im miejsce tuż obok młodego czeladnika.

- Zanim zeszliśmy do piekielnych czeluści po lazuryt, w ścianie tunelu zauważyłem żyłę nitylu, a że ceny wysokie, nie mogłem się oprzeć i pozyskałem niewielką ilość na własny użytek.

- I nic mi nie powiedziałaś?! Zachowałeś się jak cham! - oburzył się Marończyk.

- Nie wpieniaj mnie, bo sam uszczknąłeś grudę złota wielkości wieprzka, a mnie ponagliłeś, że niby nie mamy czasu.

- Dobra, panowie, nie kłóćcie się, nie pora na to - wtrącił się Angal. - Dawaj ten nityl. - Wyrwał mu z ręki spory, przejrzysty kamień, włożył do naczynia i przy pomocy długich szczypiec umieścił nad ogniem. Po kilku chwilach odlał do formy kroplę płynnego nitylu i dwie krople stali. Zmieszał, po czym ostudził w zimnej wodzie. Wyjął utworzoną w ten sposób stal i podał Zulowi. - Sprawdź, czy magia łatwo przechodzi.

Czarodziej ujął stal w dłoń, zamknął oczy i odchylił lewą nogę do tyłu, następnie zrobił prawą ręką trzy obroty nad stalą, wypowiedział inkantację i położył na kamieniu palec serdeczny i wskazujący. Po stali przemknął błękitny blask. Oddał bryłkę krasnoludowi.

- Przepuszcza bardzo dobrze, a jednocześnie jest wytrzymała. Zrób próbę wytrzymałości.

Krasnolud położył bryłkę na kowadle i uderzył młotem. Stal, w przeciwieństwie do kości, wytrzymała uderzenie. Angal kiwnął głową z zadowoleniem, zdjął uchwytem rozgrzany nityl i wlał całość do stali z domieszką piszczeli chimery. Poczekał chwilę, aż cząsteczki mieszanki dobrze się zespolą i kazał Zulowi podać ołowiane formy na pierścienie łańcucha. Pół godziny później uzyskali wystarczającą ilość ostudzonych ogni, by wykonać łańcuch. Krasnolud pracował w pocie czoła. Geron w międzyczasie podał mu lazuryt i Kamień Nicości. Angal złączył ostatnie ogniwa, podgrzał nieco elastyczny kamień od licza. Oczy otwarły mu się szeroko

ze zdumienia na widok właściwości płaskiej skały. Kamień stał się nieco lepki. Krasnolud ułożył w samym jego centrum Szmaragdowy Lazuryt Potępienia, który jakby przylgnął do podstawy. Dla pewności Angal przymocował wykonaną uprzednio osłonkę ze złota Gerona, blokującą lazuryt, i skuł ją na odwrocie kamienia. Przymocował również łańcuch. Podniósł stworzony amulet – Biały łańcuch z zielonym kruszcowym kamieniem pośrodku złotej otoczki. Końcowy efekt był niesamowity, lecz nie zwał z nóg. Krasnolud, po trzech godzinach pracy, wręczył Geronowi medalion.

- Oto on. Ładnie wygląda, lecz zaklęty wyglądałby lepiej. Magiczne przedmioty świecą albo pulsują. Mógłbym jeszcze dorobić wykończenia, może jakieś gryfy, ale tu nie mają takich form.

- Nie ma takiej potrzeby. To co, idziemy?

- Czekał, muszę jeszcze odlać ołowianę formy ogni, zużyłem wszystkie. Kował mnie zabije, jak nie tego nie zrobię.

*

Zrobili postój w pobliżu delty, w miejscu, gdzie rzeka Yohina wpadała do większej Mongi. Zmierzch już zapadł. Przybrali ludzką postać. Ted, czarnobrody krasnolud, poszedł po drwa na ogień. Sophie przygotowywała skromny posiłek. Miren rozejrzał się, poszedł nad rzekę złowić parę ryb. Starszyzna wraz z większością klanu pozostała w Balha Daghan, generał zaś wziął Leo i Jessa i ruszył, by odnaleźć przyjaciół. Twierdził, że musi przekazać im coś ważnego.

Wyrwał się z zadumy. Pod taflą wody dostrzegł

przepływające pstrągi. Przekształcił rękę w szponiastą łapę i złapał kilka ryb. Wraz z nim wędrowało pięciu innych lykanów - trzy elfy, krasnolud i Sophie. Ach, ta Sophie. Chyba założy z nią rodzinę. A i on najwyraźniej wpadł jej w oko, chociaż największy autorytet posiadał oczywiście Festus. W generale podkochiwała się większość członkiń klanu, jednakowoż la Vardo nie zwracał szczególnej uwagi na zaloty. Wyruszyli w te okolice z kilku powodów - po pierwsze znajdowała się tu rodzinna wioska jednego z elfów, po drugie mieli zrobić zwiad, jak daleko znajdują się siły nieprzyjaciela zajmujące Wirberg, po trzecie - kilku zamożnych prosiło o zbadanie okolicy, gdyż miały tu miejsce niepokojące zdarzenia. Znaleziono kilka poszarpanych krowich trucheł, rozdarte na strzępy kozy, owce, wyrwoły, a nawet harpie i poturbowane ciało świdrogrzmota. Najdziwniejsze zaś były pozbawione krwi ludzkie zwłoki. Miren podejrzewał wampiry, dwa albo trzy, gdyż w walce ze świdrogrzmotem jeden gackostwór nie miał szans. Wrócił do prowizorycznego obozu, oprawił ryby, odciął głowy i nabił na kij, ustawiając ruszt. Sophie pokroiła dwa bochny chleba, przygotowała wodę na herbatę. Wrócił Ted wraz z Oskarem, niosąc kubik drewna. Pozostałe dwa elfy, Helga i Simon, stały dwadzieścia jardów za obozem, pełniąc wartę. Rozpalili ognisko. Słońce całkiem skryło się za nieboskłonem. Drwa rażno trzeszczały, ogień tlił się wesoło. Miren obracał ruszt, wpatrywał się w płomień. Poczul na sobie wzrok dziewczyny siedzącej naprzeciw. W końcu był prawą ręką generała. Ted żywo dyskutował o czymś z Oskarem. Pułkownik zdjął ryby z ognia, pani oficer

zaś rozłożyła nad paleniskiem trójnog i ustawiła na nim cebrzyk z wodą. Po posiłku nastąpiła zmiana warty – objął ją Miren z Sophie, Helga i Simon zaś zasiedli do posiłku.

Oddalili się na dwadzieścia jardów. Spojrzeli na siebie. Nie potrzebowali słów. Wsunął rękę pod jej blond włosy, przytrzymał kark, ona zaś uczepiła się jego pleców. Całowali się namiętnie i czule. Miren dojrzał głębiej jej zielonych oczu. Jej ręka powoli wędrowała w dół. Pułkownik całował ją po szyi i ramionach, uniosła głowę i zamknęła oczy. Zjeżdżał w dół. Odsunęła go i zdjęła bluzę, potem koszulkę, on uczynił podobnie. Całował ją powyżej piersi. Zdjął jej stanik. Oddali się przyjemności i ekstazie. Po kilku momentach pieścizot dobiegł ich wrzask z obozu. Usłyszeli głos Teda.

- Oż ty nieopierzony, krzywy fallusie! Gdzie z tymi zębami?! Widział ktoś mój topór? Zostaw ją, sukinsynu!

- Ty z maltretowany, zafajdany krwiopijco!!! - To był głos Simona. - Jak ci upierdołę te kły, to ci żarcie kołkiem w gardzieli stanie!

- Ty bździągwo kapuściana, pedofilu i gwałcicielu chorobski, gdzie mnie za cycki łapiesz?! - niósł się wrzask Helgi. - Że też, kuźwa, srebra nie mam!

Sophie zląła z Mirena, wściekła z powodu przerwanej ekstazy, i włożyła bieliznę. Jej partner również zaczął się odziewać, zastanawiając się przy tym, co się właściwie stało w obozie. Dotarli do paleniska w pełnym rynsztunku, dzierżąc w dłoniach broń, jednak było za późno. W obozie dostrzegli ślady walki, zgaszony ogień, wywróconą stertę drew i imbryk z herbatą. Jednak nie było tu nikogo, żywego czy martwego.

Miren znalazł ślady krwi. Ruszyli tym tropem. Po dłuższej chwili opuścili nadrzeczny meander i zagłębili się w las sosnowy. Po godzinie dotarli do położonej w samym sercu lasu jaskini, którą otaczała mroczna aura. Ślady krwi, nie wiadomo, którego z kompanów, prowadziły do zasłoniętego gładem wejścia. Przemienili się w lykanów, odepchnęli gład i weszli niepewnie do środka. Niebo zasłoniły czarne chmury. Sophie, która uprzednio podniosła z ziemi fragment gałęzi, teraz owinęła go szmatą i zapaliła. Podała płonąca pochodnię Mirenowi, który szedł z przodu. Schodzili w głąb pieczary. W końcu natrafili na surową, murowaną, ceglana ścianę. Zdziwiło ich to trochę. Sophie szarpnęła za uchwyt na pochodnię. W ścianie zarysowały się drzwi, po czym ze zgrzytem otworzyły się do wnętrza. Ujrzeni swoich towarzyszy przywiązanych do pala pośrodku okrągłej sali oświetlonej migotliwym światłem rozwieszonych co kilka metrów pochodni. Związani lykanie byli nieprzytomni, lecz poza nimi nikogo więcej nie ujrzeli. To było bardzo podejrzane, cuchnęło podstępem na kilometr. Miren i Sophie ostrożnie ruszyli naprzód. Pułkownik wściekle warczał. Przeszli niespełna trzy stopy, gdy drzwi za ich plecami zamknęły się z hukiem. Zewsząd otoczyły ich postacie w powłóczystych, czarnych płaszczach, z długimi zębami. Opowieści po części były prawdziwe, gdyż zgadzały się kły i płaszcze, jednak wzmianka o długich uszach była bujda.

- Szlag! Wernhory. - rzekł Miren.

- Proszę, proszę. Kogo my tu mamy? - zagadnął najstarszy, zapewne przywódca, wychodząc z okręgu w ich

kierunku. – Odwiedzili nas dzisiaj nasi futrzani wrogowie. Pan pułkownik zapewne dobrze mnie pamięta?

– Trudno zapomnieć taką parszywą mordę, mecenasie Wlird. To teraz ukrywasz się jak tchórz w podziemiach? Kogo się boisz? Tych, co obecnie panują, czy tych, co nadchodzą?

– Och, nasz drogi Miren jak zwykle dociekliwy – rzekł mecenas soczyście. – Co tu robię, to już mój interes. Ileż to minęło od naszego poprzedniego spotkania?

– To ty go znasz? – szepnęła Sophie do kochanka.

– Niestety miałem z nim nieprzyjemność. Po co zadajesz głupie pytania? – zwrócił się do Wlirda. – Powiedz lepiej, czemu terroryzujesz okolicę.

– Twoja towarzyszka nie zna naszej historii, więc skuszę się na małą retrospekcję – rzekł pogodnie mecenas. Miał czarne włosy oprószone pasmami siwizny, zaczesane w tył i wysmarowane jakąś tłuszczną. – Otóż ja i twój drogi kompan znamy się od siedmiu lat. Miał być moją ofiarą, lecz wtedy zaulek, w którym miałem się posilić, naszło dwóch lykanów. Zapewne ich znasz – uśmiechnął się zimno. – Niejaki la Vardo i Deltoir. Pokonali mnie, jednak zdążyłem go ukąsić. Wiadomo, co zrobili tamci dwaj, żeby go ratować. Potem zmierzyłem się z nim już po jego mutacji (nawet nie wiem, jak udało mu się przeżyć), gdy wypijałem krew jego siostry, jakiś rok później. Znowu udało mu się przeżyć, lecz ja uciekłem ponownie. Żywi do mnie czystą nienawiść, to zrozumiałe. Lecz wet za wet, nie jestem ci dłużny. Jakiś czas temu prawie udałooby mu się mnie zabić w Jodburgu, gdyby nie wpadła straż miejska.

– Chwila – przerwała Sophie. – Przecież w Jodburgu

grasowała banda szesnastu, z którą walczył generał...

- Prawda jest taka, że banda szesnastu działała na jego zlecenie - odparł Miren, wskazując na Wlirda. - Płacił im, a oni zarzynali ludzi. Trochę się go bali. Przebywałem wtedy u Festusa. Tej samej nocy, gdy generał tłukł wilkołaki, ja znalazłem w jaskini kilka jardów dalej jego. I prawie go miałem, ale moją uwagę rozproszyła straż szukająca śladów. Odwróciłem głowę, a on zwiął. A teraz szykujesz odwet czy jak?

- Ależ nie, przyjacielu. Rozchodzi się o to, że nas, wernhor, nikt nie szanuje. Całe Wszechziemie traktuje nas jak zwykle wampiry lub wilkołaki. Wy macie autorytet i wolność, a nas się tępi.

- Jaki ty dumny jesteś! - odrzekł Miren. - Zapomniałeś, że sami wyparliście się Wszechziemia? Dwie dekady temu monarchowie zwołali posiedzenie o Ludach Zjednoczonych. Przedstawiciele lykanów przyłączyli się, tak jak gnomy, krasnoludy, ludzie, elfy i olbrzymy, które przepadły bez wieści. Wy zaś postanowiliście żyć jak trolle, na własną rękę. Nie obwiniaj innych za głupotę własnego ludu.

- Dość głupich pogaduszek! - wściekł się Wlird. - Wszechziemie wchodzi teraz w nową epokę. Przedstawiciele, jak to ująłeś, tych nadchodzących złożyli nam propozycję. A skoro Wszechziemie nas tępi, my będziemy je tępić.

- Przyłączyliście się do orków?! Kretyni!!! Wykończą was, nie cierpią odmieńców!

- Bzdura. Widzisz, stary mój wrogu, myślę o przyszłości. Zlikwidowaliście Klan Wernhor, potem Bractwo Kłów.

Nadejdzie nowa władza, która uzna moje nowe Bractwo Krwi. Pierwsi na mojej liście jesteście wy, lykanie. Lecz dla waszej szóstki wojna już się skończyła. Niczego już nie zobaczycie niestety. Nawet nie próbujcie głupich sztuczek. Jesteście na naszym terenie. We dwójkę nie pokonacie trzydziestu. Tak więc do zobaczenia w wieczności!

Wernhory ścieśniły krąg, pokazując kły, dobywając mieczy i szpad. Sophie spojrzała przestraszonym wzrokiem, Miren przełknął ślinę. Nidasie, zlituj się nad naszymi duszami, pomyślał pułkownik i zamknął oczy.

*

Byli wypoczęci, najedzeni i radośni. Opuścili karczmę i zmierzali ku bramie największego miasta handlowego we Wszechziemiu. Skrócili sobie drogę przez park. Ścieżka w nim biegła wzdłuż muru. Prowadzili wierzchowce za uzdy. Geron znów mógł dosiąść Mariana i rad był z tego faktu. Żaden koń nie mógł go zastąpić. Tylko on był taki rączy i zwinny. Każdy w porównaniu z Marianem wydawał się być chudą szkapą przy dorodnym ogierze. Szli spokojnie, Kenton człapał za swym nowym panem. Nagle Rose przystanęła, złapała ukochanego za rękaw i powstrzymała ręką pozostałych.

- Cicho! Słyszycie?

- Co niby? - zdziwił się Geron.

- Tak jakby... padnij! - Pchnęła go przed siebie. Chwilę później miejsce, w którym poprzednio znajdował się bark Marończyka, przeszła strzała, zawirowała i wbiła się w pień olchy. Elfka rzuciła się na ziemię, podobnie uczynili kompani

z wyjątkiem dybuka. Druga strzała przemknęła kilka centymetrów nad głową Zula i ugodziła znajdującego się tam Kentona. Stwór zaczął zachłannie czerpać powietrze, lecz z dzioba wypłynęła mu krew. Strzała utkwiała mu w wątrobie po lotki. Zwiotczał i zachybotał się, spojrzął z żalem w oczach na Gerona i wychrypiał: „Zawiodłem”, po czym runął na trawnik. Już się nie poruszył. Kolejna strzała dosięgła wierzchowca Angala. Koń zarżał żałośnie, stanął na tylnych nogach i ruszył z szaleństwem w oczach przed siebie, a krew sączyła się z jego przebitego boku. Geron zerwał się z ziemi, dobył miecza i przeciął strzałę, która miała ugodzić Mariana. Rose wskoczyła na drzewo i próbowała zlokalizować strzelca. Dojrzała go na murze, zasłoniętego kapturem. Poznała ten strój. Wyjęła strzałę, napięła cięciwę i wymierzyła. Asasyn dostrzegł ten ruch. Uskoczył w ostatnim momencie. Strzała Rose minęła jego bok. Tymczasem trzej kompani przywiązali konie do drzew, dobyli broni i ruszyli na pomoc Rose. Zabójca odrzucił łuk i wyjął niewielki nóż, rzucił go w stronę elfki. Rose spostrzegła mknące ku niej ostrze i zeskoczyła z drzewa. Trzy noże leciały w stronę czarodzieja. Zul odsunął się, wykonał krótki układ, przechwycił noże w locie i gwałtownym ruchem ręki odesłał je w kierunku właściciela. Zamachowiec odskoczył, lecz musiał dobyć miecza, gdyż na mur zdołali się wspiąć krasnolud z Geronem. Pierwszy zaatakował Wybraniec. Przeciwnik sparował jego uderzenie, zrobił półobrót i kopnął go w tyłek, co odrzuciło Gerona kilka cali wprzód. Teraz uderzył Angal swym młotem. Chciał bić po kolanach, jednak asasyn podskoczył i młot przeciął jedynie

powietrze. Wraz z podskokiem zabójca zaparł się w siebie i z całych sił kopnął krasnoluda w korpus, przy okazji odbijając się i robiąc salto w tył. Angal upadł na plecy, napastnik spróbował wbić ostrze w pierś Krętobrodego, lecz klinga napotkała stal miecza Gerona który ratował kompana. Walka teraz znów toczyła się między Wybrańcem i asasynem. Zabójca był niezwykle zwinny i szybki. Ciął Gerona w udo, na klindze zaczerwieniła się krew. Marończyk zaklął i uderzył z boku. Przeciwnik przewidział ten ruch, zablokował cios, odbiegł do tyłu i rzucił nóż. Geron uchylił się, jednak ostrze ugodziło w prawy bark krasnoluda, który podniósł się za plecami przyjaciela. Zabójca sięgnął po kolejny nóż, lecz nagły podmuch rzucił nim o basztę i przygwoździł do ściany wieży. Nie mógł się poruszyć, rzucał tylko nerwowe spojrzenia.

Zul stał, wyciągając rozłożone dłonie skierowane na asasyna. Rose rzuciła Geronowi wyjęty z juków sznur. Wraz z krasnoludem związali porządnie niedoszłego zabójcę i znieśli na dół. Zdziwiło ich, że straż nie reaguje, jednak baszta była pusta – zmiana warty połączona z przerwą obiadową. Jednak na kolejnej wieży kręciło się kilku kuszników. Zabrali więc związanego jeńca za mury miasta. Angal klął pod nosem, że znów oberwał, Rose szukała spłoszonych koni, czarodziej zaś starał się utrzymać w mocy zaklęcia asasyna. W końcu elfka sprowadziła konie i uspokoiła je, głaszcząc po pyskach, jednak brakowało im jednego wierzchowca. Geron zarzucił jeńca na grzbiet Mariana, sam zaś prowadził konia za uzdę. Kierowali się traktem na północny zachód. Dukt znów prowadził w las. Nie mieli zamiaru wracać do miasta. Po jakimś czasie

zatrzymali się w zaroślach. Geron cisnął związanego na ziemię, ten cicho jęknął. Rose napięła łuk, Angal zaś kuszę asasyna. Marończyk rozwiązał jeńca, pozostawiając spętane nadgarstki i kostki, wtedy Zul, zupełnie wyczerpany, mógł przerwać zaklęcie. Jeniec był bezbronny i nie miał jak uciec. Geron podszedł do niego.

- No, ptaszku, to teraz sobie pogadamy - zagadał, odrzucając tamtemu kaptur. - Coś ty za jeden i dlaczegoś chciał nas zabić?

Niedoszły zabójca był elfem. Miał długie, czarne włosy, podobnie jak Geron, tylko bardziej przylizane, chytre, szare oczka, orli nos i bezczelny uśmiezek na ustach.

- Ona wie. - Asasyn wskazał głową na Rose.

Geron spojrzał zdumiony na ukochaną, ta jednak miała zirytowaną minę i odwróciła wzrok.

- Ty go znasz? - spytał.

Rose opuściła łuk i odwróciła się. Angal z jeszcze większą uwagą celował w jeńca, stając tak, aby ten dobrze go widział. Elfka nic nie mówiła.

- Rose, mów, znasz go? - dociekał Naznaczony.

- Tak, znam. To Sedar, płatny zabójca, podobno najlepszy - odparła, jednakże nie odwróciła się.

- Nie powiesz im nic więcej, kotku? - zapytał wesoło jeniec.

- Kotku?! - Geron otworzył szeroko oczy. - O czym on gada?!

- Bo widzisz, to... to... to mój były.

- Twój były?!

- Zadawałaś się z przekupnym mordercą? - wyraził swoje zdziwienie krasnolud. - Robi się coraz ciekawiej.

- Oj, coś widzę, że wasza towarzyszka niewiele powiedziała wam o sobie - drwił Sedar. - A powinniście ją przesłuchać, bo ma wiele sekretów.

- Rozumiem szlachtowanie orków czy innych ścierw, ale mordowanie krasnoludów za pieniądze to największe świństwo - oburzył się Krętobrody. - Jakżeś ty mogła chodzić z takim bydlakiem?

- Posłuchajcie... - Rose się odwróciła. - Kiedy go poznałam, nie miałam pojęcia o jego profesji. Był miły, czarujący i szarmancki... i tak jakoś wyszło. Czym się trudni, dowiedziałam się dopiero, gdy zamordował mojego ojca. Wszystko się wydało, a on zniknął. Chciał się tylko dobrać do gardła mego życiodawcy. Na mnie mu nie zależało. Nie rozdrapujmy starych ran, dobrze? Próbowałam o tym zapomnieć. A ty znów starasz się zrujnować mi życie! - krzyknęła do jeńca.

- Ach, jaki ten świat jest mały, nieprawdaż? - odrzekł z niewinną miną więzień. - Spotkałem swoją eks w trakcie kolejnego zlecenia, znów mając zamiar pograć w niebycie kogoś z jej bliskich. To chyba fatum, nie sądzisz?

- Po raz wtóry wypychasz mi się z bucioremami w życie. O nie, pieprzony asasynie, tym razem ja cię czegoś pozbawię. - Wyjęła z cholewy buta cienki, długi nóż. Specjalne ostrze niezwykłego kunsztu. Sedar rozpoznał broń i skamieniał.

- Zaraz, jak go nazwałaś? - wtrącił Zul. - To jest asasyn zawodowy, nie amator czy samozwaniec?

- Nie, to członek Zakonu - odparła niechętnie.

- Oż jasna cholera! Jakim cudem przeżyli czystkę?

- Ty, Sedar czy jak cię zwa, zacznij łaskawie odpowiadać - rzekł Geron. - Inaczej pozwolę zrobić Rose to, na co ma ochotę.

- Przecież to nie tajemnica. Z rzezi zdołało wyrwać się dwóch asasynów. W podziemiu odrodził się Zakon, przyjmując pod opiekę bezdomne sieroty i podrzutki. Takie bachory nie mają skrupułów, na nikim im nie zależy, więc są najlepszymi zabójcami. Jakoś się uchowaliśmy. I gwarantuję ci, że przetrwamy, skrywając się tuż pod waszym nosem.

- Gady chędożone. Gadaj lepiej, kto cię wynajął. - Zul aż dygotał z nerwów.

- Ten, kto dobrze zapłacił.

- Czyli?

- Jedno z was jest celem. Nie powiem, kto, rzeknę tylko, że wynajął mnie jego śmiertelny wróg, ktoś bardzo nienawidzący i zarazem obawiający się tego, kogo mam ukatrupić. *Shyol'se yarthe sheloi, kt'el pae.*

- Cóż to mu się z ryfy sypie?? - zbulwersował się Angal. - Jak ci wyjadę z krasnoludzkim, to zaczniesz gadać we wspólnej mowie, do czorta.

- Ofiara jest przeklęta, ma wielu wrogów - przetłumaczyła elfka. - Chce przez to powiedzieć, że trudno nam będzie zlokalizować kuglarza ciągnącego za sznurki.

- Nie sędzę - rozważał Geron. - Gdyby chodziło o stare porachunki, zaatakowałby ten swój cel w innym okresie, nie akurat w trakcie rozpoczynającej się wojny. Jeśli chodzi

o któreś z nas, na ten przykład mnie, to wróg najbardziej lejący w gacie z mego powodu to sługus Upadłego. Jednak Sedar prawdopodobnie dostał zlecenie dużo wcześniej, musiał nas przecież szukać, szperać, opłacać szpiegów. Podejrzewam, że wynajęły go gobliny podpuszczone przez Xuliusza.

- Co? Jak niby doszedłeś do tego wniosku? - zdziwił się krasnolud.

- Dedukcja. Spójrzcie na to tak: nikt wcześniej o mnie, ani zapewne o was, nie słyszał. Zaczęliśmy działać pół roku temu. Wieści o tym dotarły i na północ. Główny nasz wróg to stworzenia Raala. Orkowie mieli nas na widelcu pod Balha Deal, lecz się im nie poszczęściło. Gobliny, poszczone przez demona, dowiedziały się o nas, lecz słysząc o porażce orków, przestraszyły się i wynajęły specja od brudnej roboty, żeby załatwić sprawę po cichu. Mam rację?

- Jesteś za cwany, Wybrańcu - zaperzył się jeniec. - Twoje zmysły i szare komórki są wyostrzone. Może i zgadłeś, kto jest zleceniodawcą, lecz istnieje pewien szkopuł - nigdy nie powiem, za głowę którego z was zapłacili mi pięćset guldenów. Może zgadniesz, może nie, lecz pamiętaj, iż nie tylko ty liczysz się na tej wojnie.

- Rose, drażni mnie ten obszcymur - rzekł zirytowany Marończyk. - Zrób z niego eunucha, tylko najpierw go zaknebluję, bo jego jęki dotarłyby do miasta. - Kiwnął głową w kierunku Siettle. Wyjął z kieszeni kawałek płótna i przewiązał na gębie elfa. Angal był wyraźnie uradowany. Opuścił kuszę i wraz z Naznaczonym trzymali tłukące się nogi

przerażonego asasyna. Rose uśmiechnęła się paskudnie, uklękła nad leżącym eks, zdjęła mu spodnie i przystąpiła do operacji. Cięli na żywca, czarodziej nie mógł na to patrzeć. Geronowi przypomniła się sterylizacja świń w gospodarstwie. Sedar nie mógł się poruszyć, spod knebla wydobywały się jęki, zalewał go zimny pot. W końcu przestał się trząść. Zemdłał.

*

Zul krążył w prawo i w lewo bardzo strapiony. Spojrzał na krasnoluda, który wodził za nim oczami, popijając z piersiówki. Angal siedział na pieńku obok wygaszonego paleniska. Słońce wschodziło, poranna mgiełka unosiła się pośród otaczających ich drzew.

- Jak mu o tym powiemy? - spytał w końcu czarodziej.

- A niby jak? - zirytował się Krętobrody. - Normalnie. To nie nasza wina. Jedyne, co możemy zrobić, to dorwać tego dziada. Gdzie on łązi, cholera? Im dłużej będziemy zwlekać, tym dalej sukinkot ucieknie.

- Spakowałem wszystkie manatki. Założę mu wędzidło na łeb, to się nauczy moresu. Chyba idzie. No, nareszcie!

Między drzewami ukazał się Geron. Wszedł, spojrzął na kolegów i osłupiał.

- Gdzieś ty się podziewał? - fuknął krasnolud. - Mamy nie najlepsze wieści.

- Gdzie Rose i nasz więzień? - Geron obszedł obozowisko dookoła.

- No właśnie. W trakcie warty Rose ten walimorda wyswobodził się z pęt i porwał swą niedoszłą żonę - odparł

Zul. - A ty co?

- W nocy gadałem z Rose, później poszedłem na spacer. Pomyśleć.

- Następnym razem lepiej tak nie myśl, bo nas wszystkich wybiją, a ty się nie zorientujesz. - Angal zakręcił piersiówkę i wstał. - Skoro w końcu raczyłeś się zjawić, to lepiej ruszajmy co koń wyskoczy, bo nam ją wywiezie i odda w łapy goblinów.

- Jak on się wydostał? - zastanawiał się Naznaczony, poprawiając się w siodle.

- Jakżeś kijowo zawiązał, to się nie dziw - odszczeknął Krętobrody. - Jazda, nie czas na pogaduchy!

ROZDZIAŁ 10: POŚCIG

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy zatrzymali konie. Cały dzień spędzili w siodłach, pędząc co tchu, jednak nie zdołali dogonić przebiegłego asasyna. Geron zeskoczył z Mariana i podszedł do wygaszonego paleniska. Kilka szczap jeszcze się tliło, wytwarzając znikomy dym. Marończyk przykucnął i badał ślady.

- Byli tu niedawno - rzekł w końcu. - Cholera, prawie ich dogoniliśmy. Mielicie rację, kieruje się w kierunku Viri Inis.

- Ten kiep goblinską chucią w rzyć chędożony wiezie ją do orków - rzekł z przekonaniem Angal. - Albo chce ją sprzedać, albo coś łachudra kombinuje.

- Moglibyśmy jechać całą noc - rozważał czarodziej. - Lecz nie sądzę, żeby to nam pomogło. Żaden z nas nie ma takiego wzroku jak elfy. Sedar może znaleźć gdzieś w głuszy kryjówkę, której byśmy nie spostrzegli. Robimy tu postój?

- No nie wiem - rzekł Geron. - Jak ta szuja będzie jechać całą noc, wyprzedzi nas o kilkadziesiąt mil i może nawet dojechać do Viri Inis. Z drugiej jednak strony możesz mieć rację.

- Nie jestem usatysfakcjonowany - gderał krasnolud. - Znów jestem w pobliżu tej przeklętej puszczy. Ta pieprzona

bariera długo nie wytrzyma, wtedy dopiero zacznie się impreza. Ponoć świdrogrzmoty to nie najgorsze utrapienie Rezerwatu.

- Nie marudź, dobra? - odrzekł Zul. - Podejrzewam, że przeor już dawno zajął się barierą. Zlikwidowaliśmy bractwo, gadaliśmy z arcymistrzem, więc na pewno wysłał już ekipę pod Rezerwat.

- Chłopaki, dosyć. Mamy gorsze zmartwienia - wtrącił Geron. - Biorę pierwszą wartę. Idę po drewno, wyjmijcie żarcie z juków.

Ruszył między zarośla, na prawo od traktu. Wolał nie zapuszczać się w lasy graniczące z puszczą. W pobliżu wznosiło się wzgórze, las biegł wraz ze wzniesieniem terenu. W niskiej niecce odnalazł wysuszoną, niewielką osikę. Ściął ją i zawłókł do obozowiska. Tymczasem Zul nabrał wody ze strumienia płynącego z drugiej strony duktu. Osika stopniowo odchodziła w niepamięć, ogień płonął wesoło. Około pierwszej Geron zbudził Zula. Czarodziej nie cierpiał środkowych wart, były najgorsze. Ognisko dogasało, z osiki pozostało kilka szczap. Dorzucił je do ognia i obserwował ciemność. Po chwili rozprostował nogi i ruszył kilka jardów wzdłuż drogi. Rozmyślał, jak daleko mógł zbiec asasyn. Zatrzymał się, obserwując krzewy z lewej strony. Coś mu nie pasowało. Między zaroślami coś się wiło, jakiś wąż. Jednakowoż pełzające coś paliło się, gdyż nigdy nie widział poruszającego się zygzakiem ognia. Zbliżył się, by sprowadzić co to jest, gdy koło ucha świsnęła mu strzała i utkwiała w miejscu wezgłowia płonącego zygzaku. Ogień zgasł. Mag rozejrzał się wokół, nie

mógł jednak dostrzec strzelca. Wykonał układ i wypuścił z rąk Kulę Światła, która zawisła nad jego głową. Księżyc skrył się za gęstymi chmurami. Przyjrzał się temu czemuś, w czym tkwił grot strzały. W istocie, był to łuskowaty wąż, jednakże nigdy tego gatunku nie spotkał - czarne cielsko pokryte zielonymi łuskami, a na grzbiecie czerwono-żółta, mieniąca się błona. Wyjął strzałę z głowy gada i przyjrzał się lotkom. Elfia robota. Wrócił do obozowiska i obudził towarzyszy, pokazując im strzałę. Mieli przeczesać okolicę, gdy jakieś dziesięć jardów dalej ujrzeni cień postaci siedzącej na kłodzie. Owa postać trzymała łokieć oparty na kolanie, a na dłoni głowę, na której miała dziwny, mały, trójkątny kapelusik, i ewidentnie przyglądała się obozowiczom. Ruszyli więc w jej stronę. Kula Światła oświetliła postać. Był to kolejny elf, odziany w zielony uniform, takową kamizelkę, długi, brązowy płaszcz, skórzane, spiczaste buty i zielony kapelusz. Miał kasztanowe włosy spięte w kucyk i szare oczy. Geron spojrział w nie i zdało mu się, że zna ich odcień bardzo dobrze, lecz nie pamiętał właściciela. Elf spojrział na nich wesoło.

- Możesz, z łaski swojej, mnie nie oślepić? - zagadał długouchy.

- Jeśli powiesz, dlaczego nas nachodzisz - odparł spokojnie Geron.

- Po pierwsze nie nachodzę, tylko obserwuję, po drugie temu, jak widzę, czarodziejowi właśnie uratowałem dupę, po trzecie mogę mieć informacje, które was zainteresują.

- Dziwnie prawisz. Wyglądasz jak duch lasu - zauważył Zul. - Czemu mówisz, że uratowałeś mi tyłek?

- Gad, do którego bezmyślnie podszedłeś, to był atheris ognisty, piekielnie niebezpieczne zwierzę, które mimo niewielkich rozmiarów może sprawić ogromne kłopoty, ból, cierpienie i śmierć.

- Ogniste co? - Angal otworzył szeroko oczy.

- Ognista zmija łuskowata. To z pozoru niewinne zwierzątko ma jad, który powoduje podniesienie temperatury krwi do tego stopnia, że tryska ci ona oczami, uszami, nosem, gębą, rzycią, otworami rozrodczymi, a nawet rozrywa żyły i tryska z rąk i nóg. Ponadto gad ten posiada na grzbiecie błonę, która wytwarza ogień. Więc nazwa „ognista” odnosi się do dwóch własności tego węża.

- Chrzanisz. Jad powodujący gotowanie się krwi? - kpił Krętobrody.

- Nie drwij, krasnoludzie. Na własne oczy widziałem, jak pięć takich gadów doprowadziło do ruiny dużą wieś. Uwierz, widok gorącej krwi tryskającej z głowy, tyłka i innych części ciała nie jest przyjemny. Atheris przepelźnie między stodołami, a po chwili zostają tylko zgliszcza.

- Uff. W takim układzie wielkie dzięki - rzekł czarodziej. - Nie miałem pojęcia.

- Głupota często jest przyczyną zgonu. Jeśli nie wiesz, co się do ciebie zbliża, zabij to, a nie oglądaj.

- A właściwie co robi elf na takim odludziu? - dociekał Naznaczony. - Wprawdzie jest to droga publiczna, lecz ostatnio rzadko używana. Większość boi się tędy jeździć, woli objeżdżać północą, przekraczając rzekę.

- Co tu robię, pozostanie tajemnicą. Powiem wam

jednakże, że parę godzin temu widziałem przejeżdżającego tędy asasyna z zakładniczką.

- Widziałeś tego sukinsyna? - zaciekawiał się Angal. - Jak daleko odjechali?

- Nie martw się, zrobili postój pięćdziesiąt stająn stąd. Aczkolwiek atak nic wam nie da, rozstawił pułapki.

- Sukinkot - westchnął Geron. - Musimy ich dogonić. A ty właściwie czemu nas obserwujesz? - Spojrzał na elfa.

- Widzisz, ja wiem, kim wy jesteście, lecz wy mnie nie znacie. Może to pomoże ci w identyfikacji? - Podwinął lewy rękaw. Miał na przedramieniu tatuaż przedstawiający białego jelenia na czerwonym tle.

- Zaraz... Rose ma taki sam... ty ją znasz?

- Bardzo dobrze. To znak herbowy rodu Ezelerero, a ja jestem Robin, prawowity dziedzic.

- Dziedzic rodu i siedzisz w lesie? - zdziwił się Zul.

- Łapę na całym majątku położył Zalenthe. Mój ojciec odkrył tajemnicę króla i jego zdradę, więc Zalenthe pozbył się go, a podejrzewam, że nawet wy wiecie, jak.

- Co ty pierdzielisz? - fuknął Angal.

- Och, kretyni. - Robin wstał. - Dalej nie widzicie podobieństwa? Król pozbył się ojca, oskarżył go o zdradę. Matkę złapali, ja uciekłem wraz z moją siostrą, lecz potem nasze drogi się rozeszły. A dziś zobaczyłem ją w rękach mordercy

ojca. - Wskazał ręką kierunek zachodni. - Dalej nie rozumiecie? Rose to moja siostra.

- O kurwa - wymsknęło się krasnoludowi. - Ale chyba...

rzeczywiście, jak mogłem nie dostrzec?

- Te same oczy, nos, kości policzkowe, włosy... - wyliczał Zul.

- Nigdy nie mówiła, że ma... - zaczął Geron.

- ...młodsze go brata? - wpadł mu w słowo elf. - Najwyraźniej niewiele o niej wiecie. Ten cholerny asasyn zabił ojca. Ścigałem go, lecz zna za dużo cwanych sztuczek. Później oskarżono nas o zdradę. Rosette uciekła na południe, a ja postanowiłem się szkolić w Ruel Edel.

- W Ruel Edel? - wtrącił Angal. - Mój syn tam się szkoli.

- To ty masz syna?! - Zul rozdziawił gębę. - Nic nie gadałeś, że jesteś ojcem.

- Nie było potrzeby. W akademii wojennej mój syn jest bezpieczny, zresztą ma już dwadzieścia lat, więc sam się o siebie troszczy.

- Panowie, na dziś koniec rodzinnych tajemnic - przerwał Geron. - Jeśli elf rzeczywiście nie jest naszym wrogiem, obejmie wartę. Ja uderzam w objęcia ducha spoczynku. Pamiętaj jednak, elfie, że jeden numer wystarczy mi za impuls do tego, by rozpruć ci bebechy.

- Nie obawiaj się. Może zawrzemy sojusz? Pomogę wam odnaleźć moją siostrę i tego gnoja, lecz to mój sztylet przebije jego serce. Mam z nim własne porachunki.

*

Przejechali wzgórzem, pod którym przepływała Driestria i odbili nieco na południe, zgodnie ze śladami, które dostrzegł elf. Już trzecią godzinę przemierzali leśny szlak dziesięć mil

na północ od Wielkiej Puszczy, pędząc kłusem, lecz nie zdołali dogonić porywacza. Znaleźli parę śladów obozowania. Przekroczyli już granicę i znajdowali się w kraju zdrajcy. Na znak Gerona zatrzymali wierzchowce, by dać im odpocząć. Las się przerzedził i widać już było pola uprawne, łąki i kilka chat pokrytych strzechą. Angal lał w krzakach, Geron studiował mapę, sprawdzając ich położenie, Robin poszedł na zwiady, czarodziej zaś sprawdzał oporządzenie koni i poprawiał wędzidła. Niespodziewanie elf przybiegł z wieścią.

- Trzech jeźdźców zbliża się w naszą stronę.

- Jak daleko są? - spytał Zul.

- Dwie mile na zachód.

- To na pewno nie orkowie? - dopytywał Angal, zapinając rozporek.

- Nie, zdecydowanie trzech ludzi. Muszą mieć ważny powód, by tędy podróżować.

- Może kogoś szukają? - zastanawiał się czarodziej. - Geronie, co ty na to?

Naznaczony wstał, sięgnął do juków i wyjął dziwny przedmiot, wyglądający jak szklana płytką o wymiarach stopa na stopę. Następnie ominął zakręt i spojrzał przez płytkę na jeźdźców. Na tafli ukazała się znajoma twarz, mimo iż jeździec znajdował się półtorej mili przed nimi. Zul spojrzał spod jego ramienia.

- To chyba Festus, racja?

- Raczej na pewno. Jak nas znalazł? - dziwił się Marończyk.

- Pokaż mi to. - Zul sięgnął po płytkę. - Przecież to

zwierciadło Ai Airi. Skąd je masz?

- Starożytne zwierciadło ukazanego oblicza? - wtrącił elf.
- Należało niegdyś do wielkiego elfiego monarchy.

- Ale skąd je masz? - dopytywał czarodziej.

- Przeor mi dał - odparł niewinnie Geron. - Robił porządki w archiwum i znalazł je. Stwierdził, że mnie bardziej się przyda niż klasztorowi. Dzięki niemu będę mógł rozpoznać, czy ktoś w oddali to nieprzyjaciel, czy sojusznik.

- Niezwykła rzecz o potężnej mocy. Emanuje magią jak pierścień.

- Jeśli skończyliście oglądać błyskotkę, to przygotujcie się na spotkanie z druham - przerwał Angal. - Już prawie tu są, psia mać.

Wkrótce po jego słowach Festus, Leo i Jess znaleźli się wśród nich. La Vardo, ubrany w białe futro, zeskoczył z kulbaki i podszedł uradowany do Gerona.

- Witajcie znów, moi przyjaciele!

- Dobrze cię widzieć! - Uścisnęli się z Naznaczonym - Jak podróż?

- Nawet, nawet. Zул, co nowego?

- Długo by opowiadać. A u ciebie?

- Też się nie nudziłem. Angal, stary byku!

- Ty bestio! Kopę lat cię nie widziałem, hehe.

- Widzę, że jesteście w komplecie. Prawie. Gdzie Rose?

- A nie spotkałeś jej po drodze?

- Nie, jadę z północy. Co się dzieje?

- Porwał ją kurewski asasyn - odparł krasnolud. - Ścigamy sukinkota, ale przebiegły jest.

- Niedobrze. A kim jest wasz nowy towarzysz?
- To Robin, brat Rose.
- Pieprzysz?! Podobny. Miło poznać, jestem Festus la Vardo. - Wyciągnął dłoń do elfa. Ten uścisnął ją.
- Mnie również. Skądś kojarzę twoje miano.
- Generale, nie chcę przerywać - wtrącił Leo. - Ale czas nas goni.
- Racja. Mam wieści, które mogą cię zainteresować - zwrócił się do Gerona.
- Zostałeś generałem? No gratuluję, panie bracie - wyraził swą aprobatę Krętobrody.
- Zaraz do tego dojdę. Nie kierujcie się zbytnio na zachód.
- Dlaczego? - spytał Robin.
- Nie słyszeliście?
- Ostatnio byliśmy zbyt zajęci - odparł Zul. - Mieliśmy wiele na głowie i nie słuchaliśmy plotek.
- Wojna się zaczęła. Prawa ręka Upadłego już sieje spustoszenie na zachodzie. Włada potężną magią lodu. Wirberg jest skuty lodem. Królowa Eliess, cały jej dwór i wszyscy mieszkańcy zbiegli do Koel Nahal. Vea Utheel jest następne w kolejce. Sahael ucieka przez Wielką Puszcę.
- Jak? Przez Wielką Puszcę? Zwariował? - zdziwił się mag.
- Eskortują go najlepsi rycerze i sam Błady Wilk. Tną drzewa, aby tabory mogły przejechać.
- Ja pierdolę - wyrwało się Geronowi. - Nie było nas dwa miesiące, a wszystko zaczęło się walić.
- Chłopie, to nie wszystko. W Viri Inis stacjonują oddziały

orków, które przybyły do Wszechziemia pierwsze, dlatego nie kierujcie się za bardzo na zachód, bo się na nich natkniecie. Najbezpieczniej teraz jest udać się na północ.

- Nie możemy. Musimy odbić Rose - odrzekł Marończyk.

- Pomożemy wam.

- Generale, do sedna - wtrącił Jess.

- Już mówię. Gobliny zajęły Dolinę Edgel. Na naszym wiecu wybrali mnie na dowódcę. Wszyscy odczuwali jedną wielką potrzebę, więc spełniłem ich oczekiwania. Pod osłoną nocy weszliśmy na góry otaczające dolinę i zaatakowaliśmy gobliny. W ciągu tygodnia udało nam się, ponosząc niewielkie straty, wypruć flaki wszystkim goblinom w dolinie. W jednej wsi pewien starzec w akcie wdzięczności opowiedział nam o tajemniczym zakątku doliny, tuż przy północnym krańcu gór. Otóż ponoć znajduje się tam jaskinia, gdzie wbity w skałę jest Miecz Gniewu, nikt jednak się tam nie zapuszcza, gdyż każdy śmiałek, który próbował, nigdy nie powrócił.

- Miecz Gniewu? Dobrze się składa - odparł Geron. - Mnie udało się porozmawiać z samym Nidasem. Kazał mi odszukać pewne przedmioty, w tym Miecz Gniewu, zebrać ekipę i wyruszyć na tajemniczą wyspę Irdor.

- Gdzie? Jeśli nawet ta wyspa istnieje, nigdy nie dostaniesz się na wybrzeże.

- A ja mam wrażenie, że tak. Nawet wiem, jak. Lecz to pozostawię na razie dla siebie.

- Generale, powinniśmy ruszać. Obiecaliśmy pomóc królowej Fetheal.

- Wiem, Leo, wiem. Najpierw jednak pomogę moim

druhom. Pięć mil stąd jest rozwidlenie dróg. Jeśli nie spotkaliśmy ich na drodze z północy, skręcili za zachód. Odbijemy ją i ruszymy na północ. Dwadzieścia mil stąd jest małe miasteczko, gdzie uzupełnicie zapasy.

- Dobra myśl - poparł go Geron. - Panowie, na konie!

*

Tymczasem Sedar ujrzał bramę drewnianej palisady. Zatrzymał go ork-strażnik.

- *Urg!* Czego? Życie ci niemiłe?

- Spokojnie, ja z polecenia Zalentego i goblina imieniem Zogl. Mam tu coś, co przyciągnie do was Wybrańca jak magnes. - Poklepał po tyłku związaną Rose, która leżała przed nim na wierzchołku jak worek. Elfka poruszyła się z oburzenia, lecz knebel zagłuszył jej słowa. - A wasz Pan na pewno sownie by was wynagrodził za taki podarunek jak Wybraniec. Potrzebuję konsultacji z waszym dowódcą.

- Podejrzanie gadasz, *uruk hash!* Pokaż papiery!

- Uparto jak bydlę. Masz, naciesz gały. - Podał mu glejty. - Teraz mnie wpuść, z łaski swojej, bo za niesubordynację mogą ci bebechy rozpruć.

- Wygląda na to, że mówisz prawdę. Pamiętaj jednak, że to twardy oddział i takich cwaniaczków jak ty wieszaliśmy za jaja na pęczki. Raz tylko noga ci się powinie, a zjemy twoją wątrobę i głowę na pal nabijemy.

- Gadanie. Odsuń się, mój czas jest cenniejszy od twojego.

*

Minęły cztery godziny. Jechali wśród łąk, po lewej stronie w oddali groźnie majaczyła Wielka Puszcza, przed nimi zaś rysował się niewielki las. Znajdowali się na terenach Viri Inis. Dotarli do międzydrzewia, gdy Festus uniósł dłoń, powstrzymując jazdę.

- Co jest? - spytał Zul.

- Coś mi tu nie gra. Mój szósty zmysł zwietrzył podstęp. Coś się kryje za tym wzgórzem.

- Geronie, użyj zwierciadła Ai Aarii - zaproponował mag. - Korzystaj, jak masz.

Zjechali z traktu i wyjechali na zalesione wzgórze. Stanęli na szczycie kulbaka przy kulbace, Jess i Leo z tyłu. Marończyk wyjął z torby zwierciadło i spojrzał przez nie na odległy o dwadzieścia mil obóz. Znad prawego ramienia Gerona spojrzał Zul, spod lewego Festus, Angal wyciągnął szyję.

- Orkowie, do kurwy nędzy - stwierdził krasnolud. - Jak bonie dydy. Wszędzie poznam te parszywe mordy.

- Zdecydowanie - poparł go Zul. - Ta parszywa żmija pewnie grzeje tyłek przy rzyciach orków i pije ich podłe szczyzny.

- Ciekawe, co zrobił z moją siostrą? - zastanawiał się Robin.

- Nie radziłbym atakować, możliwe że mają szamana - rzekł z przekonaniem la Vardo.

- Na mój gust to on specjalnie chciał nas tu ściągnąć, żeby nas wydać - doszedł do wniosku Geron. - Byłby ustawiony i nie musiałyby zapieprzać jak wszyscy uczciwi obywatele.

- Powiedz mi, co to jest tam na tej polanie. - Robin

wskazał ręką na skoszoną łąkę w połowie drogi między nimi a obozem orków, z lekkim odchyleniem na lewo, oddzieloną z północy drzewami a z południa rwącym potokiem. – Tam ktoś albo coś się rusza, a z tej odległości nawet ja niedowidzę.

Geron skierował zwierciadło we wskazanym kierunku i aż szczęki im opadły ze zdumienia, kiedy zobaczyli przybliżoną twarz odległej postaci.

– Moja siostra!

– Podejrzewam, że to pułapka – rzekł Festus.

– Na pewno – dodał Angal. – Jak zbliżymy się do niej, wyskoczy z tych zarośli cały oddział z tym knypkiem na czele. A żeby mu orkowie dupę kijem przeorali. Tfu!

– Przeczeszemy cały teren, nim się do niej zbliżymy – powiedział Geron, chowając zwierciadło do torby. – Znajdziemy orków, nim oni nas dopadną. Jazda!

Zjechali ze wzgórza i obrali wyznaczony kierunek. Po dziesięciu stajaniach jazdy znaleźli się w pobliżu polany. Zbliżał się zmierzch, słońce zachodziło. Wiosna rozkręciła się na dobre i śnieg całkiem stopniał. La Vardo i jego podwładni objechali polanę od południa, przemierzając strumień, pozostali zaś przeczesali las i zarośla z północnej części polany, lecz nie natknęli się nawet na jednego, malutkiego orka. Spotkali się w zachodniej części polany i ruszyli do Rose. Elfka była przywiązana do pala, jednak nie była zakneblowana. Ujrzała zbliżającą się grupę.

– To wy? Nie zbliżajcie się! To pułapka!

– Spokojnie, sprawdziliśmy okolicę, żadnego orka – odparł Geron.

Dzieliło ich od niej kilkanaście kroków.

- Nie taka! Magiczna pułapka. Jeśli w nią wejdziecie, uaktywni się. Cofnijcie się!

- Magiczna pułapka? Racja, zacząłem coś czuć, przepływ mocy - rzekł Zul. - Zaraz... jeśli to jest to, o czym myślę... - Zeskoczył z konia i pobiegł na północ. Po chwili jednak odbił się od powietrza jak od ściany. Uderzenie wstrząsnęło nim, mimo to skierował się na południe. Czterdzieści pięć stóp od pała znów natknął się na niewidzialną ścianę. - Jasny szlag!

Utknęliśmy w zaklęciu Czterech Ścian! Za chwilę niewidzialne ściany zmiążdżą nas.

Towarzystwo zeskoczyło z koni. Ruszyli w różnych kierunkach, lecz każdy natknął się na niewidzialny mur w odległości piętnastu jardów od pała z Rose.

- Co z nami zrobią? - dopytywał Angal.

- Z każdą chwilą ściany zbliżają się ku sobie, aż w końcu najdą na siebie. Jeśli nie uciekniemy, ścisną nas i oczy ci wypadną - wyjaśnił mag.

- Pięknie. Zakończę karierę w niewidzialnej bańce, która wycisnie mi gały - skomentował krasnolud.

- Zul, do kurwy nędzy, jesteś czarodziejem - rzucił Geron.
- Tylko ty możesz nas stąd wyciągnąć. Myśl!

- Daj mi chwilę. - Mag złapał się opuszkami palców za skronie. - Muszę określić siłę pola. Jeśli zaklęcie rzucił więcej niż jeden obdarzony, mogę nie dać rady.

- To określaj, masz coraz mniej czasu!

Zul podszedł do niewidzialnej ściany, przyłożył sygnet i wypowiedział formułę. Stał chwilę nieruchomo, po czym oczy

mu się rozjaśniły, by po chwili stracić blask. Odwrócił się i powiedział:

- Zakłęcie rzucił tylko jeden szaman. Sądzę, że mam więcej mocy, by to obejść. - Sięgnął do swoich pakunków i wyjął księgę z zaklęciami, którą zwinął był z klasztoru. Przekartkował, aż znalazł odpowiednią stronę. Towarzysze niecierpliwili się, czas biegł nieubłagalnie. Konie zaczęły odczuwać siłę zbliżających się ścian i wściekle rżały.

- Pośpiesz się, bo zostanie z nas mokra plama! - Geron zgorzkniał.

- Rusz łbem, po to go masz, jełopie! - wściekał się Angal.

- Cisza, mam. Musiałem zapoznać się z układem, a to nie takie proste - odszczeknął Zul.

- Konie na nas włożą, mam kolano Gerona na tyłku, więc miejsca na machanie łapami nie znajdziesz! - darł się krasnolud.

- Cisza! - Zul wyciągnął przed siebie dłonie, nad głową Angala i pod ramieniem Gerona, oczy mu zajaśniały i sygnet zabłysnął. Moc wypełniła czarodzieja. Wyrzucił prawą nogę w tył, po czym skierował ją do przodu i zgiął kolano, nogę podniósł, rękami uczynił przeplataną ósemkę, zrobił obrót dookoła siebie na lewej nodze, wyciągając ręce na boki i bijąc przy tym Festusa w twarz. Robiło się niezręcznie i duszno. Lykanin przeklął głośno, jednak będący w transie Zul nie usłyszał go. Przykucnął na obu nogach i wyrzucił przed siebie obie ręce. Angal, Jess i wierzchowiec Leo odsunęli się w ostatniej chwili, gdy złoty strumień mocy świsnął obok nich. Nacisk niewidzialnej bańki zniknął, wszyscy odetchnęli z ulgą

i rozstąpili się na boki, by zaczerpnąć świeżego powietrza, konie zarżały radośnie. Blask wokół Zula zanikł, a moc powróciła do pierścienia. Robin odwiązał siostrę od pała. Rose rozmasowała nadgarstki. Festus poklepał Zula po plecach.

- Dobra robota. Orkowie nieźle się wściekną.

- Jeśli nie chcemy kłopotów, powinniśmy się zmywać - rzekł Zul. - Szaman poczuł, iż pułapka się włączyła, więc cały oddział pewnie już tu jedzie. Lecz odczuł również, że zakłęcie pękło, podejrzewam jednak, że został w obozie i nie zdoła zawrócić wysłanych orków.

- Masz rację. Będą tu lada moment - poparł go Festus. - Chociaż wydaje mi się, że damy im radę, bo po kilka trupów setki żołnierzy nie wysłali.

- Dawno nie rozwaliłem gęby żadnemu orkowi - rozmarzył się Krętobrody.

- Możliwe, że jest z nimi ten cholerny asasyn. - Robin położył dłoń na gardzie miecza. - Więc przy okazji wyrównalibyśmy dawne porachunki.

- Jak znalazłeś moich przyjaciół, braciszku? - spytała Rose.

- Wpadłem na nich w lesie - odparł. - Uratowałem tyłek temu, który dziś ocalił mi życie. Spłaciłeś dług, czarodzieju. - Skinął głową i uczynił swoim kapelutkiem szarmancki gest w stronę czarodzieja.

- Nie ma o czym mówić. Zamiast tego przygotujmy się do starcia.

- Jak szkolenie? Nauczyłeś się czegoś nowego czy nadal masz skłonność do siedzenia w lesie? - wypytywała brata

elfka.

- Nowe umiejętności pomagają mi bronić honoru mego i wszystkich tych, którzy nie potrafią tego uczynić.

- Cały ty, zawsze dla innych.

- Robinie, wywiązałeś się ze swej części umowy - rzekł Geron. - Jeśli zechcesz, możesz iść swoją drogą.

- Nie do końca. Umowa wygaśnie z chwilą śmierci asasyna, więc jeszcze musisz znosić moje towarzystwo.

- Twój wybór, jednakże każdy dodatkowy oręż przyda mi się w wypełnieniu misji.

- Nie poznaję go - szepnął Angal do Zula. - Czemu tak dziwnie gada? Zawsze chciał opędzić się od tego i mieć spokój.

- Stał się taki po rozmowie z Nidasem. Nie mam pojęcia, co się wtedy stało, ale od tamtej pory nie żartuje, ba, nawet się nie śmieje.

- Doprawdy, nasz świat się kończy i nie wiem, czy dam radę przystosować się do jego nowego oblicza.

- Musimy być wytrwali, jeśli chcemy zachować nasz obraz świata. Przed nami jeszcze długa droga, dłuższa niż się nam wydaje, tyle ci powiem. A tego, co nas czeka, boję się już teraz.

- Ja też, mój przyjacielu. Będziesz musiał namachać się rękami wiele razy.

- A ty młotem.

- Pierwszą okazję będę miał za chwilę.

- Zaiste. Do boju!

*

Potyczka z orkami była dziecinną igraszką. Rozgromiliśmy ich w przeciągu kilku chwil. Zgodnie z przypuszczeniami mych towarzyszy na polanę przybył niewielki, liczący dwudziestu orków oddział. Nie było jednak wśród naszych wrogów Sedara, którego śmierci wszyscy pragnęliśmy najbardziej. Ciała poległych ścierw spaliliśmy na stosie. Angal był niezadowolony, bo zabił tylko trzech orków. Twierdził, że ledwo rozgrzał ścięgna, a potyczka już się skończyła. Nasza wcześniejsza rozmowa dała mi do myślenia. Nawet on spostrzegł zmianę w zachowaniu Gerona. Naprawdę nie wiem, co bóg rzekł mojemu przyjacielowi, lecz to było tak silnym wstrząsem, że z wesołka, ceniącego własne dobro ponad wszystko, zmienił się w ponuraka mającego na celu tylko powstrzymanie Raala. Możliwe, że Nidas pokazał mu obrazy z przyszłości, może coś wyjaśnił lub obiecał? Lub też przyprowadził kogoś z krainy umarłych, co wprawilo Gerona w stan melancholii? Pytałem go parę razy, lecz rzekł mi tylko, iż wyjawি całą tajemnicę w swoim czasie. Obawiam się, że dojdzie do tego dopiero u progu ostatecznego starcia z ciemną stroną śmiertelności i nieskończoności.

Po potyczce z orkami oddaliliśmy się od ich garnizonu na bezpieczną odległość i rozbiliśmy obóz. Zaprzysięgliśmy, że jeśli którekolwiek z nas spotka na swej drodze asasyna imieniem Sedar, to skróci go o głowę. Noc minęła spokojnie, zmienialiśmy warty. Orkowie albo jeszcze nie wszczęli pościgu, albo go

zaniechali. Następnego dnia udaliśmy się do miasteczka, o którym wspominał Festus. W tawernie spotkaliśmy kogoś, kogo los już wcześniej postawił na naszej drodze. I bynajmniej nie był to ani Sedar, ani Oswald Trev.

*

Oddali wierzchowce chłopcu stajennemu i przekroczyli próg karczmy. Kiedy oceniali wnętrze gospody, wzrok Zula zatrzymał się na pewnej znajomej twarzy.

- Geronie, spójrz, to on.

- Ja cierpię dołą, masz słuszność. Ale jakim cudem znalazł się tutaj?

- O kim wy gadacie? - wtrąciła się Rose.

- O kimś, komu kiedyś Geron spuścił niezły łomot - odparł Zul.

- Tym razem ma lepszych kolegów. - Marończyk kiwnął głową. - Patrz na tego wielkiego.

- Nie chcę gderać, ale jest dwa razy większy od ciebie - porównał Angal.

- Zajmijmy lepiej stół - zaproponował Festus.

- Chyba nas poznał - rzekł nagle Zul. - Idzie w naszą stronę.

Istotnie, piegowaty rudzielec, pobity przez Gerona w Lamfo, wstał od stolika i ruszył między stołami w kierunku wyjścia. Zdecydowanie był w posiadaniu lepszego rynsztunku niż poprzednim razem. Srebrny napierśnik, brązowy pas ze szlachetnym kamieniem, obita klejnotami pochwa i rękojeść miecza, nawet skóra z wilka, którą narzucił na plecy i spiął

złotą klamrą, robiły wrażenie. Jego spodnie i buty były z podobnej skóry, prawdopodobnie wiewerny. Obecnie posiadał nawet bujną, rudawą brodę. Podszedł i stanął przed Geronem.

- Jesteś, szelmo. Koledzy! - zwrócił uwagę swoich kompanów. - Oto ten człowiek, który haniebnie znieważył był mnie i mojego serdecznego, obecnego tu druha, Luka. - Wskazał na brodacza, którego Geron dobrze pamiętał. - Pamiętasz mnie? Bo ja nie zapomniałem tego, co mi zrobiłeś. A teraz płacą za twoją głowę, więc moja chęć odwetu jeszcze się spotęgowała.

- Mówisz, rudzielcu, że orkowie płacą za moją głowę? - odrzekł Geron.

- Zapamiętaj moje miano, kreaturo, bo niedługo wyjawisz je przodkom w zaświatach. Jestem Freddy Szczęka, bo wybijam zęby. Nasze porachunki jednak załatwimy poza tawerną, byś nie wrywał belek ze stołu - Przekręcił głowę szelmowsko, wyszczerzając zęby i wskazał ręką na drzwi.

Jego kompani wstali od stołu.

- Idź przodem wraz z tą twoją hołotą.

Całe towarzystwo opuściło gospodę i udało się do starych ruin na przedmieściach. Prowadził Freddy. Zajęli miejsca na dziedzińcu niczym na arenie - z jednej strony grupa Szczęki, z drugiej kompania Gerona. Freddy wyszedł na środek.

- Tym razem ci się nie powiedzie. Po tym, co mi zrobiłeś, opuściłem Lamfo i osiadłem w Viri Inis. Niedługo potem wpadli orkowie, więc udawaliśmy z obecnym tu Lukiem i dwoma obitymi przez ciebie, że służymy w armii. Jednak doszły nas słuchy, że ty, właśnie kurwa chędożony ty, zlałeś z chłopami

viriińskie wojsko. Nawet nie wiesz, jak bardzo ciśnienie mi wzrosło. Chciałem pojechać do Balha Deal i cię stłuc, ale nagle PYK! Wyparowałaś, nikt nie wiedział jak. Szkoliłem się i pielęgnowałem rosnącą do ciebie nienawiść. I nagle zjawia się on, potężny władca orków z całą plagą tych ścierv, ogłaszając, że ten, kto przyniesie mu głowę jego największego wroga, który to niby może mu zaszkodzić, zostanie pierwszym generałem. I chyba wiesz, co w takiej sytuacji zrobiłem. A ty przychodzisz prosto do mnie.

- Głupi ma zawsze szczęście - odparł Geron. - Raz spuściłem ci łomot, zrobię to po raz drugi.

- Nie tym razem. Jestem lepiej wyszkolony i mam najlepszych zakapiorów od brudnej roboty. Kim mnie postraszysz? Trzech obdartusów, dwa niedorobione elfy, dziadowski magik i jednoręki karzeł to twoja linia obrony?

- Ja mu dam karła! - oburzył się Krętobrody. - Nie podaruję szelmie!

- Spokojnie, Angal, bez nerwów - powstrzymał go Naznaczony.

- To będzie rzeźnia - zaświergotał złowieszczo Freddy. - Krew się poleje.

- Chyba twoja - odfuknął Marończyk. - Gdy ty piłeś szczyny w jakiejś zawszonej knajpie i ruchałeś dziwki z kiłą, ja rąbałem chimery i zwalczałem mrocznych czarnoksiężników. Gównu wiesz, co to prawdziwa walka o życie.

- Gusła, nic więcej. Skoroś taki cwany, zrobimy to jak wtedy. Próba sił. Moi ludzie przeciwko twoim. Taki mały, jak nazywają to orkowie, sparing. Co ty na to?

Geron spojrzał na towarzyszy. Jak jeden mąż wyrazili zgodę, drażnił ich pyskaty rudzielec.

- Niech się zacznie. Na początek Mały Bill - krzyknął Szczęka i wszedł tyłem między swoich. Z grupy wyszedł olbrzym. Miał istotnie ponad osiem stóp wzrostu oraz duże mięśnie. - Walka do pierwszej krwi!

- Dobra, idę...

- Nie, Geronie. - Festus złapał go za ramię. - Jest mój. Rudy nie powiedział, że musi walczyć czysty człowiek. - La Vardo wszedł na prowizoryczny ring. Z grupy rudego dobiegły szydercze krzyki i gwizdy. Festus zdjął napierśnik i pozostałości rynsztunku. Olbrzym skrzył głowę w prawo i w lewo, chrupnęły mu chrzęści w karku, zdziwił się na widok takiego przeciwnika. Zamachnął się maczugą. Rozbrojony Festus zrobił zręczny unik. Bawił się tak przez chwilę, unikając wszelkich ciosów Małego Billa. W końcu zmienił się w wielkiego lykanina, co wywołało okrzyki strachu i oburzenia wśród ludzi Freddy'ego. Zrobił półobrót pod ramieniem Billa i zadał mu cios łapą w plecy. Olbrzym ryknął z bólu, jego krew skropiła posadzkę.

- Co to ma być?! Szczujesz nas lykanami?! - ryknął rudy.

- W regulaminie nie było mowy o zakazie, nieprawdaż? - spytał groźnie la Vardo, po czym zmienił się w człowieka i wrócił między swoich.

- Ja również doбираłem odpowiednich ludzi i nieludzi do kompanii - rzekł Geron. - Kto następny z twoich?

- Ilu masz tych lykanów? - spytał rudy.

- Jeszcze dwóch, ale nie powiem, którzy.

- Pieprzyć to. Luk, idziesz!

- Sam idź, nie ma głupich. Ja z lykanami walczył nie będę - oburzył się brodac.

- Cykor cię obleciał? Victor, na ring!

- Spieprzaj ode mnie! Widziałeś, jaki tamten był zwinny i wielki? Skoro Billa tak łatwo wykołował, to mnie wykończy w okamgnieniu. Sam sobie idź!

- Ja nie jestem lykaninem - rzekł Geron. - Lecz zmierzę się tylko z dowódcą watahy. Chodź tu, rudzielcu!

- Jestem Freddy!!! Nie nazywaj mnie rudzielcem! Ty kanalio, zginiesz!

Rudy wyjął bogato zdobiony miecz. Marończyk również postanowił posłużyć się tego typu orężem. Walka była zacięta, a Szczęka nieustępliwy. Geron miał dość zabawy, więc po krótkim pojedynku postanowił wykorzystać trik, którego nauczył go Błady Wilk. Rozkręcił nadgarstek dłoni dzierżącej miecz, zawinął nim nad głową, jednocześnie robiąc obrót wokół przeciwnika z lewej strony jego ciała, po czym zrobił wślizg pod jego prawym ramieniem, wprawiając Freddy'ego w osłupienie, i ciał pachę. Szczęka upuścił miecz, wrzasnął, przycisnął prawą rękę do tułowia i złapał lewą ręką prawe ramię. Był wściekły.

- Co to było?! Zatańczył wokół mnie jak dziwka i rozciął mi pachę, sukinsyn. Ja ci pokażę!

- Przerznąłeś. Znowu. Do pierwszej krwi, tak? Obym więcej nie musiał oglądać twojej pyzatej mordy.

- Ty szelmo! - Rudy niespodziewanie wysunął z lewego rękawa małą kuszę z bełtem.

- Uważaj, z tyłu! - wrzasnął krasnolud.

Geron obrócił się w ostatniej chwili, by rozciąć nadlatujący bełt. Rudy podniósł miecz leżący u jego stóp i rzucił się, jednakże Marończyk tylko uchylił się i zarżnął Freddy'ego jak wieprzka, wbijając miecz od dołu w grdykę rudego tak, że jego czubek wyszedł prawym okiem Szczęki.

- Koniec przedstawienia. A jeśli któryś nadal chce mojej głowy, niech spróbuje - ryknął na przerażoną grupę nieboszczyka.

Rozeszli się biegiem. Tylko Mały Bill pozostał.

- A ty co, głuchy? - spytał Geron.

- Nie - rypnął basem. - Przyłączyłem się do grupy Freddy'ego tylko po to, by łatwiej do was dotrzeć. Fascynuje mnie wasza historia i wyczyny. Może jestem nikim, ale chciałem was poznać i spytać, czy macie może wakat?

Geron osłupiał, podobnie zresztą jak reszta kompanii.

- Ty... ty chcesz do nas dołączyć? - Geron zlustrował go wzrokiem. - W sumie w tych ciężkich czasach każdy oręż mi się przyda. Wyglądasz na solidnego chłopa, chociaż ruchy masz zbyt powolne... Co wy na to? - zwrócił się do towarzyszy.

- Chłop jak dwa dęby - odparł zaskoczony całym wydarzeniem Angal. - Jak Festus go podszkoli, to będzie istna maszyna zagłady, po prostu młot na orków.

- Możemy wziąć cię na okres próbny. Pamiętaj o kilku rzeczach. Po pierwsze - jeśli jesteś podstawiony przez orków lub Zalentego i spróbujesz choć jednego przekrętu, pozwolę lykanom rozerwać cię na strzępy. Po wtóre - nie myśl, że to,

co będziemy robić, jest igraszką. Przed nami ciężkie, bardzo ciężkie zadania, które mogą potrzebować ofiary. Będziemy spać po lasach, jeść rzadko i ratować tyłki bardzo często. Nie licz na przygodę, wygodne spanie w gospodach i chętne dziewoje co dwa dni. Jesteś zdecydowany?

- Tak. Wychowałem się w lesie, na odludziu, więc ciężki los mi niestraszny. Dziękuję za daną mi szansę. Nie zawiodę was.

- Zaczynam bać się Gerona - szepnął Angal do czarodzieja. - Im więcej go słucham, tym bardziej nabieram przekonania, że zwariował. O jakich ciężkich zadaniach mówił?

- Skąd mam to wiedzieć? Ostatnio doszedłem do wniosku, że nasz Geron pozostał w Sali Przepowiedni, a to ktoś nowy, zupełnie nam obcy. Czarno widzę nasz los, jeśli on wciągnie nas w bagno nieszczęśliwych, trudnych i mozolnych zadań.

- Zginiemy marnie przez tego nowego Gerona.

- I tak zginiemy, bo wojna idzie.

- Nidasie, wesprzyj nas albo chociaż daj kielicha, bo na trzeźwo nie idzie tego wytrzymać.

ROZDZIAŁ 11:

SEKS GRANICZNY

Zastanawiacie się zapewne, dlaczego ten rozdział mego dziennika tak się zowie? Otóż granic tego wydarzenia było sporo i wiele z nich zostało przekroczonych. Seks był główną przyczyną naszej ucieczki. Wszystko za sprawą Angala, który nie mógł się opanować w pewnym małym miasteczku. Rozpoczęło się od sprawdzianu Małego Billa, rozwinęło działaniem krasnoluda, a skończyło w miejscu owianym wielką tajemnicą, do którego nigdy nie spodziewałem się trafić.

*

Siedzieli pod ścianą na wielkiej ławie, tuż pod oknem. Szczerbata, dwudziestopięcioletnia kelnerka właśnie donosiła piwo niewarte złamanego grosza, uśmiechając się przymilnie do Gerona, co wywołało oburzenie na twarzy Rose. Robin spojrział znad kufła na siostrę.

- Geronie, jesteś kawalerem, prawda?
- Tak, a czemu pytasz?
- Zastanawiam się, dlaczego moja kochana siostrzyczka boczy się, gdy tylko jakaś panna na ciebie spojrzy.

- Nie powiedzieliście mu? - zdziwił się la Vardo.

- Festusie, mój drogi przyjacielu, są kwestie, które należało przemilczeć w trakcie zapoznawania się z nieznanym, który mimo zapewnień o lojalności był dla nas obcy - odparł fachowo Zulzedeus, opierając łokcie na blacie, a dłonie na podbródku.

- Geron jest absztyfikantem twojej uroczej siostruni - rzekł wesoło Angal, odbierając od kelnerki kolejny kufel piwa i klepiąc ją po tyłku.

- Że co proszę?!

- Oni się lubią, lubią - zaczął czarodziej. - I już nawet robią... no, ten w ten.

- Raczej to w to - dorzucił krasnolud.

- Chłopaki! Sza! - zdenerwował się Marończyk.

- Znaczy się, jesteście parą? - Elf uniósł brwi.

- Tak, mój genialny braciszku - fuknęła Rose. - Nic nie wskórasz w tym temacie. Potrafi zapewnić mi bezpieczeństwo i to ja zaczęłam, nie on.

- A wie przynajmniej, ile masz lat? - uśmiechnął się łowca.

- To nie ma znaczenia, najważniejsze jest uczucie, prawda, skarbie?

- No w sumie, ja mam dwadzieścia siedem, wiedziałas o tym od początku, lecz o sobie nigdy nie wspomniałaś. - Geron spojrzał w oczy ukochanej.

- Kobiety o wiek się nie pyta! - Zmarszczyła czoło.

- Stary, powiem tak - wtrącił Angal. - Ja mam pięćdziesiąt, a ona jest strasza ode mnie o trzydzieści, policz sobie.

- Jak mogłeś! - uniosła się elfka. - Miałam cię za

przyjaciela!

- Ile? - Geron zakrztusił się piwem. - Mogłabyś być moją babką!

- Nie patrz tak na to. - Rose pogładziła go po włosach. - Elfy żyją dwa razy dłużej niż ludzie, nawet do stu czterdziestu lat! Najdłużej żyjący elf miał dwieście, póki go nie zastrzelili. A moje ciało ci nie pasuje? Wyglądam na osiemdziesięciolatkę?

- Nie, wręcz przeciwnie - rozmarzył się Naznaczony. - Raczej na osiemnastkę.

- Moi drodzy! - przerwał Zul. - Zmieńmy temat, dobrze? Dziwi mnie jeszcze jedna kwestia. Chodzi o nazwiska. Nazwy rodowe i herbowe mają tylko szlachetnie urodzeni, prawda? Chłopi i robotnicy mają tylko imiona. Festus jest szlachcicem, nasze elfy dziedzicami rodu Ezelero. Ale ty Angal, przyjąłeś przydomek czy ki pieron?

- Jak wam kiedyś mówiłem, mój ojciec był setnikiem króla Fergususa. Raz podczas inspekcji kopalni zawalił się szyb. Mój ojciec, poświęcając życie, uratował króla, odpychając go spod walących się gruzów. Dostał pośmiertnie najwyższe odznaczenie, jakie być może u krasnoludów, i moja rodzina otrzymała nazwisko Krętobrody, bo tato posiadał gęstą, bujną, aczkolwiek pokręconą brodę.

- Powiedzcie mi, ile mil na wschód stąd jest Kraven? - zagadnął Festus.

- A to nie bardziej na północ? - zdumiał się Zul.

- Raczej nie, bo Kraven jest oddalone od Sietlle o sto mil na północny zachód.

- Zul, minęliśmy tak wielkie miasto i mi nie powiedziałaś?

- Geron prześwidrował wzrokiem czarodzieja.
 - Sam straciłem rachubę. Kraven to miasto otoczone od południa kanionem, niewidoczne z tej strony. To, co wzięliśmy za jedno ze wzniesień, było najwyraźniej szczytem kanionu.
 - To teraz nieistotne, skoro kierujemy się do Koel Nahal.
 - Możemy podążać wzdłuż Driestrii - rzekł Mały Bill. - Niedaleko stąd ma swoje ujście, a orkowie nie znajdą tropu w mule podmywanym przez wody rzeki.
 - Bill dobrze gada - poparł go Festus. - Decyzja czysto strategiczna. Chociaż sądzę, że orkowie wstrzymają ekspansję, czekając na tego ich pana, który teraz zapewne zamraża wody Mongi. A tymczasem cała ludność Vea Utheel dotrze na ziemię Enwerpii.
 - Rzeka znów będzie linią frontu - rozważał krasnolud. - Przynajmniej na południu.
 - Nie martwmy się tym. Przyszłość sama nadejdzie. - Geron podniósł kufel. - Napijmy się, póki mamy ku temu sposobność, bo niebawem nie będziemy mieć pewno okazji.

*

Ann wybiegła z walącej się chaty, ominęła psa Bikstera i lawirując pomiędzy kurczakami i kaczkami, znalazła matkę pod starą gruszą. Życiodawczyni robiła pranie, trąc wełniane swetry na tarze. Dziewczyna nie chciała męczyć strapionej i zmęczonej życiem czterdziestoletniej matki, która już wiele wycierpiała i ledwo wiązała koniec z końcem. Musiała jednak interweniować, gdyż stan chłopca pogarszał się.

- Mamo! Jon! Znowu ma... atak.

- Znowu? Minęły dopiero trzy dni. Nigdy wcześniej nie występowały tak często.

- Wiem, mamó, jest coraz gorzej. Nic nie mogę na to poradzić. Boję się o niego.

- Ja też się boję, córeczko. - Zostawiła pranie. - Chodźmy do niego.

Ruszyły przez podwórko, lecz zanim zdołały dotrzeć do drzwi, chłopak wypadł z chaty z szalem w oczach i zaślinionymi ustami. Wyglądał jak opętany. Nagle stanął jak wryty, uniósł ręce w górę, jego gałki oczne stały się białe jak mleko, źrenice uciekły w oczodół. Rzekł zmienionym głosem:

- Nadchodzi! Świat czeka zagłada! Oto nadciąga ten, który zniewoli Wszechziemie i zakuje w kajdany wszelkie życie, które stawia mu opór! Tylko jeden człowiek może go powstrzymać, lecz Przewodnik musi go zaprowadzić aż do końca! - Po tych słowach chłopak upadł na ziemię. Przerazona matka podbiegła, aby podnieść syna, Ann pragnęła jej pomóc, lecz Jon znów wprowadził je w otępienie.

- Zostaw mnie, mówię, zostaw! Mym przeznaczeniem jest ostrzec Wybrańca!

- Synku, to ja, twoja mama.

- Odejdź precz!

- Cicho, wszystko będzie dobrze. Chodź do domu, połóż się...

- Nie! Dostyc czekania! Muszę iść, gdyż kres jest bliski!

- Jon, kochanie, uspokój się. Nie możesz nigdzie iść, jesteś za młody.

- Mama ma rację - wtrąciła Ann. - Pójdziesz, jak

podrośniesz. Teraz chodź, prześpij się...

- Nic nie rozumiecie, głupie! W tej chwili przemawiam przez tego chłopca, aby ostrzec świat. Idę w jego ciele w daleką podróż, aby wypełnić swoją powinność. Na południe!

- Nie możesz! Rozpoczęła się wojna z okrutnymi stworami. Nigdzie nie pójdziesz!

- Nie powstrzymacie mnie!

- Ann, pomóż mi zaprowadzić go do łóżka.

- Nie, ma droga wiedzie na południe. Jeśli taka wasza wola, by mnie powstrzymywać, nie mam wyboru! - Jon rzucił się na matkę i złapał ją za gardło.

Oczy wyszły jej z orbit. Próbowwała odciągnąć dłonie syna, ale okazał się silniejszy, mimo iż był chorowitym trzynastolatkiem. Ann usiłowała pomóc matce, lecz dłonie chłopaka były zaciśnięte na szyi kobiety zbyt mocno. Rozluźnił uścisk dopiero, gdy przestała walczyć, oddychać, żyć. Strach zdjął Ann, gdy brat odwrócił się ku niej. Wbiegła do domu i z szuflady kredensu wyjęła nóż. Odwróciła się i serce jej zamarło. Jon stał tuż za nią, ogarnięty furją. Chciała zadać mu cios, lecz przechwycił uderzenie i złapał ją za nadgarstek. Wykręcił jej dłoń, łamiąc kość. Dziewczyna wrzasnęła z bólu, lecz natychmiast ucichła, gdy brat wbił jej nóż w gardło. Nikt nigdy nie odnalazł ciał, gdyż ich chata stała na uboczu, z dala od cywilizacji. Dwa trupy leżały tam, gdzie pozostawił je Jon. Jednak to nie był on.

*

Kwinta! Sztych! Ładnie, a teraz parada! Dobrze, i tnij od dołu!

Półobrót i znów kwinta! Idzie ci coraz lepiej, jeszcze tylko musisz popracować nad zwinnością, szczególnie dłoni. - Festus zakończył kolejną lekcję z Małym Billem.

Rozbili obóz na mieliźnie nad rzeką. Nurt Driestrii był silny po wiosennych roztopach, jednak głębokie koryto trzymało wodę w ryzach. Rose czesała grzywę swojej klaczy, Geron dokarmił Mariana, gdy Robin zdecydował się na rozmowę.

- Geronie, podjąłem decyzję. Muszę was opuścić.

- Co ty gadasz? Coś się stało?

- Moim przeznaczeniem jest dopaść zabójcę ojca. Ten sukinkot uciekł na zachód, a wędrując z wami na północ, raczej go nie spotkam. Będzie was omijał. W pojedynkę szybciej go znajdę, szukając tropów i trupów, które pozostawi na swej drodze.

- Jesteś tego pewny? Na zachodzie roi się od orków i łowców nagród, gotowych na wszystko.

- Poradzę sobie, jak zawsze. Znajdę go, wypruję mu flaki i zawieszę za nie na najwyższej sośnie w lasach zachodu, uprzednio miażdżąc kości. Żegnaj, siostrze - zwrócił się do Rose. - Trzymajcie się i nie dajcie sobie napluć na buty. Wypełnijcie misję, by świat nie upadł. - Wymienił uściski z kompanami, ucałował siostrę, po czym wskoczył na konia i skierował się na zachód.

Odprowadzili go wzrokiem, dopóki nie zniknął za horyzontem. Zbliżał się kolejny wieczór, kolejna noc. Rozpalili ognisko i piekli ryby złowione w wodach Driestrii. Otaczały ich gęste, bujne zarośla od wschodu i południa, od północy las.

Angal obserwował przeciwległy brzeg rzeki, który był pogrążony w półmroku i jeszcze bardziej zarośnięty krzewami. Za nimi rozciągał się las, a w tle majaczyły odległe, prawie niewidoczne góry. Otaczała ich cisza, słychać było jedynie trzask płonących polan. Pierwszą wartę objęli Leo i Jess, oddalwszy się na odległość dwudziestu jardów. Elfka ułożyła się do snu, otulając kocem, Festus strugał grot dzidy, Zul studiował księgę układów. Angal spoglądał z coraz większym niepokojem na drugi brzeg. Nagle zerwał się na równe nogi.

- Co jest? - zdziwił się Zulzedeus.

- Niech mnie po rzyci kopią! Coś z tamtego brzegu wpłynęło do rzeki i kieruje się w naszą stronę. Cholera, gdzie mój młot?!

- Jak wpłynęło? O czym do nas rozmawiasz? Łyknąłeś coś?
- zagadnął Festus.

- Prawdę mówię, coś wlaźło do Driestrii i płynie do nas. Wierzcie albo nie, ja bym proponował, byśmy spieprzali. Patrzcie, do krzywego fallusa! - wskazał na brzeg.

W istocie, dwie niezidentyfikowane postacie pełzły lub szły w ich stronę. Dobyli oręza jak poparzeni.

- Zul, jakieś sugestie? - zagadnął Geron.

- To chyba topielce, wodne stworzenia podobne do jaszczurów, które porywają swe ofiary i duszą je pod wodą. Uważaj!

Stwory długości około pięciu łokci pełznące po ziemi niczym kraby były tuż, tuż. Ich cielska pokrywała jakby zgniła, błękitnawa łuska, miały długie ogony i solidnie zbudowane łapy

zakończone potężnymi szponami. Pierwszy z nich zaatakował la Vardo. Lykanin, przyjąwszy postać bestii, mocował się z pyskiem najeżonym ostrymi zębami. Geron doskoczył z toporem i odrąbał topielcowi ogon. Krętobrody zrobił podbieg i zdzielił stwora młotem w łeb. Mały Bill wbił gadowi miecz w bebechy. Festus wykończył potwora, rozrywając mu paszczę. Tymczasem drugi topielec okrążył obozowiczów i próbował dobrać się do rozespanej Rose. Znajdował się w odległości metra od niej, gdy zmiotła go Kula Ognia z rąk czarodzieja. Elfka zerwała się jak poparzona.

- Co tu się wyrabia?!

- Wstałaś? Nic takiego, po prostu bawimy się z topielcami
- odparł Geron.

- Z czym?

- Z tym tu.

- Ale paskudztwo. Zул, mogłeś mnie trafić!

- Wybacz, musiałem podjąć decyzję w ostatniej chwili, ale trafiłem dziada.

- Kotku, uspokój się. Porozmawiamy o tym rano, teraz śpij.

Z szuwarów wypadli zdyszani Leo i Jess. Rozejrzeli się po obozowisku i otworzyli szeroko oczy, po czym spojrzeli po sobie.

- Co tu się stało?

- Mała potyczka dla rozrywki z topielcami - odparł ich dowódca. - Wracajcie na wartę, nie ma co oglądać. No już!

Podkomendni zajęli swoje stanowiska, klnąc pod nosem, pozostali przy ognisku zaś ułożyli się do snu. Nazajutrz

sprzątnęli truchła, wrzucając je do rzeki, usunęli wszelkie oznaki obozowania i ruszyli na północ wzdłuż linii rzeki. Po blisko stu milach Driestria skręciła na północny wschód, zjechali więc z wyznaczonego wcześniej szlaku i skierowali się na północ. Trafili do miasteczka Xans, które podlegało hrabiemu El Berout. Sam hrabia mieszkał w swym dworze na wzgórzu, a Xans leżało u jego stóp. Zmęczeni podróżą i głodni jak diabli w piekielnych czeluściach, udali się do najbliższej gospody o nazwie Uroziwa. Oddali wodze chłopcu stajennemu i przekroczyli próg. W tawernie było niewiele osób, stan właściwy jak na tę porę dnia, zajęli więc stół pod ścianą i czekali na kelnerkę. Zamówili po kuflu piwa i talerzu gulaszu. Spałaszowali strawę w mgnieniu oka. Późnym popołudniem, po dwudziestym kuflu piwa, Angal wyszedł z gospody w towarzystwie nieznanej kokietki.

*

Francesco przebiegł dziedziniec, podkasawszy szaty, ominął dwóch alumnów i wbiegł bocznymi schodami na piętro świątyni. Oddychał ciężko, nie był już taki młody, lecz ta wiadomość musiała dotrzeć do uszu przeora natychmiast. Dopadł wreszcie drzwi, uspokoił oddech i poprawiwszy zgiętą przez siebie wykładzinę, zapukał. Nie usłyszał odpowiedzi. Ponowił pukanie. Nadal bez skutku. Nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte. Wszedł, delikatnie stąpając po posadzce. Główna komnata arcymaga była cicha, ciemna i pusta. Dwie komody i biblioteczka stały na swoim miejscu za dębowym biurkiem z prawej strony od wejścia, okna naprzeciw drzwi

były zasunięte kotarą, tron arcymistrza był tam, gdzie powinien. Najwyraźniej przeor położył się wcześniej, Francesco obszedł więc podwyższenie bogatego siedziska i przekroczył próg sypialni arcymaga. Pokój był pusty. Zdziwiony wartownik odwrócił się, by opuścić komnaty przeora, gdy serce podskoczyło mu do gardła. Puls mu przyspieszył i złapał się za piersi. Arcymistrz stał przed nim, spoglądając na niego swymi sprytnymi oczyma.

- Ależ mnie mistrz wystraszył!

- Synu mój się nie denerwuj. Co do mnie cię sprowadza?

- Arcymistrzu, wielki mąż na gniadym koniu stoi u bram i prosi o widzenie z tobą. Rzekł, że czas go goni i zwlekać nie może.

- Cóż to za mąż jest?

- Nie znam jego miana, jednakże odziany jest w czerń, wielki, srebrny miecz przepasany jest przez jego ramię, ma łysą głowę, a cera jego biała jak mleko.

- Łysy wojownik biały jak mleko o widzenie ze mną prosi?

- Tak, arcymistrzu. Jakaż twa odpowiedź?

- Wpuść go, lecz baczenie na niego miej. Do komnaty mojej jego zaprowadź.

- Oczywiście, jak każesz, arcymistrzu.

Francesco opuścił komnaty przeora i biegiem powrócił do wieży strażniczej. Wyjrzał przez okno. Wojownik nadal tkwił w ciemności, w mdłej poświacie księżycy było widać zarys jego postaci. Mąż spostrzegł nikły blask świecy w oknie baszty i głowę wartownika, skierował więc swą klacz w tym kierunku. Francesco krzyknął do wojaka i otworzył bramę

klasztoru. Wojownik spokojnie poprowadził wierzchowca na dziedziniec, zeskoczył z siodła, zdjął wędzidło z pyska klaczy i ujął w dłoń cugle. Francesco przekręcił kołowrót i zamknął bramę, po czym opuścił wieżę z pochodnią w ręce. Wybiegając z baszty, wrzasnął do stajennego, aby odebrał konia od gościa. Wymienił uścisk dłoni z roslým, silnym wojownikiem, następnie wartownik zaprowadził gościa przez lewą wieżę świątyni do komnat arcymistrza, uprzednio prosząc jednego ze starszych alumnów, by ten zastąpił go na warcie. Arcymistrz czekał na swym tronie. Wyprosił Francesco z komnaty i pozostał sam z wojownikiem. Spojrzał swym starczym okiem na przybysza.

- Długie lata cię nie widziałem, Oswaldzie.

- Arcymistrzu! - Wojownik ukląkł. - Miło mi znów cię widzieć.

- Tak, tak. Nie po to tutaj przybyłeś, by zaszczytami mnie chwalić. Czego dusza twa pragnie?

- Nie dusza moja, lecz obowiązek wobec Wszechziemia. Obiecałem ci, że będę bronił naszego świata, gdy ty uleczyłeś me rany. Już dawno byłoby po mnie, gdybyś nie wyciągnął mnie z ramion śmierci. Staram się wypełniać te śluby, lecz aby je wykonać, znów muszę prosić cię o pomoc.

- O cóż prosisz, Błady Wilku?

- Tej zimy zawędrowałem do Veä Utheel, do stolicy. Spotkałem tam człowieka, którego zowią Wybrańcem, roslęgo męża Gerona.

- I ja jego spotkałem. Mimo swej siły prawy to człek i jego serce czyste jest.

- Wiem to, mistrzu. Dobrze również włada bronią.

Pomogłem jemu oraz królowi Sahaelowi odeprzeć atak orków i sił elfiego zdrajcy, Zalenthego. Po bitwie bawiłem jeszcze w Balha Deal, miałem wkrótce wyruszać, gdy Wszechziemie napadł nowy, potężny wódz orków, którego nazywają Panem Lodu. Wojsko króla było zdziesiątkowane, a kraj osłabiony drastyczną wojną, dlatego Sahael zdecydował się ewakuować całe królestwo na wschód. Eskortowałem jego królewską mość przez Wielką Puszcę. Ja i kilku wojowników likwidowaliśmy wszelkie stwory zagrażające życiu, a rębacze torowali drogę. Teraz możnowładca wysłał mnie, bym prosił o azyl w klasztorze dla niego i całego jego dworu. Mieszkańcy Vea Utheel osiedlą się na terenach Enwerpii, Kodoru i Koel Nahal.

- A dlaczegoż to Sahael u Godryka nie schroni się?

- Pan na Balha Deal woli ukryć się tutaj, by mieć pod ręką radę magów i nie chce rozpraszać Godryka, który szykuje się do wojny. Poza tym Sahael jest elfem, woli spokój i przemyślenia, a dobrze znając skłonności władcy Kreven do wina i innych trunków, nie chce kłótni nad mapą wojenną z napitym Godrykiem. Woli zaplanować taktykę, radząc się uczonych i później dopiero skonsultować się z królem Enwerpii.

- Biegły w języku jesteś, Oswaldzie. Zgodzę się, jednak klasztor niewielki jest. Zostać tu ty możesz, król z małżonką, najbliżsi doradcy i najwyżej dwudziestu ludzi dworu. Wieści mu przekaz, lecz wpierw odpocznij i posil się. Ciężkie czasy nadchodzą.

*

Spojrzał na nią. Błysk w oku i mina zdradziły jej zamiary. Pocałował ją namiętnie. Ku jego zdumieniu przejęła inicjatywę, ujmując go za policzki. Czuł jej wirujący język, delikatnie smagający jego. Stali tak, splątani ze sobą niczym jedna istota, pośrodku pokoju, blask świecy rzucał mdłe światło, a nikłe cienie ich postaci padały na kąt, przez który przemknął zbłąkany karaluch. Urok tanich tawern. Objął ją w talii i rzucił na łóżko. Wciąż całując, delikatnie possał jej dolną wargę, po czym zjechał niżej, pieszcząc szyję. Miział ją subtelnie, raz czy drugi robiąc jej malinkę. Pieścił uszy, szyję, ponownie pocałował namiętnie jej słodkie usta. Czuł na plecach jej paznokcie wbijające się w skórę. Jej oddech stał się szybszy. Zaczęła zdejmować mu koszulę. Wyprostował się i pozwolił na to, sam zaś rozpiął guziki jej zakietu. Zdjął go i znów pieścił jej szyję, zjeżdżając językiem niżej. Czuł napiętą skórę ukochanej i jej spazmatyczne drgania, gdy całował piersi i ssał sutki. Uwielbiał to, ona jeszcze bardziej. Spojrzał w jej oczy.

- Niżej?

- Tak, kotku, zjeżdż niżej. - Rose przymknęła oczy, Geron zaś wprowadzał jej ciało w stan rozkoszy, upojenia, nieziemskiej radości. Zdjął jej spodnie. Całował udo swej oblubienicy, delikatnie smagając jej skórę, drżącą przy każdym ruchu jego warg. Ostrożnie dotarł do granicy między światem doczesnych utrapień a krajem radości i rozkoszy. Spokojnymi ruchami języka wyszukiwał jej najczulsze punkty, czasem przyspieszając bądź zmieniając kierunek. Drżała, zacisnęła mu nogi na szyi. Przysunął się bardziej, dołączając do zabawy swe palce. Powolutku wsunął je i stopniowo zagłębiał bardziej.

Otworzyła oczy, z jej ust wydobył się jęk rozkoszy. Przyspieszył ruchy, jednocześnie smagając językiem muszelkę swej lubej. Rose zaś poczuła przeszywający na wskroś spazm, wprawiający ją w poczucie błogości i uniesienia. Chwilę później była gotowa. Teraz ona postanowiła zadominować. Poderwała się i rzuciła ukochanego na łożo, przywiązując mu nadgarstki do poręczy łóżka. Geron zdziwił się, lecz nie zaprotestował. Zaczęła go namiętnie całować, później jego szyję i klatkę piersiową. Miziała ją delikatnie, pieszcząc każdy mięsień. Teraz ona zjeżdżała niżej. Geron nie mógł poruszyć rękoma, nawet nie próbował. Czuł jej usta na podbrzuszu. Rozwiązała mu hajdawery. Delikatnymi ruchami języka smagała go po jądrach, w rękę zaś ujęła jego przyrodzenie. Zaczęła zabawę, uśmiechając się zadziornie. Powoli przesuwiała skórę na członku, obserwując reakcję. Geron zamknął oczy. Elfka przyspieszyła ruchy, następnie włożyła go do ust. Systematycznymi ruchami głowy i języka wprawiała ukochanego w coraz większe uniesienie. Wybraniec otworzył oczy i zobaczył, że Rose świetnie się bawi. Chyba to lubiła, tak jak on uwielbiał wprawiać w rozkosz ją. Po chwili stwierdziła, że jest dostatecznie pobudzony by go dosiąść. Spokojnie wprowadziła go w siebie. Znała jego wielkość, lecz mimo iż nie był to pierwszy raz, obawiała się bólu. Ostrożnie nasunęła się cała, aż do trzonu, oczy się jej rozwarły i jęknęła. Gdy pierwsze drzenie przeszło, zaczęła go ujeżdżać - powoli, następnie zwiększając prędkość, przechodząc od stępa do galopu. Poczowała ból w pośladkach od szybkich ruchów, wówczas inicjatywę ponownie przejął Geron. Rose rozwiązała mu

nadgarstki i pozwoliła mu ponownie rzucić ją na łożo. Lubiała czuć go w sobie. Rozważała zajście z nim ciążę i danie mu potomstwa, jednak wiedziała, iż los może nie dać im szansy na normalne życie. Zmienili pozycję, teraz odwróciła się tyłem do niego i zabawiali się „na pieska”. Czuła każdy ruch jego członka i odbijające się o jej tyłek jądra. Nie przeszkadzało jej to, wręcz przeciwnie, nakręcało. Akt ich miłości trwał dopóty, dopóki oboje nie padli wycieńczeni obok siebie. Pocałowali się i zasnęli objęci w swych ramionach.

*

Noc ogarnęła świat swym płaszczem, lecz mimo to nie zrobił postoju. Prowadził spokojnie kłacz po wąskiej ścieżynce wśród drzew. Odnalazł ten skrót lata temu, teraz zaś posłużył mu, by mógł dostać się do lasów przy głównym szlaku na zachód. Wsłuchał się w odgłosy nocy – świerszcze grały swój koncert, liście szumiały na delikatnym wietrze, w oddali było słychać wycie wilka, wilkołaka lub innego nocnego stwora. Miał się na baczności. Wjechał w zagłębienie, mijając krzewy dzikich róż i ziół, których nazw nie pamiętał. Wtem zatrzymał się. Coś tu było nie tak. Cisza stała się dołująca. Właśnie, cisza. Świerszcze przestały grać. Rozejrzał się i nagle usłyszał świst. Świst bełtu. Nagle kłacz zarżała żałośnie. Skoczył w ostatniej chwili, gdy zwała się martwa na paprotki. Wyjął bełt z krwawej rany. Robota orków. Zdziwiło go to, gdyż armia nieprzyjaciela była jeszcze daleko na zachodzie. Obejrzał się dookoła, lecz niczego nie dostrzegł. Wdrapał się na drzewo, na szczyt grabu. Nic prócz ciemności, chmury przysłoniły

niebo. Dostrzegł błysk i świst, i w następnej chwili leciał już na ziemię, odbijając się od konarów, ze srebrnym sztyletem w prawym barku. Czuł ostry ból i zniewalającą utratę ciepła, gdy krew sączyła się z jego ramienia. Wylądował w końcu na plecach, na twardej ziemi. Wszystkie kończyny bolały go od licznych uderzeń. Zaklął i wstał. Zacisnął zęby i wyrwał nóż. Przyjrzał się srebrnemu ostrzu. Asasyn. Strach go zdjął, gdy usłyszał kroki. Rozejrzał się. Otaczali go orkowie, każdy miał kuszę wymierzoną w jego serce. W krąg wstąpił Sedar z zarzuconym na twarz kapturem i sztyletem w ręce. Robin tamował krwawienie lewą dłonią.

- Proszę, tak jak się tego spodziewałem, wpadłeś w mą pułapkę, głupcze.

- Ty! Całe życie prześladowasz moją rodzinę. Nie jesteś na zachodzie?

- Udam się tam, wpierw jednak chciałem zakończyć stare sprawy. Znaczą się, wykończyć. Rozumiesz?

- Aż za dobrze. Jak mnie znalazłeś? Nikt nie zna tego szlaku oprócz mnie.

- To proste, kapucynku. Śledziłem cię. Wcześniej wszystkich was, ale postanowiłem, że ty zginiesz pierwszy.

- A oni? Służą ci za darmo?

- Masz mnie za idiotę? Rzecz jasna, mają swoje udziały. Wiesz, co ci zrobię? Chciałem się troszkę zabawić, poodcinać ci coś, poprzyszywać, ale nie mam czasu. Najlepiej będzie klasycznie. Ej - zwrócił się do stojącego obok orka. - Podaj mi buzdygan.

- Buzdygan? Od kiedy asasyni używają broni obuchowej?

- Uwierz, podetnę ci gardło, lecz nie za twojego życia.

Zrobił podbieg, odbił się od wystającego pnia i skoczył w kierunku Robina z buzdyganem nad głową. Łowca spojrzał w górę na spadającą śmierć, poczuł mocne uderzenie w głowę i ujrzał ciemność. Nie tę, która otaczała las. Ciemność wieczności, mrok śmierci.

*

Płomień tlił się powoli w latarni, mimo to większa część ulicy była skąpana w mroku. Rozlokowane co kilkanaście stóp latarnie nie spełniały dobrze swej roli. Aleja oraz otaczające ją osiedle ceglanych domów pogrążone były w ciszy. Zbliżała się północ. W oddali brzmiał tylko gromki śmiech krasnoluda i jego nowej towarzyszki. Angal zmierzwił swą złotawą brodę i opowiedział kokietce kolejny sprośny dowcip. Po przejściu kilku jardów zatrzymali się przy skrzypiącej furtce. Dziewczyna wyjęła klucz z dekoltu i otworzyła bramę.

- Oho, a więc tu mieszkasz - udał zdziwienie Krętobrody. - Czemu tak piękna kobieta żyje na takiej ulicy, blisko rynsztoku?

- Tylko wynajmuję, czasowo. Szukam lepszego lokum.

- Jesteś tu od niedawna?

- Mhm... tak, od krótkiego czasu - odparła z uśmiechem. Była piękną, dwudziestopięcioletnią, zielonooką brunetką o regularnych rysach twarzy i z wręcz doskonałą figurą. - Wynajmuję poddasze, wejście jest z drugiej strony. Wejdiesz na kawę?

- O tej porze i w takim stanie to może na ziołową

herbatkę, ale z miłą chęcią!

Ujął ją pod ramię i ruszyli po brukowanym chodniku na tyły posesji. Po dotarciu do drzwi Denii wypięła się, by trafić kluczem do zamka. Świecący pochodnią Angal skupił większą uwagę na jej pośladkach. Po kilku ruchach nadgarstka dziewczyna otworzyła wrota i poprowadziła gościa na swe pokoje. Zgasił pochodnię i pomógł jej zapalić świece. Miała naprawdę urocze mieszkanie – ściany i sufit z drzewa brzozy, łóżko pod oknem, skośny dach, stolik, dwa krzesła, szafa, kredens i balia oraz wiadro z wodą. Wskazała Angalowi krzesło, a sama zajęła się parzeniem herbaty. Wyjęła z kredensu imbryk, a z szafy mały trójnog z paleniskiem. Po paru chwilach siedzieli obok siebie na łóżku, popijając herbatę. Denii ujęła w dłoń brodę krasnoluda.

- Dziwne...

- Co jest dziwne?

- Twoja broda. Zawsze myślałam, że krasnoludzie brody są drapiące. Zaś twoja jest miękka i miła w dotyku.

- Widzisz, ja dbam o swą brodę, mimo iż ciężko to robić w tak trudnych czasach. Niegdyś zajmowałem się handlem ziołami i ich pochodnymi, dzięki temu wiem, jakie preparaty należy stosować.

- Ale ty jesteś mądry. - Zatrzepotała rzęsami. Spojrzała na niego uważnie. - Wiesz, zawsze chciałam spróbować, jak to jest... z krasnoludem... no wiesz. Ponoć jesteście bardzo dobrzy.

- Przekonać się możesz tylko w jeden sposób. Na początek możesz puścić mą brodę i złapać za coś innego. Oho!

Nieźle zaczęłaś.

Oddali się przyjemności. Kochali się w migotliwym świetle świec, w półmroku. Otaczającą całą okolicę ciszę przerywały jedynie jęki dobiegające z uchylonego okna. To była długa noc, obfitująca w niespodzianki.

*

Wszedł z zapaloną pochodnią do wnętrza jaskini. Nie cierpiał wody, lecz jaskinia skryta pod wodospadem była iście szelmowską kryjówką. Po kilkudziesięciu krokach ujrzał wewnątrz płonące pochodnie na długich palach. Interesant stał przodem do ściany jaskini, podziwiając stare malowidła, a długi czarny płaszcz wił się za nim na podłodze. Usłyszał kroki zbliżającego się dłużnika.

- Folg, jednak jesteś.

- Cesarz wysłał mnie, bym wysłuchał twej propozycji, Wlird.

Dowódca wernhor odwrócił się do rozmówcy, dłonie splótł na plecach, pod płaszczem. Zlustrował generała. Ork narzucił na siebie płaszcz, lecz spod materiału błysnęła stal napierśnika. Folg jedną ręką trzymał pochodnię, drugą położył na gardzie miecza.

- Jak zwykle nieufny.

- Dziwisz się? Nawet orkowie nie są tak pazerni jak wy.

- Zaprosiłem cię, by porozmawiać o interesach.

- I zapewne gdy tylko odmówię, twoi ludzie, ukryci w mroku, rzucą się na mnie. Nie bój się, też mam wsparcie i zdążę uciec z tej cholernej pieczary.

- Nie martw się, nikt cię zabije. Gdybym to zrobił, naraziłbym się, jak go nazwałeś, cesarzowi. A tego najmniej mi potrzeba.

- Czego więc chcesz? Mówże prędko, bo ostatnio mam nowe zadania. Szykujemy się do inwazji na Koel Nahal.

- Więc słuchaj. Ja wraz z całym moim Bractwem Krwi chcemy zostać waszymi sprzymierzeńcami.

- Bractwo, mówisz? A ilu was jest?

- Na razie dwudziestu.

- Sądzisz, że mojemu mistrzowi potrzeba dwudziestu skrzydlatych krwiopijców? Jaką wy stanowicie wartość przy naszej armii? Tylu ludzi ginie w każdej potyczce, więc jak chcecie się zaciągnąć do armii to...

- Czekaj, nie o to chodzi. Zostaniemy oddziałem specjalnym do likwidacji najgorszych przeciwników, takich jak na przykład królowie, do których prędko się nie dostaniecie. I nie zapominaj, że zarówno ty, jak i ten twój mistrz macie u mnie dług. Czyżbyś zapomniał, kto pomógł schwytać Zidaela?

- Nie, nie zapomniałem. Mówisz, oddział specjalny? Sugerujesz, że dostaniecie się po cichu wszędzie, nawet w górach?

- Owszem.

- No dobrze, niech stracę. W imieniu mojego władcy podpiszę z tobą umowę o współpracy. Pakt krwi.

- Żartujesz sobie?

- A, zapomniałem, że wy nie macie krwi.

- Orkowie zaś mają czarną.

- Dobra, może być jad czy co tam chcesz, mniejsza z tym. Mamy nawet dla was pierwszą robotę.

- Kogoś zabić?

- Nie, zinfiltrować i pozyskać zaufanie, po czym przejąć nad nim kontrolę. Tylko pamiętajcie, po cichu, nikt nie może was nakryć. Jeśli coś pójdzie nie tak, mój mistrz osobiście się wami zajmie. Byłyby z was piękne rzeźby lodowe.

*

Kolejny poranek spędzili na śniadaniu w tawernie. Mały Bill wyglądał najtrzeźwiej z nich wszystkich i prawdopodobnie nie miał kaca, co niezmiernie dziwiło Zula. Czarodziej niepotrzebnie uległ poprzedniego wieczora namowom olbrzyma, mógł nie palić tyle zioła. Jednak stało się i gdy ujrzał się rano w lustrze, przeraził się okropnie. Festus rozglądał się za krasnoludem, lecz nie mógł go nigdzie dostrzec. Doszedł w końcu do wniosku, że Krętobrody znów spędził noc w zamtuzie. Leo i Jess dzielili zyski. Poprzedniej nocy ograli w kości jakichś miejscowych meneli. Geron zaś patrzył nieprzytomnym wzrokiem na ukochaną, opierając głowę na rękach, a ona czyniła to samo. Młody mag postanowił w końcu oprzytomnieć, lecz bał się wykonać układ w takim stanie. Bill zamówił dla wszystkich śniadanie, po czym wyjął zza pazuchy woreczek z jakąś zieloną roślinką. Zul otworzył oczy najszerzej, jak mógł.

- Nie, stary, błagam, żadnego zioła więcej!

- Spokojnie, zaczarowany przyjacielu. To nie narkotyki, dość wypaliliśmy wczoraj. To jest majowy rumianek, roślina

dobra na kaca. Tej porcji wystarczy dla nas wszystkich.

- Dobra, dawaj to. Nie wkręcasz?

- Nie, sam mam dość tego zielska.

- A ten rumianek to się pali czy wciąga?

- Zdurniałeś? Normalnie, bierzesz liść i przeżuwasz, póki nie poczujesz się lepiej.

Rozdzielił każdemu porcję. Żuli w milczeniu, a świat odzyskiwał ostrość i barwy, migreny ustępowały, oczy odzyskiwały swą zwyczajną wielkość. Śniadali w milczeniu, gdy do karczmy wpadł wartownik z południowej bramy.

- Ej, któryś z was to niejaki Geron? Albo jest tu jakaś Rose?

- To ja. -Marończyk wstał. - O co chodzi, panie władzo?

- Macie posłańca, czeka pod bramą.

- Nie może przyjść tutaj?

- Chodzi o to, że JEGO nie wpuścimy do miasta. Chodźcie ze mną.

- Idziecie z nami? - zwrócił się Geron do towarzyszy.

- Pewnie, czemu nie.

Opuścili gospodę i ruszyli procesją za wartownikiem w kierunku południowej części miasta. Po ominięciu kilku uliczek i spowitych poranną mgłą ceglanych domków dotarli do niewielkiej bramy. Stał tam drugi wartownik w towarzystwie orka z białą flagą na koniu, co było niezwykłym widokiem, jako że orkowie widzieli w wierzchowcach jedynie mięso.

- A co to ma znaczyć? - zdziwił się Festus. - Masz tupet, parszywy orku, zbliżać się do miasta sojuszu w trakcie wojny,

którą rozpętaliście.

- Nie przyjechałem spierać się o kwestie moralne - zachrypiał ork i zlął z konia. - Zostałem posłany z przesyłką, a znając wasze prawa, nie możecie zabić posła.

- Niby dlaczego? - zakpił Zul. - Bo wywołamy wojnę?

- Nie, bo okryjecie się hańbą. Mam coś dla was. - Wyciągnął rękę, w której trzymał worek. - Prezent oraz pozdrowienia od asasyna imieniem Sedar.

- Od tego tchórza? Ukrywa się u was? - warknął Geron.

- Nie, poluje, dostał bardzo ważne zlecenie.

- Tak, poluje na nasze głowy, nie on jeden - odparła Rose.

- Co jest w tym worku, nędzna szumowino?

- Proszę, przesyłka specjalna. - Uśmiechnął się paskudnie. Włożył rękę do worka, coś pochwycił, po czym zrzucił worek na ziemię. Ich serca zamarły, widok ich przeraził. Rose wybuchła płaczem i rzuciła się w stronę posła, lecz kochanek ją powstrzymał.

- Jaa...ak on móóóógł!!! Parszywe ścierwo! Nieeeeeeeeeee!

- Spokojnie, Rose, uspokój się.

- Jak mam się uspokoić, najdroższy, powiedz miiiiiiii!!!

- I ten skurwiel miał jeszcze czelność wysłać ją do nas, by nas załamać? - fuknął czarodziej.

- Ja tylko dostarczam. Weźcie to, ja spadam.

- O nie, złociutki, ty nigdzie nie odejdiesz. Wet za wet - rzekł zimno czarodziej, puszczając Kulę Ognia prosto w twarz orka. Posła odrzuciło, a zawartość worka poleciała w górę. Pochwycił ją Festus. Była to głowa. Odcięta, pokryta

zaschniętą krwią głowa Robina.

*

Siedzieli w ciszy w karczmie, Rose łąkała w ramionach Gerona. Mężczyźni mieli kamienne twarze, wpatrując się w głowę poległego przyjaciela. Usłyszeli rumor i do tawerny wpadł zasapany krasnolud.

- Siedzicie? A ja muszę się szybko oddalić z miasta!

- Spokojnie, za chwilę wyruszamy.

- Nie, Zul, ja muszę teraz, zaraz spierdalać stąd!

- Coś ty nabroił?

- W skrócie? Pamiętacie panienkę, z którą wczoraj odszedłem?

- Tę Denii? - spytał Bill. - Niezła sztuka.

- Mhm, tylko że Denii to zdrobnienie od Deniweria.

- A przypadkiem żona hrabiego nie ma tak na imię?

- W tym sęk, że to była ona, żona hrabiego. Urwała się z zamku, bo mąż jej nie zaspokaja. I trafiła na mnie. I zrobiliśmy to i owo.

- I co w związku z tym?

- Rano do mieszkania, które ona wynajmuje, wpadł jej kochany małżonek i kupa straży. Teraz mnie ścigają. Cudem uciekłem. Biorę rzeczy i spadam, bo jak mnie dopadnie, to mi łeb utnie.

- Proszę, nie mów o głowach, dobrze? - prosił Geron, gdy Rose załkała.

- A co... o nie! - Angal dostrzegł głowę elfa. - Kto to zrobił?

- Zgadnij.

- Orkowie? Nie? Aaa, to chyba wiem. Psi fallus w rzyć chędożony. Przykro mi, uwierzcie, ale w tej chwili muszę ratować swoją głowę, bo skończę tak samo.

Towarzysze nie opuścili krasnoluda w niedoli i pędem spakowali manatki. Rzucili na stół guldena i popędzili do stajni. Ruszyli w kierunku północnej bramy. Uciekali z miasta, omijając zdziwionych obywateli, lawirując pomiędzy domami, kramami, rzeźnią, szewcem i stolarzem. Spod kopyt unosiły się tumany kurzu.

- Zul! - wrzasnął Krętobrody, pochylając się w siodle. - Jak daleko stąd do granicy?!

- Z Koel Nahal?! To jest granica!

- Tak?! A pod jaką jurysdykcją jest Xans?

- Nie mam pojęcia!

- Kompania, stać!!! - Krasnolud zatrzymał gwałtownie konia. - To on, El Berout!! Zablokował północną bramę!

- Co robimy?!

- Wiem! - krzyknął czarodziej. - Przy wschodniej części muru są schody prowadzące do tych mizernych wież i bram.

- Mamy przeskoczyć blanki?! Konno?! - oburzył się Geron. - Chłopie, pozabijamy się!

- Nie, bo wschodnia wieża jest rozwalona po ostatniej burzy. Wydostaniemy się po gruzach.

- Gdzie ta wieża?

- Pięćdziesiąt jardów na północ wzdłuż muru. Wio!

Popędzili konie w prawo, w boczną uliczkę, gdyż El Berout wznowił pościg. Czarodziej wiódł towarzyszy nowym szlakiem

ucieczki. Po chwili szaleńczej jazdy, podczas której ludzie uciekali w popłochu z gościńca, dotarli do schodów wiodących na mur. Stało tam dwóch strażników. Rose wzięła się w garść i sięgnęła po łuk. Pierwsza strzała chybiła celu, lecz druga utknęła w oku wartownika. Drugi strażnik wybiegł im na spotkanie, unosząc groźnie szpadę, lecz upadł trafiony nożem Jessa. Uciekinierzy popędzili konie, mimo ich oporu, po podeście wzdłuż murów. Przypuszczenia Zula okazały się trafne, wieża była w stanie totalnej ruiny, zostały z niej jedynie cegły, gruz i fundamenty. Rozpędzili wierzchowce i przeskoczyli nad gruzami, by następnie skierować się w lewo i skryć się wśród drzew. Jednak hrabia był nieugięty i mściwy. Wykrzykiwał za nimi obelgi, nie zaprzestając pościgu. Prowadzenie objął Festus, kierując kompanów na wschód. Po piętnastu stajaniach szaleńczej gonitwy okolica zmieniła się, pojawiły się skały, głazy i pieczary. La Vardo niespodziewanie skręcił ostro w lewo, do jednej z jaskiń. Przyjaciele podążyli jego śladem. Z tyłu słyszeli odgłosy pościgu. Po paru chwilach jazdy w ciemnej grocie, oświetlonej jedynie przebijającymi się przez szczeliny promieniami słońca, dojechali do rozwidlenia. Festus ruszył w prawo, zwalniając do stępa, by nie było słychać stukotu końskich kopyt. Geron zaś zsiadł z konia i prowadził go za wodze. Pomysł ten spodobał się reszcie drużyny. Maszerowali tak dłuższą chwilę, prowadząc konie po cichu. Z tyłu – cisza. Zatrzymali się.

- Zgubiliśmy ich? - szepnął Angal.

- Chyba tak - odparł Zul. - Czekać chwilę. - Usłyszeli tylko jego szepty, kroki i wymachy. Po chwili z jego rąk

wydobyła się Kula Światła i zawisała nad ich głowami. - Gdzie my jesteśmy do cholery?

- W głębi jakiejś podziemnej groty, są nawet stalagmity, stalaktyty i stalagnaty. - Festus badał jaskinię. - Ciemno jak w dupie.

- Wracamy? - zaproponowała Rose.

- Nie znajdziemy drogi - odrzekł ponuro Zul. - Po drodze skręciliśmy z pięć razy. Moglibyśmy nawet się natknąć na pościg. Podejrzewam, że też się zgubili.

- Więc co robimy? - zagadnął Mały Bill. - Od tego pościgu zrobiłem się głodny.

- Nie tylko ty, olbrzymie - odparł Leo. - Generale?

- Mamy tylko jedno wyjście - rzekł Geron. - Iść naprzód, w dół.

Wszyscy spojrzeli przerażeni przed siebie, na kamienny kobierzec prowadzący w mroczną czeluść. Zul przełknął ślinę i ruszył pierwszy, jedną ręką trzymając wodze, drugą kontrolując kulę.

ROZDZIAŁ 12: PUŁAPKA

Wędrowali przez system grot przez dobrą godzinę. Znużyła ich monotonna trasa w ciemności. Jedynymi dźwiękami towarzyszącymi ich wędrowce były ciężkie oddechy, uderzenia stóp i kopyt o twardą skałę oraz dający się słyszeć w odal szum wody bądź uderzenia kropli drążących kamień. Angal miał dość.

- Aaach! Jak długo jeszcze będziemy iść?! Ta jaskinia doprowadza mnie do szału!

- Co ja ci poradzę? - odparł Zul. - Zresztą to twoja wina, mogłeś iść normalnie do zamtuza, zamiast uwodzić hrabianki!

- Dobra, może masz rację, ale to Festus nas tu przywiódł.

- A co, chciałeś wpaść w łapy hrabiego?! - odszczeknął la Vardo. - Ciesz się, że żyjemy.

- Cisza, patrzcie! - Zul wskazał prawy korytarz przy następnym rozwidleniu. - To chyba światło słoneczne.

- Ledwo dostrzegalne, ale możesz mieć rację - zauważył dowódca lykanów.

- Jakies pół mili przed nami powinno być wyjście - dodała Rose. - Na moje oko.

- Na co więc czekamy? - Geron ominął Zula i ruszył dalej w mrok, nie bacząc na światło stworzone przez czarodzieja.

Rose szła tuż za ukochanym, wciąż przygnębiona i załamana. Po przeszło czterystu jardach ich oczom ukazał się upragniony widok. Jednak coś w krajobrazie budziło ich wątpliwości. Wyszedszy z grotty, znaleźli się na skalnej płycie należącej do łańcucha niskich gór otaczających dolinę. Nie współgrało to ze znanym im porządkiem świata. Góry Wschodnie, które opuścili, były dziesiątki mil od ich obecnego położenia. W dolinie na pierwszy rzut oka znajdowało się jakieś miasto, z drugiej jednak strony wyglądało to na ośrodek szkoleniowy.

- Angal, mówiłeś że gdzie twój syn się szkoli? - zapytał Zul.

- W Ruel Edel. Nie znam jednak dokładnej lokalizacji.

- Nikt nie zna - rzekł Festus. - Podobno tylko nauczyciele objęci jakąś przysięgą wiedzą, jak tam dotrzeć.

- W takim razie jak zdobywają kadetów? - zdziwił się Geron.

- Słyszałem, że trzeba puścić pogłoskę o zamiarze podjęcia nauki w tym ośrodku - powiedział Mały Bill. - Wtedy przychodzi nauczyciel i zabiera nowicjusza.

- Zawiązują mu oczy, aby nie widział, dokąd zmierza - dodał la Vardo. - Uczniowie chyba nie opuszczają ośrodka aż do czasu skończenia nauki. I wtedy znów zawiązują im oczy, odprowadzając.

- Mogłem o to spytać Robina... o, przepraszam. - Zul spostrzegł łzę w oku elfki.

- A w zasadzie, Zul, czemu pytasz akurat teraz? - Krasnolud spojrzał podejrzliwie.

- Spójrzcie - dolina otoczona górami w rejonie świata,

w którym dominują lesiste wzniesienia i rzeki, podejrzany zespół budynków, strzelnice, stajnie, tory do jazdy konnej, tam chyba nawet słomiane manekiny, a poza murami pola uprawne. Wszystko to wygląda na miejsce samowystarczalne, jednak jest tak ukryte, jakby ktoś nie chciał, aby wiadano o jego istnieniu.

- Sugerujesz, że przypadkiem trafiliśmy... do Ruel Edel? - Festus wytrzeszczył oczy. - Nie, to jest niemożliwe. Nikt nie wie, gdzie to jest.

- Właśnie, czyli równie dobrze to może być tu.

- Nie dowiemy się, tkwiąc tutaj. Tam jest jakieś zejście w dół doliny. Chodźmy, im szybciej pójdziemy, tym szybciej dotrzemy - Geron, dosiadłszy Mariana, ruszył. Pognali galopem, jednak droga okazała się znacznie dłuższa, niż przypuszczali. Pół godziny później znaleźli się nieopodal czerwonych murów i okutej w wiele skobli bramy. Przy wejściu nie zastali nikogo, nie było wartowników czy odźwiernych. Mały Bill niepewnym krokiem ruszył do prętów bramy, kiedy jednak z siłą załomotał, echo dźwięcznej stali rozeszło się po dziedzińcu i okolicznych polach. Dopiero po dłuższej chwili na bruku pojawiło się dwóch roślących mężczyzn w czerwonych szatach, przepasanych bogato zdobionymi pasami z brązu, z mieczami z lafaryńskiej stali u boku. Brodaty brunet z kwadratową szczęką spojrział na przybyszów, zamienił kilka słów ze swym towarzyszem, po czym ten, rosły blondyn, opuścił pędem dziedziniec. Brunet pozostał, czujnie obserwując grupę pod bramą i trzymając dłoń na rękojeści miecza. Podczas tego czekania

w niepewności, gdy konie rozpoczęły ucztę, Angala nosiło, Jessa opanowało znużenie, a Zula dopadły rozterki.

- Coś mi tu się nie podoba. Nie czuję mocy.

- Tak cię osłabiło? - zapytał Festus. - To chyba dobrze, nie ma powodów do wątpliwości.

- Właśnie, że są. Każdy czarodziej zawsze czuje swoją moc w żyłach, obca zaś działa na nią jak szpilka, czujesz, że coś wisi w powietrzu. A ja teraz nie czuję swojej mocy, tak jakby jej nie było.

- To dziwne. Nie znam się na tym. - La Vardo wzruszył ramionami.

- Długo tak będziemy tkwić pod tą bramą? - narzekał krasnolud. - Jedźmy dalej, jak nie otwierają, albo wracajmy.

- Czekaś, ale dokąd mamy wracać? Z której strony przyjechaliśmy? - zastanawiał się Leo.

- Chyba... z tamtej. - Zul wskazał na fragment gór z jego prawej strony. - Chociaż... nie, nie wiem. Jak to możliwe?

- Z prawej czy z lewej? Chwila, ja też nie mam pojęcia. - Geron rozłożył ręce. - Kurwa, przecież zjechaliśmy z tej półki skalnej i... tam była grotta.

- Która to półka? - zapytała Rose. - Jest ich z dziesięć, ale na żadnej nie ma jaskini.

- Może oni nam powiedzą - rzekł w końcu Zul. - Chyba zdecydowali się nas wpuścić.

Blondyn wrócił z kluczami, rozmówił się z brodaczem, by po chwili podejść do bramy, otworzyć skrzynię z kołowrotem i żelazną blokadę. Brodacz podszedł do przyjezdnych.

- Witamy serdecznie i cieszymy się, że możemy was gościć

w ośrodku szkolenia bojowego Ruel Edel. Wybaczcie te procedury, lecz bardzo rzadko miewamy tu gości z zewnątrz. Jestem Gorn, jeden z nauczycieli. Mój towarzysz to Mark, nauczyciel szermierki. Wiem, kim jesteście. Wieści o waszych czynach dotarły nawet tutaj. Zapraszam serdecznie, a nim przygotujemy wam komnaty, oprowadzę was. Wierzchowce i bagaże zostawcie na dziedzińcu, nasi chłopcy zajmą się tym. Proszę, chodźcie za mną.

*

Usiadła obok niej na kłodzie. Wzrok Naomi utkwiony był w płomieniach. Catherina ćwiczyła rzuty nożem. W końcu Sasha zdecydowała się spytać.

- Myślisz, że go znajdziemy?
- Musimy, tylko my o tym wiemy.
- Wybacz mi, Naomi, ale jak chcesz tego dokonać? Ledwo uszliśmy z życiem, Flora i Sara nie żyją.
- Wiem, sytuacja się skomplikowała. Przynajmniej jesteśmy już w Koel Nahal. Tutaj orkowie nas nie dopadną.
- Słyszałaś, co wieśniacy mówią. Front się przesuwa, a jeszcze nie doszło do żadnej bitwy.
- Musimy go odnaleźć i przekazać wszystko, co wiemy.
- Pamiętasz w ogóle, jak on wygląda?
- Jak najbardziej. Z wymiany międzyszkolnej, gdy studiowałam magię. On ma moc, o której ja mogę tylko pomarzyć. I potrafi się ustawić, ma wszędzie kontakty. I podróżuje, sama wiesz z kim.
- A jeśli wpadniemy w jakąś pułapkę?

- Naszym przeznaczeniem jest przekazać tę informację.
Nie pamiętasz słów proroctwa?

Catherina wyjęła nóż z pnia i odwróciła się do ogniska.

- Nie przykładaj takiej wagi do wydarzeń, które jeszcze nie nastąpiły. Może tobie jako czarodziejce łatwiej w to wierzyć, lecz ja wolę pokładać nadzieję w swoich umiejętnościach.

- To dlaczego idziesz ze mną?

- Mam swoje powody. Sasha ma rację, musimy być ostrożniejsze. Wynajmijmy jakiegoś rosnącego chłopca do obrony i wędrujmy częściej przez wioski.

- Miałyśmy być dyskretne.

- Nie musimy nikomu mówić o naszych zamiarach. A podróżowanie incognito nie polega na bieganiu po lasach. Łatwiej nas wytropić w buszu niż w mieście.

- Coś w tym jest - dodała Sasha. - W tłumie nawet płatny zabójca będzie miał problemy, a orkowie nie zbliżą się do żadnego miasta.

- Macie słuszność, za bardzo świruję. Jutro zatrzymamy się w najbliższym mieście. Uzupełnimy zapasy, zawitamy do łaźni i gospody na dobry obiad.

Trzy przyjaciółki ułożyły się obok siebie przy ognisku. Gwiazdy migotały na nieboskłonie, wiatr szumiał wśród konarów drzew. Ciszę nocy zagłuszały jedynie koncert świerszczy, skrobanie wiewiórek i odległe wycie wilka.

*

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Był zarośnięty jak

niedźwiedź. Sięgnął do torby i wyjął z niej pudełko z ubitą, pachnącą pianką. Posmarował dokładnie całą szczękę, policzki i podbródek, po czym niedawno zaostrzoną brzytwą usunął pierwsze pasmo zarostu. Opłukał ostrze i ponownie spojrzął w lustro. Za ramieniem ujrzał znajomą, piękną twarz.

- Co robisz, kotku?

- Nie widzisz? Golę się.

- Pomogę ci.

- A umiesz? Chcę jeszcze pożyć.

- Nie ufasz mi? Mam wprawę.

- Golenie nóg to nie to samo.

- Bardzo śmieszne. Zajmowałam się przez trzy lata dwoma starymi rycerzami, więc wiem co nieco.

- Zaskakujesz mnie. A możesz coś poradzić na te moje kudły? Mają z dwie stopy długości.

- Jesteś drugi, który mnie o to prosi.

- Jak to?

- Widziałeś dziś Zula?

- Widziałem. Dobrze wygląda w krótkich. Ty to zrobiłaś?

- Zastałam go rano, jak narzekał, że włosy włożą mu tam, gdzie nie powinny. Ścięłam prawie całe, ale uparł się na grzywkę na półtora palca.

- Szczerze powiedziawszy, wygląda o wiele lepiej, niż gdy go poznałem.

- Tak, w szczególności z tą bródką i wąsikiem, a policzki jakie ma gładkie. Zrobił się przystojny.

- Co ty imputujesz?

- Zazdrosny? Nie ruszaj się, bo cię zatnę, a trzymam

brzytwę na gardle. Swoją drogą, ty też mogłeś zostawić brodę albo chociaż taką mniejszą, od nosa, koło ust i do podbródka, jak Zul.

- A chcesz, żebym cię podrapał tam, wiesz gdzie, podczas wiesz czego?

- Ach, masz rację. Mówiłam ci, nie ruszaj się. Jak poznaliście się z Zulem? Nigdy nie mówiłeś.

- Nie ma co opowiadać. Na jesieni, jakieś trzy dni po wykopkach, gdy rąbałem drewno, przyszedł młody mag, bojaźliwy i niepewny, i mówi mi: „Tyś jest Wybraniec. Chodź ze mną do klasztoru”.

- I od razu poszedłeś?

- Nie, no co ty. Postraszyłem go, ale skurczybyk nie dał za wygraną, przekonywał mnie z pół godziny. Robiło się ciemno, a on prosto z drogi, nie miał gdzie przekimać, więc przenocowałem go i poczęstowałem jaką taką strawą. Coś w jego głosie było takiego, że jednak go posłuchałem. Ma swego rodzaju dar. I uwierz mi, nie spotkałem dotąd nikogo, kto słowami tak umiałby wpływać na psychikę słuchającego.

- Tu masz rację. Czasami też odnoszę wrażenie, że muszę zrobić to, co on mówi. Tylko że Zul nie jest władczy, raczej pokorny i robi to, co do niego należy.

- Zobaczysz, że jeśli kiedyś zostanie generałem, żołnierze pójdą za nim wszędzie, nawet do piekła.

- Kiedyś. Przecież on taki nie jest. Dobra, skończyłam.

- Dzięki, kotku. Nastaną takie czasy, że będzie musiał poprowadzić ludzi do boju, jeśli królowie zawiodą.

- Może masz rację.

W tej chwili drzwi do pokoju otworzyły się i ukazała się w nich złotowłosa, kudłata twarz.

- Ej, kochasie, kolacja stygnie, chodźcie prędko.

- Już idziemy, Angal - odparła Rose.

Geron otarł twarz, usuwając z niej resztki piany i razem z ukochaną podążyli do jadalni.

*

Zul wędrował wśród posągów nieznanym mu rycerzy. Sala Pamięci była naprawdę imponująca. Podłoga wyłożona białymi płytami, pobielone ściany i sufit, wysokie, strzeliste okna, wysoka powała, pięknie zdobione kolumny koloru kości słoniowej. Rozmiary sali były imponujące, a widok zapierał dech w piersiach. Znajdowało się tu blisko pięćdziesiąt figur poległych wojowników, każda wielkości ponad sześciu stóp. Rozmieszczono je wzdłuż bocznych ścian od wejścia oraz w dwóch rzędach na sali. Było późne popołudnie, tak iż czarodziej wędrował w półmroku wzdłuż figur na postumentach wbudowanych w prawą ścianę od wejścia. Był sam w budynku. Po chwili dotarł na drugi koniec sali. Tu, przy ścianie przeciwległej do wejścia, znajdował się największy posąg, wysoki na osiem łokci. Wojownik ten dzierżył długi, zdobiony miecz. Zul przyjrzał mu się lepiej i doznał dziwnego uczucia. Wojownik miał zarzucony na głowę kaptur, a jego szatę spinał szeroki pas. Zastanowiło to młodego maga, bo widok ten był dziwnie znajomy. Nagle usłyszał swe imię wypowiedziane szeptem. Ktoś znajdował się pomiędzy ścianą a tyłem posągu. Podszedł tam i osłupiał.

- Zulzedeusie. Jesteś. Musimy porozmawiać.
- Co ty tu robisz? Myślałem, że nie udzielasz się społecznie.
- To, co teraz robię, nie ma żadnego powiązania ze społeczeństwem. Musicie stąd uciekać.
- Erasmusie. Nie wiem, o co ci chodzi.
- Jak myślisz, ile czasu tu spędziliście?
- Jakieś dwa, może trzy dni.
- Jesteś w błędzie. Tkwicie tu tydzień.
- Niemożliwie.
- Czujesz, że brak ci mocy?
- Niestety. Niepokoi mnie to.
- Twoja moc jest na miejscu. Jest po prostu zagłuszona.
- O czym ty mówisz?
- To miejsce nie jest odpowiednie dla was. Jeśli stąd nie uciekniecie, zabiją was albo wy prześpicie triumf Raala.
- Nie rozumiem. Powiedz mi wszystko, co wiesz.
- Jak sądzisz, dlaczego nikt nie zna tej lokalizacji? Oni tego pilnują. To tak naprawdę ośrodek szkoleniowy asasynów.
- Co?!
- Jak myślisz, gdzie asasyni zdobywają swe umiejętności? Na ulicy? Wszyscy uczą się tutaj.
- Robin się tu szkolił i nie był zabójcą.
- Przerwał szkolenie. Stwierdził, że dość już umie i poprosił, by go wyprowadzili z opaską na oczach.
- To tak można?
- Jeśli o to poprosisz, tak. Lecz jeśli ktoś próbuje uciekać, zabijają go. Oczywiście później kolegom denata mówią, że

opuścił dobrowolnie ośrodek. Szkolenie na asasyna i najlepsze umiejętności wpajane są na końcowym etapie szkolenia.

- Przecież siedziba zabójców jest w Viri Inis.

- Siedziba, lecz licencję dostają tutaj.

- Co to ma wspólnego z nami? Traktują nas jak gości.

- Wszystko po to, by uspić waszą czujność. To największa z możliwych pułapek na świecie. Musicie uciekać. Zabiją was, bo możecie poznać ich sekret.

- Jaki sekret?

- Dzieją się tu rzeczy, o jakich nie masz pojęcia. Sam niewiele wiem, dopiero badam tę sprawę.

- Mówisz, że minął tydzień. Jak to możliwe?

- Tu działa potężna magia. Wszystkim tym kieruje jakaś prastara istota, starsza niż ludzie, elfy czy orkowie. Pochodzi z okresu wojen bogów, kiedy to iskry z uderzeń boskiej stali spadały na ziemię, tworząc demony i inne bestie. Nie wiem, kim jest, lecz nazywają go Wielkim Nauczycielem. To mistrz wszystkich zabójców.

- Ten Wielki Nauczyciel tym trzęsie? Nie widziałem go dotąd.

- I raczej nie zobaczysz. Siedzi w katakumbach pod Ruel Edel. Nawet nie próbujcie go szukać. Pozbawiłby was życia za samą ideę.

- Magia tego czegoś obejmuje całą dolinę?

- Tak, dlatego ciężko znaleźć wyjście. To bardzo zaawansowana magia iluzji, a jak dobrze wiesz, czarodziej by tego nie dokonał. Wielu uczniów zginęło z wycieńczenia, poszukując wyjścia. Inni umarli, bo zaczęli się czegoś

domyślać. On widzi i słyszy wszystko w tej dolinie.

- Zaraz, czyli słyszy i nas. Jak stąd wyjdę, dostanę strzałę w łeb.

- Nie, nas nie słyszy, ponieważ mam to. - Licz wyciągnął dłoń ze srebrną kulą. - To Zagłuszacz. Dzięki niemu rozmowa tego, kto go dzierży, z kimkolwiek staje się bełkotem dla postronnych. Działa również na płaszczyźnie magicznej. To potężny artefakt.

- Ten Wielki Nauczyciel nas nie rozumie? Całe szczęście. Tylko co ja mogę zrobić? Sam mówiłeś, że magia tego czegoś blokuje wyjścia z doliny.

- Tak naprawdę nie blokuje, tylko stwarza pozory, że ich nie ma. Jedno z wyjść znajduje się na trzeciej, środkowej półce skalnej na lewo od bramy. Daję ci ten Zagłuszacz, abyś dzięki niemu uratował przyjaciół. Tylko kilka rad. Z każdym rozmawiaj indywidualnie, w odstępach czasowych, najlepiej przy jakichś czynnościach. Trzymaj artefakt w dłoni i patrz rozmówcy w oczy, wtedy będzie działał.

- Ile mam czasu? Dwa dni?

- Tutaj to dwa dni, we Wszechziemi tygodzień. Najlepiej rozmów się z każdym jutro i spróbujcie uciec w ciągu nocy. Musicie ominąć strażę lub się ich pozbyć. Tylko bądźcie ostrożni, aby Wielki Nauczyciel nie poszczuł was swoim zwierzątkiem.

- Czym?

- Nie wiem, co to jest, ale podobno to jedna z najgorszych bestii tego świata.

- Jeszcze jakieś mądre rady?

- Nie rób ze mnie idioty. Ratuję wasze tyłki, byście wy uratowali świat. Lepiej już idź, bo stanie się to podejrzone.

- A ciebie to coś nie widzi?

- Jestem trupem, zresztą posiadam odpowiednie przedmioty. Wielki Nauczyciel jest przekonany, że rozmawiasz z posągiem.

*

Zdejmował właśnie rynsztunek, gdy do namiotu wpadł ork. Stał i gapił się, przechylając swą krzywą mordę.

- Czego?

- Masz gości, tfu.

- O tej porze? Niech przyjdą jutro, teraz nie mam czasu.

- Nie ty będziesz decydował, lecz oni, mają większy autorytet.

- Spadaj, późno już.

- Z polecenia wodza mam cię zabić, *urukh*, jeśli ich nie wpuścisz.

- Aleś ty uparty, zakuty łbie. Mówię ci, jutro. To moje ostatnie słowo.

- Dość - przerwał gburowaty głos zza namiotu. Wszedł do niego zleceniodawca w czarnym kapturze zarzuconym na głowę.

- Proszę, sam Zogl mnie odwiedził. Co tam u ciebie, goblinie?

- *Arkh*, spaphrałeś robotę! Cel nadal żyje!

- Spokojnie, jest w moim zasięgu.

- Czas się kończy. Miałreś kilka okhazji i ich nie

wykorzystałeś.

- Nie kłóć się ze mną. Jestem profesjonalistą. Powiedziałem, że zginie, i tak się stanie.

- Został ci tydzień.

- Żartujesz sobie? Przecież on jest gdzieś w Koel Nahal, zanim go znajdę, minie z pięć dni. Dwa tygodnie.

- Nie ma takiej opcji. Zresztą nie ja o tym decyduję.

- Nie? Ciekawe, kto?

- Ja - rozległ się niski bas. Do namiotu wszedł ork, którego Sedar nie znał. Ewidentnie różnił się od pozostałych. Był nieco wyższy i mocniej zbudowany, jednak przede wszystkim wyraz jego twarzy świadczył o wysokim poziomie inteligencji.

- A ty to kto?

- Jestem generał Folg, prawa ręka naszego pana, cesarza.

- Ach, słyszałem o tobie. Słynny Folg. Ponoć nieźle oberwałeś w zimie pod Balha Deal.

- Wypełniałem rozkazy, w przeciwieństwie do ciebie.

- Co się czepiasz? Mówię, dwa tygodnie i dostaniecie jego głowę.

- Nie rozumiesz powagi sytuacji. Słyszac o twoich osiągnięciach, w szczególności o akcji z rodem Ezelero, kazałem mojemu druhowi z nacji goblinów powierzyć ci misję zgładzenia kogoś, kto jest wielkim zagrożeniem dla naszego władcy. Miałeś miesiące, z tego co wiem, ponad trzy, lecz twe zachody nadal nie przynoszą efektów. Niestety, bardzo mnie to irytuje i drażni naszego pana. Został ci tydzień, aby dostarczyć głowę, inaczej nasz cesarz osobiście się tobą

zajmie.

- To jakiś dowcip?

- Skądże znowu. Podpisałeś umowę, prawda? Nie wywiązujesz się z niej, mamy więc prawo oskalpować cię.

- Dwa tygodnie, dajcie mi tyle. Przysięgam, że tym razem go załatwię.

- Niestety do gry wkroczyli inni zawodnicy. Zwycięzca będzie tylko jeden, a każdy przegrany... no cóż, trafi do galerii figur lodowych.

- Jacy inni gracze?

- Wielu łowców nagród. Już polują. Wielu zastawiło już sidła. Jeśli nie chcesz skończyć jako mrożonka, radzę ci wykorzystać mądrze ten tydzień.

- Zapewniam was, jestem najlepszy i dorwę go.

- Tak, też tak myślałem. Jednak niedawno pojawił się gracz, który bardzo dobrze rokuje. Ekscytujący, zna sztuczki, o których ty możesz tylko pomarzyć.

- Kto? Pozbędę się konkurencji.

- Dowiesz się w swoim czasie i dam ci słowo, że nie zdołasz go nigdy dopaść. Zostawię cię teraz, byś przemyślał sprawę. Chodźmy, Zogl. Twój czas się kończy, asasynie.

*

Angal włożył but i jeszcze raz spojrział na Zula. Nie dowierzał jego słowom.

- Jaja sobie robisz? Jakies potężne magiczne coś złapało nas jak kot mysz i wkrótce nas ukatrupi osobiście albo za pośrednictwem tych pieprzonych nauczycieli?

- Mniej więcej.
- Mniej więcej? Dlaczego takie rzeczy spotykają zawsze nas?
- Nie wiem. To nie ma znaczenia.
- Pozostali wiedzą?
- Wszyscy, ty jesteś ostatni. Czekają na nas w budynku naprzeciwko bramy.
- To coś na pewno nas nie słyszy?
- Inaczej już bylibyśmy martwi.
- W takim razie ty już idź. Ja wyjdę za moment. Do zobaczenia niebawem.

Zul opuścił komnatę. Angal posiedział jeszcze chwilę, dopił piwo, przypasał młot. Czuł się dziwnie, dowiedziawszy się, że ktoś go obserwuje. Jednak zrobił to, co mówił Zul - oczyścił umysł z wszelkich myśli. Idę na spacer i do kurtyzan, pomyślał i wyszedł z komnaty. Zwiedził już wszystkie zakamarki Ruel Edel, był na każdym placu ćwiczeń, w stajniach i na torze, kuchni, w piwnicy, widział wielu uczniów, lecz swego syna nigdzie nie spotkał, co bardzo go zmartwiło. Domyślał się już najgorszego. Zszedł z ostatniego stopnia krętych schodów wieży i ruszył długim korytarzem, którego ściany zdobiły szmaragdowe gobeliny ilustrujące czyny przodków. Skręcił w prawo i zbiegł po małych schodkach, pchnął drzwi na lewo i znów zszedł z kutych stopni. Był już na parterze i by skrócić drogę, przeszedł przez jadalnię urządzoną w stylu karczmy. Teraz znajdował się na dziedzińcu z manekinami. Ruszył w prawo, wzdłuż budynku i po pokonaniu trzech zakrętów, dwóch w prawo i jednego w lewo, oraz przejściu w cieniu

zbrojowni znalazł się naprzeciwko bramy. Wszedł do wskazanego przez czarodzieja budynku. Cała kompania już czekała na niego. Zul, Leo i Mały Bill trzymali pochodnie. Wszyscy odziani byli w szaty koloru ziemi i lasu, narzucili na głowy kaptury. Wiedział, że Geron nie ma na sobie swojej zbroi ze skóry świdrogrzmota, lecz na pewno ubrał kolczugę, jak większość. Każdy miał przy nodze plecak bądź torbę z niezbędnymi przedmiotami.

- Sprawdziłeś tę mapę? - spytał Zul Geron.

- Tak jak mówiłem. Zniknąłem na tej mapie na dobre. Upuściłem już dość krwi, a ona nic. Zawsze działała, gdy wędrowaliśmy do Balha Deal, do Czarnej Fortecy, gdy ścigaliśmy asasyna. Teraz milczy. Miałeś rację, wiesz w czym.

- ON powiedział, że moja moc jest we mnie, więc spróbuję jej użyć. - Młody mag oddał Angalowi pochodnię i wykonał skomplikowany układ. Obserwowali, jak wyciąga przed siebie rękę, cofa je, wiruje na stopach i skacze. Nagle poczuli jakąś dziwną falę, która ich ogarnęła. Zul skończył i rozpromienił się.

- Tak, teraz czuję. Utworzyłem wokół nas ruchome pole ochronne. Magia nie wyrządzi nam szkody i wiecie, kto może nam naskoczyć.

- A jak długo to pole będzie działać? - zaciekawiał się Angal.

- Powinno wytrzymać jakieś trzy godziny. Znalazłeś syna?

- Nie, nigdzie go nie widziałem - westchnął Krętobrody. - Jak znam Faihona, musiał coś wywinąć.

- Dobra, później pogadacie, musimy się zmywać -

przerwał Festus. – Jak mówił Zul, to coś magią nas nie zabije, ale zaraz może tu zarość się od jego piesków.

– Racja, każdy wie, co ma robić – rzekł Geron. – Angal, ty idziesz z Zulem sforsować bramę. Rose, Bill i Leo, na lewo. Reszta za mną.

Opuścili budynek. Czarodziej z krasnoludem zaczęli się w cieniu, zaś Geron, Festus i Jess sprawdzili spowity mrokiem teren po prawej stronie. Zul czekał w skupieniu, powtarzając słowa formuły. Usłyszeli szcęk broni, kilka przekleństw i gardłowe bulgotanie. Czarodziej nadal czekał, gdy z lewej strony ze świstem przemknęła ognista strzała i utkwiała w bramie. Zul zerwał się i pobiegł do skrzyni z kołowrotem. Wykonał układ nad iście skomplikowanym zamkiem skrzyni, podczas gdy krasnolud go osłaniał. Usłyszeli brzęk i łańcuchy opadły. Nie czekając długo, Krętobrody odrzucił listwy skrzyni i dorwał się do kołowrotu. Zul spojrzał za siebie. Kompani biegli do nich z dwóch stron, a za nimi nauczyciele. Widocznie ich szef dał im impuls, że coś się dzieje i wyrwał ich z łóżek. Bez chwili wahania podjął decyzję. Szybko wykonał kolejny układ, ledwo zapiąc, i skierował się ku kratom. Uniósł bramę swą mocą. Kołowrót wyrwał się z rąk zdziwionego krasnoluda. Mag pochwycił go za poły stroju i pociągnął w kierunku wolności.

– Szybciej! Ogłuszcacie ich i wiejcie!

Towarzysze, jeden po drugim, przekraczali próg ciemności. Ostatni był Jess. Znajdował się centralnie pod kratami, gdy z jego oczodołu wychynęła strzała. Znieruchomiał, z rękami uniesionymi w górę, spojrzał

błagalnym wzrokiem na Festusa, wyszeptał: „Przepraszam” i upadł z krwią toczącą się z ust.

- Zamykaj, jemu już nic nie pomoże! - wrzasnął Geron. - Inaczej wszyscy skończymy tak samo!

Zul nadal nie wierzył w to, co widzi. Przerwał zaklęcie, a brama opadła ciężko, zabijając jednego z nauczycieli i dwóch raniąc. Leo nieustannie patrzył z otwartymi ustami i żalną miną na poległego przyjaciela. La Vardo ciągnął go siłą w kierunku wzniesień. Uciekali w szoku. Plan ucieczki był dopracowany, jednak nie przewidzieli takiego biegu wydarzeń. Biegli z tobołkami, ile sił w nogach. Ich wierzchowce zostały w Ruel Edel. Geron strasznie żałował Mariana, jednak stajnie znajdowały się za daleko od bramy. Gdyby zdecydowali się uwolnić konie, zapewne zginęliby wszyscy. Biegli co tchu po stromym wzgórzu. Z oddali dobiegały ich uszu złorzeczenia. Znaleźli w końcu wskazaną przez Erasmusa półkę skalną.

- Tu nic nie ma! Żadnego przejścia! - wrzasnęła Rose.

- Podzielimy los Jessa - dodał Angal.

- Zamknijcie się! Pomoglibyście, zamiast tylko marudzić. - Zul obmacywał skałę. Wtem w jednym miejscu ręka wpadła mu w kamień. Patrzył zdziwiony, jak połowa jego ręki tkwi zespolona z twardym wyrobem natury.

- Tutaj! Właźcie szybko! Tędy, na lewo ode mnie.

Przyjaciele, jeden po drugim, zniknęli w kamieniu. Czarodziej znów stworzył swa kulę światła. Znajdowali się w tunelu, którego tak nie cierpieli. Ruszyli naprzód, w górę. Po dłuższej chwili szybkiego marszu Mały Bill zatrzymał się nagle.

- Nie ścigają nas?
- Mnie też dziwi, że zaniechali - dodał Festus.
- Coś mi tu nie gra.
- Cicho, słyszycie? - spytała Rose.
- Ja tam nic nie słyszę - odparł Angal.
- Coś jak stukanie z prawej strony.
- Tam chyba jest drugie odgałęzienie - stwierdził Geron. -
Sugerujesz, że coś tam jest?

- Może to tylko woda? - zauważył Leo. - Poprzednim razem doprowadzała nas do szachu.

- Nie, to nie woda. Ten dźwięk przypomina idącego kraba.
- Wydaje ci się - rzucił z powątpiewaniem Angal.
- Przysięgam na swe życie.
- Niemożliwe, to opuszczone jaskinie.
- Nawet szczury tu się nie zapuszczają - dodał Festus.
- Mówię wam, że coś tam jest i stuka.
- Cicho. Ja też coś słyszę. - Zul nastawił uszu. - Rose ma rację. Lepiej chodźmy dalej, nie stójmy tak.

Nagle czarodziejowi przypomniały się słowa licza: „Tylko bądźcie ostrożni, aby Wielki Nauczyciel nie poszczuł was swoim zwierzątkiem”. Zwierzątko, czymkolwiek było, zapewne jest okrutną istotą. Zulem wstrząsały dreszcze. Nagle stukot stał się o wiele wyraźniejszy i wzrósł się z każdą chwilą. Dłoń krasnoluda powędrowała na trzon młota, a Wybrańca na gardę miecza. Rose napięła łuk. Stukot ucichł. Każdy kolejny krok stawiali w niepewności. Minęło parę chwil. Dotarli do szerokiego, kamiennego holu. Naprzeciw znajdowały się dwa tunele, z prawej zaś dostrzegli przepaść.

- Myśmy poprzednio na pewno tędy szli? - zastanawiał się Bill. - Nie przypominam sobie tej skarpy.

- Na mą brodę! Gdzie my u licha jesteście? - rzekł Angal.

- Chyba gdzieś w połowie dro...o...oogi! - Zul spostrzegł coś za głazem z prawej strony. - O matko najmiłsza!

Do holu wpadł z rykiem wielki stwór. Miał ponad osiem stóp wzrostu, poruszał się na sześciu wielkich krabich odnóżach, miał troje oczu, dwa rzędy zębów w paszczy, nie posiadał zaś nosa. Był łysy i miał długie, spiczaste uszy. Jednak to, co przeraziło ich najbardziej, to wielka klata i wystające z niej cztery umięśnione łapy.

- Oż kurwa! Czteroręki! - wrzasnął Zul. - To takie zwierzątko ma Wielki Nauczyciel!

- Mamy to zabić?! - spytał przerażony krasnolud.

- Możesz patrzeć i czekać, aż cię pożre albo wypruje flaki! - odparł Geron. - Naprzód wiara, nie takie stwory posyłało się na tamten świat! - Włożył miecz do pochwy i wyjął topór. Spojrzał w oczy potwora i rozpoczął grę. Stwór ryknął, łypnął swymi czerwonymi ślepiami i rzucił się na Naznaczonego. Festus i Leo przyjęli postać lykanów i przybrali bojową pozycję. Geron zrobił wślizg pod stwora i ciął w nogę. Jednak ku jego zdziwieniu broń nie tylko nie wyrządziła czterorękiemu krzywdy, lecz zwróciła siłę uderzenia swemu właścicielowi. Potwór rozpoczął walkę z lykanami. Naznaczony spojrzał zdziwiony na czarodzieja, ręka jeszcze mu drżała.

- Zul, to się da zabić?

- Głowa, trzeba mu odrąbać głowę!

- Bardzo śmieszne, sam spróbuj!

Rose szła z łuku, lecz tylko marnowała strzały, które odbijały się od pancerza potwora. Zrezygnowała więc i wyjęła miecz. Zul rzucał na czterorękiego różne rodzaje zaklęć. Próbował ogniem, powietrzem, wodą, ziemią, magnetyzmem, plazmą a nawet Mocą Żywiołów, jednak potwór nie był podatny na ich działanie. Czteroręki, wierny swym panom i odporny na magię, był jedną z najstarszych żyjących istot. Istniało na świecie tylko osiem takich stworzeń, a ten należał do najgorszych. Krasnolud wskoczył na grzbiet stwora, gdy ten jedną ręką walczył z Geronem, drugą z Billem, a pozostałymi z lykanami. Zrobił zamach i zdzielił potwora z całej siły młotem w łeb. Jednakowoż jedynym skutkiem tego działania było rozwścieczenie bestii, która złapała Angala i cisnęła nim o ścianę. Wykorzystując nieuwagę czterorękiego, Geron odrąbał mu lewą dolną rękę, a Bill wbił miecz w bebechy. Stwór zawył, trzepnął mocno Naznaczonego, od czego Geron upadł na ziemię, a prawą górną ręką wyjął miecz i odrzucił. Cofnął się. Zostało im tylko patrzeć, jak skona. Stwór jednak nie dość, że nie chciał zdechnąć, to dodatkowo się uzdrowił. Rana na brzuchu zagoiła się, ręka zaś odrosła. Kompani spojrzeli po sobie z przerażeniem.

- Zul, to coś nie zdechło!

- Mówiłem, trzeba odrąbać łeb.

- Ciekawe, jak - zirytował się Geron.

- Zmiażdżenie głowy też pewnie wchodzi w grę? - spytał

Festus.

- Prawdopodobnie.

- W takim razie wiem, jak go załatwić.

- Co ty chcesz zrobić? - zwrócił się do niego Geron. -
Chyba nie to, co myślę?

- Odsuńcie się, jest mój. Pozdrówcie wszystkich, których
znałem.

- Festus, nie! - Geron nie zdążył go złapać.

La Vardo jako lykanin rzucił się na czterorękiego. Uderzył z całej siły z wrzaskiem, objął potwora za klatkę i trzymając mocno, odepchnął się nogami. Stwór stracił równowagę. Obaj runęli w przepaść. Kompani podbiegli na skraj skarpy. Stwór wył niemiłosiernie. Obserwowali, jak znikają w mrocznej czeluści. Wrzaski ucichły. Geron odwrócił się i wolnym krokiem odszedł. Rzucił topór i usiadł, opierając się o ścianę. Oddychał ciężko. Reszta drużyny uczyniła podobnie. Rose wtuliła się w ukochanego. Znów łkała.

- Straciliśmy dziś dwóch wspaniałych ludzi. A to dopiero początek - rzekł Geron. - Nie dotarliśmy jeszcze na front, a wojna już zbiera swe żniwo.

- Jak... do tego doszło? To przecież taki twardy wojownik - wyszeptał Zul.

- Czasami najtwardsi giną, a słabeusze muszą ratować bliskich, uwierz - odparł Angal.

- Co teraz? Musimy iść dalej, tak? - dodał Bill.

- Tak, musimy znaleźć wyjście z tych przeklętych jaskiń.

*

Niemal stracili już nadzieję, gdy w końcu ujrzeli zbawienne promienie porannego słońca. Wędrowali przez system grot

całą noc, przeklinając panujące w jaskiniach ciemności. Najbardziej wyczerpany był Zul, z którego Kula Światła wysłała niemal wszystkie siły życiowe. Padli na trawę i mech. Znajdowali się w nieznanym rejonie, prawdopodobnie na północ od miejsca, w którym onegdaj weszli do jaskiń, by schronić się przed hrabim El Berout. Na horyzoncie widać było jedynie niezmierzone pola, przez które przebiegał twardo ubity kamieniami trakt. Żadnych budynków, ludzi czy zwierząt. Oczywiście cały teren był górzysty, same wzniesienia i doliny. Z prawej strony majaczyły w oddali jakieś lasy. Czarodziej spojrzał nieprzytomnie i zasnął, opierając się o skały. Geron poradził towarzyszom, aby uczynili podobnie i objął pierwszą wartę, mimo iż był biały dzień. Po trzech godzinach zmienił go Bill. Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy postanowili ruszyć dalej, znaleźć najbliższą osadę. Naznaczony nawet nie sięgnął po mapę. Przebyli niespełna pół mili, gdy z małego lasku z prawej strony traktu wypadł na nich chłopak. Nie wyglądał najlepiej, tak jakby nie spał i nie jadł od kilku dni. Odbił się od Małego Billa, jednak zachowywał się, jakby go nie zauważył, i upadł na ziemię. Zul schylił się nad góra trzynastolatkiem, położył mu opuszki palców na twarzy i skroniach, uniósł jego głowę i spojrzał w oczy. Ujrzał w nich zamęt.

- Jasny szlag!
- Co się stało, Zul? - spytał Angal.
- To prorok. W bardzo zaawansowanym stadium.
- Co?
- Z wami jak z dziećmi. Powiem pokrótce. W zaświatach

czas i przestrzeń nie istnieją. To niebyłoby. Przebywający w zaświatach czarodzieje mają dostęp do wizji przyszłości, a posiadając jeszcze część mocy, przekazują te wizje człowiekowi, elfowi bądź krasnoludowi. Dzięki temu śmiertelnicy mogą przygotować się do niektórych zdarzeń.

- A czemu mówisz o stadium?

- Przeważnie jest tak, że wizje są chwilowe i prorok może żyć w miarę normalnie poza nagłymi wizjami. Ale ten chłopak nie wie, co się dzieje. Jest dręczony od kilku dni. - Kim jesteś i czemu opętałeś tego chłopca!?! Mów, albo użyję mocy bogów, by wyciągnąć cię z ciała chłopaka! - ryknął w twarz trzynastolatka.

- Ty... ty jesteś tym, który doprowadzi do równowagi mocy. - Oczy chłopca się zaświeciły. - Tobie mogę zaufać. Jestem Drogon, doradca króla Alandila.

- Pięknie. Czemu go opętałeś?

- Sytuacja jest dramatyczna. Chłopak jest odpowiedni, lecz jego matka nie pozwoliła mu odejść, więc musiałem przejąć nad nim kontrolę.

- Głupcze, bogowie zabronili. Jaka sytuacja?

- Nadchodzi mrok i stary porządek świata upadnie. Wizje przyszłości zmieniły się.

- Zmieniły się, powiadasz? To nie pierwszy raz. Dlaczego chłopak ma krew na rękach?

- Musiałem.

- Coś ty uczynił?! Mów!

- Jego krewne, matka z siostrą, nie pozwoliły mu iść, więc musiałem się ich pozbyć.

- Wspaniale! - Zul rzekł to z ironią, po czym odwrócił się do przyjaciół. - Muszę go natychmiast zaprowadzić do klasztoru.

- Zwariowałaś? - zdziwił się krasnolud.

- Zul, mamy inne cele. Nie możesz. - zaczął Geron.

- Posłuchajcie, wam się wydaje, że mogę go tak zostawić? Każdy czarodziej ma obowiązek objąć proroka opieką i zaprowadzić do klasztoru. Ten dzieciak sam nie dotrze do klasztoru, zginie za dwa, może trzy dni. Nie wiem, czy uda nam się spotkać innego proroka w tych czasach.

- Opuszczasz nas?

- Stary, nie rób tego!

- Nie ma takiej opcji.

- Jeśli tego nie zrobię, chłopak zginie tak lub inaczej. Nie wie, gdzie idzie. Może spaść w przepaść, natknąć się na dzikie bestie lub co gorsza orków, a gdy odzyskawszy nagle świadomość, zorientuje się, co zrobił, może targnąć się na swoje życie. Zaprowadzę go, a wy jedźcie. Spotkamy się w Balha Daghan, stolicy Meo Gao.

- Naprawdę musisz?

- Niestety.

- TY! - Chłopak spojrzał na Leo. - Czarne chmury gromadzą się nad życiem twych pobratymców. Wasi śmiertelni wrogowie powstali i rosną w siłę, umacniając swe wpływy. Polują na was, a pierwsze ofiary już padły. - Odwrócił twarz do Rose. W oczodołach miał same białka, lśniące srebrem. - *Elthe, onemh'e eypu'l, doghetk'l amah veo'a, shy*a. - Po tych słowach Rose wybuchła płaczem i ukryła twarz w ramionach

Gerona.

- Coś ty jej powiedział?! - oburzył się Geron.

- Krasnoludzie - kontynuował chłopak, niepomny na uwagę Naznaczonego. - Unikaj ciemności i cienkiego, srebrnego miecza pochodzącego od niewidzialnego, bo przyniesie ci zgubę. Olbrzymie - zwrócił się do Billa. - Serce twe czyste, niebawem nadejdzie dla ciebie dzień próby, jednak od ciebie zależy, czy przeżyjesz. - Po tych słowach zemdłał.

- Pięknie. Czasu jest mniej, niż przypuszczałem. Ruszajcie na północ, ja muszę znaleźć jakąś wioskę w pobliżu i zakupić konia. Żegnajcie.

- Zul, jesteś pewny?

- To mój obowiązek. Wybaczcie. - Czarodziej wykonał układ. Jego ostatnie gesty - podnoszenia z ziemi przedmiotu dłońmi skierowanymi w górę - sprawiły omdlałego chłopaka w lewitację.

- Zul.

- Tak, Geronie?

- Weź to.

- Twoje zwierciadło Ai Airi. Nie mogę go przyjąć.

- Nie dyskutuj, oddasz, jak się spotkamy. Nas jest więcej, a tobie się przyda. Ominiecie zasadzki orków i bezpiecznie dostarczysz młodego do klasztoru.

- Dziękuję, przyjacielu. Do zobaczenia.

Lewą ręką prowadząc chłopca nad sobą, czarodziej ruszył na południowy zachód, przecinając wzdłuż pole pszenicy i kierując się w las. Towarzysze odprowadzili go wzrokiem. Pierwszy z zadumy wyrwał się Angal.

- Ten... to coś straszło mnie. Cienkie, srebrne ostrze przyniesie mi zgubę? Cholera, co drugi miecz jest cienki!

- A tobie kochanie, co powiedział?

- Nie... nie powiem ci. Chlip.

- Muszę was opuścić - rzekł Leo.

- O nie, następny - wkurzył się Angal. - Ja też chyba sobie pójdę i będę żył w promieniach słońca, by ciemność mi nie zagroziła, kuźwa.

- Nie chodzi o mój wybór, lecz o przynależność do watahy i honor. Nie wiem, co oznaczają słowa tego proroka, lecz jeśli to prawda, muszę natychmiast udać się do Rady Starszych i zdać raport.

- Ty też nas porzucasz? - Geron był nieco skonfundowany.
- Jeśli musisz, pędź. Przekaż też Radzie, by przygotowała się do wojny i umocniła wpływy w każdym możliwym zakątku Wszechziemia. Będziecie potrzebować wtyk i szpiegów. I zapowiedz królowej Fetheal, że niebawem ją odwiedzimy.

- Dziękuję ci. Nie dziwię się, że generał miał w tobie przyjaciela. Do zobaczenia w przyszłości.

Leo przybrał postać bestii i ruszył na północny zachód pędem wilka. Pozostała czwórka niepewnym krokiem ruszyła obranym szlakiem.

ROZDZIAŁ 13:

ZAGINIONE POLE ŻŁOTYCH KONOPI

Minęły dwa dni od rozstania z nieocenionym do tej pory Zulem i cichym, aczkolwiek oddanym Leo. W napotkanej wiosce kupili konie i prowiant. Angal był już całkowicie splukany, Małemu Billowi zostało sześć szylingów i dwa dukaty, Geron i Rose zaś mieli wspólnie dziewięć guldenów^[13], szylinga i cztery dukaty. Ogólnie rzecz biorąc, środki na przeżycie się kończyły, więc postanowili żywić się jak na początku wędrówki – tym, co upolują. Kierowali się do stolicy Koel Nahal, Rodo. Zjechali jednak ze szlaku w obawie przed łowcami nagród. Po kilku godzinach jazdy przez usłany igłami las postanowili sprawdzić, jak daleko od szlaku odjechali. Pojechał Angal, który znów musiał przerobić siodło do swych potrzeb. Nie było go przez jakiś czas. Rose głaskała swoją klacz po pysku, gdy krasnolud wrócił.

- I co?

- Jakby to powiedzieć. Znowu się zgubiliśmy.

- Co?!

- Nie patrz tak na mnie, Rose! Nie ja chciałem zjechać ze szlaku. A traktu nie ma w promieniu ponad dwudziestu mil w żadną stronę. Wiem, bo specjalnie wyjechałem na wzgórze i wdrapałem się na najwyższe drzewo. Wszędzie tylko iglaki –

sosny, jodły, świerki, modrzewie, cisy i tym podobne.

- Geronie, co robimy?

- A co możemy zrobić? Jechać naprzód, kierując się bardziej na lewo. Gdzieś na pewno wyjedziemy - zaproponował Bill.

- Zastanawiam się, gdzie my właściwie jesteśmy, bo na mapie tak wielkiego lasu w tej części świata nie ma. Dziwne.

- Co jest dziwne?

- Według mapy jesteśmy w Driestrii.

- Jakim niby, kurwa, cudem? W rzece? - Angal wytrzeszczył oczy, spoglądając spod ramienia kolegi na mapę.

- O ja goblina pucuję, rzeczywiście. Może ta mapa jest kłębka kłaków warta?

- Wskazuje moje położenie za pomocą magii.

- Przecież ty nie masz magii.

- Racja. Może mapa świruje, odkąd nie ma z nami Zula? - zastanawiał się Bill. - On miał moc.

- Na to wygląda. Widocznie mapa potrzebuje przenośnego źródła mocy. Trudno, nie rozsiadajmy się. Musimy stąd odjechać, zanim wyniucha nas jakiś wygłodniały stwór.

- Już coś nas wyniuchało. - Rose zmrużyła oczy. - Spadajmy stąd.

Wskoczyli na kulbaki, złapali wodze i popędzili przed siebie. Po chwili szaleńczej jazdy grunt gwałtownie obniżył się, las obok nich przerzedził i pojawiły się skały. Naznaczony wstrzymał konia i zeskoczył z siodła. Obserwował otoczenie.

- Co jest, kurwa, grane?

- Wjechaliśmy w jakąś nieckę otoczoną skałami -

spostrzegł krasnolud. – Nie podoba mi się tu.

– Czujecie? – spytała elfka. – Robi się chłodno. – Ona również zsiadła z wierzchowca i prowadziła go za uzdę, idąc obok Gerona.

– Idziemy dalej?

– Lepiej zawróćmy.

– Gdzie? Otoczyła nas mgła – zauważył Bill.

W istocie, im bardziej zagłębiali się w nieckę, tym większa mgła ich otaczała. Kiedy się zatrzymali, opary już otaczały ich zewsząd. Angal odwrócił się, nie mogąc dostrzec zjazdu, którym tu przyjechali. Ujrzał jedynie mur z białej mgły. Bill skierował się na prawo, jednak nie napotkał przejścia, a tylko same skały. Podobnie z drugiej strony. W ciągu kilku chwil w niewyjaśniony sposób znaleźli się w skalnym korytarzu, w niecce, otoczeni gęstą jak śmietana mgłą. Chłód przeszywał im skórę, zaczęli się trząść z zimna. Konie prychały i rżały ze strachu. Szli przed siebie powoli i niepewnie, bojąc się wykonać każdy kolejny krok. Przez głowę Gerona przebiegały wspomnienia ze wszystkich dotychczasowych potyczek ze stworami. Świdrogrzmotowi towarzyszył ryk, chimerze złowroga aura, czterorękiemu stukot i mrok, weryniom impulsy i szaleńczy wrzask, wilkołakom ciemność. Przed każdym starciem miał takie samo, dziwne uczucie. I to uczucie towarzyszyło mu teraz, w tej przerażającej mgle. Jego obawy podzielał Angal, który nagle się zatrzymał. Rozejrzał się. Rose odwróciła się do krasnoluda i przerażała się. Ujrzała w jego oczach coś, czego nigdy dotąd nie widziała. Strach. Nie był to jednak chwilowy lęk, tylko powracający z przeszłości

i dręczący po nocach strach okrutnych wspomnień. Geron również spojrział na niskiego przyjaciela.

- Angal, co się dzieje?

- Mamy przesrane. Jesteśmy w głębokiej, czarnej dupie. Znam ten rodzaj mgły.

- Przypomniało ci się coś? - spytała Rosette.

- To nie jest zwykła mgła. To opary towarzyszące śmierci.

Wpadliśmy w sidła wielkiego zła.

- Czego konkretnie? - Geron przystanął i spojrział w mgłę.

Angal spojrział na niego ze strachem.

- Chcesz wiedzieć? Harpie.

- Co harpie?

- Tu są harpie. Ta mgła to wytwór harpii. Blokada, by ofiara nie zdołała uciec.

- Skąd wiesz?

- Skąd? - spojrział wystraszony. - Z prze... znikąd. Tak słyszałem.

- Angal.

- Nie chcę o tym mówić.

- Wyrzuć to z siebie.

- No dobrze. Byłem młody i głupi. Wraz z trzema kumplami postanowiliśmy zwiedzić stare ruiny. Na miejscu zaczęło się podobnie. Otoczyła nas mgła. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Byliśmy uzbrojeni po zęby, w miecze, topory, młoty, kusze, noże do rzucania. Nic to nie dało. One były tylko dwie. Nagle usłyszeliśmy wrzask i jedna runęła na nas z nieba. Rozerwała na pół mojego kumpla, który stał obok mnie. Wtedy po raz pierwszy widziałem umierającego krasnoluda

i bryzgającą krew. Do dziś nie pamiętam, jak uciekłem. Wzięliśmy nogi za pas. Drugiego kolegę dorwały, gdy uciekaliśmy. Porwały go w biegu i rozszarpały we dwie. Próbowaliśmy wcześniej walczyć, lecz one wrywały każdą broń z ręki. Ja wraz z ocalałym kumplem zdołaliśmy dotrzeć do Torunu. Matt, tak zwał się ten ocalały, popadł w obłąd po tym wydarzeniu.

- Nie goniły was dalej?

- Są krwiożercze, ale mają zasady. Atakują tylko na terenie, który należy do nich. Wszędzie tam, gdzie jest mgła.

- A więc znajdujemy się na terytorium harpii? Pięknie, tylko głowy harpii brakuje mi do sali trofeów bojowych. - Geron machnął rękami. - Ciekawe, jak sobie damy radę, skoro nie ma z nami ani czarodzieja, ani żadnego lykanina.

- Umrzemy w butach. Bądź też bez nóg - zmarszczył czoło Bill.

- Słyszycie? - przeraził się Angal. - Miałem rację. Ten piskliwy wrzask to one.

- Bill, padnij! - wrzasnęła nagle Rose. Olbrzym potulnie wykonał polecenie, gdy powietrze o cal od jego zgarbionych pleców przecięły szpony. Konie wpadły w popłoch i stawały dęba. Zdołali jedynie zedrzeć torby z siodeł, gdy wierzchowce rozpierzchły się i zniknęły we mgle.

- Pięknie! To by było na tyle jeśli chodzi o szybką ewakuację. Angal, jak to coś wygląda? - spytał Geron, dobywając miecza.

- Bardzo ciekawie, jak kobieta, tyle że ze szponami zamiast stóp, niebieską skórą i skrzydłami. Z zachowania to

jak dziewczka podczas okresu – odparł Angal z młotem bojowym w ręku.

- Bardzo śmieszne – parsknęła elfka, napinając łuk. Przywarli do siebie, stykając się plecami, obserwując spowite mgłą otoczenie. Trzymali broń w pogotowiu. Opary nadal mroziły im skórę, przenikając bezczelnie przez skórzane stroje. Towarzyszyła im gęsia skórka i drżenie rąk. Najgorzej sytuację przeżywał krasnolud. Rose zaś ledwo oddychała, gdyż skórzany strój opinał się ciasno na jej drżących piersiach. Bill napiął mięśnie i ruszał nadgarstkiem, zataczając czubkiem miecza kręgi na ziemi. Naznaczony czujnie spoglądał w każdą stronę. Syknął, gdy niespodziewanie blizna w kształcie kuli ognia po raz pierwszy w jego życiu zaogniła się i zapiekła. Spojrzał na lewe ramię. Oczy rozwarły mu się, gdyż ujrzał wypaloną w skórze, lekko dymiącą dziurę. Impuls bólu przeszył również jego oczy. Zamrugał i spojrział w mgłę. Nie miał pojęcia, co się właśnie stało, lecz teraz dostrzegł coś, czego wcześniej nie widział. W odległości dwudziestu pięciu stóp od siebie i trzydziestu pięciu od ziemi ujrzał zarys jakby kobiety ze skrzydłami, zmierzającej w ich kierunku w pozycji lamparta atakującego młodą łanię.

- Rose – szepnął.

- Co?

- Wymierz dwa jardy na lewo, trzy stopy wyżej i puść. Szybko.

- Czemu tak?

- Zaufaj. No już!

Elfka wypełniła prośbę. Strzała przeszła niebo ze

świstem. Zniknęła we mgle. Rose wyjęła drugą strzałę. Wtem usłyszeli przeraźliwy wrzask i kilka kroków przed nimi upadła harpia ze strzałą utkwioną w lewym ramieniu i skrzydle. Geron skoczył do niej. Podniosła swój niebieski łeb. Miała szare, splątane włosy, długie kły i czerwone ślepia. Naznaczony spojrzał na nią. Była nawet ładna, jednak wyraz jej twarzy psuł kompozycję rysów. Zasycała na jego widok. Powstrzymał jej zamiary, wbijając jej miecz w płat potyliczny. Jednak to nie był koniec. Wrzask zdradził obecność kolejnej paskudy.

- Skąd wiedziałeś, gdzie ona jest? - spytała zdumiona Rose.

- Zobaczyłem ją.

- Ciekawe w jaki sposób, skoro ja jej nie spostrzegłam.

- Sam nie wiem.

- Skupcie się - syknął Angal. - Ich jest więcej.

- Ma rację.

- Bill, za tobą! - wrzasnął Geron.

Olbrzym nie zdążył się uchylić. Poczwarą rozszarpała mu prawe ramię. Mały Bill krzyknął z bólu i osunął się na kolana. Jednak harpia nie zdołała czmychnąć. Krasnolud w ostatniej chwili zahaczył się o jej szponiastą łapę. Rose zajęła się rozszarpanym ramieniem wielkiego mężczyzny, próbując zatamować krwawienie. Krasnolud zniknął we mgle, nadal trzymając się hakiem jej nóg. Geron był zdezorientowany, nie widząc Krętobrodego we mgle. Rozsunął kurtkę i rozdarł koszulę, podając fragment ukochanej. Ezelero wzięła skrawek i przewięzała go Billowi między pachą a szyją, mocno

zaciskając. Rannego oblewał zimny pot, oddychał ciężko. Krwawienie ustało. Rose wyjęła z torby butelkę spirytusu i wywaru z ziół elfów. Oczyszczyła ranę i założyła prowizoryczny opatrunek. Niespodziewanie obok nich spadła martwa harpia z Angalem na plecach. Miała rozbitą głowę.

- To za moich kumpli, suko. - Krasnolud splunął, schodząc z truchła.

- Zasmakowałaś zemsty?

- Można tak powiedzieć. Co z nim?

- Przeżyje chyba - odparła Rose.

- Jak to „chyba”?

- Skąd mam wiedzieć? Zależy od niego.

- Musimy stąd spadać - rzekł Geron.

- Daleko nie zajdziemy. Jest jeszcze jedna. - Angal wskazał palcem w górę. Z mgły nadal dochodził wrzask. - Zanim ubiłem tę, druga minęła nas w locie.

- O cholera! - krzyknął Geron, gdy tuż nad nim przemknęły harpie z jednym z wierzchowców. Zwierzę rżało żałośnie.

- Na moje oko więcej niż jedna. Podnieśmy Billa. Chłopina sam daleko nie zajdzie.

Naznaczony pochylił się nad rannym przyjacielem i ująwszy pod ramię, podniósł go. Bill jęknął, Geron zaś westchnął, gdyż kompan szczupaczkiem nie był. Angal wsparł rannego z drugiej strony. Rose uprzątnęła butelki do torby. Bill jęczał nieustannie. Podniósł głowę i rozszerzył ślepia. W ich kierunku leciała harpia, lecz tak dyskretnie, iż podtrzymujący go towarzysze, skupieni na jego ciężarze, nie dostrzegli bestii.

Jej szpony znajdowały się dwie stopy od nich, gdy powietrze przeszył świst i łeb harpii przebiła włócznia. Utkwiła w zeschniętym pniu na lewo od nich.

- Co do kurwy?

- Patrz, a to skąd?

- Nie wiem. Ktoś tu jest oprócz nas. Jakiś dobry łowca - westchnęła Rose. - Kotku, spójrz. - W drzewcu włóczni utkwiła właśnie strzała. - Weź to przeczytaj. - Geron posadził Billa delikatnie na ziemi i podszedł do truchła. Zdjął ze strzały zwinięty pergamin i przeczytał: *Idźcie naprzód, skróćcie w prawo. Pół mili i skręt w lewo przy czerwonym głazie ratuje wam skórę.*

- Mamy iść w tę pierdoloną mgłę? - prychnął krasnolud.

- Masz lepszy pomysł? Wolisz tu stać i czekać, aż inne nas namierzą? - Geron wskazał kciukiem w górę. Zarzucił torbę przez ramię i znów podniósł Billa. - Chodź, stary, idziemy z tego przeklętego miejsca.

Ruszyli przed siebie, z półprzytomnym olbrzymem, postępując zgodnie z instrukcją od tajemniczego łowcy.

*

Po opuszczeniu kompanii dotarłem z chłopakiem do najbliższej wsi i kupiłem konia. Ledwo udało mi się go okiełznać, dopiero zakłęcie zniewolenia pozwoliło go uspokoić. Po przebyciu rzeki i dwóch dniach jazdy dotarłem w pobliże Kraven. Zastałem wydeptany szlak. Domyślałem się powodu, a moje przypuszczenia potwierdziła krótka wizyta w stolicy Enwerpii. Król

wyruszył z całym swym wojskiem dzień przed moim przybyciem. Prawdopodobnie udadzą się do Skalistego Jaru na granicy trzech mocarstw - Enwerpii, Koel Nahal i Viri Inis. Znajdująca się tam twierdza jest ważnym punktem strategicznym. Przemierzyłem opustoszoną stolicę, zamieniłem słowo ze starszymi, po czym ruszyłem w dalszą drogę. W pobliżu klasztoru Rew Terim namioty rozbiło wojsko Sahaela. Z daleka rozpoznałem sztandar z królewskim herbem. Elfi monarcha również czynił przygotowania do wymarszu. Zastałem go w komnacie przeora wraz z arcymistrzem, Jurythanem, Bładym Wilkiem i kilkoma innymi osobistościami. Oddałem chłopaka pod opiekę Teryniusza, zajmującego się Komnatą Medytacji i przepowiedniami. Oczywiście przeor mi nie odpuścił i przydzielił nowe zadanie wielkiej wagi, aczkolwiek podarował mi przedmiot, którego pożądałem.

*

Podążając zgodnie z instrukcją, czworo wędrowców dotarło do czerwonego głazu. Był to wściekle czerwony latyt^[14] wielkości młodego żrebaka. Była na nim wydrapana strzałka wskazująca lewy korytarz.

- To tu.
- Nie, dalej.
- Mówię ci, to tu.
- Wcześniej też tak mówiłeś, a trafiliśmy na osty.
- Przeszliśmy pół mili. Tutaj skręcamy.

- Chłopaki, nie kłóćcie się. Geron ma rację. - Rose pochyliła się nad głazem. - Tu jest strzałka.

- Obyście mieli rację. Już nie mogę. On jest za ciężki na moje gabaryty. - Angal westchnął po raz setny i splunął. Naznaczony był równie wycieńczony. Przebrnęli przez mgłę, poruszając się nieustannie tuż przy skale, by nie przeoczyć skrętu. Szczęśliwie nie natknęli się na żadną harpię, choć przypuszczali, że czuwał nad nimi tajemniczy łowca. Po paru ostatnich chwilach męki mgła całkowicie znikła, a ich oczom ukazał się niezwykle widok. Przed nimi rozciągało się złote pole. Dosłownie bezmiar złotej roślinności.

- Zboże już dojrzało?

- Zgłupiałaś? Dopiero wiosna.

- W takim razie cóż to jest, obeznany w świecie krasnoludzie? - prychnęła Rose.

- Geronie, opuśćmy go delikatnie - poprosił Angal. Posadzili Billa na ziemi. Krętobrody ujął w dłoń złoty pęk. - To chyba... konopie. - Poddał roślinę badaniu zmysłów. Sprawdził zapach i smak. - Tak, to na pewno konopie. O mateńko moja najśłodsza! Jesteśmy w raju. - Oczy mu się zaświeciły, a uśmiech rozpromienił jego twarz.

- O czym ty mówisz?

- To miejsce to legenda. Wielu krasnoludów całe życie go poszukiwało i nadal to robi. To Zaginione Pole Złotych Konopi.

- Mądrze prawisz - poparła go elfka. - Do mnie również dotarły plotki. - Rozejrzała się wokół. - Jednak to nie bujda. Ono istnieje.

- Chodźmy, nie ekscytujcie się tak - rzekł Geron. - W ranę

Billa wdało się zakażenie. W tym gospodarstwie mogą mu pomóc.

Angal zaklął pod nosem, lecz rad nierad pomógł przyjacielowi. Rose podążyła przodem, szukając wsparcia. Przebyli jedną trzecią drogi do gospodarstwa, gdy elfka wróciła z wysokim, niebieskookim blondynem. Ten zaś miał ze sobą sporej wielkości taczki. Posadzili na nich poszkodowanego i przetransportowali do świeżo pościelonego łóżka w przygotowanym pokoju. Podczas drogi blondyn opowiedział co nieco o właścicielu przybytku.

Ogromne połacie ziemi i całe gospodarstwo należało do pana Luisa Koffa. Jego dziadek Josh przybył tu, ukrywając się przed łowcami nagród. Założył niewielką plantację konopi. Sprzedając towar pod przykryciem, zyskiwał coraz to nowych klientów. Obsadzał nowe skrawki gleby. Później jego biznes przejął syn, ten jednak przez pazerność popadł w ogromne długi i niełaskę u wielu kupców. Wówczas Josh, po kolejnej kłótni, wydziedziczył syna i wygnał z doliny. Pod opiekę zaś wziął swego wnuka, wówczas szesnastoletniego, Luisa i wprowadził w tajniki uprawy konopi. W wieku dwudziestu dwóch lat Luis rozpoczął eksperymenty, mieszając nasiona konopi z ziołami leczniczymi i otrzymując hybrydy o interesujących właściwościach. Wówczas zmarł Josh. Młody Luis obiecał mu na łożu śmierci, że odzyska utracone przez ojca zaufanie klientów. Po piętnastu latach stał się dostawcą najlepszej jakości hybryd konopi, marihuany i wielu innych. Całe Wszechziemie znało jakość jego towarów, jednak niewielu znało położenie doliny. Pewnego dnia wyszła na rynek

nowa hybryda – złote konopie, bardzo drogie, lecz bardzo efektywne, mające szczególne właściwości. Wówczas poszukiwacze doliny nazwali ją Zaginionym Polem Złotych Konopi.

Blondyn zakończył opowieść, a tymczasem rannym Billem zajął się miejscowy uzdrowiciel. Zostawili kompana w bezpiecznych rękach i podążyli za przewodnikiem na spotkanie z właścicielem plantacji. Powitał ich w saloonie, stojąc za ladą. Miał siwe włosy, szarawą, postrzępioną brodę i szramę na policzku, jednak jego oczy były bystre i wesołe. Ewidentnie był po pięćdziesiątce. Powitał ich gromkim śmiechem, szeroko rozkładając ramiona.

- Haha! Nigdy bym nie pomyślał, że takie osobistości kiedykolwiek mnie odwiedzą! Prędzej spodziewałbym się jakiegoś króla. Sam pan Geron, pogromca Bractwa Mroku.

- Skąd wiesz, panie, o bractwie?! To tajemnica.

- Wieści szybko się rozchodzą. Jeden z moich klientów pochodzi spod klasztoru i sprzedał tę informację po drugim blancie. Ale coś was mało. Nie było z wami czarodzieja i takiego drugiego wojaka?

- Owszem, byli, ale mają swoje obowiązki i musieli nas opuścić chwilowo.

- No tak, każda kasta rządzi się swoimi prawami. Mimo wszystko miło powitać was w moich skromnych progach. Przypuszczam, że jesteście zmęczeni podróżą, zwłaszcza iż Słodki zdradził mi, że przybyliście od strony labiryntu.

- Od strony czego?!

- Skalistego labiryntu. Przeklęte miejsce. Lepiej nie

mówić, co tam łązi. Mniejsza o to. Moja żona przygotowała wam pokoje. Prześpijcie się, a wieczorem porozmawiamy przy kolacji. Chudy! - wrzasnął do wnęki Koff. Wyszedł z niej kolejny szczupły jegomość w wieku dwudziestu paru, może trzydziestu lat. - Zaprowadź gości na pokoje. Słodki, gdzie jest Jaszczur?

- Ostatnio widziałem go przy magazynie.

- Cholera, znowu się spalił! Znajdź go, zanim znów wlezie do szafy.

- Tak jest, panie Koff.

- A później idź z Bobem na plantację Kolorowych Snów. Mamy nowe zamówienie. Jak spotkacie po drodze Janusza, przyslijcie go do mnie.

Słodki posłusznie opuścił saloon, a kompania ruszyła za Chudym. Obeszli szynkwias i udali się na piętro.

- Chudy, mogę spytać, jakim sposobem znaleźliście pracę w tym miejscu? - rzekł Angal.

- Wie pan, to nie takie proste, jak się wydaje. Luis Koff zatrudnia tylko osoby, które są mu dozgonnie wdzięczne. Nie zabrzmiało to dobrze, ale wszyscy jesteśmy wyrzutkami społecznymi lub skazańcami. Pan Koff, handlując na wielu rynkach, po prostu dał nam szansę. Ja... nieumyślnie, po pijaku, zabiłem trzy osoby. Groził mi szafot. Luis wykupił mnie, lecz jego warunkiem było posłuszeństwo. Słodkiego biczowali, Bob gnił w pudle, Simon już miał sznur na szyi. Nie narzekamy. Żyjemy jak w raju, wykonując wszelkie polecenia gospodarza, który nie jest zbyt wymagający.

- Ilu was tu pracuje?

- Hmm, chyba jest nas piętnastu. Jedni pilnują granic, inni pielęgnują plantację bądź zbierają rośliny. Było kilku takich, którzy chcieli oszukać pana Koffa.

- Co się z nimi stało? - zaciekała się Rose.

- Słyszeliście o szafie, prawda? Chociaż nie powinienem mówić.

- Wiesz waćpan, że raz rozpoczętą myśl należy zakończyć, więc mówże.

- Tylko nie wsypcie mnie przed gospodarzem. Otóż mamy w tej szafie portal przenoszący wysoko w góry. Nie wiemy dokładnie, w które, lecz nie ma stamtąd powrotu. Są to szczyty, gdzie mróz i zawieja nigdy nie ustają. Wszelkich łotrów wyprowadzamy przez tę szafę i porzucamy.

- Nie próbowaliście wysłać ich do labiryntu?

- Robiliśmy tak, ale jeden cwaniaczek zdołał wyjść. Nie przeszkadzam już, więcej opowiem państwu po kolacji. Dobrych snów. - Wskazał im pokoje na trzecim piętrze.

Zrzucili prędko spocone, zakrwawione strzępki ubrań, po czym padli jak kłody na ciepłe posłania.

*

Pierwszy powieki podniósł Angal. Wszedł spod koca i rozejrzał się po swym pokoju. Zrobiłby to, lecz otaczała go ciemność. W poświacie padającej przez okno dostrzegł świecę. Wyjął z płaszcza krzesiwo i odpalił lont. Ujął w dłoń kaganek, oświetlając nieco pomieszczenie. Na krześle dostrzegł czyste ubranie. Odłożył świecę na komodę i przydział się, następnie opuścił sypialnię i ruszył

korytarzem w stronę schodów. Po drodze usłyszał pomruki wydobywające się z pokoju Gerona. Najwyraźniej jego kompan również wyrwał się z letargu. Postanowił zaczekać na kamrata. Po chwili w holu pojawiła się zaspana Rose. Ona również miała na sobie nowe odzienie. Ziewnęła i rozciągnęła się. Moment później otwarły się drzwi do pokoju Naznaczonego. Zdziwiony spojrzął na oczekujących towarzyszy i powiedział:

- Ugościli nas, podarowali nowe ubrania, opiekują się Billem. Jak im się odwdzięczymy?

- Nie mam pojęcia. - Rose stłumiła ziewnięcie. - Kotku, ile złota mamy?

- Zostało nam półtora guldena. To za mało. Angal, masz coś?

- Siedem szylingów. Bill posiada jakąś sakiewkę?

- Raczej nie. Ostatnie grosze wydał na bucefała.

- Kuźwa, gdyby nie ta rana, starczyłoby nam - westchnął Krętobrody. - Najtańszy znachor kosztuje trzy guldeny.

- No to mamy gołe dupy. - Marończyk rozłożył ręce. - Musimy się z nimi jakoś dogadać.

- Prace społeczne czy mam się im oddać? - Elfka oparła pięści na talii.

- W życiu! Nie oddam im twojej... ehm ... jest moja. Trzeba znaleźć inny sposób. Najlepiej zapytajmy gospodarza po kolacji.

- O właśnie, chodźmy coś przekąsić. - Krasnolud podkreślił wąsa.

Zeszli na parter, gdzie zastali niemal wszystkich

pracowników Koffa z nim samym na czele, szykujących się do wieczerzy przy wspólnym stole. Gdy tylko skrzypnęły drzwi, gospodarz odwrócił się ku wchodzącym.

- Kochani goście! Wypoczęci?

- A jakże. Dziękujemy ci, dobrodzieju.

- Nie ma o czym mówić. Siadajcie do stołu. - Wskazał trzy wolne krzesła po jego prawej stronie.

Zajęli więc miejsca. Usługiwała im młoda dziewczyna, córka gospodarza. Wieczera składała się z trzech wykwintnych potraw - barszczu *le cruit'se* z grzybami, grzankami i bekonem, pieczonego indyka faszerowanego jabłkami z cynamonem oraz zawijanych w delikatne placuszki zbożowe słowiczych języków z papryką, brokułami i parmezanem. Pracownicy Koffa rozmawiali między sobą o planach na sobotę, minionym dniu w pracy i rozkładzie zajęć na następną dobę. Wędrowcy czuli się nieswojo wśród domowników. Do ich uszu docierały strzępy rozmów na ich temat z drugiego końca stołu. Mimo niekomfortowej sytuacji Geron prowadził ożywiony dyskurs z Koffem. Gospodarz opowiadał przybyszowi o wielu podgatunkach konopi uprawianych na jego plantacji oraz ich właściwościach i działaniu na poszczególne rasy. Ostatecznie Naznaczony skierował tok rozmowy na należność za gościnę.

- Mości gospodarzu, jaki jest stan naszego kompana?

- Stabilny, śpi spokojnie, udało się nam usunąć zakażenie.

Niestety musieliśmy wyciąć mu fragment mięśnia.

- Całe szczęście. Ile chce pan za opiekę nad Billem?

- O cóż się panu rozchodzi?

- Wiesz waść o cóż. Ile złota, przecież opieka medyczna tania nie jest.

- Nie ma o czym mówić. Bohaterów Wszechziemia traktujemy honorowo, nic nie jesteście mi dlužni.

- Nie wciskaj mi kitu, mości gospodarzu. Nie natknąłem się jeszcze na darmowy nocleg, chyba że pod gołym niebem. Ile?

- Naprawdę, wierz mi. Jestem na tyle majątny, iż pobieranie opłat od wybawcy świata nie tkwi w mej głowie. Możecie tu zostać, ile dusza zapragnie i niczego od was nie wezmę.

- Jesteś tego pewny, dobrodzieju?

- Stuprocentowo. Słyszałem, że straciliście kilku przyjaciół. Cóż, przynajmniej tyle mogę dla was zrobić, skoro sam, wstyd przyznać, udziału w bitwie nie biorę. Zregenerujecie siły i kiedy będziecie gotowi, ruszycie w dalszą drogę. Tymczasem napijmy się, a jutro moi chłopcy oprowadzą was po gospodarstwie. Katrin, przynieś beczułkę z piwnicy. Jak się bawić, to się bawić, drzwi wyrzucić, stół dostawić!

Tymczasem Angal rozmawiał z Chudym o przeprawie przez labirynt, walce z harpiami i tajemniczym łowczym.

- Wiesz, najbardziej intryguje mnie ten strzelec. Celne oko w takiej mgle.

- W labiryncie kręcą się gorsze rzeczy niż harpie. Aczkolwiek mogę pomóc ci w sprawie tego łowcy. To jeden z nas. Nasz odkrywca i badacz terenu, Ylaut.

- Jak się zwie? - wtrąciła Rose. - Słowo to w języku elfów oznacza „zagubiony”.

- A w krasnoludzkim „poszukiwacz”, do twojej łaskawej wiadomości.

- To jego prawdziwe imię?

- Skąd. Nazwaliśmy go tak po jego pierwszej eskapadzie. Pan Koff uzyskał dla niego ułaskawienie i tego samego dnia udaliśmy się na poszukiwania nowych ziół. To było jakieś dziesięć lat temu. Na bagnach, gdzie istnieje tylko jeden trakt, odbiliśmy milę na wschód, niedaleko ujścia rzeki. Kiedy zbieraliśmy zioła, zaatakował nas topielec, więc wszyscy daliśmy drapakę, poza nim. Ylaut potknął się na jakimś korzeniu i wpadł w błoto. Wróciliśmy całą karawaną do gospodarstwa i spisaliśmy go na straty. A on niespodziewanie zjawił się podczas wieczerzy, cały ubłocony, z determinacją w oczach. Dostarczył nam coś, co zmieniło oblicze zielarstwa i przyniosło rozgłos w całym Wszechziemiu.

- Cóż takiego, jeśli wolno spytać?

- Złotą krotchwilię. To rzadkie ziele ma tę właściwość, że syntezuje z każdą niemal rośliną, dając pozytywne rezultaty.

- Połączyliście konopie z krotchwilią? Kurczę, nie pomyślałem o tym.

- Pan Koff tego nie zdradza, to tajemnica zawodowa. Od tamtej pory Ylaut udaje się na całodzienne eskapady, poszukując nowych rodzajów ziół do palenia bądź roślin wzmacniających ich działanie.

- Jest tu z nami?

- Nie, jeszcze go nie ma. Wróci późno.

- Musimy mu podziękować, uratował nam tyłki w labiryncie.

- Uczynicie to jutro. Teraz się napijmy. Gospodarz rzadko wyciąga beczkę z piwnicy.

Po dwóch godzinach biesiady, przy napoczętej trzeciej beczce, ze swojej warty wrócił z pochmurnym obliczem czarnowłosy krasnolud. Rozejrzał się, a gdy namierzył Chudego, ruszył w jego stronę. Ten zaś przepijał kolejne zdrowie do Angala.

- Tu jesteś, łaskawco. Twoja warta.

- Taak? - Chudy spojrzał nieprzytomnie. - Wydaje mi się, że Simona.

- Może i racja. Gdzie on jest?

- Tam siedzi... siedział. Dziwne. Ty, jest za tobą.

Mężczyźni wymienili kilka słów, następnie Simon odebrał od krasnoluda maczetę oraz pochodnię i wyszedł.

- Mości Angalu, oto Bob, nasz miejscowy druid - rzekł wesoło Chudy.

- Naprawdę?

- Żartuję. Chociaż lubi on mieszać alko...alko... kuźwa, wódkę i inne takie razem w kociołku.

- Chudy, nie świruj. Nabombiłeś się, stary pijaku - mruknął czarnowłosy krasnolud. - Widziałeś gdzieś Słodkiego?

- A co znowu?

- Bo cholernik sapał do mnie, że wypaliłem cały nasz towar, a wczoraj kupiliśmy na spółkę pięćdziesiąt gramów i już połowy nie ma, do krzywego fallusa. A jak myślisz, kto to zjarał, jak ja miałem wartę, he? Ale mnie ssie, zapaliłbym, ale nie tu.

- Sam będziesz jarał? - zapytał wesoło Chudy.

- Chodź ze mną. Ty, panie Angalu, także. Nie miałem dawno sposobności zapalić z innym krasnoludem.

- Grzechem byłoby nie skorzystać z zaproszenia. Tylko wezmę ten gąsiorek. - Krętobrody zgarnął butelkę wina i wyszedł za dwoma robotnikami. Bob poprowadził ich do swej komnaty. Pokój jak pokój, zbity był z desek, a w nim: szafa, łóżko, stolik, dwa krzesła i kaganek z oliwą do latarni. Siedli twarzami do siebie na podłodze, a Bob wyjął z szafy ziele, tytoń, zapalki, bongo i fajkę.

- Wiesz, mój drogi brodaty kamracie - rzekł do Angala. - Gdybym miał skręcać blanty, zbankrutowałbym, wydając na bletki. - Nabił fajkę i odpalił. - Taa, to jest to. Paliłeś już wuja? - spytał, podając fajkę Krętobrodemu.

- Paliło się jeszcze z kumplami w Kodorze. Chyba z sześć lat temu. - Zaciągnął się trzy razy i podał Chudemu.

- No, nie nowicjusz, takich lubię. To dzisiaj trochę zabalujemy.

- A juści, trochę winka, trochę ziółka i utworzy nam się spółka, hehe.

Spędzili tak we trzech dwie godziny, dopóki każdy nie padł snem zmorzony.

*

Wszedł w mroczny las. Ciemność już dawno ogarnęła okolicę. Wiatr wył, obijając się o konary drzew, a mgła potęgowała uczucie grozy. Czarodziej otulił się szczelniej płaszczem. W duchu dziękował własnej inteligencji, że zrezygnował z szat klasztornych i wdział skórzane spodnie, a pod nie ocieplacze.

Włosy zaczęły mu odrastać, co wielce go irytowało. Znalazł wreszcie pochylony, znaczony dąb. Rozejrzał się. Okolica go przerażała.

- Erasmusie!

Cisza. Cichy szmer przyprawił go o dreszcze.

- Wiem, że tu jesteś! Erasmusie, pokaż się!

- To ty? Jak mnie odnalazłeś? - Delikatny szept za jego plecami omal nie przyprawił go o zawał.

- Nie strasz mnie. Prorok wskazał mi twoje miejsce pobytu. Mam do ciebie prośbę.

- Czego pragnie twa dusza, Zulzedeusie?

- Dobrze wiesz. Nic nie muszę ci tłumaczyć. Pytam tylko, czy pomożesz mi to zrobić.

- Wiesz, z czym to się wiąże. Żaden śmiertelnik jeszcze stamtąd nie powrócił.

- Wystarczy, że wyślesz tam mą świadomość, a znajdę odpowiedź.

- Dlaczego prosisz o pomoc mnie? Byłeś tam, wiesz jak dotrzeć.

- Niezupełnie. Byłem zaledwie w podziemiu wraz z Wybrańcem, który nosi na swym przedramieniu klucz do niego. Teraz ja sam muszę dotrzeć do tego miejsca, dobrze o tym wiesz.

- Jesteście mi już winni dwie przysługi. Nie zrobię tego po raz kolejny. Z tym wiąże się ryzyko również dla mnie.

- Nie wiem, dlaczego przeor zlecił mi to zadanie. - Zul przechylił się i złowieszczo zmrużył oczy. - Lecz według niego tylko ja mogę to zrobić. Ty też to wiesz. Jeśli tam nie pójde,

liniowiec wyrwie się, a to nie wróży nic dobrego.

- Dobrze, w tym jednym masz słuszność. Zrobię to, lecz mogę cię utrzymać góra przez godzinę. Jeśli nie zdążysz, utkniesz tam na zawsze, a ja nie zdołam ci pomóc.

- Godzina wystarczy. Kiedy możemy zacząć?

- Chodź ze mną. Zrobimy to zaraz, w pieczarze, gdzie stworzyłem przejście. Pytam po raz ostatni - jesteś tego pewny?

- Nie, ale muszę, dla dobra ogółu. Naznaczony zapłaci znacznie wyższą cenę i zdecydowanie to zrobi, więc ja tego dokonam.

- Twoja wola. Ruszajmy. - Licz wyprostował rękę z pochodnią i poprowadził czarodzieja w ciemność.

*

Ranek nastał niebywale prędko. Krasnolud tuż po przebudzeniu wypił piwo wedle zasady głoszącej, że klin klinem się wybija. Rose wzięła kąpiel w asyście ukochanego. Szczególnie ulubionym przez Gerona momentem tejże czynności było mycie gąbką piersi jego lubej. Jednakże dziś ani ta chwila, ani nawet podmywanie jej cudownego wzgórka łonowego nie wywołało uśmiechu na ustach Naznaczonego. Elfka dostrzegła przygnębienie na jego twarzy. Ostatnio Geron popsuł się również w łóżu. Na początku ich znajomości był niczym ognisty ogier, teraz robił to bez emocji, był zimny.

W umyśle Wybrańca tkwiła nieustannie myśl, że będzie musiał ją porzucić, zostawić to piękne ciało, dla jej dobra. Myśl, że ją straci, mimo iż nieustannie była blisko,

doprowadzała go do stanu depresyjnego. Jej dotyk nie sprawiał mu radości, bo wiedział, że nie potrwa to już długo i niebawem skończy się na zawsze, wystarczy, że on podąży drogą, którą obrał. Rose spojrzała mu w oczy i dostrzegła ogromną żalność. Nie rozumiała tego, lecz on nie mógł zdradzić przyczyny swojego zachowania. Wstał i z kamienną twarzą podał jej ręcznik. Spiorunowała go wzrokiem, wyrwała z rąk materiał i odeszła oburzona. Kobiety nigdy nie rozumieją, przeszło mu przez myśl. Ruszył do saloonu na śniadanie, pozostawiając ją w neglizju i furii. Podczas posiłku Angal dostrzegł nową twarz, poprzedniego wieczoru tego osobnika nie widział. Zaczepił Chudego, aby dowiedzieć się, kim jest ten człowiek.

- Ten tu? To właśnie jest Ylaut, o którym opowiadałem wam wczoraj.

Krasnolud przymrużył oczy i przyjrzał się łowcy. Był to człowiek średniego wzrostu, o ziemistych, krótkich włosach, jego twarz zdobiło wiele blizn, zapewne nabytych podczas długich wędrówek. Miał bystre, błękitne oczy, które przeszywały na wskroś. Ewidentnie był to człek rozumny i zwinny, widzący więcej niż inni ludzie.

- Zna dobrze tę okolicę?

- Jak nikt inny.

- Jakim cholernym cudem łazi po labiryncie i nic go do tej pory nie zeżarło?

- Tego nie wiem. Tylko pan Koff zna odpowiedź na to pytanie.

- Mógłby nas zaprowadzić w jakieś ciekawe miejsce?

Choćby w góry.

- Przez szafę?! Musiałbyś porozmawiać z gospodarzem. To temat tabu.

- Zamienię kilka słów z kompanami, a później z dobrodziejem. Mam nadzieję, że się zgodzi.

- Spróbuj, o ile pan Koff nie ma nowego zlecenia dla Ylauta.

Krętobrody dopiął swego. Po południu, tuż po obiedzie, w saloonie zjawił się Ylaut z naręczem płaszczy i kożuchów. Spojrzał na trójkę śmiazków.

- To wy chcecie przejść się w góry? Jesteście tego pewni?

- Absolutnie.

- Dobrze, nie będę was od tego odwoził. To dla was. W tej partii gór jest kurewsko zimno. - Podał im kożuchy. - Pamiętajcie o jednym. Zawsze macie się mnie słuchać i trzymać blisko. Nie gwarantuję, że podczas wycieczki nic się nie stanie. Jeśli się zgubicie, nie będę was szukał. Sam nie znam dobrze tych gór i jeszcze nie odkryłem, które to są, jednak podejrzewam że Mroczne, bo słychać szum morza. Gotowi? Tam, w kącie, stoją buty zimowe, wybierzcie odpowiednie i ruszamy. Macie broń?

- Będzie nam potrzebna? - zdziwił się Angal.

- Bardziej niż ten kożuch. Za mną. - Wyprowadził ich poza oficjalną część gospodarstwa. Ominęli stajnię, drewnię i spichlerz. Zatrzymali się przy magazynie. Ylaut ubrany był w futro ze skóry białego wilka - piękne, ciężkie i ciepłe - oraz buty ze skóry wiwerny, ocieplane od środka. Znad kołnierza wystawała rękojeść długiego miecza. Na gardzie wyryte były

jakieś inskrypcje w nieznanym dla nich języku. Łowca wszedł do magazynu i zszedł do piwnicy. Tam stała szafa. Odwrócił się i spojrzał swym przenikliwym wzrokiem na troje wycieczkowiczów. Wydobył z za pazuchy klucz i otworzył mebel. W środku stało zamglone zwierciadło. Ylaut wszedł w gładką taflę i zniknął. Rozochocony krasnolud podążył za nim. Po przejściu okazało się, że stoją w skleconej z desek szopie. Przez szpary widać było bijący bielą po oczach śnieg. Było tu niezwykle mroźno, a wiatr wył nieustannie. Łowca stał naprzeciwko i otwierał drzwi. Spojrzał przez ramię, czy wszyscy są obecni.

- Zamykamy przejście, aby żadne monstrum nie przedostało się do doliny.

- Monstrum?

- O tak, pełno ich w tych górach - rzekł z uśmiechem na ustach. - Nie obawiajcie się, są daleko stąd. Znam bezpieczne szlaki, po których przejdziemy bez problemu. Zapraszam. - Otworzył drzwi na oścież.

W ich twarze uderzył zimny podmuch i chmura śniegu. Oczy ledwo przystosowały się do ogromu bieli. Przewodnik ruszył pierwszy, zarzucając kaptur. Wyjął coś z kieszeni i zapalił. Nie umknęło to uwadze elfki.

- Palisz trawę w takim momencie?! - wybuchła.

- Cicho. Jeśli chcecie przeżyć, muszę to spalić. Tylko nie mówcie chłopakom.

- Co to za ziele? Poczęstowałbyś - zapalił się krasnolud.

- Zabiłoby cię na miejscu. To specjalnie wyselekcjonowane zioło przeznaczone tylko dla mnie. Znalazłem je podczas mojej

pierwszej wędrowki, wtedy, gdy odszukałem złotą krotochwilię. – Zaciągnął się. – W dzieciństwie wpadłem do kotła z miksturą odpornościową. To zmieniło moją strukturę. Razem z panem Koffem okryliśmy, że to zioło wyostrza i udoskonala zmysły palącego. Zarazem jest jednak tak silne, że zabija na miejscu. Tylko nie mnie, bo jestem odporny na jego szkodliwe działanie. Dzięki niemu jestem w stanie dostrzec więcej niż inni i wędruję spokojnie po labiryncie.

– Jak je nazwaliście?

– Elfi kwiat. Dobra. – Wyrzucił resztki. – Za mną.

– Nie zdążyliśmy ci podziękować. Uratowałeś nam dupy w labiryncie.

– Nie ma o czym mówić. I tak mieliście szczęście. Zdołaliście zabić dwie harpie nim przybyła strzyga.

– Co?!

– Nieważne. Idziemy w dół tego stoku. – Ruszył naprzód. Szopa pozostała za nimi, uprzednio zamknięta przez łowcę, a przed nimi rozciągały się ośnieżone szczyty gór. Po lewej stronie znajdowała się wysoka, szeroka skarpa, po prawej urwisko. Pomiedzy nimi wąski szlak prowadził w dół. Ylaut szedł pierwszy, rozgarniając zaspę. Pruł naprzód niczym świdrogrzmot. W trakcie wędrowki opowiedział im trochę o sobie, a kompani w zamian podzielili się częścią swych przygód. Po mniej więcej dwóch milach marszu w tnącym, szczypiącym w oczy wietrze łowca się zatrzymał. Przed nimi rozciągał się niesamowity widok – stali na krawędzi jednej z wyższych gór, z której widać było jak na dłoni szczyty pomniejszych, aczkolwiek ogromnych skał, przyprószonych

śniegiem, śnieżne hale, uskoki, jaskinie, szlaki i przesmyki. Łowca stanął na krawędzi i spojrzał w dół ponuro.

- Wyjawię wam teraz istotę mego powołania. Mój ojciec zmarł młodo, a matka poślubiła typa, który mnie wydziedziczył. W tym samym czasie ukochana porzuciła mnie dla innego. Żyjąc na ulicy, zacząłem kraść, a podczas jednego skoku nieumyślnie spowodowałem śmierć innego człowieka. Skazano mnie na szafot. W chwili, gdy mieli mnie ściąć, czułem ulgę, jednak pan Koff uratował mi skórę. Podczas pierwszej wędrówki w te strony znalazłem to miejsce i coś do mnie dotarło - najważniejsza prawda i sens moich dalszych poczynań. W życiu przychodzi taka chwila, gdy stoisz nad krawędzią i musisz dokonać wyboru - albo oddasz się dręczącej cię depresji, albo odwrócisz się z postanowieniem, że skopiesz tyłki wszystkim, którzy cię skrzywdzili. Ja wybrałem tę drugą opcję. Zemściłem się na ojczymie i na chłopaku byłej.

- Widzę, żeś twardy gagatek - rzekł Angal.

- Posiadam dość silną psychikę i... - Nagle zamarł, nasłuchując. - Cholera. Nigdy nie zapuszczały się tak daleko.

- Co się dzieje?

- Panienko, słyszysz?

- Ryk. Tak jakby... nad nami. - Rose spojrzała w górę. Nad nimi wyrastała wysoka góra, lita skała.

- Śnieżne mały. Cofnijcie się pod tę ścianę.

- Co śnieżne? - Angal zgłupiał.

- Wielkie, białe goryle. Groźne bestie. Gorsze od harpii.

- Teraz i ja słyszę - odparł krasnolud. - Ja pierniczę, ale

się wydzierają.

- Są pół mili od nas.

- Ile?! Przecież już je słychać.

- Nie martw się, będą tu nim mrugniesz - rzekł, sięgając pod futro. Wydobył łuk.

Małpy musiały być niezwykle blisko, gdyż ich ogłuszający ryk niemal rozrywał bębenki w uszach. Ylaut wskazał palcem w górę. Śnieg spadł z urwiska nieopodal, a nad ich głowami ukazały się szpony. Ylaut rzekł szeptem:

- Nawet nie próbujcie wyjmować broni. Na mój znak biegnijcie tą samą drogą, którą tu przybyliśmy. - Rozejrzał się.
- Teraz!

Puścili się pędem mimo siekącego w twarz śniegu. Ich uszu dobiegały iście piekielne odgłosy.

- Chodźcie do mnie wszyscy, diabelskie pomioty! Głupie ścierwa! - wrzeszczał Ylaut. Któraś z małą oberwała i zawyła przeraźliwie. - O taaak! Jedna suka mniej. Ożeż ty, psi synu!

- Co się tam dzieje?! - wrzasnął Krętobrody do Gerona. - Trzeba mu pomóc?!

- Nie odwracajcie się! - wrzasnął za nimi przewodnik - Biegnijcie!

W następnej chwili dobiegły ich odgłosy kolejnej szamotaniny i potworny ryk małąp.

- Posmakuj mej stali, bestio! Ha! Chędoż się!

Odgłosy jak nie z tego świata zdradzały, iż kolejna małąpa poległa. Wtem posłyszeli przyspieszony oddech za swoimi plecami. Geron mimowolnie odwrócił głowę. Łowca, zasapany, z odrzuconym kapturem i rozwianymi włosami, podążał za

nimi. W tym świetle ukazały się wszelkie blizny na twarzy Ylauta, w szczególności szrama przecinająca jego oko z czoła do lewego policzka. Przewodnik krzyknął:

- Biegnij, nie odwracaj się! Jest jeszcze jedna!

Naznaczony niespodziewanie przyspieszył i odbił nieco w prawo. Przebiegł sto metrów i zniknął im z oczu. Ylaut zatrzymał się nagle, podobnież uczynił krasnolud. Rose zaś skoczyła na pobliski głaz, odwróciła się, wyszarpując łuk oraz kołczan, i puściła strzałę. Ta ze świstem przecięła powietrze i utkwiała w czole śnieżnej mały pięćdziesiąt metrów za nimi. Bestia zawyla i padła na plecy. Łowca spojrzał z aprobatą.

- Ładnie. Prosto w łeb.

- To nie pierwszozna. Powiedz mi lepiej, gdzie wcięto mojego ukochanego.

- Nie mam pojęcia. - Ylaut podszedł do miejsca, w którym zniknął Geron. - Jasny szlag. Tu jest uskok. Wasz bohater wpadł do jaskini. Zastanawiam się, dlaczego tak nagle zboczył z kursu.

- Pomożesz nam go odnaleźć?

- Bądź co bądź to ja was tu przywiodłem. Zaczekajcie momencik. - Przewodnik sięgnął ręką w głąb swego futra. W jego dłoni znalazła się lina, cienka, jednakowoż stworzona z niezwykłego, srebrzystego materiału.

- Piękny przedmiot - rzekł po oględzinach Angal. - Z czego jest zrobiona?

- To już moja tajemnica. Możliwe, że kiedyś ją wam wyjawię. Obwiążemy ją wokół tego głazu i zejdziemy na dół. - Podszedł do oprószonej śniegiem skały i przywiązał porządnie

jeden koniec liny. Szarpnął dla pewności i rzucił drugi koniec sznura w czeluść.

- Mam zejść pierwszy?

- Nie - rzekł Krętobrody. - Ja zaryzykuję. - Krasnolud ujął linę w dłoń i opuścił się w dół groty.

Po dłuższej chwili wrzasnął:

- Schodźcie! Nie ma go tu! I nie bierzcie pochodni. Tu jest jasno jak w wulkanie!

- W takim układzie moja kolej. - Elfka zjechała zgrabnie w czeluść. Ostatni dołączył przewodnik. W istocie, słowa Angala były prawdziwe. Lód, który tworzył ściany jaskini, przepuszczał światło słoneczne z góry. Rose i krasnolud spojrzeli na Ylauta.

- Co to za miejsce?

- Nie znam tych gór tak dobrze. Tutaj jestem po raz pierwszy. Najlepiej uczynimy, ruszając w głąb. Skoro Gerona nie ma tutaj, musiał pójść dalej.

Ruszyli więc wzdłuż lodowych korytarzy. Niestety jak się okazało po pół mili, jaskinie były jasne, pełne lodowych stalagmitów i ciekawych kształtów, ale niezmiernie zimne. Mróz przeszywał ich mimo grubych futer. W końcu dotarli do wyjścia. Łowca się rozejrzył.

- W tej okolicy byłem raz, ale bardzo krótko.

- Dlaczego?

- Tu niedaleko jest siedlisko małp. Zaczęły mnie gonić. Jeśli dopadły waszego kamrata, to marny jego los.

- Cholera! Zawsze musi przeć na wroga - zdenerwował się Angal. - Nie pierwszy raz wciąga nas w takie gównno.

- Nie przesadzaj! Przypomnieć ci, kto nas wciągnął w Ruel Edel? - oburzyła się Rose.

- Teraz mi będziesz wypominać, akurat jak śnieg chłoszcze mnie w dupę?!

- Zamknijcie się oboje! - wrzasnął Ylaut. - Spójrzcie tam. Nasza zguba się znalazła.

W ich kierunku szedł Geron. Był jednak jakiś nieswój. Powłóczył nogami i patrzył mglistym wzrokiem.

- Spalił się czy co? - dumął krasnolud.

Naznaczony odwrócił się do nich plecami, zrobił pięć powolnych kroków, padł na kolana w głęboki śnieg i podniósł głowę mimo tnącego w twarz śniegu. Jego oczy łzawiły. Otworzył usta, z których wydobył się lament:

Miałem życie błogie i spokojne
lecz porzuciłem wszystkie dobra swoje,
bo przybył człęk i wywłókł mnie na wojnę.
A tam śmierci czekają podwoje.

Mimo iż spotkałem ludzi wielu
to los istnień nie oszczędzał.
Nie każdemu było dojść do celu,
gdyż w śmierci oczy wejrzał.

Zły bóg świat spętał mrokiem
i armię ciemności wyzwolił.
Napawając się cierpienia widokiem,
gorycz swą zadowolił.

Upadł duch wolności dla ludów,
szukając w modlitwie otuchy
i oczekując od bogów cudów
ratunku od zawieruchy.

Bogowie świata nadzieję dali,
ramię mi oznaczając.
Los zbawcy mi zgotowali,
ciężką drogę wyznaczając.

Miłość swą porzucić muszę
szukając sposobu na wroga.
W daleką podróż wyruszę,
a w sercu mym tylko trwoga.

Łowca spojrzał zdumiony na kompanów.

- Co on tam gada?

- Skąd mam wiedzieć, do licha? - Angal wzruszył ramionami. - To ty faszerujesz się ziólkami na lepszy słuch.

- Przestają działać. Muszę skrócić blanta. - Ylaut sięgnął do kieszeni. W tym czasie Rose podbiegła do swego ukochanego, uniosła jego głowę i spojrzała głęboko w oczy. Były puste.

- Geronie, kochany mój. Gdzie jesteś? Wróć do mnie! - Nie było żadnej reakcji. - Kotku! To ja! - Geron zamrugął. Źrenice mu się rozszerzyły, a tęczę odzyskały kolor. Oczy znów zaszły mu łzami. Spojrzał na nią zdumiony.

- Serce moje. Co się stało? - spytała go.
- Miałem wizję. Nidas do mnie przemówił.
- Cóż ci rzekł?
- Nie możesz tego wiedzieć. To nie na twoje nerwy. Nikt nie może się dowiedzieć. On mi zabronił.

- Wszystko dobrze?
- Teraz już tak. Gdzie my jesteśmy? - rozejrzał się.
- W pobliżu siedliska małych. Musimy stąd spadać.
- Masz rację. Gdzie reszta?
- Czekają przy wejściu do tunelu. Chodź. - Pomogła mu wstać.

Wtem Ylaut zagwizdał.

- Pospieszcie się - rzekł, podbiegając do nich. - Małe nas wyczuły. Masz, to postawi cię na nogi. - Przewodnik podał Geronowi małą, białą, okrągłą pigułkę.

- Co to?
- Pomoże ci. Szybko, połkaj. - Naznaczony zaryzykował i zażył specyfik. - Biegnijcie szybko tunelem.
- Nie możesz znowu sam z nimi walczyć - sprzeciwiła się Rose.

- Ależ ja nie mam zamiaru się bić. Zatrzymam je tylko na chwilę.

Byli tuż przy wejściu. Marończyk ożywił się i odzyskał rumieńce.

- Widzę, że zadziałało - powiedział Ylaut. - Lećcie, dogonię was.

- Znowu będziesz nieugiętego strugał? - Angal podkreślił wąsa.

- Jam przewodnikiem, a główny warunek wycieczki jest taki, że słuchać mnie macie w każdej chwili. Dalejże, bo mały zaraz tu będą - ponaglił ich.

Ruszyli pędem w głąb tunelu. Łowca zaś wydobył kolejny ze swych skarbów - dwie małe beczułki prochu. Postawił je na łuku wejścia. Odsunął się w głąb i zaciągnął się blantem. Mały ukazały się na horyzoncie.

- Żegnam was ciepło, tępe kozojebce. - Z uśmiechem na ustach odpalił lont skrętem i ruszył korytarzem.

Trójka wędrowców usłyszała za plecami huk i skowyt zaskoczonych mały. Ylaut rzucił niedopałek i zadowolony, puścił się szybkim truchtem ku wolności.

*

Przeor skończył posiłek i zabrał się właśnie za wertowanie kolejnego tomu z klasztornej biblioteki. Usiadł na krześle za swym biurkiem. Wśród panującej ciszy nagle poczuł na karku dziwne mrowienie, a karta księgi lekko się poruszyła. Nie podnosząc wzroku, rzekł:

- Chwila ta nastąpić miała. W końcu uczeń do mistrza wrócił swego.

- Piękne słówka nic dla mnie nie znaczą. Widzisz, w jakim jestem stanie i dobrze wiesz, w jakiej sprawie przybyłem.

- Nie ja prorokiem jestem.

- Nie, ale to przez niego przysłałeś do mnie Zulzedeusa.

- Pomocy twej potrzebował.

- Doskonale wiesz, że był o włos od poznania prawdy. Obiecałeś mi, że się nie dowie. Po jakie lichy przysłałeś go do

mnie?

- Przysięgi dotrzymałem. I tylko ty pomocy mogłeś mi udzielić. Nikt inny.

- Pomogłem ci już dwa razy. Wyrwałem cię ze śmiertelnej pułapki, wskazałem drogę. Nie mogę cię prowadzić. A ty znów prawie zdradziłeś.

- Prawdy dowiedzieć się musi.

- To nie było rozsądne! Po pierwsze - zaświaty mogły cię wciągnąć, po wtóre - ONA tam jest i mogła cię powiedzieć!

Przeor podniósł wzrok znad księgi i spojrzał na rozpadające się ciało, które opierało się rękoma o jego biurko i świdrowało go ognistym spojrzeniem.

- Erasmusie. Rozmowę naszą pamiętam i słowa danego dotrzymałem. Pamiętać o jednym musisz - on tym jest, który do równowagi mocy doprowadzi. Najpotężniejszy będzie, lecz jak objawi się to - nie wiem. Tylko twoja wina w tym jest.

- Byłem młody i głupi! Skąd mogłem wiedzieć, że jeśli zrobię to z nią, to owocem naszego związku będzie dziecko o niewyobrażalnej mocy. Jednakowoż chłopak o tym nie wie, a mocy swej jeszcze nie uwolnił.

- Sam przyznajesz to. Z czarodziejką chędożyć cię nie musiałeś. Powiedzieć mi o tym musiałeś.

- Nie! Nie! Nie! Nie zrobię tego! I ty również nie powinieneś!

Arcymistrz wstał. Wokół niego pojawiła się niesamowita aura, od której zapłon licza zgasł. Mimo nikłego wzrostu przeor budził respekt.

- Nim pełnię mocy osiągnie, wyjawić to ci musisz. Inaczej

bogowie na wieczne potępienie zesłają cię. Doskonale za co cierpisz, wiesz. Jeśli uczynić tego nie potrafisz, ja słowo swe złamię!

Licz spojrział chmurnie.

- Dobrze, powiem mu, że jestem jego... Daj mi trochę czasu. Posyłanie go na walkę z takim przeciwnikiem też rozsądne nie było - rzekł.

- To próba jego jest. Bogowie przez usta Jona nakazali. Jeśli w chwale powróci, symbolem dla ludu stanie się, gdy Wybraniec wypełni przeznaczenie swe.

- Rozmawiałem z bogami. Wiesz, jak naprawdę zwie się mój potomek? Spirit Caring! Rozumiesz?

- Od początku wiedziałem to. On stworzony został z dwóch mocy połączenia, aby doprowadzić Wybrańca. To pierwsza jego powołania część. Później pokierować go będziesz musiał, aby drzemiącą w nim moc obudzić.

- A jeśli mi się nie uda?

- Chłopak sam dojrzeje do przeznaczenia swego, tylko tobie prowadzić go udział przypadnie, aby Złego w szachu trzymał do Wybrańca powrotu.

- Zrobię, co w mojej mocy. Jednak ta rozmowa pozostaje w tym pokoju. Nikt poza nami dwoma nie wie, jaki los czeka Wszechziemie. I niech tak pozostanie. Nie chcemy represji w narodzie. Żegnaj, mistrzu.

- Żegnaj, mój padawanie.

Licz rozpadł się w niebyt i opuścił arcymistrza, który powrócił do swej lektury.

*

Królowa wysłuchiwała swych oddanych doradców - szambelana, głównego generała, czarodzieja i sekretarza. Niespodziewanie tok obrad przerwało uporczywe dobijanie się do drzwi komnaty Fetheal.

- Wejść! - rzekła władczyni.

Do komnaty wpadł zdyszany odźwierny.

- Najjaśniejsza pani! Masz gościa. Prosi o szybkie widzenie.

- Kogo znowu przyniosło? Nie widzisz, do kroćset, że jestem zajęta?

- Ależ królowo, to... - podszedł do niej i szepnął coś do ucha.

- Niemożliwe - zdumiała się królowa. - Jego ludzie twierdzą, że nie żyje.

- To naprawdę on. Twierdzi, że wie o strasznych rzeczach gnębiących milczące Koel Nahal.

- Ciężka sprawa. Ustalaliśmy właśnie taktykę. Dobrze, przyprowadź go. Sprowadź też jego ludzi.

Sługa uklonił się i pokornie opuścił komnatę. Po drodze wpadł do sal przeznaczonych dla klanu i obwieścił lykanom wesołą nowinę. Ci ruszyli pospiesznie do sali wejściowej, rzucając wściekłe spojrzenia na Leo.

- Okłamałeś nas.

- Wprowadziłeś zamieszanie w szeregach!

- I osłabiłeś ducha.

- Chłopaki, naprawdę widziałem! - bronił się Leo. - Na własne oczy widziałem, jak runął w bezkresną przepaść!

- Widocznie źle widziałeś.

- Ślepniesz na starość.
- To było do przewidzenia. On jest najtwardszy z nas. Nie ma takiej siły, która wpędzi go do grobu.
- Lepiej to wypłuj. Powrócił raz z zaświatów, drugi raz może mu się nie udać. Cieszymy się, że słowa tej pokraki się nie sprawdziły.
- Ciekawe tylko, czego się dowiedział, skoro z miejsca chce widzieć się z królową.
- Nie nasza to sprawa. Powitajmy go godnie. To nasz nieupadły wódz.

*

Po powrocie z gór Naznaczony był nabuzowany. Zrzucił futro i wpadł do gabinetu Koffa bez pukania. Za nim podążyła zaskoczona Rose i krasnolud z wyrazem wielkiego zaciekawienia na twarzy. Gospodarz spojrział na gości.

- Wróciliście? Wycieczka się spodobała? - zapytał wesoło.
- Jednak Geron, zamiast udzielić odpowiedzi, z kamienną twarzą podszedł do niego, złapał za fraki i podniósł do góry.
- Kotku, co ty robisz? - zdumiała się elfka.
- Zdurniałeś? Puść go. - Krętobrody próbował przeszkodzić kompanowi.
- Czekaście, coś mi przyszło do głowy. Mów, na czyich jesteście usługach? - ryknął na Koffa Geron.
- Co? To moja plantacja.
- Nie o to pytam. Służysz wrogom?
- W życiu. Przysięgam.
- Byliśmy już w jednej podobnej dolinie. Przeklęte miejsce.

Gospodarze też byli mili, lecz potem okazało się, że jeden dzień spędzony tam to pięć w realnym świecie. Magiczna pułapka! Gdzie haczyk?

- Nie ma, przysięgam. Możesz mnie zabić. Zabłądziliście, macie rannego, pomogliśmy.

- Na pewno? - Geron zmiażdżył go wzrokiem.

- Na bogów, tak!

- Wybacz więc, panie. - Wybraniec puścił go, ten zaś natychmiast się poprawił. - Musiałem się upewnić. Nie wiem, co się ze mną ostatnio dzieje.

- To przez tę pigułkę - rzekł Angal. - Ochłoń. Naprawdę przepraszamy, mości panie Koff.

- Nie mam urazy. Coś pan znowu brał?

- W górach nasz Wybraniec miał wizję i podupadł trochę na duchu. Wówczas przewodnik dał mu coś na wzmocnienie.

- A to cholernik! Ekstazy ci zaaplikował. Nie dziwię się, żeś taki nadpobudliwy. Jeśli chodzi o to, coś rzekł - tu żadnej magii nie ma. Opuście nas, kiedy będziecie gotowi. Czynię to z dobroci serca, naprawdę. Mam też dla was dobrą nowinę - wasz kompan czuje się o wiele lepiej. Możecie ruszać w dalszą drogę nawet jutro. Teraz zapraszam do stołu. Przy winie troski prędzej nas opuszczą. Dalejże, ino żywo!

ROZDZIAŁ 14:

ZDRADY I KNOWANIA

Pochodnia już dogasała, lecz pomimo to wchodził głębiej. Zgubił pościg trzy mile temu, lecz ostrożności nigdy za wiele. Z łowczego stał się zwierzyną. Klął w duchu tę przekłętą bandę. Przeszukał wszystkie szlaki Koel Nahal, przeczesał nawet lasy, lecz ich nie znalazł. Ostatnio widziano ich w pobliżu Driestrii. Zastanawiał się, którądy podróżowali. I ci przekłeci orkowie. Zajęli niemal połowę Wszechziemia, a srają w portki. Gra się zmieniała, zasady także. Musi w tajemnicy przed całym światem dopaść swój cel i oddać go prosto w ręce Lodowego Pana, wówczas uzyska ułaskawienie. Tylko ci przekłeci orkowie! Sedar był zbyt zmęczony, aby teraz myśleć o odwecie. Ułożył się pod ścianą tej wilgotnej jaskini. Należy skończyć z samotnością, zebrać bandę i odwrócić bieg ostatnich wydarzeń. Złoto jednakowoż się skończyło, był poszukiwany i znienawidzony. Zostało mu tylko jedno rozwiązanie. Synod. Roześle wici i zgromadzi braci. Nadszedł czas, aby asasyni opuścili wszelkie dziuple i upomnieli się o swoje. Powieki opadły mu, a błogi sen ogarnął wszystkie członki jego ciała.

*

Słońce po raz wtóry na ich trasie chyliło się ku zachodowi. Niebo było czyste, niemal bez żadnej chmurki. Piękne kolory malowały się na nieboskłonie. Rose uwielbiała zachody słońca. Te barwy radowały jej serce. Opuścili właśnie bagna, kierując się instrukcjami Ylauta, i wjeżdżali na utwardzony szlak. Przed nimi rozciągały się zielone pola i kwitnące drzewa. Wiosna była w zaawansowanym stadium. W pobliżu jednego z brzozowych zagajników Geron wstrzymał konia.

- Tu przenocujemy, między tymi drzewami.

- Nadal żałuję, że Ylaut nie wyruszył wraz z nami - wzdychał Angal. - Dobry z niego zakapior. Umie się chłopina bić.

- Doskonale wiesz, dlaczego tego nie uczynił - odrzekł Naznaczony. - Przysiągł wierność Koffowi i słowa swego nigdy nie złamie.

- Mam nadzieję, że kiedyś go spotkamy. Miło ze strony właściciela, że dał nam takie zabezpieczenie finansowe.

- Porządny z niego chłop. Pięć kilo zielska. Zanim to sprzedamy, oskórują nas.

- Nie martw się, sprzedamy. A z zysków pociągniemy z sześć lat. Zdajesz sobie sprawę, ile mamony będzie z pięciu kilo?

- Jakieś trzy tysiące guldenów. Jak nie więcej.

- Otóż to.

- Bill, jak twoje ramię? - Elfka spojrzała na obandażowaną kończynę.

- Lepiej, choć dalej piecze - odparł wielkolud.

- Zmienię ci opatrunek - powiedziała Rose, sięgając do

torby. Podniosła nagle głowę. - Bądźcie cicho - rzekła do ustalających ceny towarzyszy. - Nie jesteśmy sami w tym zagajniku.

- Jakże to? Ponoć w te strony zapuszczają się jeno kupcy, i to tylko o brzasku - dumął Krętobrody. - Bagna, dalej rzeka o wartkim nurcie, trzęsawisko i ta partia gór, której w nijaki sposób przebyć się nie da. To, do jasnej kurtyzany od tyłu zapinanej, kto tu może być po za nami?

- Może przybłąda - odparł Bill - podobny to tego dzieciaka, co Zula odciągnął.

- Najprędzej - poparł go Angal. - Kto ma olej lub choćby krztę innego płynu we łbie, tu się nie zapuszcza.

- Bagna pochłona każdego - dorzucił Geron. - Błocko ma ssanie jak troll na kacu.

- Po raz kolejny mi nie dowierzacie - prychnęła Rose. - Następnym razem zabiorę dupę w troki, a was zostawię bestiom na pożarcie.

- Spokojnie, nie irytuj się - rzekł krasnolud. - Jednakże, na chłopski rozum, kto tu może przebywać poza nami?

- Trzy kobiety.

- Kto?! - Krętobrody osłupiał, a oczy mu się zaszklily. - Trzy dziewczuszki?

- Nie łudź się. Raczej damy, które porachują ci kości, gdy wyciągniesz łapę w kierunku ich kiecki. Z toku rozmowy wynika, że są mocno skonfundowane.

Rose skończyła wymieniać bandaże. Rana w istocie wyglądała lepiej. Infekcja została usunięta, lecz Bill utracił na zawsze fragment mięśnia. Geron wyczesał konie, napił je

i zdjął wędzidła. Złapał cztery uzdy i ruszył w zarośla. Za nim poczłapał Angal, taszcząc tobołek, oraz Bill z nietęgą miną. Korowód zamykała Rose, która jeszcze sprawdzała zawartość torebki. Słońce już niemal zniknęło za widnokretem i mrok począł spowijać okolicę. Po kilku chwilach marszu w ciszy, nie licząc grania świerszczy i prychnania koni, usłyszeli podniesione kobiece głosy.

- Powiedz mi, do ciężkiej cholery, po jaką chuć ciągniesz nas na drugi kraniec Koel Nahal?!

- On jest blisko.

- Mówiłaś to dwa dni temu! To twoje głupie przeznaczenie wpędzi nas w kłopoty! Wspomnisz moje słowa!

- Nie zmuszałam cię! Bierz rzyć i wracaj do domu, jak coś ci nie pasuje!

- Uwaga, informacja z ostatniej chwili. Mój dom zajęli orkowie! Szukasz tego swojego magika od tygodni!

- Dziewczyny - odezwał się trzeci głos. - Nie kłóćcie się.

- Cicho bądź, Sasha. Nie wiem, co zamierzacie dalej robić, lecz ja jadę do Rodo. Zaciągnę się do woja. A ty szukaj swego chłoptasia!

- Proszę cię bardzo! Tylko zrób to szybko, bym więcej nie widziała twojej mordy!

- Ożeż ty! Ty puszczańska wywłoko!

- Do czarodziejki tak?!

- Catherina, Naomi, proszę was - błagał trzeci głosik. - Co się z wami ostatnio dzieje?

- Cierpliwość mi się kończy. I pieniądze. A poza tym... Słyszałyście to?

- Co znowu, masz delirkę, wszechwaleczna Catherino? - prychnęła Naomi.

- Ktoś jest w tych krzaczorach. - Wojownicza sięgnęła do uda po sztylet. Ruszyła ostrożnie w stronę zarośli. Wówczas kompania postanowiła się ujawnić. Geron śmiało wkroczył w krąg kobiet, które szykowały obozowisko. Palenisko wraz ze stertą gałęzi czekało na podpalenie.

- Witam śliczne panie - rzekł wesoło złotobrody krasnolud, podkręcając wąsa.

Naznaczony obszedł obozowisko i przywiązał konie. Zdezorientowane kobiety stanęły w bezruchu.

- Piękny kard - powiedział Bill, widząc broń w rękach Catheriny. - Wirberdzki?

- Owszem.

- Wybaczcie naszą śmiałość, jednakże nie spodziewamy się złych intencji z waszej strony - wyjaśniła elfka. - Jestem Rosette z rodu Ezelero. To moi towarzysze - Bill zwany Małym, który ostatnio oberwał od harpii - i Angal Krętobrody, mający niepohamowaną chuć i lubiący mocne trunki. - Wskazała po kolei na wielkoluda i krasnoluda.

- Ej, takie rzeczy mówię kobietom po trzeciej butelce - oburzył się Angal.

- Oraz mój ukochany, Geron z Maro, którego lud zwie Wybrańcem, a czarodzieje Naznaczonym przez głupią bliźnię.

- Marończyk we własnej osobie - pisnęła Naomi. - Wy tutaj? Zaraz, przecież z wami podróżował czarodziej.

- Owszem, ale wezwały go obowiązki - odparł Geron. - Na naszej drodze pojawił się prorok i Zul musiał go eskortować

do klasztoru Rew Terim. Nie widzieliśmy go od dziesięciu dni.

- Zulzedeus. - Czarodziejka zmarkotniała. - To mój dawny druh. Mam mu do przekazania ważną wiadomość. Sądziłam, że jest z wami.

- Niestety. Jeśli naprawdę ważną wieść mu niesiesz, jedźcie z nami. Mamy się spotkać w Balha Daghan.

- W stolicy Meo Gao? - zdziwiła się bojowniczką. - Naomi, czy przypadkiem ten gość, ten sprzed czterech dni, też nie podróżował do kraju północy?

- Masz rację.

- Jaki gość? - spytał podejrzliwie Naznaczony.

- Taki łachmyta. Czart w nim siedzi - odparła Catherina.

- Co w nim siedzi?

- Sasha, powiedz państwu.

- Rozmawiał z nami, śmiał się, zasnął naprzeciwko mnie.

A w środku nocy... - Przerażenie przebiegło po twarzy dziewczyny - Wstał i zmienił się w potwora. Olbrzymiego. I pognął na północ.

- Potwora? - Teraz i Angal zeszywniał. - Jakiego?

- Coś jak wilkołak, tylko znacznie większe. Przestraszyłam się okropnie.

Angal wymienił zdumione spojrzenie najpierw z Geronem, później z Rose i Billem. Wszyscy mieli ten sam wyraz twarzy.

- Niemożliwe - wyszeptał Naznaczony. - Czyżby... przeżył?

- Nie pojmuję tego świata - dodał Krętobrody.

- A wy tak we trzy wędrujecie w celu odnalezienia Zula? - Ezelero wyrwała się z zadumy.

- To, co mam mu do przekazania, przechodzi ludzkie pojęcie. Jeśli nie zdązę, świat może czekać zagłada.

- I tak czeka. To nic nowego - westchnął Bill.

- Panie wybaczą, ale cały dzień byłem w siodle. - Geron położył się na ziemi. - Nawet na strawę sił już nie mam. Konwersujcie sobie dalej.

- Dobra, młoda - zwróciła się do Sashy Catherina. - Rozpalaj, a ja idę po tego zajaca.

Wieczór minął przyjemnie, choć było nieco chłodno. Po dłuższej pogawędce i pobieżnym zapoznaniu trzy wędrowniczki postanowiły towarzyszyć kompanii w drodze do Balha Daghan.

*

Zgodnie z zaleceniami istoty z zaświatów Zul kierował się w stronę północnego Kodoru, z lewej strony mając Driestrię. Oczywiście odziany był w lekki strój ziemistej barwy, wymieniony poprzednio w klasztorze - skórzane, brązowe spodnie, mocne buty ze skóry wiwerny, zieloną koszulę, brązową kamizelkę i lekką, brązową kurtkę z wilczej skóry. Oddział się tak ze względów bezpieczeństwa - w takim stroju łatwiej się ukryć niż w szkarłatnej, widocznej na milę szacie czarodzieja. Bródka efektownie mu wyrosła, lecz był skonfundowany z powodu włosów - idealna fryzura psuła się, gdyż włosy odrastały. Zastanawiał się, czy nie rzucić na nie jakiegoś zaklęcia. Wychodząc z bukowego lasu i kierując się w stronę trzęsawiska, natrafił na niezwykłą sytuację. Spostrzegł dwóch młodzików w kamiennym kręgu. Zapalili

świece i wertowali jakąś księgę. Zastanowiło to młodego czarodzieja. Dopiero po chwili dotarło do niego, co może się wydarzyć z takiej głupoty. Pobiegnął, aby powstrzymać młodzieńców.

- Co wy tu robicie?!

- Spieprzaj, dziadu.

- Spójrz na to, gówniarzu. - Zul uniósł dłoń z sygnetem.

Moc błysnęła.

- O kurczę. Przepraszam, czcigodny mistrzu. - Chłopak zarumienił się. - Rob, rzuć tę cholerną książkę - fuknął na kolegę.

- Zapytam jeszcze raz, lecz ostatni. Co wyczyniacie?

- Chcemy się ochronić.

- Bawiąc się w okultyzm? Zdurnieliście do cna?

- To nie tak - rzekł drugi, zwany Robem. - Boimy się orków. Ponoć już są w połowie Wszechziemia. Mieliśmy zamiar wezwać coś do obrony.

- Coś? - parsknął Zul. - Daj mi tę książkę, już! - Chłopak podał ją pospiesznie. - Na tej stronie byliście, tak? Proszę, co my tu mamy... oczadzieliście do reszty? Demon piątej kategorii?!

- Silny taki - rzekł ten pierwszy. - Wielu orków by utłukł.

- Nie macie pojęcia, co robicie. Raz rozprawiłem się z demonem czwartego stopnia. Wezwało go pięciu potężnych nekromantów, którzy ledwo go kontrolowali. Bardziej on rządził nimi niż odwrotnie.

- O cholera.

- To mało powiedziane. A wy chcecie wezwać demona,

który podlega bezpośrednio Złemu. Choć może powinienem pozwolić wam spróbować go uwolnić. Nie macie takiej mocy, by wyrwać tak potężną istotę z podziemi.

- Nie udałoby się? - Chłopak zbladł.

- Wątpię. Dodatkowo musielibyście karmić tego demona. A on nie jest jak pies. Nie zrobiłby nic, nie posłuchałby żadnego rozkazu.

- Karmić? A co jedzą demony?

- Chcesz wiedzieć? Chodźcie bliżej. - Młodzi pochylili się ku czarodziejowi. Zul zmrużył oczy i powiedział zimno: - Dziewice. Dużo młodych dziewczyn. Demony żywią się ich krwią.

- O jasny gwint! - Chłopaków oblał zimny pot.

- Tak więc ustrzegłem was od skutków głupoty. Zapamiętajcie, dzieciaki, nigdy nie bawcie się w okultyzm, reinkarnację czy cokolwiek innego. Może to mieć bardzo złe skutki. Duchów i zjaw też nie przyzywajcie.

- Dlaczego, jeśli wolno spytać?

- Te istoty z kolei pragną tylko jednego - powrócić do świata żywych. Jeśli przyzwiecie ducha, ten zrobi wszystko, aby przejąć wasze ciało, a duszę zapieczętować w piekle. - Zul obserwował z zadowoleniem, jak twarze młodych stają się zielone. - Pamiętajcie, żadnego przyzywania. Uwierzcie, wiem z doświadczenia, że wypędzić takie cholery z tego świata o wiele trudniej niż przyzwać.

- To mistrz odpędzał zjawy i demony?

- Musiałem. To nie był mój wybór. Byłem wówczas bardzo blisko kostuchy. Dobra, zmykajcie i żebym was więcej nie przyłapał na takich dureństwach.

- Tak, mistrzu. - Młodzi opuścili pędem krąg i pognali przez las do wioski.

Czarodziej zaś podążył dalej, jak go duch prowadził.

*

Służący minął gobelin przedstawiający ostatnią bitwę Wielkiej Wojny. Uwielbiał go i podziwiał kunszt wykonania oraz serce i staranność twórców. Skręcił w prawo przy zbroi z ogromną buławą i szedł teraz salą kolumn, z których każda zdobiona była płaskorzeźbami w kształcie winorośli. Dotarł do gabinetu królewskiego, gdzie monarcha zazwyczaj obmyślał plany, omawiał strategie bitewne w asyście znamienitych dowódców i strategów bądź ustanawiał nowe przepisy oraz prawa dla narodu Koel Nahal. Młody, bo zaledwie szesnastoletni król Ferdynand przesiadywał tam ostatnio nieustannie w towarzystwie swego nowego szambelana i doradcy. Aż dziw brał sługę, który spędził na tym zamku przeszło piętnaście lat, że nieznajomy, przybyły do stolicy z daleka, tak szybko zyskał przychylność króla i tak ważne stanowisko. Zazwyczaj najbliższym doradcą władcy zostawał człek oddany ojczyźnie, pełniący długoletnią służbę i mający na swym koncie chwalebne czyny - choćby na polu bitwy. Nowy szambelan był bardzo podejrzaną osobistością. Służący nie przepadał za nim, inni dworzanie nie cierpieli go i mieli w pogardzie, jednak Ferdynand darzył go sympatią. Wielu członkom dworu nie podobała się nagła decyzja króla i zwolnienie poprzedniego doradcy. Tamten był dobrym żołnierzem i służył ojczyźnie całym sercem. Nikt jednak nie trafił za decyzjami władców,

szczególnie tak młodych. Zapukał w dębowe, piękne drzwi. Po chwili usłyszał zezwolenie na wejście. Ferdynand siedział w fotelu za biurkiem, naprzeciw zaś miejsce zajmował Klaudiusz, nowy doradca królewski, który objął tę posadę zaledwie trzy tygodnie temu. Młody władca o błękitnych po ojcu oczach i kasztanowych włosach spojrział na sługę.

- Co znowu? Nie widzisz, żem zajęty?

- Łaskawy panie, masz gościa.

- Zaczeka, omawiam teraz ważną kwestię z Klaudiuszem.

- Wasza wysokość, nie sądzę, aby przybysz był łaskaw czekać. To znamienity gość.

- Zaczeka, kim może być, że mi głowę zawraca?

- To ambasador Meo Gao.

- Co?! Nic mi na ten temat nie wiadomo. Zazwyczaj wizyty ambasadorów są z góry ustalone.

- Miłościwy panie, gość prawi, że wizyta jest niezapowiedziana z powodu wojny na północy. Ponoć gobliny podniosły się po rzezi w Dolinie Edgel i szykują się do ataku. A wojna na zachodzie wisi na włosku. Więcej nie wiem. Ambasador ma list od królowej Fetheal oraz odpowiednie glejty potwierdzające jego status. Twierdzi, że ma niewiele czasu oraz długo na dworze nie zabawi i głowy zawracał królowi nie będzie.

Ferdynand spojrział na Klaudiusza.

- Co o tym sądzisz? - spytał, podczas gdy doradca zmarszczył czoło.

- Przyjmij go jak najprędzej, wasza miłość. Powie swoje i odjedzie. A nie przyjąć ambasadora to tak, jakby król

zdradził lub wojnę wypowiedział. Tak stanowi prawo.

- Skoro tak twierdzisz. Każ przygotować mu komnatę i strawę - zwrócił się do służącego. - Podejrzewam, że cały czas był w siodle. Jak się posili, pomówię z nim.

- Tak jest, wasza wysokość.

- Teraz odejdźże, muszę jeszcze przedyskutować kilka kwestii z Klaudiuszem.

Służący opuścił komnatę. Nie podobało mu się pytanie o radę w tak błahej sprawie. Miał wrażenie, że szambelan przejmuje kontrolę nad monarchą. Cóż jednak mógł uczynić? Był tylko sługą. Wypełnił posłusznie polecenia króla i ugościł przybysza. Później był wolny.

*

Słońce, zawieszone już wysoko na nieboskłonie, paliło niemiłosiernie w karki. Angal zdjął większość górnego odzienia i rozpiął pozostałą mu tylko koszulę, lecz nadal było mu zdecydowanie za gorąco. Rozwahał, czy nie zdjąć spodni, lecz hamował się przy tak uroczych towarzyszkach. Z jednej strony przeklinał pogodę, z drugiej błogosławił. Nie tylko on rozdziewał się z powodu upału. Szczególnie podobała mu się rudowłosa Sasha - dziewczucha była młoda, ale miała czym oddychać. Zdjęła większą część górnej garderoby i pozostała tylko w wąskiej bluzeczce, z której rubasznie wystawały jej kształtne piersi. Krasnoludowi serce się radowało i ledwo się wstrzymywał, widząc mokre od potu, piękne piersi ze sterczącymi sutkami. Starał się skupiać uwagę na trakcie, ale nie mógł. Mały Bill był w jeszcze lepszej sytuacji. Będąc

wyższym, widział więcej, nawet palący ból w ramieniu nie psuł mu humoru. Geron dziwił się takiej pogodzie. Była dopiero połowa *lunoji*, a przyroda, zdawało się, czuła już *gyf'baz*^[15]. Wczoraj było cholernie zimno, dziś grzało jak w piekle. Spojrzał na swojego wałacha. Zwierzę ledwo parło naprzód i miało przymglony wzrok. Byli w siodłach od rana. Zarządził więc postój i poszedł szukać sadzawki, by napoić konie. Rose podążyła za nim. Krętobrody przechylił bukłak i na język spadła mu ostatnia kropla. Zerwał się, zebrał pozostałe naczynia i pobiegł za parą. Bill usiadł pod drzewem, w cieniu, i lewą ręką zdjął opatrunek. Spojrzał na swoje rozerwane przedramię. Było już zdecydowanie lepiej, rana się goiła i zaczęła zablizniać. Za tydzień powinno być po wszystkim. Mimo to zacisnął zęby i skropił przedramię spirytusem, po czym posmarował maścią od znachora z doliny. Dwa dni wcześniej powiedział Rose, że jest w stanie sam sobie zmieniać opatrunki. Elfka na to przystała. Sięgnął do torby i wyjął świeży kawałek bandażu. Zawiązał, mocno ścisnął i spiął klamrą. Po chwili wrócili Geron i Rose. Znaleźli rzeński strumień, ujęli konie za uzdy i zaprowadzili, by się napoiły. Bill pomógł im. Sasha została, by się posilić. Nagle zorientowała się, że nie ma z nią Naomi i Catheriny. Coś mówiło jej, że to nie wróży nic dobrego. Angal zakończył napełnianie bukłaków i menzurek. Naznaczony gładził szyję wierzchowca. Zwierzęta piły łąpczywie, Bill nie dziwił się. Wyrwał swoją menzurkę z rąk krasnoluda i żłopał. Nagle rozległ się wrzask. Wysoki, piskliwy głos, jakby kogoś zarzynali. Krętobrody wyprostował się.

- To nie była przypadkiem Sasha?

- I mnie się tak wydaje - powiedziała Rose. - Chodźmy, coś musiało się stać.

Pobiegli pędem na wzniesienie, za którym była droga i ich postój. Kiedy dotarli na miejsce, jakiś zakapturzony typ stał nad martwym ciałem dziewczyny. W ręku dzierżył dwustronny miecz z długą rękojeścią. Spojrzał na nich. Miał nieziemsko bladą twarz z czarnymi obwódkami wokół oczu. Spod kaptura opadały mu na twarz czarne jak noc kosmyki włosów.

- Witam. Właśnie was szukałem. Ta tu nie chciała nic powiedzieć, a tacy ludzie nie stanowią dla mnie żadnej wartości.

- A ty kto? Kolejny łowca nagród? - zapytał ironicznie Geron.

- To Qill Bane - rzekł za niego Bill.

- Znasz go? - zdziwił się Angal. - Co to za drań?

- Proszę, i Billy tu jest - syknął drab. - Nie wyrównaliśmy rachunków.

- Bill, o co chodzi?

- Kiedyś dałem mu w mordę, przez co nie wypełnił swojego zadania, a jego zleceniodawca srogo go ukarał.

- Dziś nadszedł dzień i spłacisz dług - rzekł zimno Bane.

- To kim on jest? - zdziwił się Naznaczony.

- Geron, stary, przyjrzyj mu się - odparł sucho Krętobrody.

Zlustrowali go. Czarny, obcisły płaszcz z kapturem, spięty szerokim pasem z szeregiem noży, kardem i mieczem. Skórzane buty i ciemne spodnie. Spod płaszcza wystawał skraj napierśnika. Wybraniec aż wrzasnął.

- Jebany asasyn! Kolejna szumowina pracująca dla wroga!
- Teraz zginiesz, glizdo chędożona - rzekł Bill. - Moi towarzysze nienawidzą ludzi twojej profesji.

- Wali mnie to. Dobrze płacą, więc was załatwię.

- Koleś, lepiej weź rzyć w troki i uciekaj. Już skopaliśmy dupę jednemu zabójcy, drugiego też zaszlachtujemy z czystą satysfakcją. - Angal sięgnął po topór.

- Ciekawe, niby jaki to asasyn wam ledwo uciekł - parsknął Bane. - Pewnikiem jakiś najśłabszy.

- Zwał się Sedar i ledwo umknął - rzekł Naznaczony.

Bane'owi zrzędała mina. Nic więcej nie powiedział, tylko rzucił się na nich ze swą bronią, robiąc brawurowe salta i piruety. Zaskoczeni, cofnęli się, jednakże w mig broń znalazła się w ich dłoniach. Rose zastanawiała się, gdzie przebywają czarodziejka z wojowniczką. Qill zwinnie uderzał pod różnymi kątami, a jego ostrza nieustannie cięły powietrze. Geron, Angal i Bill ledwo sparowali uderzenia i unikali zwinnej stali. Tymczasem Rose wspięła się na najbliższe drzewo i napięła cięciwę. Asasyn zrobił podbieg i skoczył, odbijając się od pnia, robiąc obrót w powietrzu, przechylając ciężar ciała na lewą stronę, a jego prawa noga, znalazłszy się wysoko w powietrzu, rąbnęła mocno Billa w twarz, odrzucając olbrzyma w tył, a broń zabójcy, złowieszczo kręcąca mordercze młynki, smagnęła po czole Naznaczonego. Geron otarł krew i zmienił wyraz twarzy na zajadle wściekły, gdy Qill zgrabnie wylądował tuż przed nosem krasnoluda, uderzając go z łokcia w nos i rzucając na ziemię. Zabójca spojrzał w górę i robiąc dwa salta w tył, uniknął trzech strzał Rose. Krasnolud powstał

i stanął obok kamratów. Cała trójka była wściekła, zaatakowali łotra jednocześnie. Ten tylko uśmiechnął się paskudnie. Zrobił unik w lewo, a pędzący na niego Krętobrody wpadł na znajdujący się za drabem pień. Qill sparował uderzenia Billa i Wybrańca, klingi świszcząły, brzęk stali unosił się w dal. Angal wykorzystał nieuwagę asasyna i podbiegając od tyłu, trzasnął zbója w nogę swym młotem, po czym zajął miejsce obok kompanów. Bane ugiął się na zranionej prawej nodze i cofnął nieco, lecz po chwili rzucił się wściekle i podciął nogę krasnoluda, aż ten jęknął, przeciął udo Geronowi i lewy łokieć Billa. Angal, klęcząc na prawym kolanie, w akcie desperacji złapał broń asasyna swoim hakiem i przyciągnął do siebie. Zabójca stracił na chwilę równowagę. Wykorzystał to Bill i rozrąbał mu broń na pół, Naznaczony zaś kopnął go z całej siły w lewą dłoń. Drab upuścił broń i z mieczem w ręku wycofał się na parę kroków pod drzewo. Spojrzał w górę i skamieniał. W ostatniej chwili uchylił się, jednak strzała Rose przygwoździła skraj jego szaty do drzewa. Chciał ją wyrwać, jednak następna przebiła mu lewą przedramię. Wrzasnął oburzony. Elfka strzeliła jeszcze dwa razy. Ręka wściekłego asasyna wyglądała jak strzelnica. Trzy strzały zespoliły go z pniem dębu, krew sączyła się spod szaty. Bane nie odpuścił. Zdrową ręką rzucił nóż, który utkwiał w prawym, zbolałym przedramieniu Billa. Olbrzym syknął i upadł na kolana. Kolejnego noża drab nie rzucił. Angal przyłożył mu młotem w łapę, potem w klejnoty. Błada twarz zakapiora zrobiła się czerwona. W tym momencie na drodze pojawiły się Catherina i Naomi. Zaniepokoiły się zastaną

sytuacją. Czarodziejka dostrzegła martwą Saszę. Rozplakała się i podbiegła do jej ciała. Geron podszedł do asasyna.

- Jak nas znalazłeś?

- Zapytajcie swoją znajomą.

- O czym ty mówisz?

- Domyśl się.

- Kończ z nim - spiął się Angal. - Asasynom nie warto darować życia.

- Racja. Gnij w piekle, drabie. - Naznaczony bezlitośnie odciął mu głowę. Spojrzał na dwie nowe towarzyszki. - Gdzie wyście były, do kurwy nędzy?!

- Rozwaliłam sobie nogę w lesie. Naomi mi pomogła - tłumaczyła Catherina.

- On jej to zrobiiiiiiił? - łkała czarodziejka nad ciałem przyjaciółki.

- Tak, nie zdążyliśmy jej pomóc - rzekł smutno Geron. - Poiliśmy konie. Właśnie, Angal, idźcie z Billem po nie. - Kompani pokiwali ochoczo głowami i odeszli - Zastanawiam się, jak ten drab nas tu znalazł.

- Dzięki niej. - Rose wskazała na Catherinę.

- Co?! - zdziwiła się wojowniczką. - Rozum ci odjęło?

- Bane tuż przed śmiercią kazał spytać naszą nową znajomą i spojrzał na ciebie.

- Rose ma rację. I dlaczego właśnie w chwili, gdy zaatakował asasyn, was dwóch tu nie było? Odciągnęłaś czarodziejkę jak najdalej, żeby mu się udało.

- Zwariowaliście do reszty? Rozwaliłam sobie nogę.

Rose podbiegła do niej i zdarła bandaż z lewej nogi.

Przyjrzała się ranie.

- To rana kłuta, nożem. Wątpię, żeby w lesie leżały noże.

- Bo... to były wnyki.

- Co? - Naomi wstała znad ciała. - Mówiłaś, że coś cię ukąsiło.

- Wnyki mnie ukąsiły.

- Catherina, ty kłamiesz!

- No dobra, sprowadziłam go tu. Tylko dlatego wlokłam się z tobą. Wiedziałam, że ich znajdziesz, on miał odwalić robotę, ja cię odciągnąć. Mieliśmy podzielić się zyskami na pół, ale dał dupy, jak widzę.

- Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką!

- Zgłupiałaś? Kto normalny wlecze się za obłąkaną czarownicą dla rozrywki?

- Ty... I dlatego ONA musiała zginąć?

- Nie wiedziałam, co z nią robi. Miał się zabawić, w końcu to niezła dupa.

- Nie mogę. Wszędzie zdrajcy. - Geron złapał się za głowę. - Może ty też pracujesz dla wroga, kochanie?

- Uwierz, już byś nie żył. Miałam setki sposobności.

- Ano racja. Co z nią zrobimy?

- Niech same to rozstrzygną. Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę wchodzić wścieklej czarodziejce w drogę. Patrz, idą z końmi.

Istotnie, ich towarzysze prowadzili wierzchowce. Odwrócili się do nich. Tamci stanęli osłupiali. Wtem za ich plecami rozległ się potworny wybuch. Naznaczony prędko się obrócił. Naomi klęczała z dłońmi przyciśniętymi do tułowia

i łkała. W miejscu, w którym wcześniej stała wojowniczką, teraz była wypalona dziura i mnóstwo fragmentów rozerwanego ciała.

- Miałam dwie towarzyski, szukałam z nimi tego wybranego. Miało być cudownie. Teraz jestem sama, a jego nie ma. - Otarła łzę.

- Nie płacz. - Geron pochylił się nad nią. - Na razie masz nas. Pochowamy Saszę i ruszymy dalej, na północ. Tam spotkasz swojego wybranego i na pewno odnajdziesz swoje miejsce.

- Tylko tak mówisz.

- Nie. - Rose także się pochyliła. - Mówi za naszą czwórkę. Po drodze przyda nam się taka znamienitość jak ty. Spójrz, słońce świeci wysoko, żadnej chmurki. To dobry znak. Nie martw się. Każdy z nas kogoś ostatnio stracił. Głowa do góry.

- Macie rację, nie mogę się załamywać. Naprawdę pomożecie mi pochować Saszę?

- Oczywiście - odparł Geron, uśmiechając się. - To nasz obowiązek. Była jedną z nas, a my nigdy nie porzucamy swoich.

*

Po raz wtóry czułem tę okropną pustkę. Od miesięcy wędrowałem z Geronem, Rose i Angalem, później dołączali pozostali. Przyzwyczałem się do niebezpieczeństw, stworów pragnących mojej wątroby, suchych dowcipów Angala i przekleństw na każdym

kroku. Teraz już drugi tydzień wędrowałem samotnie, bez żadnego zabezpieczenia pleców, polegając tylko na sobie. Jednak przeor nakazał mi iść, a ja muszę wykonywać polecenia przełożonego. Słyszałem historię o tym, jak za niesubordynację odbierano moc. Niezbyt przyjemny proceder. Ponoć ból w tkankach jest niemiłosierny.

Ta droga była strasznie nudna. Sądziłem, że na trzęsawisku spotkam jakąś ciekawą bestyjkę, ale ten teren jest całkowicie pusty, jałowy na wskroś. Tylko torf i w wielu miejscach bagna. Przebycie ich zajęło mi kilka godzin, jednak przed zmrokiem znalazłem się po drugiej stronie. Pół mili na północ, wśród skał, znalazłem wejście do jaskini, tak jak mówił duch. Nie uśmiechało mi się jednak wejście w głąb pieczary. Z powodu czterorękiego mam złe skojarzenia. Kto wie, co się tam szlaja. Podejrzewam, że nieumarli, lecz przeczucie mi mówi, że oni nie byłiby największym zmartwieniem. Mogę natknąć się na wiwernę, której dotąd nie spotkałem, na bazyliuszka - wtedy na pewno będę martwy, możliwe, że na dybuka - choć z nim to bym się dogadał, na stado harpii - które w pojedynkę się nie pokazują. Stworów zamieszkujących jaskinie i tunele jest wiele. Nazw tych najokropniejszych i najpotężniejszych nie znam. Wiem, że i tak zginę - jeśli uda mi się przebrnąć przez tunel i wejść do Sali Szeptów - wówczas załatwi mnie liniowiec. Można śmiało rzec, że przeor wysłał mnie na pewną śmierć. Czuję się zdradzony, lecz cóż pocznę - starszych, znaczących

magów nie pośle, a pozostali są rozsiani po całym Wszechziemiu. Trudno, przyjmę wszystko, co los mi zgotował. Może chociaż bogowie zlitują się nad mą skołataną duszą.

*

Minęły dwie godziny od pozostawienia mogiły Sashy w lesie, przy dukcie. Geron sprawdził mapę. Niebawem powinni dotrzeć do miasteczka Diwol. Z niego mogą udać się głównym traktem w kierunku Rodo, a ze stolicy prosto jak w mordę strzelił do Meo Gao na północny zachód, przecinając Yohinę. Angal wyprostował się w siodle. Ktoś nadjeżdżał z północy w ich kierunku. Krasnolud stęknął.

- Jeśli to kolejny pieprzony handlarz próbujący wcisnąć nam wysmarowany czosnkiem amulet na wampiry albo magiczny miecz bez najmniejszej inskrypcji, to mu flaki wypruję.

- Ich nieszczęście, że natrafili na kowala-zaklinacza - rzekł wesoło Bill.

- Widziałeś, co ten ostatni chciał mi wcisnąć? Idiota, nigdy na oczy zaklętej broni nie widział. No, skurwysyn. A jak uparcie przekonywał, że ten miecz jest magiczny, bo ma w gardzie wkuty najlichszy, jaki widziałem, rubin.

- Najwyraźniej nie wszyscy we Wszechziemiu wiedzą, że o mocy miecza świadczą wyryte na nim inskrypcje - dorzuciła Naomi.

- Coś mi mówi, że on sam go wykuł i to wczoraj, zanim z tym kramem na trasę ruszył. To była niemal surowa stal.

- Jakoś na chleb zarobić musi - dodała Rose. - Władcy teraz podatków nie ściągają, ale każdy musi ofiarować daninę na potrzeby armii. A durni chłopci i tak kupią ten złom, bo się nie znają.

- Phi. Ja tym jego mieczem bym się nawet nie ogolił. To było tak tępe, jak drewniane zabawki dla dzieciaków.

- To chyba nie żaden kupiec - rzekł Geron. - To mi wygląda na zbrojnych.

- W liczbie pięciu. - Elfka zmrużyła oczy. - O w mordę.

- Co?

- Mają królewski proporzec.

- Zajebicie - prychnął Kręstobrody. - Do Rodo jeszcze sto mil, a już nas witają.

Po kilku chwilach konwersacji o tym, czemuż to wojacy z kluczowej części armii wałęsają się po Koel Nahal, zrównali się. Aktualnie znajdowali się na tej części drogi, w której gruz i piach przechodził w brukowany trakt. Słońce przestało grzać uszczypliwie w karki i zmierzało na zachód. Las przerzedził się, pola uprawne sprószone były zielenią wybijających się z ziemi roślinek, najprawdopodobniej zbóż. W oddali widzieli chłopów sadzących ziemniaki, orzących rolę, pasących trzodę. Żaden rolnik nie zwracał uwagi na trakt i to, co się na nim dzieje. Na horyzoncie ukazywały się zarysy Diwol, lecz nie sposób było dostrzec bramy. Daleko na zachodzie groźnie majaczyły góry. Tak jak mówiła Rose, jeźdźców było pięciu. Jeden dzierżył proporzec królewskiego rodu. Byli w pełnym rynsztunku, jednak bez hełmów. Wojacy wstrzymali konie przy nadjeżdżającej z południa kompanii.

- Bądźcie pozdrowieni, szlachetni mężowie i wy, piękne damy - rzekł pierwszy, kasztanowłosy. Ewidentnie on tu dowodził.

- Miło powitać chlubę tej ziemi - odparł Geron fachowo. - Czemu zawdzięczamy to spotkanie?

- Widząc wasze lica i mając potwierdzone informacje z wiosek na południu naszego kraju, utwierdzam się w przekonaniu, że jesteście długo oczekiwanymi na tej ziemi gośćmi, mości Geronie.

- Hm, czyli znasz, panie, nasze miana.

- Nie wszystkie, gdyż owej damy nie rozpoznaję. - Wskazał na czarodziejkę. Geron spojrzał, lecz zaraz odwrócił głowę ku zbrojnym.

- Mniejsza o nią. Mówże pan, jak się zowiesz i czemu zatrzymujesz nas w szczerym polu. Chłopi patrzą.

- Już mówię. Jam jest Nestor, dowódca pułku kawalerii, obecnie prawa ręka diuka Aarona Hamasa.

- Miło poznać, ale czemu nas wstrzymujecie?

- Z polecenia diuka mamy eskortować was do jego posiadłości. Pan Hamas nalega. Ma dla was pewne ważne informacje, mogące mieć wpływ na wasze dalsze decyzje.

Geron uniósł brwi, Angal podkręcił wąsa. Naznaczony spojrzał na kamratów.

- Wiesz, mości Nestorze, mieliśmy zamiar zatrzymać się w Diwol na kilka godzin w celu uzupełnienia zapasów i sprzedania pewnego towaru. Takie nagłe zaproszenie wielce mnie niepokoi. Na naszej drodze spotkaliśmy wielu pragnących naszej śmierci, również w trybie

natychmiastowym.

- Nie trwóście się. Diuk Hamas nie ma złych intencji. Od lat działa w armii i oddałby życie za Wszechziemie. Zjecie wraz z nim obiad, omówicie sprawy, które chce z wami przedyskutować, zapewni wam dobre ceny w handlu. Później ruszycie dalej, diuk nie będzie was więził. Prosi tylko, byście przystali na jego zaproszenie. Hamasa lepiej nie gniewać.

Naznaczony spojrział na towarzyszy. Mieli nietęgę miny. Im też nie uśmiechała się wizyta u jakiegoś władarza. Nie po tym, co ostatnio przeszli. Mimo to Naomi rzekła:

- Według mnie powinniśmy przyjąć zaproszenie. W końcu to pan tej ziemi i wojskowy. Zapewne ma wysoką rangę w armii, a waśń z nim tylko przysporzyłaby nam kłopotów.

- Naomi ma rację - poparł ją Angal. - Z wojskowymi trzeba mieć układy. Raz poprzytykałem się z jednym dziesiętnikiem. Król Fergus ostro mnie zrugął. A ten na pewno ma wyższy stopień niż głupi dziesiętnik.

- Dobra, panie Nestorze. - Geron machnął ręką. - Prowadź do tego diuka. Śpieszy nam się, ale możemy zabawić kilka godzin w jego rezydencji.

Kawalerzysta kiwnął głową, machnął na swoich i podążyli do Diwol. Jechali stępa, później przyspieszyli. Strażnicy przy bramie nawet nie zareagowali. Dziesięcioro jeźdźców przemknęło przez ulice miasta. Mieszczanie schodzili z drogi, widząc żołnierzy. Po dziesięciu przecznicach, rzeźni, kuźni, warsztacie stolarskim, bednarzu, gorzelni i trzech karczmach, do których Angal westchnął tęskno, dotarli do posiadłości diuka. Przy drzwiach wejściowych Nestor odprawił swoich

i osobiście poprowadził gości. Aaron czekał na nich przy zastawionym stole. Służba kręciła się, donosząc potrawy z kuchni.

- Nareszcie! W moich skromnych progach bohaterowie spod Balha Deal. - Diuk rozłożył ręce i wstał od stołu, aby uścisnąć po kolei każdego z gości. Ku wielkiemu zdziwieniu Krętobrodego, Hamas nie był starym, zapuszczonym wojakiem, który dostał tytuł i osiadł na laurach. Aaron miał może trzydzieści pięć lat, krótko ścięte blond włosy, niedużą, aczkolwiek imponującą brodę i szare oczy, był dość wysoki i dobrze zbudowany. Odziany był w srebrny napierśnik wykuty w nieznanym krasnoludowi stylu, szmaragdową pelerynę spiętą złotą kłamrą w kształcie liścia dębu, nosił skórzany pas, srebrne nagolenniki i wysokie buty.

- Wybaczcie, że w taki sposób doszło do naszego spotkania - rzekł, gdy już wyściskał wszystkich, czarodziejka została oficjalnie przedstawiona i każdy zasiadł do stołu. - Musiałem jednak ściągnąć was z drogi, zanim wyniuchałyby was czujki króla.

- To ty, panie, działasz przeciwko Ferdynandowi? - zdumiała się Naomi.

- Nie w tym rzecz.

- Tak się zastanawiam, gdzieś mości Hamasa widział i w końcu wiem - wtrącił Angal. - To nie ty, panie, jesteś przypadkiem nowym szambelanem na królewskim dworze? Von Werel mi coś o panu mówił, a przecież pan zamawiał w mojej kuźni broń dla swoich żołnierzy.

- Tak, spotkaliśmy się już, mości Krętobrody. Zasmucę cię

jednak, bo nie jestem już szambelanem.

- Jakże to? - Teraz Geron zdurniał.

- Powiem wam wszystko, co wiedzieć powinniście. Król Joachim zmarł w dziwnych okolicznościach i władzę przejął po nim syn, jeszcze nieletni Ferdynand. Nie darzył on von Werela takim zaufaniem jak ojciec. Natomiast ja miałem z nim dobry kontakt, od lat byłem jego kawalkatorem, uczyłem go fechtunku, posługiwania się buzdycanem, morgensternem, buławą, piką i wszelką bronią białą, z którą sam styczność miałem. Tak więc młody władca zdegradował Rodryga i awansował mnie na jego stanowisko. Wszystko było pięknie, ale niecały miesiąc temu na królewskim dworze pojawił się niejaki Klaudiusz. Mówił, że jest jakimś wysłannikiem czy coś. Ferdynandowi nie przypadł on do gustu, ale pozwolił mu zostać. I następnego dnia stała się rzecz niewytłumaczalna - król wezwał mnie i stwierdził, że nie nadaję się na piastowaną funkcję, więc przydziela mi garnizon, a moje stanowisko zajmuje ten cały Klaudiusz.

- Coś mi tu nie pasuje - wtrąciła Naomi. - Mówił pan, że młody nie był mu przychylny.

- Nikt na dworze nie był. W ciągu jednej nocy myślenie młodego króla zmieniło się diametralnie.

- To tak, jakby ten cały Klaudiusz zaczarował młodego - dodał Angal.

- I mnie się tak wydaje. Od tego czasu źle się dzieje w Koel Nahal. - Aaron sięgnął po udziec.

- A czemu to, mając w wojsku rangę tak wysoką, siedzisz, panie, w rezydencji, gdy wojna toczy zachód, a wróg

nadciągnie niechybnie? – spytał Geron.

- Wszystko przez tego nowego doradcę. Ten cały Klaudiusz miesza w głowie Ferdynandowi. Kazał wojsku zwinąć obozy i rozjechać się po kraju, odmówił pomocy Fetheal, a ostatnio nawet królową Eliess wraz z całym wojskiem i dworem odesłał do Lafaryngii.

- Nieprawdopodobne – szepnęła Rose.

- Ten Klaudiusz to musi być jakiś cholerny agent orków – stwierdził krasnolud. – Działa na niekorzyść Wszechziemia.

- Nikt nic z tym nie zrobił? – zdziwił się Bill, który kończył pałaszować indyka.

- Zająłem się tym. Wysłałem tam specjalnego człowieka, który wywacha, kim tak naprawdę jest Klaudiusz i pomoże mu cicho zniknąć – powiedział gospodarz.

- A czemu nas ściągnąłeś z duktu? – dociekał Naznaczony.

- Odkąd Klaudiusz jest szambelanem, król próbuje dowiedzieć się, gdzie przebywacie. Widziano was na granicy, potem zniknęliście na ponad tydzień, jakiś szpieg dostrzegł was na szlaku, a później znów przepadliście bez wieści. Macie szczęście, że moi ludzie wcześniej was wypatrzyli. Miesiąc temu król nie zawracał sobie wami głowy, a ostatnio wszędzie was szuka. Ponoć chce was ugościć. To szambelan go podjudza. Podejrzewam, że Klaudiusz zakułby was w dyby i podsunął orkom, gdyby was teraz dorwał. Moi ludzie przechwycili szpiega Klaudiusza na szlaku.

- Geronie, w takim układzie nie możemy jechać przez stolicę – rzekł Bill.

- Ani się ważcie! – syknął Aaron.

- Cholera, musimy okrążyć stolicę od północy, bo na zachodzie siedzą orkowie - westchnął Angal. - A to, kuźwa, dodatkowe sto mil!

- Szpiedzy Klaudiusza i tak by was dostrzegli.

- Cóż więc mamy począć?

- Pomogę wam. W końcu Lodowego Pana tylko ty możesz pokonać, zanim wszystkim tyłki odmrozi. Przemycę was do Meo Gao.

- Ciekawe jak?

- Jutro wyrusza tabor z żywnością do Balha Daghan. Królowa Fetheal szykuje się do wojny z goblinami. Ukryję was w karawanach, pomiędzy pakunkami. Jak się nie będziecie wychylać za dnia, to Klaudiusz was nie wyniucha.

- Tydzień będziemy podróżować zamiast czterech dni, ale chyba nie mamy wyboru - rzekł smutno Geron. - Albo to, albo lochy.

- Nie zamartwiajcie się tak. W końcu unikniecie złego. A teraz jedzcie i pijcie, wino mam przednie, a dania delikatne, cieszące podniebienia!

Obyło się bez powtarzania. Kompania opróżniała kolejne półmiski, by później szykować się do niezbyt wygodnej, aczkolwiek bezpiecznej podróży. Po raz wtóry więc unikną konfrontacji z wrogiem.

*

Czwartej nocy ambasador był już pewien. Miał u boku trzech ludzi Hamasa, również nadworny mag króla, mistrz Yan, zgodził się towarzyszyć mu w tejże cichej akcji. Po kolacji

petent z Balha Daghan poprosił szambelana o rozmowę na osobności, poza królewską audiencją. Klaudiusz zgodził się na konwersację, ustalili więc, że spotkają się w gabinecie królewskiego doradcy po kolacji. Ambasador zapukał i wszedł. Klaudiusz zdziwił się, widząc obstawę gościa.

- Cóż to ma znaczyć? Chciałeś rozmowy w cztery oczy.

- Zamknijcie drzwi - polecił ambasador. - Spróbuj wezwać straż, a pożałujesz.

- To zamach! Zdrada! To się nie godzi, by wysoko postawionego urzędnika straszyć!

- Panie, na twoje stanowisko porządni obywatele pracują latami. Tyś nawet nie stąd, a dostałeś posadę na drugi dzień. To śmierdzi na kilometr.

- Jestem charyzmatyczny i inteligentny, to wystarcza.

- Nie mydl mi pan oczu. Rzuciłeś na króla urok. Teraz nadeszła chwila, by dowiedzieć się, jakżeś to uczynił. Mistrzu Yanie, to czarnoksiężnik albo chociaż najlichszy mag?

- Nie - rzekł po chwili skupienia czarodziej. - Nie ma w nim krzty boskiej mocy.

- Znaczy się pochodzi od Złego. - Ambasador zbliżył się do Klaudiusza i złapawszy za szyję, bez żadnego ostrzeżenia podniósł go wysoko w górę. - Pokaż zęby, łachmyto!

- Puszczaj pan! - Spojrzeli sobie w oczy. Oczy doradcy rozwarły się szeroko. - Ty! To ty! Podobno nie żyjesz!

- Wyciągaj te kiełki. - Ambasador dokładnie zbadał wijącego się w jego ręku szambelana. - Tak myślałem. Mogę go utłuc na miejscu? - zapytał Yana.

- Dlaczego miałbyś go zabijać?

- To wernhora. Omotał Ferdynanda.
- Teraz wszystko staje się jasne! Ale raczej nie działa na własną rękę. Pewno pracuje dla orków!
- Wiadoma rzecz. Prawdopodobnie też nie tylko i wyłącznie dla nich. To by było za łatwe. Oni lubią zawiłość. Gadaj, dla kogo naprawdę pracujesz?!
- Nic ci nie powiem, lykaninie!
- Co on powiedział? - zdziwił się czarodziej. - Waćpan jesteś lykaninem?
- Tak, w przeciwnym wypadku kontrolowałyby mnie jak was. Ten dziad parchaty ma wielką krzepę w łapie, ale jak widać, ja mam większą.
- Przesłuchamy go?
- Nic to nie da. Tortury na nich nie działają. Zregeneruje tkanki.
- To czyń pan swoją powinność. - Stary czarodziej machnął ręką. Zakapturzony lykanin przepoczwarzył lewą rękę w potężną łapę. Wtedy Klaudiusz cicho syknął.
- Mój prawdziwy pan i tak zniszczy wszystkich twoich podwładnych, generale la Vardo. Nie zdołasz go powstrzymać.
- Już to gdzieś słyszałem. Przekonamy się. - Wbił mu pazury głęboko w gardło. Wernhora trzęsła się w konwulsjach, z ust Klaudiusza wypłynęła krew. La Vardo szarpnął, wyrywając gardziel, po czym odciął głowę byłemu już szambelanowi. Spojrzał na rozchylone szaty trupa. Zauważył coś na prawej piersi, zdarł więc ten skraj szaty i przyjrzał się dokładniej. Na ciele wypalona była litera W. Czarodziej podszedł i również spojrział na symbol.

- Cóż to? To od nazwy jego podgatunku?

- Raczej nie. Nie mają w zwyczaju chwalić się swoją pozycją w taki sposób.

- Więc cóż to znaczy?

- Nie mam pojęcia, ale się dowiem. Jeszcze dziś opuszczam Rodo i zbiorę ludzi, by zbadać tę sprawę. Za tym musi się kryć jakaś większa afera.

- Przepraszam - wtrącił jeden z ludzi Aarona. - Dlaczego nazywa się ich wernhorami?

- To uproszczona nazwa odpowiednika z języka elfów - wytłumaczył la Vardo - *Werera nyro horre* co tłumaczy się 'większy niż wysysacz'. Odnosi się to do wampirów. Ogólnie cytat pochodzi ze starego traktatu, który ugruntował nazewnictwo tej podłej rasy. Co ciekawe, ta sama rozprawa omawia lykanów.

- Może generał przytoczyć? Bo waszego nazewnictwa też nie pojmuję.

- *Vamme pirro ea's tero bestto, nea terra werera nyro horre*. Ten cytat w pierwszej części tłumaczy nazwę wampirów, w drugiej wernhor i znaczy 'Krew pijący jest okrutną bestią, lecz gorszy ten, co większy niż wysysacz'. Później napisane jest *Weid kolla nuthmien yelp'la gearo, deorro kea uit lykke kanno*. 'Wilczy pomiot człowieczy rozrywa gardła, lecz mocniejszy mający nad hybrydą kontrolę'. Pierwszy wers dotyczy wilkołaków, drugi mojego gatunku.

- Dziękuję, generale. Skąd to wiesz?

- Kiedyś postanowiłem dowiedzieć się, co naprawdę

oznacza nazwa tego, czym jestem, i odnalazłem zakurzoną księgę. Dobra, teraz mnie przepuście. Zwłoki usuńcie, najlepiej wywieźcie do lasu. Do mistrza mam prośbę.

- Tak, synu? - odparł Yan.

- Musisz wytłumaczyć królowi nagłe zniknięcie jego szambelana. Powiedz, że dostał pilne wezwanie lub coś w tym stylu i poradź, aby na posadę ponownie przyjął Aarona Hamasa. To mój dawny znajomy. Na jego prośbę tutaj przybyłem.

- Dobrze zatem, zrobię, co w mojej mocy. Dobrej podróży. Obyś nie utrafił na orków.

- Dziękuję. Niech król zbierze armię w jak najkrótszym czasie i umocni granicę. Do zobaczenia wkrótce.

- Niech bogowie mają cię w opiece, nasz dobroczyńco.

*

Rozbił na kawałki ostatni szkielet. Był zmęczony jak nigdy w życiu. W tunelu natknął się na dwa trolle, potem na wiwerne - jeszcze w swym żywocie nie widział tak zwinnego jaszczura, jego ciemna skóra jest piękna i wytrzymała, lecz szpony ostre jak brzytwy Angala. Wiwerna rozerwała mu lewą nogę - obwiązał ją zaklętym bandażem, lecz po wyjściu z tunelu na dziedzińcu czekała na niego kolejna niespodzianka - pochodzący z początków świata stwór, wygnany przez dwunastu magów, gdy odmówił pomocy w walce z hordą orków - sfinks. Zul spojrział, ledwo żywy, na otoczenie. Wyszedł z tunelu na dziedziniec-taras wielkiej, ciemnej twierdzy. Taras był wykuty w kamieniu, w kształcie okręgu, otoczony

przepaściami – jedyna droga z tunelu prowadziła na wprost, do wrót twierdzy, za którą groźnie majaczyły jakieś mroczne góry. Niebo było dziwne – zielono-bure, nieprzyjemne, wprawiające w melancholię, a w powietrzu unosił się zapach siarki. Ciężkie czarne chmury wisiały niepewnie na nieboskłonie. Czarodziej, kulejący na lewą nogę, spojrzał dookoła i zwątpił, a upadł na duchu jeszcze bardziej, gdy zobaczył strażnika przejścia. Naprawdę czuł się zdradzony przez przeora, lecz nie miał wyboru. Najbardziej bał się spotkania z liniowcem. Do teraz nie wiedział, jak wpadł na rozwiązanie zagadki pół-kobiety, pół-lwa. Stwór wówczas rzucił się w przepaść. Nie rozważał tego, gdyż po otwarciu wrót zaatakowało go stado szkieletów. Teraz, gdy ostatni był kupką kości, schował miecz, błogosławiąc Festusa i Błatego Wilka, którzy podszkolili go we władaniu bronią. Oczywiście mógł czarować, ale w pojedynkę przeciwko hordzie szkieletów nie miał czasu na układy i formuły. Rozejrzał się. Twierdza w środku była taka sama jak na zewnątrz – czarna, mroczna, wykuta z nieznanego Zulowi kamienia. Nie było w niej okien, wewnątrz oświetlały jedynie płonące zielonym ogniem pochodnie rozmieszczone co kilka metrów. Przedśionek był strzelisty, wysoki, podparty czterema kolumnami, lecz pusty, bez żadnych mebli czy ozdób. Jedyna droga prowadziła w górę, po schodach, do kolejnej komnaty. Miał nadzieję, że będzie to Sala Szeptów. Serce waliło mu niemiłosiernie, czuł każdy mięsień, a w szczególności pałący ból w lewej nodze. Przełknął ślinę i ruszył w górę. Wyciągał już dłoń do klamki, gdy w jego umyśle ktoś się pojawił. Ingerował w jego myśli.

Usłyszał syczący głos: *Nareszcie. Udało ci się.* Bez chwili zastanowienia zapytał w myślach: *Co mi się udało?* Niemal natychmiast padła odpowiedź: *Dotarłeś do mnie. Twoje poszukiwania dobiegają kresu.* Otworzył drzwi. Znalazł się w długim, ciemnym korytarzu, oświetlonym jedynie migotliwym blaskiem pochodni płonących ogniem szmaragdowej barwy. Czarodziej miał wrażenie, że to przejście jest nieskończone. Zwątpił całkowicie. *Nie bój się. Chodź do mnie,* usłyszał w swej głowie. *Pewnie, jakżeby inaczej. Ciekawe, jaka cholera mnie znowu zaatakuje,* odparł w umyśle. *Nic ci nie grozi. Ten korytarz to szlak twojej duszy. Jeśli jesteś prawy, dotrzesz do drzwi bezpiecznie.* Zł ruszył niepewnie, zastanawiając się, czy jest prawy, lewy, czy pomiędzy. Strach ścisnął mu gardło. Po raz pierwszy w życiu znajdował się w takim miejscu. Słyszał o długich, ciemnych, śmierdzących lochach i katakumbach pełnych zniekształconych stworów, lecz nie przypuszczał, że dane mu będzie znajdować się w takim miejscu – długim, pełnym mroku korytarzu, w którym mógł się spodziewać wszystkiego, zważając na to, co zostało za jego plecami. Czytał kiedyś w klasztornej księdze o stworach, przy pomocy których Raal chciał zniewolić Wszechziemie, jednak bracia przeszkadzili mu w tworzeniu i odebrali moc. Te stwory nigdy nie powstały, jednak już nadano im nazwę – smoki. Słowo pochodzące z języka elfów *smoleum kao'i* znaczące dosłownie ‘ognisty demon’, gdyż podobno Upadły chciał obdarzyć je mocą ognia. Teraz zastanawiał się, czy może liniowiec to nie ożywiony jakimś sposobem prototyp smoka, wykreowany przez Raala,

nim bracia odebrali mu moc. Usłyszał zaraz odpowiedź: *Nie trwóż się, nie jestem ognistą zgubą. Pochodzę od twoich bogów.* Zul odetchnął. Maszerował tym mrocznym korytarzem dobrych kilka jardów, aż w końcu dotarł do końca, do ciemnych drzwi z klamką w kształcie czaszki. Wszedł i zaparło mu dech w piersi. Ta komnata była pełna słonecznego światła, jasna niczym wiosenny poranek. Sala była okrągła, u powały znajdowały się szerokie okna przepuszczające promienie słoneczne. Wokół ustawionych było mnóstwo zwierciadeł pełnych migotliwych obrazów. Zul nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć – za nim mrok, przed nim światłość. Pojawiła się przed nim zwiewna, lekko przezroczysta zjawa o pogodnej twarzy osadzonej nie w głowie, gdyż jej nie było, lecz w górnej części korpusu. Duch nie posiadał również nóg. Po prostu był i trwał.

- Doczekałem się ciebie, Zulzedeusie.

- Ty jesteś tym, którego zowią liniowcem?

- Tak, ja nim jestem.

- No to wyśmienicie. Przeor wysłał mnie na pojedynek z duchem, nie powiedział tylko, jak to zrobić.

- Ależ niemądry młodziku. Twoim zadaniem nie było mnie zgładzić, lecz do mnie dotrzeć.

- Każdy siłacz z olejem we łbie by tu trafił.

- Otóż nie. Nie byłeś uważny. W każdym miejscu wszelkie wejścia otaczały runy i inskrypcje pozwalające przejść tylko wybranym. Szczególnie naznaczony był ten korytarz.

- Ten za mną? To ilu tu już było?

- Nikt. Jesteś pierwszym, który tutaj dotarł.

- Jaja sobie robisz? Musiał ktoś być, choćby przeor.
- Z twoim przełożonym komunikowałem się telepatycznie. Tutaj dotrzeć może tylko ten, kto posiada wewnętrzną moc, a nie nadaną przez czarodziejów.
- Zaraz, o co tutaj właściwie chodzi? Po co arcy mistrz mnie tu przysłał i gdzie właściwie, do cholery, jestem?
- Jak dobrze wiesz, jesteśmy w Sali Szeptów. To miejsce poza przestrzenią i czasem. Teraz, mój drogi, przebywasz tam, gdzie drogi przeszłości i teraźniejszości przecinają się z niewyraźną przyszłością.
- To jakiś głupi dowcip?
- Ależ skąd. Spójrz. - Zaprowadził go do jednego ze zwierciadeł. - To ty z twoim przyjacielem Geronem w Mrocznym Zamku, gdy zniszczyliście Xuliusza.
- A niech mnie wszy po udach gryzą! - Czarodziej nie dowierzał, widząc siebie w dybach, szepczącego zakłęcie uwolnienia rąk. - Niemożliwe.
- Spójrz tutaj. - Wskazał na trzecie lustro z kolei. - To twoi przyjaciele. Jadą teraz do Balha Daghan, ukryci w karawanach zaopatrzeniowych.
- Czyli jednak przeor mnie zdradził. Wcisnął mi kit i naraził na śmierć, nakazując do tego zabić ciebie, zamiast wprost powiedzieć prawdę.
- Nie, to był test, próba. Nie powiedział ci, kogo masz zabić, tylko polecił przyjść do mnie.
- Więc kim ty jesteś? I skąd nazwa liniowiec?
- Jestem duchem czasu. Pilnuję porządku między tym, co było, co jest i co będzie. Dlatego zwą mnie liniowcem - bo

trzymam w ryzach wszelkie linie czasu. To ja kontroluję wizje przesyłane przez zmarłych do proroka.

- Czyli to ty ich wybierasz?

- Znow nie słuchasz. Bogowie wskazują wybranego, ja zaś umieszczam wizję tylko i wyłącznie w umyśle tego jedyne. W przeciwnym wypadku mogłyby trafiać do byle kogo, na chybił trafił. Niektóre czasem mi uciekną.

- To dlatego gdy wizję niechybnej zagłady Raal wysyłał do proroka, w umysłach wielu czarodziejów doszło do spięcia mocy. Ty tego nie kontrolowałeś.

- Nie, tego nie mogłem uczynić.

- Wspominałeś, że przyszłość jest niewyraźna. Nie panujesz nad tym?

- Oczywiście, że tak, jednak przyszłość jest zmienna. Wystarczy jedna dodatkowa wizja od zmarłych albo niespodziewana decyzja człowieka, który ma wyznaczoną drogę, albo, co gorsza, siły boskie zaingerują w świat śmiertelników - i wszystko się zmienia.

- A możesz mi pokazać moją przyszłość, co mnie czeka?

- Lepiej, żebyś tego nie wiedział. I tak, jak powiedziałem, twoja przyszłość również się zmieni, tego jestem pewny. Przeto nie ujawnię ci przyszłości, bo może odmienić się wielokrotnie.

- Skoro nie mam cię zabić, bo jesteś strażnikiem czasu, to po co przeor mnie tu przysłał?

- Abyś zrozumiał. Dotarłeś do mnie, a to oznacza, że posiadasz wewnętrzną moc, jakiej nikt inny nie posiada. W swoim czasie ta moc się ujawni, a tobie pierścień nie będzie

potrzebny do jej kontrolowania.

- No ładnie. Już ktoś mi wspominał o tym, chyba Jon.

- Ty jesteś tym, który poprzez własne cierpienie doprowadzi do równowagi mocy, bo moc będzie tobą, a ty nią. Będziecie jednością, gdy nadejdzie pora. I musisz zapamiętać jedno - czeka cię wielka żałoba. Tak wielka, że ogarnie całe Wszechziemie, gdy Wybraniec dotrze do bram wyznaczonych przez bogów.

- Wiem, że musi tam iść. Tam uzyska moc, by pokonać lodowego drania. Ale co mówisz o żałobie?

- Pamiętaj, serce twoje straci ostatnią iskrę nadziei. Nie możesz do tego dopuścić. Gdy stanie się to, co cię pogrąży, wtedy musisz się podnieść i dać światu nadzieję. Nie możesz zwątpić, gdyż całe Wszechziemie spojrzy na ciebie w oczekiwaniu. Jeśli ty padniesz, nawet Wybraniec nie pomoże. Jeśli jednak znajdziesz w sobie siłę, aby dać nadzieję innym, wówczas Zły zostanie pokonany.

- Dobra. - Zul spojrzał zdziwiony. - Nie rozumiem, o co ci chodzi, ale mogę spróbować. Chociaż nie podobał mi się ten fragment o cierpieniu. To wszystko?

- Tak, to miałem ci przekazać. Jeszcze inni będą wspominać o twojej powinności.

- To ja wiem, tacy się zawsze znajdują. Jak mam stąd wyjść? Tym samym korytarzem? - Zniesmaczony, spojrzał na zbite deski z klamką.

- Przeniosę cię do twych przyjaciół, na dwór królowej Fetheal w Balha Daghan. Przejdź przez te drzwi. - Wskazał na wejście. - Nagnę trochę czas i spotkasz się z nimi u bram

zamku władczyni. Żegnaj, Zulzedeusie. Nie trać wiary.

- Dziękuję za wyjaśnienie sytuacji. Pewnie już się nie spotkamy, zatem, jak to mówią elfy, *Astalami*. - Czarodziej opuścił Salę Szeptów.

ROZDZIAŁ 15:

UPADKI I WZLOTY

Asasyn rozejrzał się. Lipa. Na wezwanie przybyło tylko piętnastu. Salę wymusił siłą od miejscowego burmistrza. Wśród twarzy dostrzegł zaledwie trzy znajome. Nikogo w jego wieku, doświadczonego, zwłaszcza jego ucznia, który był równie zwinny jak on. Przywołał do siebie Verra.

- Gdzie Bane?

- Podobnież ostatnio widziano go w Koel Nahal, przeglądał listy gończe i kierował się na wschód. Później nikt go nie widział. Od trzech tygodni.

- Na wschód Koel Nahal, mówisz? Idiota. Taki dobry wojownik, a uległ pokusie zostania łowcą nagród.

- Wiesz, co się z nim dzieje?

- Jakbym wiedział, to bym cię nie pytał, do cholery. Domyślam się tylko. Słyszałeś może, czy ostatnio widziano w tamtej okolicy kogoś, na kogo poluje większość łowców nagród?

- No przecież! I co, myślisz, że... oberwał?

- Nie myślę, ja to wiem. Sam ledwo uszedłem z życiem. Są bardziej przebiegli, niż się wydaje. Rozkaż komuś znaleźć ciało Qilla. W miarę szybko, zanim coś je rozszarpie. - Znów spojrzał na zebranych. Uderzył w stół dwa razy, nakazując

ciszę - Bracia! Nadeszły niekorzystne czasy dla naszej profesji. Nikt nie szanuje już naszego cechu, mają nas za zwykłych morderców.

- No, tak jest - mruknął ktoś.

- Zero szacunku - dodał inny.

- Kiedyś było inaczej - westchnął ktoś trzeci.

- Zwołałem was tu, bo mam tego dość. Musimy się zjednoczyć jak onegdaj. Po śmierci wielkiego mistrza naszego zakonu, Teodeba, zapanowała w naszych szeregach anarchia, rozjechaliśmy się po świecie, każdy pracował na własną rękę. Lecz dziś, po dwudziestu latach, musimy zjednoczyć się na nowo. Czasy są trudne. Możemy albo sprzedać się orkom, albo uciec i zniknąć. Ludy Wszechziemia nie będą chciały z nami współpracować, gdyż wielu z nas wykonywało zlecenia wroga. Ja jednak mam nowy, lepszy plan. Bracia i siostry naszego zakonu! Musimy obrać nowego mistrza i sami walczyć o swoje w tej wojnie, udowodnić zarówno sługusom Raala, jak i ludom Wszechziemia, że asasyni też mają głos. Wprawdzie jest nas niewielu, ale razem, przemierzając świat, odnajdziemy pozostałych braci, zakutych w kajdany bądź będących w tarapatkach, i odbudujemy potęgę naszego zakonu.

Co wy na to?

- Dobrze gada, polać mu!

- Tak, ja jestem za!

- Dostyc bezrobocia i zaplutyh spelun!

- Tak jest.

- Pytanie jest tylko jedno - rzekł Sedar. - Kto będzie nowym mistrzem?

- Ktoś doświadczony.
- Ten, kto wie, jak się bić!
- Podszkoli młodych, bo Ruel Edel upadło!
- Wiesz, kogo wybiorą - powiedział Verra. - To sami nowicjusze, niedawno ukończyli szkolenia w Ruel Edel. Najstarszy jest zabójcą od pięciu lat.
- Bracia! - Sedar rozłożył ręce. - Zgłaszam swoją kandydaturę.
- Po sali przeszedł szmer. - Ktoś jeszcze?
- Cisza. Po chwili jednogłośnie okrzyknięto go mistrzem.
- Ave Sedar, nowy mistrz zakonu!
- A więc, nasz nowy władco, jaki masz plan? - Verra uśmiechnął się zjadliwie.
- Wpierw ściągniemy posiłki, a później zrobimy tak...

*

Sahael nachylił się i spojrzał na mapy. Od początku podejrzewał, że ta forteca to beznadziejny punkt obronny. Skalisty Jar był przynajmniej dobrze obsadzony i przygotowany do oblężenia, a ta forteca - szkoda gadać. Plan twierdzy był niezadowalający. Podniósł wzrok na Jurythana, marszałka Adullama, a następnie spojrzał na dziesięciu zebranych pułkowników.

- Panowie, jesteśmy istotnie w trudnym położeniu. Twierdza ta nie jest dobrym punktem strategicznym. Orkowie mogą łatwo poprowadzić oblężenie z każdej strony. Adullamie, czego dowiedzieli się zwiadowcy?
- Orkowie są dzień drogi stąd, prawdopodobnie dotrą tu

jutro o świcie. Ogólna wielkość ich armii, wliczając jazdę na wargach i trolle, wynosi trzydzieści pięć tysięcy. Jednak z tyłu może za nimi ciągnąć jeszcze parę tysięcy wojska. Tę kwestię zwiad jeszcze ustala.

- Mają maszyny oblężnicze?

- Z tego, co ustalono, nie mają gotowych balist czy katapult, jednak ciągną ogromne tabory żelastwa i ciosanych bel.

- Będą na miejscu budować trebusze i wieże oblężnicze - rzekł Jurythan.

- No tak, szybciej się poruszają. - Król zmarszczył czoło. - Ustalono, kto dowodzi?

- Tak. Na pewno nie ma wśród nich ich wodza, który ruszył do Skalistego Jaru, lecz dowodzi nimi Folg, prawa ręka ich władcy.

- Ten cholerny generał prześladowa mnie. - Monarcha wyprostował się. - Chce odwetu za Balha Deal. Patrząc na plany tego zamku i jestem przerażony. W zewnętrznym murze tylko osiem baszt mogących pomieścić broń ciężką i cztery w murze wewnętrznym. Nie było lepszej fortecy?

- Niestety, wasza wysokość. Wzdłuż Driestrii nie wybudowano wielu twierdz z powodu licznych podtopień - odparł miejscowy architekt.

- Jeśli orkowie zbudują dwadzieścia trebuszy, to z tego zamku nie zostanie kamień na kamieniu - zmartwił się król. - Marny nasz los. Xavius został w Rew Terim na prośbę przeora. Oswald Trev ruszył na północ. Jedyna nasza nadzieja w rzece. Jeśli nurt będzie wartki, nie przeprawią się.

- Wasza miłość, w sprawie rzeki... - zaczął jeden z pułkowników, wyglądając przez okno.

- Co się dzieje?

- Niech wasza królewska mość sam spojrzy. - Monarcha podszedł do okna i zamurowało go.

- A niech mnie. On tu jest?

- Nie, wasza miłość. To przyszło od północy.

- Zamroził całą rzekę. - Jurythan spojrział na skutą lodem Driestrię. - Najwyraźniej orkowie nie skorzystają z mostów.

Król zastanowił się chwilę. W tej sytuacji wrogowie mogą otoczyć zamek w ciągu kilku godzin.

- Ilu mamy sprawnych do walki?

- W obecnej sytuacji piętnaście tysięcy, wasza wysokość - odparł główny generał.

- W tej wojnie nie będziemy grać czysto. Jedyna nadzieja nasza w szybkości i sprycie. Zrobimy tak... - Król wrócił nad plany. - Zgromadźcie mi tyle smoły, ile się da i rozpalcie kotły. Ustawić regimenty łuczników na murach zachodnich, od strony rzeki. Wszystkie.

- Ale, wasza miłość, jeśli przekroczą rzekę... - zaczął Jurythan.

- Nie dopuścimy do tego. Zewnętrzne baszty obsadzić balistami, wewnętrzne katapultami. Na murach, na wieżach obserwacyjnych i obwodowych, na basztach, wszędzie mają być koksownicy. Skąd je weźmiecie, wasza rzecz. Oni atakują lodem, my odpowiemy ogniem!

- Tak jest, wasza miłość. Zajmę się tym - odparł Adullam i wyszedł.

- Wiem, co chodzi waszej wysokości po głowie - uśmiechnął się generał.

- Tak czy inaczej będą musieli nadejść z zachodu, przez rzekę. Rozkruszymy pokrywą lodową i potopimy gadów, a jeśli któryś podejdzie pod zamek, usmaży się w smole.

- Wasza miłość, za pozwoleniem, utworzę niewielki oddział dywersyjny - zaczął jeden z pułkowników.

- Właśnie miałem o tym mówić. Skoro zgłaszasz się na ochotnika, masz moje przyzwolenie. Generale, wprowadź pułkownika w tajniki sabotowania wroga. Zawsze byłeś w tym najlepszy.

- Oczywiście, wasza wysokość. Chodź ze mną, chłopcze. Wy tłumaczę ci, jak napsuć krwi wrogowi i co najważniejsze, nie dać się załapać.

- Wieczorem dowiecie się, jakie pozycje zajmą wasze pułki - rzekł król do pozostałych dowódców. - Sprowadzić mi najlepszych architektów. Skoro już mamy niemal opracowany plan obrony i wybranych ludzi do dewastowania sprzętu wroga, nim ten go poskłada do kupy, możemy zakończyć odprawę. Jeśli będę czegoś potrzebował, wezwę was do siebie. Rozejść się!

- Tak jest, wasza miłość! - Po tych słowach grono pułkowników opuściło salę strategiczną.

*

Drzwi, mimo zapewnień liniowca, nie zaprowadziły mnie na dwór królowej. Znów byłem w tym przeklętym, mrocznym korytarzu, który teraz zdawał się dłuższy

i bardziej zawity. Znalazłem się ponownie w przedsionku, bojąc się ataku, nic jednak nie rzuciło się na mnie. Wyszedłszy z twierdzy, przemknąłem przez pusty, czarny dziedziniec. Niebo nadal było zgniłozielone, a w powietrzu unosił się zapach siarki, chloru i rozkładu. Tunel, oświetlony wiecznie płonącymi pochodniami, również zdawał się mnie poznawać i nic nie próbowało pozbawić mnie życia. Przechodząc obok wiwerny, coś we mnie drgnęło. Skóra tego maszkarona jest przecież mocna i wartościowa, dlatego też wydobyłem nóż i zabrałem się do oskórowania. Nie pomyślałem o jednym. Kucnąłem przy wiwernie i rozpocząłem proces w pobliżu jej szyi. Wtedy ta cholera ocknęła się i Chapman chwycił mi palec mały i serdeczny lewej ręki. Myślałem, że szlag mnie trafi. Wbiłem jej sztylet w oko tak głęboko, aż jego końcówka wyszła gadowi z potylicy. Niestety palców nie odzyskałem. Odgryzła je w całości. Wściekły, ledwo żywy i we krwi zdołałem wykroić fragment zakłętego bandaża i owinąć uszkodzone miejsce. Zatamowałem krwotok, odzyskałem dech w piersiach. Mimo to zabrałem z truchła tyle skóry, ile zdołałem. Spodziewałem się, że liniowiec całkiem mnie oszukał i wyjdę w Enwerpii, mając do pokonania setki mil. Jednakże wyszedłem z jaskini niedaleko Balha Daghan. Uradowany, udałem się do miasta, sprzedałem skórę garbarzowi, uzyskując zadowolającą mnie sumkę, zjadłem w karczmie porządny obiad i wynajmłem pokój. Następnego ranka, wyszedłszy z tawerny, ujrzałem grupę osób, którą bardzo spotkać

chciałem. Zarzuciłem więc kaptur i udałem się za nimi, aby zrobić im niespodziankę.

*

Przez jaskinię ukrytą pod wodospadem przemknął cień, który zatrzymał się dopiero przy stoliku oświetlonym wąską świecą. Wlird zajmował miejsce po przeciwnej stronie, przeglądając dokumenty. Nie podnosząc wzroku, rzekł:

- Co tym razem?

- Mecenasiu, mamy poważny problem.

- Już mówiłem, że jeśli któryś z naszych jest głodny, niech zapoluje. Dorośli są, do cholery.

- Nie chodzi o nich. Przyleciał gołąb z Rodo.

- I cóż nowego u Klaudiusza? Zniewolił już umysł nowego władcy?

- Prawie mu wyszło.

Wlird podniósł głowę i odłożył pióro. Poślaniec przestraszył się, widząc jego minę.

- Co oznacza „prawie mu wyszło”? Zdemaskowali go? Wiesz doskonale, że to niemożliwe.

- Gorzej, mecenasiu. Znaleźli go w lesie, dwadzieścia stajaków na miastem. Głowę osobno od reszty ciała, wybito mu oczy i wycięto serce.

Przez twarz Wlirda przebiegł grymas, który ostatecznie przerodził się w furję. Wstał z płonącymi oczyma.

- Chcesz mi powiedzieć, że jednego z moich najlepszych ludzi, który do perfekcji opanował telepatyczną kontrolę umysłu, znaleziono martwego?!

- Wiem, że brzmi to szokująco, lecz to nie moja wina. Ja tylko przekazuję informację.

- Jak do tego doszło? Ingerował w życie Koel Nahal ponad miesiąc i oszukał wszystkich na dworze.

- Mówią, że parę dni temu w Rodo pojawił się ambasador z Meo Gao. Po jego trzydniowej wizycie znaleźli Klaudiusza w lesie. Myślisz, że ten wysłannik z Balha Daghan maczał w tym palce?

- Zdecydowanie. Jeśli to był poseł od tej elficy, musiał to być lykanin. Siedzą u niej i tylko oni są odporni na nasz dar. Nie był to na pewno byle który wilczy pomiot.

- Klaudiusz był bardzo silny, mecenasie. To musiał być jakiś wyjątkowo silny lykanin.

- Jeden z ludzi la Vardo. Jeśli ten jego podwładny wyciągnął od Klaudiusza jakieś informacje, możemy być w ciężkiej dupie.

- Dlaczego boisz się la Vardo? Słyszałem, że ma tylko czterdziestu ludzi. Nas jest dwa razy tyle. Raz pokazaliśmy potęgę.

- Milcz, jeśli nie wiesz, o kim mówisz! Wtedy wykazaliśmy się tylko głupotą, pomagając goblinom. Słyszałeś, co potem zrobił z nimi la Vardo?

- Wykasował całą dolinę. - Sługa opuścił głowę.

- Tak, w tydzień. To nie idiota. Ma więcej oleju w głowie niż połowa naszych. Jeśli wpadnie na nasz trop, dojdzie do krwawej konfrontacji.

- Podobno nie żyje, nie ma co się martwić.

- Posłuchaj, ty pusty łbie! Nie wierzę w tę plotkę! Tego

lykanina nic nie zabije. Raz w życiu widziałem go w akcji. W przeciągu kilku chwil rozszarpał na kawałki szesnaście wilkołaków. Wielki, ogromny! Nie chciałem się z nim mierzyć. Wtedy jeden jedyny raz w życiu naprawdę się bałem. Ta bestia przyjaźni się z Wybrańcem.

- Naprawdę jest taki potężny? Mirena i jego ludzi...

- Miren - przerwał mu Wlird - to zwykły pionek. Zagrożenie z jego strony było niewielkie. Mieszczuch bez doświadczenia. Ich generał zaś ma na swoim koncie więcej ofiar niż my wszyscy razem wzięci.

- Ale jak może być ogromny? Gadali, że jako człowiek jest lichy i chudy jak patyk.

- Ta rzecz jest dla mnie zagadką. Podczas mutacji musiał korzystać z jakiejś dodatkowej magii. Niech to! Zbierz chłopaków i dziewczki. Opuszczamy to miejsce. Jeśli la Vardo zacznie węszyć, dotrze i tutaj. Mówiłem, do kurwy nędzy, żeby polować dalej, to ci idioci zabijali miejscowych. Za dużo ofiar wzbudzi jego podejrzliwość. No rusz tę rzyć!

*

Krętobrody wylazł z karawanu, rozprostował nogi i podkręcił wąsa. Po ponad tygodniowej podróży w niewygodnym powozie dotarli w końcu do stolicy Meo Gao. Tabor zatrzymał się w pobliżu miejskiego magazynu. Angal podszedł do woźnicy, dał mu guldena w podziękowaniu i ruszył do towarzyszy ponarzekać.

- Nareszcie, do chuci wuja pana! Koniec tej przeklętej tułaczki. Ilekroć przewoźnik zaliczył wybój, waliłem łbem w tę

cholerną skrzynię, co to ją postawili dla niepoznaki.

- Nie marudź - rzekł Bill, rozmasowując kark, chore ramię i nogi. - Tyś to przynajmniej niski i żeś się, kurna, zmieścił. Mnie prawie udusiło to krowie ścierwo, a noga to tak mi ścierpła, że najlepszy cyrulik nie pomoże.

- Przynajmniej wam jaj nie zgmiotło. Mnie beczka spadła na cycki - powiedziała wkurzona Rose z kwaśną miną. - Kotku, musisz mi zrobić zimny okład.

- Jeśli Geron będzie zbyt zajęty, ja to mogę zrobić. - Krasnolud odzyskał humor.

- Spadaj, podrapałbyś mnie tylko tym swoim hakiem.

- Bez łaski, znajdę sobie jakąś dwórkę.

- Za pięćdziesiąt guldenów znajdziesz niejedną w zamtuzie. - Geron sprawdził rynsztunek i bagaże. - Macie wszystko? Naomi?

- Ekwipunek w komplecie - odparła czarodziejka.

- U mnie też. - Angal przerzucił torbę przez ramię. Pozostała dwójka również potwierdziła.

Ruszyli więc brukowaną ulicą w gwar miasta. Przeciskali się wśród przechodniów, pokonując kolejne ulice i dzielnice, jak zwykle omijając warsztaty poszczególnych rzemieślników z różnych cechów. Krętobrody zapamiętał położenie zamtuza o wdzięcznej nazwie Rajski Zakątek. Gdy znaleźli się w centrum, zapytali o drogę do pałacu królowej. Jakiś parobek zaprowadził ich, jednak towarzyszył im ktoś jeszcze, ktoś z zasłoniętą twarzą. W porę dostrzegła to Rose i szepnęła coś Geronowi do ucha. Kiedy znaleźli się trzydzieści jardów od strzeżonej bramy imponującego pałacu, wówczas Geron

odprawił chłopaka, rzucił mu szylinga i zaczął się na śledzącego. W odpowiednim momencie złapał go za fraki i uniósł do góry.

- Czego za nami leziesz?

- To tak się wita przyjaciela? Chyba nie uderzysz czarodzieja? - odpowiedział ten wesoło. Naznaczony spojrzał mu w twarz i ryknął gromkim śmiechem, opuszczając człeka w dół i obejmując.

- Ty łajzo! Gdzieś ty się tyle podziewał?

Czarodziej zrzucił kaptur. Wówczas i pozostali kompani rozpoznali druha.

- Zul, ty mendo! - dorzucił Angal. - Co nowego?

- Lepiej nie pytajcie - odparł młody mag. - Przeor wpędził mnie w niezłą kabałę, ale jeszcze żyję. Nie proście, nic nie mogę powiedzieć. Co u was?

- Długo by opowiadać - rzekła Rose. - Zaraz, co się stało z twoją ręką? - wskazała na lewą dłoń, w której brakowało palca małego i serdecznego.

- To? Nic takiego. Jak wracałem od... pewnego znajomego, to na wpół martwa wiwerna, którą zacząłem skórować, rzuciła się na mnie i odgryzła mi palce. Wbiłem gadzinie sztylet w łeb po rękajeść.

- Wiwerna?! Gdzieś ty się szlajał? - spytał jeszcze raz Krętobrody.

- Jak mówiłem, nic nie mogę powiedzieć. O nieba litościwe! - Czarodziej dostrzegł za plecami Billa kobietę z przeszłości. - Naomi. Co ty tu robisz?

- Zulzedeusie! - Czarodziejka zbliżyła się do niego blisko,

za blisko. – Nareszcie. Szukałam cię.

– Tak? A w jakim celu?

– Mam ci do przekazania bardzo ważną wiadomość. Lecz to później.

– Oho, coś się przebudziło – zauważył Geron. – Czekaście, załatwię nam nocleg. – Podszedł do strażników przy bramie. Zamienił z nimi kilka słów, wyjął jakieś dokumenty i przekazał jednemu z gwardzistów. Ten spojrzął, po czym ruszył w stronę dworu. Zul zaś spojrzął na towarzyszy.

– Wy za to wyglądajcie jak siedem nieszczęść. A Billowi co się stało? Urwało mu ramię?

– Harpia wyrwała mu fragment mięśnia – wyjaśniła elfka.

– Oho, widzę, że też nie próżnowaliście. Ktoś jeszcze stracił jakąś kończynę?

– Ku wściekłości Upadłego, nie – odparł krasnolud. Wrócił strażnik i rozmówił się z Wybrańcem. Ten zbliżył się do przyjaciół.

– Zbierajcie manatki. Ponoć królowa nas oczekuje. – Podniósł swe pakunki i ruszył za strażnikiem.

*

Kolejny piękny dwór na mej trasie. Po kilku tygodniach samotnej tułaczki i spędzania nocy w błocie, w towarzystwie pcheł i świerszczy, obecna sytuacja jest niczym nagroda za to, w co wpędził mnie nasz kochany arcymistrz. Zarówno on, jak i liniowiec zabronili mi ujawnić, co tak naprawdę się wydarzyło w czasie wizyty w Sali Szeptów i bezpośrednio przed nią. Tak więc nie

mogłem zwierzyć się kompanom z tego, co mnie trapi. Oni jednak opowiedzieli mi niemal o wszystkim, co spotkało ich od czasu naszego rozstania - o walce w labiryncie, o Zaginionym Polu Żółtych Konopi, o wyprawie w nieznane góry z niejakim Ylautem, o życzliwości gospodarza, pana Luisa Koffa, o spotkaniu Naomi i jej towarzyszek, o konfrontacji z asasynem Qillem Banem i w końcu o gościnie u diuka Aarona Hamasa, który uratował im skórę, ostrzegł przed nowym szambelanem króla Ferdynanda, pomógł w przedostaniu się do Balha Daghan i dał odpowiednie listy do królowej. Sporo mnie ominęło, jednakże mój trud włożony w przedostanie się przez ten cholerny tunel był ogromny.

Królowa Fetheal jest oszałamiająca. Jej uśmiech i życzliwość, a co najważniejsze - jej figura. Ach! Niezła z niej sztuka. Ubiera się niestosownie do swej pozycji - nie powinna kusić tak głębokim dekoltem, a piersi ma, trzeba przyznać, pierwsza klasa. Mnie jednak bardziej interesowała Naomi - dziewczyna, którą poznałem podczas nauk w klasztorze. Rew Terim składa się wyłącznie z samych mężczyzn, zaś Rew Unum to klasztor czysto kobiecy. Wedle starych zwyczajów raz na trzy lata pomiędzy adeptami obu klasztorów dochodzi do tak zwanej wymiany - alumni Rew Terim wyjeżdżają do Rew Unum na dwa tygodnie, zaś następne dwa uczennice Rew Unum spędzają u nas. Ma to na celu zapoznanie się z towarzyszkami naszej profesji, gdyż po naukach razem będziemy służyć swą mocą i radą. Tak więc poznaliśmy

się, gdyż byłem jednym z tych szczęśliwców, którzy odwiedzili dziewczęta w Rew Unum. Teraz zaś Naomi opowiedziała mi o upadku klasztoru, bo na wzgórzu pojawił się sam Lodowy Pan i uczynił istne piekło, mimo iż używał mocy lodu. Po wieczerzy, omówieniu kilku spraw z królową, rozmówieniu się z radą klanu lykanów i kilkoma strategami Geron dostał pozwolenie na zbadanie Doliny Edgel pod kątem poszukiwania nowych złóż. Dobra przykrywka. Wyruszymy jutro wraz z wojskiem udającym się na północ. Wojna z goblinami. Kolejna próba sił, nim zmierzmy się z prawdziwym wrogiem.

*

Zulzedeus dolał oliwy do latarni. Odłożył pióro, zamknął kałamarz i pozostawił dziennik do czasu wyschnięcia atramentu. Zdjął wierzchnie odzienie i złożył, pozostając w koszuli. Ujął w dłoń latarnię i udał się do bocznej komnaty, w której znajdowała się uprzednio przygotowana głęboka wanna ułożona z płytek i osadzona w podłodze, pełna gorącej wody. Po odświeżeniu swego ciała wyprał ubrania i pozostawił do wyschnięcia. Usiadł jeszcze na krześle, gdy nagle usłyszał pukanie. Zaprosił do środka. To była Naomi. Ona również niedawno brała kąpiel, gdyż miała mokre włosy i koszulę nocną na sobie. Spojrzał na nią. Była słodka. Nieco niższa niż przeciętne kobiety, lecz pełna wdzięku. Wiele razy śnił o jej zielonych oczach, idealnie ułożonych kruczoczarnych włosach i okrągłej, zawsze uśmiechniętej twarzy. Jej figura zawsze

pozostawała dla niego tajemnicą - wąska talia, kształtne, dojrzałe, jędrne piersi i kuszący tyłek. Teraz była jakaś przygaszona, smutna. Wskazał jej krzesło obok swojego.

- Cóż takiego, moja droga?

- Jestem zobowiązana wobec mojej zmarłej przełożonej. Obiecałam jej, że przekażę ci to, co zobaczyła.

- Chwileczkę. Co zobaczyła?

- Nie potrafiłyśmy tego ustalić. Dwa dni przed atakiem orków niespodziewanie miała wizję, przepowiednię dotyczącą ciebie.

Zul przypomniał sobie słowa liniowca. „Niektóre mi uciekną”. Zatem to była przepowiednia-dezserterka. Spojrzał w głębię jej oczu. - Wizja dotycząca mnie? Co w niej było?

- To dla mnie naprawdę straszne i wstrząsające. Moja przełożona ujrzała ciebie, samotnego, opuszczonego, w żałobie po wielu stratach, jednak pełnego nadziei. Widziała otaczającą cię wielką aurę. Ciebie samego, walczącego z hordą orków i ty, po długiej, chwalebnej walce... - tu głos się jej załamał - ...ty upadasz, najpierw na kolana, a potem... potem aura gaśnie. Zul, to wyglądało tak, jak twoja... - miała łzy w oczach - ...jak twoja śmierć.

- Ładne rzeczy. - Zul podniósł delikatnie jej opuszczoną głowę w górę. - Ta wizja na pewno dotyczy mnie?

- Tak.

- Ostatnio słyszałem gorsze rzeczy na swój temat, również dotyczące przyszłości. Powiem ci w sekrecie jedno, czego się dowiedziałem. Przyszłość jest zmienna i bardzo często przepowiednie się nie spełniają. Zresztą, ta wizja dotyczy

mnie, dlaczego więc płaczesz?

- Bo ja... jak wtedy doszło to tego, zrobiłam to, bo ja naprawdę cię... lubię, bardzo. Wiesz, co mam na myśli? - Spojrzała na niego wzrokiem, który topił mu serce. Otarł jej łzę.

- Ja ciebie też. Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty. - Wstał i podszedł do okna. Naomi również wstała i drżącym głosem powiedziała:

- Myślisz, że możemy być razem?

- Moja słodka Naomi. Wiesz doskonale, że czarodziejom i czarodziejkom nie wolno mieć dzieci? Każde dziecko poczęte przez czarodzieja umiera po narodzeniu.

- Nie mówię o dzieciach. Zул, razem, ty i ja. Spójrz na mnie, proszę.

Zул odwrócił się i przysunął się do niej bardzo blisko. Przejechał koniuszkami palców po jej włosach, później, bardziej subtelnie i powoli, po policzku.

- Taka piękna...

Delikatnie, samym opuszkami palca wskazującego, musnął po jej rozchylonej, dolnej wardze.

- Taka zmysłowa...

Obszedł ją, objął czule w talii i szepnął do ucha.

- Taka doskonała...

Odsunął jej włosy, odsłaniając prawą część szyi, pocałował ją łagodnie i pogładził wargami po napiętej skórze na jej karku. Zadrżała.

- Idealna...

Teraz odsłonił drugą część jej szyi i uczynił to samo, co

z prawej strony.

- Taka zmysłowa...

Znów stanął przed nią, nie zrobił tego pośpiesznie. Po czym ujął czule jej policzki, spojrzał głęboko w oczy. Naomi oczekiwała na ten gest, on jednak oparł swe czoło o jej i szepnął:

- I taka nie dla mnie... - Delikatnie puścił ją i odwrócił się. Złapała go za rękę.

- Jak nie dla ciebie? Tylko i wyłącznie dla ciebie... Jestem twoja... Zul!

Oparł dłonie o parapet i schylił głowę. W końcu powiedział:

- Naomi, ja też cię kocham i pragnę, dlatego nie możemy być razem. Tam, dokąd pójdę, ty nie możesz iść.

- Podążę za tobą wszędzie, nawet na koniec świata!

- Nie! - Odwrócił się. - Nie mogę cię stracić. Tam, gdzie wiedzie moje przeznaczenie, jest zbyt niebezpiecznie. Nie mogę cię narażać.

- Nie powstrzymasz mnie... Zul... - chciała go objąć jak wtedy, lecz on zatrzymał jej rękę, łapiąc niżej nadgarstków.

- Posłuchaj. Jeśli chcesz być ze mną, musisz tu zostać i pomóc królowej. Nie mogę cię narażać. Ostatnio dzieją się rzeczy, które mącą mój spokój. Wrócę do ciebie, gdy Geron uzyska obiecaną moc i nie będę mu już potrzebny. Jeśli mnie kochasz, pozwól mi odejść.

- Nie. Jeśli pozwolę ci odejść, to nigdy nie wrócisz. Ta przepowiednia... muszę cię chronić...

- Taka kruszynka jak ty? Twoim przeznaczeniem jest

służyć na dworze. Zawsze tego chciałaś. Tak się stanie.

- Odkąd cię poznałam, wiem, że moje przeznaczenie to ty. Wokół ciebie nieustannie pojawiają się znaki. Nie jesteś zwykłym czarodziejem... - Chwyciła go za policzki. - Bądź dla mnie... czekałam tyle czasu... pamiętasz, co mi obiecałeś?

- Byłem innym człowiekiem... Teraz nadeszła wojna i...

- Ciii, teraz jesteś mój. - Pocałowała go namiętnie. Nie zdołał jej powstrzymać. Oddał się jej całkowicie.

*

Sprawdził każdy zakamarek, obejrzał stroje i powbijał gdzieś szpilki, aby materiał się nie zgiął. Zamknął w końcu sklep i udał się z utargiem na górę. Zyski rosły, a jego stroje cieszyły się ogromną popularnością. Podszedł do drzwi mieszkania. Coś tu nie grało. Sprawdził zamek. Było otwarte. Oznaczało to, że ktoś jest w środku. Dyskretnie wyjął kard ukryty w tylnej części hajdawerów i ostrożnie uchylił drzwi, zatrzymując się i nasłuchując. Było ich co najmniej dwóch. Drzwi otwierały się do środka, klamka zaś była po prawej stronie. Płytki oddech zdradzał napastnika z lewej, z prawej zaś ktoś powoli się poruszał i dało się słyszeć delikatny szelest jego ubrań. Welde dynamicznie wszedł do mieszkania, robiąc głęboki skłon i piruet w lewo. Nad jego głową przemknęła ręka, jednak to on pochwycił napastnika za prawe ramię, obrócił się wokół niego, wykręcił mu rękę i położył sztylet na gardle. Usłyszał gromkie klaskanie i śmiech człowieka, o którym dawno chciał zapomnieć.

- Nadal w formie, po tylu latach.

- Należy umieć obronić się przed złodziejami, Sedarze. Co robisz w moim domu?

- Szczerze? Przybyliśmy po ciebie.

- Ilu was jest?

Sedar zapalił świecę i podszedł. - Celuje w ciebie dziesięć kusz. Nie rób głupstw.

- Kto zlecił ci mnie zabić?

- Mój drogi druhu. Nie przybyłem cię zabić, lecz zabrać. Musisz ponownie wdziać szaty asasyna.

- Nigdy. Obiecałem to sobie dawno temu i będę temu wierny.

- Swoje krawieckie zdolności zawdzięczasz szkoleniu w Ruel Edel. Zakon powstał na nowo, by walczyć w tej wojnie.

- Po czyjej stronie?

- Welde, puść tego chłopaka. To jeszcze dzieciak.

- Nie ma głupich. Nie odpowiedziałeś.

- Po naszej, krasnoludzie, po naszej. Musimy pokazać Wszechziemi, że mamy głos.

- Ja tego nie potrzebuję. Dobrze mi tak, jak jest. Jak zrezygnowałem, mówiłem ci, żebyś zrobił to samo. Uczciwe życie jest lepsze.

- Może i tak. Zyskałeś sławę i pieniądze. Ale czy nie brakuje ci tego? Adrenaliny, tajnych zleceń, eskapad po dachach, widoku krwi, tego wszystkiego, co nadaje życiu sens?

- Nie. Możesz sobie zbierać ludzi, ale powiem ci jedno - nie zdobędziecie w tej wojnie nic, jeśli nie opowiecie się po stronie Wybrańca.

Radość zniknęła z twarzy Sedara. Nie cierpiał wspomnień

o tym herosie. Zmienił ton.

- Obawiam się, że i tak nie masz wyboru. Ślubowałeś służyć zakonowi i wypełniać polecenia mistrza pod groźbą śmierci.

- Tyle, że zakon nie ma mistrza od dwudziestu lat.

- Owszem, ma.

- Ciekawe kogo? Ciebie?! Jaja sobie robisz?

- Nie. Wedle kodeksu w sytuacji kryzysowej asasyn ma prawo zwołać zebranie. Uczyniłem to i obrano mnie na nowego mistrza zakonu.

- No to mam przesrane.

- Welde, jako twój przełożony nakazuję ci porzucić obecny styl życia i powrócić do dawnego, aby odnaleźć pozostałych braci i odbudować potęgę zakonu.

- Jasna cholera. Dobrze. - Puścił chłopaka. - Czyli nie mam wyboru?

- Niestety. Słyszeliście, bracia? Wielki wojownik naszej profesji wspomůže nas w naszym dziele. Teraz możemy udać się... - rzekł, uśmiechając się zjadliwie - na północ!

*

Odpiął lewy naramiennik i odłożył na stojak, potem prawy i kolejne elementy zbroi, w końcu zdjął napierśnik. Nie potrzebował giermka, przeszkadzał mu plątający się pod nogami szczeniak. Jutro o świcie ruszą dalej, by w samo południe rozpocząć atak. Grupa druga ruszyła od południa. Wtem usłyszał na zewnątrz głośny raban. Któryś z jego pomagierów darł się wniebogłosy. Wyszedł z namiotu i złapał

biegnącego żołnierza.

- Co tu się dzieje, do ciężkiej dupy króla trolli?

- Generale, palą się wozy z elementami machin w północnej części obozu.

- *Grissinuu!* Kto chronił karawany? Vorgir!

Z tłumu wy dostał się garbaty pułkownik. Przestraszył się.

- Tak, panie?

- Powiedz mi, z łaski swojej, kto pilnował karawan w pierwszej kwarcie?

- Shark, Grol i Tyruf, generale.

- Idziemy do tych obiboków. Już! - Ruszył i pchnął Vorgira przed siebie. Garbaty pułkownik taranował żołnierzy, robiąc przejście. Grupa tępych orków stała i gapiała się na płonące wozy. Folg stanął przed tłumem i spojrzał na płomienie. Odwrócił się do wojska.

- Co tak stoicie, do cholery?! - ryknął. - Gasić to!

- Czym, generale? - rzekł jakiś krzywy oficer. - Nasz wspaniały władca zamroził rzekę niemal na całej długości i wszystkie jej dopływy. A w pobliżu nie ma nawet sadzawki.

- To rozkuć lód, tępe łby! Macie topory i młoty, krowie rzygi, czy nie?! Jazda, tam jest jakiś strumień. Ruchy!

Pomrukując, wataha orków ruszyła po broń. Folg zwrócił się do Vorgira.

- Gdzie ci strażnicy?

- Nie mam pojęcia, panie generale.

Wtem z krzaków dobiegł ich głos jednego z szeregowych.

- Panie dowódco! Tu są!

- Co z nimi?! Spili się, kurwie syny?!

- Nie, zaszlachtowani!

Generał się zamyślił. Chwilę potem dał się słyszeć gwar z drugiej strony obozu. Folg spojrział chłodno ponad namiotami i ruszył w tym kierunku w samym podkoszulku, hajdawerach i z bosymi stopami.

- Co znowu? - zapytał, widząc biegnącego ku nim wojaka. Za nim w powietrzu stała już solidna łuna, oświetlając mrok.

- Generale, wozy płoną w trzeciej kwarcie...

- To nie kwestia przypadku. To sabotaż!

- Elfy, mój panie. Przebrzydłe sukinsyny - wymamrotał Vorgir.

- Sahael gra nieczysto. Chce pozbawić nas machin oblężniczych. Znajdźcie mi tych podpalaczy, nie mogą być daleko - rozkazał towarzyszącemu im oficerowi.

Ten skinął głową, zagwizdał na swoich i ruszył na południe. Tymczasem Folg zwrócił się do Vorgira:

- A wy raportujcie mi, gdzie grupa druga. Jutro weźmiemy odwet. Zabawimy się w młot i kowadło, a z elfów i tego ich zamku zostanie kupa gruzu!

*

Śniadali w szóstkę w trzeciej jadalni pałacu królowej. Takie życzenie miał Geron, a i władczyni nie mogła im towarzyszyć, zajęta wszystkimi sprawami, które musiała załatwić przed wyruszeniem armii na północ. Bill, zazwyczaj niewiele mówiący, rozprawiał żywo z Angalem o młodych, ślicznych dwórkach. Zul studiował nowe zaklęcia i układy, które mogłyby zapewnić mu większe bezpieczeństwo. Naomi

sprawdzała go i poprawiała. Geron zaś był jeszcze bardziej posępny. Martwiło to Rose. Z dnia na dzień popadał w coraz większą depresję i był markotny. Zamiast jeść, grzebał tylko łyżką w misce z owsianką. Nagle wyprostował się i lekki uśmiech zagościł na jego twarzy. Elfka spojrzała na niego entuzjastycznie.

- Co się stało, kotku?

- Właśnie coś sobie uświadomiłem.

- Ja codziennie próbuję sobie uświadomić, że mam żonę, ale i tak zapominam o tym, widząc te młode, ponętne białogłowy - rzekł wesoło Angal, wymachując opieczoną nogą kurczaka.

- Bardzo wierny z ciebie mąż, trzeba przyznać - zakpiła Rose.

- Daruj sobie sarkazm. Po trzydziestu latach małżeństwa ta wyprawa to błogosławieństwo.

- Angal, a w zasadzie dlaczego nie jesteś teraz z żoną, co? - Zul znad książki wycelował w niego widelec. On i Naomi jako jedyni byli jeszcze w szlafrokach.

- Po pierwsze: odchowałem dwóch synów i trzy córki. Jeden poszedł do Ruel Edel i przepadł, drugi jest górnikiem, a córki się pochajtały. Po drugie: małżonka moja na starość dziecienniała. Przestała być gorącą kocicą w łóżku, potem doszła do wniosku, że musi poświęcić się bogom. Została gospodynią w siedzibie kapłanów. A jak wyszedł dekret o Kuźni Narodów, a mnie udało się prysnąć, to uwierzcie, jakbym się na nowo urodził! Bez tej baby i bachorów.

- A ona wie, gdzie ty teraz jesteś? - zapytała Naomi. -

Z tego, co słyszałam, nie widziałeś jej sześć lat.

- Ona myśli, że pracuję dla króla Godryka, hehe. I nie tęsknię za nią, nawet nie pytajcie. Przez siedem lat żadnego seksu, jak celibat! - Wyprostował się. Bill zarechotał, a Zul się zaśmiał. - To w końcu od tej cholery prysnąłem! I ku mojemu szczęściu już po tygodniu użyłem sobie za tę ascezę w burdelu w Sietlle.

- Jak każdy krasnolud - rzekł ktoś od strony drzwi.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę i radość ich ogarnęła. Stał w rynsztunku, na który zarzucił lekki płaszcz podróżny. Opierał się o framugę.

- Wiedziałem, że żyjesz, mordo! - Angal pierwszy odsunął fotel i ruszył do przyjaciela. La Vardo szedł ku niemu. - Dlaczegoś nie dał żadnego znaku?

- Moi zacni. - Przywitał się z każdym. - Widzę, że panienka odnalazła tego, którego szukała - rzekł, kłaniając się i całując w wierzch dłoni czarodziejkę.

- Następnego dnia po pana odejściu wpadłam na szlaku na Gerona i jego przyjaciół.

- O proszę. Jak się miewaliście?

- Nie pytaj. Chcieli nas zabić na każdym kroku - odparł Naznaczony. - Ale co z tobą? Widzieliśmy jak spadałeś razem z czterorękim. Nie było skał na dnie?

- Mnóstwo. Leciałem zwarty z tym psim pomiotem dobrą chwilę. Zdawało mi się, że wieczność. Czekałem na koniec. Stwór wył i szarpał się, chędożony. Jakies dwadzieścia jardów przed dnem zauważyłem po swej lewej występ skalny. Puściłem czterorękiego i rzuciłem się w bok. Ja złapałem

skąłę, a on rozbił się o kamienne kolce. Przebiło mu łeb i korpus.

- Przeżyłeś, czułem to! - radował się krasnolud. - A co potem?

- Wisząc tak, rozejrzałem się. Na dnie płynął strumień. Opuściłem się powoli i ruszyłem wraz z nurtem. Dzień później bodajże odnalazłem wyjście. Musiałem przepłynąć przez ujście strumienia, które znajdowało się głęboko pod skałami. Wziąłem głęboki oddech i zanurkowałem. Jak wypłynąłem po drugiej stronie, to się przejechałem.

- Co znowu?

- Wodospad. Byłem na zewnątrz, widziałem błękit nieba, ale po obu stronach były skały i nurt poniosł mnie. W życiu nie byłem taki mokry. Po kolejnym locie wdrapałem się na brzeg. Nawet ładna okolica - żyzne pola, drzewa i zarośla nad rzeką, łąki. Wylądowałem w Driestrii.

- To cię poniosło - powiedział Zul.

- Powróciłem tutaj, na dwór królowej, po drodze odwiedzając starego przyjaciela, diuka Aarona Hamasa.

- A to ci los - rzekł Geron. - Myśmy też u niego gościli. Lecz nic o tobie nie wspominał.

- No proszę. Wszystko bowiem było objęte klauzulą poufności. Opowiedział mi o wewnętrznych problemach trawiących Koel Nahal i tym nowym podejrzanym szambelanie.

- Ostrzegał nas przed nim - wtrącił Bill. - Uważa go za potencjalnie niebezpiecznego.

- Uważał, gwoli ścisłości. Ustaliliśmy, że oficjalnie ogłosi

się, iż zginąłem w tym labiryncie, a po cichu przybyłem tutaj. Rozmówiłem się z królową, wyjaśniając sprawę. Mianowała mnie ambasadorem i udałem się do Rodo. Obserwowałem tego doradcę. I wiecie, co się okazało? Cholernik był wernhorą!

- A to szuja! - zbulwersował się Zul. - Czego szukał na królewskim dworze?

- Wprowadzał zamęt. Opanował umysł młodego króla, wpływał na jego decyzje i opóźniał przygotowania do wojny.

- Myślisz, że działał sam? - wtrąciła czarodziejka.

- Otóż wiem na pewno, że wypełniał czyjeś polecenia. Wernhory przeważnie są dość strachliwe i nie próbują dążyć do władzy. Zdarzają się wyjątki. Ten Klaudiusz, bo tak się zwał, miał na ciele wypalone dziwne znaki. Jedyna w miarę logiczna teza brzmi: wernhory coś knują. Dawnymi czasy zakładały stowarzyszenia podobne do naszego klanu. Wydaje mi się, że teraz znów działają razem i to prawdopodobnie we współpracy z orkami.

- I co teraz?

- Wiem, że udacie się do Doliny Edgel, lecz nie będę mógł wam towarzyszyć.

- Szkoda. Myślałem, że powojujemy znów razem - zasmucił się krasnolud.

- Niestety. Zarówno królowa, jak i diuk Hamas, i cała rada zresztą, prosili mnie, bym się tym zajął. Tylko lykanie mają wrodzoną odporność na uroki rzucane przez wernhory. Jako wódz muszę znaleźć i zlikwidować to zagrożenie. A to łatwe nie będzie.

- Więc znów się rozstaniemy - rzekł Angal. - Zostały nam

dwie godziny, żeby się napić.

- Zwariowałeś? Musimy być trzeźwi, Festus też, dowodzi ważną misją - oburzyła się Rose. - Co teraz zrobisz?

- Już rozesłałem ludzi. W miejscu, gdzie głośno będzie o masowych mordach i niewyjaśnionych atakach, na pewno znajdę jakieś ślady. Zwykle wampiry tak nie ssą. W przeszłości łatwo namierzyliśmy wiece tych gadów, teraz też tak będzie. Rozmawiałem przedtem z królową. Rozpoczęła się defensywa Wszechziemia. Posłańcy donieśli o bitwach na południu, wzdłuż ujścia Driestrii, na granicy Viri Inis i Enwerpii.

- Sahael i Godryk - zadumał się Zulzedeus. - Jak odstawiałem chłopaka, armie wyruszały.

- A my ruszamy znów nie tam, gdzie kierunek mego oręza pragnie podążać - gderał Krętobrody. - Mam nadzieję, że goblinów jest sporo. Jak szybko uwiniemy się w dolinie, zdążymy parę utłuc.

- Tego wam życzę - rzekł smutno, aczkolwiek z uśmiechem na ustach Festus. - To nasze kolejne pożegnanie. Chciałem was zobaczyć przed odjazdem. Być może widzimy się po raz ostatni.

- Nie mów tak - odparł Zul. - Jak to mądrze zauważył Angal, dawno razem nie piliśmy.

- Opuszczam was. Niebawem wyruszam na granicę. W pobliżu delty Mongi i Yohiny zaginęli moi ludzie. Miren, którego znaliście, i paru innych. Wiem, że niewiele tam teraz znajdę, ale jechać muszę.

- Mówiłeś, że czekasz na posłańców.

- Tak, na świeże informacje o zbrodniach wielkiego

formatu. Lecz zarówno honor, jak i kodeks nakazują odnaleźć zaginionych.

- Na pewno jeszcze się spotkamy - rzekł Geron. - Ciebie nic nie zabije.

- To tak jak was. - Uśmiechnął się smutno. - Żegnajcie i pamiętajcie, że los Wszechziemia leży w waszych rękach.

*

Generał zatrzymał się przy trebuszu. Radował go widok skał lecących w stronę fortecy wroga. Elfy nie próżnowały. Szyły z balist, jeno powietrze świstało. Zdołał zbudować jedenaście trebuszy, z czego trzy już zmiotły bełty z balist. Nie był dłużny - rozwalił długouchym basztę, wieżę obwodową i dwie obserwacyjne, wysokie i smukłe. Nie zdołał jednak podesłać oddziałów pod mury - dwa regimenty zmiażdżyli na rzece, a trzeci, który się przedarł, ostrzelali i zalali wrzącą smołą. Stracił trzy tysiące orków i siedemset wargów. Przeklęty Sahael dobrze to rozegrał, lecz niebawem od południa nadciągnie druga grupa - dwadzieścia pięć tysięcy wojska. Zacznie się prawdziwe oblężenie. Głupie długouchy nie uciekną. Tymczasem postanowił osłabić morale elfów - wysłał regiment trolli. Gruboskórne stwory przedzierały się właśnie przez rzekę, nieczułe na grad strzał. Pięciu z nich zmiotł właśnie wielki głaz z wewnętrznej baszty. Folg krzyknął do obsługi trebusza, każąc zwiększyć naciąg i strzelać wyżej, dziesięć stopni na północ. Wykurzy lisa z nory. Skała poleciała ładnie w powietrze i wylądowała za zewnętrznym murem, wzbudzając panikę wśród wojsk nieprzyjaciela. Trolle były już

w połowie szerokości Driestrii. Kolejny głaz zmiażdżył i zatopił kilkanaście gruboskórnych stworów. Generał spojrzał chłodno i wezwał szamanów. Kazał im podpalać miotane głazy magicznym ogniem. Folg uśmiechnął się. Zafunduje tym pazernym elfom prawdziwe piekło.

*

Odzyskaliśmy Festusa na moment, by znowu go stracić. Cóż, takie życie. Każdy ma swoje przeznaczenie, powinności i obowiązki. Czekałem na tę chwilę, lecz jeszcze nie nadeszła - mam na myśli prośbę Gerona o zwrot zwierciadła Ai Airi. Nie wiem, jak wytłumaczę mu, że straciłem je w tunelu prowadzącym do Sali Szeptów. Po tym, jak zabiłem dwa trolle, natrafiłem na drzwi wymagające wewnętrznego oka. Nie wiedziałem, o co może się rozchodzić, lecz chciałem znać dalszą drogę. Wyjąłem więc zwierciadło, by spojrzeć przez drzwi. Wtedy zwierciadło pękło, a drzwi zniknęły i przedostałem się dalej do miejsca, gdzie spotkałem wiwernę. Trochę bałem się odpowiedzialności. Po odejściu Festusa dokończyliśmy rozpoczęty posiłek i rozeszliśmy się. Dziwnym trafem moi towarzysze byli zaopatrzeni w niepojęte pokłady mamony. Angal wspomniał coś o jakimś ziele i podarunku, lecz niewiele powiedział.

Już dawno zrezygnowałem z szat czarodzieja - nie pojmuję, dlaczego inni je noszą. Są niewygodne, nieporadne, nie chronią i - co najważniejsze - nie różnią

się wiele od damskich sukien. Za zbroją również nie przepadałem - ona wprawdzie chroni, ale w tej kupie żelastwa nie można się poruszać. Poprosiłem o strój podobny do tego, w którym przybyłem, a pod płaszcz włożyłem kolczugę ze skóry świdrogrzmota - do tej pory mnie nie zawiodła, ochroniła w tunelu i wielu innych miejscach.

Ruszyliśmy przed południem szlakiem prowadzącym bezpośrednio do Doliny Edgel, wzdłuż gór, które ją otaczają. Po drodze natrafiliśmy na kilka topielców i zabłąkane trolle. Gwardia królewska nie miała z nimi większych kłopotów. Wędrowaliśmy półtora dnia w kierunku północnym i cztery dni na wschód wzdłuż gór doliny. Królowa zamierzała zająć opuszczoną fortecę na granicy Meo Gao i Lafaryngii, w miejscu oddalonym od Doliny Edgel o dzień drogi i dwa dni od Wielkiego Muru. Pożegnaliśmy się z nią i opuściliśmy tabor w takim położeniu geograficznym, że wojsku do celu ich podróży pozostał dzień, nam zaś pięćdziesiąt mil na północ do wejścia do doliny.

Było to miejsce żyzne, pełne pięknych łąk, jednak ze względu na bliskie położenie gór zajmowanych przez gobliny niewiele było w nim wsi, zaledwie dwadzieścia, i jedno miasteczko. Wejścia do doliny niegdyś strzegły baszty, teraz jednak były zburzone i ocalali po wcześniejszym ataku goblinów ludzie bali się o swoje życie. Teraz i my przemierzmy tę dolinę, aby obejrzyć skrywane w niej skarby, pokrzepić i podnieść na duchu jej

mieszkańców, pełnych zwątpienia i strachu.

ROZDZIAŁ 16:

DOLINA EDGEL

Kolejna baszta padła. Zostały zaledwie trzy. Zewnętrzne mury już dawno zostały zburzone, żołnierze walczyli w obronie zamku. Król w asyście dwóch szeregowych i oficera przemknął za ruinami baszty wewnętrznego muru, który również był na wykończeniu. Jurythana nie widział od wczoraj. Znalazł Adullama. Marszałek kierował się ku stajniom. Nad ich głowami świsnął głąz, który chybił celu i zniknął za murem. Z dziedzińca między murem zewnętrznym a wewnętrznym dochodziły odgłosy walki - warkot orków, krzyki wojaków, brzęk stali, paniczne wrzaski umierających żołnierzy lub płonących nieprzyjaciół. Król krzyknął do Adullama:

- Twierdza niemal upadła!
 - Wiem, wasza wysokość!
 - Widziałeś Jurythana?!
 - Ostatnio wczoraj rano!
 - O bogowie! Nie mamy już ludzi, a te podstępne gady podeszły nas od południa!
 - Jaśnie panie, niedługo wedrą się i tutaj! Taran bije we wrota od godziny! Skoble i belki pękają!
 - Za dużo ich! Folg mądrze nas podszedł!
- Kolejny głąz przemknął nad nimi. Tym razem trafił

w basztę. Znajdująca się na niej katapulta i inżynierowie runęli z panicznym wrzaskiem wraz z ciosanymi kamieniami z wieży. Tymczasem brama wewnętrznego muru pękła na pół od uderzeń tarana. Wataha orków i trolli wpadła do środka. Inni orkowie wdrapywali się po drabinach wyżej. Do przybyłej hordy orków przystąpili znajdujący się w środku pikinierzy, oszczepnicy i pałkarze, jednak ich liczba była nikła. Sahael spojrzał na Adullama.

- Wasza wysokość, jeśli chcemy żyć, powinniśmy się ewakuować! Tej fortecy już nic nie uratuje!

- Prowadź do stajni! Za mną! - wrzasnął do towarzyszących mu żołnierzy król. Cała piątka udała się do wschodniej części twierdzy, zbierając po drodze pozostałych przy życiu wojaków, służbę i inżynierów. Tymczasem trebusze Folga zmiotły drugą wewnętrzną basztę, południową, tuż za nimi. Pospiesznie zeszli po schodach na niższy poziom i pobiegli dalej, aż do stajni. Było ich około stu łącznie z królem i marszałkiem. Sahael wrzasnął do jakiegoś architekta:

- Gdzie tu jest jakieś tajne wyjście?! Jak wyjedziemy bramą, to nas dopadną!

- Wasza miłość, jest jedno idealne! Tuż za fontanną, w figurze Alandila! Prowadzi dziesięć mil na wschód do jakiejś wioski!

- Może być! Jazda na konie, ino żywo! A ty jedź już i otwórz przejście! - zakrzyknął do architekta. Ten posłusznie odjechał.

Orkowie byli jeszcze powstrzymywani w zachodniej

części, jednak niedługo mieli tu dotrzeć. Pospieszył więc ludzi. Przejechali plac i skierowali się do tunelu, architekt kierował ruchem. Wjechał ostatni, za monarchą, zamykając tajne przejście. Chwilę później na ów plac wpadła wściekła horda orków. Nie zastali nikogo, więc pomknęli dalej, otaczając zamek, by w końcu wedrzeć się do niego. Tymczasem ocalali z pogromu ludzie podążali ciemnym tunelem ku wolności. Król rozmawiał z architektem.

- Kto zbudował ten tunel?

- Mości królu, uczynił to dziad zmarłego niedawno na febrę hrabiego. Obawiał się piratów rzecznych. Wkrótce po wybudowaniu tego tunelu wyszedł dekret o zakazie piractwa, a wszystkich zbójów wytępiono. Tunel pozostał.

- Hrabia nie zostawił potomstwa?

- Ano, kobieta, którą kochał, nie mogła mieć dzieci. Wprawdzie mości hrabia ma kilku bękartów, ale oni nie mają prawa do spadku.

- Teraz i tak nie mieliby do czego. Cała moja armia rozbita. Adullamie!

- Tak, wasza miłość?

- Jak myślisz, co teraz poczniemy?

- Orkowie prędej czy później i tak nas dopadną. Radziłbym znaleźć nową twierdzę, lecz na tyle mocną, aby przetrwała chociaż tydzień. I zostaje jeszcze kwestia wojska.

- To moje największe zmartwienie. Musimy wysłać posłańca do Kodoru. Niech i Fergus ruszy w końcu dupę. Dajcie mi kawałek pergaminu i znajdźcie jakąś świecę, potrzebuję wosku do pieczęci. I wezwiemy magów. Wszyscy

mamy taki sam obowiązek chronić Wszechziemie.

*

Po rozstaniu z wojskowym konwojem szóstka wędrowców podążała w kierunku wejścia do doliny, jadąc wzdłuż gór na północ. Góry były wysokie i strome, w dolnych partiach porośnięte drzewami. Nie posiadały żadnych przełęczy, więc przeprawa przez nie była niemożliwa. Jedyne wejście do doliny znajdowało się w północno-wschodniej części gór. W końcu tam dotarli. Strzeżone było przez wieże, obecnie jednak strażnice znajdowały się w stanie rozkładu, a raczej były rozłożone na czynniki pierwsze. Ominęli ruiny i podążali udeptanym szlakiem. Geron wyjął mapę, aby wyznaczyć trasę. Przemierzali malowniczą krainę. Dolina Edgel była żyzną, obfitującą w specyficzne gatunki drzew i roślin ziemią, przepasaną wieloma strumieniami, pełną dzikich zwierząt. Trawa na całej szerokości doliny była wysoka, sięgała kolan. Drzewa kwitły, ptaki ćwierkały. Jechali spokojnie, rozkoszując się widokiem. Po dziesięciu milach od wjazdu teren znacznie się obniżył. Ujrzeni wówczas niemal całą dolinę. Była ogromna, długa na prawie sto mil i szeroka na osiemdziesiąt. Słońce jasno świeciło, jechali w dół po stoku, w wysokiej trawie, mając malownicze widoki z każdej strony. Przed nimi uciekały zajęce, sarny, przepiórki. Po przebyciu kolejnych dziesięciu mil miny im zrzędy. Dotarli do wioski, a raczej tego, co z niej zostało. Budynki były spalone, okna powybijane, płoty zniszczone. Za zburzonym młynem zobaczyli dwa kurhany. Były to skutki eksploatacji doliny przez goblinów. Na ich widok

z jednej z chat wyszedł mężczyzna.

- Witojcie. Panocki i dziewoje od królowej? Patrzcie, nic nam nie pozostało, jeno płakać.

- Dobry człowieku, królowa już działała w waszej sprawie
- odparł Geron z konia.

- Ee, co to było. Nico!

- Ilu was tu zostało? - spytała Rose.

- Ino dziesięcioro, dziewczuszko. A wieś liczyła dwieście chłopów. Baby nam pogwałciły gobliny niemyte, dzieci i chłopów pomordowali. Jak kto zdążył się w piwnicy schować i zadekować odpowiednio, nie chyciły. Jak nie, to i z piwnicy dranie wydarły.

- Weź to, zacny człowieku. - Naznaczony dał mu trzydzieści guldenów z sakwy. - Tyle możemy wam pomóc, my tylko przejazdem.

- Dziękuję, dobrodzieju kochany! - Chłop ze wzruszenia pocałował go w rękę. - To i tak za dużo. Dokąd to zmierzacie?

- Na drugi koniec doliny. Musimy tam coś znaleźć.

- To zajdźcie do mojej chaty. Ściemnia się już, a nastypno wieś dopiero za dwadzieścia mil na południe, a druga, na północ, jeszcze dalij. Niby tu nic nie łązi, ale po zmroku wilki i wyrwoły łążą. Nie będzieta spać po krzokach.

- Na pewno?

- Zachodźcie. Ino tak mogę się wam odwdzińczyć. Wiele w chałupie ni ma, ale zawsze jelonka ubić można.

Skorzystali więc z gościny u dobrego chłopca w słomianym kapeluszu i łatanych portkach. Odpoczęli i rano mogli ruszyć w dalszą drogę.

*

Twierdza upadła. Wszędzie wały się gruzy. Rozbite na miazgę odrzwia wrót wisiały koślawo na zawiasach. Mimo strat Vorgir cieszył się jak małe dziecko. Rozkazał zebrać ciała poległych orków i za fortecą usypać kurhan, ciała wrogów zaś, leżące co kilka metrów, zrzucić na jeden stos i spalić. Orkowie uwijali się pospiesznie. Mimo iż Vorgir był tylko pułkownikiem, bali się go. Prawa ręka generała, najwierniejszy wojownik miał największe wpływy u Folg. Vorgir, zerknąwszy jeszcze na dziedziniec, ruszył po generała, by zaprezentować mu niespodziankę. Folg wyszedł właśnie z zamku. Pułkownik poprowadził go na dziedziniec. Orkowie uformowali elegancki szpaler, stojąc na baczność po dwóch stronach przejścia, twarzami do siebie. Starali się przynajmniej stać prosto. Dotarli na dziedziniec. Vorgir zatarł ręce.

- Generale, pochwyciliśmy ich dowódców, w tym pierwszego generała - rzekł zadowolony z siebie pułkownik, wskazując na dziesięciu pojmanyh, którzy klęczeli, mając przystawione do gardeł noże. Oprawcy trzymali ich mocno za włosy, odchylając głowy. Pierwszy w kolejności był Jurythan. Folg podszedł do niego i ujął go za zuchwę.

- Skądś cię znam - powiedział wódz orków. - Jak cię zwą?

- A żeby cię troll wyruchał - prychnął elf.

- Jak się odzywasz do generała, padalcu?! - Vorgir trzasnął pojmanego w twarz.

- Spokojnie, Vorgir. - Folg go odsunął. - Nieładnie. Pytałem cię grzecznie o imię.

- Udław się szczynami - odszczeknął Jurythan. - Wiem, że i tak mnie zabijesz.

- Istotnie. Nie będzie to bynajmniej szybka śmierć. Gdzie twój władca, co? Gadaj!

- Chędoż się!

- Uparte bydłę. Jak cię podsmażymy, poodcinamy to i owo, to zaczniesz śpiewać - warknął Vorgir.

- Nie, mój drogi - odrzekł dowódca orków. - To elf. Mówi, że nic nie powie, to tak będzie. Oni są bardzo uparci. Tortury nic nie dadzą, prędzej zdechną, niż zdradzą. To się nazywa lojalność.

- To co z nimi zrobimy? Może któregoś da się złamać.

- Pal lichu, możecie ich nawet wydymać lub oddać trollom. Znaleźliście go?

- Niestety, panie. - Pułkownikowi zrzęda mina. - Szukaliśmy wszędzie. W piwnicach, lochach, wszystkich komnatach, stajni, nawet w gnojowni.

- Widocznie się nie starałeś. - Generał spojrzał surowo na podwładnego.

- Staralem się, panie, naprawdę - zaskrzeczał. - Musieli uciec jakimś ukrytym tunelem, ale znajdziemy go, przysięgam.

- Mam nadzieję.

- Panie generale, to co robimy z jeńcami?

- Nie mamy na to czasu. - Folg odwrócił się, po czym spojrzał na pułkownika znad lewego ramienia. - Żadnych jeńców. - Vorgir uśmiechnął się dziko i dał znak oprawcom. Katowskie noże poszły w ruch, a posoka zabarwiła zniszczony bruk dziedzińca.

*

Chłop był uprzejmy. Oprócz ciepłej stawy i posłania ofiarował nam jeszcze opowieść. Powiedział wszystko, co pamiętał o napaści goblinów na dolinę. Najpierw dostrzegli dymy ze wschodu – gdy zburzyli strażnice. Wieczorem, dzień po obchodach rocznicy nadania Dolinie Edgel własnej jurysdykcji jako hrabstwo, do wioski dotarła horda powykręcanych goblinów. Wielkością przypominały mieszkańcom krasnoludy, jednak gardłowy warkot zdradzał ich prawdziwą naturę. Napastnicy bezlitośnie wdzierali się do chat, wyciągali kobiety do własnych cielesnych uciech i podkładali ogień. Większość z nich, a było ich około siedmiu tysięcy, ruszyła w głąb doliny, tu zaś na noc pozostało nieco ponad setka. Gwałcili złęknione kobiety, pili wino z piwniczek chłopów. Nie wymordowali wszystkich od razu. Bawili się. Skórowali, rozciągali, podpalali, łamali kończyny, podtapiali, łamali kołem. Siedzieli prawie dwa tygodnie, aż z wnętrza doliny przybyli lykanie. Wybili większość goblinów, niedobitki zaś uciekły w panicznym strachu. Przywódca lykanów, nasz drogi druh Festus, przyniósł radosną nowinę, że wytępili zło, jednak pomoc w odbudowie nie mogą. Co ciekawe, chłop z największą rozkoszą mówił o sposobie, w jaki lykanie mordowali goblina. Piękna historyjka.

Następnego dnia ruszyliśmy w dalszą drogę. Nadal namawiałem Naomi, żeby zawróciła, ale ta kobieta jest uparta. Nie potrafię jej odmówić. Przemierzyliśmy dolinę

- była naprawdę piękna, a otaczające góry dodawały jej jeszcze uroku. Wymownie rzucały się w oczy miejsca pobytu goblinów, w szczególności wioski i jedno jedyne miasteczko, które było najbardziej zmasakrowane. Przy życiu pozostało w nim około tysiąca osób. Zapisana liczba mieszkańców wynosiła piętnaście tysięcy, łatwo więc obliczyć straty. Początkowo miasto stawiało opór, oblężenie trochę trwało, jednak armia miejska składała się zaledwie z dwóch tysięcy zbrojnych, a miasteczko warownią nie było. Wściekłe gobliny urządziły sobie krwawą rzeź, miasto w ostatniej chwili zostało uratowane przez lykanów. Było to trzy dni przed oswobodzeniem pierwszej napotkanej przez nas wioski. Hrabia, choć na niego nie wyglądał, ugościł nas i poczęstował skromnym obiadem. Później ruszyliśmy w dalszą drogę. Do wskazanego przez Festusa miejsca dotarliśmy o zmierzchu, kiedy chłód już ogarniał dolinę. W owej wiosce znaleźliśmy chłopca-przewodnika, wyprawę po Miecz Gniewu odłożyliśmy na kolejny dzień. To był naprawdę dobry pomysł.

*

Do generała zbliżyli się Leo i Kiara. Elfia dama była jedną z tych nielicznych zmutowanych kobiet, na której la Vardo nie robił wrażenia, szanowała go jednak za pozycję i osiągnięcia.

- Panie generale, w końcu coś wiemy - rzekł Leo.
- Nareszcie. Mówiłem ci, nie nazywaj mnie tak. Za długo się znamy na takie tytuły.

- Stosuję się tylko do kodeksu.

- Dobra, co wiecie?

- Niewiele osób coś widziało, ale jeden mieszkaniec przypomniał sobie, że ponad miesiąc temu przejeżdżało tędy sześć osób różnej rasy. Wypytywali o zniknięcia, zmasakrowane zwłoki i truchła. Powiedział im, że nieco na wschód od miasta, niedaleko delty, znaleziono rozszarpane zwierzęta, a trzech ludzi zniknęło.

- Wiemy przynajmniej, że tędy przejeżdżali, więc to gdzieś w pobliżu. Zbierz wszystkich, ruszamy od razu.

Oddział lykanów udał się we wskazane miejsce. Nad rzeką niewiele znaleźli, jeno ślady po dawnym ognisku. Mimo pustki Festus znalazł coś, co przekonało go, że jednak jego żołnierze tu przebywali. Odnalazł w trawie, w pobliżu paleniska, medalion Sophie. Widniały na nim jej inicjały. Widział ją w nim podczas pożegnania. Rozejrzał się dokładniej wśród popiołów, już dawno rozmokłych. Zobaczył wywrócony ruszt i imbryk.

- Nathan!

- Tak, generale?

- Potrafisz wiele odczytać ze znaków na ziemi. Co tu zaszło?

- Niewiele można odczytać, zwierzęta i pogoda zamazały ślady. Sądzę mimo to, że doszło do jakiejś szamotaniny. Wszystko wywrócone, a tam dalej prawdopodobnie są ślady krwi.

- Ciężka sprawa. Ich rzeczy nie ma, a najcenniejszy przedmiot należący do Sophie został w trawie.

- Wygląda to tak, jakby zwyczajnie odeszli - stwierdził

Leo.

- Albo ktoś zabrał ich rzeczy po ataku - dodała Kiara.

- Do karwia. Mamy tylko pogłoski i jeden ślad, a sześcioro doborowych lykanów przepadło bez wieści w tej okolicy.

- Może zdezerterowali? - rozmyślał Nathan.

- Nie sądzę. Miren był zbyt lojalny - zbił tezę Festus. - Gdzie znaleźliście tę krew?

- Tam na prawo, na kamieniu. Nie potrafię stwierdzić, do kogo albo czego należała, już dawno zaschła.

- Przeszukać mi okolicę, natychmiast! W pobliżu może być więcej śladów. Dwóch ludzi na zachód wzdłuż rzeki, dwoje na wschód, troje ma sprawdzić las. Leo, rusz dupę i zajmij się podziałem. Nathan i Kiara za mną. Zabrzmi to dziwnie, ale my zbadamy wodę. Ktokolwiek czy cokolwiek doprowadziło do ich zniknięcia, mogło mieć różne pomysły. Jedna z opcji nasuwa teorię, że trupy mogą być głęboko w rzece. Ruchy!

Nawigator skłonił się i ruszył rozdzielać obowiązki, generał zaś i dwoje podwładnych, przybrawszy odporniejszą postać, zanurzyli się w odmętach Yohiny i Mongi. Powstały w tym miejscu zalew, nazwany Jeziorem Deltą, był bardzo rozległy. Nie dało się bez mapy znaleźć punktu, w którym rzeki rozdzielają się w swe koryta. Nie widać było nawet miasteczka po drugiej stronie zalewu. Mimo to Festus i towarzysze przeszukali tylko pierwsze dziesięć jardów szerokości. Nikt przecież nie wyrzuciłby ciał na większą odległość, w szczególności bez łodzi. Po mozolnych poszukiwaniach zwłok na dnie la Vardo wynurzył się i przybrał ludzką postać. Na brzegu stał Leo i pozostali.

- Panie generale, żadnych śladów wzdłuż rzeki.
- W wodnych odmętach również nic nie znalazłem. Jednak nie ma wszystkich.
- Nie powróciła jeszcze ekipa z lasu. Aczkolwiek zbliżają się.

Chwilę później wróciła grupa przeszukująca bór. Jeden z lykanów zbliżył się do generała.

- Szefie, natknęliśmy się na ślady krwi na kamieniach. Podążając tym tropem, dotarliśmy do środka lasu, lecz tam ślad się urwał.

- Jasny gwint, musieliście coś przeoczyć. Idziemy tam wszyscy. To jedyny trop.

Ekipa Festusa podążyła wskazanym śladem. Po krótkim marszu znaleźli się w punkcie, w którym grupa poszukująca zgubiła trop. Wy tłumaczyli generałowi, że do tego miejsca ślady posoki widniały na kamieniach co dwadzieścia, trzydzieści jardów, lecz później w żadnym kierunku krew nie występuje. Sprawę zbadał Nathan. Bystry obserwator znalazł w końcu ślad bardziej na północy. Wrócił, by zdać raport.

- Generale, odnalazłem jaskinię. Tam prowadzi krew.
- W końcu! Idziemy. Oby to była krew naszych braci, a nie jakiegoś zwierza.

Zagłębili się w pieczarze. Festus kazał zapalić pochodnię i podać sobie. Ruszył przodem. Na kamiennej posadzce widniały zaschnięte ślady krwi. Dotarł do ceglanej ściany. Zmrużył oczy i zbadał mur. Natknął się palcem na delikatny zarys drzwi. Skierował głowę w lewo, na uchwyt pochodni. Pociągnął go do siebie, wówczas drzwi, z wielkim zgrzytem,

wychynęły ze ściany. La Vardo pchnął je i wszedł do środka. Nikły blask pochodni oświetlił okrągłą pieczarę z palem pośrodku. Buchnęło smrodem rozkładu. Wszyscy zasłonili usta. Zapach szczypał w oczy. Cała ekipa weszła do środka z pochodniami w rękach. Wówczas światło pochodni ukazało makabryczny widok. Do pała przywiązanych było sześć osób. Ich ciała były zmasakrowane, pokryte zaschniętą krwią. Kobiety pisnęły ze zgrozy. Festus podszedł i oświetlił głowę najbliższych zwłok. Wszędzie poznałby tę twarz.

- Miren... Kto ci to zrobił, przyjacielu? - rzekł smutno.

Pozostali lykanie również zbliżyli się do martwych towarzyszy. Mimo ran i krwi poznali ich. Tymczasem Nathan badał ściany. W pewnym momencie zatrzymał się.

- Szefie! Pozwól tutaj.

- Co znowu?

- Spójrz, generale! - Obserwator wskazał ścianę, oświetlając ją pochodnią dzierzoną w dłoni.

Festus zbliżył się i zamurowało go. Na kamieniu widniało napisane krwią hasło. „*To dopiero początek*” - przeczytał la Vardo. Spojrzał niżej. Litera W, identyczna jak na ciele wernhory z Rodo. Zastanowił się.

- Najpierw zginął mój dobry druh Deltoir, teraz Miren. Obaj zginęli w dziwnych okolicznościach, podejrzewam, że zabici przez wernhory.

- Na pewno przez tych krwiopijców. - Leo stanął obok generała. - Na szyjach mają ślady kłów. To był przygotowany, zmasowany atak. Na pewno było ich więcej niż dziesięcioro.

- Mają jakiegoś przywódcę, to niezaprzeczalne - rzekł

Nathan. – Domyślasz się, kto to może być?

– Na myśl przychodzi mi tylko jedno nazwisko, które pasuje do tego wszystkiego. Wernhora, który nienawidzi naszej nacji z całego serca. Spotkałem go tylko raz, lecz i Deltoir, i Miren polowali na niego, był to ich śmiertelny wróg. Obaj zginęli podczas poszukiwań tego drania. No i oczywiście pasuje do tego inicjał, który spotykam już po raz drugi.

– Czyli kto? – niecierpliwił się Leo.

– Wlird. Mecenas i sędzia z Enwerpii. Piętnaście lat temu ugryziony przez wampira, postanowił nie przekreślać swego życia i rozwijać się. Stał się bardzo niebezpieczny. Z jego łap wyrwaliśmy Mirena, przez co znienawidził nas. Podejrzewam, że teraz zbiera ludzi i odbudowuje klan.

– Wybiliśmy w przeszłości niemal wszystkie wernhory – zdziwił się nawigator.

– A ja wątpię, żeby tyle wampirów przetrwało mutację i weszło na wyższy poziom.

– Chłopaki, kiedyś odkryto sposób, żeby łatwiej obejść procedurę mutacji i przeżyć – odparł generał. – Wystarczy, że kogoś ugryzie nie wilkołak, tylko lykanin. Najlepiej dwa. Wówczas organizm staje się odporniejszy i pewniej przechodzi przykrą przemianę.

– O w rzyć kijem przeorany. – wymsknęło się Nathanowi. – To działa?

– Oczywiście, mnie tak zmutowali – odparła Kiara, która pojawiła się przy nawigatorze.

– Jednak to nieetyczne. My stosujemy to tylko w skrajnych przypadkach – rzekł Festus. – Zaś Wlird wykorzystuje ten błąd

natury do stworzenia armii. Skurwysyn. Koniec nostalgii. Niech chłopaki zabiorą ciała. Cuchną, a naszym obowiązkiem jest pochować poległych braci i siostry.

Mimo oporów zabrali rozpadające się zwłoki kompanów. Festus prowadził pochód. Tuż po wyjściu z jaskini zatrzymał się, zgasił pochodnię i szepnął do Kiary oraz Nathana:

- Dajcie mi kuszę, bełt i zasłońcie mnie z lewej.

- Co się dzieje?

- Cisza. Nie rozglądać się, bo uciekną - odparł, naciągnął mechanizm i włożył bełt. Niespodziewanie odwrócił się i strzelił w koronę jednego z drzew. Ku zdziwieniu wszystkich z konaru spadł trup z bełtem w czaszce. Zaraz potem przemknął jakiś cień i oddalił się. Festus zaklął.

- A żeby go goblin wychędożył! Uciekł!

- Wernhory. Szpiegują nas. Myślisz, że to od Wlirda? - dorzucił Leo.

- Raczej. Idź, sprawdź, czy ma wypalone W na skórze. Nawigator poszedł i przeszukał trupa. Bełt przebił lewo oko i mózgowie. Leo odsunął szatę. Na piersi widniało szerniałe W.

- Jest! Mam też jakąś notatkę. - Wrócił i wręczył przywódcy pergamin. Generał przeczytał pismo podpisane literą W. Zgniół notatkę i gestem nakazał ruszyć dalej. Teraz musi obmyślić plan i ustalić strategię. Tych kilka aktów to wystarczający powód do rozpoczęcia oficjalnej wojny z wernhorami.

*

Krasnoludzki chłop służył im za przewodnika do jaskini. Jak sam podkreślił, idzie tylko do jaskini, bo życie mu miłe i do środka nie wchodzi. Jednakże, ku zaskoczeniu kompanii, w pobliżu wejścia do systemu jaskiń czekał na nich wojak w stroju typowym dla biedoty. Chłop pożegnał się i wrócił ścieżką otoczoną kwitnącymi wiśniami, między słodkimi króliczkami uciekającymi na widok istoty większej od nich. Okolica była równie malownicza jak pozostała część doliny, tak iż szkoda było wchodzić do mrocznych jaskiń. Geron zatrzymał się przy godnym politowania człowieku. Był zarośnięty, miał dziurawą kolczugę, puklerz z wieka od beczki, okuty jakimś żelastwem, na głowie miał coś podobnego do hełmu, zrobione również z wieka od beczki, w dłoni zaś dzierżył kij nabity gwoździami. Ogólnie wyglądał groteskowo, jednak stał dumnie jak gwardzista królewski. Naznaczony rozpoczął konwersację.

- Witajcie. Co was tu sprowadza?

- Szanowny pan hrabia w ramach podziękowania za pomoc materialną przysłał mnie do ochrony.

- Masz pan nas chronić? - zakpił Zul. - A umiesz się bić?

- Co bym nie umiał. Dwa razy turniej wygrałem.

- A gobliny biłeś?

- Jednego żem ustrzelił, ale za to zajęcy to ze sto jużem zabił.

- To się nam doborowy żołnierz trafił. - Angal zdjął szyszak. - Człowieku, czy jesteś świadomy zagrożenia?

- Jako żywo! Widzita panocki, jaką zbroję mam? Najlepsza w hrabiego zbrojowni.

- Widzę, że hrabia nie przebiera w środkach, aby jak najlepiej wyposażyć wojsko. - Geron złapał się za głowę.

- Spójrz na to z innej strony. - Zul wyszarpnął miecz z pochwy i wbił zszokowanemu wojakowi w puklerz. Ostrze utkwiło w drewnie. - Ochrona, trzeba przyznać, jest. Jak chcesz dźgnąć, broń utknie i nie wyciągniesz. - Czarodziej po kilku próbach wy dostał broń z puklerza.

- Wy za to w ogóle tarcz nie macie - zauważył bystro chłop.

- My stawiamy na szybkość i precyzję w walce, nie na zastawianie się bądź chowanie za tarczą - odparł Bill. Podrapał brodę i położył dłoń na rękojeści miecza.

- Panie, ilu ludzi zapaściło się w mrok tych tuneli?

- Ano tyle, ile masz pan palców u rąk. Żaden nie wrócił.

- Pięciu? - Angal pokazał hak.

- A może ośmiu? - Zul podniósł lewą dłoń bez dwóch palców.

- Ło kurna. Za przeproszeniem panów, dziesięciu. Panowie kaleki?

- Ty, nie pozwalaj sobie! - oburzył się krasnolud. - Wprawdzie nie mam ręki, ale w boju jestem wprawiony jak mało kto! Wojna wymagała ofiary, tom rękę stracił.

- Nie gadajmy tyle. Im szybciej zapaścimy się w te czeluści, tym szybciej wrócimy. - Geron poprawił włosy, spięte jak zwykle w kucyk. Ruszyli do wnętrza jaskini. Rose dzisiaj spięła włosy w kok, Naomi zaś miała spleciony przez elfkę warkocz. Zul rad był z obcięcia włosów. Dawniej miewał kłopoty z długimi włosami, teraz obserwował zmagania

Gerona z fryzurą. Angal obciął włosy dawno i utrzymywał długość, jednak i tak przeważnie nosił tradycyjny krasnoludzki kaptur, w sytuacjach bojowych zaś wdziewał stalowy szyszak. Broda zawsze spływała mu elegancko na brzuch, czesał ją i dbał o nią bardziej niż o włosy. Obserwując kamienny korytarz oświetlony nikłym blaskiem pochodni, krasnolud poruszył temat, który go irytował.

- Wiecie, zastanawiam się, co by się stało z burdelami, gdyby orkowie zajęli Wszechziemie.

- Prostytucja to zawód, który raczej najmniej ucierpi na wojnie - odparł Zul. - Z tego, co wiem, orkowie i gobliny mają ogromny popęd seksualny. Tak czy inaczej, kurwy będą miały dużo pracy, bynajmniej nie za pieniądze.

- Ja to bym się martwił, czy nie rozpoczną jakichś zawodów w obciążaniu orkom - dodał Geron. - Gdyby orkowie płacili, rozpoczęłaby się wielka konkurencja pomiędzy burdelami.

- E tam. Jak mówił mi kiedyś jeden bartnik „Dziwka kurwie dziury nie urwie” - dorzucił z rechem czarodziej.

- Macie naprawdę poważny problem - parsknęła Rose. - Zul, trzymaj język na wodzy. A ty, mój drogi krasnoludzie, lepiej się zastanów, kogo ty będziesz chędożył, jeśli kurtyzany sprzedadzą się wrogowi.

- Proszę was - rzekła Naomi. - Przestańcie.

- Jak to godajom wszystkie chłopcy - zaczął wojak hrabiego - kurwa czy potwór, ważne by miał otwór.

- Ja chędożę! - zmartwił się Krętobrody. - O tym nie pomyślałem!

- Będziesz musiał wrócić do żony - zakpił Zul.

- Bądź zostać nekrofilem - dodał Bill. - Nie, żebym praktykował.

- Przestańcie! - pisnęła Naomi.

Tymczasem pokonali już pierwszy korytarz i znaleźli się w wielkiej, kamiennej hali oświetlonej światłem słonecznym, które przedostawało się przez lufty w sklepieniu. Wyglądało to na dzieło ludzkich lub krasnoludzkich rąk. Po przeciwnej stronie znajdowały się schody wykute w skale, prowadzące w górę, pośrodku zaś znajdował się ogromny stalagnat. Hala była długa na osiemdziesiąt jardów, szeroka na jakieś sześćdziesiąt i bardzo wysoka, aż trudno było dojrzeć sklepienie, jednak światło przedostawało się i oświetlało grotę. Przebyli całą halę i wyszedłszy na schody, natrafili na kolejny ciemny tunel. Był on kręty i przejście go zajęło kompanii dobrą chwilę. Tam znów natrafili na halę, jeszcze większą niż poprzednia. Musieli być głęboko we wnętrzu gór. Ta hala również była jasna, a sklepienie podziurawione, wewnątrz zaś wypełnione było wielkimi stalagmitami, stalaktytami i dwoma stalagnatami. Naprzeciw znajdowało się kolejne przejście. Tym, co przykuło ich uwagę, był monumentalnych rozmiarów szkielet pod lewą ścianą. Ruszyli ku niemu, aby go zbadać. Jego wysokość sięgała stu dziesięciu łokci. Angal musiał głęboko się odchylić, by zlustrować cały szkielet.

- Jak matkę kocham, co to jest? - zastanawiał się krasnolud.

- Coś dotąd niezbadanego. - Zul badał kość po kości. -

Długa, szeroka paszcza najeżona kłami długości trzech łokci, rogi, szpony.

- I bardzo długi ogon. - Bill wskazał bok szkieletora.

- Aczkolwiek tu żadnego miecza nie ma. - Rozłożył ręce Geron. - Coś tu nie pasuje.

- Musimy wejść głębiej - powiedziała Rose. - Tam są kolejne schody i kolejne przejście.

- Jak w horrorze jednego wieszca. - Dreszcz przebiegł po plecach Zula. - Głębiej i dalej w mrok.

Wtem do ich uszu dobiegł ryk. Po raz wtóry w swoim życiu słyszeli ten okropny, przerażający dźwięk. Zamurowało ich. Wymienili spojrzenia i nerwowe komentarze. Wydobyli broń. Chłop przyjął pozycję bojową. Ziemia zadrżała. Coś zbliżało się ku nim z wnętrza góry. Czuli każdy krok. Istota zdecydowanie była duża, gdyż każdy jej krok wprawiał ziemię w drganie. Miny im zrzedły. Po kilku dramatycznych chwilach pełnych ryku i wstrząsów całej hali istota ta, wyszedłszy z czeluści, ukazała się na piedestale, wyżej od nich. Miała ponad sześćdziesiąt łokci wysokości, długą, najeżoną kłami paszczę i podłużny ogon. Stwór miał szarawą skórę niczym wąż. Ogólnie przypominał ogromną jaszczurkę z małymi przednimi łapami. Coś mówiło Angalowi, że jest spokrewniony ze szkieletorem. Wojak hrabiego stał jak zamurowany z szeroko otwartymi oczyma. Nagle zerwał się z krzykiem i uciekł drogą, którą przybyli.

- No to wsparcie od włodarza terenu dało nogę. - Naznaczony zmarszczył czoło.

- Ktoś ma jakieś sugestie względem tego tu? - Przerażony

Angal wskazał na stwora, który, rycząc, kroczył ku nim. Ziemia drżała przy każdym jego kroku. Krętobrody podskakiwał za każdym razem.

- Pierdolony jaszczur z początków świata. - Zul splunął. - Proponowałbym się rozdzielić i uważać na jego nogi!

Kompania rozbiegła się po hali. Stwór rozpędził się i rozpoczął pościg za potencjalnym obiadem. Najpierw ruszył za Angalem. Krasnolud przeklął i schował się za stalagmitem. Potwór węszył, potem skierował się ku Billowi. Tymczasem Rose szła z łuku, a Zul wraz z Naomi wykonywali układy i atakowali stwora magią. Jednak bestia zdawała się być nieczuła na ataki. Geron okrążył potwora i zaatakował od tyłu, unikając ogona. Próbował ciąć mieczem w stopę, lecz wysiłki spełzły na niczym. Podbiegł więc do Angala. Stwór kręcił się, ryczał, kłapał paszczą tuż nad ziemią i miotał ogonem na wszystkie strony.

- Masz tę linę od Ylauta?! - Geron usiadł obok krasnoluda, który przytulał młot do piersi.

- Mam, tu w tobołku! A co?!

- Nie załatwimy go jak zwykłego stwora! Musimy go wyrócić i spróbować uciąć głowę!

- Powaliło cię?!

- A masz lepszy pomysł?!

- Tak! Odwrót!

- Nie odejdę bez Miecza Gniewu! A jeśli uciekniemy, to i tak załatwią nas orkowie!

- Kurwa! I tak źle, i tak niedobrze! Masz! - Krasnolud wyjął z torby cienką, srebrną linę, podarek od łowcy

z Zaginionej Doliny, i podał Geronowi. Tymczasem potwór skierował się ku miotającym Kulami Ognia czarodziejom. Zul otworzył usta z przerażenia, wyszarpnął miecz i ciągnąc Naomi za rękaw, uciekł za stalagnat. Geron przywiązał sobie koniec liny do lewej ręki i pobiegł ku ryczącemu potworowi.

- Bill!

- Co?!

- Łap! - wrzasnął Geron i rzucił drugi koniec liny olbrzemiemu mężczyźnie znajdującemu się po przeciwnej stronie bestii.

Bill chwycił go mocno. Obaj ruszyli wzdłuż nóg stwora, później wyminęli się pod ogonem. Plątali nogi potworowi dopóty, dopóki lina na to pozwoliła. W końcu zaparli się. Bestia, rycząc, zwała się na ziemię. Geronowi ramię niemal się wyrwało, jednak nie zmniejszył oporu. Straciwszy równowagę, stwór nie mógł się podnieść. Kłapnął paszczą. Angal opuścił stalagmit i z podniesionym młotem ruszył w kierunku bestii, krusząc jej jeden z kłów i wprawiając we wściekłość. Naznaczony sięgnął po topór, zamknął oczy i ścisnął uchwyt, aż broń zabłysła. Podbiegł do szyi stwora i uderzył w kark z całej siły. Magiczna broń przełamała twardość skóry. Naznaczony musiał jednak powtórzyć manewr trzy razy, zanim bestia przestała się ruszać i ryczeć. Bill odsunął odcięty łeb, wówczas Geron odetchnął z ulgą, był cały umazany krwią.

- Ubiłeś cholernego gada - westchnął krasnolud. - Masz krzepę w łapie.

- Gratuluję oczywiście, ale coś mi się tu nie zgadza -

powiedział Zul, wprowadzając zamieszanie. – Tamten szkielet należy do stwora dwukrotnie większego niż ten tu.

– Co sugerujesz? – zapytał przestraszony Krętobrody. – To niby za małe?

– Nie, ale jakieś mniejsze. Jakby... dziecko.

– Że niby zabiłem młode? – Geron zgłupiał. – Każde dziecko ma matkę... O cholera.

– Nie wkurzajcie mnie. – Angala zlał zimny pot. – Tu jeszcze może być dwa razy większa matka?

– I chyba właśnie idzie – powiedział Zul, gdy do ich uszu dobiegł nowy ryk z czeluści, potężniejszy i bardziej przeraźliwy niż poprzedni. Spojrzeli przerażeni w mroczny tunel, przygotowując się na najgorsze.

*

Mecenas krążył nerwowo po pomieszczeniu. Troje jego sług obserwowało go z niepokojem. Raban za drzwiami obwieścił przybycie długo oczekiwanego szpiega. Wpadł do pokoju z kwaśną miną. Wlird spojrzał na niego, gdy ten łapał oddech.

– I co? A ten drugi gdzie? Mów!

– Szefie...eh... Lykanie znaleźli ciała Mirena i reszty.

– Niech to szlag! Mówiłem, że trzeba je spalić. A gdzie ten drugi, pytam po raz ostatni!

– Jak wyłazili z tej jaskini, to on nas zobaczył i zastrzelił Klausa.

– Debile! Mówiłem, dyskretnie! Kto go zastrzelił?

– Ich dowódca. Żyje. Bardzo dobry strzelec. Z dziesięciu jardów trafił prosto w lewe oko. Tak się przestraszyłem, że od

razu wzięłem nogi za pas.

- Arrr! Mamy przewalone! Skoro generał la Vardo żyje i wpadł na nasz trop, ucieczka nic nam nie pomoże. Niebawem znajdą naszą poprzednią kryjówkę pod wodospadem. Mam nowy plan. Macie mi sprowadzić jak najwięcej wampirów.

- Co zamierzasz, szefie?

- Stworzymy sobie armię! Staniemy do boju z lykanami. Oczywiście nie zaatakujemy pierwsi. Musimy znaleźć jakąś twierdzę, najlepiej na wzgórzu.

- Może Czarna Twierdza w Enwerpii, na południu? - zaproponował jeden ze sług. - Podobno czart tam siedział, ale Wybraniec go przepędził i forteca została pusta.

- Wybornie. Zajmiemy ową twierdzę, zwerbujemy nowych ludzi, zostawimy ślady, aby lykanie odnaleźli nas w odpowiednim czasie. Zastawimy pułapki.

- Szefie, przecież na południu toczy się wojna!

- Co z tego? Potrafimy przemknąć cichcem tak, że nikt się nie połapie. A jak skończymy z la Vardo i jego ludźmi, dołączymy do orków po nasze zasłużone trofeum. Dobrze! Richard, zwołaj zebranie. Wdrażamy ten plan.

*

Zmęczeni, jednak dumni ze zwycięstwa, opuścili halę, szkieletora oraz ogromne truchła jaszczurów - matki i dziecka. Geron oberwał w lewą nogę i trochę kulał. Obrażenia odniósł także Zul, gdy wielka mamuśka smagnęła go ogonem. Uderzył plecami w stalagnat. Naomi podtrzymywała go, teraz jednak zastąpił ją Bill. Wyszedłszy po

schodach, po przejściu ostatniego ciemnego korytarza dotarli do ostatniej hali, najmniejszej. Jej ściany zdobiły malowidła i pisma, naprzeciwko zaś znajdował się głęboko wbity w skałę miecz. Geronowi oczy się zaszklily na ten widok. Zbliżyli się powoli, zachowując wszelką ostrożność przed kolejnym niespodziewanym atakiem, który mimo oczekiwań nie nastąpił. Cała szóstka otoczyła miecz. Broń była zespolona mocno ze skałą, mimo to sama rękojeść, bogato zdobiona, zrobiła na nich wrażenie. Naznaczony sięgał po miecz, gdy w hali rozległ się głos o niskim tonie, wypełniający całe pomieszczenie i nie pochodzący od istoty żyjącej.

- Zatrzymajcie się, śmiertelnicy! Kto śmie wyciągać plugawą dłoń po broń o wielkiej mocy?!

- Nie trwóż się, o wielki duchu, strażniku Miecza Gniewu!
- odparł podobnym tonem Zul.

- Przybyliśmy po miecz, gdyż bogowie nas tu przysłali! - dodał Geron.

- Każdy tak powie, a zwłaszcza złodziej! - ryknął głos. - Zabierz swe łapy, parszywy barbarzyńco! Klątwa spłynie na tego, kto weźmie świętą broń do bezbożnych czynów, by kalać ją bezprawiem!

- Duchu strażniku! - rozpoczął Naznaczony. - Wierz mi bądź nie, ale sam Nidas do mnie przemówił! Jam jego posłańcem, który musi użyć Miecza Gniewu, aby wypłenić pustoszące świat zło pochodzące od Raala, w szczególności zaś sługę Złego, Lodowego Pana. Jeśli jednak boisz się o broń, przysięgam ci, że oddam ci ją, gdy tylko wypełnię swą misję, którą powierzyli mi bogowie. Kiedy już uda nam się

wykorzeń zło, wróć tutaj i wbiję miecz w to samo miejsce, jeśli teraz pozwolisz mi go zabrać.

Angal zgłupiał od tych słów. W taki sposób przemawiali królowie. Z opowieści Zula wynikało, że na początku ich znajomości Geron wysławiał się potoczną, chłopską gwarą. A tu proszę, przemowa monarchy lub herolda. Spojrzał na czarodzieja. Ten miał podobny wyraz twarzy. Zerknął na Billa, który rozchylił usta ze zdumienia. Na dziewczęta wolał nie patrzeć. Przemowa Wybrańca przekonała jednak ducha strażnika.

- Widzę, że serce twoje czyste, intencje szlachetne, cel zbożny. Przekazuję ci przeto mój miecz, ja, król Arcanii, Alandil.

Szczęki im opadły. Sam wielki król, pogromca Kaliona, strzegł swej wspaniałej broni. Geron niepewnie sięgnął po miecz, wątpiąc, czy zdoła wyszarpnąć broń ze skały. Ku jego zdumieniu miecz wyszedł gładko niczym nóż z masła. Naomi pisnęła.

- Sam Alandil... Jak to możliwe... przecież zginąłeś na polu bitwy.

- Tak, poległem, gdy Kalion przebił me serce sztyletem, nie byłem mu jednak dłuźny. Po mej śmierci topór mój zaginął, gdyż ktoś zabrał go z zamku. Miecz zaś mój sługa zaniósł tutaj, poświęcając swe życie, aby rzucić klątwe i pobudzić do życia strażników. Oddał nawet swe ciało, aby zaklęcie zadziałało. Biedny, wierny Drogon.

- Kto? Opętał nowego proroka - zauważył Zul.

- Powinność tylko wypełnił - odparł duch poległego króla.

- W jaki sposób zdołałeś tu pozostać? - zapytała Naomi.

- Zakęcie od bogów sprawiło, że częśćka mnie pozostała w tej broni. W chwili śmierci strażników miecz przywołał mnie z zaświatów. Teraz zaś opuszczę was, gdyż ostrze trafiło we właściwe ręce. Moja rola się kończy. Bywajcie. - Po tych słowach halę wypełniła cisza.

- To już? - zapytał Angal.

- Alandilu? - wrzasnęła Naomi.

- Królu, jesteś tu? - krzyknął Geron.

- Nie drzyjcie mord - fuknął krasnolud. - On naprawdę opuścił to przekłete miejsce.

- I chwala mu za to - skwitował Zul. - Mam dość tych paskudnych jaskiń.

Rozejrzawszy się, ruszyli w drogę powrotną. Angal wziął Miecz Gniewu, aby rzucić nań okiem specjalisty. Rękojeść na pół łokcia, cienka, z czystego srebra, zakończona okrągłą głownią ze złota, wyważona w stosunku do klingi, nabita niewielkimi diamentami, szmaragdami, topazami, szafirami, rubinami i ametystami. Za gardą zaś rozpoczynało się ostrze. W dolnej części było wąskie, później klinga rozszerzała się, by na samym końcu zwężyć się ponownie. Ostrze było długie na trzy łokcie, pokryte wieloma runami i inskrypcjami w dawnym języku. Krasnolud podziwiał przez chwilę kunszt wykonania, po czym oddał miecz Wybrańcowi. Ten zaś wsunął go za pas, obok starej klingi. Tymczasem Krętobrody znów rozpoczął rozważania na trudny temat.

- Znów zapomniałem go zapytać, więc może wy mi wyjaśnicie, jak to jest możliwe, że podczas transformacji

w lykanina Festusowi ubranie się nie rozdziera, tylko znika?

- Oj, Angal. Starszyś ode mnie, na zaklinaniu się znasz, a tego nie wiesz? - odparł Zul.

- Ja żem czeladnikiem kowala był, a nie alumnem w klasztorze. Mnie bestiologii nikt nie uczył.

- To jest tak, że wilkołak to tylko nieszczęśliwy mutant, któremu podczas pełni odbija, a w trakcie przemiany łachy się rozdzierają. Lykanie zaś to wilkołaki nafaszerowane magią eliksiru i księżycy. Dzięki temu zyskują kontrolę oraz magię cząsteczkową.

- Jaką?

- Polega to na tym... - wpadła Zulowi w słowo Naomi - ... że przylegające do ciała lykanina ubrania transformują wraz z nim, czyniąc powłokę ochronną. Jeśli lykanin na przykład ma na sobie napierśnik, ten przemieni się wraz z nim i utworzy na jego korpusie twardą skórę nie do zdarcia.

- Aaa, to takie buty. Te cholerniki mają w sobie magię.

Mijali kolejne tunele i hale, nieustannie omawiając różne kwestie, które w głównej mierze trapiły Angala.

*

Marszałek wraz z prawnym właścicielem posesji zbliżyli się do króla. Nowe informacje nie były wesołe. Sahael spojrzął na nich, a w tym momencie w twierdzę uderzył gwałt, wprawiając budynek w drgania.

- Melduj - rzekł bezwiednie monarcha.

- Wasza miłość. Sytuacja nie jest trudna. - Król spojrzął zdziwiony. - Jest beznadziejna. Wprawdzie krasnoludzka

armia wyruszyła z Kodoru, jednak jest o cztery dni drogi stąd. Godryk utrzymał Skalisty Jar, ale natarczywe ataki sił wroga pod dowództwem tego ich Lodowego Pana wystawiają na próbę mury fortecy. Udało się tam pięciu czarodziejów.

- I nam przydałoby się kilku.

- Panie, wysłano dwóch, lecz Folg ich dopadł.

- Bogowie zlitujcie się! Ilu ludzi pozostało na murach?

- Wasza wysokość zadaje trudne pytania. Orkowie przebili już bramę i weszli na mury zewnętrzne miasteczka.

- Diuku Gilbercie, macie tutaj jakiś tajny tunel?

- Niestety nie - odparł władarz. - Do tej pory nie było potrzeby budować. Są jedynie lochy.

- Lochy! Pięknie. Powinniśmy iść i się zakuć w dyby i kajdany. Folgowi będzie łatwiej. Szybko nas odnalazł.

- Wszystko przez wilgotny grunt, jasnie panie - odparł Adullam. - Ślady podków wytyczyły prosty szlak z tamtej wioski. Nie pomyśleliśmy o tym w pośpiechu.

- Folg ma ponad dwadzieścia tysięcy wojska, trebusze i trolle, my zaś pięć sprawnych baszt, wewnętrzny mur i jakieś trzy tysiące ludzi. W obecnej sytuacji mam cztery wyjścia. Mogę upić się do nieprzytomności jak krasnolud, strzelić sobie z kuszy w łeb jak człowiek, oddać się w ręce nieprzyjaciela jak tchórz lub, jak na elfa przystało, wyjąć miecz, podnieść głowę i zginąć z honorem. Nie zdołamy się wycofać, odsiecz nie dotrze, a orkowie wedrą się tu za jakąś godzinę. Panowie, idziemy. Nim zginiemy, odeślemy parę tych ścierw do cholernego piekła. - To rzekłszy, Sahael założył napierśnik i hełm, wziął dwie katany i wyszedł z komnaty.

Diuk Gilbert i Adullam ruszyli w jego ślady. Król w asyście dwóch doborowych wojowników, marszałka z prawej i diuka z lewej, opuścił twierdzę i rzucił się w wir walki.

*

Po godzinnej przeprawie szóstka kamratów wydostała się z tuneli górskich, jednak tuż po wyjściu nie byli już tacy pewni, czy opuszczenie jaskiń było w istocie dobrym pomysłem. Ujrawszy światło dzienne, ich serca uradowały się, jednak chwilę później ten piękny dzień stał się koszmarem. Wychodząc wesoło z tunelu, wpadli w zasadzkę goblinów, które niespodziewanie otoczyły ich w liczbie dwudziestu dwóch. Kompani nie zdołali wydobyć żadnej broni, nawet finki, gdy ohydne pokurcze przystawiły im noże do gardeł. Billowi przystawiono kuszę, gdyż goblin był zdecydowanie za niski i stał na skale, mimo to olbrzym nie zdołał się ruszyć. Rozbroili ich, zabrali każdą torbę i broń, czarodziejom odebrali sygnety. Wszystkie łupy odnieśli na bezpieczną odległość. Wziąwszy ich jako zakładników, gobliny rozstąpiły się na boki, a pomiędzy nimi przeszedł najwyższy, zakapturzony, w purpurowym płaszczu. Podszedł do Gerona, którego trzech goblinów trzymało, posadziwszy wcześniej na ziemi. Dowódca zrzucił kaptur, ukazując parszywą twarz z licznymi bliznami. Zgniłozielony zakapior uśmiechnął się paskudnie.

- Proszę, proszę. Jakież to proste. Nhie wiem, z czym te asasyny miały kłopot. Nie znacie mnie, lecz posnacie. Jam Zogl, prawha ręka władcy goblinów.

- Masz paskudną ryfę, wiesz? - rzekł Angal, lecz zaraz strażnicy postawili go do pionu.

- Czego chcesz? Naszych głów? - zapytał Geron.

- Po cóż miałbym się obartaczać? Mam dostharczyć troje z was żywych, resztę mogę zabić. - Zogl obszedł wszystkich i zatrzymał się przy Naomi. - Ta ładna jest mi niepotrzebna. Umrze pierwsza.

- Zostaw ją! - prychnął Zul.

Goblin spojrział ciekawie na czarodziejkę, później na maga.

- Aa, thy ją lubisz! *Excholteh!* - przyklasnął z zadowoleniem. - Dajcie ją tham. Więcej miejsca. - Wskazał skraj drogi prowadzącej do wioski. Jego słudzy zaciągnęli tam czarodziejkę i dostawili pod jej głowę pieniek.

- Zghinie dla przykładu. Nhie bierzcie tegho do siebie. Dla mnie to tyłkho interes - rzekł Zogl i skinieniem ręki nakazał egzekucję.

Jeden z goblinów trzymał Naomi, drugi uniósł wysoko topór. Zul ze łzami w oczach obserwował widok, którego chciał uniknąć. Wiedział, że niebezpiecznie było zabierać ją ze sobą. Teraz przez głupią wpadkę miała zginąć. Kat już szykował rękę do ciosu, gdy niespodziewanie bełt przebił mu tchawicę. Otwór gębowy nabiegł mu krwią w kolorze szlamu. Stracił równowagę, a topór w jego dłoni, uniesiony w górę, upadł bezwiednie na jego głowę, roztrzaskując ją na kawałki. Posoka i fragmenty mózgu rozbryzgały na boki, brudząc czarodziejkę i trzymającego ją goblina. Zdumiony Zogl wypatrywał strzelca. Tymczasem drugi bełt zabił kolejnego

oprawcę Naomi. Zdezorientowany przywódca goblinów schował się za najbliższy głaz. Członkowie kompanii szukali wzrokiem tajemniczych wybawców, gobliny zaś puściły zakładników, dobywając broni większego kalibru. Ze wszystkich stron dosięgła ich chmara bełtów. Wynaturzone odpowiedniki krasnoludów padały jak muchy. W Zula wstąpiła nadzieja. Naomi, przerażona najgorszą chwilą w jej życiu, poderwała się i ruszyła ku temu, którego kochała. Znajdowała się stopę od niego, czarodziej prawie miał ją w ramionach, kiedy podkręcony bełt przebił czarodziejkę na wylot, utknąwszy w niej. Zulowi niemal serce stanęło na ten widok, a krew zawrzała. Grot wystawał jej z brzucha, z okolic wątroby. Oczy stanęły jej w słupek, a w ustach pojawiła się krew. Ubranie zabarwiło się od posoki. Zaczęła upadać. Kompani widząc, że tymczasowy wybawca może okazać się innym łowcą nagród, upadli nisko na ziemię. Zul złapał Naomi i spojrzał po raz ostatni w jej piękne, zielone oczy. Ostatkiem sił wyszeptała:

- Najdroższy mój... nie powiedziałam ci jednego.
- Czego, moja miła?
- Ja... my mamy syna.
- Co?!
- Powiłam jeszcze podczas nauki, zajmuje się nim moja matka w Rodo.
- Co mam zrobić, kochana?
- Znajdź go i zaopiekuj się nim. Moja matka ma sklep z ziołami, zwie się... Sybilla. - To rzekłszy, odsunęła głowę w tył, zamknęła powieki i skonała.

Odeszła. Utracił ją na wieki.

Niemal wszystkie gobliny były wybite. Między krzewami dało się dostrzec sprawców zamieszania. Geron spostrzegł ludzi w znienawidzonych strojach. Asasyni. Nic nie mogli wskórać, jeno schować się, gdyż ich broń i rzeczy były zbyt daleko, aby ich dosięgnąć. W czarodzieju krew zawrzała. Poczul w sobie ogień. Kipiał gniewem. Kierowany niepohamowaną żądzą mordy i niewytłumaczalną dla niego siłą, powstał i wyciągnął przed siebie prawą rękę. W oddali dostrzegł Sedara. Wściekłość zwielokrotniła się. A więc to on nasłał na nich hordę swych pobratymców. W następnej chwili stała się rzecz niepojęta. Zulzedeusowi zdało się, że czas się zatrzymał, gdy z jego dłoni łukiem w kierunku doliny wystrzeliła fala mocy na kształt potężnej telekinezy. Niebo, wcześniej czyste i słoneczne, spowity gęste, czarne chmury. Zerwał się gwałtowny wiatr, pioruny przecięły nieboskłon. Oczy czarodzieja stały się mrokiem, ciemnością i ogniem zarazem. Wszystkich w promieniu pół mili rzuciło na ziemię, broń wymknęła się z rąk na odległość pięciu stóp, drzewa odchyliły się, a krzewy powyrywało. W serca asasynów wkradł się ogromny strach. Po tym akcie wszechmocy Zula opuściły nieziemskie siły, a jego oczy odzyskały naturalną barwę. Spojrzał zdumiony na swoją dłoń. Towarzysze byli w szoku. Przerażeni asasyni dali nogę, potykając się o połamane gałęzie. Mimo krzyków Sedara i rozkazów nikt nie pozostał. Kompani dostali się wreszcie do swoich rzeczy. Przerażony nagłą sytuacją wódz zabójców pognał za swymi ludźmi. Czarodziej odwrócił się.

- Co to było, do cholery? - zapytał zdumiony Angal, podnosząc się z ziemi.

- Jakżeś to zrobił? Przecież wzięli twój sygnet - dodał Geron.

- Sam nie wiem, jak to się stało. Kiedy skoła w mych ramionach, coś we mnie pękło i nakazało uderzyć Falą Furii - odparł Zula, którego nagle ogarnęło wielkie zmęczenie. - Wiecie, słabo się czuję, a ją trzeba pochować.

- Wcale się nie dziwię - odparł Angal. - Jakby ze mnie wyrwało się coś takiego, padłbym trupem.

- Nie martw się - dodał Bill. - Wezmę jej ciało. Wyprawimy jej piękny pogrzeb.

- Znowu uratowałeś nam tyłki - dorzucił Geron. - Chodź, stary druhu. Jesteś nieoceniony i naprawdę potężny.

Zabrawszy wszystkie rzeczy, w tym oba sygnety, Bill delikatnie wziął ciało Naomi, Geron zaś z Angalem podtrzymywali Zula, który słabł z każdym momentem. Rose stwierdziła z przekonaniem, że Dolina Edgel narzuciła im się ciut za dużo. Mimo pięknych widoków z chęcią ją opuszczają.

ROZDZIAŁ 17:

SZALONY MĘDRZEC

Gwar na sali nie cichł. Sedar kilka razy musiał przywoływać ich do porządku. Nikt nie chciał słuchać wielkiego mistrza. Ostatecznie udało mu się uzyskać względny spokój. Sedar stał na podwyższeniu w asyście Weldego i Verry.

- Panowie! Panie! Proszę o ciszę! Nie podoba mi się wasza niesubordynacja!

- Niesubordynacja?! Człowieku, gdzie ty nas wysłałeś?

- To miała być prosta robota!

- Mogliśmy wszyscy zginąć!

- Cisza! - wrzasnął mistrz. - Byliśmy tak blisko celu, a wy uciekliście. Dlaczego?

- Nie rób z nas debili!

- Nie mówiłeś, że wśród celów będzie tak potężny czarodziej - powstał Eric, uciszając towarzyszy. - Jednym ruchem mógł zmieść cały zakon. Tego chciałeś?

- Nie powiedziałem, że będzie łatwo. Robota jak robota. A wy zdezerterowaliście z pola walki.

- Nigdy nie spotkałem człowieka, który jednym gestem wyrzywałby krzaki, rozbroił dwudziestu ludzi i sprowadził czarne chmury.

- No dobrze, tego nie wiedziałem - przyznał Sedar. - Lecz

wy nie mieliście prawa...

- Nie mieliśmy?! - wrzasnął Eric, rudobrody krasnolud o bystrych, czarnych oczach. - W kodeksie widnieje zapis mówiący o prawach ucieczki. I ten przypadek się do tego zalicza. Bezpośrednie zagrożenie upadku zakonu. - Przy ostatnich trzech słowach uderzał pięścią w stół.

- Ogarnijcie się!

- Sam się ogarnij! - Powstał Tommen, wysoki blondyn. - Kusza wyrwała mi się z rąk i zdzieliła mnie w twarz, a potem poszybowała sześć stóp za mnie. Bullitowi kard rozciął przedramię, a czterech naszych zginęło rykoszetem. Mieliśmy dużo szczęścia.

- Co z ciebie za dowódca, jeśli nakazujesz przebyć setki mil tylko po to, by nas zabito! - wrzasnął ktoś inny.

- Licz się ze słowami! - wybuchnął dowódca.

- Miałeś prowadzić nas ku rozwojowi. Mogę walczyć z orkami, elfami, ludźmi, ale nigdy, do cholery, nie będę się bił z czarodziejami! Skoro jeden potrafi takie cuda, to co z nami zrobi klasztor!

- Słuchaj, Sedar - rzekł twardo Tommen. - Nie mogę łamać praw kodeksu, lecz ty również nie masz prawa nadużywać władzy. Jeśli jeszcze raz poprowadzisz nas na jakiegokolwiek czarodzieja, ja odchodzę, nawet pod groźbą śmierci.

- Czy wyście poszaleli?! - zdumiał się mistrz.

- Od tej chwili masz mówić, kogo idziemy zabić - dodał Eric. - Wszyscy się ze mną zgodzą. Nie pójdziemy za tobą w ciemno po raz drugi.

- Grozisz mi? - Sedar wychylił się.
- Tylko ostrzegam.
- On ma rację - poparli Erica inni. - W przeciwnym wypadku twoja idea rozpadnie się.
- Nie będzie żadnego zakonu!
- I nie próbuj nas straszyć. Nawet ty nie dasz rady nam wszystkim.

Sedar złapał się za głowę. Jego plan nie do końca wypalił. Nie poprowadzi ich jak bezmózgich nieumarłych. Musi przemyśleć nową strategię.

*

Długo debatowali nad tym, dokąd udadzą się po opuszczeniu Doliny Edgel. Sprawę ostatecznie rozwiązał Zul, który mimo psychicznego wstrząsu po śmierci Naomi po skromnym pogrzebie wysłał gołębice do ludzi królowej Fetheal. W odpowiedzi dostał informację o rozgromieniu goblinów na peryferiach Lafaryngii. Dariusz na czele swych wojsk ruszył za niedobitkami w kierunku Mrocznych Gór, a władczyni Meo Gao wraz z Eliess podążyły ze swymi armiami na południe, gdzie prawdopodobnie odbędzie się największa z bitew tej wojny. Szczególnie ważne było to dla monarchini Wirbergu, pragnącej odzyskać swą ojczyznę.

Po ponad tygodniowym pobycie w dolinie, pomimo jej uroków i baśniowych krajobrazów, pełni jednak złych wspomnień, minęli zrujnowane strażnice i obrali kierunek podróży. Był to dla nich istny paradoks - przez wiele tygodni wędrowali na północ tylko po to, by teraz powrócić na

południe. Nie tracili ducha. Ranne prawe ramię Billa już się zablizniało. Olbrzym ubolewał nad utratą jednego z kluczowych mięśni jego ręki. Znaczna część jego siły przepadła. Czuł to, kiedy dzierżył broń. Czarodziej nadal był markotny. Rose spojrzała na niego.

- Zul, nie martw się tak. Ona jest teraz w innym miejscu. Może spotkał ją lepszy los, niż nas czeka.

- Przebicie strzałą to lepszy los?

- Przynajmniej nikt nie będzie mógł jej torturować czy zgwałcić. Szybka śmierć to nie najgorszy z możliwych scenariuszy.

- Rose ma rację - poparł elfkę Geron. - Osobiście, jeśli miałbym wybrać między błyskawiczną śmiercią od gilotyny lub miecza a długą niewolą pełną tortur, wolałbym śmierć.

- Coś w tym jest - dodał krasnolud. - Umierając, zwłaszcza na polu bitwy, odchodzisz z tego świata w pełni szacunku i chwały, nikogo nie zdradzisz, a jak cię przypalają... szkoda gadać. Historia zna nadgorliwców, którzy przysięgali wierność, a jak ich łamano kołem, wszystko wyśpiewali wrogom.

- Przynajmniej mogłeś ją godnie pochować - powiedziała Rose. - Ja nie miałam możliwości pogrzebać brata. Nie miałam nawet ciała. A zamiast żałoby dostałam szaleńczy pościg i wizytę w przeklętym miejscu.

- Zrozum, ona zmarła na moich rękach. To nie to samo. Jak nie widzisz śmierci kogoś bliskiego, tylko dowiadujesz się o zgonie, przyjmujesz to inaczej. A jak najdroższa ci osoba kona na twoich oczach, wykrwawia się na twoje dłonie, a ty

nie możesz nic zrobić...

- Na pewno znajdziesz kobietę, która ją godnie zastąpi. -
Naznaczony objął przyjaciela, lecz widząc jego wzrok dodał: -
Oczywiście nie twierdzę, że będzie tak doskonała jak twoja
kochana Naomi. Nie możesz przecież się poddać. Mnóstwo
kobiet czeka na ciebie.

- Daruj sobie. Na razie nie mam czasu na romanse.

- Jak wszystko pójdzie dobrze i wojna się skończy,
znajdziesz kogoś.

- Nic z tego. Będę musiał zaopiekować się synem.

- Co, kurwa? - wymknęło się Angalowi. - Ty, do wuja
pana, masz syna? A wam wolno właściwie?

- Nie, lecz Naomi urodziła, zanim otrzymała moc, podczas
studiów.

- No pięknie, bracie. Ale to trochę nieładnie - rzekł
Geron.

- O co ci chodzi?

- Nie wypiliśmy pępkowego.

- I impreza po poświęceniu w świątyni też przepadła -
dodał Krętobrody.

- Ino picie wam w głowie - odparł czarodziej.

- No, picie - rozmarzył się krasnolud. - Jak ja żem dawno
żadnej pici nie widział. Ani młodej, ani zgrabnej.

- Masz starszą, u żony.

- A spadaj, fallusie krzywy! - oburzył się krasnolud. - Mnie
wiekowe jaskinie nie interesują. Świeże, wilgotne jamy. To jest
to!

- Ty stary zboczeńcu - prychnęła Rose. - Idziemy na bój.

Przy odrobinie szczęścia może uda ci się wydymać zniewieściałego orka, na nic więcej nie licz.

- Ale z ciebie pesymistka.

- Są jeszcze trupy i zwierzątka - dorzucił wesoło Bill.

- Zwierzątka! Tfu! Sami sobie krowy dymajcie. Jakiś burdel zawsze się znajdzie, a jeśli nie, to poszukam chętnej funkcjonariuszki służby medycznej. Przeważnie są to młode dziewczęta.

- Oczywiście. Wszystkie młode dziewczki już rozkładają nogi, bo nadchodzi król chuci - elfka przewróciła oczami.

- A żebyś wiedziała. Drogie panie, w górę biusty, idzie Angal, pan rozpusty. Ha!

I tak długa podróż mijала im szybko. Rozmawiali na wiele tematów, kłócili się, wyśmiewali krasnoluda, któremu jeno chędożenie rozum zajmowało.

*

Mecenas zbadał salę. Była okrągła, mroczna, owiana czarną magią, cuchnąca rozkładem. Zero okien, tylko pochodnie co kilka metrów na ścianach, płonące zielonym ogniem. Wdepnął w coś, co przykleiło mu się do podeszwy. Machnął na sługusa, aby podał mu pochodnię. Podniósł stopę, spojrział i skrzywił się. Na spodzie buta tkwiła przegnita tkanka z dwoma palcami, prawdopodobnie resztką ręki. Wszedł głębiej, przyświecając sobie, słudzy weszli za nim. Przed nim znajdowały się piedestały. Naliczył pięć. Podszedł do najbliższego i przerzucił stronicę zakurzonej księgi. Zawierała formuły przyzywania demonów. Przyjrzał się podłodze,

odsuwając stopą zgniliznę. Kręgi i inkantacje. Pentagramy. Wszedł jeszcze głębiej. Dostrzegł podest, ołtarz, szczątki i mnóstwo świeczników z wypalonymi świecami woskowymi. Plotki mówiły, że do tego stanu doprowadził Wybraniec z tym swoim pomagierem, młodym czarodziejem. Jeśli wierzyć wieściom, oprócz nekromantów pozbyli się jakiegoś demona. Widząc ogrom zniszczeń, przeraził się. Jaką mocą oni dysponują, jeśli potrafili doprowadzić do czegoś takiego? Lykanie na karku, ale jeśli Naznaczony dowie się o nich i wróci w te strony, co wówczas zrobią? Teraz dopiero zaczął wątpić w powodzenie idei przywrócenia potęgi wernhor. Wprawdzie orkowie i Lodowy Pan to silni sprzymierzeńcy, ale nie ma gwarancji ich lojalności. Zagryzł wargi. Nie, nie może się poddać. Jego ludzie nie mogą zobaczyć strachu i wątpliwości w jego oczach. Odetchnął i przyjął swój klasyczny, władczy wyraz twarzy. Miał już dość tego smrodu. Nakazał opuścić Komnatę Przyzwań i zamknąć ją szczelnie, aby odór nie przedostał się do innych pomieszczeń. Jego podwładni krzatali się po salonie.

- Szefie, tu nie ma nic wartościowego. Ktoś opróżnił sejf i wszystkie skrytki. Zostały tylko jakieś książki i cholera wie co - rzekł Richard, podnosząc wysuszoną główkę małpy.

- Nie ktoś, tylko Wybraniec i jego przydupny mag. Napchali sobie sakwy łupami nekromantów. Przeszukajcie dokładnie zamek, może jest tu jakaś zbrojownia. Simons!

- Tak, mecenasie?

- Sprawdziliście spiżarnie?

- Sam syf, szefie. Wszystko, co było tam jadalne, dawno

zgniło.

- Teraz mnie słuchajcie, tępe łby. Zajmę jedną z górnych komnat, gdzie będę obmyślał strategię, więc nikt, do trędowatej chuci demona, ma mi nie przeszkadzać! Chyba że to będzie coś ważnego. Powiedzcie reszcie, że nie wolno polować w najbliższych wioskach. Jeśli któryś to zrobi, straci życie. I wysprzątać całą twierdzę, rozpoczynając tu. - Wlird wskazał na drzwi prowadzące do Komnaty Przyzwań. Simons, Richard i pozostali skrzywili się.

- Ale szefie...

- Żadnego ale! Tam ma być porządek, nie zniosę tego smrodu. Jeśli tego nie zrobicie, rozkażę wam wylizać podłogę i zeżreć wszystko, co się na niej znajduje. Jest was tylu, do ciężkiej chuci! - Wlird wyszedł na schody, a słudzy pospiesznie ruszyli wykonać polecenie. Perspektywa kosztowania gnijących szczątków nekromantów była bardzo przykrym scenariuszem.

*

Kierując się na południe, aby wypełnić szlachetny obowiązek, kompania przemierzała bezkres Meo Gao. Za kilka godzin powinni dotrzeć do przeprawy na Yohinie. Zahaczając po drodze o kilka wiosek, uzupełnili zapasy, krasnolud zaś zaspokoił swe żądze. Mimo zmęczenia nucił wesoło. Słońce przypiekało złośliwie. Zulzedeus współczuł żołnierzom, wszystkim tym gwardzistom, halabardzistom, pałkarzom, pikinierom, kwatermistrzom, rotmistrzom i wielu innym, którzy teraz smażyli się w ciężkich zbrojach niczym pieczone

na ogniu. Podążali traktem, którym niedawno przejeżdżała armia dwóch królowych. Trakt był staranowany, a grunt mocno zniszczony i naderwany, przez środek biegła głęboka bruzda, jakby ktoś orał go pługiem. Jednakże podróż była przyjemna, powietrze rześkie, drzewa pełne energii, pokryte zieloniutkimi liśćmi. Niektóre z nich miały już owoce, przede wszystkim czereśnie. Dukt był brązowy, otaczający świat soczyście zielony, niebo zaś błękitne. Zwierzyna i stwory również nie próżnowały. Chwilę wcześniej musieli utłuc upiorka kappa nękającego pewną wioskę. Mężczyźni wyruszyli na wojnę, a przebiegły potwór wielkości dwunastoletniego dziecka, ni to człowiek, ni to ryba, zwabiał niewinne pacholęta. Usłuchali płaczu i błagań kobiet, które straciły już dziewięcioro dzieci. Odnaleźli podlega i wypatroszyli. Wdzięczne kobiety były skłonne do wszystkiego. Wówczas Angal wykorzystał sytuację i zaspokoił swoją chuć. Teraz przemierzaną przez nich drogę przecięło stado jeleni idących z łąki, na której się pały, do lasu na wschodzie. Wkrótce dostrzegli na horyzoncie dwóch jeźdźców zmierzających w ich stronę. Z daleka przypominali dwójkę dzieci. Bill zmarszczył czoło.

- Czy ja dobrze widzę? Ku nam jedzie dwójka brzdąców?

- W tych czasach dzieci raczej nie podróżują same - zaprzeczył Geron. - Patrząc na wzrost, powiedziałbym raczej, że to...

- Gobliny! - wpadł mu w słowo Angal. - Pewnie padalce uciekły z północy na południe, a teraz wracają po wsparcie.

- Człowieku, wszystkie gobliny królowie zagnali na północ

- odparł Zulzedeus. - Geron pewnie chciał powiedzieć, że to...

- Krasnoludy - odparła za niego Rose, mrużąc oczy. - W zbrojach lekkiej piechoty, w niedostosowanych siodłach, bo ledwo utrzymują się na tych wałachach.

- Moi pobratymcy? Co, do licha, robią krasnoludy na północy, skoro wszyscy z mej nacji stoją przy władcy, daleko na południu?

- Skąd nam to wiedzieć? - odparł Naznaczony. - Jak się z nimi zrównamy, to zapytasz. Przy okazji może im siodła przerobisz, skoro to twoi pobratymcy.

- Jak mają gorzałkę, to bezproblemowo. Gorzej, jak nie mają - rzucił wesoło Krętobrody.

Po chwili byli blisko jeźdźców. Geron spojrział na swego wierzchowca i ściągnął wodze, by koń jechał wolniej. Po raz wtóry zaczął rozmyślać, co też mogło stać się z Marianem. Jego wierny, ogromny, kary ogier pozostał w Ruel Edel, wśród szkolących się asasynów. Prawdopodobnie traktują zwierzę dobrze. W końcu koń nie jest niczemu winny, a dobrego wierzchowca potrzebuje każdy doborowy wojak. Zrównali się i spostrzegli znajome twarze.

- Czyżby to był... sędzia Kirk! - ucieszył się Zul na widok starego druha z kędzierzawą, czarną brodą.

- I Vinimestr! - dodał Angal. - Co wy tu robicie, stare nicponie?

- Witajcie - odparł Kirk. - Ano my po was z rozkazu króla.

- Którego? - zapytał czarodziej.

- Naszego, Fergususa - odrzekł Vinimestr, zawracając konia. - Tak się złożyło, że nas dwóch ten zaszczyt kopnął.

- Poznajcie Billa, naszego wielkiego druha. - Geron przedstawił olbrzyma, a gdy wymienili uściski, dodał: - Opowiedzcie nam wszystko od początku, byśmy nie stracili wątku. I tak przed nami długa droga.

- Masz słusność - rzekł Kirk. - O waszym losie i tak większość ludu wie, jednakowoż wieść się rozchodzi wtedy, gdy wy znikacie. Słyszałem o potyczce z demonem, potem znikaliście i pojawialiście się coraz bardziej na północy. Wszak i nas los nie oszczędzał. Po tym, jak opuściliście niespodziewanie Balha Deal, a król Sahael przepędził orków, wyszło rozporządzenie o nowym naborze do królewskiej armii. Kasztelan Dafoe również zebrał ludzi na wsparcie dla stolicy. Wtedy to do Wszechziemia przybył ten cholerny wódz orków, co zamroził pół świata. Przeklęty typ.

- Sahael się przeraził, kiedy Lodowy Pan przegnał Eliess z Wirbergu - kontynuował Vini. - Jak wiecie, rozkazał całemu ludowi zjechać do stolicy i ruszyliśmy wszyscy przez Wielką Puszczy. Wtedy to zeszliśmy się we dwóch z Kirkiem we wspólnym krasnoludzkim taborze. Zostaliśmy rębajłami i wraz z innymi drwałami torowaliśmy drogę wśród drzew. Jakżeśmy dotarli do Enwerpii, król kazał nam wracać do ojczyzny. Jako że samych krasnoludów było niewiele ponad setka, dość sprawnie udało nam się przemknąć do Kodoru, a król i jego ludzie pojechali do klasztoru. Fergus szykował się do wojny i zbierał ludzi w legiony. Dwa dni przed wymarszem kodorskiej armii Godryk zajął Skalisty Jar, a Sahael twierdzę nad Driestrią. To było jakieś trzy tygodnie temu.

- Ano trzy - snuł dalej swą opowieść Kirk. - Fergus coś

przeczuwał. Wysłał wszędzie szpiegów. Rozeszła się wieść, że Godryka oblega sam władca orków, zaś na Sahaela, który miał niewiele wojska, ruszył Folg.

- A to nie ten, co zaatakował w zimie Balha Deal? - zapytał Angal.

- Ten sam - odparł Kirk. - Podejrzewam, że chciał zemsty. Dowiedziawszy się o położeniu kilku armii i ich wielkości, Fergus postanowił najpierw wesprzeć Sahaela, bo ta jego warownia była beznadziejnym punktem strategicznym, aczkolwiek jedynym tak wysuniętym na zachód.

- Nasz władca bał się jednak, że spadnie morale w armii - rzekł Vinimestr. - Widział strach w szeregach swych żołnierzy. Słyszał, jak kilku opowiadało, jakie okropieństwa czyni władca orków. Wpadł więc na pomysł, aby ściągnąć Wybrańca.

- Mnie?! - zdziwił się Geron. - Po jakie lichy?

- Nie wydurniaj się - odparł Kirk. - Jesteś ponoć nadzieją, tak? Rozwaliłeś tego demona, uciekasz nieustannie łowcom nagród. Fergus stwierdził, że jakbyś ty był wśród jego ludzi, ci mniej by się bali. Usłyszał gdzieś, że cię znamy, to nas wysłał na poszukiwania.

- Ale, cholera, źle się dzieje - westchnął Vinimestr. - Może i Wszechziemie wygrywa na północy, ale dostaje w dupę na południu.

- A to co się stało? - zapytała Rose.

- Nie wiecie? Że Sahael...

- Sahael co?

- Naprawdę nie słyszeliście wieści? - niedowierzał Kirk.

- Chłopie, myśmy półtora tygodnia spędzili w Dolinie Edgel

- odparł Angal.

- Jakżeśmy wyruszali po was, Sahael przegrał bitwę. Po dwudniowym oblężeniu, mimo starań, jego twierdza upadła. Folg podszedł go sprytnie drugą armią od południa i zmiażdżył. Władca ledwo uciekł. Lodowy Pan zamroził długie kilometry Driestrii, aby łatwiej przebyć rzekę. Wprawdzie Godryk długo stawiał opór, ponad tydzień, w końcu jednak zbiegł tunelem w głąb Enwerpii i sprytnie się zaszył. Lodowy Pan wkroczył do twierdzy Skalistego Jaru dopiero trzy dni po ucieczce Godryka. Teraz on jest tam panem. To było dwa dni temu. Myślę, że Fergus dotarł już do Godryka. Sahael nie miał szczęścia. Folg szybko go wytropił, bo następnego dnia już oblegał jego nową kryjówkę. - Krasnolud opuścił głowę.

- To była rzeź. Sam Sahael bił się jak stu, aż w końcu go pojмали. Folg chciał pojedynku jeden na jeden. Władca Ve a Utheel nie miał wyboru. Długo stawiał opór, lecz w końcu... - Głos mu się załamał. - Padł.

- Mrok świat ogarnia. Sahael nie żyje? - Geron posmutniał. - Taki wspaniały człowiek.

- Niestety. Nie miał armii, a wsparcie nie zdążyło na czas. Magowie obwiniają za to siebie. Teraz Nephole, która została w Rew Terim, jest władczynią ludu Ve a Utheel. Arcymistrz klasztoru w poczuciu winy za nieudzielenie w porę pomocy Sahaelowi obiecał królowej uczynić wszystko, aby odzyskała ojczyznę.

- Kuźwa, szykuje się wielka bitwa - rozmyślał głośno Krętobrody. - Wszechziemie nie zapomni. Fergus z Godrykiem utworzyli obóz, z północy nadciągają na pomoc królowe,

pewnie i młody Ferdynand dołączy, a i magowie przybędą. Jeśli wszyscy zdążą się zjechać, nim Lodowy Pan przywlecze swą armię, to... O ja pierdołę!

- Masz rację - przytaknął czarodziej. - To może być największa, najbardziej epicka bitwa w historii. Musimy tam być. Gdzie zbierają się królowe?

- Ponoć po wschodniej stronie Zalewu Krwi, między Koel Nahal a Enwerpią.

- Zalew Krwi, mówisz? - zastanowił się Geron. - Po jego zachodniej stronie jest Xans. Angal, mówi ci to coś?

- Nie wypominaj mi, dobrze? Cholera, ile razy mam was przeproszać?

- Spokojnie, nie denerwuj się. - Wybraniec poklepał go. - Tym razem nie zawitamy do Ruel Edel. Ten jeden raz wystarczy. Jak Lodowy Pan zamrozi cały zalew, utworzy się ogromne pole bitewne.

- Jak myślicie, za ile dni dojdzie do bitwy? - zapytał Bill.

- Patrząc na postęp armii, za jakiś tydzień - kalkulował Zul.

- W takim razie musimy przyspieszyć. - Geron zerknął na mapę. - Przed nami długa droga, całe Koel Nahal do przebycia.

- Jak popędzimy konie, dogonimy armie królowych - spostrzegł Bill.

- To niegłupi pomysł. Panowie, spotkaliście Eliess i Fetheal?

- Spotkać to nie, ale mijaliśmy ich konwoje i armię - odparł Kirk.

- Kiedy?

- Wczoraj rano.

- Jak sądzisz, Zul, dogonimy je?

- Jeśli pognamy galopem i zmienimy wierzchowce co najmniej dwa razy, będziemy w stanie dogonić je za dwa dni pod wieczór. W nocy raczej nie maszerują.

- Więc jak, ludziska, robimy to? - zapytał Geron całą brygadę. Przytaknęli. Żałując pięknego otoczenia i przeklinając słońce przypiekające skórę, szarpnęli wodze i zmusili konie do szaleńczego galopu, podążając tropem królewskich armii.

*

Generał rozsiadł się wygodnie na długiej, pięknie zdobionej sofie. Ujął w dłoń puchar wina i skosztował. Wyborne. Enwerpia słynęła z wina, a najlepsze winnice znajdowały się na południu. Nie mógł się doczekać, aby dobrać się do najzaczniejszych roczników południa. Przekąsił wino udkiem kurczaka. Wtem usłyszał za drzwiami raban. Zakrzyknął, aby straż wpuściła namolnego przybysza. To był Vorgir. Podszedł kulawo i usiadł naprzeciwko Folga.

- Cóż tam znowu?

- Generale, mam trzy wiadomości - zaskrzeczał. - Dobrą, złą i rozkaz. Od której zacząć?

- Od złej. Nie chcę sobie psuć humoru na końcu.

- Zogl nie żyje.

- O, a to ci dopiero. Gdzie?

- W Dolinie Edgel. Coś go podkusiło, aby zapolować na

Wybrańca. No i znaleźli go martwego. I jego ludzi też.

- Głupiec, nigdy za nim nie przepadałem. Ta dolina to jakieś przeklęte miejsce dla goblinów. Znowu dostali tam wpierdol.

- I jeszcze ciała asasynów.

- Tak? Hmm, ciekawe, co się tam stało. Znowu ten Wybraniec?

- Nie wiadomo, szefie. Ale mam lepsze wieści.

- Mów.

- Nasi ludzie zlokalizowali go.

- Nareszcie.

- Odkąd opuścił dolinę, podąża ze swymi przydupasami prosto na południe, za królowymi.

- Nie przypominaj mi. Wyślij wiesz kogo, żeby pojmał Wybrańca i zlikwidował niepotrzebnych.

- Tak, szefie.

- Że się musiały te dwie kurwy wybrać na południe, zamiast czekać u siebie.

- Właśnie w tej kwestii ta ostatnia wiadomość. Nasz cesarz wzywa cię do siebie. Mamy wszyscy ruszyć i zasilić jego armię.

- *Kurhushnaaa!* Nie da mi chwili spokoju. Ledwie rozgromiłem tego elfa, a ten już wzywa. Trudno. Teraz to już wszyscy spodziewają się bitwy. Jeśli cesarz ruszy na północ, cała chmara elfów, ludzi i przykurczy rzuci się na nas. Może pojedynczo są słabi, może nas jest wielu, ale gdy oni wszyscy zbiorą się do kupy, razem z tymi czarodziejami, mogą stawić tak duży opór, iż nawet nasz cesarz ich nie powstrzyma.

- Ja tam nie wiem, generale, jestem tylko prostym pułkownikiem.

- Odpisz, że przybędziemy. Musimy ustalić z cesarzem dobry plan. Pokonamy te żmije sprytem!

Vorgir skłonił się i wyszedł, Folg zaś rozłożył się na sofie, pociągnął łyk wina i zamyślił się. Potrzebuje dobrego planu, aby inwazja się udała. A może nie tylko planu, ale i wsparcia.

*

Ubijając po drodze kilka stworów, kompania dotarła do nadrzecznego miasteczka Ureem. Było niewielkie, ale pełne życia. W tym właśnie miejscu znajdowała się przeprawa na drugą stronę. Rzeka była za szeroka, aby zbudować most, a objazd całego koryta Yohiny od wschodu trwałby dwa tygodnie, od zachodu był niemożliwy - w dalszej części rzeka zlewała się z Mongą, płynącą od południa ku morzu. Musieli więc wydać kilka guldenów na przeprawę. Jednak zanim to nastąpiło, zasiedli w tawernie na skromny posiłek. Karczmarze w powinności wobec kraju i królowej musieli oddać zapasy na potrzeby armii. Kompani nie afiszowali się. Geron zarzucił kaptur na twarz i dobrze zakrył ramię. Zulzedeus schował sygnet do wewnętrznej kieszeni, tam, gdzie przechowywał pierścień Naomi. Tylko to, poza synem, po niej pozostało. Krętobrody cieszył się jak małe dziecko. Rozprawiał z krasnoludami na wszelkie możliwe tematy, wspominając stare czasy. Zul, który jako jedyny siedział twarzą ku wyjściu, pomijając zajętego dysputą Kirka, obserwował zakapturzonego jegomościa przy stoliku obok

drzwi. Czarodziej miał wrażenie, iż człek ten przygląda się im, co więcej, prawdopodobnie wie, kim są. Jeśli to kolejny łowca nagród, musi ostrzec kompanów. Jednak tamten, dopiwszy piwo, wyszedł mu naprzeciw i sam zbliżył się do ich stolika. Krasnoludy przerwały rozmowę, Rose, Mały Bill i Geron, odwróciwszy się, spojrzeli na przybysza. Człeczek ten zrzucił kaptur, ukazując starą, zmęczoną twarz i długie, siwe włosy. Mimo to jego postura wskazywała, że był człowiekiem czynu.

- Wybaczcie, że przerywam miłe spotkanie. Jestem Adalberto.

- A my jesteśmy zajęci - odparł Angal. - Może nudzisz się waćpan na starość, ale niedobrze jest w tych czasach zaczepiać obcych w tawernie.

- Zbóje się szwendają - dodał Kirk.

- Szanowni panowie i pani! - Skłonił się ku Rose. - Nie jestem wam wrogiem. Możecie skrywać swą tożsamość, ale ja wiem, kim jesteście. I dokąd zmierzacie.

- Panie, każdy głupi domyśli się, gdzie może zmierzać grupa zdrowych, silnych chłopów - odrzekł Angal.

- Słyszając tak cięty język i widząc złotawą brodę, wnioskuje, żeś pan to Krętobrody - odparł starzec.

- Angal, spokojnie. - Geron wyciągnął rękę, widząc, że krasnolud już miał odszczeknąć. - Wiesz pan, samo miano nic mi nie mówi. Jeśliś jest łowcą nagród to ostrzegam, że łatwo się nie poddamy.

- Jestem tu na prośbę mojego przyjaciela. Bardzo chce was poznać. Jest naukowcem, jednak ze względu na swoje... ee... zwyczaje społeczeństwo wykluczyło go z obawy przed

jego eksperymentami. Ma swoje laboratorium w lesie.

- Jeśli próbujesz wciągnąć nas w pułapkę, to już możesz żegnać się z życiem - odparł Bill.

- Cicho. Sprawdziłem go. - Czarodziej położył rękę z sygnetem na stole. - Mówi prawdę. Nie wiem tylko, dlaczego twój przyjaciel chce nas poznać - rzekł chłodno do Adalberta.

- Zna wiele tajemnic i interesujących faktów. Poprosił mnie, abym was sprowadził, gdyż chce wyznaczyć wam coś bardzo ważnego. Sam nie wiem, co takiego.

- Kimże on jest tak naprawdę z profesji? - zapytał Geron.

- Był cenionym lekarzem, lecz zawsze interesował się magią zielną. Po godzinach był cyrulikiem, jakich mało. Pewnego dnia zażył nieodpowiednie ziółka. Stał się mądrzejszy, ale i szalony. Jak go poznacie, sami ocenicie. To naprawdę nie pułapka, przysięgam na bogów.

- Dobrze, ale będziemy mieć się na baczności. Jeśli coś się stanie, dorwiemy cię. - Geron wstał i rzucił trzy guldeny na stół. - Módl się, żeby ten twój cyrulik nie zabrał nam dużo czasu. Trochę nam się spieszy.

*

Zszedł z warga i ruszył za przerażonym chłopem. Ruiny wieży na wzgórzu, owiane złą sławą, budziły niepokój. Chłop w swoim niedopasowanym kapturze, kupionym od przejezdnych handlarzy, potykał się co krok, niepewnie zerkając to na wielkiego orka, to na porośnięte mchem ruiny. Minął krużganek i przeszedłszy pod naderwanym kamiennym

łukiem, stanął na okrągłej, brukowanej podłodze. Spojrzał na siebie gniewny wzrok orka, więc wskazał na drugi koniec zawalonej gruzem posadzki. Między kamieniami porośniętymi mchem i grzybami tkwił uchwyt od kłapy prowadzącej do podziemi. Chłopa zalewał zimny pot. Zejdzie na zawał serca, jeśli ten brutal rozkaże mu prowadzić się po piwnicach. Słyszał opowieści o tym, że piwnice wieży przechodziły dalej w lochy na drugim, niższym poziomie, dalej zaś ponoć wiodło przejście do katakumb, które rozciągały się głęboko pod ziemią i miały aż pięć poziomów. Coś wręcz idealnego dla poszukiwacza przygód, lecz nie dla prostego chłopca. Nikt nie wiedział, jakie licho tam siedzi. Ork jednak machnął na niego ręką i sięgnął po pochodnię, którą miał z tyłu za pasem. Wieśniak odetchnął z ulgą, skłonił się i prędko uciekł.

Folg natomiast przesunął gruz i szarpnął kłapę, odsłaniając wejście. Spojrzał w ciemność i splunął. Nastaly takie czasy, że on, ważny ork i dobry wojownik, musiał schodzić do podziemi. Musiał jednak to uczynić, jeśli chciał wygrać tę wojnę. Oby tylko pogłoski okazały się prawdziwe i udało się znaleźć tego, kogo szuka. W przeciwnym razie ubije tego szpiega na miejscu. Jeśli oczywiście żadna cholera nie rozszarpie go w katakumbach. Ich trochę się obawiał. Nie cierpiał miejsc, z których ucieczka jest kurewsko trudna. Zapalił pochodnię i ruszył w głąb. Schody były lekko spróchniałe, trzeci stopień od dołu załamał się pod ciężarem generała. Folg zaklął, wyjął nogę i rozejrzał się. Ani żywego, ani martwego ducha. Wszedł dalej. Kilka martwych szczurów, zniszczone beczki, załamane, puste półki. Nic szczególnego,

jak to spiżarnia w armii. Skręcił za winkle w prawo, w korytarz ciągnący się do krat wielkości drzwi z zamkiem. Po lewej zaś była ściana. Ruszył więc do kraty. Kiedyś było tu więzienie. Spojrzał na zamek w migotliwym blasku pochodni. Był zardzewiały. Kopnął z całej siły, aż odrzwia odskoczyły z trzaskiem. Ujrzał schody wijące się w dół. Zszedł i przeszedł wzdłuż pustych cel. Kilka szkieletów zdobiło wnętrza, lecz żywych tu nie było. Znalazł biurko pod ścianą. Posterunek strażnika. Spojrzał na notatki pozostawione na blacie. Pergamin był pożółkły, kałamarz obok - wysuszony. Na pierwszej stronie z wierzchu było coś o dochodzących zza drzwi odgłosach. Z katakumb coś się wydostało, tutaj jednak był tylko rozlany atrament. Ostatnie zdanie mówiło o ewakuacji, lamentach więźniów, których strażnik miał w dupie i uciekł sam. Folg spojrział w lewo. W ścianie tkwiły mocno zaryglowane drzwi. Podszedł i odbezpieczył przejście. Odetchnął głęboko. Cokolwiek tam znajdzie, musi przetrwać. Ruszył przed siebie, w mrok. Przeszedł przez pierwsze dwa poziomy, widząc przerażające freski, ślady szponów na ścianach, zaschniętą krew, pentagramy, zwłoki, truchła jakichś stworów. Serce mu trochę waliło. Trzeci poziom nie był taki spokojny. Zszedł po drabinie i usłyszał przerażający ryk. Dobył miecza. Przyszło mu stanąć oko w oko z dwoma wiwernami. Po krótkiej walce zatłukł gady. Otarł pot z czoła, sięgnął po bukłak, pociągnął łyk wody i poszukał dalszego przejścia. Niżej trafił na nieznanego mu potwora. Włożył pochodnię w uchwyt. Stwór miał pazury i dziób orła, ciało nosorożca i ogon węża. Bydłę było niezmiernie silne. Folg długo się

musiał z nim męczyć. Ostatecznie, sam ledwo żywy, położył go trupem. Powoli zaczął wątpić w swoje możliwości. Usiadł na chwilę pod ścianą, tuż pod pochodnią, aby zaczerpnąć tchu. Przekąsił kanapkę z pieczonym mięsiwem wyrwoła, popił wodą z bukłaka. Stwór smagnął go boleśnie w nogę. Po kilku chwilach podniósł się, zabrał pochodnię i ruszył dalej. Zszedł na prawdopodobnie najniższy poziom katakumb. W pierwszej sali natknął się na tuzin szkieletów biegających wszędzie z tępyimi szablami. Rozgromił wszystkie i popychając drzwi, udał się do sali obok. Tam, w wielkiej, okrągłej hali, w świetle wielu pochodni rozmieszczonych dookoła i wielkiego ogniska buchającego płomieniami, stał plecami do wyjścia on. Osobnik, którego poszukiwał. Miał na sobie długi, poszarpany płaszcz z licznymi dziurami. Ręce trzymał wysoko i odprawiał jakiś rytuał. Folg uśmiechnął się blado. A jednak plotki nie były czcze. Teraz pozostały jedynie negocjacje z liczem.

*

Rose spojrzała poirytowana w zarośla. Siedział tam już dłuższą chwilę. Kirk i Zul już dawno wrócili. Geron również tracił cierpliwość. Znudzony całą sytuacją Adalbert usiadł na kamieniu i wyjął fajkę, którą palił z lubością.

- Angal, do kurwy nędzy, ile jeszcze?! - wrzasnął w końcu Naznaczony.

- Chwila, już kończę! Tylko się podetrę! Kuźwa, tu same pokrzywy rosną!

- Trudno, dupę sobie poparzysz, ale zdrowszy będziesz - odparł Zul.

- Bardzo śmieszne! Dobra, już idę.
- Jak można srać w lesie tyle czasu? - niedowierzał Geron.
- Widać można. Może ma biegunkę? - odrzekł Kirk.
- Oby nie. Spędzilibyśmy kilka godzin w tym lesie - westchnęła Rose.

- Ja mu teraz ręki nie podam - dodał Bill.

- Możemy iść dalej? - Adalbert wstał z kamienia.

Podążali drogą przez liściasty las pokryty ściółką, porośnięty krzewami, paprociami, droga wiodła ku górze. Jechali na szczyt wzniesienia. W końcu Angal wydostał się z zarośli, podciągając spodnie, dosiedli wierzchowców i ruszyli dalej za przewodnikiem. Po paru chwilach jazdy spokojnym stępem przez rozkwitający las, wśród śpiewu ptaków, dotarli na szczyt wzniesienia. Tam, pomiędzy brzozaami a owocowym sadem, stał budynek. Wyglądało to jak odnowiona obora z dobudowaną krzywą wieżą w lewym skrzydle. Całość wyglądała nie tyle interesująco, co dziwacznie. Na szczycie wieży wielkości dwóch pięter z okna wystawało coś na kształt wielkiej lunety. Zaciekawilo to Zula. Podejrzewał, że owo urządzenie służy albo do obserwacji gwiazd, albo niewiast w mieście. Adalbert zsiadł z konia i chciał zaprowadzić ich do wnętrza budynku, gdy nagle Geron złapał go za ramię i powstrzymał.

- Wiesz, panie, może i Zul cię sprawdził, może nie masz złych intencji. Obserwowałem cię całą drogę i dostrzegłem coś znajomego w twoich ruchach. Uwierz mi, że jeśli nie powiesz, kim naprawdę jesteś, to rozplątam cię na miejscu jak cielaka.

- To nie pułapka, przysięgam - odparł zaskoczony starzec.

- Wiesz, kogo mi przypominasz? Kurewskiego asasyna! Masz kaptur zakrywający całą twarz i płaszcz do kolan przepasany szerokim pasem.

- Rzeczywiście. - Angal zmrużył oczy. - Stare nawyki pozostały, co?

- Nie, nie jestem asasynem - bronił się Adalbert.

- Może twój strój jest stary i wypłowiały, ale byłeś bądź jesteś pieprzonym zabójcą. - Geron był stanowczy. - Powiedz prawdę dla własnego dobra.

- Cholera. W życiu nie pomyślałem, że ktoś domyśli się, kim byłem. Owszem, kiedyś zabijałem za pieniądze.

- Kiedyś?

- Uwierzcie mi, już dawno z tym skończyłem. Kiedy zmarł mistrz zakonu i większość rozjechała się po świecie, ja postanowiłem zmienić swe życie. Podejrzywałem, że bez jedności nasza profesja straci na wartości i poważaniu. No i miałem rację. Osiadłem więc w tym miasteczku, znalazłem uczciwą pracę.

- Ciekawe, jaką - zadrwił Kirk.

- Jestem jednym z czterech kapitanów łodzi przepływających się przez Yohinę. Jeszcze kilku asasynów, którzy wówczas porzucili dawne życie, mogło rozpocząć nowe. Później członków zakonu zaczęto tępić. Rozpuściłem plotkę o własnym zgonie i zmieniłem tożsamość.

- Więc nikt w miasteczku nie wie, kim byłeś?

- Nikt. Oprócz niego. - Wskazał na dom. - On jeden mnie przejrzał. Musiałem więc trzymać z nim sztamę. Później dotarło do mnie, że nie jest taki zły, jak ludzie gadają.

- Na pewno z tym skończyłeś? - Naznaczony trzymał dłoń na gardzie miecza.

- Przysięgam. Teraz najchętniej wytłukłbym wszystkich, którzy wiążą się z moją przeszłością.

- Zaraz. - Rose spojrzała bystro. - Skoro masz tyle lat, na pewno znałeś Sedara.

- Tego cholernego sukinsyna?! To on jeszcze żyje, gnida ziemską?

- Niestety. Mieliśmy z nim nieprzyjemność. Wiesz coś o nim?

- Kilka faktów. Poznaliśmy się podczas szkolenia w Ruel Edel. Był na roku wyżej. On wprowadził mnie do bractwa, podawał się za mojego przyjaciela. Do czasu. Ten pizduś zawsze lizał dupę przełożonym. Kręcił się koło mistrza, a ten uczył go swoich tajnych technik. Pewnego razu zrobił mnie i zostawił na miejscu zbrodni. Cudem uciekłem. Od tamtego czasu znienawidziłem go. Jak umarł mistrz, zabójcy podzielili się na dwie strony. Po jednej był Sedar, który chciał być nowym przełożonym, wraz ze swymi pupilami, z drugiej wszyscy, którzy mu się sprzeciwili. Doszłoby do krwawej jatki, ale kilku starszych rozdzieliło nas, a w sytuacji braku odpowiedniego kandydata na stanowisko mistrza każdy poszedł w swoją stronę. Nigdy więcej nie spotkałem tego gnoja. I jego szczęście. Napsuł wam krwi?

- I to sporo. Gad fałszywy. - Angal splunął. - Spiskuje z orkami i armię zbiera.

- Chce wskrzesić bractwo?

- Na to wygląda. - Geron ochłonął. - Dobrze, wierzę ci.

Obyś kiedyś i ty mógł go zrobić.

- Chciałbym, i to bardzo. To koniec przesłuchania?
W takim razie poznam was z cyrulikiem.

Adalbert przymocował uzdę do płotu i poprowadził kompanię do drzwi cudacznego domu.

*

Po gruntownym przeszukaniu twierdzy mecenas ostatecznie zdecydował się zająć komnatę po kobiecie. Była najschludniejsza ze wszystkich. Pozbywszy się wszelkich śladów poprzedniej właścicielki, w szczególności bielizny i garsonek, Wlird zasiadł za biurkiem, najpierw szeroko rozsuwając zasłony, i zaczął układać strategię. Miał przed sobą plan zamku i okolicy. Zakreślił na mapie możliwe rozlokowanie sił wroga. W zależności od położenia będzie musiał ustalić osobną taktykę. Od wschodniej strony do krańców północnej wzgórza były jakby ścięte. Skarpa była niemal pionowa. Jeśliby la Vardo przypuścił atak stamtąd, wówczas obsadzanie wschodniej baszty kusznikami byłoby bezcelowe. Lykanie wdrapaliby się po skarpie, strzelcy zaś, próbując pozbyć się ich, musieliby wychylić się aż nadto zza blanek, stając się łatwym celem dla kuszników wroga. Na południu z kolei ciągnęła się droga z fortecy do wioski. Znajdująca się tam równina byłaby idealnym polem bitewnym i punktem strategicznym dla machin wojennych. Tych lykanie nie posiadali, więc raczej z tej opcji nie skorzystają. Oczywiście dla Wlirda byłyby to istny raj – pozbyłby się całego pomiotu naraz, wystrzeliwując wilkoczątków do nogi. La Vardo

jednak nie jest idiotą, nie zaprowadzi swych ludzi na rzeź. Spoglądał na zachód, gdy snucie planów przerwało mu uporczywe pukanie do drzwi. Echo uderzeń było silne, gdyż rozbijało się o kamiennie ściany, sufit i posadzkę.

- Wejść! - wrzasnął.

Do środka wpadł Richard, wyraźnie nabuzowany.

- Szefie, mam nowe wieści.

- To mów i wynoś się, nie mam czasu.

- Wysprzątaaliśmy niemal całą twierdzę. Nie zapuszczaliśmy się tylko do lochów i na strych cytadeli. Chłopaki kończą sprzątać ostatnie piętra wież. Ta wielka sala, za salonem, również czyściutka.

- Bardzo dobrze - odparł Wlird, nie podnosząc wzroku. - Coś poza tym?

- Wrócili zwiadowcy. Trzy dni temu la Vardo znalazł naszą kryjówkę pod wodospadem. Miał pan rację.

- To było do przewidzenia. Lykanie wszystko wyniuchają. Mają do tego nosa. Gdzie są teraz?

- W pobliżu Kraven. Byli też w tej szopie, którą wynajmowaliśmy pięć dni temu.

- Zgodnie z planem. Idzie naszym tropem. Znajac ich prędkość, mogę śmiało stwierdzić, że będą tu jutro rano.

- Co robimy, szefie?

- Znaleźliście coś na kształt zbrojowni?

- Tak, nawet kuźnia była obok. Są tam z trzy tuziny mieczy i buzdyganów, tylko że nikt z tego oręża dawno nie korzystał.

- Z tego, co wiem, w naszych szeregach jest pięciu kowali

z powołania, to, do jasnej cholery, niech się tym zajmą!

- Tak jest.

- Broni i tak mamy za mało. Wyślij kogoś po więcej. Mają być piki, halabardy, wekiery, pałasze, szable, młoty, topory, miecze, wszystko, co znajdziecie. I kusze, oby jak najwięcej. I koksownicy. Zanim wilczury podejną pod mury, połowa będzie martwa.

- Szefie, jak mamy ogarnąć tyle...

- Jesteście, do cholery, wernhorami! Nie musicie nikogo pytać, weźcie i przynieście do zbrojowni. Są już nowi rekruci?

- Trzydziestu dwóch.

- Mało, ale dobre i to. Przygotujcie ich. Mamy cholerne szczęście, że jest pełnia. Wywar gotowy?

- Kończymy warzenie.

- I bardzo mi się to podoba. A teraz zjeżdżaj. Wy macie swoje obowiązki, ja swoje.

Richard skłonił się i wyszedł, zamiatając szatą podłogę. Mnóstwo pracy przed nimi. Chłopaki nie będą zadowoleni, jak usłyszą nowe obwieszczenia. Tymczasem mecenas powrócił do snucia taktyki wojennej.

*

Stał po drugiej stronie ulicy, oparty o ścianę kuźni. Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał z uśmiechem na budynek, z którego dochodziły głośne, piskliwe kobiece krzyki. Kaptur płaszcza miał cały czas zsunięty na twarz. Podszedł do niego Welde.

- Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał.

- Kobiety u krawca, a chłopaki w końcu zadowoleni.

Przynajmniej mi dupy nie trują.

- Rozumiem, że chciałeś zgody w zakonie. Ale napadać na burdel? Tego jeszcze nie było.

- Trzeba wychodzić naprzeciw. A dziwki od tego, kuźwa, są. Chłopaki sobie poużywają, będą spokojniejsi.

- Kurtyzany przeważnie za wystawianie kupra dostają złoto. Dzisiaj za ostre rżnięcie jeszcze zapłacą.

- Zakonowi przyda się gotówka. Broni nie kupimy za ładne oczka.

- No i tu masz rację. Jak mówiłeś, lepiej zachować dyskrecję. - Krasnolud przewrócił oczami.

- Nie biadol. O napaści na burdel ludzie szybko zapomną. Gdybyśmy zrobili skok na zbrojownię albo konwój zaopatrzeniowy, jak doradzali tamci geniusze, szybko by się to rozniosło. A teraz wojna, cała broń idzie na południe. Taki akt nie przeszedłby bez echa.

- No i cholera, znowu masz słuszność. Ano dobry dowódca wybiera zawsze mniejsze zło, by iść na kompromis.

- Otóż to, panie bracie - odparł. Po chwili zaś dodał: - Jakby te ladacznice miały akcent niższy, byłoby dobrze.

- Trochę się rzeczywiście drą. Taką mają pracę. Są klienci, którzy lubią, jak dziwka głośno się drze podczas wsadzania. Ty nie korzystasz?

- Choćbym chciał, nie mogę.

- A co, ktoś ci pytę odciął czy jak?

- Mniej więcej.

- Zaraz, ty poważnie mówisz? Ale... jak to się stało?

- Nie będę o tym mówił.

- Staremu druhowi nie powiesz?
- Wszystko przez Wybrańca i moją byłą.
- To dlatego go tak nienawidzisz. Szkoda mi cię. A gdzie Verra? Nie poszedł przecież z chłopakami.
- Nie wiem. Marudził coś, że nie wie, że nie umie czy ki diabeł.
- Co, nie ma blichtru w chędożeniu?
- Pojęcia nie mam. Pamiętam, że mówił coś o dzieciństwie. Ojciec go molestował czy jakoś tak.
- Elf elfa molestował?! Słyszałem, że u krasnoludów to się zdarza, u ludzi, ale u elfów taka patologia?
- Mnie też to dziwi. Rzeczywiście jest z niego malkontent.
- Ramol, a nie malkontent. Darmowe ruchanie i zdrowy chłop z tego nie korzysta. Co za kraj! Tak to jest. Najgorsze z upokorzeń, gdy nawala korzeń. Ale nawet nie przyszedł posłuchać?
- Zbiesił się i nie przyjdzie. On z rodu wyższych elfów, dlatego taki dumny. Ale rodzinny biznes upadł, to się chłopak stoczył.
- Tak to jest. Patrz na drugie piętro, na tę rudą.
- A idź pan w pizdu! Jak pół dupy zza krzaka.
- Ale cycki ma fajne. Który to ją tam chędoży?
- Czeka... to chyba... Eric!
- Widzisz go. Masz teraz na niego haka. Pieprzy się z prawdopodobnie najbrzydszą panną lekkich obyczajów tego świata.
- Co się stało z twoją byłą? Podobno koniec waszego związku był bardzo burzliwy.

- Szaleju się szmata nażarła. Została surogatką.

- Kim?

- Sprzedaje szparę. Tfu! Macicę bezpłodnym parom. Jak kobita nie może mieć dzieci, to idzie ze swoim chłopem do mojej byłej. Koleś ją zapładnia, ona nosi dziecko, rodzi i oddaje parze za pieniądze.

- To beznadziejnie jej się żyje. Raz na rok zarobi.

- Właśnie, że klawo. Za jednego bachora dostaje tysiąc guldenów.

- Ile?! A ile już sprzedała?

- Czwororo. W ciągu trzech lat.

- Teraz żałuję, że nie mam muszli między nogami. Chociaż z drugiej strony to nie chciałbym, żeby mnie nieznajomi chędożyli, z jakąś chorobą weneryczną. - Spojrzał na zamtuż, z którego nieustannie wydobywały się krzyki, raz głośniejsze, raz cichsze.

Tymczasem przypatoczył się do nich mocno wypity facet, nieogolony, rozczochrany, w podartych brązowych spodniach i swetrze. Spojrzał i mrugnął kilka razy powiekami.

- E! Co tak stoicie? - wymamrotał.

- Co, nie wolno? - odparł spokojnie Sedar.

- Ano nie. Szykuj blade plico... kurwa, nie tak... blade lico, gdyż będziesz sąźnie dymany... znowu pokręciłem, a, wiem... będziesz sąźnie klepany! - Wyszarpnął tasak zza pasa.

- Panie, jak chcesz pan podymać, burdel jest tam. - Elf wskazał na zamtuż po drugiej stronie ulicy.

- Dam ci zaraz w ryfę albo w bandzioch. Patrz, o! - Zrobił dwa niepewne kroki i runął jak długi na ziemię. Tasak wyleciał

mu z ręki. Spojrzeli na niego, zastanawiając się, czy żyje. Zachrapał mocno i przekręcił się.

- Ten to jest w ciemną bity - skwitował mistrz asasynów, patrząc na leżącego.

- Ma mocno w czubie nawalone - dodał krasnolud. - Długo jeszcze to potrwa?

- Wystarczy już. Trzeba pozbierać tych gwałcicieli.

Ruszyli obaj, zostawiwszy śpiącego pijaka pod ścianą kuźni. Sedar się zamyślił. Teraz, jak udobruchał ludzi, musi obmyślić tak sprytny plan, aby wykorzystać ich do swych celów, ale tak, aby oni tego nie dostrzegli.

ROZDZIAŁ 18:

ODRĘBNA DROGA DLA KAŻDEGO

Były zabójca Adalbert wprowadził gości do domu cyrulika. Przeszedłszy wyściełony wykładziną korytarz, skąpany po części w półmroku z powodu ciemnych, heblowanych hebanowych desek pokrywających zarówno ściany, jak i sufit, znaleźli się przed laboratorium. Były asasyn zapukał i podał swą tożsamość. Usłyszeli chrobot za drzwiami, stukot zasuw i drzwi otwarły się szeroko. Powitał ich dziwny jegomość z szerokim uśmiechem na twarzy. Miał długie, rozczochrane, sterczące we wszystkie strony czarne włosy z pasmami siwizny, wiele zmarszczek i małych blizn na twarzy, wielkie, wytrzeszczone, zielone oczy. Ubrany był w biały kitel, szmaciane spodnie i sandały. Sprawiał wrażenie człowieka mocno walniętego.

- Adalbert! Co cię sprowadza, stary druhu?

- Pamiętasz naszą rozmowę o pasjach? Obiecałem ci wtedy, że jeśli spotkam kiedyś Wybrańca, to przyprowadzę go do ciebie.

- Tak, pamiętam.

- Więc poznaj zarówno jego, jak i towarzyszących mu przyjaciół.

- Chrzanisz?! To naprawdę on? - Naukowiec spojrział nad

ramieniem Adalberta. Oczy rozszerzyły mu się jeszcze bardziej, tak iż wyglądał jak śnięta ryba. Złożył ręce tuż przed twarzą.

- Przedstawiam wam Allisena, mojego druha i geniusza. - Kapitan odsunął się od framugi drzwi, wszedł dalej, kompania zaś przywitała się z rozradowanym cyrulikiem. Wymienili uściski, odsuwając entuzjastycznego naukowca podczas mocnych ściśnień, i rozejrzeli się po laboratorium. W pomieszczeniu znajdowało się mnóstwo półek ze słojami i butelkami pełnymi dziwnych roztworów, elementów zwierząt, na ścianach wisiały pęczki przeróżnych ziół i roślin. Rozpoznali tylko nieliczne z nich. W centralnym punkcie laboratorium stało szerokie biurko, zastawione menzurkami, moździerzami do ucierania ziół, butelkami, trójnogami, naczyniami służącymi do podgrzewania, pokręconymi szklanymi rurkami i innymi niezbadanymi przedmiotami. Allisen gestem wskazał im drugi koniec pomieszczenia, gdzie stał stół i kilka dostawionych do niego krzeseł. Rozpalił ogień w płaskim naczyniu, postawił trójnóg i imbryk z wodą na herbatę. Wszyscy goście zajęli miejsca za stołem, wówczas gospodarz z powodu braku krzesła dosunął sobie najwyższy ceber, jaki posiadał, i odwróciwszy go dnem do góry, usiadł na nim. Spojrzał na wszystkie twarze.

- Moje marzenie się spełniło - rzekł entuzjastycznie. - Mój pokręcony dom nawiedził sam Wybraniec i jego przyjaciele!

- Nie podniecaj się tak - uspokoił go Adalbert, który siedział najbliżej. - Państwu strasznie się spieszy. Ledwo skłoniłem ich do wizyty.

- Podobno wiesz pan coś bardzo ważnego - zaczął Geron.
- Prosiłbym o szybkie wyjaśnienie tej sprawy. Chcielibyśmy przed zmierzchem dotrzeć na drugi brzeg Yohiny.

- Tak, istotnie. Zaraz zaparzę państwu herbaty, tymczasem prosiłbym pana Wybrańca ze mną.

- To jakiś podstęp?

- Ależ skądże znowu! Jednakowoż muszę panu coś pokazać w mojej biblioteczkę.

Geron powstał, lecz Rose złapała go za rękaw.

- Idę z tobą.

- Nie wygłupiaj się - odparł Naznaczony. - Nic mi nie grozi.

- Panienska również może iść z nami, jeśli chce - rzekł cyrulik, który znajdował się już na środku laboratorium, i machnął na nich ręką.

Udali się za nim, dołączył również Zul. Z pozostałymi gośćmi został Adalbert. Allisen zaprowadził ich do holu, którym przyszli, lecz skręcił w najbliższe drzwi na lewo. W tym pomieszczeniu stało kilka regałów pełnych ksiąg. Naukowiec wszedł między regały i opuszkami palców sprawdzał tytuły.

- Jesteś pan podobno doktorem. Dlaczego więc odszedł pan od tradycji lekarzy i bawi się w znachora? - zaciekał się Zul.

- Od zawsze chciałem pomagać ludziom, a wpływowy pan ojciec posłał mnie na nauki. Jednakowoż po zakończeniu cyklu kilka wpisów z ksiąg lekarskich nie podeszło mi. Uważam, że człowiekowi w potrzebie należy pomagać wszelkimi

sposobami, używając także ziół, które są zakazane. Odkryłem, że wiele z tych, które doktorzy uważają za szkodliwe, w wielu chorobach są jedynym skutecznym lekarstwem – odrzekł, przeszukując woluminy.

- Pewnie innym się to nie spodobało?

- Wiadomo. Zaszylem się więc w tym lesie. Używanie wszelkich ziół, tworzenie z nich wywarów, wzbogacając ich skuteczność właściwościami niektórych zwierząt, to lepsza droga niż trzymanie się przepisów. Wiedzą państwo, że prypawka połączona z pokrzywą i sproszkowanym rogiem kozy to doskonała maść na bolące stawy?

- Prypawka uchodzi za narkotyk – zauważyła Rose.

- Otóż to. – Allisen odnalazł właściwą księgę, wyjął ją, otworzył i przekartkował, po czym stanął obok Gerona.

- Słyszałem, że posiadasz pan topór Alandila? Widziano jego moc podczas oblężenia Balha Deal.

- Owszem – przytaknął Geron. – Należy do mojej rodziny.

- Zatem pan nie jesteś bezmianowcem.

- Co to znaczy?

- Ma pan tytuł szlachecki.

- Jaja pan sobie robisz?! – Naznaczony zgłupiał. – Nie jestem pełnoprawnym potomkiem króla, tylko jego bękarta.

- Co nie zmienia faktu, że jako jedyny potomek po tylu latach masz pan prawo do tronu.

- Państwa, które nie istnieje – stwierdziła cierpko elfka. – Znamy historię.

- Niemniej tytułem możesz się pan posłużyć. Nie zaszkodzi. A może i nawet pomoże.

- Trochę racji w tym jest - przyznał Zul. - Za szlachetnie urodzonymi lud chętniej staje do walki, ze względu na możliwe korzyści majątkowe.

- Urodziłem się jako człowiek w kraju elfów - skwitował Geron. - Mniejszości nie mają praw do tytułów. Musiałbym być obywatelem Enwerpii albo Koel Nahal, może Wirbergu.

- Za zasługi wojenne każdy może otrzymać tytuł, nawet jeśli należy do mniejszości - odparł czarodziej. - Za to, co zrobiłeś pod Balha Deal, mógłbyś prosić o tytuł.

- Jaki? Kasztelana? Chorążego? Nie chcę siedzieć w jakimś dworze albo zarządzać zamkiem. To nie dla mnie.

- I tak jest wojna, to wszystko jedno.

- W sumie racja. I jakbym się miał nazywać? - zapytał cyrulika.

- Tak jak Alandil. Wszechmocny.

- Geron Wszechmocny. - Zul zmarszczył czoło. - Dobrze. Określa twoją pozycję i stosunek do wrogów.

- Nadać ci go może tylko władca twojej ojczyzny - powiedziała Rose. - W tym przypadku królowa Nephole. Tak czy inaczej spotkamy się z nią.

- To nie wszystko - przerwał naukowiec. - Alandil oprócz topora, daru od bogów, posiadał również inną potężną broń, którą wykuł sam w asyście trzech magów.

- Miecz Gniewu - przytaknął Geron.

- Słyszałem, że pokonaliście setki mil na północ, do Doliny Edgel. Znając historię, domyślałem się, że wybraliście się tam po ten właśnie przedmiot. Do pokonania Kaliona wielki król użył obu broni.

- W jaki sposób? - Czarodziej uniósł brwi. - We wpisach jak byk widnieje, że osłaniał się tarczą generała orków. Miał trzecią rękę?

- Spójrzcie tutaj. - Cyrulik wskazał na stronicę. Widniał na niej obrazek niezwyklej broni, jakoby włóczni z długim, szerokim ostrzem posiadającym dodatkowe, półokrągłe ostrza po bokach niczym obosieczna halabarda. Na wszystkich trzech ostrzach wyryto inskrypcje, a cała broń była pięknie zdobiona. - To Niszczyciel. Najpotężniejsza broń, jaka kiedykolwiek istniała, stworzona rękoma Alandila i Mefrosta i napełniona boską mocą przez Nidasa na prośbę królów.

- Wykuli tak potężną broń, a w księgach nie ma o niej żadnego wpisu? -Zul zdurniał.

- Otóż nie wykuli. Przerobili topór króla Arcanii, dołączając do niego Miecz Gniewu.

- Co?! - cała trójka wytrzeszczyła oczy.

- Ten fakt jest wiadomy nielicznym ludziom. Królowie zrobili to bezpośrednio przed ostatnią bitwą Alandila. Stwierdzili, że aby osiągnąć demona, broń musi być długa, jednak dostatecznie ostra i szeroka, czego nie spełniała żadna pika, włócznia czy oszczep. Sam rzut również odpadał, gdyż demony są niezwykle szybkie. Jeśli waćpan chcesz choć trochę dziabnąć Lodowego Pana, który podobno ma dziesięć stóp wzrostu, musisz złożyć na nowo Niszczyciela.

- Nie wiem, jak.

- Na pańskie szczęście ja wiem. Jeśli masz pan obie bronie, pomogę panu je skrócić.

Geron spojrzał zdumiony na Rose i Zula. Czarodziej

kiwnął głową. To mogło być rozwiązanie. Wyszedł więc z budynku i ruszył do wierzchowca, w jukach którego zostawił topór. Miecz zaś miał na plecach, pod lekkim płaszczem podróżnym, który zarzucił mimo upału ze względów bezpieczeństwa. Wrócił do biblioteki i z pewną niechęcią podał przedmioty cyrulikowi. Ten z błyskiem w oczach wziął obie bronie i usiadłszy na podłodze, rozpoczął prace. Obserwowali go w milczeniu. Allisen odsuwał ogniwa zabezpieczeń w górnym trzonie topora, pomiędzy skrzydłami przekutego żelaza, w miejscu, gdzie znajdował się klejnot. W końcu, po krótkim wysiłku, usunąwszy klejnot, cyrulik uczynił w metalu dziurę, głęboką na półtora palca dorosłego mężczyzny. Potem dobrał się do miecza. Majstrował chwilę przy rękojeści, aż zdjął zewnętrzną osłonę nabijaną szlachetnymi kamieniami. Włożył gardę miecza do dziury w toporze i powkręcał elementy mocujące. Gdzie się dało, wetknął klejnoty. Wstał i podał Geronowi powstałego na nowo Niszczyciela, oddając też elementy, które pozostały. Zabrał je czarodziej i schował. Geron ujął broń. Nie była cięższa niż sam topór. Przyjrzał mu się. Wyglądał imponująco, jednak złoty miecz nie komponował się ze srebrem topora.

- Dzięki temu zdołam pokonać Lodowego Pana?

- Nie do końca. Teraz jest to bardzo niebezpieczna broń mogąca jednym ciosem zadać orkom wiele obrażeń. Możesz nią kłuć, ciąć, jest doskonała do szarży konnej. Jeśli jednak chcesz walczyć nią z cesarzem orków, który posiada moc zamrażania, musisz poprosić bogów, aby włąli w nią swoją moc.

- Ma rację - przyznał Zul. - Po rozebraniu jej na czynniki pierwsze utraciła swoje właściwości. Swoją drogą, ktoś musiał przy niej majstrować po śmierci właściciela.

- Ten sam człek, który zaniósł Miecz Gniewu do Doliny Edgel - odparł wesoło Allisen.

- Mag Drogon.

- Obawiał się, że może wpaść w niepowołane ręce, zaniósł ją więc do Mefrosta. Rozkuli ją na powrót i rozdzielili. Resztę historii chyba znacie.

- W istocie, informacje, które mi przekazałeś, są bardzo ważne. - Geron pokiwał głową. - Jestem ci dozgonnie wdzięczny, Allisenie.

- Nie ma sprawy. Udajecie się na wojnę, nieprawdaż?

- Tak. Obowiązek i nadto wezwanie króla.

- Wszyscy jedziecie?

- Tak, każdy oręż się przecież przyda.

- Na pewno?

- O co chodzi? - spytał Naznaczony podejrzliwie.

- Twoja pani nie powinna jechać nad Zalew Krwi.

- Bo co? Baba niby nie umie walczyć? - prychnęła Rose.

Cyrulik podszedł do niej i bez zapowiedzi rozszerzył jej powieki, spojrzał w oczy, dotknął brzucha i wepchnął coś pod pachę.

- Nie wątpię, że panienka waleczna, ale...

- Panie, spokojnie, nie przystawiaj się tak. - Geron stanął przy wybrance serca.

Mimo to naukowiec krążył wokół elfki, mierząc puls i nieustannie badając jej brzuch dziwnymi przyrządami.

- Panienska już mu powiedziała? - zapytał wesoło cyrulik.

- O czym?

- Że jest w ciąży.

- Co?!

- Jestem stuprocentowo przekonany. Czarodziej może powinien to sprawdzić?

Zdumiony Zul podszedł, wykonał układ i przyłożył rękę do elfki. Brwi mu się podniosły i czoło zmarszczyło.

- On ma rację. Jesteś przy nadziei. Jak pan to dostrzegł?

- Jestem lekarzem, potrafię to wybadać. Od początku wizyty panienska się trochę chwiała, co jest niecodziennym zachowaniem elfów, ponadto ma zawroty głowy, co widać po oczach. I wymiotowała panienska przed wejściem tutaj, jak to udała się w krzaki niby za potrzebą.

- Czemu nie powiedziałaś? - spojrzał na nią Geron.

- Nie wiedziałam.

- Okres ci się nie spóźniał?

- U elfic okres jest co dwa i pół miesiąca, więc, kuźwa, nie.

- Co z nią zrobimy? - zapytał czarodziej. - Nie weźmiemy jej na wojnę.

- Jak to nie? Jadę z wami!

- Wykluczone. - Naznaczony się zadumał. - Wyślemy ją do Balha Daghan. Zostały tam dwórki i położne, zajmą się nią.

- Samą? Rabusie zawsze czyhają na traktach, czy to pokój, czy wojna. - Zauważył Zul.

- Pojedzie z nią Bill. Na jego widok zbiry uciekną. I Kirk.

- Zostawisz mnie z nimi? - Elfka posmutniała.

- Kotku, gdyby czasy pozwalały, pojechałbym z tobą. Lecz królowie mnie prosili, Zул też wyruszy ze mną, jest nieoceniony, Angal również. Nie wybaczyłby mi tego. Vinimestra nie znam dobrze, więc dla pewności wezmę go ze sobą. Kirk to najporządniejszy krasnolud, jakiego dane mi było poznać, a Bill jest groźny tylko dla wrogów. Przecież go znasz.

- Podniósł jej podbródek i spojrzał w oczy. - Zobaczysz, niedługo znów się spotkamy.

- Naprawdę nie mogę jechać z wami?

- Nie w takiej sytuacji. Nie próbuj brać mnie na litość. Tyle w tym temacie.

Zakończyli rozmowę, udali się na poczęstunek z Allisenem. Wyjaśnili kompanom całą sytuację. Tamci przyjęli to ze spokojem. Po herbatce pożegnali cyrulika, podziękowali za wszystko i wrócili do miasteczka. Po długim pożegnaniu Rose, pełnym płaczu, rozdzielili się. Wybraniec, czarodziej, Krętobrody i Vinimestr weszli na pokład statku Adalberta, pozostali zaś podążyli szlakiem prowadzącym do stolicy Meo Gao.

*

Rozstawili namioty na wschód od Sietlle, w niewielkim lesie, w miejscu, gdzie niegdyś Geron z Zulem schwytali dybuka. Namiot dowódcy znajdował się w skrajnej części obozu, najbardziej wysunięty na północ, obok zakrytego wozu z żywnością. La Vardo leżał w hamaku i czytał najświeższe wiadomości, które nadesłano mu rano. Skryba królowej Fetheal oznajmiał mu, iż armie obu władczyń dotrą nad zalew

za cztery, może pięć dni. Przyjaciele z Rodo przekazali mu informację, że Ferdynand z diukiem Hamasem u boku przekroczyli już Driestrię od północy i rozwijają obóz wojenny. Ptaszki z południa doniosły zaś, że Fergus spotkał się z Godrykiem i zmierzają na północ. Dzień drogi dzieli ich od wojsk króla Koel Nahal. Szpiedzy wyniuchali co nieco o poczynaniach orków. Lodowy Pan, nazywany przez orków cesarzem, przebywa jeszcze w Skalistym Jarze, oczekując na generała Folga, który zwleka z wymarszem. Jeśli wódz wroga ulegnie presji i ruszy na północ, akceptując zaproszenie monarchów Wszechziemia, za tydzień, może dwa dojdzie do ogromnej bitwy, być może największej w dziejach. Niestety nie otrzymał informacji, która najbardziej go interesowała. O swych przyjaciółach słyszał parę dni temu. Widziano ich, jak opuszczają Dolinę Edgel. Nic więcej nie wiadomo. Tymczasem do jego namiotu zbliżyli się Leo i Kiara, których mianował chorążymi.

- Szefie, mamy ich. - rzekł Leo.
- Nareszcie. Daleko stąd?
- Dzień drogi. Nie spodoba ci się to.
- Co znowu?
- Słyszałeś o Czarnej Twierdzy? - powiedziała Kiara.
- Od przyjaciół. Tam Geron załatwił demona, który wszczął cały ten bajzel.
- Pozostawili fortece pustą, a wernhory to wykorzystały.
- Zajęli zamek? - Festus przejechał opuszkami palców po brodzie. - Myślicie o tym samym?
- Ten cały Wlird sądzi, że pójdziemy na otwartą wojnę -

odparła Kiara.

- Albo że rozpoczniemy oblężenie - dodał Leo. - Obstawią wieże kusznikami, zastawią pułapki.

- Wie, że nie jesteśmy głupi - odrzekł generał. - Jednak szykuje się do bitwy, skoro zastawił pułapki. Cały czas ciągnął nas na południe.

- Co zrobimy? Zaatakujemy?

- Nie rób z siebie idioty. Jeśli chcesz atakować zamek bez armii i machin oblężniczych, to równie dobrze możesz strzelić sobie z kuszy w łeb. Atak bezpośredni odpada.

- To co zrobimy? Zasadzą się na nas, nim podejdziemy pod wzgórze - odparła Kiara. - Ludzie powiadają, że nieustannie przemykają tam cienie. Wiele cieni.

- Widocznie tworzy armię. Prawdopodobnie ściągnął wampiry, a na nasze nieszczęście dzisiaj jest pełnia. Do jutra przeobrazi kilkanaście wernhor.

- Skąd ma szef pewność, że mu się uda?

- Aleś ty naiwny, Leo. To stary wyjadacz, potrafi dopiąć swego. Nas jest o wiele za mało, tylko czterdziestu. - La Vardo odłożył papiery, wstał, ominął dwójkę i stanął przy wejściu do namiotu. Po chwili rzekł: - Zdobądźcie dla mnie plany tej twierdzy. Wyślijcie dyskretnie kogoś do klasztoru, może tam coś mają. Osobiście, w asyście dwóch osób pojedę do wiosek położonych bezpośrednio przy wzgórzu. Zachowując wszelkie środki ostrożności, wypytamy ludzi o tajne przejścia do fortecy. Większość zamków ma ukryte tunele ewakuacyjne, zapewne i ta twierdza takowe posiada. Któryś z wieśniaków musi coś wiedzieć.

- Generał to ma łeb.
- Nie podlizuj się. Idźcie lepiej wypełnić rozkaz.
- Tak jest - odpowiedzieli jednocześnie.

Festus przepuścił ich i wrócił na hamak. Po raz kolejny musi planować za wielu.

*

Po długich godzinach rozmyślań, spędzonych w zapchlonym pokoju, doszedł do wniosku, że musi ruszyć na wschód. Wszyscy donosiciele byli jednomyślni - będzie wielka bitwa. I królowe z północy, i Godryk z Fergusem, nawet ciągnący od Mrocznych Gór mimo wielkiego opóźnienia Dariusz, zmierzają do jednego miejsca - do stacjonującego z armią na równinie po wschodniej stronie Zatoki Krwi Ferdynanda. Ponoć zbierające się w jedną wielką armię ludy Wszechziemia strasznie irytują wodza orków, który zamierza nawiedzić ich i odesłać w zaświaty. W sumie to byłaby idealna dla niego okazja - przy sprzyjającej pogodzie zgniótłby całe robactwo na raz. Nikt znowu nie wie, co się dzieje z Wybrańcem, niemniej jego wielka duma i patriotyzm z pewnością przywiodą go, z całym jego cyrkiem, na wojnę. W sumie jeśli on i jego ludzie zmieszają się z tłumem, będą mogli zabić kogo trzeba i zyskać w oczach wielkich. Miał zamiar opuścić pokój z wybitą szybą, rozwaloną szafą, zdemolowanymi ścianami i stolikiem na jednej nodze, gdy do pomieszczenia wdarli się Tommen z Erikiem, omal nie wywracając mistrza asasynów.

- Mamy do ciebie sprawuchę - rzekł krasnolud. - Chłopaki pytają, kiedy kolejna akcja podobna do poprzedniej.

- Jak zasłużą - odparł chłodno. - Nie zapominajcie, że jesteśmy zakonem zabójców, nie gwałcicieli.

- Wiesz, podniósłbyś morale chłopaków - powiedział Tommen. - Wierzimy, że mimo tego błędu popełnionego w dolinie jesteś doskonałym wodzem. Tylko jeszcze taki jeden wypadek.

- Czy wy się słyszycie? Ten raz był w ramach zadośćuczynienia, lecz na następny musicie zasłużyć. Jak któryś chce pochędożyć, niech idzie do burdelu na własny koszt, aczkolwiek nie do tego, który napadliśmy. Możecie też namówić nasze dziewczyny. Niemało ich w naszych szeregach.

- Wiesz, jakie one są - machnął ręką Eric. - Zatwardziałe, godne kobiety. Nie dają nawet za pieniądze.

- A na dziwki nas nie stać - dodał blondyn. - Nie bądź dupa, daj poruchać. Tylko jeden wypadek-napadek na jakiś zamtuż. - Mrugnął porozumiewawczo do mistrza, zacierając rękę.

- Pomyślę o tym. Wykonacie moje następne polecenie, to być może znajdę odpowiedni burdel. Z ładnymi kokietkami, nie rudymi maszkarami. - Spojrzał na krasnoluda z uśmiechem.

- A ty skąd wiesz, że ja... podglądałeś! - oburzył się Eric.

- Cały czas przebywałem poza burdelem, w towarzystwie Weldego. Na twoje nieszczęście było widać cię z ulicy, jak na drugim piętrze rznąłeś tę paskudę. Nie zasłoniłeś okna, tępa dzido.

- Ożeż kurwa. Zapomniałem. Z mojego położenia widziałem tylko cycki, a one mi zaimponowały, to ją wziąłem. Dopiero później dostrzegłem jej twarz, jak robiła mi dobrze

ustami.

- Następnym razem dobieraj taką z odpowiednim wzrostem i pamiętaj o oknie. Dobra, jazda mi stąd! Idę się napić! - warknął na podwładnych, wyminął ich, nie patrząc na zdumione twarze i wyszedł z pomieszczenia.

*

Angal z Kirkiem grali w kości z jakimś pijaczną. Biedaczyna przegrał niemal całe oszczędności ku uciechu Kirka, któremu szło najlepiej. Geron stał na dziobie, obserwując przeciwny brzeg. Przeprowa nie szła tak szybko, jak planowali. Nie było wiatru i mimo iż szerokość rzeki nie była większa niż dwie mile, podróż trwała już ponad pół godziny. Adalbert nie miał wielu ludzi w załodze, dlatego wiosłowanie nie zwiększało prędkości na tyle, aby okręt płynął co najmniej dwadzieścia węzłów na godzinę. Wraz z członkami kompanii na statku przebywali dwaj handlarze wraz ze swymi karawanami. Jeden wioził broń na południe, drugi elementy wyposażenia domowego. Okręt nie był duży, żaden galeon ani większy statek. Była to raczej mała fregata, zbudowana w wirbergskim stylu, wydłużona w dziobie, z typową dla wybrzeża wyrzeźbioną rufą. Oprócz kajuty kapitana na pokładzie istniała jeszcze jedna, na wypadek przewożenia ważnych osobistości. Członkowie załogi, których było niewielu, w razie dłuższej wyprawy, na przykład wzdłuż Yohiny na zachód, spali pod pokładem. Tego dnia wyprawa była krótka. Czarodziej stał obok sternika. Starszy jegomość w kraciastej chuście i przepasce na oku był dawnym piratem.

Adalbert przyjął go, ponieważ sam nie posiadał chwalebniejszej historii, a człowiekowi groził stryczek, jeśliby ktoś rozpoznał go i doniósł władzom.

- Długo pan pływasz?

- U tego kapitana czy ogólnie?

- Od początku kariery.

- Będzie ponad czterdzieści lat, synku. Bynajmniej to, co robiłem, zacne nie było. Służyłem u trzech kapitanów, nim zaczęli ścigać takich jak ja. Cudem udało mi się zbiec na północ. Jakies dwadzieścia lat temu poznał mnie jeden z kupców, którego obrabowałem. Wtedy to pan Adalbert uratował mi skórę. Wstawił się za mną, twierdząc, że od paru lat jestem jego sternikiem, więc napadać na okręty kupieckie nie mogłem. Cwany człek, istny wilk morski, psia kostka. Te szczury pokładowe nie miały dowodów i na szafot mnie nie powiedli. Od tamtego dnia wiernie płynę pod komendą tego kapitana, ze względu na przeszłość. Taka to ma historia, kamracie.

- Kapitan to dobry człek?

- Czy dobry? Łaskawy jak mało który, synku.

- A wasza najdłuższa trasa?

- Hmm. Najdłużej to było, jak się taki jeden hrabia uparł, żeby go przewieźć nie tyle na drugą stronę, co wzdłuż brzegu. Zapłacił sowicie, to się kapitan zgodził. Niemal od początków Yohiny przez deltę na południe wzdłuż Mongi, wysiadł dopiero niedaleko klasztoru Rew Unum.

- Toż to między Wirbergiem a Viri Inis.

- Ano tak. Setki mil. Dwa tygodnie żeśmy żeglowali, do stu

diabłów morskich. Chyba tego hrabiego ktoś ścigał i chciał szybko czmychnąć niepostrzeżenie. Dobre wiatry wtedy były, to i wartko żeśmy płynęli.

- Ciekawe. Wybaczysz pan na chwilę, przejdę się po pokładzie.

- A idź, kamracie, ażebyś jeno nie zbroił tam czego.

Zul wyszedł z kajuty, minął żagle, bukszpryt, przeszedł przez cały pokład do dziobu, na którego krańcu stał Geron. Wybraniec spojrzał na niego.

- Wciąż o niej myślisz? - zapytał czarodziej.

- A ty na moim miejscu co byś zrobił? Wysłałem kobietę, którą kocham, na dodatek z dzieckiem, na północ z dwoma ludźmi, którym nie do końca ufam.

- Tak musiało być. W tej sytuacji lepiej jej będzie na dworze niż na ziemiach ogarniętych wojną. Ciężarna jest, chłopaki jej nie tkną.

- Skąd wiesz?

- Kirk to sędzia, kieruje się literą prawa. Bill ma do niej zbyt wielki szacunek, aby ją tknąć.

- Zostawiłem ją, porzuciłem jak psa.

- Nieprawda.

- To ja powinienem ją odwieźć.

- Wiesz, że nie mamy czasu. Twoje przeznaczenie to starcie z Lodowym Panem. Królowie wypatrują cię, a lepiej, aby stali po twojej stronie. Jeśli ich zawiedziesz, mogą się odwrócić w ostatecznej próbie, gdy między Złym a tobą nikt nie stanie.

- Masz rację, chociaż coś tak dziwnie gadasz.

- Wiem. Coś mi kazało. - Czarodziej zmarszczył czoło.
- Też tak czasem mam. Kiedy spotkaliśmy Freddy'ego i Billa, mnie też coś kazało powiedzieć słowa, których nie rozumiałem.
- To nie byłeś ty? - zdumiał się Zul.
- Ja, lecz nie do końca. Tak jakby ktoś w mojej głowie kierował moim językiem. W jaskiniach w Dolinie Edgel też tak było.
- A Angal się martwi, że doznałeś urazu głowy.
- To się zaczęło po wizycie w Komnacie Medytacji. Ktoś we mnie wszedł.
- Właśnie w tej sprawie do ciebie przychodzę. Mówiłeś mi kiedyś, bodajże w klasztorze, że musisz udać się na jakąś wyspę.
- Tak, Wyspę Irdor.
- To gdzieś daleko na zachodzie, za Krwawą Wyspą orków?
- Niestety.
- Skoro masz już wszystko, i medalion, i Niszczyciela, które kazał ci zebrać Nidas, musisz więc udać się na tę wyspę?
- Na to wygląda. Po tej bitwie swe kroki skierować muszę na zachód.
- Potrzebował więc będziesz statku i kapitana.
- O tym nie pomyślałem.
- Nikt nie zgodzi się płynąć tak daleko. Taka wyprawa to samobójstwo.
- Mnie to mówisz? Bogowie są szaleni.

- Nikt poza Adalbertem.

- Tak uważasz?

- Będziesz się musiał z nim dogadać. Rozmawiałem z jego ludźmi. To starzy wyjadacze. Każdy z nich pływa od co najmniej dziesięciu lat. Gdybyś kilku dodatkowych wynajął, masz gotową załogę do wyprawy.

- Masz rację. Trzeba mi rozmówić się z kapitanem. - Odwrócił się, wyrwawszy się z zadumy, i wraz z Zulem ruszyli do kajuty kapitana. Na pokładzie kręciło się dwóch majtków, jeden czyścił pokład, drugi maszerował ku sterburcie. Widząc zbliżających się towarzyszy, Angal wstał i dołączył do nich.

*

Spojrzał w górę na wijące się wzdłuż wzniesienia schody. Skalisty Jar był specyficzną twierdzą. Widział w tym rękę krasnoludów. Tylko one wykuwały budynki w kamieniu. Goblino potrafiły jedynie przejmować twory brodatych pokurczów. Zimna, ciosana skała nie była przyjazna, lecz najwyraźniej cesarz był zadowolony. Teraz cała twierdza skuta była lodem. Swoich żołdaków zostawił niżej, tuż za wewnętrznym murem, wśród stajni i magazynów. Ruszył, krocząc po zimnym kamieniu. Przeszedł pod łukiem, minął statwę i zrobiwszy jeszcze kilka kroków w prawo po podejździe, znalazł się w końcu przed wrotami. Spojrzał jeszcze w lewo, na wewnętrzny mur. Wartę pełniło kilkunastu orków z kuszami. Powrócił oczami do wejścia, zbliżył się i kiwnął głową na strażników. Odwzajemnili gest swymi krzywymi cielskami i otwarli odrzwia. Generał wszedł do

środku. Wszystko wewnątrz przypominało muzeum lodowe – każdą przestrzeń pokrywał lód. Przeszedł przedsionek i wszedł do głównej hali. Na samym jej końcu, na stworzonym przez siebie lodowym, zdobionym, ogromnym tronie siedział cesarz. W nieco przekrzywionej pozycji, z lewą nogą na poręczach, oparty na łokciu prawej ręki, z głową ku dołowi, tak iż srebrzyste, białe niczym śnieg włosy spadły mu na twarz. Podniósł wzrok, gdy Folg zamknął z piskiem drzwi za sobą. Ork odetchnął, po czym ruszył dumnie ku władcy, zdejmując hełm.

- Wzywałeś mnie, panie.
- W istocie. Zwlekałeś z przybyciem – rzekł zimno.
- Musiałem odciągnąć żołnierzy od miejscowych dziewczek i kurew, a to chwilę zajęło.
- Nie mydl mi oczu. Wiem o twojej wyprawie.
- Już wiesz, wasza wysokość?
- Wydałem jasny rozkaz. Miałeś dopaść osłabionego króla elfów, nim dotrą posiłki. Udało ci się to.
- Tak, panie.
- Dlaczego więc niezwłocznie do mnie nie przybyłeś, jak brzmiało rozporządzenie?
- Wasza wysokość! – Folg poprawił pelerynę. – Uważam cię za najpotężniejszą istotę stąpającą po ziemi. Twojej mocy nikt nie dorówna i posiadasz najliczniejszą armię.
- Ale co?
- Ale zjednoczeni władcy Wszechziemia będą mieć o wiele większą armię niż twoja. Zapewne poprą ich i czarodzieje, których szamani nie powstrzymają, a ci skierują swą magię

przeciwno tobie.

- Uważasz, że nie podołam? - Cesarz spojrzał surowo, jednak po chwili dodał: - Może i masz rację. Mój plan zakładał unicestwienie każdego z królów z osobna. Nie podejrzewałem jednak, że się zjednoczą.

- Panie, twa potęga jest największa.

- Co więc radzisz? Królowie zbierają się nad Zatoką Krwi. To zaproszenie. Masz rację, że ich armie razem stanowią potęgę. Te głupie orki kulawieją przy żołnierzach Wszechziemia.

- Wasza wysokość. Armie nie zjednoczyły się wszak jeszcze, a i Wybraniec jest daleko na północy, chociaż i na niego mam także sposób. Wysłałem odpowiedniego człowieka, który go schwyta. Jeśli rozkażesz wymaszerować wojskom już dziś, dotrzesz nad zatokę za góra trzy dni.

- Nie czytałeś raportów? - Cesarz rzucił mu pergamin. - Za dwa dni królowe dotrą z północy, a dzisiaj krasnoludy i ludzie południa przybyli na pole bitwy.

Folg spojrzał na pergamin, zwinął go i odrzucił.

- Nie wiesz wszakże panie, że wysłałem szamanów i dziesięć tysięcy wojsk na klasztor Rew Terim. Mam też raporty od naszych dawnych sprzymierzeńców, wernhor. Ich bractwo stacjonuje dzień drogi od siedziby czarodziejów. Zablokujemy magów w ich własnym domu.

- Bardzo sprytnie, lecz to nie zmienia faktu, iż nie wszyscy magowie będą w klasztorze. Jakżeś wysłał tam wojsko i szamanów, nie mamy pleców.

- Odszukałem jeszcze jednego, bardzo potężnego

sojusznika. – Folg uśmiechnął się zawadiacko i zmrużył oczy, zakładając ręce z tyłu. Wódz wyprostował się.

– A więc to robiłeś za moimi plecami?

– Wybacz panie, nie chciałem ci tym zawracać głowy.

– Któż to jest?

– Ktoś nietuzinkowy, aczkolwiek posiada odpowiednie środki i moc, aby wielce nam pomóc.

– Jaką mocą włada?

– Magią nieumarłych. – Oczy orka zaświeciły się, gdy nadal się uśmiechał. Cesarz pojął myśl i również się uradował. Wstał z tronu i ruszył, obejmując za ramię Folga.

*

Przeprawa zakończyła się, a my musieliśmy ruszać dalej. Rozmowa z Adalbertem nie wiele dała. Były asasyn był zszokowany propozycją. Nie uśmiechała mu się perspektywa długiej, wielotygodniowej podróży przez surowe morze. Wyprawa trudna, pełna niebezpieczeństw. Nikt nie wie, jakie diabelstwa żyją w wodach na zachód od Wszechziemia. Kapitan obiecał nam jedynie, że przemyśli całą sprawę i wyśle gołębia z odpowiedzią.

Po zejściu na brzeg pierwszym naszym celem stała się karczma z wychodkiem. Każdy z nas musiał odcedzić kartofelki. Przy okazji zjedliśmy ciepły posiłek i wypiliśmy po kufelku piwa. Wiadomo, szczyzny, a kufel poszczerbiony. Najlepsze trunki mają na dworach, w tawernach zaś niska cena, tanie piwo. Okazało się też, że i zamtuz był w tym przybytku, w piwnicach gospody.

Geron nie mógł się przemóc, po odjeździe Rose na północ stracił całą ochotę. I ja nie mogłem. Wciąż miałem przed oczyma moją Naomi z bełtem w brzuchu, krwawiącą i konającą na moich rękach. Co noc śni mi się ta scena. I wciąż słyszę jej słowa, w szczególności fragment o synu w Rodo. Będę musiał odnaleźć chłopca, lecz nie teraz, gdyż powinność jest pilniejsza. Krasnoludy za to nie miały oporów, z chęcią udając się do piwnic i spędzając tam dwie godziny. Geron niecierpliwił się, nie dziwię mu się. W końcu zaspokoili swe żądze i mogliśmy ruszyć na południe. Dzień drogi dzielił nas od armii królowych. Wszystko poszłoby pięknie, gdyby nie pewna sytuacja spowodowana niepohamowaną potrzebą Gerona, aby pomóc bliźnim.

*

Florian przywitał przybyszów z uśmiechem na ustach, zapraszając gości do swej chaty. Festus i Leo skorzystali z zaproszenia. Chata jak to chata, jednak przybyli tu, by zasięgnąć języka. Ta wieś była jedyną na drodze pomiędzy dawnym kartelem a resztą Wszechziemia.

- Siadajcie, panocki. Jako sołtys tej gminy chciołech was serdecznie powitać.

- Dziękujemy bardzo waszmości - odparł generał.

- Jożem jest Florian, a to moja żona Ludmiła. - Wskazał na promienną kobietę, która właśnie wchodziła do salonu. - Moje smyki biegają po podwórku, zać ich wołać nie będę. Czym mogę panockom służyć?

- Chcieliśmy zapytać o Czarną Twierdzę.

- Przeklynte miejsce, tyle panom powiem. Dawni cały tamtyn teryn to było miasteczko hrabiego. Jeszcze pacholęciem byłem. To była metropolia. Wszyćko tańcowało, podatki się do hrabiego odprowadzało. Wiecie, panocki, to je dziesięć guldenów na rok od chłopu. Tyli że potem przyszwendol się nekromanta. Paskudny typ. Zaciukał hrabiego i przejął zamek. Okolica zaczęła umierać, drzewa więdły, ludzie ducha tracili. Mury poburzył, a wszyćkie budynki, co na wzgórzu stały, rozdupcył w drobny mak. Potem i jego szlag trafił, jak się do czorny magii zabroł. To było dziesięć lot tymu. No i się wtedy napatoczyło to pieruńskie bractwo. Jeszcze gorzy dzioc się zaczęło. Mrok spowił okolicę, a natura całkiem umarła. Ludzie ogłupieli. Z tego, co niegdyś było wielkim miastem, pozostało pińc wsi jeno, tak dookoła wzgórza. Król tu był, co prowda, pare razy próbowali tu porządek zrobić, ale się nie dało. Porzucił więc te ziemie i uznał za przeklynte i niebezpieczne. Porządek się zrobiol tego roku, jak tu wpod ten Geron z przyjacielem swoim, czarodziejem. Porządne chopy, pić umiom.

- Skąd to wiesz?

- Ano, poznoł jo ich osobiście. Dwa dni żeśmy w tawernie gorzałkę chlali.

- Tego mi nie powiedzieli, łachudry.

- A to pan też ich znosz?

- Pół roku ponad będzie, walczyliśmy ramię w ramię pod Balha Deal.

- Ano cosik wspominali.

- A teraz jaka jest sytuacja koło twierdzy?

- Spokój był, jak Geron tego przyklyntego dymona załatwił. Tylko ludziska spod wzgórze to się do życia ledwo nadajom. Tak im łby nekromanty poharatały magią, że niewiele kumajom. Jakżem w tym roku został sołtysem, to żem kazoł pomagać tamtym bidokom. A ostatnio też nowa cholera do twierdzy wlaźła. Jakżem godoł, przyklynte miejsce.

- Jaka nowa cholera?

- A no, nie wiadomo. Ludziska tylko czorne cienie widzą, a w pierony tych cieni. - Chłop machnął ręką, a następnie łyknął podanego przez żonę napitku - Pijta. Nie bójta się, hebrata ino.

- Mówisz, że ludzie spod samej twierdzy niekumate?

- Ani w ząb. Jakby panu przez tyle lat we łbie magią mieszałi, to byś pan wiele nie wiedzioł, co się dzieje.

- Hmm, a wiesz może, czy nie ma gdzieś tunelu prowadzącego do zamku? Większość starych twierdz posiada takie tunele ewakuacyjne.

- Wiesz pan co, coś chyba wiem. Stąd co prawda jest dwadzieścia mil do zamku, jednokże ojciec, jakżem za młodu boł, opowiałoł mi o takim jednym. Ile ich tam naprowde jest, nie wiadomo. Wim ino, że jakieś trzydziści lot tymu, jak się chłopcy zbuntowały przeciw staremu hrabiemu, to łon spierdziałał przed motłochem tunelem i wyszedł ze młyna dziesięć mil stąd na południe, a na północny zachód od twierdzy. Jakbyście jechali tom drogom jak do zamku, to pół godziny jazdy stępem i widać go po prawy stronie w polu. Tam trza w młynie wejść do piwnicy i przebić tylną ścianę. Tunel

ponoć zawałony przy wejściu do zamku. Toć, w którym miejscu twierdzy wyjdzieta, nie wim, czy w piwnicy, czy w lochu, czy za jakim gargulcem. Wim jeno, że jest. Nie bójta się, młyn opuszczony, został jeno na widoki.

- Dziękujemy ci za te informacje.

- Jo zawsze pomocny. Mogę jeno wiedzieć, kim ta panocki jesteśta?

- Zostanie to między nami?

- Wiadoma rzecz.

- Jesteśmy lykanami, ja sam jestem dowódcą, Festus la Vardo.

- A, wim, panoczek Geron opowiadał. Wielki wojak.

- Jesteśmy tu, żeby oczyścić zamek z tego, co tam siedzi.

- To panocki wiedzom, co to je?

- To wernhory, mnóstwo tych gadów.

- A! Krwiopijców nam tu brakowało! To już wiem, czego ludzie we wsi giną!

- Dlatego tu jesteśmy. Wybijemy tych sukinkotów.

- I bardzo dobrze! Toć może jednak nieco mocniejszego, bo mi nerwy drgać zaczęły. Luśka! Przynieś beczkę z piwnicy.

Leo spojrział na generała. Co mieli począć. Florian udzielił im niezbędnych informacji i gościł ich, więc nie wypadało odmawiać. Rozpoczęła się zatem popijawa.

*

Do stolicy królowej elfów dotarli trzeciego dnia od rozstania nad brzegiem Yohiny. Rosette nie czuła się najlepiej. Głowa bardzo ją bolała i kilkakrotnie prosiła kompanów podróży

o chwilę wytchnienia w cieniu drzew. Te sytuacje utwierdziły zarówno Kirka, jak i Billa w przekonaniu, iż kobieta życia Wybrańca jest w ciąży. Krasnolud nigdy w Balha Daghan nie gościł, miasto było dla niego całkiem obce. Prowadził Bill, który drogę do zamku znał z poprzedniej wizyty. Mimo to kował trzy razy się zgubił – raz dotarł do dzielnicy biedoty, która nieco go przerażała, następnie wrócił tam, skąd przybył, i zastał czekających kompanów, lecz po raz wtóry stracił ich z oczu w wielkim tłumie i w niewyjaśniony dla niego sposób znalazł się na placu świątynnym, pomiędzy ogromnymi statuami Nidasa i Apponosa. Znów cofnął się, bynajmniej nie odnalazł przyjaciół, trafił zaś prosto na targ. Zapytał więc ludzi o drogę i odnalazł ostatecznie dwór królowej. Bill i Rose czekali przy wejściu. Rozmówili się ze strażnikami, którzy rozpoznali niedawnych gości monarchini. Weszli do przybytku i natychmiast udali się do sekcji kobiet, aby odnaleźć położne. Kobiety zajęły się Rose, przeprowadziły kilka badań. Potwierdziła się ostatecznie diagnoza Allisena. Elfka musiała pozostać tu dłużej. Bill spojrzał na Kirka, który nieco struchlał na widok olbrzymiego mężczyzny.

- No to zostaliśmy sami. – rzekł Bill.
- Na to wygląda.
- Powinniśmy teraz ruszyć śladem pozostałych, na południe.
- Masz rację. Jednakże zmęczony nieco jestem po podróży.
- Tu się z panem zgodzę, ja również.
- Niewiele się znamy.

- Ano tak. Podobno pomagałeś Geronowi, nim go poznałem?

- Ratowałem Angala, nie mogłem więc odmówić. To co, przejdziemy się do karczmy?

- W sumie czemu nie. Lepiej się poznamy. Nie ma sensu zbyt się spieszyć.

- Racja. Powiadają, że armia Dariusza pogoniła już gobliny i zmierza na południe. Za dwa dni będą pięćdziesiąt mil stąd.

- To jest dobra myśl. Przyłączymy się do armii Lafaryngii.

- Mamy więc prawie dwa dni, aby zacieśnić więzi.

- Ostatnio, będąc w stolicy, odwiedziliśmy z Angalem niezwykle ciekawą knajpkę niedaleko stąd.

- A czy...?

- Tak, zamtuz też tam jest.

- Ooo, widzę że się z panem dogadam. Kirk jestem, sędzia z Trialton.

- Mały Bill, były wykidajło.

- Jakże to, przecież mały nie jesteś.

- Ironiczne przezwisko, tak zostało. A czy pan sędzia przymyka oko na wysokiej jakości zioło?

- W dobrym towarzystwie zawsze.

Ruszyli więc obaj zwawym krokiem. W tawernie zaś wymienili się swymi historiami, opowiedzieli o przygodach, wypili niejedną szklanicę wina i wypalili niejedną fajkę.

*

Do królewskiego namiotu zbliżył się podpułkownik. Strażnicy zatrzymali go, lecz młody władca zezwolił na wejście.

Ferdynand siedział nad planami i listami zewsząd, od innych możnowładców, zwiadowców, szpiegów, magów z klasztoru. Naprzeciw niego, oparty łokciem o stół, diuk Hamas snuł swe rozważania i wątpliwości. Syn Joachima Prawego spojrzał na przybysza.

- Panie, nowe wieści - oznajmił podpułkownik.

- Mów.

- Za godzinę przybędą do ciebie władcy Kodoru i Enwerpii.

- Wybornie. Co z północą?

- Królowa Fetheal wraz z monarchinią Eliess dotrą tu wraz ze swymi wojskami jutro po południu. Tak donoszą wieści.

- A Dariusz? - zapytał Aaron.

- Władca Lafaryngii dopadł gobliny przed murem, teraz zaś skierował się na południe. Przy pomyślnych wiatrach dotrze nad zalew za cztery, może pięć dni.

- Niedobrze. Orkowie mogą zaatakować nawet jutro. - Młody król zamyślił się. - Magowie będą tu wieczorem.

- Nie martw się, wasza wysokość. Nawet bez armii Dariusza powinniśmy odeprzeć atak. Łącznie pięć armii sojuszu ma ponad sto tysięcy mieczy, orkowie zaś, wraz trollami i wojskiem zdrajcy, niecałe siedemdziesiąt.

- Nie to mnie martwi. Postanowiłem nadstawić ucha i dowiedzieć się czegoś o tym, który doprowadził do zguby Sahaela.

- O Folgu? Bardzo cwany gad, to trzeba przyznać. Myślisz o jego niedawnej eskapadzie, przez którą odsunął termin

wymarszu swoich wojsk do Skalistego Jaru?

- Tak. To ork czynu, nie lubi odraczać tego, co niechybne.

Hamas wyprostował się i spojrzał na młodego króla. Ferdynand przejawiał dużą inteligencję mimo młodego wieku.

- Sądzi wasza miłość, że znalazł sojusznika w ostatniej chwili?

- To nie jest pewne, lecz nie można odrzucić takiego domysłu. Dowiedzieliście się czegoś o Wybrańcu? - zwrócił się do podpułkownika.

- Niestety, wasza miłość. Odkąd przekroczył Yohinę, nikt go nie widział. Przypuszczamy, że kieruje się na południe.

- Spokojnie, mój królu - uspokajał króla diuk. - Naznaczony słynie z tego, że porusza się niezauważenie. Obawia się łowców nagród, dlatego omija główne szlaki.

- Oby. A co u pani matki?

- Królowa Helena ma się dobrze, zarządza w Rodo bez szwanku.

- Sprawdziliście wszystkie szlaki? Lodowy Pan nie wysłał wojsk do Koel Nahal?

- Nie, wasza miłość. Wszystkie trakty czyste. Wydaje się, że postanowił przybyć nad zalew.

- Do bitwy więc dojdzie. A żołnierze?

- Trochę przerażeni, panie. Wielu uwierzyło plotkom i boją się tego, co może im zrobić cesarz orków.

- Niedobrze. Spróbujcie za wszelką cenę namierzyć Wybrańca. Tylko on może podnieść morale ludzi.

- Wasza miłość, Fergus już to zrobił - wtrącił diuk.

- I co to dało? Nadal nic nie wiadomo. A ty też się boisz?

Tylko szczerze. - Król spojrział na podporucznika.

- Nie tak jak pozostali, ale jednak trochę, wasza miłość. Perspektywa zostania lodową rzeźbą nie podnosi na duchu.

- Dobrze, odejź i zrób, co nakazałem. I przyślij tu generałów.

Żołnierz skłonił się i wyszedł. Ferdynand zaś spojrział na doradcę.

- Aaronie. Złe czynię?

- Bardzo słusznie, wasza miłość. Przejawiasz niezwykłą inteligencję.

- To zasługa ojca. Zawsze wpajał mi, że rozwaga oraz dbanie o swój kraj to największy obowiązek władcy.

- Mimo to jesteś niespokojny, panie.

- Boję się. To moja pierwsza wojna, pierwsza bitwa, mam pod sobą legiony ludzi. Nie wiem, jak rozplanować obronę, a to, jak wszyscy powiadają, będzie największa bitwa tego świata.

- Wasza miłość - rzekł po ojcowsku Hamas - po to masz doradców, mnie, generałów. Zawsze możesz zwrócić się o radę do pani matki. I nie zapominaj, że nie jesteś jedynym królem. Władcy z południa, doświadczeni w boju, są tutaj na twoje wezwanie, gotowi pomóc w każdej sekwencji nadchodzącej bitwy. Nie musisz wszystkiego robić sam. Najmądrzejsi z władców zawsze słuchali doradców, dlatego też opracowanie taktyki możesz zostawić starszym monarchom, sam zaś nabierzesz doświadczenia, obserwując ich.

- Masz rację. Wszyscy są tutaj dla wspólnego dobra, więc

to, kto ułoży najlepszą taktykę obronną, jest nieistotne. Najważniejsze jest Wszechziemie.

- Otóż to. Teraz odpocznij, panie, nim królowie przybędą. Zostawię cię, byś nabrał sił. - Wstał i ruszył ku wyjściu.

- Aaronie! - usłyszał za plecami głos młodego władcy. Odwrócił się. - Dziękuję, że tu jesteś. Jesteś moim najlepszym doradcą. I przyjacielem.

- Wiem o tym, panie. Ty również jesteś mi bliski. Odpocznij. - Wszedł z namiotu, skinął na strażników, by nikogo nie wpuszczali.

Młody król rozmyślał jeszcze chwilę, pomodlił się do bogów, po czym ułożył się na pryczy, by odetchnąć od zgiełku.

*

Słońce zbliżało się ku horyzontowi, układając do snu. Piękne kolory spowiły niebo, w jego najwyższej zaś części, ciemniejącej z każdą chwilą, pojawiły się pierwsze gwiazdy. Czterech jeźdźców, dwóch ludzi i dwóch krasnoludów w specjalnie przerobionych siodłach, dotarło do miasteczka położonego pięćdziesiąt mil na północny wschód od Rodo. Następnego dnia powinni dotrzeć w pobliże Diwol, a pojutrze nad Zalew Krwi. Skłoniwszy się strażnikom przy bramie, wjechali spokojnie do miasteczka i wypytawszy spotkanego przechodnia o drogę, udali się do tawerny. Przywiązali konie przy karczmie i wszedłszy do środka, zamówili po kuflu piwa i talerzu golonki. Zasiedli naprzeciw szynkwasu i rozpoczęli wieczerzę, wymieniając półgębkiem kilka słów od czasu do czasu. Posiłek przerwał im jednozębny jegomość, stary już

i pomarszczony, śmierdzący potem.

- Przepraszam panów - wymamrotał śmiesznie.

- Czego waszmości potrzeba? - odezwał się Geron.

- Panowie wyglądają na solidnych chłopów. Wszyscy młodzi poszli na wojnę, a zło nawiedziło naszą okolicę.

- Cóż takiego? Orkowie? - Zul próbował wykazać zainteresowanie, mimo iż całą jego uwagę pochłaniała obecnie golonka.

- Orkowie nie, cóż to jest, nie wiemy, ale porywa dzieci. Wspomóżcie panowie biedaków.

- A kiedy porywa? - zapytał Naznaczony.

- Ano pod wieczór. Może i teraz ta zaraza następne pacholę porwała.

- Naprawdę w mieście nie ma nikogo, kto by się tym zajął?
- rzekł Angal, któremu perspektywa nocnej eskapady po całym męczącym dniu w siodle psuła humor.

- Naprawdę, panowie. Sam bym się z tym rozprawił, ale stary już jestem, niedowidzę. Panowie młodzi, silni, sprawni, raz dwa wybawią miasteczko z opałów. Nie bądźcie jak ci wszyscy inni. Prosilim żołnierzy, jak tu królowe przejeżdżały, ale im kodeks przeszkadzał czy coś.

- Dobrze, panie - rzekł Geron. - Jeno skończymy wieczerzę. Wskażesz nam pan miejsce, gdzie to coś może siedzieć?

- Zaprowadzę, tylko pochodnię sobie przygotuję.

Wyszedł, kompani zaś dokończyli posiłek. Angal spijał drugie piwo, gdy chłop ukazał się za drzwiami gospody z pochodnią w ręku. Patrząc nieco z wyrzutem na Gerona,

wstali od stołu i podążyli za chłopem. Wyprowadził ich za miasto przez furtkę za bednarzem, poprowadził kilka stajen na wschód, wchodząc w las iglasty. Po dłuższym marszu z płonącymi pochodniami w dłoniach znaleźli się w nieco podejrzanym miejscu. Po prawej stronie mieli głęboką paryżę. Starzec wskazał im wejście do jaskini po drugiej stronie ustępu ziemnego.

- Powiadają, że to lichy tam siedzi. Poczekaj tu na panów, czy mogę wrócić do miasta? Chłodno się robi.

- Wracajcie. Znamy już drogę, poradzimy sobie - odparł Geron.

Starzec się oddalił. Angal popatrzył krzywo na przyjaciela.

- Naprawdę? Musieliśmy iść w nocy w środek lasu, bo jakiś staruch nagadał ci bajki o upiorach?

- Nie marudź. Trzeba pomóc.

- A jeśli tam siedzą wernhory? Pomyślałeś o tym?

- Wówczas byłby tu i Festus. Wszyscy krwiopijcy zebrali się przeciwko lykanom.

- Dobra, nie kłóćcie się - przerwał Zul. - Czas tracimy. Skoro tu jesteśmy, to załatwmy sprawę szybko i wracajmy. Późno już, a jutro dalej będziemy odparzać sobie dupy w siodłach.

Zaniechawszy kłótni, zeszli z górki i wstąpili niepewnie do pieczary. Z doświadczenia wiedzieli, że nie oznacza to nic dobrego. Szczególnie przerażony był Krętobrody, który pamiętał słowa przepowiedni usłyszanych z ust Jona. Wraz z głębokością jaskinia kierowała się ku wnętrzu ziemi. Po chwili znaleźli się w korytarzu. Zarówno jego podłoga, jak

i sufit oraz ściany pokryte były zdobioną kostką. Wzdłuż całego korytarza znajdowały się pochodnie w uchwytych, co najdziwniejsze, wszystkie płonęły. Dwadzieścia metrów przed nimi znajdowały się drzwi.

- Nie podoba mi się to - rzekł Angal.

- Wygląda jak robota naszych - stwierdził Vinimestr, oglądając ściany.

- O co tu chodzi? - zdumiał się czarodziej. - W środku lasu taka kryjówka?

- To pewnie siedziba jakichś rabusiów - powiedział śmiało Vinimestr. - Złodziejskie bandy siedzą w takich norach.

- Powinno nam pójść łatwo - rzekł z przekonaniem Geron.

- To dlaczego staruch gadał o czymś, co porywa dzieci? - Zul zmarszczył czoło. - Tu chyba chodzi o coś innego. Tylko o co.

- Jest jeden sposób, żeby się przekonać. - Naznaczony ruszył do drzwi.

Wtem czarnobrody krasnolud powstrzymał Wybrańca.

- A co, jeśli to rabusie? Dla pewności popilnuję drzwi. Dam znać, gdyby ktoś się zbliżał z zewnątrz.

- Dobrze. Tylko bądź czujny - odparł Geron i delikatnie przekręcił gałkę w drzwiach.

Wszedł ostrożnie, a za nim czarodziej i Krętobrody. Vinimestr został za drzwiami. Trójka kompanów znalazła się w kwadratowej, pustej sali. Nie było tutaj żywego ducha. Naprzeciwko dostrzegli kolejne drzwi. Nie było tu żadnych szkieletów, zwłok, fragmentów ciał. Nic, co nasuwałoby jakiegokolwiek przypuszczenia, że są tutaj jakieś dzieci. Geron

kiwnął głową do dwóch towarzyszy i ostrożnie poszli dalej. Powoli wkradli się do następnego pomieszczenia. Wyglądało tak, jak poprzednie – kwadratowe, wyłożone wszędzie kostką, dookoła płonące pochodnie. Jedyłą różnicę stanowił grobowiec pośrodku. Podeszli ostrożnie. Płyta nie była przesunięta. Uzgodniwszy gestami pomiędzy sobą, odsunęli wieko, gotowi w razie czego zaatakować. Nic się jednak nie wydarzyło. Znajdujący się wewnątrz trup nie był wampirem. Buchnęło za to smrodem rozkładającego się ciała. Angal zatkał nos.

- Masz, kuźwa, swojego stwora – skwitował krasnolud. – Może był groźny dwadzieścia lat temu. Sam smród. Korniki i robactwo już dawno zżarły trumnę.

- Angal ma rację – rzekł Zul, zasłaniając drogi oddechove.
- Tu nic nie ma poza szczątkami. To jakiś stary grobowiec.

- To dlaczego pochodnie płoną? – zapytał Geron.

- To jest dobre pytanie. Mnie to przypomina pułapkę – stwierdził z przerażeniem czarodziej. – Cholera. Mogą nas łatwo zasypać żywcem.

- To od początku było bardzo podejrzane. Ale nie, musimy pomóc! – Krętobrody machnął pięścią. – Tam wojna, a my tu, w grobowcu! Idealnie.

Wtem ich dyskurs przerwał krzyk. Męski głos uchodzącego życia, pełen przekleństw. Angal znał ten głos.

- Vinimestr!

Weszli na powrót do sali przejściowej. Na wprost zauważyli otwarte drzwi. Leżał w nich krasnolud, cały we krwi.

- Co tu jest grane? Kto mu to zrobił? - Angal wodził oczami po sali. Rozeszli się, każdy w inny kąt. Nic nie znaleźli. Zul przystanął po prawej stronie, obok Naznaczonego, obaj twarzą do Angala, który stał do nich plecami, patrząc na ciało przyjaciela. Odwrócił się w końcu do nich.

- Mówiłem wam, że to wszystko jest mocno podejrzane... - urwał w pół zdania, a oczy stanęły mu w ślup. Kompani spojrzeli zdziwieni na niego, gdy z jego piersi wybiło się długie, cienkie, srebrne ostrze. Z ust Krętobrodego wypłynęła krew. Broń zniknęła po chwili z jego piersi, pozostawiając głęboką, mocno krwawiącą ranę. Zdumiony, nieomal nieprzytomny krasnolud spojrział na swą pierś, zatykając ranę obiema dłońmi, i upadł.

- Angal! - wrzasnął Geron, podbiegając do konającego. - Kto to zrobił?!

- Cholerny Enigmatyk! - odparł Zul, przygotowujący się do układu. Wyciągnął prawą rękę do tyłu.

Geron ukląkł przy Krętobrodym, ten zaś wyszeptał:

- Pieprzone proroctwo.

- Kto? - Wybraniec usłyszał świst, obrócił głowę ku czarodziejowi. Zamiast odpowiedzi ujrzał bladego jak ściana Zulzedeusa, który mocno uciskał prawą rękę powyżej nadgarstka. Zamiast dłoni miał krwawiący kikut.

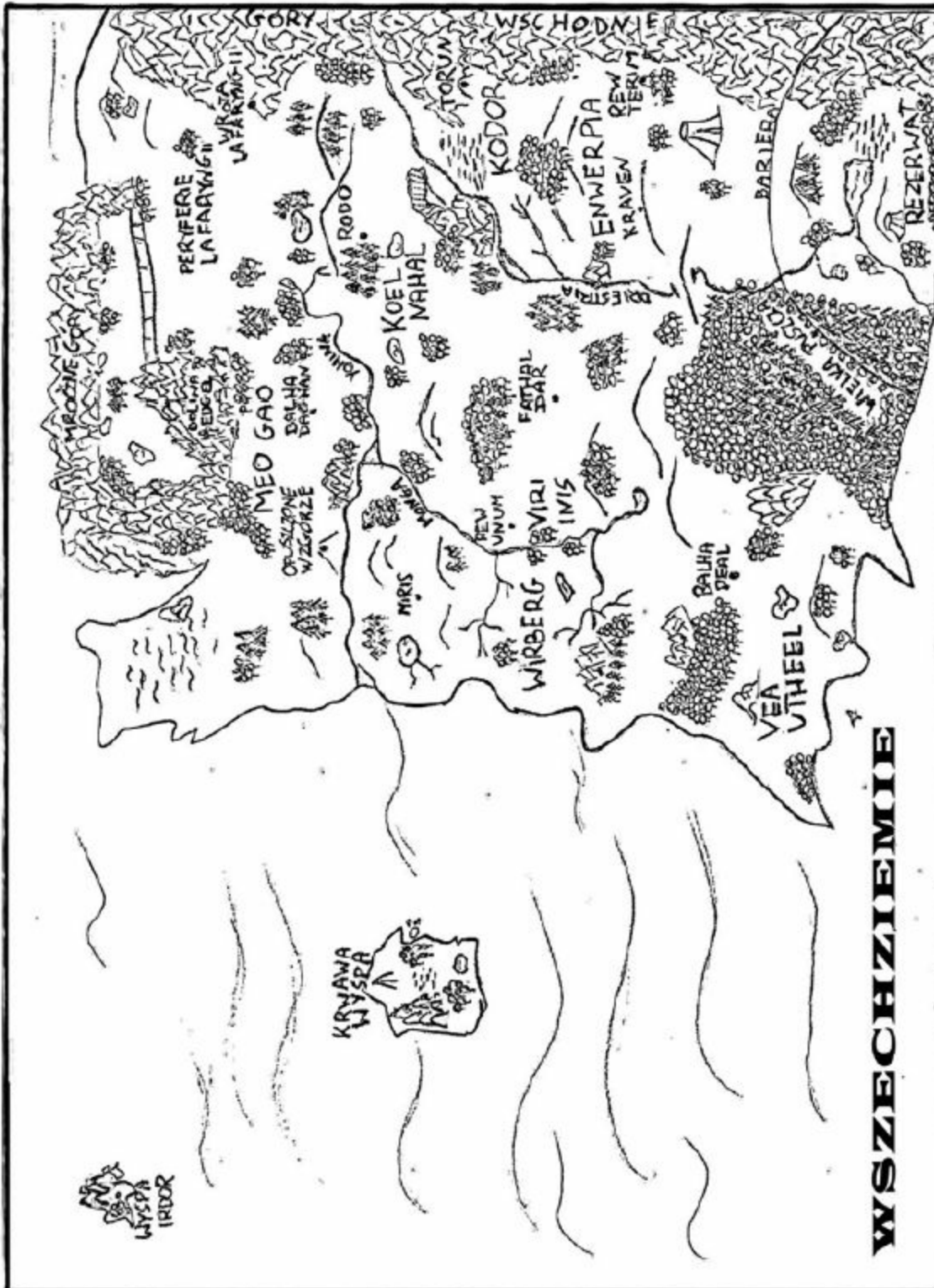
- Aaaach! Skurwysyn odciął mi dłoń!

- Zul! - Geron zostawił ciało, któremu opadły już powieki, by pomóc jeszcze żyjącemu przyjacielowi. Zul był bledszy z każdą chwilą, Naznaczony rozdarł więc koszulę i rzucił się na ratunek. Zdążył obwiązać mocno rękę czarodzieja,

powstrzymując krwawienie, gdy poczuł mocne uderzenie w głowę. Mając nieustannie przed oczyma przyjaciela, tracił wzrok. Ostrość słabła z każdą kolejną chwilą, a pole widzenia obracało się. Upadał. Słuch też zanikał. Słyszał jeszcze oddalający się, pełen bólu głos towarzysza. I wszystko ucichło.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

Mapa Wszechziemia (ta sama, którą Geron dostał od Zulzedeusa, oprócz krańca zachodniego)



Przypisy

[1] W języku elfów - człowiek.

[2] Jest to jeden z kruszców pochodzących z Gór Wschodnich. Jego gęstość przybliżona jest do tytanu. Ma on również tę ciekawą właściwość, iż praktycznie nie ma barwy, jest przezroczysty niczym szkło.

[3] Kolejny z metali. Masą i właściwościami przybliżony do miedzi, jednak twardszy.

[4] W języku krasnoludów oznacza to tydzień.

[5] W języku elfów - żołnierz.

[6] Metal podobny do żelaza, po obrobieniu nadaje się do zaklinania magią.

[7] Zwierzę leśne, skrzyżowanie wilka z wołem - wielkości osła, pokryte czarnym futrem, z rogami, krowim pyskiem, lecz łapami wilka. Samotnie - płochliwe, jednak w stadzie potrafią zaatakować. Częsty cel kłusowników. Mięsożerne - żywi się padliną.

[8] Waluta we Wszechziemiu - 1 gulden to 10 szylingów, 1 szyling to 10 dukatów

[9] *Nefrut* - wrzesień.

[10] *Garadei* - listopad - nazwy pór roku we Wszechziemiu nie różnią się od ziemskich, nazwy wszystkich miesięcy znajdują się w dodatku na końcu powieści.

[11] *Okhen* - luty, *marmai* - marzec, *mru'il* - grudzień, *sevrat* - styczeń.

[12] *Gyf'baz* - czerwiec.

[13] Przelicznik wartości pieniądza we Wszechziemiu - 1 gulden to 10 szylingów, zaś 1 szyling to 10 dukatów

[14] Skała magmowa, powstająca w wyniku zastygnięcia lawy po erupcji wulkanu. W zależności od zawartości pierwiastków może być barwy szarej, jasnobrązowej lub czerwonej.

[15] *Lunoji* - kwiecień, *gyf'baz* - czerwiec.

DODATEK

Kilka nazw własnych (imion, miast itp.) nawiązuje do starych podań, wierzeń, mitów bądź Pisma Świętego, jednak większość została wykreowana przeze mnie. Jeśli istnieje zbieżność z nazwami innych twórców lub nazw obecnie istniejących, to jest ona całkowicie przypadkowa.

Autor

We Wszechziemi istnieje obecnie podział na cztery pory roku (jak w prawdziwym świecie), jednakże nazwy miesięcy, których jest 12, pochodzą z języka pierwotnego Wszechziemia. Oto zbliżone porównanie przypadania kolejnych miesięcy w świecie realnym oraz fikcyjnym.

Świat realny	Wszechziemie
Styczeń	Sevrat
Luty	Okhen
Marzec	Marmai
Kwiecień	Lunoj
Maj	Bhean
Czerwiec	Gyf'baz

Lipiec	Dakharn
Sierpień	Or'trel
Wrzesień	Nefrut
Październik	Lastara
Listopad	Gardei
Grudzień	Mru'il

Spirit Caring | Tom I: Początek

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-543-6

© Grzegorz Kurek i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Agata Sawicka-Korgol

KOREKTA: Kinga Dolczewska

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

